

ZYGMUNT KACZKOWSKI

WEDLE PORTRETU, WYKONANEGO Z NATURY W R. 1889 PRZEZ EDWARDA LOEVY.
(»Świat« krakowski, rocznik 1889).

ADAM KRECHOWIECKI

ZYGMUNT KACZKOWSKI

I JEGO CZASY

(NA PODSTAWIE ŹRÓDEŁ I MATERYAŁÓW RĘKOPIŚMIENNYCH)

Z WIZERUNKIEM ZYGM. KACZKOWSKIEGO, WYKONANYM Z NATURY W OSTATNICH LATACH JEGO ŻYCIA, PRZEZ E. LOEVY W PARYŻU.

WE LWOWIE - NAKŁADEM ZAKŁADU NAR. IM. OSSOLIŃSKICH - 1918

UNIWERSYTET WARSZAWSKI BIBLIOTEKA

86581

Z DRUKARNI WŁADYSŁAWA ŁOZIŃSKIEGO.

K-155/78/92932

Z KSIĘGOZBIORU
Zygmunta Saloniego
Nr.

OD AUTORA.

W ciągu niniejszej pracy, przerwanej inwazyą rossyjską i dopiero w r. 1916/17 wśród ciężkich warunków dokonanej, doznałem nie tylko ze strony takich instytucyj, jak Zakład narodowy im. Ossolińskich, lwowskie Towarzystwo historyczne, Archiwum Bernardyńskie, Muzeum w Rapperswilu, które mi dozwoliły korzystać ze swych cennych zbiorów rękopiśmiennych, lecz i wśród grona uczonych i literatów, oraz posiadaczy dokumentów i listów Zygmunta Kaczkowskiego, tyle serdecznego poparcia i chętnej pomocy, że tylko temu zawdzięczać mogę, iż zdołałem zebrać obfity materyał do mego studyum.

Do szczególniejszej wdzięczności obowiązany jestem mianowicie: profesorowi Uniwersytetu, radcy Dworu dr. Oswaldowi Balzerowi, kustoszowi Biblioteki Ossolińskich dr. Ludwikowi Bernackiemu, profesorowi Uniw. Jagiell. dr. Ignacemu Chrzanowskiemu, profesorowi Uniwersytetu, radcy Dworu dr. Ludwikowi Finklowi, Franciszkowi Rawicie-Gawrońskiemu, publicyście Adolfowi Władysławowi Inlenderowi, Stanisławowi Koźmianowi, Ignacemu hr. Krasickiemu, Władysławowi Prokeschowi, Zygmuntowi Sarneckiemu, Tadeuszowi Smarzewskiemu. — Niektórych ważnych szczegółów i dokumentów dostarczyli mi również z całą uprzejmością: pani Helena Dąbczańska, adwokat krajowy dr. Ludomir Lewandowski i p. Stanisław Wasylewski. Wszyscy niech raczą przyjąć najserdeczniejsze podziękowanie.

Nie mogę też pominąć bez rzewnego wspomnienia pomocy, jakiej mi użyczyli ś. p. Eugeniusz Korytko w Paryżu i ś. p. dr. Bronisław Czarnik, emer. kustosz Biblioteki Ossolińskich we Lwowie, zmarli w ciągu druku niniejszej pracy. Ś. p. Korytko udzielił mi cennych informacyj o stosunkach osobistych przyjaciela swego, Zygmunta Kaczkowskiego; ś. p. Bronisław Czarnik niejednokrotnie sam zgłaszał się do mnie, wskazując niektóre źródła, a nawet własnoręcznie odpisując listy i dokumenty, odnoszące się do Kaczkowskiego. — Cześć ich pamięci!

I.

(Rodzina Kaczkowskich, herbu Pomian. — Rodzice i dziadkowie. — Pierwsze wpływy. — Atmosfera otoczenia. — Pierwsze studya. — Kaczkowski o spiskach ówczesnych. — Uniwersytet).

Rodzina Kaczkowskich, herbu Pomian, wzięła swą nazwę od wsi Kaczkowo w powiecie inowrocławskim, a pisała się także z Rojewa. Linia tej rodziny, z której pochodził Zygmunt, wyniosła się już z końcem XVIII. wieku z Wielkopolski, a mianowicie w osobie dziada Zygmunta, Józefa Kaczkowskiego.

Wedle herbarza Bonieckiego,[1]) ten Józef był synem Jakóba Kaczkowskiego i Joanny z Irzykowskich, wnukiem Antoniego, dziedzica Łagiewnik w kcyńskiem i Konstancyi ze Skrzetuskich, prawnukiem Jakóba i Barbary z Gierzyńskich.

Co się tyczy nazwiska rodowego matki Józefa, wedle Bonieckiego, Irzykowskiej, zaznaczyć należy, że w dokumentach legitymacyjnych, przechowanych w archiwum Wydziału krajowego, znajduje się metryka urodzenia wspomnianego Józefa Kaczkowskiego, wydana na rekwizycyę „Generosi Josephi de Rojewo Kaczkowski“, z ksiąg metrykalnych kościoła parafialnego w Krostkowie, która stwierdza, że ów Józef, Onufry, Jan, 3-ga imion, urodzony 4 lipca 1754, był synem prawnych małżonków: Jakóba Kaczkowskiego i Joanny „de Villa Poborska“. Nazwiska rodowego tej Joanny metryka nie wymienia.

[1]) Boniecki „Herbarz Polski“. Tom IX., str. 130—132.

Józef Kaczkowski nie musiał być człowiekiem zamożnym. Wyszedłszy z Wielkopolski, nawędrował się snadź długo po kraju, w poszukiwaniu widocznie jakiegoś umieszczenia. W Ottynii, powiecie tłumackim poślubił w r. 1787 Maryannę Bylczyńską. Zajmował on w Komarnie skromną posadę poborcy, czy kasyera miejskiego. Tam też przyszedł na świat najstarszy syn jego, Jakób, urodzony w r. 1790. Wówczas jednak Józef Kaczkowski nie zajmował już owej posady poborcy miejskiego, albowiem w metryce urodzenia syna jego Jakóba, w rubryce: *Parentes et conditio eorum*, czytamy: „*Nobilis Josephus Kaczkowski, ex perceptor urbarialis.*“ [1]) Drugi syn Józefa, Edmund i córka Katarzyna (ur. 1798) otrzymali Chrzest Ś. w Husiatynie, najmłodszy zaś Feliks przyszedł na świat 1803 r. w Kutyszczu, [2]) powiecie winnickim. W Winnicy też, wedle podania Wincentego Korotyńskiego, [3]) syn najstarszy Józefa, Jakób, pobierał pierwsze nauki. Do grodu winnickiego również wniósł Józef Kaczkowski swoją metrykę urodzenia „w sposób oblaty“. [4]) — Ottynia, Komarno, Husiatyn, Winnica, to widocznie etapy wędrówki Józefa Kaczkowskiego.

W r. 1810 syn Józefa Ignacy, legitymował się ze szlachectwa przed Wydziałem byłych Stanów galicyjskich, który zatwierdzając jego pochodzenie szlacheckie, przyznał mu zarazem prawo używania herbu Pomian.

Ten Ignacy był ojcem Zygmunta Kaczkowskiego.

Zygmunt, Józef, Erazm 3-ga imion Kaczkowski, urodził się dnia 2 maja 1825 roku, w Kamionce wołoskiej, z ojca Ignacego i matki Franciszki z Niklewiczów. [5]) W Kamionce wołoskiej mieszkali rodzice jego matki, Ignacy Niklewicz i Tekla z Niecieckich.

---

[1]) Metryka wydana przez proboszcza w Komarnie ks. Władysława Fryda d. 20 lipca 1914 r.

[2]) Boniecki l. c.

[3]) „Dzieła Zygmunta Kaczkowskiego, Warszawa, nakładem Józefa Ungra. Tom XI. Artykuł „O Autorze“, str. 252.

[4]) Akta Wydziału krajowego

[5]) Świadczy o tem metryka urodzenia, wydana mi 30 kwietnia 1914 r. przez proboszcza z Rawy Ruskiej, ks. Ludwika Rysia. Omylił się więc Wincenty Korotyński, który w życiorysie Z. Kaczkowskiego, zamieszczonym w XI. Tomie „Dzieł Zygm. Kaczkowskiego“ (Wydanie Józefa Ungra z r. 1875) naznacza datę urodzin Zygmunta na r. 1826, dodając, że przyszedł on na świat w „ukochanej swej Sanoczczyźnie, we wsi Bereźnicy.“ Otóż nie owa Bereźnica w Sanockiem, w której dopiero w lat 20 później zamieszkał Z. Kaczkowski, lecz Kamionka wołoska w powiecie rawskim była miejscem jego urodzenia.

Nazajutrz po urodzeniu, d. 3. maja ochrzcił go O. Marchianus Schollik, administrator i gwardyan konwentu OO. Reformatów. Do Chrztu Ś. trzymali go ówcześni właściciele Kamionki wołoskiej, Franciszek i Zuzanna księstwo Woronieccy. Metryka nie wymienia kondycyi ani Ignacego Kaczkowskiego, ojca, ani Ignacego Niklewicza, dziada dziecka, a tylko przy obu tych nazwiskach zaznacza: *Conditione nobilis.* — Z tej jednak okoliczności, że dziadkowie macierzyści Zygmunta mieszkali stale w Kamionce wołoskiej, własności księstwa Woronieckich i że oboje księstwo wnuczka ich do Chrztu trzymali, wnosić można, iż Ignacy Niklewicz sprawował w tych dobrach pewne funkcye ekonomiczne i że cieszył się względami swych jurysdatorów. — Z późniejszych aktów sądowych, a mianowicie z aktów procesu karnego, wytoczonego w r. 1846 o zbrodnię zdrady stanu Ignacemu ojcu i Zygmuntowi synowi Kaczkowskim, okazuje się, że Ignacy Niklewicz, podówczas starzec sędziwy, liczący 75 lat wieku, przesłuchiwany jako świadek, mieszkał już nie w Kamionce wołoskiej, lecz w Ciśnie, majątku Fredrów, którym zarządzał ojciec Zygmunta, Ignacy Kaczkowski. Z zeznań tych okazuje się dalej, że Ignacy Niklewicz był rodem z jarosławsko-przemyskiego obwodu. [1])

O ojcu Zygmunta, Ignacym Kaczkowskim, pisze Wincenty Korotyński, [2]) że przyszedł na świat w r. 1772, a otrzymał wychowanie dość staranne, pobierał nauki w Winnicy, we Lwowie i Warszawie, skłaniając się ku przedmiotom realnym, górnictwu, mechanice i rachunkowości.

Zkąd Korotyński zaczerpnął tych wiadomości, nie podaje; wydają się nam one dość wątpliwe, bo już mylna jest wymieniona data urodzin. Wedle autentycznego świadectwa metryki, którą mamy przed sobą, Ignacy Kaczkowski przyszedł na świat, jak to już zaznaczyliśmy, dnia 20 czerwca 1790 w Komarnie, powiecie rudeckim, dawnym obwodzie samborskim, z ojca Józefa i matki Maryanny z Bylczyńskich.

---

[1]) Protokół przesłuchania Ignacego Niklewicza w Ciśnie d. 14 lipca 1846. Ponieważ Niklewicz w tych zeznaniach sam podaje, że liczy lat 75, musiał zatem przyjść na świat w roku 1771, nie zaś w 1752, jak to twierdzi Zygmunt Kaczkowski w słowie wstępnem „Od Autora“, w tomie I. „Dzieł“ wydanych przez Józefa Ungra w r. 1874. Gdyby podanie Z. Kaczkowskiego było prawdziwe, Niklewicz musiałby liczyć w 1846 r. lat 94!

[2]) „Dzieła Zygmunta Kaczkowskiego“. Warszawa, nakładem Józefa Ungra. Tom XI. str. 252. Artykuł „O Autorze“.

Że Ignacy Kaczkowski miał bardziej realny pogląd na rzeczy, to potwierdza i syn Zygmunt, pisząc w swym „Pamiętniku“: „mój ojciec nie łatwo dawał się unosić“.[1])

Z tem zdaniem syna o ojcu zdaje się być w zgodzie opinia, której wartości nie myślimy zresztą przeceniać, — opinia sądowa, wydana w procesie z r. 1846 o Ignacym Kaczkowskim, uwięzionym i oskarżonym o udział w powstaniu zbrojnem. Otóż tak zwana „Auskunfts-Tabelle“ w rubryce „Körperliche und sittliche Beschaffenheit“ zaznaczywszy na wstępie, że więzień ten, wskutek doznanych boleśnych obrażeń (Misshandlungen) mocno podupadł fizycznie i słuch ma przytępiony, jest człowiekiem roztropnym *(besonnener)* i sprawie rewolucyi niezbyt oddanym, *(nicht sehr ergebener)*, dodaje przytem, że wykształcenie jego jest mierne *(von geringer Bildung)*.[2])

Natomiast Korotyński twierdzi, że Ignacy Kaczkowski „był człowiekiem nader bystrego pojęcia i ukształconego umysłu, żartkiego dowcipu i wesołego temperamentu, wyobrażeń i form poniekąd bardziej cudzoziemskich (?) niż polskich, ale pomimo tego miłośnik kraju“.[3]) Z luźnych wzmianek, jakie Zygmunt czyni o ojcu w „Pamiętniku“ swoim, niepodobna orzec, o ile ta opinia Korotyńskiego jest słuszna. Zewnętrznie wyglądał tak, jak wszyscy starsi ludzie tej epoki. Nosił frak granatowy ze stalowymi guzikami, wysoki halsztuk i buty węgierskie. Był wysoki i chudy, a ogolonej jego twarzy nadawał cechę charakterystyczną duży nos.[4]) Trudniej skreślić jego wizerunek duchowy na podstawie relacyi syna i skontrolować zdanie Korotyńskiego. Niewątpliwie jednak był to człowiek mający dużo trzeźwego rozsądku. W notatkach rękopiśmiennych Zygmunta, jakie mamy pod ręką, jest następujący luźny ustęp: „Mój ojciec mawiał już wówczas, (1830—1840), że Polska zginie na kwestyi ekonomicznej, bo szlachta nie dba o utrzymanie majątków, a niemasz stanu trzeciego, któryby ją wydziedziczył i zastąpił“.[5]) W innem miejscu notuje Zygmunt: „Ojciec mówił wtedy, że się braku patryotyzmu nie boi, ale boi się węgla kamiennego i pary, — obce kraje nas wyprzedzą. My zostaniemy w tyle, a oni nas zjedzą“.[6])

[1]) „Mój Pamiętnik“ z lat 1833—1843. Lwów 1899, str. 20.
[2]) Akta sądowe z r. 1846.
[3]) „O Autorze“ l. c. str. 253.
[4]) „Mój Pamiętnik“ str. 20
[5]) Ms.
[6]) Ms.

To pewna, że p. Ignacy kochał syna nad wszystko i pragnął dać mu wykształcenie staranne. Ale używał do tego nie zawsze odpowiednich środków.

Pierwotnem wychowaniem Zygmunta kierował proboszcz grecko-katolickiego obrządku, ksiądz Paweł Żegiestowski, człowiek niewątpliwie prawy i zacny, wyrosły w tradycyach polskich i niemi żyjący. O nim w swoich notatkach zaznacza Zygmunt: „Xiądz Paweł, proboszcz ritus graeci, ale z tych xieży, co w rogatywkach chodzili, uczył mnie łaciny.“[1]) Nie trudno mu też zapewne przyszło kierować pierwiastkową nauką zdolnego z natury chłopca. Na ukształtowanie wszakże jego charakteru miał, zdaje się, daleko większy wpływ młody krewny matki Zygmunta, Józef Niklewicz, wcale nie pedagog, choć z potrzeby trudniący się guwernerką. Był to rozmiłowany w poezyi marzyciel, który nie dbał o programy szkolne, lecz oprowadzając chłopca po Bieszczadach, odczytywał mu i deklamował po całych dniach wiersze Byrona, Schillera, Goethego i Mickiewicza, a także „niekiedy“, jak pisze Korotyński, Kochanowskiego, Karpińskiego i Kniaźnina.[2]) Przytem zwracał uwagę swego ucznia na piękności natury i udzielał mu luźnych wskazówek w zakresie nauk przyrodniczych.

Tu, tak sam Zygmunt w swoim „Pamiętniku“[3]), jak i Korotyński w rozprawie „O Autorze“,[4]) podnoszą jakieś trudności, jakoby ztąd wynikłe, że w r. 1835 Zygmunt Kaczkowski nie miał jeszcze dziesięciu lat skończonych, wymaganych ustawą do rozpoczęcia nauk gimnazyalnych. Korotyński twierdzi nawet, że Ignacy Kaczkowski musiał używać „wysokiej protekcyi w Wiedniu“, aby uzyskać dla syna pozwolenie wstąpienia do gimnazyum. Otóż metryka urodzenia Zygmunta temu najwyraźniej zaprzecza, bo w r. 1835, z rozpoczęciem roku szkolnego miał on skończonych lat dziesięć od kilku miesięcy.

Wedle „Pamiętnika“, ojciec zawiózł Zygmunta w jesieni 1835 do Lwowa i umieścił w konwikcie, mieszczącym się w Rynku, w tylnej części pałacu Ponińskich, dawniej Sobieskiego, z frontem wychodzącym na ulicę Ruską, pod opieką osobnego nauczyciela, nazwiskiem Różycki.

[1]) Ms.
[2]) „O Autorze“ l. c. str. 254.
[3]) str. 51.
[4]) str. 254.

Opuszczając dom rodziców po raz pierwszy dziesięcioletniem chłopięciem, wywoził ztamtąd Zygmunt niezatarte wspomnienia. Wpływ nauczyciela Niklewicza, a zapewne także wpływ cichej, łagodnej matki, przeważył stanowczo w duszy dziecka realistyczne poglądy ojca i systematyczny kierunek pedagogiczny ks. Żegiestowskiego. Zdarzały się też wrażenia, które na umyśle małego Zygmunta wycisnąć musiały swe piętno. Do takich wrażeń należało przybycie do domu rodziców w r. 1833 takich gości, jak Seweryn Goszczyński i Wincenty Pol. Urządzono wówczas gromadną wycieczkę na szczyt góry Łopiennik. Do wycieczki tej należeli, oprócz Pola i Goszczyńskiego, Jerzy Bułharyn, major 7 pułku ułanów, podówczas emigrant, zapalony konspirator,[1]) Sylwery Brześciański z Legii nadwiślańskej, Tadeusz Strzelecki, który jako wachmistrz był z Dembińskim na Litwie, a o którym Ignacy Kaczkowski mawiał, że jak orzeł tatrzański przelatuje nocą przez Bieszczady, zawsze z jakimś emisaryuszem pod skrzydłem.

Takiej to kompanii jezdnej towarzyszył na swoim kucu huculskim ośmioletni Zygmunt. O jego uszy obijały się nieustannie nazwy: Grochów, Wawr, Iganie, Ostrołęka, okopy Warszawy; słyszał, jak Strzelecki ze łzami w oczach, a wśród powszechnego wzruszenia deklamował Goszczyńskiemu jego własny wiersz:

„Uderzcie w bębny, zagrajcie nam w rogi,
Za Bug! za Bug! za Bug! —

chwytał uchem ciche, konspiratorskie rozmowy Goszczyńskiego z Bułharynem, a wreszcie po nocy spędzonej romantycznie wśród gór w szałasie, był świadkiem uroczego wschodu słońca ze szczytu Łopiennika. Oprócz cudownej przyrody, na umysł dziecka wrażliwy nie mogły nie podziałać natchnione słowa Pola, który ze szczytu góry rzucał pierwsze akordy „Pieśni o ziemi naszej“, roztaczając w płomiennych wyrazach przed oczyma zachwyconych i wzruszonych słuchaczy obraz całej Polski.

---

[1]) W roku 1846 był on, pod nazwiskiem: Jerzy Krajewski, dowódcą powstania w Sanockiem, a później generałem w rewolucyi węgierskiej. Następnie tułał się przez lat wiele za granicą, aż osiadł na wyspie Jersey, gdzie umarł przeszło 80-letnim starcem w zupełnem zapomnieniu, około 1890 r.

W sześćdziesiąt lat później zapisując to wspomnienie w „Pamiętniku swoim“,[1]) zdobywa się Zygmunt Kaczkowski na wyrazy pełne zapału; widzi, jak pod wpływem porywających słów Pola, Strzelecki płacze jak dziecko, Bułharyn stoi nieruchomy, patrząc wytężonym wzrokiem w dal, gdzieś zapewne w Augustowskie, gdzie była niegdyś jego siedziba, a Goszczyński, zwrócony ku słońcu, zaciska pięście i w rozwarte nozdrza chwyta woń ukraińskich stepów.

Czyż dziwić się można, że chwila ta wycisnęła na duszy dziecka niezatarte piętno? „Mnie — pisze Kaczkowski, 68-letni starzec — pozostało wspomnienie jedno z najwięcej uroczych, jakie mi pamięć przynosi z lat moich dziecinnych“.

W notatkach rękopiśmiennych, kreślonych już w ostatnich latach życia, znajdujemy taki ustęp:

„Na Łopienniku, Pol pokazuje: Tu Kraków, tu Śląsk niegdyś polski, dalej W. X. Poznańskie. Gdańsk kąpie się w morzu, poniżej Żuławy, dalej Żmudź święta, poniżej Litwa, Pińszczyzna i Pobereże, — a w środku ziemie mazowieckie i nasza królowa Warszawa, a na prawo w dół, na wschód słońca Wołyń, Podole i Ukraina i nasze czajki kozackie, potrącające o mur Carogrodu.... Na to Goszczyński: A to wszystko zatraciła, zaprzepaściła, — nie lud i nie miasta, tylko... Na to mój ojciec: Daj pokój! bo jak powiesz jeszcze jedno słowo, każdy szlachcic będzie musiał w łeb sobie strzelić... Wszyscyśmy mieli łzy w oczach i przez długą chwilę trwało milczenie. Takie sceny, „palące i żrące“, jak mówi poeta, wbijają się dziecku w pamięć i pozostają niezapomniane na całe życie“.[2])

Tego rodzaju wrażenia, wraz z marzycielskim wpływem Niklewicza, pod pieszczotliwą dłonią matki, rozwinąć mogły w sercu chłopięcia skłonności zgoła sprzeczne z prozą życia i warunkami, wśród jakich wzrastać mu wypadło. Jeżeli te ziarna, rzucane w duszę dziecka, nie rozwinęły się w całej pełni, to jedynie chyba dlatego, że dalsze koleje życia złożyły się na to, aby je zwarzyć, stłumić i pokryć szronem zimnej rozwagi...

O matce Zygmunta pisze Korotyński: „Była to niewiasta cnót nieskazitelnych, charakteru anielskiego, cicha, spokojna, bez

---

[1]) „Mój pamiętnik“ str. 17—21, wydany we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta w r. 1899, w rękopisie, który mam przed sobą, nosi datę: Paryż 1893. Pamiętnik ten, wedle własnego napisu Kaczkowskiego, miał sięgać aż do r. 1863 i miał być wydany w Paryżu.

[2]) Z notatek o Polu. Ms.

zółci, pełna miłości dla wszystkich, oddana jedynie życiu domowemu i rodzinie“ [1])

Przypuszczać można, że charakterystyka prawdziwa. Syn, prócz wyznania, że ją kochał nad wszystko [2]), oraz wzmianki, że w domu swym garnęła dzieci Jerzego Bułharyna, gdy żona jego, Jordanówna z domu, z Węgier, gdzie jakąś wioskę dzierżawili, wyjeżdżała w Augustowskie po fundusze do życia, nie wiele o matce podał szczegółów. Była dobra i cicha, nie dawała więc powodu do mówienia o sobie, a oddziaływała tylko tą swoją niewyczerpaną dobrocią i przykładem spełniania obowiązków domowych. Z aktów procesu karnego z r. 1846 dowiadujemy się, że dokładała wszelkich starań, aby ulżyć losowi uwięzionych męża i syna. Oddawała się też snadź pilnie wychowaniu dwóch córek: Emilii i Honoraty, pozostawiając mężowi kierunek wychowania synów, z których jeden Walery obrał sobie karyerę wojskową i był po za domem, drugi zaś Zygmunt, rozpoczynał dopiero studya gimnazyalne i opuszczał rodzinną strzechę.

Gdzie upłynęły mu te pierwsze lata dziecinne? Niewątpliwie w Ciśnie, majątku Fredrów, którym Ignacy Kaczkowski zarządzał. Sam Zygmunt wyraźnie tego nie oznacza. Opisując szczegółowo dom rodziców, nie wymienia miejscowości. Opis ten wszakże odnosić się może tylko do dworu w Ciśnie, gdzie jeszcze w r. 1846, jak to z aktów sądowych wynika, mieszkał stale Ignacy Kaczkowski z żoną, jej ojcem, Niklewiczem i dwoma córkami. Dwór ten był obszerny, o dużych pokojach i stał na wysokiem podmurowaniu. Miał duży ganek o posadzce wyłożonej żelaznemi płytami, do którego wchodziło się przez cztery wysokie schody, także żelazną blachą pokryte. Przed gankiem rozścielał się obszerny dziedziniec, a dalej ogrody, otoczone dostatnimi sztachetami, pomalowanymi na biało i zielono. [3]) Dom mógł pomieścić i mieścił licznych gości. Dwór w Bereźnicy wyżnej, majątku nabytym później przez Ignacego Kaczkowskiego, w którym mieszkała i gospodarzyła matka jego, Maryanna z Bylczyńskich, — był znacznie gorszy. Świadczy o tem sam Zygmunt w liście do przyjaciela, Seweryna Smarzewskiego: „Dom w Bereźnicy zupełnie nic po tem... zupełnie lichy... bardzo źle gości swoich umieszczam“. [4]) Wycieczka na szczyt Łopiennika, tak pięknie opisana przez Zygmunta, mogła się tylko odbywać z Cisny, nie z Bereźnicy; góra ta bowiem leży w pobliżu Cisny, [1]) Wreszcie najdobitniej stwierdza to własna notatka Zygmunta Kaczkowskiego, znajdująca się w jego papierach pośmiertnych, a która bezwątpienia odnosi się do tej bytności Pola i Goszczyńskiego w domu jego rodziców. Notatka ta brzmi:

„Mój ojciec, będąc w dobrym humorze, odpowiedział Polowi: Sami nie wiecie, g d z i e j e s t e ś c i e. P a ń s t w o C i ś n i a ń s k i e graniczy wprawdzie z Austryą, ale do niej nie należy. Płaci jej podatki, aby się nie troszczyło o interesa państwowe, daje rekruta, bo nie chce własnej armii wystawiać, ale zresztą jest niezawisłe i jak tylko podatki płaci i daje rekruta, Niemca nie widzi na oko... Jeśliby się zaś jaki Niemiec pojawił, to ma swoich kowali. [2]) — a wtedy byłaby to sprawa międzynarodowa. — Pol powiedział do Goszczyńskiego: A co? Czy nasza szlachta nie ma fantazyi?“ [3])

Ten żarcik ojca Kaczkowskiego najdobitniej dowodzi, że cały opis syna rodzicielskiej siedziby, stosować się może tylko do Cisny.

Dlaczego jednak sam Zygmunt tego wyraźnie nie zaznacza? Domyślać się można, że czyni to jedynie dlatego, aby tem samem nie być zmuszonym przyznawać zależnego stanowiska ojca, jakie on w Ciśnie zajmował.

Był on tam rządcą, czyli, jak to akta sądowe z r. 1846 określają: „Güterkomissär des Grafen Fredro in Cisna.“ [4]) O tem wszakże Zygmunt nie wspomina nigdy, jakkolwiek w owej Ciśnie cała jego rodzina przez długie lata mieszkała. Okoliczność tę zaznaczam dlatego, że jedną z cech znamiennych charakteru Kaczkowskiego była próżność rodowa, niezbyt uzasadniona, a wzmagająca się z latami w atmosferze starej szlachty sanockiej i wskutek stosunków koleżeńskich z Fredrami, Krasickimi, Pinińskimi. Próżność ta kazała mu pisać w „Pamiętniku“ o dochodach pobieranych przez ojca, jak gdyby ze spadku, „z masy Fredrowskiej“ i o sukcesyach na Wołyniu; [5]) ta sama próżność wkładała mu

---

[1]) „O Autorze“ l. c. str. 253.
[2]) „Rowolucyjne sądy i wyroki“ Paryż i Wiedeń 1866, str. 10.
[3]) „Mój Pamiętnik“ str. 10.
[4]) List z Bereźnicy d. 21 lipca 1858. Mss.

[1]) W powiecie liskim, zarówno jak i wieś Cisna.
[2]) W Ciśnie były huty żelazne.
[3]) Notatka p. t. „Pol. do przedmowy“. Ms.
[4]) Delegowana komisya karna w Sanoku z 18 września 1846, l. 18641. Reg. 238 C.
[5]) „Mój Pamiętnik“, str. 33.

w usta twierdzenie o koligacyach ze znakomitymi rodami polskimi. [1]) Z pewną też nieufnością słuchamy, gdy nam opowiada, jakoto babka jego, Maryanna z Dęborogów-Bylczyńskich, pamiętała bardzo dobrze Konfederacyę Barską i na własne oczy widziała tych konfederatów, goszczących w domu jej rodziców, [2]) albowiem z aktów sądowych z r. 1846 wiemy dokumentnie, że owa Maryanna z Bylczyńskich Józefowa Kaczkowska, urodzona w Mogilnicy w obwodzie stanisławowskim, miała w powyższym roku, wedle własnego zeznania, lat 76, [3]) a zatem przyszła na świat około r. 1770, już po zawiązaniu konfederacyi barskiej; mogła zaś mieć zaledwie trzy lata, gdy ta konfederacya z poddaniem się Tyńca w r. 1773 ostatecznie upadła... Z równym sceptycyzmem odnosimy się do opowieści Zygmunta, jakoby dziad jego, a mąż tej Maryanny, Józef Kaczkowski, przez lat pięć służył w konfederacyi barskiej, a potem miał walczyć pod wodzą Kościuszki, [4]) gdy wiemy na podstawie metryki urodzenia Jakóba Kaczkowskiego, że przed rokiem 1790 ów Józef był kasyerem miejskim w Komarnie, a o wojaczce chyba nie myślał, bo właśnie w r. 1790 przyszedł mu na świat syn Jakób, ojciec Zygmunta. Jeżeli zaś jest prawdą, że Józef Kaczkowski, jak Zygmunt podaje, przyszedł na świat w 1739, to w roku urodzenia syna Jakóba miałby lat 51. Gdyby zaś żona jego, Maryanna z Bylczyńskich, mogła pamiętać dobrze czasy konfederacyi barskiej, musiałaby być jeszcze starszą w roku, gdy została matką.

Do takich to konsekwencyj doprowadziła Zygmunta chęć dorobienia sobie zaszczytnych tradycyj rodzinnych! A próżność ta rodowa i społeczna, kiełkująca w nim w zaraniu życia, przetrwała do późnej starości. W latach młodzieńczych kojarzyła się ona w sposób dość dziwny z pewnem marzycielstwem, patryotycznymi porywami i konspiratorską skłonnością, obudzoną wczesnym wpływem takich ludzi, jak Goszczyński i Bułharyn, licznych emisaryuszy emigracyjnych, znajdujących gościnne przyjęcie w domu rodziców, później zaś takich kolegów szkolnych, jak anarchista Gosslar i inni.

---

[1]) List do dr. Xawerego Liskego z Paryża 20. lutego 1891. Ms.
[2]) „Od Autora", l. c. str. 2.
[3]) Protokół przesłuchania d. 10 września 1846.
[4]) List Z. Kaczkowskiego do Zygmunta Sarneckiego z Paryża w dzień Wielkiejnocy 1894. Ms.

Umieszczenie Zygmunta w owym pensyonacie lwowskim w pałacu Ponińskich, okazało się niefortunnem. Zanadto tam zajmowano się poezyą, a snadź za mało naukami. Już po roku p. Ignacy przeniósł syna do innego konwiktu, przy klasztorze Dominikańskim, z wchodem od ulicy Ormiańskiej, gdzie był większy rygor i porządek. Ale pan Ignacy dbał także — może nawet zawcześnie — o towarzyskie wychowanie syna i wprowadził go do domu hr. Łosiów, a przedewszystkiem do tych, wobec których, jako rządca Cisny czuł się obowiązany, do domu Aleksandra hr. Fredry, gdzie Zygmunt zawarł ściślejsze stosunki z Janem Aleksandrem, o półtora roku od siebie młodszym. Tu miał też sposobność, na tak zw. „literackich" obiadach czwartkowych przypatrzeć się nietylko umysłowej i duchowej elicie ówczesnego świata lwowskiego, lecz zarazem poznać wyższe społecznie „towarzystwo", co z jednej strony posłużyło niewątpliwie do rozwoju bystrego umysłu chłopca, lecz przytem schlebiało i podniecało już w duszy dziecka kiełkującą próżność. W domu Aleksandra Fredry ocierał się mały Zygmunt o takich ludzi, jak Adam Zamoyski, książę Henryk Lubomirski, Tadeusz Wasilewski, Ludwik Jabłonowski, Henryk i Edward Fredrowie, paź Stanisława Augusta Sagatyński, Wincenty Pol, Aleksander Batowski, zasłużony pisarz i kierownik sceny polskiej J. N. Kamiński, tłumacz Heinego Nereusz Hoszowski, Gwalbert Pawlikowski, Adam Rościszewski, oraz znamienitsi ówcześni aktorowie: Nowakowski, Smochowski, Benza. W gronie tem odbywały się też dyskusye literackie; najczęściej rozprawiano o Mickiewiczu, którego „Pan Tadeusz" podlegał wówczas ożywionej krytyce. [1])

P. Ignacy Kaczkowski otrzymywał wszystkie emigracyjne publikacye, oraz książki, wychodzące za granicą, podówczas w Austryi zakazane. Otrzymywał je drogą przez Węgry i za pośrednictwem syna przesyłał je Aleksandrowi Fredrze. — Zygmunt opisuje, jakiem przerażeniem przejmowały te zakazane druki jego nauczyciela Różyckiego, z jaką ostrożnością transportowano je do mieszkania Fredry i z jaką ciekawością i zajęciem je tam przyjmowano.

W czasie tych obiadów Aleksander Fredro umieszczał zwykle syna przy sobie, a Zygmunta po drugiej stronie i obu malcom udzielał objaśnień o tem, o czem mówiono i stosownych pouczeń. Przyjęcia te przeciągały się zwykle do wieczora, a Zygmunt przy-

---

[1]) „Mój Pamiętnik", str. 51 i nast.

słuchiwał się pilnie rozprawom o budzącej się już zwolna i we Lwowie literaturze romantycznej, odczytywanym poezyom Józefa i Leszka Borkowskich, Bielowskiego, Magnuszewskiego i innych. „My, mali chłopcy — pisze Kaczkowski w swym „Pamiętniku“ [1]) — nie wieleśmy z tych dyskusyj rozumieli... ale przecież może coś z tego zostało“.

Zostało niezawodnie. Zostało zamiłowanie w literaturze, nieuświadomione jeszcze, ale mające się już niebawem w całej pełni rozbudzić, — zostało wrażenie tajemnego przemycania książek „zakazanych“, poczucie ucisku i „żądza bohaterskiej“ przeciw niemu reakcyi. Niosącemu w tajemnicy owe książki do Fredry małemu Zygmusiowi, zachciewało się już wówczas, jak sam wyznaje, „choć parę tygodni przesiedzieć w kozie.“ [2]). — Młodość - rzeźbiarka poczęła już wykuwać cały żywot późniejszy.

Ówczesny system szkolny potęgował to uczucie ucisku. Uczono łaciny i niemieczczyzny, można było mieć lekcye także innych języków obcych, tańców, szermierki, jazdy konnej, — na wykłady literatury polskiej i polskiego języka nie było miejsca; odbywały się tylko dla formy, a za mówienie po polsku w szkole było *signum linguae* i następowała kara. Młodzież radziła sobie tedy sama: przemycała zakazane książki polskie, kryjąc zręcznie „Dziady“ lub „Pana Tadeusza“ pod introligatorskiemi okładzinkami „Barbary“ Felińskiego lub Tomaszewskiego „Jagiellonidy“. — W tajemnicy, nocami, przepisywano i uczono się na pamięć wierszy Mickiewicza, Pola i Gosławskiego.

Tą drogą szerzył się wśród młodzieży duch spiskowy, propagowany po wsiach przez ukrywających się emigrantów, emisaryuszy, przybywających z Francyi, i pełne zapału patryotycznego kobiety. Cała Galicya, pogrążona od listopadowego powstania w zupełnej apatyi, „w bezduchu“, jak się wyraża Kaczkowski w swym „Pamiętniku“, pokrywała się teraz siecią spisków. Atmosfera ta wsiąkała w młodzieńczą, wrażliwą duszę Zygmunta. Nieszczęsna wyprawa Zaliwskiego i srogie represye nią wywołane, podniosły jeszcze bardziej gorąco tej atmosfery. Przez mury konwiktu dominikańskiego, do izb szkolnych przedostawały się echa oburzenia na rządy prezydenta gubernialnego barona Kriega i komenderującego generała br. Langenau. Z ust do ust przechodziły wieści o coraz to nowych rewizyach i aresztowaniach, o uwięzieniu Kon-

[1]) „Mój pamiętnik“, str. 70.
[2]) Tamże str. 68, 69.

stantego Słotwińskiego, dyrektora Zakładu nar. im. Ossolińskich i śmierci jego żony, o uwięzieniu i śmierci Maurycego Gosławskiego, którego poezye umiała młodzież na pamięć, wreszcie o skazaniu Zaliwskiego na dwadzieścia lat więzienia, a Słotwińskiego na lat ośm. Gdy d. 25 lutego 1837 odczytywano Zaliwskiemu i towarzyszom te wyroki pod pręgierzem, wzburzenie we Lwowie było powszechne, [1]) a tegoż roku, w rocznicę powstania listopadowego dwunastoletni Zygmunt, siedząc wieczorem w teatrze, w loży Aleksandra Fredry, był świadkiem głośnej demonstracyi, gdy z galeryi rozrzucono wiersze, wymierzone przeciw br. Kriegowi i br. Langenau, wskutek czego zarządzono znowu liczne rewizye. „Fakt ten — jak powiada sam Kaczkowski — sprawił na młodzież prawie odurzające wrażenie, bo zaraz nazajutrz rozeszły się wieści, że lada dzień rewolucya wybuchnie.“ [2]) — Rozgorączkowane umysły młodzieży utrzymywała w naprężeniu nieustająca propaganda agitatorów. Ogniskami tej propagandy były niektóre domy tak na prowincyi, jak szczególnie we Lwowie, licznych przyjmujące gości.

P. Ignacy Kaczkowski, ów realnie, zdaniem Korotyńskiego, myślący obywatel, nie mógł chyba nie widzieć niebezpieczeństwa takiego wpływu na umysł swego zaledwie z lat dziecinnych wyrastającego syna. Pomimo to jednak sam wprowadził go do jednego z takich domów, niejakiej pani R. W „Pamiętniku“ swym [3]) Kaczkowski nazwisko tej damy oznacza tylko początkową literą. Z niedrukowanych wszakże jego notatek [4]) dowiadujemy się, że nazywała się ona: Rożańska. Mieszkała w odludnym dworku, zwanym „pałacykiem“, pod górą Wronowskich. Była wdową po majorze, czy pułkowniku wojsk napoleońskich i miała cztery córki. W dzień przyjmowała „wyższe“ towarzystwo, wieczorem zaś zbierali się tam sami literaci, emisaryusze i najrozmaitszego rodzaju spiskowcy. P. Ignacy wprowadził tam syna, jakoby z obowiązku, „bo to, jak mówił, nasi krewni, ale ty nie potrzebujesz tam by-

[1]) Stan. Schnür-Pepłowski „Z przeszłości Galicyi“, Tom II. rozdział VIII. „Partyzanci“, str. 62.
[2]) „Mój Pamiętnik“, str. 88, 89.
[3]) str. 90.
[4]) Notatki p. t. „Pol“ mieszczą taki ustęp: „Obaczyć, czy się nie da opowiedzieć historya domu p. Rożańskiej, a przy niej spiski ówczesne. Cięglewicz, Józef Borkowski, Goszczyński itd.“ Ms.

wać, bo to nie dla studenta kompania i twoja babka bardzo by się na to oburzyła".

Ta babka, Maryanna z Bylczyńskich Józefowa Kaczkowska, odgrywała snadź niepoślednią rolę w ognisku domowem. Wnuk pisze o niej: „Miała ona swoje zdania o ludziach i stała przy nich, jak mąż wykuty z żelaza" [1]) Musiała też być obdarzona niezwykłą energią i umiała prowadzić całe wiejskie gospodarstwo, to też p. Ignacy oddając synowi w posiadanie nabytą Bereźnicę, opiekę nad nim i nad gospodarstwem poruczył swej matce, która też w Bereźnicy zamieszkała. „Mieszkam na ustroniu i tylko swojem gospodarstwem się zatrudniam" — mówi ona o sobie, zeznając jako świadek w procesie z r. 1846. [2])

Nie lubiła ona owych pań Rożańskich, a ojciec, wprowadzając tam Zygmunta, był widocznie przekonany, że na tej jednej wizycie się skończy. Stało się jednak inaczej, bo nauczyciel Zygmunta, Różycki, zakochał się w jednej z panien Rożańskich i często odtąd prowadził tam swego pupila. Zygmunt spotykał wprawdzie w tym domu uczonych i literatów, jak Józefa Borkowskiego, Augusta Bielowskiego, Dominika Magnuszewskiego, a także Pola, lecz i emisaryuszów jak Goszczyński, Henryk Dmochowski, Leon Zaleski, Napoleon Nowicki i Kasper Cięglewicz. Bywały na tych zebraniach także kobiety „sfanatyzowane ideą męczeństwa", jak zaznacza w swym „Pamiętniku" Kaczkowski. Rozprawiano tam żywo, agitowano; Pol deklamował ustępy z „Pieśni o ziemi naszej", albo z „Obrazów z życia i podróży", wówczas jeszcze niedrukowanych. Dowcipy Nereusza Hoszowskiego i Ignacego Komorowskiego, a także humor Pola, rozweselały te zebrania, mające jednak głównie charakter agitacyjny.

Nawiasem należy tu wtrącić, że wedle relacyi Kaczkowskiego, Wincenty Pol żył podówczas w najściślejszych stosunkach z przywódcami ruchu rewolucyjnego, co jest w stanowczej sprzeczności z innemi relacyami [3]) jakoby Pol wysyłany był przez grono rozważnych obywateli za kordon, aby przestrzegał przed niewczesnymi porywami. Wedle Kaczkowskiego, Pol o wiele później dopiero powstawać począł przeciw agitacyi demokratycznej.

Wreszcie z końcem roku szkolnego 1838 spostrzegł p. Ignacy Kaczkowski, że dotychczasowy system wychowania syna nie był odpowiedni, że studenci lwowscy zanadto zajmowali się propagandą polityczną i konspiracyami. Zabrał więc Zygmunta ze Lwowa i przewiózł do Przemyśla, gdzie go umieścił pod opieką krewnych, państwa Wolskich. I znowu trafił niefortunnie. Stary Wolski był zdzieciniałym starcem; zdawało mu się, że za młodu brał udział w wyprawie wiedeńskiej. Zięć jego Wagner, pomimo niemieckiego brzmienia nazwiska, szlachcic polski herbu Lew, wysoko ceniący swoje szlachectwo i koligacye rodowe, a przytem żołnierz napoleoński, opowiadał bałamutnie o swoich wyprawach wojennych, a na młodzieńca wywierał taki wpływ, że już dawno rozbudzoną w nim żyłkę „arystokratyczną" jeszcze bardziej podniecił. — Podówczas w Przemyślu młodzież nadawała ton miastu i wytwarzała gorącą atmosferę patryotyczną i opozycyjną, co się przedewszystkiem na zewnątrz objawiało w stroju. Noszono czamarki z szarego żaglowego płótna, zwane kitlami, jako znak patryotycznych uczuć. Stary Wagner umundurował też tak siebie i Zygmunta, ale jako dystynkcyę szlachecką kazał owe kitle podbić podszewką karmazynową. To naraziło Zygmunta na szyderstwo kolegów i takie prześladowania, że podszewka karmazynowa musiała zniknąć. — Tyle o tym epizodzie pisze w swym „Pamiętniku" Kaczkowski.

Karol Estreicher, nieprzychylny mu widocznie, zostawił o nim kilka uszczypliwych i niekorzystnych wzmianek rękopiśmiennych, a o epizodzie tym taką podaje relacyę:

„Gdy był studentem w Przemyślu, studenci wyrzekali się szlachectwa, nosili grube laski i jednostajny ubiór, prosty, szary. Kaczkowski jeden pysznił się swojem eleganckiem ubraniem. Raziła kolegów jego ponsowa podszewka pod surdutem. Uważano to za oznakę karmazyna. Kazano mu wyrzec się szlachectwa i podszewki. Gdy odmówił, rozłożono go na ławie i koledzy sypali kolejno plagi. Jeden Zachariasiewicz bronił go. Po plagach jednak zniknęła czerwona podszewka." [1])

Jeżeli zamiarem ojca było uchronić syna przed duchem spiskowym i rewolucyjnym, to snadź nie znał ludzi i stosunków, skoro go umieścił w Przemyślu, wśród młodzieży, konspirującej ustawicznie, a pod opieką takiego Wagnera i nauczyciela Liskowackiego, którzy prowadzili młodzieńca o świcie na most kryty na Sanie i tam w gronie innych studentów przypatrywali się jak

---

[1]) „Mój Pamiętnik", str. 92.

[2]) Akta sądowe z r. 1846. Protokół z 5 września.

[3]) Stan. Schnür-Pepłowski „Z przeszłości Galicyi (1772—1862)", str. 49.

[1]) K. Estreicher. Ms.

transportowano pod bagnetami na odkrytych wozach skazańców politycznych. Młodzież wołała ku nim: „Nie bójcie się! My z wami! Jeszcze Polska nie zginęła!“ — Czytanie książek zakazanych i śpiewanie pieśni patryotycznych, było treścią „spisków“ młodszych studentów; starsi, wraz z żołnierzami stojącego podówczas załogą w Przemyślu pułku Mazzuchelli, zawiązywali poważniejsze konspiracye, których jaskrawym objawem był zamach skrytobójczy, spełniony d. 18 grudnia 1839 r. na starszego komisarza policyi Gutha [1]) przez studenta Justyna Begejowicza.

Ów Begejowicz, o lat parę starszy od Zygmunta, był z nim w jednej klasie, a wśród kolegów otaczał go pewien urok. szeptano bowiem sobie, że należał do spisków. Zamach na Gutha okazał się nie groźnym. Ledwo draśnięty nożem, Guth wyszedł niemal bez szwanku, a po wyleczeniu został przeniesiony z Galicyi. I byłaby może cała sprawa skończyła się na niczem, Begejowicza bowiem ująć nie zdołano, gdyby nie „przypadek“, jak pisze Kaczkowski. [2]) Przypadek ten opisuje szczegółowo Schnür-Pepłowski. [3]) Ukończony prawnik Ludwik Wilhelm, aresztowany w Leżajsku, wskutek zdrady pewnego urlopnika, okupił swą wolność wyjawieniem całej organizacyi związku pod nazwą: „Synów Ojczyzny“, do którego to związku należał także przywódca młodzieży przemyskiej Edward Bajer. Dochodzenia wykazały istnienie organizacyi spiskowej wśród stacyonowanego w Przemyślu pułku Mazzuchelli. Fakt ten zaostrzył mocno sytuacyę, a pogorszyło sprawę zeznanie Józefa Pragłowskiego, podoficera rzeczonego pułku. Bojąc się, jako wojskowy, surowej odpowiedzialności, Pragłowski wykrył wszystko staroście przemyskiemu Czetschowi von Lindenwald. Sam Krieg zjechał do Przemyśla. Rozpoczęły się gromadne aresztowania. Oprócz licznych wojskowych, dostali się podówczas między innymi do więzienia z młodzieży szkolnej: wspomniany Bajer, który jednak zdołał umknąć w przebraniu kobiecem na Węgry, ów Justyn Begejowicz, sprawca zamachu na Gutha, Bąkowski Feliks, Chrząstowski Edward, Cięglewicz Kasper, Czajkowski Erazm, Fabry Franciszek, Janiszewski Wiktor, Miłaszewski Stanisław, Nowa-

[1]) Guth był w r. 1836 dyrektorem policyi w Krakowie i wsławił się tam barbarzyńskiem postępowaniem z więźniami politycznymi i wymyślaniem fantastycznych spisków. Przeniesiony wskutek tego do Przemyśla, nie zmienił trybu postępowania. (Patrz Stan. Schnür-Pepłowskiego „Z przeszłości Galicyi“, str. 111).

[2]) „Mój Pamiętnik“. str. 105.

[3]) „Z przeszłości Galicyi“, str. 111 i nast.

kowski Henryk, Szumski Ksawery, Sochański Edward, Ziemiański Wawrzyniec i najbliższy przyjaciel Zygmunta Jan Zachariasiewicz, liczący wówczas lat piętnaście, nie bardzo silny na zdrowiu i o zamachu zupełnie nic nie wiedzący [1]).

O tych zajściach pisze Jan Zachariasiewicz w liście do Kaczkowskiego z d. 6 listopada 1889: „Begejowicza widziałem w r. 1863 czy 64. Był u mnie we Lwowie. Chłop setny, był dzierżawcą za Wisłą. Karmił powstańców i miał urząd rządu narodowego. „Gazeta Narodowa“ niedokładnie pisała o spiskach. Zdaje mi się, że i mnie umieściła między tymi co Guta mieli zabić. To nieprawda. My o tem wtedy nic nie wiedzieli, ani nawet do polityki jeszcze się nie mieszali. Bajer zawezwał trzech poufnych swoich a między nimi był i Begejowicz. Ciągnęli losy i los padł na Begejowicza. Myśmy dopiero o fakcie dowiedzieli się nazajutrz“ [2]).

Był to prawdziwy dzień sądny w Przemyślu, który trwał cały tydzień — opowiada Kaczkowski. — Nikt nie śmiał pokazać się na ulicach, przez które przeciągały tylko patrole wojskowe z najeżonymi bagnetami, prowadzące uwięzionych. Przez kilka nocy nikt oka nie zmrużył, modlono się i jęczano, kobiety zanosiły się od płaczu i mdlały.

Mały Zygmunt nie uniknął podejrzenia. Nie uwięziono go wprawdzie, lecz internowano w mieszkaniu i zażądano od ojca poręczenia, że chłopiec nie ucieknie, a gdyby w śledztwie cokolwiek przeciw niemu się okazało, natychmiast się zjawi. — Ignacy Kaczkowski niezwłocznie przybył do Przemyśla, lecz wszelkie jego zabiegi u starosty Czecza i sędziego śledczego nie byłyby się na wiele przydały, gdyby nie interwencya profesorów gimnazyalnych Sanowskiego i Merwartha. Protekcyę tę zawdzięczał Zygmunt swej umiejętności języka łacińskiego, nabytej w domu Wolskich, gdzie wielu księży bywało i wprawiało chłopca w mówienie po łacinie. Zygmunt też nabył takiej w tym języku wprawy. że napisał był *ex propria diligentia* łacińską rozprawę o Cyceronie, która zasłużyła sobie na wyjątkową pochwałę wymienionych profesorów i którą głośno w klasie czytano.

Ta rozprawa łacińska, to był pierwszy utwór późniejszego pisarza polskiego.

Na wstawienie się tych profesorów, pozwolono ojcu zabrać syna do domu, ale z obowiązkiem dostawienia go do Przemyśla

[1]) „Mój Pamiętnik“, str. 104 i nast.

[2]) Ms.

UNIWERSYTET WARSZAWSKI BIBLIOTEKA Filia w P-siołu

na każde wezwanie. Było już wszakże rzeczą postanowioną, że w razie takiego wezwania, młodzieniec miał umknąć na Węgry, gdzie ojciec miał przyjaciół, gotowych przygarnąć zbiega. Wezwanie nie przyszło, a potrzeba było przecież szukać dla chłopca innego, spokojniejszego gimnazyum.

Wybór padł na Sambor, gdzie opiekun i główny kierownik wychowania Zygmunta, ks. Żegiestowski, umieścił go w domu niejakich pp. Herringów, wśród protestanckiej rodziny szwajcarskiej, gdzie mówiono tylko po francusku i niemiecku. Nauczycielem Zygmunta, który dwa razy na tydzień udzielał mu korepetycyj przedmiotów szkolnych i dawał lekcye religii, był ksiądz Ocharski, katecheta. Drugi nauczyciel nazywał się Hermanowicz, rusin; postać niezmiernie typowa. Za młodu kleryk w Wiedniu, uciekł z seminaryum do legionów polskich we Włoszech, służył następnie przez długie lata w wojskach francusko-polskich a w listopadowem powstaniu został oficerem. Dawał Zygmuntowi lekcye języków francuskiego i włoskiego i bawił go anegdotami z czasów legionów i wojen napoleońskich.

Atmosfera w Samborze była zgoła od przemyskiej odmienna. Miasto to zaludnione przez Niemców i żydów, nie posiadało ani jednej rodziny, któraby przechowywała tradycye polskie. Studenci mówili między sobą po niemiecku, rusińsku, a nawet żargonem żydowskim. Wśród nich snuło się już tylko mgliste wspomnienie jakiegoś spisku o charakterze polsko-rusińskim, zawiązanego przed kilku laty przez Cięglewicza i Michała Popiela; zresztą w dobie przybycia Zygmunta ani śladu polskiego ruchu. Z kolegów jedynym wybitniejszym był Mikołaj Zyblikiewicz, późniejszy Marszałek krajowy, ubogi syn kuśnierza z Nowego miasta, chodzący w kożuszku, cichy, spokojny i dobry kolega. Żył on tylko z synami ruskich księży, mówił z nimi po rusku i rzeczami polskiemi zgoła się nie zajmował[1]).

W takiem otoczeniu i pod ścisłym rygorem szkolnym, nic dziwnego, że było duszno młodzieńcowi, nawykłemu do innych wrażeń i drażniącej atmosfery konspiracyjnej. Nawet książek polskich w Samborze nie było, — Zygmunt czytywać musiał, i to ukradkiem, stare romanse niemieckie. Osamotniony i rozgoryczony napisał on wówczas „z nudów“ — jak twierdzi — wiersz satyryczny na wszystkich swoich kolegów. Wiersz napisany był makaronizmami ze wszystkich znanych mu języków, a kończył się we-

[1]) „Mój Pamiętnik“, str. 113.

zwaniem kolegów, aby wbrew władzom szkolnym budzili w sobie narodowego ducha i żyli życiem polskiem. — Stała się z tego ogromna awantura. Zygmunt, skazany na ośmiodniowy areszt domowy, nie dochował go, — poddany pod sąd ponowny, musiał przez cztery czwartki odsiadywać trzy godziny w areszcie szkolnym. — To dopełniło miary i Zygmunt napisał drugą satyrę po niemiecku i po łacinie, tym razem wymierzoną już przeciw profesorom. — Satyra ta — trzeci z rzędu utwór literacki Zygmunta — ściągnęła na niego najdotkliwszą karę: wydalono go z gimnazyum samborskiego.

Na tem skończyły się publiczne studya szkolne Zygmunta. Uczył się on dalej w domu rodziców, pod kierunkiem ks. Żegiestowskiego, przeplatając naukę jazdą konną, ćwiczeniami szermierskiemi i gimnastycznemi, wreszcie dalekiemi wyprawami w góry, polując na sarny, jelenie i dziki. Mistrzami Zygmunta w ćwiczeniach szermierskich i gimnastycznych byli przebywający w domu rodziców emigranci. Z nimi też w dni słotne czytywał emigracyjne wydawnictwa i dzienniki, — nie wychodził zatem z tej atmosfery gorącej, jaka go owionęła w Przemyślu.

Wreszcie w sierpniu 1841 r. zawiózł p. Ignacy syna do Tarnowa, dla skończenia szóstej (naówczas ostatniej) klasy gimnazyalnej i umieścił go u adwokata Rudrofa. Mieszkał podówczas w Tarnowie, w dworku własnym, rodzony brat babki Zygmunta, Jan Dęboróg Bylczyński, już podówczas sędziwy, a podobno zamożny. Dla pozyskania też snadź jego względów nastąpiło to umieszczenie Zygmunta w gimnazyum tarnowskiem. Była to już czwarta czy piąta z rzędu translokacya szkolna młodzieńca, oczywiście dla nauki systematycznej niezbyt korzystna. Zapewne też nie bardzo korzystnymi dla młodego umysłu były przykłady domu owego starca Bylczyńskiego. Wiedząc o tem energiczna babka Zygmunta, owa niewiasta, która wedle słów wnuka, obstawała przy swojem zdaniu, jak mąż wykuty z żelaza, sprzeciwiała się bliższym stosunkom ze swoim bratem, któremu zarzucała obyczaje cudzoziemskie i nieporządek w życiu. Jednakże Zygmunt, pomimo tych zastrzeżeń babki, podobnie jak przedtem u owej pani Rożańskiej, bywał często w domu swego wujecznego dziada, gdzie uczęszczała cała szlachta tarnowska, gdzie jadano i pito wybornie, a wieczorami, do późnej nocy, często do wschodu słońca, grywano w karty. Dziadek gniewał się na wnuka, że grać nie chciał, czy nie umiał,

ale to go nigdy nie nęciło, jak pisze w swoim „Pamiętniku“ [1]) i nauczywszy się wreszcie w wista, grał zawsze haniebnie.

Nie pozostało to jednak bez zgubnego wpływu. A chociaż Kaczkowski nawet w ostatnich latach swego życia, bo w liście do pani Ksawerowej Liske [2]) z d. 12 grudnia 1890, protestując przeciwko czynionym mu zarzutom, utrzymuje, że: „Gry w karty nigdy nie znał i do dziś dnia jej nie zna“, — to wszakże, jak to później jeszcze obaczymy, nie braknie świadectw współczesnych, że namiętnie grywał, i że to nawet stało się powodem, przykrej bardzo w następstwach, awantury w Krakowie.

W każdym razie, o ile stosunki ze szlachtą okoliczną, bywającą w domu dziadka, — (Kaczkowski w „Pamiętniku“ swym wymienia pięknie brzmiące nazwiska: Reyów, Tyszkiewiczów, Rogalińskich, Jordanów itp.) — podniecały wrodzoną próżność młodzieńca, o tyle wśród kolegów gimnazyalnych znalazł się znowu pod takimi samymi, jak w Przemyślu, wpływami. Agitował tam już podówczas wśród młodzieży Franciszek Wiesiołowski, przygotowując wybuch z r. 1846, a także zapalony anarchista Gosslar.— Tu znowu p. Ignacy Kaczkowski, jakkolwiek niby „trzeźwo“ myślący, nie okazał się ani oględnym, ani przezornym. Sam bowiem zalecił synowi, aby utrzymywał stosunki przyjaźne z Franciszkiem Wiesiołowskim, który zawiązywał naówczas różne spiski wśród młodzieży, a Zygmuntowi dostarczał książek, przepojonych duchem rewolucyjnym.

Znamienną jest pod tym względem, cytowana w „Pamiętniku“ [3]) rozmowa Wincentego Pola z młodym Zygmuntem. Pol przemieszkiwał wówczas u XX. Sanguszków w Gumniskach i już wtedy począł hołdować znacznie trzeźwiejszym zapatrywaniom, niż wówczas, gdy go widzieliśmy deklamującego w domu pani Rożańskiej we Lwowie. Od czasu owych licznych aresztowań w latach poprzednich i przypatrzywszy się następnie propagandzie rewolucyjnej, Pol zaczął z niedowierzaniem, a nawet z niechęcią, spoglądać na działania spiskowe. Postępowanie i zasadę Wiesiołowskiego: „Wszystko dla ludu i wszystko przez lud“, — stanowczo potępiał, sam bowiem był wyznawcą zasady: „Wszystko dla ludu, lecz nie przez lud“. Książki, dostarczane przez Wiesiołowskiego nazywał „zarazą“, a już nie miał dość silnych słów na potępienie anarchistycznych knowań kolegi Zygmunta z szóstej klasy, Juliana Gosslara, który tworzył „kółka“ studentów i niby wykładał im teorye filozoficzne Libelta i Trentowskiego, głównie zaś, w przebraniu chłopskiem, snuł się po wsiach i miasteczkach, szerząc propagandę rewolucyjną. Był to typ „emisaryusza“ i propagatora nie patryotyzmu polskiego, lecz anarchistycznych teoryj międzynarodowych [1]).

[1]) str. 137.
[2]) późniejszej Władysławowej Łozińskiej. Ms.
[3]) str. 127 i nast.

„To nie Gosslary zbawią Ojczyznę! — wołał wówczas Pol, — to trucizna komunistyczna; on zawiązuje kółka pomiędzy wami, burzy was przeciw szlachcie, uczy was teoryj komunistycznych i wszechwładztwa ludu!“ Gosslar miał przytem zwyczaj rozsyłania listów bezimiennych i dręczył nimi Pola, co go w najwyższym stopniu oburzało.

Ten pobyt w Tarnowie pod każdym względem był niekorzystny dla Zygmunta. Zarówno owe karciane wieczory u dziadka, jak stosunki z Wiesiołowskim i Gosslarem musiały wprowadzać w dziwny zamęt duszę młodzieńca. Z jednej strony widok łatwego a lekkomyślnego życia, z drugiej, podniecające uczucia i wyobraźnię wpływy teoryj rewolucyjnych, utrzymywały tę duszę w ciągłym rozstroju. Do tego przyłączyły się jeszcze dwa ujemne wrażenia: niemal nagła śmierć dziadka Bylczyńskiego, która przeraziła umysł młodzieńczy,— i gorszący przykład grabienia puścizny po zmarłym przez niesumiennych jego dłużników. Po raz pierwszy był Zygmunt świadkiem, jak ludzie z pozoru przyzwoici i wykształceni, popełniali oczywistą zbrodnię, niszcząc rachunki, listy i obciążające ich kwity. Całymi koszami wynosili papiery do kuchni, darli je i palili. [2]) — Miało to ten skutek, że młodzieniec odosobnił się i zamknął w sobie pod fatalnem wrażeniem, że otaczają go sami złodzieje i oszuści.

We dwa miesiące potem skończył Zygmunt klasę szóstą i w r. 1843 znalazł się znowu we Lwowie, jako słuchacz filozoficznego fakultetu.

Co wynosił ze studyów gimnazyalnych? Prawdziwej nauki, ciągle przerywanej i w rozmaitych zakładach naukowych czerpanej bez systemu, zapewne nie wiele. Natomiast trochę języka francuskiego, nieco angielskiego i włoskiego, z lekcyj pobieranych prywatnie, zamawianych przez ojca osobno, a podzielanych z młodzieżą wyższą urodzeniem, majątkiem i stanowiskiem rodziców. Angiel-

[1]) Trzykrotnie skazywany na śmierć, stracony został wreszcie w Wiedniu 1852 r.
[2]) „Mój Pamiętnik“, str. 192 i nast.

skiego języka uczył się Zygmunt w 3 klasie gimnazyalnej razem z Władysławem Drohojowskim i Ignacym Cywińskim, włoskiego z Leonardem i Eustachym braćmi Pinińskimi. Czynił to p. Ignacy Kaczkowski niby dlatego, aby zaradzić jednostronności ówczesnego wychowania szkolnego, w rzeczywistości zaś tego rodzaju „wyodrębnianie“ syna w towarzystwie bogatych kolegów, rozwijało tylko w młodzieńcu znaną już nam żyłkę próżności, która wprowadzała rozstrój w jego istotę duchową. To też później, mieszkając już od lat wielu na obczyźnie, zanotował z goryczą:

„Słuchać nie umiałem, rozkazywać nie mogłem. Dlatego wysłużywszy dwudziestoletnią kapitulacyę i otrzymawszy przysądzoną nagrodę, postanowiłem zamieszkać za granicą.“ [1]).

Z drugiej strony spiskowa atmosfera, która go otaczała, zwłaszcza w Przemyślu i Tarnowie, wpływ takich ludzi, jak Fr. Wiesiołowski i Gosslar, potęgowały ten rozstrój, lecz w wręcz przeciwnym kierunku. Dusza młodzieńca, wśród tych krańcowych prądów, usiłowała utrzymać równowagę, oczywiście napróżno. Przechylała się ustawicznie to na jedną, to na drugą stronę, łudząc się, że wyrabia sobie samoistny sąd o ludziach i sprawach.

W ostatnich latach życia pisał o sobie Kaczkowski:

„Mam własną mennicę duchową, z której myśli moje wychodzą z moim własnym stemplem, którego trudno nie poznać.“ [1]) — Zdanie to o tyle jest słuszne, o ile idzie o indywidualność odrębną pisarza. Człowiek, którego lata dziecięce i młodzieńcze upłynęły wśród tak sprzecznych prądów, nosił zawsze na sobie stempel tych sprzeczności, chociaż mu się zdawało, iż ma „własną mennicę duchową.“

Pod tym względem niezmiernie charakterystyczne są zdania Kaczkowskiego o spiskach, — zdania pozostawione w notatkach do nienapisanego nigdy w całości i niewydanego II tomu „Teki Nieczui“. Wyhodowany w atmosferze spisków, bronił do końca ich istoty i charakteru.

Oto, co czytamy w tych notatkach:

„Ktokolwiek ze Stańczykowskich pisarzy, dyletant, czy „xiążę pióra“, Kalinka, Tarnowski, czy Koźmian, pisze przeciwko spiskom, zapomina o dwóch rzeczach. Naprzód o temperamencie narodu. Temperament jest wynikiem sposobu żywienia się, obyczajów domowych i publicznych i wiekowych tradycyj. Człowiek umiejący

[1]) Z notat. o Poln. Ms.
[2]) Ms.

panować nad swoim temperamentem już jest wyjątkiem; narodu, panującego nad swoim temperamentem, jeszcze nigdy nie było na świecie. Temperament nie da się zmienić; nikt nie zrobi flegmatyka z Francuza i Włocha, ani sangwinika z Niemca. Największe narodowe nieszczęścia mogą temperament narodu tylko na jakiś czas przygłuszyć, ale zmienić go nie zdołają. Wielka rewolucya z końca XVIII w. mogła tylko we Francyi wybuchnąć i taka sama rewolucya może jeszcze raz kiedyś wybuchnąć; nie wybuchnęła i nigdy nie wybuchnie w Niemczech. Potrzeba było wielu wieków niewoli na to, ażeby Serbowie i Grecy zatracili w sobie rycerskie tradycye swych dziadów, lecz Czesi, wybici niemal do nogi pod Białą Górą, kiedy się po dwóch wiekach ze snu ocknęli, pokazali się światu z temi samemi wadami temperamentu, które były powodem owego pogromu. Polacy mieli to do siebie, że zawsze chodzili wielkiemi drogami. Ich temperament czynił ich niezdolnymi powolnego zmierzania pracą do pewnych celów. Wielkie wojny Chrobrego, wybicie całej Polski z podziałów za czasów Łokietka, przez całe wieki trwające wyprawy na Turcyę, obrona Rzeczypospolitej od kilku najazdów w w. XVII, rozsadzające wewnętrzny układ państwowy rokosze magnatów, namiętna obrona szkodliwej dla państwa indywidualnej wolności, konfederacya barska, insurekcya Kościuszkowska, legiony, zapełnianie polską młodzieżą armii napoleońskiej, listopadowe powstanie, wszystko to było dziełem temperamentu. A jeżeli po tem powstaniu, tak emigracya, jak i cała Polska rzuca się w spiski, których celem jest odtworzenie Polski od morza do morza, to to jest także dziełem temperamentu, opierającego się na wiekowej tradycyi. Bardzo to powierzchowny historyk, który w tych spiskach widzi tylko głupotę indywiduów, albo jakiejś sekty i t. d. (Towarzystwo demokr. i Hotel Lambert zgodne z sobą w ostatecznym celu.)“

„A powtóre, spiski oddały narodowi wielką przysługę. Czem była Polska po r. 1895 (sic! zapewne: 1795). Ze spisków powstały legiony. Gdyby nie legiony etc. Temperament zaprowadził Polaków w armię napoleońską. Gdyby tej armii nie było, nie byłoby ani X-twa Warszawskiego, ani Królestwa Kongresowego. Listopadowe powstanie było koniecznością. Czem była Warszawa, czem było Królestwo za Paszkiewicza? Czem była wtedy Galicya? Gdyby nie spiski, Polacy byliby się zwolna przerobili na Moskali, Prusaków i Austryaków, przesianych katolikami, wiernymi synami Kościoła, ale bez ojczyzny. Rok 1846 był szaleństwem, ale dopiero on wypróżnił z Polaków salony Arcyksięcia i Kriega i obudził patryotyzm

w szerokich warstwach. — Jeszcze w r. 1848 byli ludzie uchodzący za patryotów, ale dający pierwszeństwo liberalizmowi przed patryotyzmem, (Bajką jest, że Emigracya wywołała r. 1846. Heltman a nawet Mierosławski byli zrazu przeciw powstaniu. Powstanie wywołał w Wielkopolsce Komitet poznański, a w Galicyi Fr. Wiesiołowski. Czytać Pamiętnik Fr. Wiesiołowskiego, napisany z mojej namowy.). — Rok 1863 jest dziełem Mierosławskiego, któremu nie umieli oprzeć się Biali, a rozszerzenie powstania do krajów zabranych, dziełem dyplomacyi polskiej. Kto więcej krwi przelał, czy spiskowcy, czy dyplomaci? niech badacz historyk odpowie na to pytanie."

„Dlaczego piszą o spiskach ci, którzy się sami do tego przyznają, że spiskowców wcale nie znali? Czy ma prawo sądzić spiski ktoś taki, który nie ma o nich żadnego wyobrażenia?"

„Czem były spiski? — pyta Kaczkowski w dalszym ciągu. — Wejdźmy w głąb rzeczy. Żaden spisek, których były całe setki od r. 1820 do 1863, nie został od razu zawiązany w celu zbrojnego powstania. Jedne z nich wiązały się w celu czytania xiążek zakazanych i utrzymywania patryotyzmu, a drugie w celu skoncentrowania oporu przeciwko tym, którzy się wyparli idei niepodległości i pokrywali swoje odstępstwo rzekomym zamiarem utrzymywania bytu narodowego w kajdanach. Ten ostatni charakter spisków objawiał się zawsze bądź wierszykami, rozsiewanemi po kraju, a wymierzonemi przeciwko tym, którzy, obwieszawszy swe piersi orderami i tytułami zaborów, ślizgali się po posadzkach W. Xięcia w Warszawie i Arcyksięcia we Lwowie; bądź broszurkami i artykułami dziennikarskiemi. Wszystkie spiski, nie wyjmując Karbonaryuszów z przed r. 1831, aż do pierwszych zawiązków spisków z przed r. 1863, wymagały tylko od odstępców zachowania narodowej godności. Były wprawdzie z emigracyi dążenia do zbrojnego powstania, ale pomiędzy spiskowcami był zawsze przeciw nim opór, — i gdyby ci, którzy szukali bytu narodowego w kajdanach, zamiast uciekać się pod skrzydła rządów zaborczych przed spiskowcami, byli przeciwnie szukali porozumienia ze spiskowcami, toby powstań nie było. Gdyby przed r. 1846 obywatele sami, miłujący ojczyznę i mający zasłużoną a nie skompromitowaną powagę, byli się zbliżyli w Galicyi do Franciszka Wiesiołowskiego, a w Xięstwie do Libelta, Heltmana i Stefańskiego i z miłością im przedstawili, na jakie niebezpieczeństwa narażają kraj, dążąc do powstania, toby roku 1846 nie było. To samo byłby potrafił Andrzej Zamoyski przed r. 1863, nie wspominając już o Wielopolskim, którego psim obowiązkiem było pierwej próbować porozumienia i zgody, nim wypowiedział wojnę na noże. Ale takich usiłowań ze strony wielbicieli bytu narodowego w kajdanach nigdy nie było. A dzisiaj co? Znowu to samo. W Galicyi są widoczne dwa prądy, obydwa umiarkowane. Prąd patryotyczny zgadza się na kompromis, który jest koniecznością, ale nie chce kapitulacyi, — prąd drugi, przyznający się do jakiegoś nieokreślonego, zresztą niedorzecznego, patryotyzmu politycznego, zamiast porozumieć się z tamtym prądem i dojść do zgody, ogłasza kapitulacyę, a czując, że dla takiego programu nie ma ziemi pod swojemi stopami, szuka dla siebie oparcia w Wiedniu, Berlinie i Petersburgu. I gotów jest nawet do denuncyacyi, którą nazywa „szlachetną". Zaczął od wojny przeciwko swoim w r. 1869, tę wojnę prowadził, mniej więcej skrycie, przez lat 25, a teraz wydaje ją przy kotłach i bębnach. Jaki będzie koniec tej wojny? Koniec wiadomy, bo konserwatyści zawsze uciekli. Zamącić, zawichrzyć, społeczeństwo rozdwoić, swobodny rozwój pracy powstrzymać, oświatę ludu opóźnić, — a kiedy duch narodu się zniecierpliwi i stanie oporem, poddać mu się i popierać powstanie z za pieca, albo dać nura gdzieś za granicą, oto ich rola. Od r. 1794 nic się w tem nie zmieniło."

W dalszym ciągu swych notatek, Kaczkowski posuwa się aż do twierdzenia, że: „moralność spisków była idealnie czysta", a to, zdaniem jego, z powodu, że „miała ideał: niepodległość narodu", albowiem „ideał niepodległości jest jedynym puklerzem przeciw niemoralności politycznej"[1]).

Z tych wywodów, w podeszłym już wieku kreślonych, a których tendencyjność i paradoksalność same rzucają się w oczy, okazuje się, że wpływy atmosfery, którą oddychała niegdyś pierś młodzieńca, przetrwały do późnej starości, a może odżyły w chwili, gdy oko starca zwracało się z utęsknieniem do lat dzieciństwa i młodości. Co prawda, zdania te padały w ferworze polemiki ze stronnictwem konserwatystów krakowskich, t. zw. „Stańczyków", — wszakże ton ich i cała argumentacya świadczą, że wynikały bądź co bądź z przekonania autora i są najlepszym dowodem owego rozstroju, wywołanego w jego duszy sprzecznymi prądami konserwatyzmu szlacheckiego z jednej a spiskowych knowań z drugiej strony. Przechylała się ta dusza raz na tę, to znów na przeciwną stronę i co chwila traciła równowagę, a to wywoływało nieraz sprzeczność teoryi z praktyką, słów z czynami.

---

[1]) Notatki do II. Tomu „Teki Nieczui". Ms.

W chwili przybycia Zygmunta na studya uniwersyteckie do Lwowa, duch. panujący wśród młodzieży, był już szczerze polski i patryotyczny. Po czasach owego „bezduchu“ nastąpił przełom. Przedostawały się tu silne prądy romantyczne, czytywano pilnie publikacye, pełne wolnomyślnych idei, już nie tylko z Paryża, lecz i z Księstwa Poznańskiego, gdzie literatura polska była w pełnym rozwoju. Literatura ta miała już i w Galicyi swych przedstawicieli w osobach takich pisarzy, jak August Bielowski, Wincenty Pol, Szajnocha, Józef i Leszek Borkowscy, Dzierżkowski, Wagilewicz. — Wśród młodzieży nie było wprawdzie spisków, ale tworzyły się rozmaite odrębne kółka, różniące się między sobą stopniem temperatury uczuć patryotycznych, lecz na wskróś polskie, a nierzadko tchnące duchem rewolucyjnym.

„Pamiętnik“ Kaczkowskiego nie daje dostatecznych podstaw do oznaczenia, czy i do jakich kółek Zygmunt należał. To wszakże zdaje się być rzeczą pewną, że uczestniczył w tej frakcyi, którą nazywano heglistami, bezbożnikami i libertynami. Stało się to niewątpliwie pod wpływem zawiązanej w tym czasie ścisłej znajomości z profesorem filozofii Hanuschem, który propagował zasady Hegla, nadając im o wiele wolnomyślniejszy kierunek. Obcowanie z tym profesorem i jego wykłady, zwłaszcza nadobowiązkowe, w rozmowach prywatnych, nie mogły pozostać bez wpływu na umysł Zygmunta, zarówno jak stosunki z estetykiem profesorem Bratrankiem i dyskusye z nim o dziełach Goethego, Schillera i Jana Pawła Richtera.

Teraz na prawdę zaczęły się dla Kaczkowskiego studya poważne, a to tembardziej, że mieszkając społem z kolegą Leopoldem Rossowskim, chciwym wiedzy, poszedł za jego przykładem i nie ograniczając się na słuchaniu wykładów na Wszechnicy, korzystał pilnie z bibliotek Zakładu Ossolińskich i uniwersyteckiej, nie zaniedbując najnowszych wówczas publikacyj, rozpraw Libelta i Moraczewskiego, oraz literatury polskiej Michała Wiszniewskiego.

Równocześnie obijały się o uszy młodzieńca echa działań na polu ekonomicznem i społecznem takich obywateli, jak książę Leon Sapieha, za którego inicyatywą zakładano Kasę Oszczędności i Towarzystwo kredytowe ziemskie, a czyniono zabiegi o zniesienie pańszczyzny za indemnizacyą. Obok księcia Leona widział Zygmunt działających Aleksandra Fredrę, Kazimierza Krasickiego, Wincentego Skrzyńskiego, Kazimierza i Aleksandra Stadnickich, Felicyana Laskowskiego i innych, którzy, jak pisze Kaczkowski. „mieli oczy

otwarte na wszystko i zdrowy sąd o tem, co się działo koło nich“ [1]).

Zaszedł tu jednak zupełnie niespodziewanie wypadek bolesny, który odwrócił myśli Zygmunta w innym kierunku. Wypadkiem tym była niemal nagła śmierć Rossowskiego, ukochanego towarzysza, którego Kaczkowski „przewodnikiem“ swym nazywa, a który swojem zamiłowaniem w naukach i pilnością bardzo dodatni wpływ wywierał na młodszego kolegę. Śmierć ta dotknęła Zygmunta boleśnie. Na dłuższy czas odosobnił się on i zatonął w rozmyślaniach nad zagadnieniami filozoficznemi, przyczem zastanawiać się począł nad ówczesnym systemem szkolnym, nie dozwalającym swobodnego rozwoju przyrodzonych zdolności. — Kaczkowski piętnuje ten system, jako na wskróś biurokratyczny, a nadto ateistyczny i pełen serwilizmu [2]).

To usposobienie krytyczne wzmogło się jeszcze bardziej po śmierci Rossowskiego, a zawiązane z innymi kolegami stosunki, głównie z Janem Balem i Władysławem Dybowskim, wciągnęły znowu Zygmunta w wir życia studenckiego. W gronie kolegów odznaczał się duchem rewolucyjnym zwłaszcza Dybowski, który umarł potem w więzieniu, w 1846 r. W wspólnem, obszernem mieszkaniu Bala i Dybowskiego odbywały się schadzki studentów i dysputy, do późnej nieraz nocy trwające. Większość kolegów, do których należeli: Leonard i Eustachy Piniińscy, Ignacy Cywiński, dwaj bracia Romaszkanowie, Józef Nikorowicz, późniejszy właściciel Zboisk pod Lwowem i kompozytor muzyki do „Chorału“ Ujejskiego, Alfred Majewski, Runge-Borowski, Oswald Bartmański, późniejszy wiceprezydent Namiestnictwa lwowskiego, Władysław Drohojowski, który zajął później stanowisko w dyplomacyi austryackiej [3]), lecz umarł młodo, — większość tej młodzieży, owiana gorącym patryotyzmem, hołdowała wszakże kierunkowi umiarkowanemu, a w każdym razie nie rewolucyjnemu. Przeważało zdanie, że zerwanie się do zbrojnego powstania byłoby nie do darowania błędem, że przedewszystkiem należy się wzmacniać na siłach i dążyć do uobywatelenia ludu i rozszerzenia oświaty. Czytywano też pilnie wszystkie publikacye, wychodzące podówczas w Poznańskiem, jak „Rok“, „Przyjaciel ludu“, „Orędownik naukowy“ i „Dziennik domowy“; studyowano dzieła Lelewela, Libelta, Trentowskiego,

---

[1]) „Mój Pamiętnik“ str. 148.
[2]) l. c. str. 158.
[3]) Był konsulem austr. w Warszawie.

Moraczewskiego i Cieszkowskiego, nie zaniedbywano też czasopism warszawskich, jak „Przegląd naukowy“ Dembowskiego i Skimborowicza, „Biblioteka Warszawska“, „Ateneum“ i t. p., — słowem, czytano wiele, uczono się niemało, chociaż może bez systematycznego ładu, a dysputowano najwięcej, bo zdania i sądy literackie w tem gronie były mocno podzielone. Każda rozprawa nowa Libelta lub Moraczewskiego, a już przedewszystkiem takie „Mieszaniny obyczajowe Jarosza Bejły“, były przedmiotem osobnych zebrań i zaciętych dyskusyj.

W tym to czasie napisał Kaczkowski tragedyę po niemiecku w 5 aktach, którą, jak twierdzi Korotyński [1]), czytano w kółkach akademickich z uznaniem. Zajmował się też przekładami na język polski Horacego, Wergiliusza i Tacyta. Pisywał również parodye z wykładów estetyki prof. Tangla, co mu najwięcej przyczyniało rozgłosu, bawiąc kolegów.

Nie rzadko jednak owe dyskusye koleżeńskie wkraczały na pole polityczne. Zapalony Dybowski wprowadzał czasem na te zebrania emisaryuszy rewolucyjnych, którzy wykładali tej młodzieży swoje zasady, przyjmowane jednak przez większość dość chłodno. Brali czasem udział w tych zebraniach i ludzie starsi, a między innymi Wincenty Pol, który już wówczas usiłował stanowczo przeciwdziałać, aby teorye, zaczerpnięte z rewolucyi francuskiej, nie bałamuciły umysłów młodzieży. Wypowiadał się on już wtedy jawnie, — jak twierdzi Kaczkowski, [2]) — przeciwko literaturze, mającej na celu propagandę demokratyczną, przeciwko literaturze ludowej, twierdząc, że ona obejmować winna całe życie narodowe, więc być narodową. Przeciw Polowi i jego zasadom zaczęła się już wtedy objawiać wśród młodzieży opozycya, a zwłaszcza po ukazaniu się „Podróży Benedykta Winnickiego do Nieświeża“, ostro krytykowanej, jako wyrażającej „poglądy ciasne, wyłącznie szlacheckie, nie zgadzające się z postępem czasu“.

Po za temi zebraniami koleżeńskiemi i dyskusyami, właściwe studya uniwersyteckie nie budziły wielkiego zajęcia. To też młody Zygmunt, po pierwszym roku filozofii, powróciwszy na wakacye do domu rodziców, oświadczył ojcu, że nie ma ochoty wracać do

---

[1]) „O Autorze“. Dzieła Zygm. Kaczkowskiego. Wydanie Ungra, Tom 11, str. 255, 256.

[2]) „Mój Pamiętnik“ str. 163 i nast.

Lwowa. Rwał się do Paryża, na co jednak ojciec się nie zgodził i wyprawił go do Wiednia[1]).

Jeżeli studya uniwersyteckie we Lwowie nie wiele, to wiedeńskie żadnej już Zygmuntowi nie przyniosły umysłowej korzyści. Wyniósł ztamtąd tylko lekką kresę na głowie z pojedynków ze studentami i wielkie zniechęcenie, co widząc ojciec, zabrał go do domu i wkrótce potem ulokował na własnem gospodarstwie w nabytej Bereźnicy, pod opieką owej energicznej babki, Maryanny z Bylczyńskich Józefowej Kaczkowskiej.

Dosyć znamienną jest uwaga, którą czyni Zygmunt w końcowym ustępie swego „Pamiętnika“, że jedyną „korzyścią, odniesioną z tego niedługiego pobytu w Wiedniu, było zabranie znajomości z synami zamożnych rodzin, którzy potem pozostawali generałami, gubernatorami, ambasadorami i ministrami, a których przyjaźń w późniejszem życiu czasem się na coś przydała.“ [2])

Zatem tak w kraju, jak i po za jego granicami, na obcym gruncie w Wiedniu, szukał Zygmunt Kaczkowski stosunków w sferach wyższych, z obyczaju i przekonań konserwatywnych, czyniąc tem zadość swej próżności, chociaż w duszy, często bezwiednie, pozostawał — rewolucyonistą.

---

[1]) Nie wiadomo, zkąd Korotyński zaczerpnął wiadomości, że Kaczkowski zapisał się potem jeszcze na Wydział prawny we Lwowie (l. c. str. 258). Sam Kaczkowski o tem wcale nie wspomina. Za Korotyńskim powtórzyli to jednak Chmielowski i Chrzanowski, twierdząc nadto, że Zygmunt skończył dwa lata filozofii we Lwowie. (Chmielowski: „Nasi powieściopisarze“ Tom I. str. 208. Chrzanowski: „Zygmunt Kaczkowski. Zarys życia i działalności.“ Wybór pism. Tom I. str. III.).

[2]) „Mój Pamiętnik“ str. 170,

II.

(Na własnym gruncie. — Galerya szlachty sanockiej. — Pierwsze utwory literackie: „Uwagi nad moralnemi chorobami“. — Powiastka „Tuz“. — Wiersze: „Czem nie marzyć?“ — Stosunki z Kornelem Ujejskim. — Rok 1846. — Bracia Wiesiołowscy. — Rozmowa z W. Polem. — Powstanie w Sanockiem. — Jerzy Bułharyn. — Uwięzienie Ignacego i Zygmunta Kaczkowskich. — Dwuletnie więzienie. — Wyrok śmierci. — Amnestya. — Sąd późniejszy Kaczkowskiego o r. 1846. — Zamiar pisania powieści na tle spisków. — Wyjątek z listu Jana Zachariasiewicza.)

W powyższym szkicu lat młodzieńczych Zygmunta Kaczkowskiego, głównym przewodnikiem był nam jego „Pamiętnik od roku 1833—1844. Równocześnie jednak, na podstawie autentycznych dokumentów, jak metryki i akty sądowe, mogliśmy mimochodem sprostować pewne niedokładności, popełnione przez Wincentego Korotyńskiego w jego rozprawie „O autorze“, a powtórzone za nim przez Piotra Chmielowskiego i Ign. Chrzanowskiego.

Przypuszczać można, że pierwsze te lata gospodarowania na własnym kawałku ziemi, nie były dla Kaczkowskiego uciążliwe. Cały trud zarządu dźwigała dzielna i energiczna babka, ojciec też z Cisny dojeżdżał, a ośmnastoletni młodzieniec bawił się jazdą konną i odwiedzinami w sąsiedztwie. Sąsiedztwo to zaś bylo liczne i wyborowe. W rękopiśmiennej notatce przytacza Kaczkowski „galeryę szlachty sanockiej“: Łoś z Łuha i Jaworca, Łążyński z Krywego, Krajewski z Terki, syn jego Ludwik z Zawoja, Nurkowscy, trzech braci Karśnickich z Baligrodu, Franciszek Urbański z Jabłonek, Eminowicz z Bystrego, Papara z Mchawy, Rafał Osuchowski z Zahoczewia, Adam Żurowski z Bereski, Konstanty Bobowski i jego zięciowie Leszczyński Leopold i Jordan z Orelca, stary Truskolaski z Tarnawy, Xawery hr. Konarski z Chrewty, Wojciech Terlecki z Tyskowy, Giebułtowska z domu Karśnicka z Wołkowyi, Borowscy z Żerdenki, Jędrzej Bal z Średniej wsi i jego synowie: Tymon, Franciszek, Antoni i Jan, szambelan Skibiński z Uherec, bracia Górscy ze Stefkowej, Laskowscy z Polany i Bażanówki, Jan Tchorznicki z Dąbrówki, bracia Urbańscy z Myszkowiec, Urbański z Komborni, Haczowa i Odrzechowej, Stanisław Brześciański z Ustyanowej, Strzeleccy z Łopienki, Wiktorowie z Zarszyna i Semkowej Woli, Teofil Ostaszewski ze Wzdowa, Załuscy, Skrzyńscy, Seweryn Fredro, ożeniony z Konarską z Nozdrzca, Aleksander Krasicki z Dubiecka, Cezar Męciński z Dukli, Kozłowscy, Krainscy, Smarzewscy [1]).

Jeżeli nie wszystkie, to wiele z tych nazwisk spotykamy później w opowieściach Nieczui, a zasłyszane tam wówczas i zanotowane w pamięci dzieje wewnętrzne tych rodzin — dostarczyły niewątpliwie Kaczkowskiemu wątku do całego szeregu utworów.

Po za zajęciami gospodarskiemi, które zapewne nie bardzo nęciły młodzieńca, i po za sąsiedzkiemi odwiedzinami, pozostawało Zygmuntowi dość jeszcze wolnego czasu do spróbowania pióra, co go oddawna pociągało. Powodzenie może nie tyle łacińskich wypracowań i owej niemieckiej tragedyi klasycznej, ile raczej satyrycznych wierszy studenckich, kusiło snadź ciągle młodego ziemianina. To też już w r. 1845 ukazały się pierwsze jego utwory prozą w „Dzienniku mód paryskich“.

Nie zapowiadały one zgoła pisarskiego talentu. W trzech artykułach, pod ogólnym tytułem; „Uwagi nad moralnemi chorobami“, okazuje młody autor nie tylko brak wprawy w pisaniu, nie tylko co krok grzeszy błędami gramatycznymi, lecz nadto niema tu ani głębszej obserwacyi, ani satyrycznego zacięcia, czy dowcipu, który jest wymuszony i nieszczery. W pierwszym z tych artykułów p. t.: „Gorączka dowcipowa“ karci autor to właśnie, czem sam grzeszy: dowcip wymuszony i chęć popisywania się nim. Na chorobę taką widzi jedyne lekarstwo w tem, aby człowiek rzeczywiście dowcipny karcił na każdym kroku niefortunne popisy dotkniętego „gorączką dowcipową“, któremu przy tem w razie ostrego napadu, należy opuścić „dwie filiżanek“ (sic!) krwi i dawać paprykę do zażywania [2]).

---

[1]) Notatka p. t. „Pamiętniki“. Ms.

[2]) „Dziennik mód paryskich“ Nr. 16 z r. 1845.

Drugi artykuł p. t. „Parafianizm“ wyszydza chęć naśladownictwa cudzych przymiotów, małpowanie. Jest tu nawet przytyk do któregoś ze współczesnych „pseudo“ poetów, że nie znając ani kraju, ani poezyi ukraińskiego ludu, naśladować usiłuje dumki i szumki Zaleskiego Bohdana. Tytuł artykułu „Parafianizm“, przywodząc na pamięć „Parafiańszczyznę“ Leszka Borkowskiego, której część pierwsza pojawiła się w r. 1843, pozwalałby przypuszczać, że ten przytyk właśnie do niego się odnosi i do jego pierwszego utworu poetyckiego, który ukazał się w „Haliczaninie“ w r. 1830 p. t. „Kozak“ a opiewał miłość kozaka i tatarki. — Być też może, iż odnosiło się to do Aug. Bielowskiego lub Lucyana Siemieńskiego, którzy w Ziewoni już w r. 1834 ogłaszali „Dumki“ a w r. 1838 wydali zbiór „Dumek“ w Pradze. Lekarstwem na chorobę małpowania, jest i tutaj wyśmiewanie satyryczne. Rzecz cała równie, jak poprzednia, w przedstawieniu i argumentacyi nieudolna.

Nie większej siły, a pod względem stylu podobnież niedołężny jest trzeci z rzędu artykuł tej seryi, p. t. „Zapalenie szlachetnej strony serca“, wydrukowany w temże samem czasopiśmie w Nr. 1. z r. 1846.

W Nr. 20 z 20. września 1845 i następnych „Dziennika mód paryskich“ znajdujemy powiastkę p. t. „Tuz“. Czytając ją, nie możnaby nawet przeczuć przyszłego autora tylu głośnych powieści. Rzecz niezmiernie słaba. Jestto opowieść o jakimś naiwnym, zbyt naiwnym szlachcicu Bartłomieju Dolewa Wodnickim, który za pomocą faktora żyda, przyjmuje sobie sekretarza, niejakiego Tuza. Ten, do spółki z arendarzem, okrada naiwnego szlachcica; zabiera mu cały jego majątek, 40.000 zł. i ucieka. Szlachcic zubożał całkowicie, a pan Tuz dalej kradnie; wreszcie otrzymuje niespodziewanie jakiś wielki spadek i wypływa na widownię, jako hrabia Tuz. Pan Bartłomiej zabiera się energicznie do rzekomego hrabiego i odzyskuje swoje 40.000 zł. z procentami.

Styl tej powiastki, bardzo jeszcze nie wyrobiony, roi się od błędów gramatycznych. Kaczkowski pisze jeszcze wtedy: „potrzebywać“, a stale — co mu się zresztą i później często wydarza, — używa czwartego przypadku z przeczeniem. Pan Bartłomiej grozi np. Tuzowi, że nie ustąpi i nie przestanie go ścigać, dopóki mu „nie wyliczy skradzione pieniądze“.

Chcąc na upartego dopatrzeć się w tej nieudolnej robocie jakiejś tendencyi, możnaby wreszcie posądzić autora o zamiar wyszydzenia ignorancyi szlachty z jednej, a lekkomyślności, z jaką społeczeństwo przyjmuje takich samozwańczych hrabiów-szalbierzy, jak

Tuz, z drugiej strony. Satyra jednak taka byłaby zbyt gruba i na życiowej obserwacyi chyba nie oparta. Gdybyśmy nawet przypuścić chcieli, że w społeczeństwie szlacheckiem mogły podówczas istnieć wyjątkowo takie typy jak pan Dolewa, to z pewnością hrabiów Tuzów nie było. Szlachta sanocka, wśród której obracał się wówczas Kaczkowski, była bardzo ekskluzywna i takich samozwańców niezawodnie nie przyjęłaby do swego grona. — W każdym razie uderza w tej powiastce pewien nastrój demokratyczny. Z wyraźnym przekąsem mówi się tam o herbach i szlachectwie, którego zresztą bardzo lichym przedstawicielem jest, ledwie czytać umiejący, pan Bartłomiej Dolewa. Mogłoby to chyba świadczyć o chęci pomszczenia się za pewne upokorzenia, jakich mógł doznać Kaczkowski, jako bądź co bądź *homo novus* w sferze właścicieli ziemskich, wśród starej, osiadłej szlachty sanockiej.

Rok 1845 przyniósł jeszcze wiersz p. t. „Czem (sic!) nie marzyć?“ Wiersz, rażący już w samym tytule błędem, („Czem“, zamiast: „Czemu“) z rusińskiego, zdaje się, języka zaczerpniętym („C z o m ty mene moja maty w cerkow ne nosyła“) — świadczy o zupełnym braku poetyckiego polotu i głębszej myśli. Dość przytoczyć jedną strofkę:

„Za cóż więdnąć z złotym kwiatem,
„Z ziemskim zawsze starzeć światem,
„Czemuż z światem starym starzeć,
„Czem nie dumać, czem nie marzyć?
„O, bo nie starzeje myśl!
„Niema końców świat złudzenia,
„Niema krańców świat marzenia,
„Ani kresu myśl“[1]).

W tymże samym roczniku „Dziennika mód paryskich“ ukazywać się poczynają, jakby dla porównania, poezye Kornela Ujejskiego, — o ileż wyższe! Z poezyj biblijnych jest tam mianowicie wiersz p. t. „Hagar na puszczy“.

Z Ujejskim łączyły podówczas Kaczkowskiego bliskie stosunki. Pamiątką tej przyjaźni pozostały słowa „o złotych ustach najdroższego nam Ujejskiego“ wydrukowane w pierwszym tomie „Bajrowisty“ na str. 168 (Wydanie wileńskie J. Zawadzkiego). Powieść ta pisana była w r. 1855. Stosunki te jednak rychło się popsuły i przeobraziły w jawną nieprzyjaźń. Już w r. 1858 w liście do Seweryna Smarzewskiego, donosząc mu o pismach peryodycznych,

[1]) „Dziennik mód paryskich“ Nr. 20.

tak warszawskich i poznańskich, jak i lwowskich, i krytykując ostro lwowski „Dziennik literacki“, który „najobrzydliwiej się dzisiaj liże tym samym, na których wczoraj najobrzydliwiej wymyślał“, — dodaje Kaczkowski: „a jeszcze mniej się można zbudować kochanym Kornelkiem Ujejskim, który w tymże Dzienniku napisał artykuł o aktorach i aktorkach. Mniejsza o ten artykuł nareszcie, ale co mnie na poczciwego Kornelka napędziło rumieńców, to to, że w artykule tak bardzo niskim i napisanym o rzeczach jeszcze niższych (rozumiem tu indywidua, które znam dobrze ze sceny) występuje w tonie prorockim i tytułuje się w liczbie mnogiej. Wyobraź sobie, ileby można obudzić śmiechu, gdyby mu na ten artykuł odpisać i tytułować go także w liczbie mnogiej. Kochany Kornelek, jak widać, będzie już zawsze poetą, ale podobno nigdy nie zostanie człowiekiem. Gdybyż przynajmniej wiedział, jakim jest w samej rzeczy poetą! Toby go może zrobiło trochę mniejszym poetą, ale niezawodnie większym człowiekiem [1]).

Dziwić się zaiste można, że sąd taki mógł wypowiedzieć Kaczkowski o Ujejskim, jako poecie, już po ukazaniu się pierwszej części „Skarg Jeremiego“. Świadczy to, jak bardzo stronniczym był i za młodu późniejszy autor „Teki Nieczui“. — Również niesprawiedliwym jest złośliwy ustęp o artykule Ujejskiego o aktorach. Nie trzeba bowiem zapominać, że w r. 1857 nastąpiło ponowne otwarcie sceny polskiej we Lwowie, że na tę uroczystość napisał Ujejski prolog pełen polotu i że uważał sobie za obywatelski obowiązek scenę tą popierać, pragnął bowiem, wedle słów prologu, by ona „stała się dla ludu szkołą i wzorem“, i skoro „świątynią się zowie, aby „świętością wciąż stała“.

W dalszym ciągu stosunek ten z Ujejskim jeszcze się pogorszył, co wywołało sąd jeszcze ostrzejszy. W r. 1891 pisał Kaczkowski do profesora Ksawerego Liskego: „O moich przeciwnikach we Lwowie nic nie wiem, wiem tylko, że Ujejski był po wszystkie czasy moim zawziętym wrogiem, a nawet miał raz bardzo gwałtowną scenę o mnie z Gillerem, w obecności kilkunastu osób, należących do tego obozu (demokratycznego). Ujejski, o kilka lat starszy odemnie, ale właściwie mój współczesny, a niegdyś (1848 do 1850) mój bliski przyjaciel, jest to osobliwsza figura: gdzie łba nastawiano, gdzie się bito, gdzie siedziano w więzieniu, gdzie pracowano, gdzie poświęcano majątki dla sprawy publicznej, tam go nigdy i nigdzie nie było, ale gdzie trzeba było błotem rzucić na

[1]) Z Bereźnicy 24. października 1858. Ms.

kogoś, albo zasiąść do sądów tajemnych, tam zawsze się znalazł. Ale czy jeszcze dziś podstępnemi intrygami się bawi, o tem mi nie wiadomo“ [1]).

Sąd ten, tak bardzo surowy, wywołany snadź był żywą zawsze w duszy Kaczkowskiego pamięcią o przejściach w r. 1863 i o udziale Ujejskiego w sądzie, który go potępił, o czem we właściwem miejscu będziemy mówili.

W papierach pośmiertnych Kaczkowskiego, a mianowicie w notatkach, kreślonych już w ostatnich latach, do życiorysu Wincentego Pola, znajdujemy także surową, a tym razem zasłużoną krytykę Ujejskiego „Listów z pod Lwowa“, wymierzonych przeciw Polowi, a pisanych, jak twierdzi Kaczkowski, z natchnienia i pod wpływem Jana Dobrzańskiego. — W innem miejscu zanotował: „Listy z pod Lwowa: Je t'accuse. Niedorzeczne i nieuczciwe“. I dalej: „Pisma tego na seryo brać nie można, Nie wiemy, co to jest? Jakiś wylew dwoistego uczucia, kończący się potępieniem; dziwniejsze to jeszcze, że jeden poeta napada na drugiego w prowincyi takiej, gdzie tylko ich dwóch było. Uczuciem nie pisze się krytyki. Nie występuje się, jako oskarżyciel, kiedy się nie ma prawa do tego. Gdzie się bito, cierpiano, pracowano, tam byli oskarżeni, ale oskarżyciela tam nie było. Nie byłoby powodu wspominać o tym elaboracie, gdyby nie to, że mimo oskarżenia, jest to najcieplejsze uznanie zasług poety“ [2]).

Najostrzej jednak przemówił Kaczkowski w sprawie tych listów z pode Lwowa, w liście z Bereźnicy z dnia 20. czerwca 1860, pisanym do Augusta Bielowskiego. List ten, przechowany w rękopisach Biblioteki Ossolińskich a częściowo wydrukowany w krakowskim „Przeglądzie Literackim“ przez p. Stanisława Zdziarskiego, [3]) zawiera najcięższe zarzuty tak przeciw pismu, „które apostołuje zasady przeciwne duchowi i zacności narodowej“, jak i przeciw Kornelowi Ujejskiemu. Kaczkowski nazywa Ujejskiego w tym liście człowiekiem „zwichniętym w swoim umyśle“, „krzykaczem“ i „plwaczem“, niekonsekwentnym „ignorantem“. Jego list o Polu napisany jest „niezdarnie“, fałsze w nim „nastroszone są na fałszach“. Przedewszystkiem Pol „nie był nigdy tak wielkim poetą, jakim go Ujejski przedstawia. Ujejski ma karłowatą wyobraźnię o wielkości“; Pol nie był nigdy „jednym z tych duchów wyniosłych i wielkich, którym dano jest przewodniczyć narodom“; był z po-

[1]) List z 1. stycznia 1891 r. Ms.
[2]) Notatki do życiorysu Pola. Ms.
[3]) Nr. 14., 15., 16. i 17. lipiec i sierpień 1898.

czątku „śpiewakiem teraźniejszości (r. 1831) a potem malarzem przeszłości“; nie był nigdy wielkością duchową pierwszego rzędu“, ale w ogóle „ma rzeczywiste i bardzo piękne w narodzie zasługi“. Możnaby zresztą ten artykuł Ujejskiego zlekceważyć „zmiąć i potargać, a w końcu i samego autora obalić na ziemię“, bo „oślepiony pychą właściwą wszystkim uzurpatorom, widzi tylko cel swojej własnej dążności“. Ale Kaczkowski upatruje w listach Ujejskiego rzeczy „daleko szkodliwsze“. On wyznaje te zasady, jakie zaczęto wytwarzać we Francyi pod koniec XVIII wieku: nazywa wielkim człowiekiem Robespierra a rzuca „szubieniczne klątwy na Skrzyneckiego, Chłopickiego nawiasem a otwarcie na Malinowskiego i Chodźkę, Potockiego i Pola“, występuje jako „trybun niby jakiejś opinii publicznej, wymagając od niej wymierzenia kary i pomsty. Rola ta przypomina kubek w kubek Marata, l'ami du peuple“. Ale on nie przemawia tu sam z siebie, lecz ma „dla swych zasad pewne około siebie oparcie“; nie stoi sam, lecz za nim jest „cała koterya“, której celem jest „opanować ulicę i rozpocząć rządy i sądy“. Otóż w tem widzi Kaczkowski niebezpieczeństwo. Wprawdzie „Ujejski z Dobrzańskim rewolucyi nie zrobią, ale pozaszczepiane przez nich ziarna nieufności, niechęci, zawiści i złości przyjmą się pewnie“. Więc „póki się te ziarna nie przyjmą, póki się ten zły duch nie rozniesie, potrzebaby koniecznie dać mu zaprzeczenie otwarte, silne i stanowcze“. — W dalszym ciągu rozpisuje się Kaczkowski nad „niewolą“, w jaką ujarzmić by chcieli Ujejski i jego „zacni druhowie“ literaturę i piszących. Przeciw tym uroszczeniom należy zaprotestować i „klątwę rzuconą na Pola na samychże klnących odrzucić“. Kaczkowski oświadcza, że w tej swojej opinii nie jest odosobniony; odebrał wiele listów z Krakowa i Lwowa, z wielu osobami widział się osobiście. Niektórzy usiłowali nawet nakłonić go „do zabrania głosu w tej sprawie i wystosowania odpowiedzi na artykuły Ujejskiego“. Nie brakuje mu do tego ani chęci, ani odwagi, lecz po namyśle przyszedł do przekonania, że „nie powinien zabierać pierwszego głosu“; nie czuje w sobie „dostatecznej powagi“. Wywiązałaby się ztąd tylko kłótnia, bo Kaczkowski czuje się jeszcze za mało popularnym, zwłaszcza w Galicyi, a że w pismach swoich występował niejednokrotnie przeciw podobnym środkom rewolucyjnym, więc ma w tym obozie zawziętych wrogów. Przemówić w tej sprawie, może tylko, zdaniem Kaczkowskiego, jeden jedyny — August Bielowski, który złożył „jawne i świetne dowody patryotyzmu“ a także niósł „sztandar postępu przed narodem“, używa „powszechnej czci i miłości“ a nadto

zdobył sobie jedno „z najpierwszych miejsc w literaturze“. „Otóż — pisze — weź Pan tę sprawę na siebie; jak jesteś pierwszy pomiędzy nami, tak pierwszy wystąp przeciw tym terrorystycznym pochuciom“... „Cały naród przyklaśnie i przy nas będzie wygrana“.

Następuje tu ustęp nie wydrukowany w „Przeglądzie literackim“ ustęp, który jednak najdobitniej myśl Kaczkowskiego wyraża i zapowiada jego dalszy udział w tej sprawie. Ustęp ten brzmi jak następuje [1]):

„Do licznych swych zasług przyczynisz jeszcze tę jedną a zaprawdę także niemałą, że otworzysz oczy nieświadomemu siebie społeczeństwu na prawdy w chwili obecnej jedyne, — zamkniesz rozswawolone usta pijanej szałem gawiedzi, — dasz wszystkim poważnym ludziom otuchę i zachętę do zacnej pracy — a nad to wszystko jeszcze kto wie od jak zgubnych i niebezpiecznych katastrof uwolnisz społeczeństwo naszej prowincyi.

„Myśląc nad tem, jakim-by sposobem ten krwawo zafarbowany strumień najpewniej powstrzymać, nie widzę prostszego, prędszego i bezpieczniejszego środka, jak Pańską odezwę. Powtarzam też jeszcze raz, że jestem pewny, że to niezawodnie pomoże i nawet od razu całą tę kwestyę zakończy. Jeżeli-by zaś ta rozzuchwalona koterya posunęła swoje zuchwalstwo do tego stopnia, iż-by się odważyła i przeciw Panu wystąpić, — i jeżeli-by w takim razie moje poparcie Panu mogło być potrzebnem, to możesz Pan być ubezpieczonym, iż nietylko natychmiast głos odpowiedni zabiorę i zabierać go będę tak długo, jak długo będzie potrzeba, ale nie będę się wahał użyć wszelkich środków, jakimi wskutek moich rozmaitych po świecie stosunków rozporządzać mogę, ażeby przyjść dobrej sprawie z pomocą“.

Gdyby jednak Bielowski miał także jakie powody do niezabierania głosu w tej kwestyi, proponuje Kaczkowski „ogłoszenie jakiejś protestacyi zbiorowej“, manifestu, któryby podpisali „nie tylko wszyscy piszący, mieszkający we Lwowie, ale i znamienitsi autorowie z Krakowa, a oprócz nich koniecznie i ci, którzy mają błyszczące dla wielkiej publiczności imiona, jak np. obadwa Stadniccy, Kazimierz Wodzicki, Aleksander Krasicki“. Kaczkowski sądzi, że możnaby zebrać bardzo wiele podpisów pomiędzy szlachtą, jednak tylko wówczas, „jeśliby ta protestacya nie była obroną osoby Pola“, lecz skierowana przeciw czynnościom „koteryi“.

---

[1]) Rękopis Bibl. Ossolińskich Nr. 2432. tom II. karta 67—68.

I znowu następuje ustęp, opuszczony przez p. Zdziarskiego w „Przeglądzie literackim“, a określający ściślej przeciw jakim mianowicie dążnościom wymierzona być miała owa protestacya. Po oświadczeniu, że Kaczkowski wszelką protestacyę przeciw owej „koteryi“ podpisze, czytamy dalej w manuskrypcie [1]):

....„z tem wszakże zastrzeżeniem, ażeby kierunek jej (protestacyi) był wymierzony wyraźnie przeciwko dążnościom demagogiczno-rewolucyjnym, a nie przeciwko narodowo-rewolucyjnym, którym zawsze stoję nie na przeszkodzie, lecz na pomocy“.

Te ostatnie wyrazy charakteryzują dobitnie ówczesne zapatrywania polityczne autora.

Jakkolwiek jednak zapewniał Kaczkowski w tymże liście Bielowskiego, że do „wszelkich dalszych porozumień jest gotów“, do ogłoszenia tej protestacyi nie przyszło, i już dnia 6. lipca 1860 r. tj. w trzy tygodnie zaledwie po liście pierwszym, z rezygnacyą pisze do Bielowskiego Kaczkowski, „że o protestacyi przeciwko artykułom Ujejskiego z naszej strony niema co myśleć... nie pozostaje nam nic, jak milczenie. Jestto — dodaje — rzecz smutna z naszego smutnego wynikająca położenia, ale dla każdego znającego kraj i stopień jego oświaty zanadto oczywista, ażeby się na nią nie zgodzić“.

Ta „rezyguacya“ Kaczkowskiego wynikać mogła z dwu powodów. Pierwszym niewątpliwie było przygnębienie z powodu ciężkiej choroby ukochanej stostry, dogorywającej podówczas na suchoty w Bereźnicy; drugim, zakłopotanie w skutek ostrej polemiki o pewne ustępy o „Galicyanach“ w powieści „Żydowscy“, o czem w miejscu właściwem będziemy mówili. W każdym razie tak ognisście zapowiedziana walka przeciw Ujejskiemu, jego „koteryi“ i dążnościom „demagogiczno-rewolucyjnym“, rozwiała się w niwecz. Epizod ten charakteryzuje wszakże dobitnie usposobienie ówczesne Kaczkowskiego dla twórcy „Chorału“, oraz rzuca światło na ścieranie się ówczesnych prądów społeczno-politycznych.

Równie ostro o wystąpieniu Ujejskiego pisał Kaczkowski do swego przyjaciela Seweryna Smarzewskiego:

„Co mówisz o nowym prozaiście Kornelu Ujejskim? zapytuje. Dla mnie ta jego rola gościnna jest przerażająca; bo stawia mi nowy dowód, jak u nas jest mało ludzi, nie powiem wielkich, lecz całych. Nie dziś, to jutro, ale na każdym z nas swego czasu pokazuje się szczerba, jeżeli nie dziura, od Mickiewicza począwszy, który

[1]) L. c.

wpadł w Towiańszczyznę, aż do Kornela, który się wykierował na ulicznego krzykacza. On niby ma słuszność, ale kto się podniósł do skarg Jeremiego, czy nie musiał prawie rozum utracić, zniżając się na nieproszonego prokuratora, źle mówię, bo na Woźnego Ulicy? A jakiż to jeszcze do tego głos przeraźliwy! Piszę o tem, bo mnie drze jeszcze do dziś dnia po kiszkach“ [1]).

W stosie papierów pośmiertnych znajdujemy jednak ustęp, podnoszący Ujejskiego, jako poetę. „Rok 1846 — zanotował Kaczkowski — zmalał z czasem do drobnego wypadku. Prawie nikt o nim nie pisał. Późniejsze zachowanie się Austryi względem Polaków, zamknęło usta piszącym. Pozostał przecież jeden poemat, głęboki krzyk bolu: „Skargi Jeremiego“. Pozostała pieśń: „Z dymem pożarów“ [2]).

To nas wprost wprowadza w r. 1846, który oderwał Kaczkowskiego od prac literackich, a powołał na pole politycznych działań. Odezwały się w nim świeże wrażenia lat w Przemyślu i Tarnowie spędzonych.

Już w grudniu 1845 jedzie on do Wojsławia, do Franciszka i Michała Wiesiołowskich i wpada tam w sam wir agitacyi. To, co tam widzi i słyszy sprawia, że czuje się całkiem „rozprzężony“. Z Wojsławia przyjeżdża do Sanoka i zatrzymuje się w gospodzie Schiffa. „Zajechałem wówczas, — zapisuje w swoich notatkach, — wracając od Wiesiołowskich, dlatego do gospody Schiffa, że miasto Sanok było pełne szlachty, która mocno hulała i lada plotki dalej roznosiła. We wszystkich gospodach szlacheckich było jak w ulu, to samo po mieście. Niektóry szlachcic, przewiesiwszy wilczurę przez plecy, z czapką futrzaną na bakier, idzie ulicą, że ziemia pod nim się trzęsie. Spotyka Niemca, wytnie go po ramieniu: — A co tam? Spakowałeś już swoje manatki? — Niemiec zbladł. — Pakuj-że się prędko, bo niebawem tu szubienice zaskrzypią. — Czasy te w tym zakątku jeszcze były bardzo podobne do konfederacyi barskiej, — jakoż w parę miesięcy potem cała szlachta górska, od kołka do kołka, spadła viritim do powstania“ [3]).

Kreśląc ten obrazek z zacięciem iście powieściopisarskiem, w wiele lat później, dodaje Kaczkowski: „Kto widział zbliska, jak się to powstanie robiło, ten nie potrzebował mieć bardzo doświadczonego rozumu, ażeby powiedzieć, na czem to się skończy“.

[1]) List do Sew. Smarzewskiego d. 12. maja 1860. Ms.
[2]) Notatki do II:go Tomu „Teki Nieczui“. Ms.
[3]) Notatki p. t. „Pol“. Ms.

Niezawodnie do tegoż samego pobytu w gospodzie Schiffa w Sanoku, odnosi się zanotowana w tychże zapiskach, następująca rozmowa Kaczkowskiego z Wincentym Polem:

„Pol robi krupnik. Urywana konwersacya.

— Byłeś u Wiesiołowskich? — pyta Pol. — Co tam widziałeś?

— Niema ratunku!

— Cóż na to twój ojciec? bo to przecież człowiek doświadczony i trzeźwy i już inne wojny widywał w swem życiu.

— Właśnie po to mnie posłał do Wojsławia. Niema ratunku.

— Więc dlaczegoż im pomagacie, kiedy wiecie, że to głupstwo?

— Kiedy ma się lat dziewiętnaście....

— Nie do ciebie to mówię...

— Ojciec powiada, że jeśli nie można naprawić, to nie trzeba psuć...

— Więc jakże?

— Mamy stu ludzi. Zaczniemy od zabrania baraków. Bułharyn będzie nami dowodzić...

Na to Pol bierze się za głowę i rzuca się na łóżko.

Przypomniały mi się — dodaje Kaczkowski — słowa Goethego

Ein Mann, der Thränen streng entröhnt,
Mag sich ein Held erscheinen,
Doch wenn's im Innern sehnt und dröhnt,
Geb' ihm ein Gott — zu weinen..."[1]).

Z tej urywanej, niewątpliwie niemal dosłownie powtórzonej rozmowy, okazuje się przedewszystkiem, że ów niby trzeźwo patrzący i doświadczony Ignacy Kaczkowski, jak w wyborze szkół dla swego syna był niezbyt szczęśliwy, tak i teraz, wysyłając niedoświadczonego młodzieńca w samo ognisko agitacyi, do Wojsławia, nie okazał przezorności, a zdobył się tylko na tę, tak często potem w r. 1863 przez ludzi starszych powtarzaną zasadę, że jeżeli naprawić nie można, to psuć nie należy, — zasadę, może czasem wygodną, lecz nie świadczącą ani o sile woli, ani o mocy wewnętrznego przekonania. — Zarysowuje się też tutaj wyraźnie stanowisko Wincentego Pola, który usiłował przeciwdziałać gorączce, opanowującej ogół i agitacyi Franciszka Wiesiołowskiego.

„Powstanie r. 1846 zrobił sam Franciszek Wiesiołowski", — powtarza kilkakrotnie Zygmunt Kaczkowski w swych notatkach.

---

[1]) Tamże. Ms.

Nie jest naszem zadaniem kreślić tu historyi tych dni krwawych. O tyle tylko musimy jej dotknąć, o ile w tych wypadkach brał udział Zygmunt Kaczkowski. Nadmienimy więc tylko, że na wieść o aresztowaniach, przedsięwziętych we Lwowie i Poznaniu, pierwotny termin wybuchu powstania, naznaczony na d. 21. lutego, przyśpieszony został o dni parę. Franciszek i Michał Wiesiołowscy, ogłosiwszy ludowi zniesienie pańszczyzny, wyruszyli 18. lutego z Wojsławia na czele oddziału, liczącego około 40 ludzi. Cały ten oddział, otoczony przez zgraję chłopów, schwytany, w części wymordowany, a w części osadzony został w więzieniu tarnowskiem. To dało hasło do strasznej rzezi pod wodzą Szeli..

Tymczasem w Sanockiem przygotowywały się z trzech stron wyprawy na Sanok. Wszystkie oddziały miały się zebrać we Wzdowie, u Teofila Ostaszewskiego. Tu jednak, wobec wrogiej postawy ludności włościańskiej i sił słabych, zebrało się bowiem zaledwie kilkudziesięciu zbrojnych, postanowiono zawczasu rozproszyć się; co też uczyniono. Drugi oddział, zorganizowany przez właściciela Ustyanowej, Stanisława Brześciańskiego, w chwili, gdy proboszcz w Jasieniu, ksiądz Putałkiewicz, odprawiwszy nabożeństwo, ogłosił zniesienie pańszczyzny i wybuch powstania, — napadnięty przez chłopów i rozbrojony, odstawiony został, wraz z Brześciańskim i ks. Putałkiewiczem, do Sanoka. Oddział trzeci — i ten nas tu najbardziej obchodzi, należeli doń bowiem Ignacy i Zygmunt Kaczkowscy, — zostawał pod wodzą znanego nam już majora 7 pułku ułanów, Jerzego Bułharyna.

Dnia 21. lutego, t. j. w terminie pierwotnie oznaczonym, postanowiono okrążyć Sanok z dwu stron; a mianowicie od strony Liska i od Rymanowa.

Wyprawę tę tak przedstawiają akty śledcze delegowanej komisyi karnej w Sanoku [1]):

Jeden z tych oddziałów szedł od miejscowości Cisna, położonej bliżej granicy węgierskiej. W Ciśnie, dzierżawca z Solinki, Jan Reissenbach, i mandataryusz z Jabłonki, Józef Krzyżanowski, zebrawszy już w przeddzień robotników z ciśniańskiej huty żelaznej, rozbroili tamtejsze koszary straży skarbowej i pociągnęli dalej, przez Jabłonkę, Baligród, — gdzie znów opanowali koszary straży skarbowej, — dalej przez Żernicę wyżną i Bóbrkę do Uherzec, gdzie — jak się wyraża akt urzędowy — „zbieg rewolucyi

---

[1]) „Sachverhalt" Reg. 238/c.

polskiej, a obecnie dzierżawca Roztoki grabowej, na Węgrzech, Jerzy Krajewski, inaczej Georg Bulgarin (sic!), objął dowództwo nad tym i innymi tam zebranymi oddziałami, które przez Lisko do Zahutyna poprowadził. Tam czekał odpowiedzi na hasło, dane przez spalenie pod Zagórzem chałupy. Gdy jednak spodziewanej odpowiedzi nie było, wielu powstańców usunęło się, a gdy nadto rozesłani w rozmaite strony gońce przynieśli złe wieści, ów Bułharyn z resztą oddziału, przez Baligród i Cisnę umknął na Węgry".

Wraz z Bułharynem schronił się za granicę węgierską między innymi właściciel dóbr z Bóbrki, Romuald Żurowski i dzierżawca z Solinki, Jan Reissenbach. Ich też, jako będących poza obrębem niebezpieczeństwa, obciążały głównie zeznania ujętych i uwięzionych powstańców.

Oto, co zeznaje po niemiecku, stawiony przed delegowaną komisyę karną w Sanoku Zygmunt Kaczkowski, w pierwszem przesłuchaniu dnia 14. sierpnia 1846 r. i w następnem dnia 26. listopada tegoż roku, a wreszcie przed sądem karnym we Lwowie dnia 27. marca 1847:

„We wtorek dnia 17. lutego 1846 jechałem z Sanoka przez Lisko do Bereźnicy wyżnej. Zatrzymałem się w karczmie w Lisku, aby popaść konie, i tu się spotkałem z właścicielem dóbr z Bóbrki Romualdem Żurowskim. Ten zaprowadził mnie do osobnego pokoju i powiedział mi, co następuje: Jeszcze w tym tygodniu, we wszystkich dawnych prowincyach polskich wybuchnie powstanie, aby odbudować Królestwo polskie. W jednym dniu stanie w szeregach rewolucyi przeszło 22 miliony ludzi. Otóż wzywam cię także, abyś przyłączył się do tej rewolucyi powszechnej, gdyż jestem członkiem rewolucyi i mam moc zmusić cię do tego". To mówiąc, wyjął z kieszeni proklamacyę rewolucyjną i odczytał mi ją, wzywając, abym ją ogłosił w gminie Bereźnica wyżna, w sobotę 21. lutego, następnie, bym ludzi zgromadził i polecił im, aby wzięli z sobą wszelką możliwą broń, w szczególności kosy, i wraz ze mną udali się do Uherzec, gdyż w owym dniu ma wybuchnąć powszechne powstanie. Gdy Romuald Żurowski odczytał mi proklamacyę rewolucyjną, odpowiedziałem mu, że majątek Bereźnica nie jest moją, lecz ojca mego własnością, że przeto nie mam prawa darowywać pańszczyzny i przyrzekać innych swobód, które proklamacya zapowiada, a wskutek tego nic ogłaszać nie będę. Na to Romuald Żurowski powiedział mi, że kara śmierci oznaczona jest

na tych, którzyby nie uczynili zadość temu, czego żąda partya rewolucyjna, że ściągnąłbym na siebie bardzo wielką odpowiedzialność, gdybym nie spowodował ogłoszenia tej rewolucyjnej proklamacyi, gdyż mnóstwo powstańców, a nawet cała polska emigracya z Węgier przybędzie i całą tę okolicę zajmie, — a przeto wszyscy ci, którzyby nie spełnili tego, czego żąda partya rewolucyjna, na niebezpieczeństwo będą narażeni.

„Następnie wyjechałem z Liska do Bereski, gdzie, z powodu złej drogi, zatrzymałem się u właściciela, Adama Żurowskiego, aż do czwartku rano. Adamowi Żurowskiemu zakomunikowałem to wszystko, co mi Romuald Żurowski mówił o blizkim wybuchu rewolucyi. Na co Adam Żurowski udzielił mi przyjacielskiej rady, abym się nie dał wciągnąć do rewolucyjnego związku, gdyż rząd austryacki musi już, na podstawie obiegających wielu pogłosek, wiedzieć dokładnie o bliskim wybuchu rewolucyi, a że nie przedsięwzięto żadnych przeciw temu zarządzeń, wnosić ztąd można, iż rząd nie obawia się rewolucyi. W czwartek rano (19. lutego) wyjechałem z Bereski do domu, do Bereźnicy. Po południu pojechałem do wsi Rabe, aby oglądnąć gospodarstwo i w Baligrodzie dowiedziałem się, że ojciec mój, który wyjechał był do Lwowa, powrócił już do Cisny, i zaledwie przed godziną ztąd odjechał. Postanowiłem tedy odwiedzić ojca i wyruszyłem do Cisny. W drodze spotkałem się z moim ojcem przed Jabłonką, a że już noc zapadała, przeto zajechaliśmy do tamtejszego mandataryusza, Józefa Krzyżanowskiego. Opowiedziałem ojcu o spotkaniu się z Romualdem Żurowskim i jego poleceniach. Krzyżanowski zawiadomił nas, że R. Żurowski był także w Ciśnie i wzywał również jego, Krzyżanowskiego, do przyłączenia się do powstania. Następnie omawialiśmy to wspólnie i postanowiliśmy tylko wtedy przyłączyć się do powstania, gdy do tego będziemy zmuszeni. W piątek, 20. lutego, odjechałem wczesnym rankiem napowrót do Bereźnicy, a ojciec mój pozostał u Krzyżanowskiego. W sobotę, 21. lutego, przybył do mego mieszkania bereźnicki mandataryusz, Klemens Olszański, w sprawach urzędowych. Opowiedziałem mu o tem, co mi Romuald Żurowski mówił w sprawie wybuchu powstania i zapytałem go o radę. Olszański radził mi, abym się do niczego nie mieszał. Gdy zaś usłyszałem, że chłopi gromadzą się w karczmie i obawiając się, aby mnie co złego ze strony tych chłopów nie spotkało, kazałem zaprządz do sanek i z mandataryuszem Olszańskim oraz z parobkiem, Jurkiem Halkowem, pojechałem do Żernicy wyżnej, aby się rozpatrzeć, co się dzieje. Wziąłem z sobą

zwykłą strzelbę myśliwską, a to dlatego, by w razie spotkania się z powstańcami, módz wykazać się przecież jakąś bronią. Mandataryusz Olszański nie wziął z sobą żadnej broni. W Żernicy wyżnej zajechałem o 9 godzinie przed południem do dworu tamtejszego dzierżawcy, Ludwika Mrozowskiego, a w tymże samym czasie nadciągnął tam oddział powstańców (około 30 zbrojnych), pod wodzą niejakiego Jana Reissenbacha. W oddziale tym rozpoznałem mandataryusza z Jabłonki Józefa Krzyżanowskiego, Adama Zarembę i wielu robotników z ciśniańskiej huty, których nazwisk podać nie umiem. Widziałem, że wszyscy ci powstańcy mieli broń, po większej części strzelby na saniach. Jan Reissenbach zawezwał mnie i mandataryusza Olszańskiego, byśmy się przyłączyli do oddziału, gdyż inaczej zmusi nas do tego przemocą. Wskutek tego wezwania, ja i Olszański towarzyszyliśmy rewolucyjnemu oddziałowi aż do Zahutyna. Nie umiem podać, czy Olszański doszedł do Zahutyna, gdyż ostatni raz widziałem go w oddziale we wsi Bóbrka. O tym oddziale wiem tylko tyle, że Uherce oznaczone były jako miejsce zboru powstańców, że tam zebrało się wiele innych oddziałów; nie umiem wszakże podać ani nazwisk ich dowódców, ani poszczególnych uczestników. W okolicy Glinnego nadjechało kilku ludzi w saniach i naraz poczęto mówić, że to przybył nasz dowódca, Jerzy Krajewski. Do Zahutyna dotarł nasz oddział (liczący ogółem przeszło 100 ludzi) już po północy. Tu, w Zahutynie nastąpiła narada, czy iść dalej ku Sanokowi, czy też przedsięwziąć odwrót. Słyszałem pojedyńcze głosy wielu powstańców, mówiących: „Oszukano nas; lepiej iść nam do Sanoka i oddać się w ręce cyrkułu, aby okazać, żeśmy tylko pod przymusem do Zahutyna przyszli“. Główny dowódca, Jerzy Krajewski, zabrał jednak następnie głos i oświadczył: „Moi panowie, rozpoczynamy odwrót“. Zaraz też nastąpił odwrót w kierunku Liska. W tym odwrocie brałem udział, a ponieważ oddział dążył drogą ku Ciśnie, więc pojechałem do Cisny, gdzie przybyłem do moich rodziców w niedzielę, 22. lutego, i tam dnia 24. lutego b. r. zostałem wraz z ojcem moim przez tamtejszych i obcych chłopów napadnięty, poturbowany (gemisshandelt) i do Sanoka odstawiony, gdzie dotychczas w więzieniu przebywam. Wśród cofających się przez Cisnę powstańców rozpoznałem: Sylwerego Brześciańskiego, Romualda Żurowskiego, Popiela z Wydrnej, Jana Reissenbacha. Znajdował się tam także niejaki Kowalski, niejaki Emil N., Mrozowski, Józef Reissenbach, mandataryusz Rastawiecki z Woli Michowej

i kilku służących. Ci cofający się powstańcy przenocowali we dworze i w poniedziałek, 23. lutego, udali się na Węgry“.

W dalszym ciągu tego przesłuchania, oświadczywszy, że nie zna powodu zarządzonego odwrotu z Zahutyna, na zapytanie o przebieg tego odwrotu, odpowiedział Zygmunt Kaczkowski:

„Przybyliśmy w odwrocie do Baligrodu w niedzielę o godzinie południowej i zatrzymaliśmy się tam 4 do 5 godzin we dworze Franciszka Bala, którego wówczas jeszcze nie było w domu. O godzinie 5-tej wyruszyliśmy dalej ku Stężnicy. Gdyśmy wyszli po za tę wioskę, zauważyliśmy, że nas otaczają chłopi i nie chcą nas dalej puścić. Widząc zaś, że możemy być zgnębieni przemożnemi siłami, cofnęliśmy się na rozkaz Jerzego Krajewskiego napowrót ku dworowi Franciszka Bala, oddalonemu zaledwie o 200 kroków. Od tego dworu zwróciliśmy się jednak zaraz w prostym kierunku ku młynowi. A gdyśmy tak dążyli ku Ciśnie, rzucili się na nas chłopi z dwu stron. Jerzy Krajewski wystąpił naprzód i zawołał ku nim, aby nam spokojnie przejść dozwolili, w przeciwnym bowiem razie będzie zmuszony strzelać do nich. Chłopi jednak nie ustąpili, a Jerzy Krajewski ugodzony został kamieniem, czy też kijem. Na to Krajewski porwał strzelbę i wystrzelił do jednego chłopa, który, ugodzony, padł na ziemię. Poczem chłopi cofnęli się, a my już bez przeszkody dotarliśmy do Cisny. Czy padło więcej strzałów i który z powstańców strzelał, tego nie wiem. Ja sam nie strzelałem“.

Z innych zeznań wynika, że postrzelony chłop ze Stężnicy, nazwiskiem Jędrzej Roman, przewieziony na saniach do wsi tej, tegoż dnia życie zakończył, nie mogąc wyraźnie wskazać tego, który mu cios śmiertelny zadał. Szczegółowe śledztwo, prowadzone przeciw dzierżawcy z Żernicy, Ludwikowi Mrozowskiemu, nie zdołało ustalić w tym kierunku jego winy. Tak sam Mrozowski, jak i Zygmunt Kaczkowski twierdzili, że to Jerzy Krajewski, recte Bułharyn, zadał Romanowi cios śmiertelny. Bułharyn, jak wiadomo, był już wtedy na Węgrzech.

Pierwsze zeznanie swoje zakończył Z. Kaczkowski następującem oświadczeniem:

„Żadnych przygotowań do rewolucyi nie czyniłem; nikogo też ani radą ani czynem do niej nie wzywałem. Całkiem przypadkowo wciągnięty zostałem do oddziału powstańczego, gdyż wywarto na mnie przymus moralny. Jeżeli zbłądziłem, proszę o łaskawe wybaczenie (Nachsicht), gdyż już i tak wiele ucierpieć mu-

siałem, zostałem bowiem przez chłopów poturbowany i ograbiony“ [1]).

Następne zeznania swoję, złożone w Sanoku dnia 26. listopada 1846, uzupełnił Kaczkowski takiem „usprawiedliwieniem“ w trzech punktach:

„1. Nie sądziłem, abym był obowiązany czynić doniesienie o tem, co mi Romuald Żurowski o rewolucyi zakomunikował, ponieważ ilekroć do Sanoka przybyłem, słyszałem urzędników i oficerów mówiących o rewolucyi, zkąd wnosiłem, że rząd wie już o rewolucyi i jej się nie lęka“.

„2. Wyjechałem do Żernicy dopiero wówczas, gdy zobaczyłem, że chłopi zaczynają gromadzić się w karczmie w Bereźnicy, co zatrwożyło mnie o moje bezpieczeństwo, a rezultat pouczył, że nawet takie osoby przez chłopów poturbowane zostały, które spokojnie siedziały w domu. Moja jazda z Bereźnicy do Żernicy wyżnej nie miała bynajmniej rewolucyjnej tendencyi, gdybym bowiem stosownie do wezwania Żurowskiego chciał stawić się w Uhercach, mógłbym był obrać krótszą drogę z Bereźnicy do Uherzec, mianowicie przez Wolę i Bereskę, co jest zwyczajną drogą.

„3. Gdybym się był poczuwał do winy, byłoby mi przyszło z łatwością schronić się po odwrocie na Węgry, gdzie mógłbym był także łatwo otrzymywać pomoc od rodziców. Gdyby jednak moje zachowanie się było uważane jako przestępstwo, którego wszakże nie czuję się winnym, to proszę, aby sąd karny chciał uwzględnić, że ja w owym czasie znajdowałem się w bardzo przykrej sytuacyi, w której żadnej rady znaleźć nie mogłem. Za najmniejszy opór przeciw rewolucyi, grożono mi śmiercią, mieszkałem w pobliżu granicy węgierskiej, zkąd, jakto mi Żurowski mówił, przybyć mieli powstańcy z tamtejszej emigracyi, nie byłem przeto pewny życia ani z tej strony, ani ze strony bereźnickich chłopów. Do tego przyłącza się mój brak doświadczenia w takich okolicznościach, o których w moim wieku przedtem nie myślałem, gdyż zaledwie przed 3 laty ze szkół wyszedłem. Wreszcie, powstanie zniszczyło prawie cały majątek mego ojca, a ponieważ i on jest uwięziony, przeto gospodarstwo jego całkowicie niszczeje. Nieszczęście to, a zarazem dziesięciomiesięczne więzienie, początkowo przez

[1]) Protokoll, welches wegen Verbrechen des Hochverraths beschuldigten Sigmund Kaczkowski aufgenommen worden ist. Sanok, 14 August 1846. Ms.

3 miesiące w kajdanach, to już dosyć kary, jeżeli cokolwiek zawiniłem“.

Z końcem grudnia 1846 delegowana komisya karna zamknęła swoje dochodzenia i więźniowie, w tej zaś liczbie Zygmunt Kaczkowski, zostali wraz z aktami tej sprawy odesłani do Lwowa, osadzeni w dawnym klasztorze OO. Karmelitów, przy kościele Maryi Magdaleny i stawieni przed tamtejszy sąd karny, który w dalszym ciągu proces prowadził, przedsiębiorąc konfrontacye więźniów; okazało się to potrzebnem wskutek sprzeczności w zeznaniach. Stało się na przykład, że ów Jan Reissenbach, który był umknął na Węgry, powrócił ztamtąd i dobrowolnie stawił się przed sądem. Jak widzieliśmy powyżej, Zygmunt Kaczkowski w przekonaniu, iż Reissenbach jest bezpieczny na Węgrzech, obciążył go zeznaniem, jakoby on groźbą nakłaniał go do udziału w powstaniu. Reissenbach, powróciwszy, stanowczo temu zaprzeczył, ztąd wynikła potrzeba konfrontacyi, która wszakże sprawy zgoła nie wyjaśniła, a obaj konfrontowani, jak w protokole zaznaczono — przywitali się i pożegnali przyjaźnie, nie okazując bynajmniej podrażnienia.

Przy zamknięciu tego protokołu, zaznaczył przewodniczący sądu, radca Lewiński, że Zygmunt Kaczkowski „jest młodzieńcem ujmującej powierzchowności i przyzwoitego zachowania się, okazuje spokojny sposób myślenia, oraz wiele przywiązania do swego również uwięzionego ojca; nie zdaje się też bynajmniej należeć do zapalonych zwolenników sprawy rewolucyjnej, a zgnębiony swoim teraźniejszym losem, nie może być chyba niebezpiecznym w przyszłości w kierunku politycznym“.

Ostatnie przesłuchanie Z. Kaczkowskiego odbyło się dnia 8. maja 1847 r., a już 28. czerwca tegoż roku zapadł wyrok. Sąd nie uwzględnił tłumaczenia się oskarżonego, a na podstawie zeznań świadków, głównie wójta z Bereźnicy, Michała Starucha, i parobka tamtejszego, Iwana Tymoczka, przyjął za udowodnione, że udział obu Kaczkowskich w zamierzonem powstaniu był całkowicie dobrowolny i przygotowany. Na tej podstawie sąd karny we Lwowie, stwierdziwszy, że śledztwo w sprawie zbrodni zdrady stanu przeciw Ignacemu Kaczkowskiemu, rozpoczęte w Sanoku 14. stycznia 1847 a zakończone we Lwowie dnia 1. czerwca 1847, oraz przeciw Zygmuntowi Kaczkowskiemu, rozpoczęte w Sanoku 26. listopada 1846, a zakończone w sądzie karnym we Lwowie dnia 8. maja 1847, zostało prawnie (zu Recht) przepro-

wadzone, skazał ich wraz z innymi siedmioma współoskarżonymi na śmierć przez powieszenie.

Tymi współoskarżonymi byli: Józef Teodor Albert Krzyżanowski, mandataryusz, ur. w r. 1811, który brał udział w powstaniu z r. 1831; Franciszek Bal, dzierżawca z Baligrodu, ur. 1813 r.; Ignacy Rogowski, strażnik skarbowy, ur. 1820 r.; Jan Worko, strażnik skarbowy, ur. w roku 1814; Klemens Olszański, mandataryusz, ur. w r. 1814; Ludwik Mrozowski, dzierżawca dóbr z Żernicy wyżnej, ur. 1814 roku, wreszcie Jan Reissenbach, dzierżawca z Solinki, a prowadzący także gospodarstwo we wsi żony swej w Nagy Pollina na Węgrzech, ur. w r. 1813.

Ten wyrok śmierci miał być wykonany w następującym porządku: Pierwszy miał być powieszony Zygmunt Kaczkowski, a następnie: Ludwik Mrozowski, Ignacy Rogowski, Jan Worko, Klemens Olszański, Ignacy Kaczkowski, Franciszek Bal, Jan Reissenbach, a na końcu Józef Krzyżanowski. — Wyrok orzekał zarazem, że Ignacy i Zygmunt Kaczkowscy, a także Franciszek Bal tracą udowodnione, Mrozowski domniemane krajowe, a Reissenbach domniemane zagraniczne szlachectwo; wszyscy zaś ponosić mają koszta postępowania karnego. Wyrok uwalnia w końcu Ludwika Mrozowskiego z pod zarzutu zabójstwa Jędrzeja Romana, z braku prawnych dowodów, odsyła zaś skarb państwa i poszkodowaną, żonę strażnika skarbowego, Magdalenę Kondracką, z pretensyami z powodu rozbrojenia straży skarbowych w Ciśnie i Baligrodzie, na zwyczajną drogę prawa.

Wyrok podpisali: Wittmann, Krzysztofowicz, Mossing, Schubert, Schuster, Lewiński, Smutny, Filous, Brehm.

Końcowy ustęp brzmi: Z Rady c. k. Sądu karnego. Lwów 28. czerwca 1847 r. Rud. Beranek ausk [1]).

Jakkolwiek skazańcy mogli się spodziewać, że wyrok ten nie będzie w całej swej surowości wykonany, to przecież musiał on wywrzeć silne na nich wrażenie, co się odbiło na stanie ich zdrowia. Oto już 22. lipca Ignacy Kaczkowski zapadł na ból w krzyżach i na podstawie świadectwa lekarskiego musiał być przeniesiony do szpitala. A przedtem już 3. lipca wniosła żona jego Franciszka prośbę, by mu było wolno, jako choremu, przebywać na wolnem powietrzu w ogrodzie więziennym przy kościele Maryi

[1]) Akta sądowe 1846, „Urtheil“ i „Auskunfts-Tabellen“. Ms.

Magdaleny. Zachorował też 16. listopada 1847 r. Zygmunt Kaczkowski na obrzmienie gruczołów i również przeniesiony być musiał z celi więziennej nr. 153 do szpitala [1]).

Sprawa tymczasem szła swoim torem. Zanim jednak przebyła wszystkie stadya, ogłoszona została dnia 20. marca 1848 powszechna amnestya i wszyscy skazańcy odzyskali wolność. Dwuletniem przeszło więzieniem odpokutował Zygmunt swoją nieszczęsną wyprawę z Bereźnicy do Żernicy wyżnej i Zahutyna w lutym 1846 roku.

Twierdzi W. Korotyński, że Kaczkowski, siedząc w więzieniu, przeczytał mnóstwo książek z wypożyczalni Karola Wilda, a także dzieł naukowych z Biblioteki Ossolińskich [2]). Potwierdza to w zapiskach swoich K. Estreicher, który pisze: „W kozie dopiero nauczył się (Kaczkowski) po francusku i tu dostawał kroniki z Ossolineum; z nich czynił wypisy i nabrał stylu kronikarskiego, jakim w powieści się odznaczył“ [3]).

Ciekawy jest sąd Kaczkowskiego o roku 1846, skreślony w wiele lat później, a przechowany w jego rękopiśmiennych notatkach, w pośmiertnej puściźnie. Rękopis ten, widocznie przygotowany do druku, nie jest wszakże dokończony. Fragment podajemy dosłownie:

„Nie piszę ani historycznej noweli, ani historyi, ani naukowej rozprawy, tylko biograficzną notatkę — a to w tym celu, ażeby naprzód rzucić cokolwiek światła z pierwszej ręki na publikacye, które w ostatnich czasach o wypadkach roku 1846 ogłoszono, bądź w pismach publicznych, bądź w osobnych wydaniach, a potem, ażeby podnieść pewne fakta, które prawie powszechnie uważane są jako prawdziwe, a którym, jeżeli mają być stwierdzone z naukową ścisłością, jeszcze brakuje dowodów.

„Krwawa karta z dziejów roku 1846“ Władysława Zawadzkiego, ogłoszona niedawno w „Kraju“, jak wszystko, co wyszło z pod pióra tego sumiennego pisarza, przedstawia w swojej całości dość wierny obrazek tej rewolucyi i jej utłumienia. Sylwetki Arcyksięcia, Kriega, Sachera i Milbachera są nawet odrysowane z uderzającą plastyką i prawdą. Mniej strojnym z tragiczną grozą owoczesnych wydarzeń jest ton ironii, który się tu i ówdzie prze-

[1]) Akty sądowe. Ms.
[2]) „O autorze“ l. c. str. 260.
[3]) K. Estreicher. Ms.

bija w wykładzie: nam, niepoprawnym grzesznikom w usiłowaniach utrzymania dziejowego ducha w literaturze, taki ton, chociaż dzisiaj jest w modzie, wydaje się zgrzytem, albowiem jesteśmy zdania, że wolno weń uderzać tylko przy opisach takich czynności, którym przewodniczyła zła wiara. Pomijam ten szczegół, jestem bowiem pewny, że ten ton jest tylko mimowolnem echem dominujących od lat dwudziestu prądów reakcyjnych, a nie wyszedł z serca i przekonania autora. Natomiast wszakże znajdują się tam pewne określenia ważniejszych wydarzeń, które wprawdzie czasem tylko o pewien odcień, lecz czasem w samej zasadzie są z prawdą niezgodne. Nakoniec, z powodu tej pracy, muszę zrobić tę zasadniczą uwagę, że wypadki roku 1846 nie mogą być sądzone, ani w odosobnieniu, ani z niskiego stanowiska powodzenia lub niepowodzenia, albowiem były one co do swojej istoty wprawdzie koniecznym, ale co do terminu wybuchu tylko przypadkowym rezultatem kilkunastoletnich, nieustających a niezmiernie skomplikowanych robót podziemnych, które jeszcze bardzo mało są znane, a które historyk musi rozpoznać bardzo dokładnie, ażeby mógł wydać sumienny wyrok o genezie, o duchu i dzisiejszem znaczeniu tej rewolucyi.

„Sprostowanie, zamieszczone także w „Kraju“, a podpisane Memoe. chociaż zeń widać, że jego autor był bliższy tym wydarzeniom, niżeli jego poprzednik, jest tylko co do suchych faktów, prawdziwem, ale na wyprowadzone z tych faktów wywody z trudnością zgodzą się ci, co na przygotowania do tej rewolucyi i na same wypadki patrzali z bliska i z osobami głównie działającemi stali w bezpośredniej styczności.

„Jako świadek naoczny i czynny tych czasów, uważam za rzecz stosowną, a może i pożyteczną, powiedzieć o nich cokolwiek; a to dlatego, że jestem pewny mojej pamięci, a oprócz tego posiadam dokumenty, listy i własne notatki z owej epoki, które mogą posłużyć za wiarogodne świadectwo. Nad to wszystko, chociaż skutkiem związków rodzinnych i własnego temperamentu, przeżyłem te czasy w samym środku owego wiru, który z biegiem lat kilkunastu objął, ogarnął zwolna kraj cały, nie należałem wcale do zwolenników zbrojnego wybuchu: a przeto nie mam żadnego powodu ani upiększać tego, cobym uznawał za brzydkie, ani umniejszać winy tych, którzy się nią istotnie obładowali, co zaś najważniejsza, to, że właśnie z tego powodu, iż dzieliłem usiłowania, dążące ku powstrzymaniu, albo przynajmniej ku odroczeniu powstania, widziałem może więcej, a w każdym razie patrzałem trzeźwiej na te roboty, aniżeli ci, co byli twórcami, albo ślepymi zwolennikami przedwczesnego wybuchu.

„Allwissend bin ich nicht, doch ist mir viel bewusst: ale nie dość jest mieć materyały, trzeba jeszcze umieć je spożytkować. W tem trudność — i temi słowy odpowiadam tym dziennikom, które się niejednokrotnie u mnie o podania z tych czasów upominały. Mam zamiar, nawet w części już wykonany, napisania obszernej powieści z tych czasów: ale powieść, chociażby historyczna, nie jest przecież historyą: może ona odtworzyć ducha pewnej epoki, może nawet niektóre szczegółowe wypadki odmalować z historyczną ścisłością, ale nie może posłużyć jako źródło do wyjaśnienia kwestyi spornych, które już dzisiaj się zarysowują, a nad któremi swego czasu zapewne bardzo żywe będą się toczyć dyskusye. Napisanie historycznego, choćby krótkiego, ale wyczerpującego zarysu tych kilkunasto-letnich czynności, które się skończyły wybuchem w roku 1846, jest jeszcze przedwczesnem: albowiem naprzód, jeszcze wiele materyałów źródłowych leży dotąd w ukryciu; a potem są pewne względy, które nie dozwalają pewnych, szczegółowych kwestyi do dna wyczerpnąć. Są jeszcze groby nie całkiem zarosłe zielenią nowego życia, są szmaty szat, na których krew jeszcze nie zaschła; z tych szat i tych grobów wydobywają się widma, które najspokojniejsze sumienia przejmują dreszczem i najzimniejszym rozumom nie pozwoliłyby podnieść się na te wyżyny ducha, gdzie mieszka bezstronność. W tem położeniu jedyną rzeczą możebną, ale wobec odzywających się głosów zarazem konieczną, jest ogłaszanie biograficznych i monograficznych notatek, z uwzględnieniem tła, na którem będzie malowany obraz. Niech każdy napisze to, co widział na własne oczy i słyszał na własne uszy — a kiedy się takich materyałów pęk dostateczny nazbiera, to swego czasu znajdzie się historyk, nie historyk-publicysta, który historyę do pewnych celów politycznych naciąga, ale wzniosłym rozumem opatrzony dziejopis, który te wypadki pojmie w związku z ich przyczynami i przedstawi je w takiem znaczeniu, jakie miały istotnie w rozwoju naszego społeczeństwa“ [1]).

Tyle ów fragment. — Nie wypowiada się w nim Kaczkowski wyraźnie, nie wydaje stanowczej opinii, na którą twierdzi, że jest jeszcze zawcześnie; widzi jednak w wybuchu powstania w roku 1846 rezultat poprzednich kilkunasto-letnich robót pod-

[1]) Ms.

ziemnych; sam zaś wybuch nazywa tu otwarcie przedwczesnym i utrzymuje, że osobiście nie należał do zwolenników zbrojnego ruchu i że nawet dzielił usiłowania, dążące do powstrzymania, a przynajmniej do odroczenia powstania.

Otóż to ostatnie twierdzenie nie zdaje się zgadzać z rzeczywistym stanem rzeczy. Widzieliśmy bowiem na podstawie autentycznych dokumentów, że Kaczkowski, za młody zresztą podówczas, aby był zdolny do takiej rozwagi, brał od początku udział w organizacyi wybuchu, — nie usiłował ani jednem słowem mu się opierać, a sam jeździł do Wojsławia, do braci Wiesiołowskich, głównego ogniska ówczesnej rewolucyi, co wynika nie tylko z aktów sądowych i zeznań świadków, lecz z przytoczonej powyżej rozmowy Kaczkowskiego z Polem w Sanoku. — Widzieliśmy zresztą, że on i w późniejszych czasach pochwalał, — a przynajmniej w korzystnem świetle usiłował przedstawić działania spiskowe. których rezultatem miał być wybuch w roku 1846.

Że Kaczkowski miał zamiar pisać powieść, na tle tych spisków osnutą, potwierdza ustęp obszernego listu Jana Zachariasiewicza do niego, z dnia 5. listopada 1889 r., z Krzywczy nad Sanem:

„Temat powieści z czasów spisków nie zdaje mi się być na czasie. Dzisiejsze stronnictwa zażarły się. Jedni potępili ryczałtem wszystkie spiski, wyśmieli je („Teka Stańczyka"), a jeden z ich służby, Lisicki, autor dzieła o Wielopolskim, potępił nie tylko rok 1831, ale nawet wyśmiał Legionistów i Barszczanów. Inni znowu stanęli okoniem przeciw takim twierdzeniom. Powieść więc o spiskach mogłaby jednych i drugich niezadowolić" [1]).

Posłuchał tej rady, czy też własnej rozwagi Kaczkowski, i zamiar napisania takiej powieści nie przyszedł do skutku.

---

[1]) Zachariasiewicz do Kaczkowskiego. Ms.

III.

(Rok 1848. — Atmosfera tych czasów. — Sprawa Pola i Dzierżkowskiego. — Wyjście Kaczkowskiego z więzienia. — Usunięcie się Kaczkowskiego od działań na polu politycznem. — Ówczesne jego utwory wierszem. — Przekład wiersza Saphira na cześć poległych Wiedeńczyków. — Wiersze: „Jeszcze Polska nie zginęła". — „Fantazya". — „Do wieszczów polskich". — „Polska i Ty". — Utwory prozą: „Obrazek z powstania 1846". — Wspomnienia pośmiertne: Kajetana Dydyńskiego i Pauliny Boguszowej. — Wiersz: „Rendez-vous". — Poemat: „Ninive". — Wiersze: „Herburt". — „Dwie Gwiazdy". — „Zapomnieni". — Zapał dla siermężnego ludu. — Zniesienie pańszczyzny. — List Ferdynanda Cieleckiego. — Wiersz: „Sielanka". — Cztery sceny z dramatu: „Dwa pokolenia". — Utwory prozą: Rozbiory krytyczne. — Powiastka: „Braciszek". — Początek powieści: „Dziedzic Strwiążyka". — Liberalizm Kaczkowskiego. — Jego poglądy na poezye Krasińskiego i Słowackiego. — Artykuły w „Tygodniku Lwowskim". — Surowy sąd o społeczeństwie. — Sprawa Zakładu narodowego im. Ossolińskich. — Kaczkowski i Szajnocha. — Rok 1850. — Gosslar).

Dziwna to była atmosfera tych czasów. Zrazu wielkie rozpromienienie z uzyskanych swobód, olbrzymie nadzieje, następnie walki stronnicze, nadużycie wolności prasy i lekkomyślne ciskanie obelżywymi zarzutami na zasłużone zkądinąd osobistości, — wszystko to zakończone bolesną klęską i depresyą. Mamy oto przed

sobą ciekawy list Jana Zachariasiewicza [1]), malujący wybornie nastrój ówczesny i opisujący charakterystyczny dla tych czasów epizod z Wincentym Polem, którego nie wahano się oskarżyć o zdradę narodową! — List ten był pisany w odpowiedzi na zapytanie Z. Kaczkowskiego, który, mając zamiar pisać o Polu studyum obszerne i zbierając materyały, udał się po informacye do naocznego świadka, do Zachariasiewicza. Owo dziełko Kaczkowskiego, tylokrotnie przez nas cytowane, p. t. „Mój Pamiętnik“, miało być pierwotnie częścią tego studyum. Świadczy o tem napis własnoręczny Kaczkowskiego na rękopisie owego „Pamiętnika“. Tytuł miał brzmieć: „Wincenty Pol i jego czasy“. Tytuł ten przekreślił sam autor, natomiast napisał: „Mój Pamiętnik z lat 1833—1863“ i zaznaczył datę napisania: rok 1891. — Lecz i ten tytuł został później o tyle zmieniony, że u spodu na innej tytułowej karcie napisał Kaczkowski: Paryż 1893. Dziełko to, jak wiadomo, obejmujące już tyko dzieje lat od 1833 do 1843, wydane zostało po śmierci autora, w roku 1899 we Lwowie, u Gubrynowicza i Schmidta.

W notatkach rękopiśmiennych Kaczkowskiego znajdujemy o sprawie Pola następujący ustęp:

„Otworzyły się wreszcie więzienia. Rewolucya dosięgła do Lwowa. Ruch ogromny. Pol się rwał do czynności. Ale mu ciężyły owe obwinienia. (Jak była o nich mowa, zapadał w smutek i miał gorycz na ustach). Mieszkał w pałacu Adama Zamoyskiego obok Namiestnictwa; Zamoyski, mały staruszek, w kontuszu i przy karabeli, był mu wiernym przyjacielem. Rwał go z sobą do akcyi. Pol wpadł na myśl nieszczęśliwą publicznej obrony. Z czego się będziesz bronić? Gdzie oskarżyciel? — Pol wskazywał na nasze sądy powięzienne. Byłem wtedy u niego, kiedy się chwiał. Opowiedziałem mu, jak się odbywały sądy więzienne, w których byłem sędzią, w sprawie Kossakowskiego, a obrońcą Wiesiołowskiego. W obydwu sprawach występowali oskarżyciele. Wszyscy obwinieni zostali uniewinnieni. Usiłowałem odmówić Pola od publicznego występowania. Ale napróżno. Zgromadzenie zwołał, mówił pięknie, ale bez skutku. Przyjaciół nie potrzebował przekonywać, nieprzyjaciół nie przekonał; — ci ostatni odpowiedzieli mu: *Qui s'excuse, s'accuse.* Jednak wśród ruchu jakoś się to zapomniało; Pol wstąpił do głównego sztabu gwardyi narodowej“ [1]).

[1]) Zachariasiewicz do Kaczkowskiego z Krzywczy nad Sanem z d. 5. listopada 1889 r. Ms.

Genezy tej sprawy Pola szukać należy jeszcze w r. 1832 czy 1833, kiedy to Pol, jak twierdzi Pepłowski w swojem dziele: „Z przeszłości Galicyi“ [2]), umocowany przez grono tak poważnych obywateli, jak: Aleksander Fredro, Tytus Dzieduszycki, Lubomirski, Krasicki, Pietruski, Działyński, jeździł na Wołyń, aby przestrzegać gromadzących się tam partyzantów przed niebezpieczeństwem wyprawy Zaliwskiego. Zaznaczyliśmy już powyżej, że Kaczkowski przeczy temu w swoim „Pamiętniku“ [3]) i twierdzi, że Pol żył naówczas w jak najbliższych stosunkach ze wszystkimi żywiołami rewolucyjnymi i bardzo nawet często służył im za sztandar. Bądź co bądź zdaje się być faktem, że niezadowolenie przeciw Polowi powstało już w tych czasach i wzmagając się z latami, gdy autor „Pieśni Janusza“ nie ukrywał później swej niechęci dla agitacyi Wiesiołowskich i Gosslara, wyradzało się w potworne podejrzenia i zrazu pokryjomu szerzone zarzuty. Sam Kaczkowski przyznaje [4]), że Pol od czasu aresztowań na wielką skalę w roku 1841 i od chwili, kiedy się w roku następnym zblizka przypatrzył propagandzie rewolucyjnej w Tarnowie, „zaczął z niechęcią i niedowierzaniem patrzeć na spiski ówczesne i niecierpliwić się tem, że ta propaganda zaczęła brać kierunek stanowczo rewolucyjny, a zarazem przybierać znamiona. że dąży nie tylko do insurekcyi narodowej, ale zarazem do przewrotów rewolucyjnych“. — Ponadto w notatkach rękopiśmiennych Kaczkowskiego znajdujemy ustęp taki:

„Między Polem a zwolennikami Towarzystwa Demokratycznego już zaraz po partyzantce (Zaliwskiego), najpóźniej zaś w r. 1836, nastąpiło oziębienie stosunków. Ogromna popularność Pola odbierała demokratom odwagę uderzenia na niego, ale ci, co przewodniczyli spiskom ówczesnym, unikali go. Smolka, Ziemiałkowski, Korecki, Hefern i inni, nie chcieli żadnych z nim stosunków. Czekano na sposobność uderzenia na niego, jako ulubieńca szlachty, a jak tylko wyszły „Przygody B. Winnickiego“, uderzono na niego. Pol milczał, ale tych ludzi nie lubił i obawiał się ich instynktowo, jako mogących wielkie szkody wyrządzić Ojczyźnie.

[1]) Notatka p. t. „Pol“. Ms.
[2]) Tom II. str. 49.
[3]) str. 94.
[4]) „Mój Pamiętnik“ str. 137, 138.

Dlatego swoje „Obrazy z życia i podróży“ chował w tece i nie dawał do druku“ [1]).

W innem miejscu tych notatek czytamy:

„Od roku 1844 Pol nie był już popularny u demokracyi. Hasło to wyszło prawdopodobnie od Towarzystwa demokratycznego z Paryża — a powody do tego nie były wcale osobistej natury. Pol, jak w swojem własnem życiu, tak i w swych pismach, nie zalecał żadnej akcyi. Myśl, aby pracą wydobyć się z biedy, była mu na tych obydwóch drogach nieznaną i obcą. Chować stan, obyczaje i modlić się Bogu, oto, co zalecał. Lud kochał, jak to widzimy w jego „Obrazach z życia i podróży“, ale o jego rozwoju nie myślał. Takie sentymentalne rozmiłowanie się w ludzie nie mogło odpowiadać emigracyi, która już od roku 1836 zaczęła propagować oświecenie, usamowolnienie, uobywatelenie ludu, a niebawem potem postawiła zasadę: — „Wszystko dla ludu i wszystko przez lud“. — na co szlachta odpowiadała: — Wszystko dla ludu, ale nie przez lud. — Pol o tem usposobieniu Demokracyi dla niego wiedział już w roku 1841 — jak to się okazuje ze sceny, którą z nim miałem u mego stryjecznego (recte: ciotecznego) dziada w Tarnowie“ [2]).

W początkach roku 1848 stosunki te zaostrzyły się do najwyższego stopnia. Pod adresem twórcy „Pieśni Janusza“ poczęły padać takie zarzuty, jak: zdrada narodowa, szpiegostwo. Jakkolwiek po stronie Pola stało poważne grono obywateli takich, jak: Ksawery i Edmund Krasiccy, Bruno Kozłowski, Edmund Kraiński, Nereusz Hoszowski, Janko, Ludwik Jabłonowski, Ignacy Komorowski, Tadeusz Żebrowski, Skrzyński z Zagórzan, ks. Władysław Sanguszko, Adam Kochanowski, obaj Trzeciescy, Prek, Edward Dulski, Rudzki i t. d. [3]); — pomimo takiego oparcia w społeczeństwie, Pol uznał, że dłużej milczeć wobec takich oskarżeń niepodobna i zwołał 16. maja zgromadzenie, czyli, jak się „Dziennik mód paryskich“ [4]) wyraża, „radę przyjacielską, aby w odpowiedź na nieprzyjazny poecie głos opinii wysłuchała opowiedzenia całego życia z własnych jego ust“.

O tej tragicznej iście scenie pisze Jan Zachariasiewicz w cytowanym już liście:

---

[1]) Notatka Kaczkowskiego p. t.: „Pol“. — Ms.
[2]) Co do tej rozmowy, patrz powyżej.
[3]) l. c. Ms.
[4]) Nr. 21 z dnia 20. maja 1848.

„Po „rabacyi“ [1]) przyjechał Wincenty Pol do Lwowa i zamieszkał w dworku na Zielonem. Chciał on się zetknąć z młodzieżą i zapewne z tego powodu zaprowadził mnie jeden z jego znajomych do niego. Byłem młodzieńcem, ale na rękawie miałem już szewrony więźnia stanu [2]). — Przebyłem już Szpilberg. Domyśliłem się, dlaczego „ulubiony poeta“ do siebie mnie zawezwał. Miałem między młodzieżą także sławę poety. Za więzienną kratą napisałem poemat, naśladując Goszczyńskiego, „Zamek Przemyski“. — Pol przyjął mnie bardzo serdecznie i zapytał, czy co piszę. Zarumieniłem się i przyznałem się do grzechu pierworodnego...

„Na drugi dzień siedzieliśmy obaj w altanie ogrodowej, a ja z rumieńcem na twarzy czytałem mu poemat. Pol słuchał z wielką uwagą. Kilka razy przyklasnął roztaczanym obrazom, chwalił to i owo. Wiele mówił potem o poezyi, a zakończył tem, że dla poezyi wielkiej czas albo minął, albo kiedy później jeszcze nastąpi. „Dzisiaj możemy tylko powtarzać na inną nutę to, co Mickiewicz, Słowacki, Zaleski, Goszczyński, tak potężnie już wyśpiewali. Szkoda czasu na powtarzanie lub parafrazy!“ Radził więc manuskrypt poematu schować na pamiątkę, a wziąć się do nauk ścisłych. W dalszych odwiedzinach moich zachęcił mnie do studyów historyi sztuki. I usłuchałem go, a w pół roku, po usilnych studyach, drukowałem w „Czasopiśmie Ossolińskich“, „Historyę architektury Egipskiej“. Wspominam o tem, bo to wchodzi do rozjaśnienia dalszych rzeczy.

„Od tego czasu był mój stosunek z Polem bardzo przyjacielski. Kochał mnie, jak syna, codziennie przybywałem do niego. — Pol był wtedy redaktorem „Czasopisma Imienia Ossolińskich“. Zdaje się, że Henryk książę Lubomirski, wraz z dyrektorem Kłodzińskim wskrzesili to miesięczne wydawnictwo w części dlatego, aby Polowi, który w roku 1846 wszystko, a nawet manuskrypta, utracił, dać jakie utrzymanie. Zresztą do takiego wydawnictwa był Zakład paragrafem statutu przez Ossolińskiego obowiązany. — X. Lubomirski Henryk rzadko we Lwowie przebywał. Zastępował

---

[1]) Pol, jak wiadomo, napadnięty został przez chłopów w domu Tytusa Trzecieskiego w Polance w Jasielskiem i srodze poturbowany i poraniony.

[2]) Aresztowany był — jak zaznaczyliśmy — w sprawie Gutha w Przemyślu.

go Jerzy [1]) i Kłodziński. Z tymi był Pol na bardzo dobrej stopie, wątpię jednak, aby jaki wpływ, poza pismem przez siebie redagowanem, wywierał na nich. Inni wyżsi urzędnicy Zakładu, literaci już sławy zdobytej, jak mi się zdawało, patrzyli na Pola z pewną ukrytą zawiścią nie tylko sławy redaktorskiej, ale nawet, co większa, znacznej, jak na owe czasy, remuneracyi tysiąca dwiestu złr.! Rzucano ramionami, że „poeta“ pismo naukowe redaguje. — Na takim gruncie gotowała się powoli opinia o człowieku, z której rok później usprawiedliwiać się musiał publicznie!

„Świeżo zapisał się był rok 1846 krwawem pismem. Więzienia były pełne. Z chwilowego przerażenia zaczął znowu naród ciężko oddychać. Oglądał i zaopatrywał rany swoje, złorzecząc sprawcom ukrytym. Gorętsze prądy przebiegały znowu po jego organizmie. Jedne, jako zabytki przebytej gorączki, błąkały się po dalszych arteryach, inne, młodsze, nieświadomie przeczuwały blizkie dziejowe katastrofy i gotowały się do przyszłej roli. Prądy te nie miały żadnej organizacyi — było to tylko pewne wrzenie nieświadomie zaniepokojonych umysłów. — I tak, gdy z jednej strony było doświadczenie świeżo nabyte, że samem wrzeniem niczego się nie dokaże, z drugiej strony stawiano to wrzenie jako symptom żyjących sił narodu i starano się je utrzymywać. Rozumie się, że nie było żadnych widomie kierowanych stronnictw, tylko odczuwano więcej takie kierunki. — Śród takich okoliczności, śród takiego wrzenia, ma naród za największą ze wszystkich zbrodni — zaprzaństwo. Tą zbrodnią szafuje hojnie na lada cień podejrzenia. Przewrotni zaś używają tej drażliwości społeczeństwa do swoich niecnych celów.

„Oto jeden przykład z owych czasów. Na scenie polskiej pojawił się młody artysta [2]), pełen wiary w swoje namaszczenie. Występy jego, osobliwie w rolach Szekspira, wzbudziły zdumienie. Cechował go pewien realistyczny kierunek, nieznany dawnej deklamatorskiej szkole. Obudziło to zawiść tych, którym nie był na rękę. Zrazu wystąpiła stronnicza krytyka, a gdy to nie pomogło, pewnego poranku okryły się mury miasta napisem: Dawison szpieg! To wystarczyło, aby pogrzebać artystę. Otrząsł z nóg swoich proch rodzinuy i kraj opuścił. W Niemczech zasłynął jako artysta genialny — a po wielu latach musieliśmy z Niemcami, jak

[1]) syn ks. Henryka, Jerzy Lubomirski.

[2]) Dawison Bogumił, ur. 15. maja 1818 w Warszawie, umarł 1. lutego 1872 w Dreźnie.

ongi o Kopernika, znowu wojnę prowadzić, że Dawison (nie) ich sława, że genialny artysta do nas należy, że jest Polakiem!

„Takie było tło ówczesnych stosunków naszych, gdy Pol rozpoczął redaktorską swą czynność. Osobiste doświadczenia krwawego roku odebrały mu nadzieję, aby samem konwulsyjnem drganiem coś zdziałać można w sprawie publicznej. Zachęcał więc do skupienia się na wewnątrz, do pracy. Z tem często odzywał się do młodzieży. I tak mnie zachęcił do studyów historyi sztuki, Kornela Ujejskiego, ówczesnego autora „Chorału“, namówił do wyjazdu do Paryża, aby tamże oddał się studyom ekonomii społecznej. Rozumie się, że w gorętszych sferach nie wzięto mu tego za dobre. Do tego przyłączyła się jeszcze jedna, bardzo charakterystyczna okoliczność.

„Pol od lat wielu pracował nad geografią. Ideałem geografii była wtedy u niego geografia Rittera. Ritter z geografią połączył całe przyrodoznawstwo. Otóż Pol, idąc za jego przykładem, zaczął się rozpatrywać w naukach przyrodniczych. — Dyrektorem Policyi był wtedy Sacher Masoch. Był to człowiek niepospolitej inteligencyi, w naukach przyrodniczych bardzo biegły. Wynalazł nawet pewnego chrząszcza, który dzisiaj u wszystkich przyrodników Europy figuruje jako: „Scarabeus Sacheri“. — Otóż tenże Sacher zbliżył się do Pola nie jako dyrektor policyi, ale jako uczony przyrodnik i oczarował go swoją nauką. Pol często o nim mówił i dziwił się tylko, że taki człowiek jest policyantem, a nie profesorem Uniwersytetu! Sprytny dyrektor policyi umiał nową swoją znajomość z popularnym, narodowym poetą dobrze dla siebie spieniężyć. Uczynił to w ten sposób, że gdy na rynku lub w miejscu najludniejszem Pola spotkał, biegł ku niemu, ściskał po przyjacielsku jego rękę, a ująwszy go pod ramię, przechadzał się z nim śród gapiących się tłumów. Poeta pocił się w tak nieprzystojnej dla siebie pozycyi, ale jako człowiek towarzyskiej ogłady, nie mógł w sposób obcesowy uwolnić się z takiego uścisku. — Ludzie patrzali na to, widzieli to, a w gorętszych sferach zaczęto o takim stosunku nie dobrze mówić. Wprawdzie „Pieśni Janusza“ chroniły poetę od kalumnii, nie wymieniono żadnego obelżywego słowa — ale ruszano głową i ramionami, co dla mniej w sądownictwie biegłych, a sercem gorętszych, wystarczało, aby przy sposobności — bez oskarżenia — wyrok ferować!

„Przyznam się, że byłem jednym z najbliższych Pola, że należałem do młodszych, a tem samem gorętszych — nigdy jednak nie dojrzałem, aby ktoś publicznie posądził go o jakieś czynności,

uwłaczające narodowi. — Przeciwnie, gdy nastał rok 1848 i marzec tegoż roku, Pol rozgorączkował się wraz z innymi, a nawet na „Zjazd słowiański“ w Pradze napisał pamiętny swój wiersz i oryginał X. Jerzemu Lubomirskiemu oddał, by go pobratymcom przeczytał. — Rozumie się, że i ja w owym gorącym roku od studyów historycznych uciekłem i do redagowania pisma politycznego się zabrałem.

„Śród nawału nowej pracy, śród pieśni i szałów patryotycznych straciłem na chwilę Pola z oczu, aż nagle doleciał moich uszu wstrętny głos: że Pol w obec zebranej publiczności chce się wytłumaczyć z zarzucanej mu zbrodni — służby u wroga!

„Pośpieszyłem do niego. Pytałem go, zaklinałem — milczał. „Przyjdź, a będziesz słyszał“ — odpowiedział.

„Nigdy nie zapomnę tej chwili. Doborowa publiczność zebrała się licznie. Pol stanął przy stoliku, jako obwiniony i składał spowiedź z całego życia. Co robił, co działał dla sprawy publicznej. Ze wstrętem odepchnął podejrzenia, jakoby służył wrogom.

— Takiem wyznaniem, zakończył, nie rozpoczyna się nowego życia, ale się je kończy!

„Bielowski wszedł na estradę i gorącemi słowy bronił poety i towarzysza.

„W końcu, wystąpiłem i ja w imieniu młodszych i z oburzeniem odepchnąłem od poety wszelkie niecne podejrzenia.

„Szajnocha nazajutrz w „Tygodniku polskim“ to samo uczynił. Na tem kończy się ta dziwna sprawa.

„Wspomnę tu jeszcze coś z zakończenia owych „rozkosznych dni“ naszych. Ówczesne rozkosze naszę zakończyły się w dzień zaduszny bombardowaniem miasta. Noc całą spędziliśmy z Kornelem Ujejskim pod bronią w legii akademickiej. Na drugi dzień zapalono miasto granatami i rakietami. Uniwersytet, akademia techniczna, stary teatr, ratusz były w płomieniach. Legion akademicki złożył broń na rozkaz Generała Gwardyi. — Z Kornelem Ujejskim przedzieraliśmy się przez tłumy pijanych żołnierzy do domu, w którym obaj mieszkaliśmy. Dotrzeć jednak tam było niepodobna. Zawróciliśmy do mieszkania Pola na górne wały. Zaledwie mogliśmy przebiedz przez rynek, parzeni płomieniem ratusza. — Pol z ponurym ogniem w oczach podał nam rękę. Nikt z nas nic nie wyrzekł. Facta loquebantur!

„Ściemniło się. Służący dał znać, że szczyt wieży ratuszowej się pali. Wyszliśmy na ganek.

„Był to okropnie piękny widok. Śród czarnych chmur biły płomienie z wieży w niebiosa. Był to niby olbrzymi ofiarnik starożytny z palącą się ofiarą!“

Przytoczyliśmy niemal w całości ciekawy list Jana Zachariasiewicza, maluje on bowiem wybornie atmosferę tych czasów, która też zapewne odstręczała Kaczkowskiego od występowania na polu politycznem i skłaniała do trzymania się na uboczu.

Wspomniany w liście Zachariasiewicza artykuł znajduje się istotnie w „Dzienniku mód paryskich“ w Nrze 21 z d. 20. maja 1848 [1]) w rubryce „Kronika tygodniowa“. Nie jest on podpisany przez Szajnochę, a czytając go, mógł sobie powiedzieć Pol: Broń mnie Boże od przyjaciół! Oskarżenie Pola o zdradę narodową nazwano tam wprawdzie fałszem, lecz z ubolewaniem podniesiono, iż poeta mógł tak długo tak ciężki zarzut znosić, a nie tylko znosić, lecz i „do jego odświeżenia nowe dawać powody“..... Autor artykułu wysnuwa ztąd wniosek, że poeta, mający duszę „zbyt miękką“, nie nadaje się do życia publicznego i radzi mu, aby pozostał tylko poetą, „służąc ojczyźnie tym darem, jaki mu niebo dało“.

O atmosferze ówczesnej i lekkomyślności, z jaką ciężkimi zarzutami „zdrady narodowej“ ośmielano się ciskać na ludzi zupełnie na to nie zasługujących, świadczy również polemika, jaka w jesieni tegoż roku wybuchła między dziennikiem zachowawczym „Polska“, a przeobrażoną z „Rady narodowej“ demokratyczną „Gazetą Narodową“. — Polemika ta zaostrzyła się do tego stopnia, że jeden z założycieli i protektorów „Polski“, Piotr Trzciński, nie wahał się w liście otwartym, zamieszczonym w tem piśmie, zarzucić głośnemu naówczas powieściopisarzowi, biorącemu przytem czynny udział w życiu publicznem, Józefowi Dzierżkowskiemu, głównemu współpracownikowi wychodzącej pod redakcyą Jana Dobrzańskiego „Gazety Narodowej“, że „o cenie pióra Dzierżkowskiego można się dowiedzieć w tajemnem archiwum gubernatora“. — Jakkolwiek życie prywatne Dzierżkowskiego ulegało z wielu stron krytyce, to wszakże powyższy zarzut był najzupełniejszym fałszem, który też

---

[1]) „Dziennik mód paryskich“ dopiero od 1. lipca tegoż roku zaczął się ukazywać pod zmienionym tytułem „Tygodnik Polski“.

energicznie odparli w „Tygodniku polskim“ [1]) w artykule p. t.: „Głos sumienia w sprawie Józefa Dzierżkowskiego“ tacy ludzie, jak: Bielowski, Cięglewicz, Kamiński, Kłodziński, Pilat, Pol, Szajnocha, Ujejski, Zachariasiewicz i inni. Podpisu Kaczkowskiego tu nie widzimy.

Wyjście Kaczkowskiego z więzienia przypadło na chwilę ogólnego zapału we Lwowie. Już dnia 18. marca 1848 roku doszła tu wiadomość o proklamacyi Cesarza Ferdynanda, odczytanej dnia 15. marca zgromadzonym tłumom przed rezydencyą cesarską, a obwieszczającej wolność prasy, zniesienie cenzury, utworzenie gwardyj narodowych, wreszcie powołanie wzmocnionych Stanów w celu podjęcia obrad konstytucyjnych. — Gubernator hr. Stadion, przyjmując deputacyę pod wodzą ks. Leona Sapiehy, która wręczyła mu adres do Tronu, oświadczył, że na razie odpowiedzieć już może dodatnio na dwa postulaty z 13 punktów, zawartych w adresie, a mianowicie, że gwardya narodowa natychmiast będzie utworzona i że więźniowie stanu, zanim przyjdzie odpowiednia rezolucya z Wiednia, zostaną uwolnieni tymczasowo za poręką dwóch właścicieli dóbr za każdego. Poręczycieli nie zabrakło; zgłaszano się gromadnie, a tłum pośpieszył do więzienia Maryi Magdaleny, zkąd wypuszczano więźniów, witanych radosnymi okrzykami. Z dorożek, któremi ich wieziono, wyprzęgano konie, a całe miasto zajaśniało wieczorem rzęsistą iluminacyą.

Wśród takiego to entuzyazmu, blasków świetlanych i okrzyków, pełnych zapału, opuszczał Zygmunt Kaczkowski wraz z ojcem celę więzienną. Opuszczał ją niewątpliwie z radością, ale dwuletnia niewola musiała w duszy jego wywołać przygnębienie, które sprawiło, że w ciągu tej „wiosny narodów“ i całego roku nie spotykamy jego nazwiska w czynnem działaniu społeczeństwa, przejętego gorącym zapałem i żądzą wytworzenia sobie jak najlepszych warunków istnienia i rozwoju.

W. Korotyński w swej już wielokrotnie przez nas cytowanej rozprawie „O Autorze“ [2]) sam przyznaje, że „ruch panujący podówczas w całej Europie, nacechowany widocznym stemplem wypadków lutowych zaszłych w Paryżu, nie znajdował już w Kaczkowskim zbyt łatwowiernego i zbyt żarliwego zwolennika. Przytacza przytem jego własne słowa, wydrukowane na początku I. Tomu

[1]) Nr. 37 d. 9. września 1848.
[2]) str. 260, 261.

„Dzieł“ w wydaniu Ungra, w przedmowie p. t.: „Od Autora“ [1]), a przyznające otwarcie, że nie podzielał „konwulsyjnego zapału“ i „spostrzegał z boleścią, żeśmy się nie tylko w dążeniach ogólnych dali porywać prądom nam obcym, ale co większa, że w naszych szczegółowych czynnościach brak doświadczeń, jakie na nas nasza ośmiowiekowa przeszłość przelała, niemal na każdym kroku uczuwać się dawał“.

Słowa te, bardzo trzeźwe, wypowiedziane w roku 1862, podczas uwięzienia ponownego we Lwowie, i tem usprawiedliwione, musiałyby mocno zadziwiać w roku 1848 w ustach młodego człowieka, który przed dwoma laty dawał się porwać propagandzie braci Wiesiołowskich i rzucił się bezkrytycznie w wir beznadziejnej walki. Zdaje się być wszakże rzeczą pewną, że Kaczkowski w roku 1848, jako młodzieniec dwudziestokilkoletni, tak niedawno chętnie „spiskujący“, pozostał zimnym w chwili ogólnego rozpłomienienia w Europie haseł wolności i nie brał widocznego udziału w przedsiębranych podówczas w kraju usiłowaniach na drodze legalnej. W tych działaniach nie spotykamy nazwiska Zygmunta Kaczkowskiego. „Nasze usposobienie dla r. 1848 było bardzo chłodne“ przyznaje sam Kaczkowski w swych późniejszych notatkach [2]).

Korotyński [3]) twierdzi jednak, że Kaczkowski na wezwanie władzy centralnej (jakiej? — zapewne Rady narodowej lwowskiej), udał się w Sanockie i zawiązał tam Radę narodową, której prezesem jednomyślnie go obwołano, że był również jednomyślnie mianowany delegatem na Zjazd słowiański w Pradze, a także organizatorem konnej gwardyi sanockiej, że wreszcie sprawował inne pomniejsze obowiązki publiczne. Na to wszystko nie przytacza Korotyński żadnego dowodu; my też nie znajdujemy w pismach ówczesnych ani śladu tych czynności. Podobne szczegóły podaje tylko sam Kaczkowski w swoim rekursie, wniesionym, jak to później zobaczymy, do Rządu Narodowego w Warszawie w styczniu roku 1864. Te jednak szczegóły, przytoczone na dowód uczuć patryotycznych, bynajmniej stwierdzone nie są. — Natomiast zdaje się, że do organizacyi Rady narodowej w Sanoku, jak i w innych miastach prowincyonalnych nie przyszło; a o udziale Kaczkowskiego

[1]) str. 4.
[2]) Not. p. t. „Pol“. Ms.
[3]) „O Autorze“ str. 261.

w kongresie praskim, otworzonym dnia 31. maja, a zakończonym bombardowaniem Pragi, nigdzie wzmianki niema; delegatem na ten Kongres z ramienia lwowskiej Rady narodowej był Franciszek Smolka; o formowaniu konnej gwardyi sanockiej także w źródłach głucho; jakie zaś pomniejsze obowiązki publiczne mógł podówczas sprawować Kaczkowski, również niewiadomo. To pewna, że w Sanockiem znaleźliby się niewątpliwie wiekiem i zasługami od Kaczkowskiego, który liczył podówczas zaledwie lat 23, poważniejsi i odpowiedniejsi na stanowiska takie, jak prezesa Rady narodowej lub delegata na kongres praski. Prawdziwym jedynie zdaje się być wniosek, że Kaczkowski, chociaż może nie powodował się podówczas tak trzeźwemi zapatrywaniami, jak te, które wygłosił w dwanaście lat później, siedząc w więzieniu, to jednak pod wpływem łatwej do pojęcia depresyi po przebytym ciężkim procesie o zdradę stanu, a może zniechęcony tą atmosferą, jaka dała się odczuć w skreślonych powyżej sprawach Pola i Dzierżkowskiego, wolał pozostać na uboczu, w Bereźnicy, i nie mieszając się do politycznych działań, pisać — poezye.

Niezbyt prawdopodobnem zdaje się być również twierdzenie Korotyńskiego, jakoby Kaczkowski po znanych wypadkach i zbombardowaniu Lwowa w d. 1. listopada 1848 roku, musiał „kryć się przez kilka miesięcy po wioskach“, gdyż w tym właśnie roku, wraz z Ludwikiem Skrzyńskim, współpracował w piśmie zachowawczem, ultraszlacheckiem, przez koła ziemiańskie założonem, p. t. „Polska“, które potem zajęło stanowisko bardzo opozycyjne[1]), a sam Kaczkowski przyznaje w swym „Pamiętniku“ [2]), że w jesieni tego roku siedział w Bereźnicy i tam nawet przyjmował w swym domu dawnego kolegę, niepoprawnego propagatora idei rewolucyjnych, Gosslara. — Może też pod tym wpływem, Kaczkowski ze współpracownika ultrakonserwatywnego pisma, które również zmieniło barwę, stał się wyznawcą zasad bardzo liberalnych.

O wewnętrznym, duchowym nastroju Kaczkowskiego w tych czasach, zgoła odmiennym od słów trzeźwych, wypowiedzianych w lat kilkanaście później, świadczą natomiast wiersze jego, zamieszczane w roku 1848 w „Dzienniku mód paryskich“, który wkrótce

[1]) Stulecie „Gaz. Lw.“ Tom I., str. 124.
[2]) str. 134.

potem z dniem 1. lipca miał zmienić tę nazwę, „jako nieodpowiednią swej treści“, na „Tygodnik Polski“.

Dnia 21. marca odbywało się we Lwowie w kościele OO. Dominikanów nabożeństwo żałobne za poległych w d. 13. i 14. tegoż miesiąca Wiedeńczyków, w czasie ulicznych rozruchów w stolicy państwa. Nabożeństwo było niezmiernie uroczyste; kościół był pełny. Przybyły tam również dwie kompanie rekrutującego się w Wiedniu pułku Deutschmeistrów. Przyjęto je owacyjnie, a gdy wychodziły z kościoła, rozległy się gromkie okrzyki: „Niech żyją Niemcy! Niech żyją Wiedeńczycy! Niech żyją bracia nasi w wolności!“ — Na co odpowiedzieli żołnierze okrzykiem: „Niech żyją Polacy!“ I rzucono się sobie w objęcia.

Otóż w numerze 13 wspomnianego czasopisma z dnia 25. marca, zaraz po entuzyastycznym opisie tej uroczystości Mieczysława Darowskiego, znajdujemy wiersz M. G. Saphira, poświęcony uczniom szkół wiedeńskich, w przekładzie Zygmunta Kaczkowskiego, p. t. „Młodzież akademicka przy pogrzebie walecznych“. — Pierwsza strofa brzmi:

Z sztandarem skłonionym i bębnem zgłuszonym,
Ze łzami kroczymy w olbrzymich mar ślad,
Na marach tych leży sam wybór młodzieży
Walecznych, poległych we wiośnie swych lat;
Zginęli, zwycięzcy, — wsławili swą broń,
Bo rany okryły ich piersi i skroń!

W. Korotyński w cytowanej już kilkakrotnie rozprawie swej „O Autorze“ podaje, że Kaczkowski, siedząc w więzieniu, nie tylko wiele książek czytał, ale bawił się również pisaniem wierszy, które przez odwiedzające więźnia kobiety rozchodziły się po Lwowie i czyniły mu rozgłos.

W notatkach rękopiśmiennych Kaczkowskiego [1]) znajdujemy w tym przedmiocie taki ustęp:

„W roku 1847, kiedy siedziałem u Maryi Magdaleny z Lonszanem (Longchamps), Pol nas często odwiedzał. Opisywałem wówczas na świstkach sceny z powstania, wierszem i prozą i te świstki się rozchodziły po mieście i kraju. Niektóre z nich przemycała pani Grocholska, matka X-żnej Witołdowej Czartoryskiej, wysoka, w niebieskich okularach, gorąca, egzaltowana patryotka, która mie-

[1]) Notatka p. t. „Pol“. Ms.

szkała w pałacu Baworowskich, leżącym naprzeciwko naszego więzienia. Inne sam przewoziłem do mego ojca, który siedział u Brygidek z Michałem Wiesiołowskim, Henrykiem Rogalińskim i Tymoteuszem Skrzyńskim, a którego wolno mi było w zamkniętym powozie raz na tydzień odwiedzać. Ztamtąd była łatwiejsza komunikacya ze światem. Niektóre zabierał Pol, ale w domu je czytał, nie puścił pomiędzy ludzi i często mi robił uwagi. Znaczna dawniej różnica wieku, teraz już się prawie wypełniła, uważaliśmy się za kolegów więziennych, którzy się między sobą tykają, a Pol w swojej dobroci serca przyjął mnie na podstawie owych świstków do braterstwa po piórze, chociaż mnie nazywał „podlotkiem“. Mieliśmy niejednokrotnie długie polityczne dysputy, w których Pol wprawdzie demokracyi wyrzutów nie szczędził, nazywając jej przewodników „ciemięgami“ i „tumanami“, ale był dobrej myśli i bardzo ożywiony, bo wtenczas był ruch patryotyczny we Lwowie wywołany przedewszystkiem patryotycznymi ruchami we Włoszech. Pamiętna jest rola Piusa IX. w tych czasach. Jakoż Pol mawiał: Bóg wielki! Całe strumienie krwi przelano, ale kto wie jeszcze, co wyrośnie z tego posiewu. Opatrzność dała Kościołowi wielkiego Papieża. Kościół otworzy nam bramy wolności. Pol nie był komedyantem, jak Krasiński, wszystko u niego było szczere i szło prosto z serca“.

Być też bardzo może, że jeżeli nie wszystkie, to część tych wierszy, w więzieniu pisanych, ukazała się wkrótce potem w „Dzienniku mód paryskich“. Bezpośrednio po owym przekładzie wiersza M. G. Saphira, w numerze 14 tegoż czasopisma z dnia 1. kwietnia, znajdujemy oryginalny wiersz Zygmunta p. t.: „Jeszcze Polska nie zginęła“, pisany w roku 1847, w nastroju dość chłodny, a bynajmniej nie zalecający się formą, z powtarzającą się zwrotką:

„A młodzież nasza, zdolna do pałasza,
„Kraj zalany krwią i łzami, zasłoni piersiami!“

Nie odznacza się również poetyckim polotem wierszowana „Fantazya“, wydrukowana w Nrze 31 „Tygodnika Polskiego“ z d. 29. lipca 1848, jakkolwiek przepojona jest uczuciem patryotycznem. Autor ubolewa, że „dziewice polskie, zamiast z wieńcami fiołków i róż, weselić się wiosną wśród gajów i zbóż“, muszą w żałobnych szatach, chodzić łzy ronić na cmentarz i groby. Ale Bóg jest wielki — woła poeta — położył już kres mękom, „gdy

nas wziął z za krat“. Ten Bóg zbawi Polskę „jeśli nie ludem, to cudem“ i dla ludów polskich zakwitnie wiek złoty.

„A wtedy te barwy ojczyste, te trzy,
Ten szafir, co w oczkach się twoich dziś szkli,
Ta biała co w licach — i piękny rumieniec
Okolą kraj cały, w tęczowy barw wieniec.
Więc oczka z szafiru, te twoje, te dwa,
Tak jasne i szklące, jak szklącą jest łza;
Te oczka z rumieńcem i lic twych bielizną (sic!)
To barwy — co błyszczą nad moją ojczyzną“.

O wiele lepszym jest wiersz trzeci, umieszczony w tymże roczniku „Tygodnika“ Nr. 37, z 9. września p. t. „Do wieszczów polskich“. Poeta, zwracając się do „wieszczów starej sławy“, zapowiada na wstępie, że „głos jego będzie łzawy“,

„Boście nam młodszym, wy i wam rówieśni,
Wszystkie wesołe wyśpiewali pieśni.
Niema już dla nas w polskich ustach słowa
Do tak wesołej, jak wasza piosenki;
Niema już zwycięztw Wawru i Grochowa,
Co was stroiły w mile brzmiące dźwięki.

Na ziemi zlanej krwią i łzami, ucichły śpiewy. Ze świetnych stolic czarne sterczą mury; w spalonych dworach i świątyniach zniszczonych słychać tylko jęki i modły rzewne niewiast i sierót.....

„Na łanach naszych jeszcze gad się plemi.
Na dolnej warstwie, ułowiony w matnią,
Leży lud - Kaim zbroczony krwią bratnią.

Zbutwiałe szczątki kości polskich, ogniwa kajdan i mury więzienne, to pamiątki dla wnuków, a dla nas smutne na przyszłość wspomnienia. Żałosne jęki pogrzebowych dzwonów, to pieśni nasze.....

„.....A gdybyśmy jeszcze
Chcieli wyciągnąć struny dźwięcznej lutni,
Gdybyśmy chcieli wszystkie czucia wieszcze
W wasze wlać serca, o słuchacze smutni!
To jak dzień boży, jak wędrówka słońca,
Pieśń męki polskiej byłaby bez końca.

Wiersz ten, pisany, jak sam autor zaznaczył: „Nad Sanem d. 2. lipca 1848“, a zatem zaledwie w parę miesięcy po wyjściu z dwuletniego więzienia, przepojony widocznie świeżemi wrażeniami doznanych utrapień i dlatego wyższy jest o wiele uczuciem i nastrojem.

Znacznie znów słabszym jest wiersz czwarty w numerze 40 „Tygodnika z dnia 30. września 1848 zamieszczony, p. t. „Polska i Ty“. — Tchnie on wprawdzie gorącem, choć nieco teatralnem uczuciem patryotycznem, a także miłością do jakiejś, zapewne wyśnionej, kochanki:

„W sercu stęsknionem Polska i ty!
W oczach mych tylko dwie wieczne łzy!
Dwie łzy za Polską tylko i tobą!...
I uczuć dwoje w piersi mej gości,
I westchnień dwoje z dwoją (sic!) żałobą,
I dwie po Bogu dla was miłości!
Dla was ma każda kropelka krwi,
Wszystkie westchnienia, pieśni i łzy!

W tymże samym roczniku znajdujemy parę utworów Zygm. Kaczkowskiego prozą, a przedewszystkiem w numerze 15 z dnia 8. kwietnia 1848: „Obrazek z powstania r. 1846“. — Wprowadza nas tu autor pod koniec zimy tego roku do staropolskiego dworu widocznie zamożnego szlachcica, 80-letniego starca, zgnębionego wiekiem i niemocą, a żyjącego już tylko świetlanemi wspomnieniami młodości i walk przebytych czy to w Hiszpanii i S. Domingo, czy w wyprawach napoleońskich, czy na polach Grochowa i Ostrołęki, Wszędzie tam był on i wszędzie walczył w imię jednej nadziei i w jedynym celu, a zawsze z jednakim, nieszczęśliwym rezultatem. Toż nie dziw, że gdy do jego dworu przybywa kilku młodzieńców, aby zabrać syna jego, jedynaka, do szeregów powstania, gdy mu zwiastują o naznaczonym na dzień 21. lutego terminie wybuchu, i prawią mu o swych różowych nadziejach, „że lud się ruszy“, tylko należy mu dać wolność i pańszczyznę darować — nie dziw, że doświadczony starzec nie zdaje się zbyt podzielać tych nadziei, a z pewnem zdumieniem słucha o „darowaniu“ pańszczyzny. Nie sprzeciwia się jednak wcale i byle tylko okupić wolność ojczyzny, gotów jest ponieść najcięższe ofiary. To też syna jedynaka nie próbuje nawet powstrzymać, owszem błogosławi go i daje mu na tę walkę „kord, który przeszło lat czterdzieści jego nie odstępował boku“. — Nie minęła doba, a obraz

całkowicie się zmienia. Dwór staropolski zniknął bez śladu, stoją tylko poczerniałe mury i zgliszcza dopalających się gospodarskich zabudowań. A na dziedzińcu, leży, obok wiernego sługi, który pana własnemi osłaniał piersiami, trup starca, właściciela domu, z roztrzaskaną czaszką i odciętą ręką... A wokół hula pijana tłuszcza rozbestwionego chłopstwa. „Nad całym tym zaś krwawym obrazem szeroka rozpięła się łuna na niebie“.

Fragment ten, kreślony gorąco, widocznie jednak nie z własnej obserwacyi, lecz z opowiadań innych, a przeto bez należytej plastyki, osnuty jest niewątpliwie na fakcie zamordowania w Siedliskach Stanisława Bogusza, ośmdziesięciokilko-letniego starca, niegdyś sekretarza Stanisława Augusta i uczestnika Wielkiego Sejmu. W czasie tej okrutnej rzezi, pod wodzą krwawego Szeli, zginęło wówczas oprócz owego starca Bogusza, jeszcze pięciu członków tej rodziny.

Pod temże samem wrażeniem kreślone są dwa wspomnienia pośmiertne: Kajetana Dydyńskiego [1]) i Pauliny z Dulębów Boguszowej [2]). — Jak Dydyński, tak i Boguszowa, to pośrednie ofiary 1846 roku. Pierwszy, ujęty wraz z bratem przez chłopów, odbył kilkunastomiesięczne więzienie we Lwowie, poczem skazany został na karę fortecy w Szpilbergu. Wypuszczony na wolność wskutek amnestyi, nie długo z tej wolności mógł korzystać. Nabawiwszy się w więzieniu choroby piersiowej, zmarł d. 14. września 1848 r. w Sielnicy.

Paulina Boguszowa, urodzona w roku 1813 w Jaworniku, w obwodzie sanockim, należała, wedle relacyi Kaczkowskiego, do tych niewiast, które w ówczesnym ruchu i przygotowaniach do powstania żywy brały udział. Mąż jej, ojciec i brat dostali się do więzienia; ojca uwolniono, lecz męża skazano na lat 12, a brata na lat 10 fortecy w Szpilbergu, ją zaś zamknięto u Maryi Magdaleny we Lwowie. „My wszyscy, pisze Kaczkowski, — kiedy niejakie poczyniono w tem więzieniu ulgi i kiedy komunikacya między więźniami łatwiejszą była, byliśmy świadkami jej niezłomnego charakteru i poświęcenia“. Wkrótce po uwolnieniu z więzienia, zapadła na zdrowiu i dnia 9. września, mając zaledwie lat trzydzieści kilka, zakończyła życie.

---

[1]) „Tygodnik Polski“ Nr. 32 z 5. sierpnia 1848.
[2]) Tamże Nr. 39 z 23. września 1848.

Oba te wspomnienia, zarówno jak i przytoczony powyżej „Obrazek z powstania“, pisane są stylem nieco nienaturalnym, napuszonym, nie bez błędów językowych. W „Obrazku“ n. p. „starzec nie wypuszcza z ręki kord (sic!), który od lat czterdziestu „nie odstępywał“ (sic!) od jego boku“.

Dziwnie nieudolnym i świadczącym dobitnie o braku wszelkiego poetyckiego polotu, jest wiersz Kaczkowskiego p. t. „Rendez-vous“, zamieszczony w numerze 3 „Tygodnika Polskiego“ z d. 20. stycznia 1849. Jest to wiersz niby miłosny, pisany do jakiejś kobiety, z którą się żegna i naznacza jej schadzkę w świecie myśli, na szczytach Tatr, gdzie on, poeta, „z orłem kołuje“, w starych świątyniach Krakowa i nad brzegami Wisły, u grobów królewskich i na ukraińskich stepach, gdzie brzmią piosenki Padurry i dumy kozackie, lub wreszcie w kaźniach niewoli i lochach ciemnych. — „Tam wyleć ty myślą! — woła autor — tam wybież w noc ciemną! I szukaj mnie tylko, to zdybiesz się (sic) ze mną“. — Ale owa niewiasta, chociaż czuła, bo przy tem pożegnaniu „oko jej w łzach moknie“, nie musiała być zbyt gorącą patryotką, bo poeta powiada:

„A jeśli twą miłość dla kraju rozniecisz,
I z taką miłością w świat myśli wylecisz
To w pieśniach, marzeniach i snach
Zdybiemy się wszędzie!...

I ten niefortunny czasownik raz jeszcze na zakończenie powtarza poeta: „Zdybiemy się wszędzie!“

Myśl wiersza, jak zawsze, gorąco patryotyczna, wyrażona w kunsztowniejszej formie, mogłaby się podobać. W tym kształcie, jak została podana, nie wzrusza. Nie rozczula nas ani to oko niewieście, które w łzach „moknie“, ani owo „zdybanie się“ w sferze uczuć patryotycznych.

Tym wierszem pożegnał się Kaczkowski z „Tygodnikiem Polskim“, który wkrótce potem d. 17. lutego 1849 zawiesił swoje wydawnictwo.

Nie pożegnał się jednak, niestety, z poezyą. Bo oto już w 1 numerze „Pamiętnika Literackiego“, który dnia 5. kwietnia zaczął wychodzić pod redakcyą profesora literatury polskiej na Uniwersytecie lwowskim dr. Jana Szlachtowskiego, znajdujemy poemat biblijny Kaczkowskiego p. t. „Niniwe“, opiewający przygodę Jonasza na morzu, występki i nawrócenie się grzesznego miasta, pod

wpływem głosu proroka i pod grozą gniewu Jehowy. Zestawiwszy ten poemat z „Melodyami biblijnemi“ Ujejskiego, które właśnie od roku 1845 do 1850 poczęły się ukazywać, przekonamy się łatwo, o ile niezdarnem było to naśladownictwo pięknych poezyj Kornela. Bo niewątpliwie była w tem chęć naśladownictwa natchnionych utworów dawnego przyjaciela, z którym właśnie w tym czasie, wedle własnego wyznania Zygmunta [1]), poczęły psuć się dotychczasowe ścisłe stosunki. Może nie tylko była tu chęć naśladowania, lecz i prześcignięcia twórcy „Melodyj“, co się jednak sromotnie nie udało. Zwraca też uwagę w tym utworze Kaczkowskiego usiłowanie tworzenia nowych wyrazów, niby na podobieństwo Krasińskiego. Czytamy tam o „gwieździe rozgrzechu“ i że lud Niniwy nie chciał „odślubić“ swej wiary pogańskiej. Mamy i inne „kwiatki“ stylistyczne, jak n. p. że niegodziwy lud w Niniwie sprzedawał „ubogie za bóty“ (sic!), czytamy o wyniosłym orle, „gdy wskrzydli się w chmurę i w ziemię ognisty wzrok wmiesi“; czytamy o „losach rozskutych“, które nieboraka Jonasza „wyrzucają w morze“ i t. p.

Znacznie lepszym i w tonie i formie jest poemacik historyczny, zamieszczony w numerze 4 „Pamiętnika“ z dnia 26. kwietnia 1850 p. t. „Herburt“. Opiewa on bohaterską śmierć rycerza Herburta pod Sokalem w boju z Tatarami. Widocznie sam przedmiot bardziej tu zajmował i przejmował autora, niż przygody Jonaszowe we wnętrzu wielorybiem.

Trzymany w tonie epickiej opowieści, kończy się ten utwór istotnie ładną apostrofą:

„O, Polsko, Polsko! kiedyś światem władła,
To twoje dzieci tylko ludźmi byli —
Miewali serca i sercami żyli,
A tyś im serca brała i w grób kładła..,
Lecz kiedy ludzi brakło — tyś upadła!“

Wiersz następny, pisany w roku 1849, a umieszczony w temże czasopiśmie z dnia 3. maja roku następnego [2]) p. t. „Dwie Gwiazdy“, wyraża pragnienie zerwania z „gwiazdą starą, która nad

---

[1]) Patrz powyżej przytoczony list do prof. Ksawerego Liskego, w którym to liście mówi Kaczkowski o Ujejskim: „Niegdyś (1845 do 1850) mój bliski przyjaciel“.

[2]) Nr. 5.

przeszłością świeci; niech ona tam promienieje, gdzie się ojce do snów kładą, pośród mieczów rdzy i pleśni". Natomiast poeta wzywa gwiazdę nową, która zajaśniała

„Nad krwią naszą, łzą sieroty,
Nad kościami ległych w polu,
I nad pieśnią harfy bolu,
I pod dymem zgorzeliska..."

Kończy się ten wiersz wezwaniem ducha „z krwi ochrzczonego", z wieńcem cierniowym u czoła, aby przybył z wyżyn i „zaświecił zblizka".

Wiersz, nie odznaczający się formą, w treści jest o tyle znamienny, że wyraża ową depresyę, o której wzmiankowaliśmy powyżej, a która spowodowała usunięcie się Kaczkowskiego od działań politycznych. Odpycha on od siebie w tym wierszu „widma śpiące i wybladłe", widma przeszłości, „starych światów", a przyzywa „nowej gwiazdy" i „nowego ducha".

W numerze 9 „Pamiętnika Literackiego" z 31. maja 1850, znajdujemy wiersz p. t. „Zapomnieni", poświęcony spoczywającym na starym cmentarzu „sercom bez sławy". Ciała tych zmarłych, wyniszczone pracą, okryte siermięgą, skórzanym opasane pasem, spoczywają w zapomnianych grobach, a duchy śnią o ciężkiej, przebytej przeszłości, jakto im zbiegło życie „w piwnicach zamków i w grodów okopach, ogromnych basztach, stawianych na chłopach umarłych w pracy i skutych w łańcuchy..." Poeta rozczula się, że przy trumnie takiego nędzarza „światła nie rozgorą, ani uderzą kapitulne dzwony

„Ni hymn zanucą mnichy nocną porą,
Ni mów pochwalnych nie zrzucą z ambony, —
Ni ostre kopije tam kruszone będą,
Ani posągi mu na grobie siędą!

I woła w żalu:

„Takie to życie było tych milionów!"

Lecz oto „nad przeszłością tą ciemną i smętną, świt się podnosi... We krwi pokoleń poczyna bić tętno i bije w przyszłość". Ale chociaż duch dobry błyśnie ludom nad chatami, chociaż ze-

trze chmury czarne i spłynie na ziemi promieniem słonecznym, to pójdzie w światy żywe, omijając cmentarze stare:

„I nie powskrzesza tam zamkniętych cieni —
Oni na całą wieczność — zapomnieni!

Wiersz to charakterystyczny dla tej epoki, pełen uczucia dla siermiężnego ludu, uczucia, które natchnęło punkt 12 złożonego d. 22, marca na ręce gubernatora Stadiona adresu do Tronu o uwolnienie chłopów od pańszczyzny i powinności poddańczych, uczucia, które spowodowało Radę Narodową do wezwania właścicieli ziemskich, by wyprzedzili rząd w zniesieniu pańszczyzny i które skłoniło ku temu natychmiast takich obywateli, jak: Wiktor Wiśniewski w Strzeliskach, Karol Bogdanowicz w Laszkach murowanych, Chojecki w Pustomytach, Czerwiński w Remizowcach, K. Miączyńska w Tyśmienicy, Henryk Janko w Hoszanach i Włodzimierz Dzieduszycki w Zarzeczu. Rzecz dziwna, że Schnür-Pepłowski, wymieniając nazwiska tych ofiarnych patryotów-filantropów [1]), przepuścił nazwisko Ferdynanda Cieleckiego, właściciela Byczkowiec i Skorodyniec, którego piękny list „do kochanych braci włościan" ogłosił „Dziennik mód paryskich" w numerze 17 z dnia 22. kwietnia 1848 r. — W liście tym Cielecki wymienia przedewszystkiem to, co przez lat 20 zarządu swoim majątkiem uczynił dla włościan, dotychczasowych swoich poddanych. Oto z własnych funduszów ufundował gminną kasę pożyczkową, która udzielała chłopom pożyczek, spłacalnych procentami; w każdej gminie dla dzieci włościańskich urządził szkółki; dbał o zdrowie poddanych, sprowadzając im lekarstwa i doktorów; przeprowadził regulacyę gruntów chłopskich, zmniejszył wreszcie obowiązki pańszczyźniane tak, że ci, którzy pracowali dawniej po dni 104 w roku, odrabiają teraz po dni 81, a obowiązani przedtem do 81 dni roboczych, pracują teraz tylko dni 52. Wspomniawszy w dalszym ciągu o wniesieniu na ręce gubernatora adresu do Tronu z żądaniem zniesienia pańszczyzny, oświadcza w końcu Cielecki, że zanim to nastąpi, on już od „dnia dzisiejszego nie żąda od chłopów roboty za pańszczyznę", prosi tylko, aby za pieniądze, wedle mającej się zawrzeć ugody, pracowali dalej uczciwie dla dzierżawcy, który zarząd majątku obejmuje. Piękny ten, prawdziwie obywatelskim duchem przepojony list swój podpisał Ferdynand Cielecki: „Wasz brat, sąsiad

[1]) Z przeszłości Galicyi. Tom II. str. 252.

i żołnierz gwardyi narodowej". Jest to niewątpliwie jeden z najcharakterystyczniejszych dokumentów tej epoki.

Dokumentów podobnych zresztą nie braknie, przechowanych na łamach „Dziennika mód paryskich", a później „Tygodnika Polskiego". Artykuły redakcyjne, korespondencye, głosy kobiet, żądające zreformowania strojów i ścisłej oszczędności, aby ułatwić mężom zniesienie pańszczyzny, — wszystko to tchnie podobnym duchem ofiarności i szlachetnego czynu. — Ów wiersz Kaczkowskiego o „Zapomnianych" jest słabiuchnem echem pewszechnego zapału.

Aby raz skończyć z poezyami Kaczkowskiego, zaznaczamy jeszcze pokrótce, że w tymże roczniku „Pamiętnika Literackiego" jest krótki wierszowany obrazek p. t. „Sielanka" [1]), przedstawiający, na tle wiejskiego krajobrazu, starców „na wymarciu", gwarzących smutnie „pod lipami, przy kamiennym stole". Obrazek, nie odznaczający się znaczniejszemi zaletami, — dość banalny. — Z początkowych czterech scen dramatu p. t. „Dwa pokolenia" [2]) trudno sądzić, czem miała i mogła być całość. — W scenach tych, kreślonych dość gładkim wierszem, występuje stary szlachcic - demokrata p. Jan i jego, zdaje się, zacny bratanek Adam, oraz jako kontrast brat Jana, Kazimierz, niegdyś dworak z czasów Stanisława Augusta, i syn jego Artur, obaj lekkomyślni utracyusze, obdłużeni po uszy, a spekulujący na małżeństwo z córką jakiegoś księcia, owdowiałą hrabiną. Obok tych głównych, zarysowują się epizodyczne postacie, blagiera kapitana i żyda lichwiarza Aarona. — Żadna z tych osób nie budzi szczególniejszej sympatyi czytelnika, ani pan Jan, widocznie stary kawaler, który w długiej tyradzie na wstępie, wypowiada swą niechęć do niewieściego rodu oraz zawziętą nienawiść do brata Kazimierza i jego syna, ani ów stary dworak pan Kazimierz, tytułujący się hrabią, ani jego lekkomyślny synalek, ani bezczelny kłamca-pieczeniarz, zażarty antysemita kapitan. — Scena pierwsza dzieje się w pokoju starego dworu wiejskiego u pana Jana; zaraz w następnej scenie dekoracya się zmienia i rzecz odbywa się w salonie domu p. Kazimierza. Jestto dopiero zaledwie ekspozycya; akcya nierozwinięta, nie daje zresztą pojęcia o sceniczności dramatu.

[1]) Nr. 12 z 21. czerwca 1850.
[2]) Nr. 17 i 18 z 20. lipca i 18. sierpnia 1850.

Tenże sam rocznik „Pamiętnika Literackiego" zawiera kilka utworów Kaczkowskiego prozą, a mianowicie parę krótkich rozprawek, parę rozbiorów krytycznych, powiastkę p. t. „Braciszek" i niedokończoną, a na większe rozmiary widocznie zakrojoną powieść p. t. „Dziedzic Strwiążyka".

W numerze 15 z dnia 12. lipca 1850 znajdujemy rozprawę p. t. „O walkach umysłowych", czyli o ścieraniu się wzajemnem rozmaitych prądów czy poglądów tak jednostek, jak i stronnictw w społeczeństwie. Kaczkowski walczy tu ze „wstecznikami", utrzymującymi, jakoby te zapasy jednostek, czy stronnictw, były skutkiem niedojrzałości ducha narodowego. Autor, występując jako rzecznik „postępu" wobec „wstecznikow", utrzymuje, że owe „walki umysłowe" są zasiewem, przynoszącym bogaty plon ludzkości, a społeczeństwom nową formę, jest to objaw wielkiej wojny „o nowy porządek świata". — Artykuł ten, będący jakby manifestacyą liberalnych pojęć, niczem zresztą się nie odznacza, prócz chyba błędami stylu i języka. Mamy tu znowu niemiły czasownik „zdybać się"; jest kilkakrotnie mowa o „namiejętnościach" w walce i o „ustępywaniu" od zdań i t. p.

Dalszym niejako ciągiem tej rozprawki „O walkach umysłowych" jest artykuł p. t. „O powołaniu pism czasowych" [1]), które są i być muszą tych walk organami. Być nimi muszą i myli się „Czas" krakowski, który oświadczył, że pragnie być tylko obrazem wszystkich, choćby najróżnorodniejszych zdań, byle z kraju pochodzących. Takim obrazem nigdy nie będzie, stanie się raczej „salcesonem, napchanym mozajką niestrawnego mięsiwa". Zwraca się przytem autor, w sposób dość ostry, przeciw „Przeglądowi Poznańskiemu", który nazywa organem „zapleśniałego, pietycznego katolicyzmu stronników", organem zasad „wstecznych, nie dzisiejszych, acz napłynionych grubo dążnością polityczną". — Przyznaje wszakże temu pismu, że „pod względem naukowym i sztukoznawczym, znakomitą zdradza (sic!) naukę". Wogóle w artykule tym wypowiada Kaczkowski opinie bardzo liberalne, karcąc „przesądy starszych pokoleń i „despotyzm duchowy". Dawny uczeń ks. Żegestowskiego posuwa się tak daleko, że mówiąc o jednostkach, wyższych nad swoje społeczeństwo, które swym twórczym umysłem wyprowadziły na jaw idee, zdobywające panowanie nad światem, a którym dla tej wyższości przyznano „więcej niż ludzkie przy-

[1]) „Pamiętnik Liter." Nr. 16 z 1850 r.

mioty“, podnosi z naciskiem, że „jeden tylko Luter został i podziśdzień człowiekiem, nawet u swoich uczniów“. W końcu tej rozprawy zachwala Kaczkowski literaturę „broszurową“, przeciw której występuje wydawnictwo dzieł katolickich i całe katolickie stronnictwo, publikujące wszakże mnóstwo broszurek „o cudach, zjawieniach i spowiedziach“.

Następna rozprawa „O kazaniach i kaznodziejach“ [1]) jest dalszą polemiką z „Przeglądem Poznańskim“ i stronnictwem katolickiem, które „objawia się w literaturze przez pewne pisma publiczne i niezliczoną ilość broszurek, lekkich jak motyle i pstrych jak motyle, a nie chcemy powiedzieć, że i z gąsienic wylęgłych także jak motyle“. Stronnictwo to, „obrawszy sobie ewanielię za najwyższe kriterium zawsze i wszędzie i zaznaczywszy tem pewne granice rozumowi ludzkiemu“, dąży, zdaniem Kaczkowskiego, do „zawładnięcia piśmiennictwem“, chociaż posiada „mało ludzi dobrze piszących“, a „talentów i rzeczywistych wielkości nie objawiło dotąd żadnych“. — Słońcem stronnictwa jest „Przegląd Poznański“, który „zdradza“ (sic!) najwięcej inteligencyi, najwięcej obrotności w polemice i wprawy pisarskiej“. Otóż ten „Przegląd“, w któregoby potrzeba chyba tchnąć „nowego ducha“, aby się stać mógł „stworzeniem żyjącem i pożytecznem“, widząc, że stronnictwu brakuje „świateł“, wydobył kazania i kaznodziejów, czyniąc z księży Kajsiewicza, Semenenki i Antoniewicza, wielkich mędrców i mowców narodowych“. Kazania ks: Kajsiewicza nazywa tu Kaczkowski „konwencyonalnemi“, nie przynoszącemi nic nowego. „Świat się już otrzeźwił“ i nie wystarczają mu „czcze deklamacye“ na temat zepsucia obyczajów, odszczepieństwa lub grzechów towarzyskich. „Il faut du positif“ — woła Kaczkowski, który już nawet czytać nie może tego, „co mówił ks. Semenenko n. p. o magnetyźmie“, lub takich „starych ogólników“, jakie głosi ks. Antoniewicz. Autor nie przeczy, że w kraju potrzeba dobrych kaznodziei, którzyby mieli „rzeczywistą naukę i wyższe nad ogół wykształcenie“. „Do pozyskania wpływu i postawienia się na stanowisku nauczyciela dzisiejszego społeczeństwa il faut du positif! powtarza raz jeszcze Kaczkowski.

Zdało się nam nieodzownem przytoczyć tu najwybitniejsze ustępy tych artykułów, charakteryzują one bowiem najlepiej ówczesne zapatrywania Kaczkowskiego religijne i społeczne. Walka

[1]) „Pamiętnik Literacki“ z 30. sierpnia 1850, Nr. 22.

z „przesądami“ i uwielbienie „czystego rozumu“, to jego hasła ówczesne.

Na krytykę „Przeglądu“ odpowiedział jego wydawca i redaktor Jan Koźmian w liście z 20. lutego 1851 r.:

„Czytałem kilka uwag Pańskich z sądem o „Przeglądzie“, na jaki, uznając wszelką różnicę zdania, nie przystaję. Dziwić się, nie dziwię Pańskiemu uważaniu rzeczy. Z daleka rozumieć się trudno, — jedną rzecz Panu powiedzieć śmiało, za jedną zaręczyć mogę, to jest „że katolicy polscy tych przekonań, co „Przegląd“, nie tworzą i nie chcą tworzyć stronnictwa“.

Z „Przeglądem Poznańskim“ już w roku poprzednim usiłował jednak Kaczkowski nawiązać stosunki. Ofiarował swoje współpracownictwo i zapytywał, kto jest wydawcą tego pisma, jakie płaci honoraryum? itp. Na to odpowiada Jan Koźmian:

„Wydawcą jedynym ja ciągle jestem, tylko nie posiadając wpierw obywatelstwa tutejszego, nazwiska mego kłaść nie mogłem. Praca autorów pojedyńczych artykułów wynagradza się. Za arkusz druku płacę 60 złp. Zapłata uskutecznia się w końcu roku. Każdej pracy 5 egz. osobno się dla autorów odbija“.

Równocześnie z ofertą współpracownictwa przesłał był Kaczkowski parę swoich poezyj, stojących niewątpliwie na tym samym poziomie artystycznym, co znane nam już wiersze. Jeden z nich, p. t. „Biedniśmy dzisiaj“, „Przegląd“ wydrukował. Co do drugiego p. t. „Przy księżycu“ Koźmian czyni zastrzeżenia i prosi o zmianę kilku strof, które mu się niewłaściwemi wydały. Między innymi, nie podobał mu się wiersz:

„Dziki tur tylko ze snu się porywa,
Kopytem ziemię rwie i brodą kiwa.“

„Wyrazy: „brodą kiwa“ — pisze Koźmian — pewną śmieszność na bardzo poważny obraz rzucają“.

Zdaje się, że Kaczkowski na żądane zmiany nie przystał, bo „Przegląd“ wiersza tego nie wydrukował i odstąpił go Noworocznikowi, który ks. Prusinowski wydał na korzyść sierót po zmarłych na cholerę. „Będziesz Pan tam w dobrem towarzystwie“ — pociesza Koźmian autora.

Starał się też Kaczkowski, aby Żupański wydał w Poznaniu zbiór jego poezyj. Ale i to nie poszło. Koźmian donosi o tem

autorowi 7. marca 1851: „Dopiero wczoraj rozstrzygnęła się rzecz z p. Żupańskim. Rękopis Pański mam u siebie“ [1]).

Dla innych jednak poetów Kaczkowski był surowym sędzią. Nie będziemy się zastanawiali dłużej nad jego krytyką poezyj Antoniego Zygmunta Celarskiego [2]), które w r. 1850 p. t. „Obrazy z życia“ wydała we Lwowie drukarnia Pillera, zaznaczymy tylko, że jest ona nie tylko surowa, ale i — złośliwa. — Krytyk podnosi na wstępie, że „po śmierci Jaszowskiego i po wyleczeniu się z manii wierszopisarskiej Kretowicza, Pajgerta i kilku innych, literatura galicyjska miała tę słodką nadzieję, że podobne tamtym talenty już się nigdy na jej polach nie ukażą i uwolnią ją od swojej chrypliwej muzyki, granej na samorodnych i od siekiery ociosanych dudkach, — poczem w iście nielitościwy sposób wydrwiwa owe Celarskiego poezye.

Natomiast entuzyastycznie ocenia powieść Eugeniusza Sue p. t. „Les enfants de l'amour“ [3]). Wbrew zdaniu Michała Grabowskiego, który ówczesną szkołę francuskich powieściopisarzy surowo potępił, i nazwał ją „szaloną“, krytyk „Pamiętnika“ nazywa tę powieść pisarza francuskiego w całości i szczegółach mistrzowską, stojącą na wyżynach sztuki. Oczywiście tego zdania podzielić dziś niepodobna. Utwór ten — roman d' aventures — przepełniony okropnościami, pojedynkami na noże, morderstwami i samobójstwami, jakkolwiek pisany ze zwykłym Eugeniuszowi Sue talentem, nie zasługiwał niewątpliwie nawet w owych czasach na tak pochlebną ocenę. Kaczkowskiemu podobała się tu widocznie pewna swoboda w kreśleniu scen obyczajowych i sytuacyj drażliwych. Przemawiało to do jego „liberalnych“ ówczesnych przekonań.

Nie przemawiała natomiast poezya ówczesna polska, poezya Krasińskiego i Słowackiego, którą „proroczą“ nazywa i ostro potępia w artykule p. t. „O przesadzie w pojęciach“ [4]). Poezya ta „podaje sposobność do przetwarzania rzeczy prostych w cudotworne kształty“. „Nieboska Komedya“ „nie czyni w zupełności zadość warunkom sztuki, pod względem pojedyńczych scen i obrazów nie zawsze z prawdą jest zgodna“, chociaż pod względem głównej myśli „ogólnie i przez wszystkich może być zrozumiana i pojęta“.

---

[1]) Dwa listy Jana Koźmiana z 1850 i 1851. Ze zbiorów rapperswylskich. Ms.

[2]) „Pamiętnik Liter.“ Nr. 25 z 26. września 1850.

[3]) Tamże Nr. 27 z 4. października 1850.

[4]) Tamże Nr. 24 z 13. września 1850.

Natomiast „Noc letnia“, chociaż „pełna cudownie pięknych myśli“, grzeszy tem, że „żadna nitka nie wiąże“ luźnych obrazów, które razem wzięte „mogą przedstawić może całość stylu, jedność wyobraźni, pokrewieństwo między sobą, ale nie jedność, całość, okrągłość myśli“. Gorzej jest jeszcze z „Anhellim“. „Kto go czytał — pisze Kaczkowski — niech mi powie, co zeń pojął, co wyrozumiał?“ „Zapewne — dodaje — jeżeli zadaniem poezyi nie jest nic więcej, jak łechtanie wyobraźni cudownymi obrazami, jak głaskanie ucha pięknymi dźwiękami, to i „Anhelli“ i „Lilla-Weneda“ i „Balladyna“ dopełniły wielkiego zadania; ale jeśli zadaniem poezyi jest przedstawienie jakiejś prawdy, jakiejś idei, choćby też tylko najmniejszej, albo i najstarszej i najwięcej zużytej, to „Anhelli“ jest niczem. — Fałszywi komentatorowie usiłują wprawdzie „pod próżną białą mgłę syberyjską kilku blademi oświeconą gwiazdami podszyć koniecznie myśli“, lecz przyczyniają się tylko do bałamucenia opinii. „Gdyby sam Słowacki był to pojął jasno, co chciał w „Anhellim“ przedstawić, byłby i jasno przedstawił, a ponieważ bezzawodnie nie pisał dla bogów, jeno dla ludzi, toby go też i ludzie pojęli“. Podsuwanie „pod niezrozumiałe rzeczy, jakichś olbrzymich, niepojętych wyobrażeń“, jest śmieszną przesadą. Śmieszną, lecz i szkodliwą, bo podnieca „skłonność do marzycielstwa, upędzanie się za pięknemi złudzeniami“, a budzi „wstręt do nauk ścisłych, poważnych, do pracy i badania“. — Konkluzyą jest, że owa „poezya prorocza“ jest wprost szkodliwa, bo młode umysły odciąga od nauki realnej, a doprowadza do pojęć przesadnych, wreszcie do — fiksacyi!

Dziwić się, zaiste, można, że Kaczkowski, który nie obawiał się złego wpływu na młode umysły tego rodzaju utworów, jak awanturnicze romansidło Eugeniusza Sue, tak bardzo się lękał „poezyi proroczej“ Krasińskiego i Słowackiego, której podówczas sam widocznie nie rozumiał.

Wytłumaczyć to sobie można tylko tem, że owa poezya, opiewająca „rzeczy nadziemskie“, stała w sprzeczności z ówczesnym bardzo pozytywnym i liberalnym światopoglądem Kaczkowskiego.

W tymże roczniku „Pamiętnika Literackiego“ Nr. 5 i 20 znajdujemy jeszcze dwa krytyczne artykuły Kaczkowskiego dwu powieści, wyszłych w Księstwie Poznańskiem, a mianowicie jednej p. t. „Wczoraj“, wydanej w Lesznie w roku 1849 i drugiej p. t. „Grzechy powszednie“, wydanej w Poznaniu w roku 1850. — Rozbiory te nie nastręczają żadnych uwag, prócz chyba tej, że pierw-

szej z tych powieści, pisanej przez kobietę, zarzuca krytyk, iż zamiast „zdań zdrowych i powszechnie dzisiaj uznanych, zawiera „ciemne domysły“, mówi o „miłosierdziu Bożem“ i szerzy „spróchniałe już przesądy kastowe“.

Zaznaczyliśmy już, że tenże rocznik „Pamiętnika Literackiego“, oprócz powyżej omówionych, zawiera jeszcze dwa utwory powieściowe. — Pierwszy z nich p. t. „Braciszek“ [1]) jest ckliwosentymentalnym obrazkiem; opowieścią smutnych dziejów nieszczęśliwej kobiety, zmuszonej przez surowego ojca do poślubienia niekochanego mężczyzny. Zacna i wierna, nie zdołała jednak ustrzedz serca, które jak piorunem, rażone zostało strzałą miłości *(Coup de foudre)* dla pięknego oficera polskiego, który w towarzystwie generała Kniaziewicza pojawił się w domu jej ojca. Przy czułem pożegnaniu rozamorowana nagle niewiasta ofiarowała młodemu oficerowi „o bladej, pełnej smutku twarzy“ swój zaręczynowy pierścień. I po tym pierścieniu poznała go, gdy w wiele lat później przybył jako skromny braciszek klasztorny z gwardyanem po odbiór dziesięciny dla konwentu, do domu jej męża, zimnego, surowego, a podejrzliwego despoty. Poznała i — omdlała, tak jeszcze po latach silną była jej miłość dla „bladego oficera“. I znowu minęły lata, aż nieszczęśliwa niewiasta znalazła się przypadkowo w celi klasztornej, u łoża umierającego braciszka, swego niegdyś ideału. „Boże, tyś sprawiedliwy!“ wyjąkał konający, poznawszy swą ukochaną i zawarł oczy na wieki, a nieszczęśliwa niewiasta w kilka miesięcy poszła za nim do nieba. — Romantyczna ta historya, opowiedziana ustami syna towarzyszowi swej celi więziennej, czytelnika bynajmniej nie wzrusza. Natomiast razi go mocno styl wadliwy, rojący się od takich błędów, jak „pojedyńczy“ w znaczeniu: prosty, zwykły (einfach), jak owo nieszczęsne „zdybać się“, jak fatalny czwarty przypadek z przeczeniem: „nie było zwyczajem zwozić zagraniczne przysmaki“, jak wreszcie taki frazes, że: zachowanie się oficera i sama powierzchowność jego kładły go w pewne odrębne położenie“. Liberalnym swoim, a raczej antiklerykalnym przekonaniom dał i tu folgę autor, pisząc, że wówczas, gdy się to działo, „nie tylko szlachcic zamożny, ale i lada szlachetka przejrzał już przez grubą chmurę przesądów, tak starannie ręką mnichów pielęgnowaną“.

---

[1]) Nr. 1 z dnia 5. kwietnia, Nr. 2 z dnia 13. kwietnia i Nr. 3 z d. 19. kwietnia 1850 r.

Oddychamy natomiast szerzej, czytając początek niedokończonej powieści z czasów rozbioru p. t. „Dziedzic Strwiążyka“, Ton, styl, koloryt, typy — wszystko inne i wszystko dobre; znamionujące przyszłego autora opowieści Nieczui. Obudza w nas szczerą sympatyę siłacz, a czułego serca szlachcie, pan Edmund Chojnacki, konfederat barski, właściciel Strwiążyka w Sanockiem, w roku 1774; zajmuje nas barwne opisanie jego kawalerskiej siedziby, a serdeczne zajęcie budzi jego nieszczęśliwa miłość dla wdowy, pani Salomei Strzeleckiej. Miłości tej i jej uwieńczeniu małżeństwem stoi na przeszkodzie nieubłagany rodzic p. Edmunda, imćpan Maciej Chojnacki, pisarz grodzki sanocki. A tymczasem cała szlachta sanocka, wszyscy Karszniccy, Strzeleccy, Bobowscy, Osuchowscy oburzają się na dwa lata już trwające amory pięknej wdowy z dzielnym konfederatem i zapowiadają zemstę. Dowiadujemy się o tem z poufnej rozmowy p. Edmunda z przyjacielem sąsiadem, p. Łowczym sieradzkim, Janem Cieszanowskim. I na tem powieść się urywa z niekłamanym żalem czytelnika, szczerze zainteresowanego tą opowieścią, kreśloną z prawdziwą werwą i zacięciem. W dalszych jednak utworach znajdujemy uzupełnienie losów „Dziedzica Strwiążyka“.

W roku 1850 wychodzić także zaczęło we Lwowie pismo literackie peryodyczne p. t. „Tygodnik Lwowski“, wydawane przez Karola Wilda, a redagowane przez Karola Widmana.

Mamy przed sobą list tegoż Karola Widmana z dnia 24. grudnia 1849, w którym Widman, spodziewając się przyjazdu Kaczkowskiego do Lwowa, prosi go, by nie przyjeżdżał z „rękoma próżnemi“, zamierzone jest bowiem wydawnictwo tygodnika literackiego p. t. „Tygodnik Lwowski“. „Jeszcze wprawdzie — pisze Widman — nie mamy koncesyi nań od rządu, ale gdy tylko piękną literaturę i krytykę czynimy przedmiotem tego pisma, więc się spodziewamy, że wydawanie onegoż żadnej nie będzie podlegać trudności. Ja mam być redaktorem tego pisma, t. j. biorę odpowiedzialność za niego na siebie, ale w wydaniu onego chcę polegać na zdaniu koryfeuszów naszej pięknej literatury, dlatego udaję się do Ciebie. Jeżeli nie przyjedziesz do nas, to przysyłaj nam artykuły, a napisz czasem zdanie swoje o niem. Jeżeli będziesz tu, to będziemy mieli dość sposobności do wymiany zdań naszych, bo Kornel (Ujejski) obiecuje nam literackie wieczorki, a i u mnie będą się odbywać tygodniowe posiedzenia każdego poniedziałku, w którym niema polskiego teatru, — t. j. co drugi poniedziałek, skoro tylko wychodzenie „Tygodnika“ zapewnione

będzie, tj. po wyjściu pierwszego numeru. — Do udziału w naszym tygodniku mam zamówionych, oprócz Kornela, który wiele obiecał, Szajnochy i Bielowskiego, którzy mało obiecali, ale z czasem mam nadzieję, że coś dadzą, Pilata, Kluczyckiego jednego, drugiego i trzeciego, Zawadzkiego Władysława, Przyłęckiego, Zachariasiewicza, innych jeszcze zawezwę, o których współdziałaniu nie wątpię. — Powtarzam więc prośby swoje: przyjeżdżaj z pełną teką, a przynajmniej przyszlij co możesz i zechcesz, — ja się nie boję i wielkich powieści, bo ustępy z takich, zaraz w pierwszych numerach będą, które przeznaczone są wyjść w kilku tomach kiedyś“ [1]).

List ten wysłany pocztą do Liska (poste restante), odesłany został ztamtąd z powrotem do Lwowa, z dopiskiem: „Dahin abgereist und wohnt bei Żorż“.

W piśmie tem znajdujemy dwa wierszyki Zygmunta Kaczkowskiego: „Domek rodzinny“ [2]) i „Poezya“ (Fragment) [3]). Ani „Domek rodzinny“, ani ów fragment bez początku i zakończenia, nie odznaczają się wcale zaletami. Nie odznacza się niemi również artykuł p. t. „O nierozumie“. Artykuł ten miał piętnować różne objawy „nierozumu“ w naszem społeczeństwie, jak chorobliwa projektomania, zausznictwo, żądza popularności i t. d. Skończyło się na wydrukowaniu tylko dwu części tego artykułu, w których jest mowa o owej manii projektowania i o planie założenia „naturalnego gabinetu“. — Mocno razi w tym artykule ostry sąd o społeczeństwie własnem: „U nas — pisze Kaczkowski — marnują się narodowe siły na dziecinne zabawki i błazeństwa, o zespoleniu szczupłych niestety zasobów nikt ani pomyśli, naukowe zakłady zaniedbane i porzucone, a wśród tej nędzy umysłowej, pośród takiego ubóstwa, przesuwają się przed oczami naszemi cienie ludzi, opuszczających sztandar obowiązków narodowych“ itd. „Nasz kraj — szydzi w dalszym ciągu Kaczkowski — bogaty jest w zboże, w ziemniaki, w gorzałkę, a ztąd w strażników; nieubogi jest w lasy, a więc i w kloce leżące bez użytku, niezdolne nawet na popiół, bo na wskróś przegniłe; bogaty w gramatykarzy, z których każdy jest najzaciętszym radykałem, bo radykalnie język reformuje; bogaty w wielkich polityków i wielkich literatów, którzy

[1]) Ze zbiorów rapperswylskich. Ms.
[2]) Nr. 3 z d. 19. stycznia 1850.
[3]) Nr. 7 z 16. lutego i Nr. 13 z 30. marca 1850.

nigdy nic nie pisali, bogaty w talenta, które się nic nie uczą, bo już wszystko umieją“ itd., itd.

Zaiste, sąd zanadto surowy i złośliwy w ustach człowieka, który zaledwie 25 lat wieku ukończył, a dotychczas w żadnej dziedzinie życia tak bardzo się nie odznaczył! — Zdawało mu się może, że do tak bezwzględnej krytyki upoważnia go aureola więźnia stanu z r. 1846.

Tu jednak następuje epizod, który Kaczkowskiemu niemało w opinii świata literackiego zaszkodził. Była to ostra polemika o kierownictwo Zakładu narodowego im. Ossolińskich. Sprawę tę zgoła błędnie przedstawia W. Korotyński w znanej już nam rozprawie „O Autorze“ [1]). — Twierdzi mianowicie, że powód do niej dał dyrektor Zakładu Adam Kłodziński, „człowiek przestarzałych wyobrażeń“. Otóż tak nie było. Kłodziński ustąpił ze stanowiska dyrektora Zakładu jeszcze 5. lipca 1849, a miejsce jego zajął profesor Uniwersytetu lwowskiego dr. Jan Szlachtowski, przeciwko któremu właśnie rozgorzała walka, zainicyowana artykułem „Tygodnika Lwowskiego“ z dnia 16. marca 1850 r., Nr. 11, podpisanym literami J. J. Artykuł ten p. t. „O naszych zakładach publicznych, mianowicie o Instytucie imienia Ossolińskich“, w formie bardzo stanowczej zarzucał Zakładowi „omdlałość, błąkanie się po manowcach, drobiazgowość i zmarnowanie bez pożytku dla ogółu długiego lat szeregu“. Szlachtowskiemu zarzucał nadto autor artykułu, że jako profesor literatury na Uniwersytecie jest zbyt tem zajęty, by mógł sumiennie wypełniać obowiązki dyrektora Zakładu, którego obowiązkiem byłoby przedewszystkiem wydawanie czasopisma odpowiedniego instytutowi [2]) i materyałów przysposobionych przez Ossolińskiego do druku. — Artykuł ten wywołał oczywiście odpowiedź Szlachtowskiego [3]) bardzo obszerną, a niezbyt przekonywującą, na co znów nastąpiła jeszcze obszerniejsza replika p. J. J., uzasadniająca w sposób znacznie już ostrzejszy poczynione zarzuty. Szlachtowski nie pozostał dłużnym odpowiedzi. Tym jednak razem odpowiedź swą umieścił w „Pamiętniku Literackim“ [4]), w której zbijając wywody p. J. J., nie ustrzegł się od

[1]) str. 262, 263.
[2]) Kłodziński począł w roku 1842 wydawać pismo p. t. „Biblioteka nauk. Zakładu im. Ossolińskich“, które w roku 1848 przestało wychodzić.
[3]) „Tygodnik Polski“ Nr. 13 z d. 30. marca 1850.
[4]) Nr. 5 z d. 3. maja 1850.

insynuacyi, że p. J. J., „nie mający namaszczenia literackiego“ i nie znający się na rzeczy, ulega fałszywym namowom jakiegoś „informatora“. — To spowodowało „Tygodnik Lwowski“ do umieszczenia bardzo ciętego, wprost druzgoczącego artykułu, pióra Karola Szajnochy, który, podtrzymując wszystkie zarzuty p. J. J., stanął energicznie w jego obronie i odmówił Szlachtowskiemu wszelkich kwalifikacyj do kierowania takim Zakładem, jak instytut im. Ossolińskich. Umieszczając ten artykuł, który główną polemikę w tej sprawie zakończył, redakcya zapowiedziała ocenę pisma, wydawanego przez Szlachtowskiego p. t. „Pamiętnik Literacki“, mającą wykazać, że „Pamiętnik“ nie może zastąpić pisma, odpowiadającego „ważności“ Zakładu, jakiem była do r. 1848 „Biblioteka“. — Jakoż zaraz w następnym numerze „Tygodnika Lwowskiego“ z dnia 8. czerwca, ukazał się zapowiedziany artykuł p. t. „Fenix Lwowski“, poprzedzony oświadczeniem redakcyi, że pochodzi z pod pióra „mistrza naszej literackiej i społecznej krytyki“. Poddano tam niezmiernie surowej ocenie Nr. 1 „Pamiętnika“, zasłużonej zresztą o ile się tyczy utworów Z. Kaczkowskiego, niewymienionego jednak po nazwisku, a mianowicie poematu p. t. „Niniwe“, któremu zarzuca liczne błędy językowe i brak uczucia, oraz noweli p. t. „Braciszek“, okazującej „jałowość myśli, ociężałość w wysłowieniu i ubóstwo wyobraźni“, czyli, jak się „mistrz krytyki“ wyraża: „wyobraźności“. Mniej uzasadnioną zdaje się być równie bezwzględna ocena rozprawy p. t. „Piśmiennictwo dzisiejsze“, która grzeszy wprawdzie pewną zawiłością stylu, lecz nie jest pozbawiona znacznych nawet zalet w głębszem ujęciu i traktowaniu przedmiotu. — „Pamiętnik Literacki“ miał bądź co bądź charakter naukowy i nie zasługiwał na tak bezwzględne potępienie. Do redakcyi jego obok prof. Jana Szlachtowskiego należały cenione podówczas siły literackie, jak: historyk Aleksander Batowski, Leszek Borkowski, Feliks Morawski, ks. Jan Stupnicki, Jan Zachariasiewicz. — Dziwić się też można, że poważne to grono zezwoliło na zamieszczenie rzekomej odpowiedzi na powyższą krytykę „Tygodnika“, odpowiedzi ani treścią, ani tonem nie odpowiadającej godności pisma naukowo-literackiego, p. t. „Nowa karczma zajezdna“. Artykuł ten walczy nie argumentami, lecz inwektywami przeciw „Tygodnikowi“, który ma być ową „karczmą zajezdną“.

Na tem polemika otwarta się urywa. Ale nie ustaje walka podjazdowa i przenosi się nawet na szpalty pism obcych.

Praski „Weczerni List“ doniósł mianowicie, że Biblioteka Ossolińskich sprzedała księgarzowi Jabłońskiemu cały zbiór książek czeskich, darowany jej legatem Adama Rościszewskiego. — Wiadomość tę powtórzył skwapliwie „Tygodnik“, a „Pamiętnik Literacki“ natychmiast pośpieszył oświadczyć, że jest to potwarz, jedna z szeregu fałszów, jakie „ktoś od pewnego czasu o Zakładzie nar. im. Ossolińskich rozgłaszać usiłuje“.

W. Korotyński twierdzi [1]), że od czasu tej polemiki popsuły się stosunki Kaczkowskiego z Szajnochą, a „prace poetyckie i historyczne tego ostatniego cierpko były krytykowane w „Pamiętniku“ ostro zaciętem piórem Kaczkowskiego“. Nie znaleźliśmy potwierdzenia tych twierdzeń w całym, jedynym, jaki wyszedł, tomie „Pamiętnika Literackiego“. Mieści się tam tylko krytyczny rozbiór dramatu Szajnochy p. t. „Jerzy Lubomirski“, a mianowicie w Nr. 13 z dnia 28. czerwca 1850; podówczas bowiem utwór ten wyszedł właśnie z druku, nakładem Karola Wilda we Lwowie. — Zadziwiać może, że rozbiór ten nie jest wcale podpisany, Kaczkowski bowiem miał zwyczaj wszystkie swoje utwory, choćby najdrobniejsze, podpisywać zawsze imieniem i nazwiskiem, albo przynajmniej literami Z. K. — Zresztą rozbiór ten nie okazuje bynajmniej „ostro zaciętego pióra“. O poprzednich dziełach historycznych Szajnochy wyraża się z gorącem uznaniem, widzi w nich „niepospolitą znajomość rzeczy, bystrość pojęcia, trafność i bezstronność w ocenieniu faktów historycznych“, przyznaje, że autor dał dowody „znakomitej nauki i znajomości rzeczy“. Co do samego dramatu, chwali trafność wyboru przedmiotu, przyznaje, że i tu autor złożył dowody „pilnego wczytania się w dzieje narodowe, bystrości w pochwyceniu prawdy i ocenieniu spleśniałych zdań z uprzedzeń czasowych wynikających“, oświadcza, że „układowi całości“ nic niema do zarzucenia. Natomiast nie podoba mu się wiersz nierymowany, zarzuca brak akcyi, brak plastyki i liryki, chociaż zarazem przyznaje, że ani plastyki, ani liryki rymowanemu prologowi nie braknie wcale; gani wreszcie chropowatość języka i niektóre językowe błędy, oświadcza wreszcie, że przenosi o wiele wszystkie opowieści historyczne Szajnochy, prozą pisane, nad jego utwory poetyczne. To wszystko wyraził autor rozbioru w formie poważnej i bynajmniej nie ostrej, co nie mogło chyba wpłynąć na oziębienie stosunków Szajnochy z Kaczkowskim, jako nie-

---

[1]) „O autorze“ str. 263.

podpisanym autorem tego rozbioru. Raczej wpłynąć na to mogła ostra istotnie krytyka Szajnochy działalności dyrektorskiej w Zakładzie Ossolińskich Szlachtowskiego, z którym łączyły podówczas Kaczkowskiego bliższe węzły i wspólność pracy w „Pamiętniku“. Wpłynąć na to oziębienie z drugiej strony mógł artykuł p. t. „Nowa karczma zajezdna“, powyżej już omówiony, który, chociaż także niepodpisany, tonem swym satyryczno-uszczypliwym przypomina mocno niektóre krytyczne artykuliki Kaczkowskiego, jak n. p. o Celarskiego poezyach.

W każdym razie przerwały się stanowczo stosunki Kaczkowskiego z „Tygodnikiem Lwowskim“, przerwały się zaraz po pojawieniu się pierwszego artykułu p. J. J. o Zakładzie Ossolińskich; odtąd bowiem nie spotykamy utworów jego w tem piśmie, chociaż ono stale, co kwartał, zamieszczało jego nazwisko w szeregu współpracowników; wymienia je nawet jeszcze w przedostatnim, 28 numerze z 13. lipca. Numer 29 z 20. lipca 1850 zakończył istnienie „Tygodnika Lwowskiego“.

Rok 1850 przepędził Kaczkowski we Lwowie, gdzie mieszkał w gmachu Skarbkowskim. Tam też przybył do niego dawny jego kolega z 6 kl. gimnaz. w Tarnowie, o wiele jednak od niego starszy, znany nam już agitator, Julian Gosslar. Przybył z prośbą, aby go u siebie przechował, co też Kaczkowski uczynił i co go, jak pisze w swym „Pamiętniku“, na niemałe naraziło przykrości [1]), chociaż nie dowiedziano się nigdy, że ów przygarnięty przez niego przybysz był śledzonym podówczas i ściganym Gosslarem.

Ciekawy to był typ ten Gosslar, do którego Kaczkowski miał widoczną słabość, chociaż działalność jego, zdaje się, potępiał. Ale że sam „chociaż współpracownik ultra-konserwatywnej i szlacheckiej „Polski“, lgnął ku spiskom i w duszy im sprzyjał, to też i Gosslarowi był pokryjomu pomocnym. Gosslar, wedle podania Kaczkowskiego, był synem niemieckich kolonistów z Rzeszowskiego obwodu [2]). Już w gimnazyum agitował wśród młodzieży, a przed powstaniem 1846 snuł się po wsiach w Sanockiem, miał je poruszyć wszystkie i na ich czele przybyć do Wzdowa, by wraz z powstańcami podążyć na Sanok. Ujęty przez chłopów i zbity przez

[1]) str. 141.

[2]) Schnür-Pepłowski twierdzi, że był rodem ze Lwowa. (Patrz: „Z Przeszłości Galicyi“, Tom II. str. 344).

nich niemiłosiernie, jeśli zamordowany nie został, to tylko dzięki temu, że doskonale udawał trupa. Przewieziony do Sanoka i rzucony w podziemia aresztu miejskiego, byłby się ztamtąd wygrzebał i umknął, lecz go na tej robocie przychwycono i odwieziono do Lwowa, gdzie siedział w więzieniu u Karmelitów, w kaźni sąsiadującej z celą Kaczkowskiego. Razem też z nim amnestyonowany był w r. 1848. — W tymże roku pojawił się u Kaczkowskiego w Bereźnicy, gdzie tylko tydzień przesiedział spokojnie, ale wnet w jakąś niedzielę czy święto, wyszedłszy z nabożeństwa w cerkwi, wylazł w dziedzińcu na kamień i zaczął przemawiać do gromadzących się bab i chłopów, którzy już nawet protestować poczęli. Ledwo go Kaczkowski wraz z księdzem odciągnęli ztamtąd w obawie zaburzeń. Nazajutrz zniknął o świcie bez pożegnania. Z końcem tego roku schwytano go w Styryi i za rewolucyjną propagandę skazano na śmierć, lecz znowu w r. 1849 amnestyonowano. I oto w roku następnym pojawił się w mieszkaniu Kaczkowskiego we Lwowie.

Miał pasport na obce nazwisko, jako lokaj Niemiec, szukający służby, i zaproponował Kaczkowskiemu, by go w tym charakterze u siebie trzymał. Tej propozycyi Kaczkowski nie przyjął, lecz umieścił go, jako pisarza do przepisywania, w małym pokoiku, gdzie był skład książek, i gdzie, jak przyznaje Kaczkowski, przed nim i po nim ukrywali się także inni. Gosslar przesiedział tam trzy tygodnie, czytając i pisząc; tylko wieczorami wychodził na miasto, gdzie, jak mówił, ma ważne rzeczy do załatwienia, a czekają go już na Śląsku. Pewnego wieczora zniknął bez śladu. Aresztowany wreszcie i oskarżony o czynną propagandę rewolucyjną, został po raz trzeci na śmierć skazany, który to wyrok, jak to już zaznaczyliśmy, wykonano w Wiedniu dnia 2. lutego 1852 roku.

Całą działalność Gosslara ocenia Kaczkowski z pozoru trzeźwo, lecz z widoczną sympatyą: „Był to, powiada, jeden z najdoskonalszych typów owoczesnego emisaryusza, ale tylko z pewnego punktu widzenia, to jest pod względem bezwarunkowego i fanatycznego poświęcenia się tej sprawie, której służył; pod innymi względami różnił się od nich: Kiedy bowiem prawie wszyscy inni emisaryusze byli gorącymi patryotami i przedewszystkiem służyli sprawie polskiej, u niego patryotyzm polski stał w drugim rzędzie, a w pierwszym sprawa całej ludzkości. Nie umiał on nawet historyi polskiej i nie znał pomiędzy narodowościami żadnej różnicy,

a tych, którzy marzyli tylko o wyjarzmieniu Polski, uważał za ludzi ciasnego serca i ograniczonego umysłu“ [1]).

W innem miejscu pisze o nim: „Wyglądał jak rzemieślniczy czeladnik, niby nie ubogi, ale zaniedbany w ubiorze. Ale w tej niepokaźnej postaci był niezwyczajny duch i charakter. Był on komunistą najczystszej wody i rewolucyonistą quand même, według dzisiejszej terminologii należałoby go nazwać anarchistą, ale był fanatykiem swoich idei, jak najzupełniej bezinteresownym dla siebie, cierpiał głód, biedę, znosił niesłychane, nadludzkie trudy, był zawsze gotów na wszystkie męki i na śmierć w tem przekonaniu, że to jest jego obowiązkiem, i że tem jak najlepiej służy ludzkości. Nie miał przytem żadnej zgoła osobistej ambicyi, nigdy niczego nie pragnął dla siebie, nie marzył o żadnem stanowisku, ani nawet o żadnej roli, którąby mógł odegrać, choćby tylko w świecie konspiracyjnym, był zawsze sługą sług, a jak jakiejś misyi dopełnił, którą mu dano, albo na własną rękę przedsięwziął, zawsze potem znikał bez wieści. Miał dosyć szerokie ukształcenie, ale płytkie i powierzchowne; rwał się czasem do literatury [2]) i napisał był we dwa lata później historyę literatury niemieckiej, którą dał Edwardowi Dembowskiemu do przejrzenia, a której rękopis w ośmdziesięciu arkuszach i ja widziałem u Wiesiołowskiego, ale Dembowski mu poradził, i słusznie, aby ją rzucił do pieca; umiał dobrze po niemiecku i nieźle po łacinie, ale najlepiej znał język ludowy polski i ruski, i mówił niemi tak doskonale, że kiedy się przebierał za chłopa i nocował po chatach, to nigdyby go nikt nie poznał, że pod tą siermięgą kryje się człek ukształcony. Obok tego był niezmiernie wymowny, mógł mówić przez parę godzin bez przerwy i zająknienia, ale mówił tylko wtedy, gdy widział, że go słuchano, zaś w ożywionych dyskusyach i sporach nigdy nie brał udziału“ [3]).

Przytoczyliśmy z rozmysłu te ustępy „Pamiętnika“, bo charakteryzują najlepiej tą bądź co bądź apoteozą fanatycznego spi-

[1]) „Mój Pamiętnik“ str. 136.

[2]) Schnür-Pepłowski nazywa go „poetą“. Przytacza urywek z jego patryotycznych pieśni, a ocenia daleko pochlebniej, niż Kaczkowski. W jednem miejscu mówi o nim; „Skromnością i miłością swoją ku Polsce był Gosslar prawdziwym apostołem świętej sprawy“. („Z przeszłości Galicyi“, Tom II. str. 201, 343).

[3]) „Mój Pamiętnik“ str. 131, 132.

skowca, w jakim kierunku szły wówczas sympatye Zygmunta Kaczkowskiego.

„Było coś apostolskiego w tym człowieku“ — pisze on o Gosslarze w tymże „Pamiętniku“ — „a tem była jego niewzruszona wiara w swoje zasady — i to mu dawało pewien urok, wówczas (w Tarnowie) pomiędzy młodzieżą, a później wszędzie, gdzie się pokazał“.

Urokowi temu ulegał widocznie i Kaczkowski, a wpływ ten musiał być tak silny, że on, zaledwie amnestyonowany, nie wahał się gościć go czas dłuższy w Bereźnicy w roku 1848, a w dwa lata później we Lwowie, bez względu na niebezpieczeństwo, jakiem to groziło. — Kaczkowski, który, jakto powyżej zaznaczyliśmy, po uwolnieniu swem z więzienia, usuwał się przezornie od wszelkich działań na polu politycznem, ograniczając się tylko na pracach literackich i patryotycznych wierszykach, dla Gosslara miał dom otwarty i dawał przytułek „apostołowi“ idei, że „każdy człowiek, powinien zasady rewolucyjne pomiędzy ludem rozszerzać, a to bez względu na więzienia, na męki, a choćby na śmierć, bo im więcej ofiar padnie dla tej sprawy, tem prędzej cel osiągniętym zostanie“.

Kaczkowski jednak uszedł tym razem szczęśliwie niebezpieczeństwa, bo chociaż sprawa Gosslara, po jego schwytaniu, dała powód do licznych aresztowań i liczne pociągnęła ofiary, Kaczkowskiego, chociaż miał pewne przykrości, nie pociągano wcale.

W każdym razie te stosunki z człowiekiem, którego przekonania znał dobrze i którego sam anarchistą międzynarodowym nazywał, są wymownym dowodem, że Kaczkowski, pomimo odmiennych na zewnątrz pozorów, nie mógł wyzwolić się nigdy z pod wpływów, jakimi jeszcze na ławach szkolnych nasiąknął. Popularne hasła liberalne, antyklerykalizm i sympatye dla spiskowej propagandy, łączyły się dziwnie w tej młodej duszy z ultraszlacheckimi i konserwatywnymi poglądami, tworząc nieraz rozdźwięk, który przejawiał się zarówno w życiu, jak i w pismach.

IV.

(Korespondencye Kaczkowskiego ze Lwowa do krakowskiego „Czasu“.— Powiastka „Kato“. — Jego opinia o r. 1846 i tych, którzy wywołali powstanie. — Zdanie o kobiecie. „Bitwa o chorążankę“, „Kasztelanice Lubaczewscy“. — Powieści Nieczujowskie. — Charakterystyka Nieczui przez samego Kaczkowskiego, w przeciwstawieniu do Soplicy Rzewuskiego. — Dalsze powieści Nieczujowskie: „Junakowie“, „Swaty na Rusi“, „Mąż szalony“, „Murdelio“. — Scysya z prasą warszawską. — List Lesznowskiego. — Typy niewieście. — Siła fatalna uczucia miłości. — „Gniazdo Nieczujów“, „Starosta Hołobucki“, „Grób Nieczui“. — Ogólna charakterystyka tych powieści i samego Nieczui. — Poczytność tych utworów. — List Ksawerego Preka. — Listy wydawców: Antoniego Lesznowskiego z Warszawy i Karola Wilda ze Lwowa).

W początkach roku 1851 spotykamy się z prozą Kaczkowskiego w „Czasie“ krakowskim, a przedewszystkiem z jego listem „Ze Lwowa“, pisanym 24. stycznia, podpisanym literami: *Z. K.*, a umieszczonym w N-rze 28 „Czasu“ z 4. lutego. W liście tym uważał autor za stosowne stoczyć polemikę z poprzednimi korespondentami lwowskimi tego pisma, zwłaszcza zaś z korespondentem podpisującym się literami X. Y. Z., którego barwnym zresztą fejletonom zarzuca, iż zanadto zajmują się urodą rozmaitych pań i panien z lwowskiego pięknego świata, z pominięciem i krzywdą świata artystycznego. Aby tę krzywdę wynagrodzić rozpisuje się Z. K. o Józefie Kurowskim i jego portretach, mianowicie o portrecie ołówkowym Namiestnika, odesłanym już do litografii paryskiej, który niezmiernie chwali. Również chwali inne utwory tego artysty, jak „Most na Wiśle pod Krakowem“, „Nabożeństwo przy kościele OO. Dominikanów“, „Po pogorzeli“, „Widoki okolic Krakowa“. Podobają się mu także widoki włoskie tegoż artysty, a w szczególności kopia Madonny Sassoferrata, której jednak zarzuca, że nie jest właściwie kopią, gdyż twarz Madonny — chociaż bardzo piękna — nie jest wzięta z oryginału, lecz jest portretem dostrzeżonej w tłumie Włoszki. — W dalszym ciągu tej obszernej korespondencyi zajmuje się *Z. K.* twórczością Henryka Rodakowskiego, którą niezmiernie podnosi. „Portret ojca“ jest dziełem, jakiego nam nie dał dotychczas żaden z naszych malarzy. Zachwyca się również szkicem Rodakowskiego, przedstawiającym bitwę Franków z Rzymianami i dostrzega w naszym malarzu wpływ Leona Cogniet, pod którego kierunkiem Rodakowski pracował w Paryżu. Oddaje również gorące pochwały portretowi własnemu malarza, a także innym jego dziełom. Wymienia pełen ruchu i życia szkic olejny, przedstawiający scenę z rewolucyi paryskiej w r. 1848, „Mleczarki“ jadące na osiołkach przed wschodem słońca do Paryża, utwór celujący kolorytem nieba, wreszcie obraz „Zwiastowanie N. M. P.“, za który Rodakowski otrzymał nagrodę z pracowni swego mistrza.

Jest jeszcze w Nrze 32 z 8. lutego 1851 list ze Lwowa, poświęcony ocenie talentu artystki sceny lwowskiej Anieli Aszpergerowej, podznaczony lit. *K.* Autor oddaje pełne zapału pochwały tej artystce, równając ją z najpierwszemi znakomitościami teatrów europejskich. Ocenia jej grę w dramacie Mosenthala „Deborah“, w tragedyi Hebbla „Judyta“ i w sztuce Scribego i Legouvego p. t. „Adrianna Lecouvreur“. Sztukę tę, jak wiadomo, przełożył sam Kaczkowski [1]), ale datę tego przekładu ustala „Biblioteka Warszawska“ a także W. Korotyński [2]) na rok 1852, gdy list lwowski „Czasu“ datowany jest 26. stycznia 1851 r. — Nie wątpilibyśmy jednak, że autorem tej korespondencyi i odegranego podówczas przekładu „Adrianny Lecouvreur“ jest Kaczkowski, gdyby nie ustęp listu, w którym piszący chwali się, że widział już niemało teatrów na świecie, że w Niemczech podziwiał panią Hogh i panią Stich, w Warszawie Halpertową, w Paryżu pannę Mars, Dejazet, Judith i Rachelę... Nie chcemy przypuszczać, aby tu Kaczkowski korzystał tak śmiało z cierpliwości papieru i puszczał wodze fantazyi, albowiem z przebiegu dotychczasowego życia jego, nie widzimy kiedy mógłby on odbywać te podróże i podziwiać grę europejskich artystów. Przed r. 1846 był tylko w Wiedniu, potem spędził dwa lata w więzieniu a od r. 1846 do 1851 siedział albo w Bereźnicy, albo

[1]) Przełożył też Kaczkowski z francuskiego sztukę w 1 akcie Józefa Lafonta p. t. „Ciernie i wawrzyny, czyli Arcydzieło nieznane“, odegraną na scenie lwowskiej na benefis Witalisa Smochowskiego, dnia 20. lutego 1852 r.

[2]) „Biblioteka Warsz.“ rok 1860, str. 632. O autorze str. 277.

we Lwowie, o czem świadczą daty jego ówczesnych utworów. Podróże za granicę zaczęły się dopiero znacznie później, a mianowicie w r. 1855, co Kaczkowski sam zaznaczył w notatce swej o Zygmuncie Krasińskim[3]), gdzie czytamy: „Wybierając się w r. 1855 za granicę, miałem z góry powzięty zamiar poznania wszystkich naszych znakomitości, tam bawiących". Wówczas to odwiedził Krasińskiego w Heidelbergu i Lelewela w Brukseli[4]).

Od r. 1851 rozpoczyna się też ruchliwa działalność Zygmunta Kaczkowskiego na polu powieściopisarstwa. W tym mianowicie roku w marcu rozpoczął „Czas" krakowski druk jego nieco większej powieści p. t. „Kato" [5]). Pod względem artystycznym powiastka ta niezmiernie słaba, a o tyle tylko na uwagę zasługuje, że w niej autor, kreśląc atmosferę panującą przed wybuchem 1846 r. wypowiada się stanowczo przeciw zasadom demokratycznym, którym, jak wiadomo, sam w tym roku hołdował. W jednem miejscu przez usta swego bohatera powiada: „Ludzie, którzy się około tej zasady krzątali, była to młodzież zapalona, zarozumiała i głupia". Opisując następnie zabawy karnawałowe przed samym wybuchem powstania, pisze: „*Circenses!* wołano zewsząd — „*panem*" miano dopiero zawołać i to nie *panem quotidianum*, który ma sycić żołądki, lecz *panem*, który łaknącym i uciśnionym sercom miał przynieść oddech wolniejszy: jedni więc marzyli tylko swobodę, inni wolność, a jeszcze inni rozpustę i szaleństwo". A dalej: „Cały świat był zamaskowany: jedni maskowali swą cnotę mniemaną, drudzy swą przeszłość może nie bardzo czystą i cnotliwą. Oczekiwano czegoś, co miało przyjść i świat zadziwić... Uważano pilnie na każde słówko głośniejsze, badano je i roztrząsano, ażali niemasz w niem objawionej jakiej politycznej zasady; a często się zdarzało, iż powtarzano sobie jakieś nic nie znaczące słowa, wykładano je wedle natchnienia rozgrzanej wyobraźni i przywiązywano do nich ewangeliczne znaczenie. — Cóż to było? Oto duch unoszący się nad ziemią upuścił ziarnko aloesu; nasienie zeszło, wybujało w niezliczone lecz koszlawe gałęzie, na których wierzchu pokazał się węzeł zielony i zawinięty. Ludzie go obstąpili dokoła i niecierpliwie czekali strzału, aby rychło obaczyć, co też wyjdzie z zawiązanego węzła — prorocy mówili, że będzie kwiat jakiego jeszcze nie widziała ziemia. Węzeł pękł i nie strzelił,

[1]) Notatka o Krasińskim. Ms.
[3]) „Mój pamiętnik" str. 84.
[5]) „Czas" Nr. 73, 75, 76, 77, 79, 81.

lecz rozdarł się pomału, a z jego wnętrza zamiast kwiatu, bluznęło trochę krwi... i rozlało się po ziemi. Po takim wypadku w naturze roślinnej, naturaliści zasiadają z księgami za stołem i badają przyczynę i dochodzą sumiennie dlaczego jej nie odpowiedział skutek; zaś po takim wypadku w świecie, ogrodnicy nikną z horyzontu i z za morza się znowu odezwą, że to właśnie dobrze, że nie kwiat wytrysnął od razu, bo byłby słabym, lecz ze krwi dopiero będzie kwiat, a kiedy ze krwi znów pokaże się kość i dym i ludzkie głupstwo i nic więcej... to ogrodnicy znów z za lądów i z za mórz przyślą tylko przekleństwo przeszłości i nadzieję na przyszłość; teraźniejszości, mówią oni, niemasz na świecie, — a ta nędza, która jest w teraźniejszości? Oni nędzy nie znają".

Nie trudno się domyśleć, kogo ma na oku Kaczkowski, mówiąc o „ogrodnikach", co potępia, pisząc o krwi, kości, dymie i — głupstwie ludzkiem; kto są ci, co łudząc nadziejami na przyszłość, teraźniejszości znać nie chcą, bo i teraźniejszej nędzy nie znają. Wobec tego staje się tem jaśniejszą przyczyna, dla której Kaczkowski w r. 1848 trzymał się zdala od wszelkich działań publicznych, a twierdzenia Korotyńskiego o jego w nich udziale pozostaną na niczem opartą legendą, powtórzoną jednak przez Chmielowskiego [1]).

W omawianej powiastce zwraca też uwagę zdanie o kobiecie. „Kobieta — czytamy tam — jest książką, w której bez rozdziałów i paginacyi na każdej kartce jest artykuł na całkiem inny temat napisany; na jednej stronicy są ognie wulkaniczne, a na drugiej lody sybirskie, u góry miłość i poświęcenie, a trochę niżej nienawiść i zemsta". — Wprawdzie zdanie to wypowiada nie sam autor, lecz bohater jego powieści, z pozoru zimny i nieubłagany Kato, — lecz nie ulega wątpieniu, że wypowiada je w myśl zapatrywań autora, który zresztą w samym typie niewieścim, Kamilli, pierwszym swym na szersze rozmiary zakrojonym powieściowym typie młodej kobiety, uosobił lekkomyślność, próżność i uganianie się nie za miłością, lecz za miłostkami.

O samej powieści nic zresztą dodatniego powiedzieć nie można. Zawarta jest niemal cała w opowiadaniu samego bohatera, owego Katona, który całe życie chodzi w masce nieczułego i niewzruszonego człowieka, chociaż w rzeczywistości wszystko odczuwa głęboko. Że sam mówi ciągle o sobie, czytelnik, jakkolwiek dość wyraźnie widzi jego postać, nie zawsze mu dowierza. Inne posta-

[1]) „Nasi Powieściopisarze", str. 316.

cie, jak sentymentalnego Adama, płochej Kamilli, hrabiego, jej ojca, i męża, Anglika, gubią się w pomroce. Melodramatyczne zakończenie: śmierć Kamilli w nędzy, nie wzrusza bynajmniej.

Pisana jest ta powiastka stylem dość wprawnym, choć nie bez błędów gramatycznych: „Pająk tak muchę ssie, dopóki z niej cały żywot i całą duszę nie wyssie". Adam „niecierpliwił się na jarmark", ludzie, którzy nie widzą treść i t. d. Największy błąd, wydrukowany w „Czasie": „Kamilla zdawała się przeszkodzoną", poprawiony już został w wydaniu Ungra na: „roztargnioną".

W tymże roczniku „Czasu" (1851) ukazały się dwie powiastki Kaczkowskiego p. t. „Bitwa o Chorążankę" i „Kasztelanice Lubaczewscy"; obie należące już do szeregu opowiadań Imć Pana Marcina Nieczui, skarbnikowicza zakroczymskiego. Przez jego usta będzie odtąd przemawiał Kaczkowski, jego oczami każe czytelnikowi patrzeć na społeczeństwo XVIII. w.

Któż to jest ów Nieczuja, który odtąd ma być pośrednikiem pomiędzy autorem a czytającą publicznością? Czy ma tyle ukształcenia, wiedzy, znajomości świata i zdolności oceniania ludzi oraz wnikania w ich dusze, aby sądowi jego zaufać można? — Ufać można o tyle, że pan Nieczuja mówi szczerze, opowiada co widział i jak widział, nie wdając się zresztą ani w psychologiczne badania ani w krytykę. Jest barwnym, przedmiotowym narratorem małych wypadków, rzeczy drobnej wagi, nie wpływających na tok spraw publicznych — nic więcej. Narratorem zresztą o szczupłym widnokręgu myśli, który obejmuje okiem tylko najbliższy i dobrze sobie znany mały światek szlachecki, wyżej nie sięgając. Nie jest podobny do Jana Chryzostoma Paska, który nie tylko rzemiosłem rycerskiem się bawił, ale i o politycznych sprawach rozprawiał, ba, nawet z królami gadał. Bliższy już jest Nieczuja cześnikowi Parnawskiemu imćp. Sewerynowi Soplicy, chociaż i ten ostatni zdaje się być od niego nieco wyższym nie tylko stopniem inteligencyi, lecz i poglądem na własne społeczeństwo, poglądem, który nieraz jest godnym potępienia, lecz bądź co bądź samoistnym, a na to skromny skarbnik czy skarbnikowicz zakroczymski zdobyć się nigdy nie potrafił. Soplica, bądź co bądź, ze wszystkiemi wadami swojemi może być uważany poniekąd za przedstawiciela przynajmniej jakiejś części swego społeczeństwa, gdy Nieczuja, chociaż etycznie lepszy od Soplicy, może najwyżej być reprezentantem części ziemi sanockiej. Sam Kaczkowski w notatkach swoich tak określa tę różnicę:

„Soplica" Rzewuskiego jest to szlachcic podłego gatunku, bezwzględny chwalca minionych czasów, sługa pański, wyrzekający się swych przekonań dla kawałka chleba, jakich wprawdzie wiele było podczas rozbiorów (jestto też jedna z przyczyn upadku Polski), ale jakiego poeta nie powinien był sobie wybierać za oś i za herolda swych opowiadań. Mój Nieczuja jest idealnym typem niezawisłego szlachcica żołnierza i patryoty — i w tem leży pomiędzy nami różnica. Można Rzewuskiemu przyznać dziesięć razy więcej talentu odemnie, na co ja pierwszy się zgodzę, ale tego sobie odebrać nie dam, że w naszych obrazach XVIII. wieku pod względem etycznym i patryotycznym stoimy obydwa na stanowiskach wręcz sobie przeciwnych. Rzewuski tak w Soplicy, jak i we wszystkich innych swoich powieściach, uczy nas, że dawna Polska była ideałem organizacyi społecznej i narodowej, że jednak upadła na zawsze i nie pozostaje nam nic innego, jak zgodzić się z losem, porzucić wszelką myśl odzyskania niepodległości i poddać się Rossyi, — a ja uczę, że w dawnej Polsce obok wiela złego, było także wiele dobrego, że to dobre trzeba utrzymać, że trzeba wierzyć niezłomnie w odbudowanie Polski i walczyć za nią do ostatniego oddechu; kto tej różnicy nie widzi, ten mi krzywdę wyrządza. Współczesna krytyka i opinia publiczna w Królestwie to mi przyznała, nawet cenzura rossyjska to zrozumiała, przepuszczając Rzewuskiego utwory w całości, a kreśląc moje do tego stopnia, że z niektórych moich powiastek tylko szmaty bez związku zostały; tylko krytyki galicyjska i krakowska przeciw tym powieściom nieprzychylnie się zachowały, pierwsza dlatego, że, jej zdaniem, były to powieści szlacheckie, a nie demokratyczne, a druga z tego powodu, że je uważała jako apoteozę demokracyi szlacheckiej i rewolucyi (Dzierżkowski i Siemieński). Tymczasem Nieczuja nie mógł być ani demokratą według demokracyi emigracyjnej z r. 1831, ani nowoczesnym liberałem, bo byłby to anachronizm, był zaś demokratą szlacheckim, bo tylko taką demokracyę znać mógł, a rewolucyonistą był tylko odnośnie do swojej epoki, w której było jeszcze podobieństwo wywalczenia Polski z bronią w ręku, ale nie był rewolucyonistą odnośnie do przyszłości, bo w możność wywalczenia Polski własnemi siłami po traktacie wiedeńskim a zwłaszcza po r. 1831 nie wierzył. Autor nie odpowiada za szczegółowe przekonania stworzonych przez siebie figur, ale odpowiada za ton całego dzieła, bo w tym tonie on sam się odbija, — toby krytycy powinni wiedzieć" [1]).

[1]) Notatka Kaczkowskiego p. t. „Pol". Ms.

Czy jednak Nieczuja uważany być może za „idealny typ niezawisłego szlachcica żołnierza i patryoty“, to się okaże z bliższego rozbioru powieści nieczujowskich, które też dla łatwiejszego przeglądu traktować będziemy osobno od innych, już bez względu na datę ich powstania.

Pierwsza z tego cyklu, jak to już zaznaczyliśmy, to „Bitwa o Chorążankę“. Jest to obrazek, przedstawiający prowincyonalny antagonizm pomiędzy obywatelami ziemi przemyskiej i sanockiej. O rękę panny Błońskiej, chorążanki sanockiej, zabiegał z powodzeniem młody Żurowski. Aż oto nagle zjawia się w majętności Błońskich, Beresce, przemyślanin Niezabitowski, młodzieniec grzeczny, a familiant, starościc janowski i „wali w konkur do chorążanki, jakby Tatar w Podole“, bo Przemyślanie „od wieków lubią uganiać się za gładkiem liczkiem i wianem“. Zafrasował się mocno młody Żurowski, a że właśnie podówczas zjechało się w Beresce dość szlachty okolicznej, więc radzą, jakby to Przemyślanina „wykurzyć“. I stanęło na tem, że go przedewszystkiem trzeba wziąć „na kufle“. I rozpoczyna się okrutna pijatyka, w której bierze udział i młodym dzielnie pomaga sam stary chorąży Błoński. Kwartami pito mocne węgierskie wino, potem specyalnym „obrączkowym“ kielichem; zalewano się winem leżąc pod beczką „z pod czopa“, — Niezabitowski trzymał się jednak dzielnie „jak mur“, chociaż już na nogach ustać nie mógł i mówiąc, niezrozumiale bełkotał. Aż wreszcie dogodził mu „petercyment“, wino stare, pieprzne i korzenne, które pan chorąży z piwnicy umyślnie przyniósł. Wlano mu w gardło pół flaszki tego specyalnego trunku a skutek był taki, że Niezabitowski, zerwał się wprawdzie po wypiciu na równe nogi, ale oczy mu w słup stanęły, usta zsiniały, twarz powlokła się trupią bladością i nieszczęsna ofiara „figlów“ sanockich runęła bez pamięci na ziemię. Ale nie koniec był tym figlom. Bracia Sanoczanie postanowili na wiek wieków pozbyć się nienawistnego Przemyślanina; więc go dźwignięto z ziemi i rozebranego niemal zupełnie zaniesiono na drugą stronę domu, gdzie spoczywały kobiety i tam złożono przy pierwszem lepszem łóżku. I byłby może spał tam cicho do rana, gdyby nie jeden z tej „delikatnej“ młodzieży, niejaki Hubczyc, który mszcząc się na pannie Osuchowskiej za otrzymanego odkosza, przyniósł z sobą żabę i wsunął ją tej pannie pod kołdrę. Stało się tedy „larum“ okrutne. W rezultacie wyniknął pojedynek na szable skompromitowanego Niezabitowskiego z Deręgowskim, przyczem obaj ponieśli rany. Niezabitowski z rozpłataną gębą leczyć się musiał kilka tygodni w Beresce, poczem jeszcze mocno cierpiący wyruszył pod opiekę samego pana Nieczui, który mu w tym pojedynku sekundował, do domu w Przemyskie. Nie obeszło się i w tej podróży bez awantury, albowiem w Niżankowicach pijana szlachta przemyska chciała na Nieczui wziąć pomstę za Niezabitowskiego. Lecz waleczny Nieczuja wziąć się nie dał i poraniwszy kilku napastników, schronił się wreszcie do klasztoru Reformatów, gdzie sprawę zagodzono. A pan Nieczuja, uproszony przez wdzięcznego za opiekę Niezabitowskiego, pojechał z nim w Przemyskie, zkąd przez czas długi wyrwać się nie mógł, fetowany po dworach, przyczem mógł z przyjemnością stwierdzić, że „pito tam równie dobrze jak w sanockiem“.

Nie długa to powiastka, ale pisana z ogromną werwą, jest obrazem bardzo plastycznym, na którym występujące postacie, niemal wszystkie, przedstawiają się z wielką wyrazistością. Jestto jedna z najlepszych powieści Kaczkowskiego, a pod względem układu niezawodnie najlepsza, pełna życia i barwy. Musiała też niewątpliwie pociągnąć w swoim czasie wielu czytelników, zwłaszcza w Sanockiem, bo też zapewne w tym celu nie szczędził autor wzmianek o tamtejszych ziemianach, przydając im tu i ówdzie, miły potomkom, tytulik. Są tam i Błońscy i Żurowscy, Osuchowscy i Załęscy, są Deręgowscy i Chojnaccy — cała galerya; są skarbnikowie i cześnicy, są stolnikowie i starościce, a wszyscy „tędzy do korda, nieporównani do kufla“. Niestety, tę tężyznę do korda widzimy tylko w pojedynku w Beresce i bójce między swoimi w Niżankowicach, a co się tyczy kufla, to widzimy go wszędzie i na każdem miejscu, widzimy aż do zbytku, a ta pijatyka, przeradzająca się w orgię do nieprzytomności, znajduje w ustach widza i uczestnika tych biesiad, imćp. Nieczui, gorącą niemal pochwałę. Jestto jego zdaniem, objaw fantazyi, nad upadkiem której w innem swem opowiadaniu o „Junakach“ biadać będzie, jako nad zanikiem starodawnych obyczajów. — Ci „Junakowie“, których czyny przekazuje potomności Nieczuja, to p. Edmund Chojnacki, syn stolnika rawskiego a potem pisarza grodzkiego sanockiego. W braku wojny był on przewódcą w burdach powiatowych, zajazdach i pojedynkach, a nabył wielkiego poważania u szlachty, — to dalej p. Deręgowski stolnik ostrzeszowski, równy Chojnackiemu siłacz i zawadyaka, to pan Sobolewski, cześnik żytomierski, wielki także junak i wreszcie p. Chryzanty Nowosielecki, „zacięty i zwadliwy, gotów jak gad skakać do oczu“. — Otóż ci czterej zawiązali z sobą rodzaj konfraternii, czy sojuszu zaczepno-odpornego,

któremu nikt oprzeć się nie zdołał. „Czego chcieli, tego i dokazali“. Nie mając na razie nic lepszego do czynienia, urządzali wyprawy na rabusiów cyganów i *brevi manu* wieszać ich kazali. Raz, po takiej wyprawie powiesili od razu dwunastu, poczem ci cyganie, co uciec zdołali, poczęli mścić się i podpalać wsie okoliczne i majątki szlacheckie. Deręgowski, zoczywszy raz dwunastoletnie cygaiątko jak podpalało jego stodołę, dopędził je, schwytał i bez namysłu własną ręką wrzucił w ogień, „aby we własnem dziele zgorzało“. Pożary te wszakże stały się powodem wielkiego ubóstwa i nędzy, nad czem ubolewał mocno szczególnie pan Sobolewski, jako że był niezwykle dobrotliwego serca. I oto czterej junakowie zaczęli się naradzać, w jaki sposób wynagrodzić pogorzelcom szkody, wynikłe bądź co bądź z ich winy, boć pożary owe były zemstą za wieszania cyganów *brevi manu*. I po naradzie postanowiono urządzić wyprawę na Ukrainę i tam na hajdamaków pójść, a zdobyty łup przywieźć w Sanockie na wynagrodzenie pokrzywdzonych zemstą cygańską. Jak postanowili, tak się stało. Po kilku miesiącach wrócili ztamtąd z łupem niezmiernie bogatym, który stary pan Nieczuja pomiędzy pogorzelców rozdzielał. — Zginęli ci junakowie dość marnie. Sobolewski i Nowosielecki przynajmniej na polu bitwy. Ale pan Deręgowski zginął w pojedynku ze swym najlepszym przyjacielem Chojnackim, ten zaś skończył nagle, na polowaniu u panów Brześciańskich.

A imć pan Nieczuja, opowiedziawszy te dzieje, które mu się zdają „snem pięknym“, pyta z boleścią: „Gdzież są dzisiaj ich czynów pamiątki? W cóż się obróciła puścizna ich krwi i fantazyi?“.

Bez popełnienia anachronizmu, niepodobna oczywiście przykładać dzisiejszej miary etycznej do owych „czynów“, ale nawet z punktu widzenia pana Nieczui, który opowiadał już o nich z pewnego oddalenia, możnaby zapewne tłumaczyć panów Chojnackich i Deręgowskich rozmaitemi przyczynami, zasługującemi na uwzględnienie, przedewszystkiem zaś nieszczęśliwym stanem ówczesnym kraju, niepodobna jednak ich awanturniczych wypraw, owych egzekucyi *brevi manu* i ich rozpasanego opilstwa podnosić do znaczenia „czynów“, mienić objawem rycerskiej fantazyi. Można żałować krwi przelanej w tych wyprawach i pojedynkach, niepodobna się dziwić, że puścizna tej krwi poszła na marne, bez żadnego pożytku dla sprawy publicznej, o której zresztą ci „junakowie“ nie zdają się mieć żadnego pojęcia; działają tylko pod wpływem fantazyi, najczęściej trunkiem podnieconej, a co najwyżej w imię partykularnych interesów najbliższej swej okolicy. Imć pan Nieczuja nie dostrzega w tem nic zdrożnego, co więcej nawet: w „Kasztelanicach Lubaczewskich“ posuwa się do wyrażenia żalu, że dzisiaj, to jest za jego lat późniejszych, już tak pić nie umieją. „Dziś — powiada — gdy się popiją, to spać się kładą, jak gdyby w nocy, choćby to w samo południe. Dawniej tak nie bywało: piliśmy póty, pókiśmy się nie popili, a potem piliśmy znowu, pókiśmy się nie wytrzeźwili“. I z lubością widoczną opisuje sceny pijackie: co w nieprzytomności wyprawiali i p. Grabowski stary i p. Gumowski, panowie Osuchowscy, Urbańscy czy Żurowscy. — U pana Nieczui niemal bohaterem jest taki Deręgowski, który w ten sposób dwa tygodnie pić potrafił, albo inny szlachcic, który konewkami wino wychylał... Wszystko to w ustach „idealnego typu szlachcica rycerza, patryoty“, za jakiego Nieczuję sam Kaczkowski chce uważać, brzmi nieco dziwnie.

W owych „Kasztelanicach Lubaczewskich“, o których wspomnieliśmy powyżej, występuje typ nowy w osobie jednego z tych kasztelaniców, Kaspra Brześciańskiego. W przeciwstawieniu do brata, Krzysztofa, szlachcica wesołego humoru, obdarzonego zdrowym i bystrym rozumem, lubiącego dobrą kuchnię, wino i polowania, Kasper, naczytawszy się niemieckich i francuskich książek, stał się „liberałem“. Zaczął coś prawić szlachcie o „duchu narodów, o innym „porządku świata“, o bezprawiach, których się miała dopuszczać szlachta na mieszczaństwie i chłopach, o konieczności zrównania wszystkich stanów, czem oczywiście oburzał na siebie ogół szlachecki. Był przytem zapalonym muzykiem i — marzycielem, a szczególną okazywał słabość dla płci niewieściej, co też go zgubiło, bo się na śmierć rozkochał w pięknej wojewodziance wołyńskiej, pannie Teresie Ossolińskiej. Miłość ta, graniczącą z maniactwem, stała się powodem katastrofy całego jego życia. Rozkochany bez pamięci, począł on urządzać wieczorami serenady ze swoją kapelą cygańską pod oknami zamku w Lesku, w którym przebywała jego bogini. Z tego skorzystał mściwy szlachcic Osuchowski, mający zdawna złość do pana Kaspra i tak podstępnie wszystko urządził, że wyperswadowawszy służebnej Teklusi, iż kasztelanic Brześciański w niej się rozkochał i dla niej owe serenady urządza, wyprawił ją wreszcie na schadzkę miłosną. Naiwny p. Kasper mniemał, że to wojewodzianka Teresa, która o tym podstępie zgoła nie wiedziała i afektów kasztelanica nie myślała dzielić, — gdy zaś podstęp się wydał, pan Kasper rozgoryczony i ośmieszony, zamknął się zrazu w swojej Ustyanowej, a dowiedziawszy

się, że uwielbiana przez niego Teresa, poślubia krajczego koronnego Potockiego Józefa, zniknął bez wieści. Był w Ameryce, gdzie walczył pod Pułaskim, a po jego zgonie pozostał w służbie amerykańskiej, poczem przybył do Paryża. Tu przystał do „jakobinów“, przyjaźnił się z Robespierrem, zgoła rewolucyonistą się stał a od Polaków stronił. Wreszcie z niejakim Rdułtowskim przybył do Wiednia, lecz i tu znowu wśród pospólstwa i rzemieślników agitacyę rewolucyjną rozpoczął. Skończyło się na tem, że wskutek burdy, wyprawionej tam w domu jakiegoś mieszczanina, Kasper uwięziony, zaprowadzony do koszar piechoty, tam jako prosty żołnierz do szeregów zaciągnięty został. — Protekcya pani Teresy Potockiej, pamiętnej, że to przez miłość dla niej, jakkolwiek bez jej winy, Kasper tyle ucierpiał, sprawiła, że niefortunnego kasztelanica uwolniono. Krzysztof, który po brata do Wiednia pojechał, zabrał go z sobą i już go miał zawieźć do domu, do Ustyanowej, gdy po drodze, że to były właśnie zapusty, spotkali się z kuligiem. Występuje tu także cała galerya szlachty sanockiej: Przeczkowscy, Urbańscy, Grabowscy, Gumowscy, Żurowscy i innych mnóstwo. Otoczono kasztelaniców i zabrano z sobą do Olszanicy, do Załęskich. I tu na cześć kasztelaniców rozpoczęła się oczywiście okrutna pijatyka. „Pito też na frasunek — opowiada Nieczuja. — Kiedy pito na ochotę, to jeszcze jako tako: ale niech Bóg uchowa, kiedy zaczną pić na frasunek. W dziesięciu całe morze byśmy wtedy wypili i jeszczeby się na jaką rzeczkę zostało miejsca. Kielich chodził, ba! latał jakby na skrzydłach“. — W ogóle piją tam ciągle. Gdy po owej awanturze z Teklusią, pan Kasper chce się rąbać z Osuchowskim, złożono sąd honorowy w winiarni w Lesku, gdzie pan Krzysztof zajęty był werbunkiem do konfederacyi. Sąd ów orzekł, że bić się tym panom nie wolno, lecz mają obaj pod wodzą Krzysztofa udać się do konfederackiego obozu. Obywatelska iście uchwała! Ale na czem się skończyło? Oto zaczęto pić *de noviter repertis*, popiwszy się zaś wszczęto kłótnię, burdę i rozjechano się z niczem do domów. Werbunek przepadł, tylko pan Krzysztof z kilku zaledwie towarzyszami do obozu potem wyruszył. Inni zwerbowani, już zaraz z Leska, jeszcze pijani, rozjechali się do domów „radzi z tego, że się nie narażą na kule i piki kozackie“. Notując to zaś, imć p. skarbnikowicz zakroczymski bynajmniej nie wyraża zgorszenia i nie podnosi żadnego przeciw temu zarzutu! Ten ideał szlachcica-rycerza jest bardzo, może nawet zanadto wyrozumiały już nie tylko dla pijackiej swawoli, lecz nawet w obec tak mało rycerskiego zachowania się sanockich junaków.

Tu dla porządku zaznaczyć winniśmy, że w „Gazecie Lwowskiej“ z r. 1852 ukazywać się poczęła od Nr. 18 z 23. stycznia do Nr. 24 z 30. tegoż miesiąca powiastka p. t. „Pan Bal“, w której p. Nieczuja kronikarskim, dość suchym sposobem opowiada, jak to on wykupił z niewoli rossyjskiej w r. 1769 p. Bala, kasztelanica sanockiego, walczącego w szeregach konfederackich pod wodzą Franciszka Pułaskiego, którego Kaczkowski stale mylnie nazywa Puławskim. Rzecz to drobna i bez wielkiej wartości, a zaznaczyć należy, że wydrukowana została bez wymienienia nazwiska autora.

Znaczniejsza rozmiarami od poprzednich jest powieść p. t. „Swaty na Rusi“. Drukowana w „Gazecie Lwowskiej“ w roku 1851 od Nr. 125 z 2. czerwca do Nr. 177 z 4. sierpnia. W tymże samym roczniku „Gazety Lwowskiej“ spotykamy także powiastkę p. t. „Żądza dziedzictwa“, od Nr. 50 z 2. marca do Nr. 68 z 23. marca. Jak to później zobaczymy jest to wstęp do powieści „Murdelio“, drukowany tu jako osobna całość.

W tych „Swatach“ Nieczuja poświęca się dla swego przyjaciela i towarzysza z pod chorągwi konfederackiej, Ołtarzowskiego, który zakochał się bez pamięci w pannie Annie Ostrowskiej, córce rzekomego pułkownika Ostrowskiego, który właściwie ani pułkownikiem, ani Ostrowskim nie był, lecz przyszedł na świat jako syn szewca warszawskiego Ostrowca. Sprytem i szalbierstwem doszedł do majątku i przezwawszy się Ostrowskim a poślubiwszy zacną szlachciankę sanocką, Dydyńską, zamieszkał w Stryjskiem, i czas jakiś udawał pana. Wkrótce jednak przetracił wszystko, i jakąś resztkę kapitaliku umieściwszy u p. starosty Bachtyńskiego, Dominika Dzieduszyckiego, na jego dworze w Dzieduszycach pieczeniarzował, pozostawiając żonę i córkę w ostatniej nędzy na skromnej dzierżawce w Błoniach pod Stryjem. Nie przestał jednak udawać pana i stanowczo, w imię swych arystokratycznych przesądów, sprzeciwiał się, aby jakiś tam Ołtarzowski poślubił jego córkę, Ostrowską. Otóż p. Nieczuja, chociaż zgnębiony swoją żałobą po utracie ukochanej żony, podjął się jechać na Ruś i pozyskać zgodę nieubłaganego ojca na to małżeństwo. Poznawszy nieszczęśliwą żonę Ostrowskiego, cichą i zrezygnowaną, oraz córkę jego nadobną Anulkę, tem więcej do tego przedsięwzięcia się zapalił i wraz z Ołtarzowskim udał się na dwór bachtyńskiego starosty do Dzieduszyc, gdzie stale przebywał ów pułkownik Ostrowski. Tu mamy opis tego dworu i orgii, jakie się tam odbywały. Starosta bachtyński występuje tu jako drugi starosta Kaniowski, czy

też książę „Panie kochanku“, utrzymujący liczny dwór darmozjadów i po pijanemu dokazujący co nie miara. Misyę swą spełnia p. Nieczuja bardzo niefortunnie i nie dyplomatycznie; gdy bowiem na jego ozdobną i długą oracyę, oświadczającą Ołtarzowskiego, pan Ostrowski odpowiada rekuzą, zapalczywy skarbnik zakroczymski wybucha gwałtownie, wymyśla Ostrowskiemu od synów szewskich, pijaków, hultajów i rabusiów, a wreszcie grozi odsądzeniem go publicznem od czci i wiary, gdyby się poważył sprzeciwiać dłużej małżeństwu Ołtarzowskiego z piękną Anulką. Zastraszony Ostrowski pozornie się zgadza i wyprawia Ołtarzowskiego wraz z jego zapalczywym swatem z powrotem do Błoń, gdzie obiecuje sam przybyć i dać uroczyste zezwolenie. I przybywa istotnie, ale ze zgrają kozaków nadwornych bachtyńskiego starosty, którzy wdarłszy się do domu, wyrzucają ztamtąd niefortunnego narzeczonego wraz z jego swatem. — W bójce tej sam Ostrowski poniósł szwank niemały, a sam srodze poturbował biedną swą małżonkę i nadobną córkę. Wprawdzie p. Nieczuja wziął potem srogi odwet na owych kozakach, gdy nazajutrz z Błoń powracali do Dzieduszyc, ale sprawa miłosna Ołtarzowskiego zdawała się pogrzebana na zawsze. Tentowano wprawdzie jeszcze urządzić tłumną wyprawę szlachty sanockiej na Błonie, celem porwania panny Ostrowskiej. W tym celu za inicyatywą Nieczui, panowie Dydyńscy sprosili do siebie do Sielnicy okoliczną szlachtę, aby ją skłonić do wzięcia udziału w tej wyprawie dla pomszczenia honoru całej ziemi sanockiej, dotkniętego w osobie Ołtarzowskiego. Na wezwanie panów Dydyńskich przybyła do Sielnicy moc okolicznej szlachty, tak kontuszowej jak i modnie już przebranej, w perukach, frakach, pończochach i trzewikach. Ci ostatni, przezywani „perukarzami“, przybyli pod wodzą „primadonny“, eleganta, hr. Parysa. I oto zamiast radzić nad projektowanym zajazdem, wszczyna się kłótnia, a wreszcie bójka kontuszowych z „perukarzami“, zakończona haniebną porażką i ucieczką tych ostatnich. Zdumiewa tu, nie tyle brak solidarności wśród szlachty, ile niegościnność panów Dydyńskich, którzy nie tylko cierpliwie znoszą, lecz wyraźnie podjudzają ową walkę z „perukarzami“ we własnym domu. Oczywiście zamierzona wyprawa na Błonie nie przyszła do skutku, a p. Ołtarzowski ostatecznie zrezygnować musiał i wyrzec się ukochanej Anulki. Na tem jednak nie kończy się powieść. Mija lat parę; p. Nieczuja odbywa teraz pielgrzymki do miejsc świętych i dnia pewnego spotyka się w Kochawinie z p. starostą bachtyńskim zupełnie przeobrażonym. Ze swawolnego wdowca, karciarza i pijaka, stał się nabożnym

i wspaniałym panem, ożeniwszy się powtórnie [1]). Zaprosił też Nieczuję do Dzieduszyc, przeobrażonych także zupełnie; odbywały się tam przyjęcia i fety, ale zgoła przystojne i piękne, niepodobne zgoła do owych orgij poprzednich. Opowiadając o tem p. Nieczuja stracił wątek tragedyi miłosnej Ołtarzowskiego, a schwytał go dopiero w karczmie w Stryju, gdzie z rozmowy pijanego szewca z towarzyszami i z ust rozmownego żebraka dowiedział się, że pan Ostrowski, wyrugowany z Dzieduszyc i straciwszy dzierżawę Błoń, przeniósł się z rodziną do Stryja, gdzie resztki mienia przehulał. Rozpił się wreszcie zupełnie i zginął w bójce z pijanym kowalem. Żona jego już przedtem zakończyła życie w ostatecznej nędzy, a córka mieszka dotąd w Stryju, ciężko pracując na skromne utrzymanie.

Zakończenie jest mocno melodramatyczne. Ołtarzowski, zawiadomiony przez Nieczuję, przybywa do Stryja i wpada do ubogiego mieszkania Anulki, która nie mogąc znieść tej radości, w objęciach Ołtarzowskiego umiera. Serce jej pękło. A Ołtarzowski, pogrzebawszy ukochaną, puścił się na pielgrzymkę pobożną do Ziemi świętej i w Jerozolimie życie zakończył.

Powieść „Swaty na Rusi“, słabsza od poprzednio omówionych, zwłaszcza zaś od „Bitwy o chorążankę“, pisana jest jak inne stylem dość barwnym i zamaszystym, który brzmi dobrze w ustach imćp. Nieczui. Nie wolne są jednak te powiastki od błędów językowych, od germanizmów, których chyba pan skarbnik Nieczuja popełnić by nie mógł. Powiada on wszakże do Ołtarzowskiego, że „musi go u w a ż n y m z r o b i ć“, a Ołtarzowski odpowiada mu: „P r a w d ę m a s z, panie Marcinie“. W innem miejscu p. Dydyński „przygląda się n a pana Parysa“, czyjaś tam znowu dusza „cieszy się n a cudzą szkodę“, to znów dowiadujemy się, że pan Kasper Brześciański w Paryżu „unikał od Polaków“; wszyscy zaś, chociaż nie zawsze zgodnie „p o s t ę p y w a l i“, ciągle się jednak z sobą „z d y b u j ą“ itd., itd.

Uczucie miłości przedstawia Kaczkowski jako siłę fatalną, która łamie i w niwecz obraca najdzielniejsze charaktery męskie. Taką siłą fatalną była dla Jana Ołtarzowskiego miłość do pięknej

[1]) Tu Kaczkowski popełnia wyraźną omyłkę. Twierdzi bowiem, że tą drugą żoną starosty bachtyńskiego, Dominika Dzieduszyckiego, była Dzierżkówna. Otóż tak nie było. Drugą jego żoną była Julianna z Olbrachcic Bielska, poślubiona w r. 1767. Pierwszą zaś była Barbara Dzierżkówna, um. 1764 r. (Vide: Herbarz Bonieckiego, Tom V. i „Almanach błękitny“ Jerzego Borkowskiego).

Anulki Ostrowskiej; ona to zwichnęła życie Edmundowi Chojnackiemu, a już pognębiła zupełnie bohatera powieści p. t. „Mąż szalony“, dzielnego niegdyś rycerza, wsławionego w wojnach kozackich, Kitajgrodzkiego, a wraz z nim, niemniej dzielnego wojownika Michała Strzeleckiego. Ów Kitajgrodzki, wedle zdania jego zaufanego dworzanina, kozaka Samojły, „miał umysł zdrowy jak orzech, prędki jak błyskawica, serce śmiałe i srogie wśród bitwy, ale jakby wosk miękkie wszędzie za bitwą, zresztą wielkie zkądinąd przymioty“. Te jednak przymioty nie dały mu szczęścia, w sercu zaś kobiet nie zapewniły wierności. Pierwsza jego żona „piękna jak słońce“, rozmiłowała się w jakimś generale saskim i z nim uciekła, a druga, poślubiona już w latach późniejszych, równie piękna, Anna Borzysławska, stała się powodem jego szaleństwa.

„Męża szalonego“ skończył pisać Kaczkowski w listopadzie 1852 r. i przesłał „Gazecie Lwowskiej“, która już d. 4. stycznia 1853 druk rozpoczęła [1]). Powieść zawiera na wstępie niezmiernie plastyczny i pełen życia opis odpustu w Łopience, miejscu cudownem. Widzimy tu żywemi namalowany barwami obraz odpustowej uroczystości i tłumów nabożnych pielgrzymów, różnych kramarzy i przekupniów, obraz prawdziwie mistrzowski, w którego obszernych, bardzo obszernych ramach, dostrzegamy zaledwie postać „Męża szalonego“ z dużym krzyżykiem z kości słoniowej w ręku, w towarzystwie nieodstępnego kozaka, z ukraińska przybranego, a nieustannie przygrywającego na teorbanie. — Poznajemy też tu w dworku sędziego pana Macieja Strzeleckiego, liczną szlachtę o typach rożnorodnych a znamiennych. Drugorzędne te i trzeciorzędne postacie, przedstawione są tak żywo, że pozostają w pamięci czytelnika. Wybornym np. typem jest taki Białobrzeski, który powtarza z lubością wszystkie zasłyszane plotki, a gdy mu kto prawdziwości tych plotek zaprzeczy, szlachcic nie gniewa się wcale i po każdem zaprzeczeniu spokojnie powtarza: — „Nie?... proszę, a tu tak powiadano...“.

To wszystko należy jednak jeszcze do ram obrazu, który zaczyna się dopiero właściwie ożywiać, gdy mieszkający w tejże wsi Łopience, imiennik, czy krewny daleki sędziwego pana Macieja Strzeleckiego, młody pan Michał Strzelecki, występuje na scenę. Ów pan Michał, wprawdzie nie jest „szalony“ jak Kitajgrodzki, lecz dziwak i odludek. „Łagodny bardzo i słodki w obejściu

[1]) „Gazeta Lwowska“ 1853, od Nr. 2—106.

z ludźmi i sąsiadami, raz jednak chłopa roszczepił czekanem, a do Żydów strzelał z gwintówki“. Nadto oskarżono go przed trybunałem o niewiarę, czy kacerstwo. Ów „słodki“ pan Michał na widok „szalonego“ Kitajgrodzkiego, modlącego się na dziedzińcu cerkiewnym, z krzyżem kościanym w ręku i przy dźwiękach kozackiego teorbanu, zsiniał, zesztywniał i zemdlał. Nieprzytomnego przeniesiono do jego dworku, gdzie też natychmiast przeniosła się już podpita a zaciekawiona szlachta i tu znowu pić zaczęła, snując różne kombinacye na temat tego zemdlenia. Obudzony tą wrzawą, a w silnej malignie, wybiega do swych gości pan Michał i zaczyna prawić rozmaite rzeczy, niezbyt zrozumiałe dla obecnych, lecz nadto składne i kwieciste jak na człowieka w gorączce. Mówi oczywiście o „Niej“, której oczy były „jak dwie najczyściejsze (sic!) krynice, lica, jak róże przeplecione z liliami, usta jak dwa rzędy korali, włosy, jak ciemne włókna jedwabiu, migające się w świetle słonecznem“.

Ze słów tych ozdobnych oczywiście wynikało, że pomiędzy owym Kitajgrodzkim a Michałem Strzeleckim stanęła „Ona“ i stała się klątwą ich życia. — Zaciekawiony pan Nieczuja jedzie nazajutrz wraz z synem do pana Kitajgrodzkiego, do Tyskowej, gdzie jesteśmy świadkami różnych objawów jego mistycznego obłędu, ale o historyi jego życia dowiadujemy się dopiero z opowiadania owego teorbanisty, kozaka Samojły, który na zaproszenie pana Nieczui przybywa w parę tygodni potem do niego, do Bóbrki.

Tu już pan Nieczuja daje głos teorbaniście, który mówi zajmująco i pięknie — za pięknie jak na kozaka — a tak obszernie, że ta opowieść nie jeden chyba wieczór, lecz dni parę zająć musiała. Zaczyna się ona od dni dzieciństwa Samojły, opisuje tragiczną śmierć matki, spalonej wraz z całym dobytkiem przez mściwego kozaka; opisuje swą ucieczkę na Sicz i obyczaje tamtejsze — niezbyt wiernie i zgodnie z prawdą — wzięcie swe do niewoli przez walczącego z hajdamakami Kitajgrodzkiego i swoje dzieje na jego dworze, na którym zajął główne stanowisko, zaszczycony bezgranicznem zaufaniem swego pana, naówczas już wdowca, po owej żonie, która z generałem saskim była uciekła i wypadkiem zginęła. — Pomimo jednak tak smutnego doświadczenia z niewiastą, pan Kitajgrodzki, jakkolwiek już niemłody, nie stracił ochoty do konkurów. Zakochał się na zabój w pannie Annie Borzysławskiej, o wiele od niego młodszej, a że pan był bogaty, posiadał bowiem oprócz wsi własnych, bardzo intratną ekonomię samborską, więc uzyskał zezwolenie matki, oraz aprobatę wuja i opiekuna panny,

p. miecznika Łaszewskiego. Pannę poznał jeszcze małem dzieckiem, widział ją potem dorosłą dzieweczką w nieodstępnem towarzystwie pięknego młodzieńca, Michała Strzeleckiego, który się z nią razem wychował, mógł też na pewno przypuszczać, że tych dwoje łączy płomienna miłość, ale nie zważał wcale na to i pomimo przestróg rozsądnego Samojły, ożenił się, oczywiście na swoje nieszczęście. Zrazu, przez dwa lata, ciągnęło się to jako tako, aż wreszcie pan Kitajgrodzki wpadł w dziwny niepokój i zazdrość niepohamowaną. Ofiarą tej zazdrości padła najprzód służebna jego żony, Handzia, która umęczona więzieniem, śledztwem, a wreszcie haniebnem „wyświeceniem“ z Przemyśla, gdzie się sąd odbywał, z rozpaczy i wstydu umarła. Drugą ofiarą był żyd, Jarwan, który nosił karteczki miłosne od Strzeleckiego do pani Anny; oddany w ręce sądu przez Kitajgrodzkiego, a oskarżony nadto przez innego delatora o krzywoprzysięstwo i t. p. występki, zginął, spalony na stosie. Największą zaś ofiarą była pani Anna, dręczona nieustannie porywami zazdrosnego męża — porywami zrazu zgoła bezpodstawnymi, które ją w końcu, zrozpaczoną, rzuciły w objęcia kochanka. Istotnie dramatyczną jest scena, gdy Kitajgrodzki każe w nocy, wiernemu słudze swemu Samojle, mierzyć z gwintówki do stojących w ogrodzie Strzeleckiego i Anny. Strzał chybił, ale pan Kitajgrodzki stracił odtąd zmysły.

Opowieść teorbanisty budzi żywy interes; jest pełna werwy i rozmachu; nie brak jej nawet siły dramatycznej. — Sam jednak kozak opowiadający, nie wiele ma istotnie „kozaczego“ w sobie; zdumiewa niezwykłą subtelnością uczuć i słuchu, czego bowiem nie może dojrzeć, to wybornie podsłucha, a czego podpatrzeć i podsłuchać nie może, to się trafnie domyśli i opowiada tak, jakby sam był świadkiem. Kilkakrotnie naprzykład przytacza szczegółowo rozmowy Kitajgrodzkiego z panią Borzysławską, opisuje wyrazy ich twarzy i całe zachowanie się, chociaż podczas tego siedzieć musiał w antykamerze, kiedy pan jego szedł na pokoje.

Zdawałoby się, że z opowieścią teorbanisty i dopełnieniem się losu nieszczęsnego „Męża szalonego“ powieść się skończy. Niestety, nie! A całe wrażenie tragizmu przerywa i psuje obszerny jeszcze rozdział ostatni, opisujący „Burdę przy kościele“. Rzecz dzieje się w cztery lata po owej opowieści kozaka i rozpoczyna się jakby nowa powieść. Jesteśmy świadkami burzliwego zajścia przy kościele w Lesku, pomiędzy dworzanami wojewody Ossolińskiego, a służbą „drążkowego“ kasztelana sanockiego, Malickiego Józefa. Tu autor korzystał z ustnych podań a umieścił ten epizod

na cześć szlachty sanockiej, która pomimo rozjątrzenia umiała złożyć swe krzywdy na ołtarzu ojczyzny.

Oto jak o tem mówi Kaczkowski w liście do Edmunda hr. Krasickiego, pisanym ze Lwowa dnia 30. września 1850 r.:

„Jaśnie Wielmożny Hrabio! List JWHrabiego odebrałem wczoraj i nie mogę się powstrzymać, ażebym natychmiast nie złożył mego podziękowania za odebrane wiadomości. Nie myślałem nigdy ażeby się tak wszystko dało odszukać, — wiadomości takie są to nieocenione skarby dla powieściopisarza, — li z samego rejestru tych nazwisk, przy lada jakiej znajomości terrainu i dziś tam mieszkającej szlachty, a przy dobrej znajomości historyi owego czasu, potrafiłby pan Henr. Rzewuski ze sześć powieści ułożyć. Ale na to potrzeba jego talentu, a nadewszystko jego doświadczenia i znajomości serca ludzkiego; młody człowiek nie potrafi dobrej powieści napisać. Dziwi mnie to bardzo, że w papierach, które zawierają tyle szczegółów o tamtoczesnej szlachcie sanockiej, niemasz wzmianki o wspomnianym wypadku przed kościołem; ja pierwszą wiadomość o tym fakcie mam od Leoncyusza Wybranowskiego, który nie wiem już dzisiaj na jakiej drodze przyszedł do niego, ale fakt ten bazuje się jeszcze na aktach Kuropatnickiego, a mianowicie w listach pani Kurdwanowskiej do p. Kuropatnickiego Kasztelana Bełzkiego pisanych, jest jakaś wzmianka o nim. Zdaje się więc, że zajść musiał koniecznie pomiędzy panem Wojewodą Wołyńskim, a panem Malickim, wł. Uherec wówczas. Ale mnie nie idzie o fakt sam, tak jak go L. Wybranowski opowiada a pani Kurdwanowska i inni korespondenci potwierdzają, idzie mi tylko o sens moralny, *et quidem*: że szlachta Sanocka pokłóciwszy się pomiędzy sobą i rozsrożywszy się do krwi, obustronnie krzywdy swoje i obelgi złożyła na ołtarzu Ojczyzny i zamiast wykonania zemsty zawiązała konfederacyę. Pisarz, nie w demokratycznej szkole uczony i nie piszący pamfletów na szlachtę, a temsamem na historyę, jedyną i najdroższą własność, którą dziś jeszcze posiadamy, nie będzie czyhał na skandały (sic!), aby je opisywać i tem popularyzować swoje nazwisko u partyi demokratycznej; pisarz-filozof czy poeta, który się nie potrafi podnieść nad dzisiejsze stronnictwa polityczne i więcej dba o dogodzenie namiętnościom tego lub owego stronnictwa, nie zdobędzie sobie samoistnego stanowiska w literaturze i nikogo nic nie nauczy; zostanie na wieki wieków literackim lokajem w służbie tej lub owej partyi zostającym, i od niej listeczkami sławy płatnym. Ogół i późniejsza historya literatury wspomni o nim jako

o moralnym najmicie za moralną nagrodę, nie przyzna go nawet za swoją własność, a jego pisma zostawią tyle pamiątek po sobie, ile buty zrobione przez szewca dla papy i przez papę podarte, a synowi nawet do podszycia niezdatne. Ale wir czasu i głupia żądza choćby dożywotniej tylko sławy porywa i wielkie talenta za sobą. We Francyi naprzykład cała literatura romansowa dzisiejsza czyż nie jest służebnicą socyalizmu? Historya o niej kiedyś powie: Był jeden giermek, piękny i młody a wierny swojemu panu ale aż do śmierci był giermkiem tylko. Ze skandalem przy Leskim kościele rzecz się ma inaczej i skandal ten ma być środkiem tylko dla udowodnienia wysokiej cnoty w szlachcie ówczesnej; tu jest stosunek zupełnie matematyczny; im większą obelgę szlachta zapomniała, tem większą ofiarę położyła na ołtarzu ojczyzny. To tylko dodać wypada, że kto zna dobrze usposobienie naszej szlachty z owego czasu, ten wie i o tem nie zapomni, że mogła być wielka obelga, a nie było skandalu uderzenia w twarz przed kościołem [1]).

Zajście to przed kościołem w Lesku, wynikłe z animozyi „dorobkiewicza“, do „pana z panów“, z niechęci szlachty do magnata i sympatyi dla ubiegającego się o popularność kasztelana, przeobraziło się niebawem w groźny wybuch wojny domowej, której ofiarą omal nie padł oblegany ze wszech stron przez pijaną tłuszczę szlachty i pospólstwo zamek leski. — Nie wiele byłaby pomogła słaba interwencya pana Nieczui, ani rozsądna przemowa dzielnego pana Pieniążka, który tej szlachcie rozwichrzonej nie wahał się rzec ze smutkiem, że: „w tej Polsce naszej, dzisiejszymi czasy, jeżeli jest ogień, to tylko do kłótni, fantazya do burd i zajazdów, ochota do kielicha a broń gotowa do rozlewu krwi bratniej“. Nie pomogłaby była i gwałtowna, brutalna niemal a długa przemowa księdza Kalasantego, który po prostu lżył rozswawoloną i pijacką szlachtę, — gdyby nie nagłe jak *Deus ex machina* pojawienie się pana Kitajgrodzkiego z czerwoną chorągwią i krzyżem w ręku i nieodstępnym swym teorbanistą, Samojłą. Ta zgoła niespodziewana interwencya „Męża szalonego“ sprawiła cud. Nastąpiła zgoda wojewody Ossolińskiego z kasztelanem Malickim, szlachta odstąpiła od oblężenia zamku leskiego i wraz z Kitajgrodzkim i Samojłą pociągnęła do obozu konfederacyi Barskiej, dając tem dowód swego gorącego patryotyzmu.

[1]) Z archiwum Zamku Leskiego. List udzielony łaskawie autorowi niniejszej pracy przez syna ś. p. Edmunda, Ignacego hr. Krasickiego.

W wyprawie tej „Mąż szalony“ i jego wierny teorbanista zginęli. Ale nie zginął pan Michał Strzelecki, a wydostawszy się z niewoli, ujęty był bowiem w bitwie nieszczęsnej pod Domaradzem, zjawił się dwa lata później w kościele Panien Benedyktynek w Staniątkach, właśnie w chwili, gdy wdowa po „Mężu szalonym“, miała wykonać profesyę zakonną. Zapalczywy pan Strzelecki przerywa rozpoczętą już uroczystość i w gwałtownej rozmowie z Anną domaga się, aby szła za nim, teraz, gdy wreszcie jest wolna. Ale Anna, nie dobrze rozumiemy dlaczego, odtrąca niedawnego kochanka, który zrozpaczony, wyrzuciwszy z ust bluźniercze przekleństwo, wybiega z kościoła i ginie nagłą śmiercią gdzieś na rozstainych drogach.

Taka to jest historya „Męża szalonego“; — historya, która byłaby bardzo zajmująca, gdyby w opowiadaniach tak Nieczui, jak i teorbanisty, nie była przeciążona luźnymi epizodami, które same przez się często bardzo barwne, przerywają jednak tok akcyi i zainteresowanie czytelnika osłabiają. Wiele również dałoby się zarzucić niekonsekwencyj w przeprowadzeniu charakterów. Sama postać głównego bohatera Kitajgrodzkiego łamie się kilkakrotnie w przekonaniu czytelnika: raz, budząc podziw i współczucie pod wpływem opowiadania teorbanisty, to znów niechęć a nawet wstręt, gdy widzimy jego bezwzględny despotyzm i okrucieństwo. Sprzeczności w jego charakterze możnaby chyba wytłumaczyć tem, że Kitajgrodzki, jeszcze przed swą ostateczną katastrofą, objawiał pewne zboczenie umysłowe, że już przed swojem ożenieniem się z Anną Borzysławską, widywał w nocy duchy, które go ze snu budziły. — Drugi bohater, p. Michał Strzelecki, jest zaledwie szkicem. Przedstawia się on czytelnikowi niejasno, jak przez mgłę owej gwałtownej dla Anny miłości, w imię której nie waha się on nawet mącić spokoju zrezygnowanej już i pogodzonej z losem kobiety. Działania jego nie widzimy wcale. Nie rozumiemy zgoła powodu jego pierwszej wizyty niespodziewanej w domu Kitajgrodzkiego pod pozorem jakiegoś procesu, a już zgoła nierycerskiem musimy nazwać posyłanie karteczek miłosnych do Anny przez służebną, a potem przez żyda Jarwana, chociaż o obudzonej zazdrości męża i ścisłem śledzeniu każdego kroku nieszczęśliwej kobiety wiedzieć musiał. Strzelecki miał być bardzo odważnym i dzielnym rycerzem, mdleje jednak i wpada w malignę na widok Kitajgrodzkiego, co mu wcale nie przeszkadza później łączyć się z nim pod jedną chorągwią w konfederacyi. Słowem, nieustanne dostrzegamy tu sprzeczności i nielogiczności psychologiczne, które

tembardziej na jaw występują, że cała ta historya, przedstawiona w opowiadaniu, nie pozwala na odpowiedni rozwój charakterów i pogłębienie akcyi, przerywanej luźnymi epizodami.

Pomimo wszakże tych wadliwości znać w „Mężu szalonym“ znaczny postęp naracyjnego talentu autora, który jednak tak w tej, jak i w następnych powieściach, zdaje się mniej przykładać wagi do artystycznego i harmonijnego ich układu, lecz wysila się na barwność poszczególnych obrazów i zainteresowanie czytelnika dramatycznem napięciem treści.

Takim właśnie dramatycznym nastrojem celuje zwłaszcza pierwsza większa i głośna powieść Kaczkowskiego p. t. „Murdelio“. Przyjęta bardzo przychylnie przez czytelników, znalazła też gorące uznanie u krytyków i to nie bylejakich. Taki trzeźwy i rozumny krytyk jak Michał Grabowski, nie wahał się postawić tę powieść wyżej od „Listopada“ Rzewuskiego [1]). To samo mniej więcej powtórzył Tadeusz Padalica (Zenon Fisz), który Rzewuskiego nazwał wprawdzie „genialnym plastykiem“, zarzucił jednak, że jego postacie wypełniają swoje zadania „mechanicznie“, a mają oblicza piękne, lecz bez wyrazu“. „Moralnem życiem“ natchnął je dopiero Kaczkowski [2]). Aleksander Tyszyński znacznie chłodniej, chociaż zawsze bardzo pochlebnie oceniając powieści historyczne Kaczkowskiego, przyznaje jednak, że „Listopad“ jest wyższy od nich nie tylko rozmiarem, lecz i zasługą [3]).

Że na szerszą publiczność „awanturnicza“ powieść taka, jak „Murdelio“, łącząca z tłem rzeczywistem, nieraz świetnie przedstawionem i urozmaiconem wiernymi obrazami życia szlacheckiego, pewną dozę fantastyczności, mogła oddziałać silnie i pociągająco, temu trudno się dziwić. Snadź jednak i opinia krytyków uległa podówczas chwilowemu urokowi żywego i barwnego opowiadania. Na tę opinię dzisiaj niepodobna się zgodzić. „Pamiątki Soplicy“ i „Listopad“ stać będą zawsze bez porównania wyżej od wszystkiego, co Kaczkowski stworzył, już nie tylko dla tego, że „Soplica“ jest bądź co bądź wzorem, a Nieczuja, zmienionem wprawdzie w niektórych rysach, ale zawsze już odbiciem, lecz przedewszystkiem z tego powodu, że skala talentu Rzewuskiego i jego wykształcenie, oczytanie się literackie było wyższe, zdolne do wytworzenia własną siłą osobnej szkoły w literaturze. Uczniem tej szkoły był

[1]) „Gazeta Codzienna“ 1854.
[2]) „Gazeta Warszawska“ 1855.
[3]) „Pisma krytyczne“. Tom I. str. 182.

Kaczkowski, uczniem niewątpliwie pierwszorzędnym, który idąc wytyczoną już przez mistrza drogą, ustrzegł się ślepego naśladownictwa, a nie tylko się ustrzegł, lecz pod względem plastycznym, zwłaszcza w luźnych obrazkach, dał pełniejszy obraz domowego życia ówczesnego, szlacheckiego społeczeństwa. Barwny opis rozpustnego dworu starosty Bachtyńskiego, w „Swatach na Rusi“, piękny obraz odpustowego zjazdu w „Mężu szalonym“, żywe odczucie piękności przyrody, przejawiające się w wielu ustępach nieczujowskich opowiadań, stanowią ich niezaprzeczony urok i wysoką zaletę.

Jak w „Mężu Szalonym“, tak i w „Murdelionie“ fatalna siła miłości gra główną rolę. Tam Kitajgrodzki „owaryował“, jak się wyraża Nieczuja, tu zaś Murdelio stał się zbrodniarzem. Do zbrodni przygotowała go wprawdzie młodość spędzona w krajach zagranicznych wśród zbytków i rozpusty. Do zbytków tych służyła mu olbrzymia fortuna, odziedziczona po ojcu, z jakiejś sukcesyi hiszpańskiej. A gdy przesycony rozpustą, Piotrowicz — tak się bowiem istotnie nazywał Murdelio — powrócił do kraju, wpadł niebawem w sidła namiętnej miłości. Miłość, w opowiadaniach nieczujowskich, razi zwykle jak grom. I tu się tak stało. Przybywszy w gościnę do starszego krewnego swego, Wita Piotrowicza, ujrzał córkę jego zdaleka, i po zamianie obojętnych słów kilku, już się w niej rozkochał na zabój. Zrazu pan Wit Piotrowicz nie miał nic przeciwko temu związkowi, uważał go nawet za pewne powetowanie krzywdy, doznanej od ojca Murdeliona przy podziale owej sukcesyi hiszpańskiej, ale zaloty zapalczywego narzeczonego pięknej córki, zbyt rubaszne i nacechowane codzoziemskimi obyczajami, poczęły mu się niepodobać, a gdy wreszcie przychwycił konkurenta, trzymającego narzeczoną na kolanach i całującego ją namiętnie, wyrzucił go za drzwi i zerwał z nim wszelkie stosunki. Murdelio odpowiedział na to zajazdem na dworek pana Wita i uwiezieniem panny. W dni kilkanaście potem udało się panu Witowi córkę odebrać, wywieźć z Litwy, gdzie się to działo, na Wołyń i w kilka tygodni potem wydać za mąż za „chudego szlachcica“, stolnika Strzegockiego. Szlachcic, chociaż był „chudy“, ale musiał być dobry i wyrozumiały, bo się snadź o przeszłość małżonki i jej „pieszczoty“ z Murdelionem nie zbyt troszczył, a przyjął bez szemrania córeczkę, która nieco przedwcześnie na świat przyszła, i otrzymała imię Zuzanna. W parę lat później małżeństwo pp. Strzegockich pobłogosławione zostało drugą córeczką, Zosią, zgoła niepodobną do starszej. O ile bowiem Zuzia była brzydka,

zła i kapryśna, o tyle młodsza, była piękna, dobra i poetyczna. Hodowała tylko kwiatki i miewała sny rzewne o śmierci białej róży i dwóch białych goździków.

Tymczasem Murdelio, wyjechawszy z kraju pod grozą kryminalnego procesu za zajazd i gwałt publiczny, szalał przed lat pięć po Paryżu, Londynie, Rzymie i Neapolu. Wreszcie znużony ustawiczną swawolą, powrócił do kraju, pojechał na Wołyń i zdołał intrygami uzyskać widzenie się ze stolnikową, piękniejszą jeszcze niż dawniej, a już owdowiałą, bo dobry i wyrozumiały pan stolnik, był tak uprzejmy, że dostał ataku apopleksyi i umarł, zostawiając wolną drogę swemu strasznemu współzawodnikowi. Murdelio, wskutek swoich szaleństw i niepowściągliwości, miał już taką reputacyę, że go nazwano „dyabłem weneckim“, a nawet książę Karol Radziwiłł „Panie kochanku“ nie chciał go przyjąć, mówiąc, że jego milicya z dyabłami wojuje, ale od nich sukursu przyjmować nie może. Zdaje się, że i stolnikowa, przerażona gwałtownością swego kochanka, lękała się z nim połączyć, bo po owem widzeniu się z nim osobistem i po wymianie czułych listów, obiecujących mu „złote góry na przyszłość“, zniknęła nagle wraz z ojcem i dziećmi, a Murdelio znowu wyjechał do Włoch. — Powróciwszy do kraju, nie dał za wygranę, lecz osiadłszy w klasztorze Franciszkanów w Krośnie, przywdział ich habit i od czasu do czasu pojawiał się w domu pani stolnikowej w Zwierniku, zwykle niespodziewanie i nagle, jak prawdziwy dyabeł, a grożąc jej zemstą srogą, jeżeli mu nie będzie powolną i nie odda mu wreszcie swej ręki.

Pan Nieczuja poznał go najpierw w klasztorze franciszkańskim w habicie mniszym w Krośnie, gdzie mu się swą pokorną układnością i rozumem wielce podobał, gościł go potem u siebie. Tu już mniej mu się podobał, a już zgoła stracił wszelką w jego oczach powagę, gdy zrzuciwszy habit i wdziawszy na siebie żupan i kontusz Nieczui, pojechał z nim razem do Hoczwi do pana podstolego Fredry. Ów pan podstoli to także ofiara miłości. Rozmiłowawszy się w jakieś Włoszce, nie mógł przeboleć jej straty, odtąd zdziwaczał i zawsze czarno się ubierał. W tej tedy Hoczwi Murdelio zdemaskował się całkowicie, nie tylko bowiem, pokłóciwszy się z p. Urbańskim, porąbał go niemal na śmierć, ale potem, pijąc jak smok, opowiadał spokojnie o wszelakich zbrodniach, popełnionych przez siebie we Włoszech. Śmiał się przytem po dyabelsku, cynicznie, aż krew krzepła w żyłach p. Nieczui. Los jednak niefortunny sprzągł jego życie z owym strasznym człowiekiem. Przypadek bowiem zrządził, że Nieczuja znalazł się w domu owej stolnikowej Strzegockiej, jako drużba przyjaciela swego Konopki, konkurującego o rękę starszej jej córki, owej niemiłej Zuzanny.

Podówczas jeszcze Nieczuja nic nie wiedział o stosunkach Murdeliona z tym domem, a przyjęty gościnnie przez panią stolnikową i zachwycony postacią jej sędziwego ojca, blisko już wówczas sto lat liczącego, pozostał dłużej w Zwierniku i zakochał się na śmierć w cichej, łagodnej a pięknej siostrze Zuzi, Zofii. Miłość ta oczywiście nie wyszła mu na dobre. Pani stolnikowa bowiem uznała, że Nieczuja, dzierżawca Bóbrki, za małą jest partyą dla Piotrowiczównej i dała mu stanowczą rekuzę, przenosząc nadeń starościca Lgockiego, głupkowatego wprawdzie, lecz pana licznych włości. Pan Nieczuja, wyprawiwszy jej srogą awanturę, z przekleństwem na ustach wyjechał ze Zwiernika i powrócił do swojej Bóbrki z rozpaczą w sercu, którą nadaremnie rozproszyć a przynajmniej ułagodzić usiłował świątobliwy misyonarz, rozprawiający długo, a nudnie o marnościach ludzkiej miłości dla niewiast.

Wkrótce dowiedział się pan Nieczuja o stosunkach Murdeliona ze stolnikową, przypomniały mu się zasłyszane przez ścianę słowa straszliwego mnicha, grożące stolnikowej najokropniejszemi torturami i odebraniem córki, owej niemiłej Zuzi, w razie gdyby nie chciała mu być powolną i oddać mu swej ręki. Gdy więc Murdelio zjawia się u niego, jak zawsze nagle i niespodzianie i wzywa go, by mu dał pomoc w najeździe na dom starego Piotrowicza i porwaniu stolnikowej, obiecując w zamian rękę Zosi, pan Nieczuja nie daje się skusić i nie tylko odmawia udziału w tem niegodziwem przedsięwzięciu, lecz nawet awanturniczego mnicha wyrzuca za drzwi.

Pomimo tego Murdelio zamach swój doprowadza do skutku. Najeżdża na dom p. Wita Piotrowicza, stolnikowę porywa i zawozi do swego zamku na Litwie. Podążył za nim stuletni p. Wit, mając nadzieję, że z pomocą oddanej mu szlachty oszmiańskiej wyrwie córkę ze szponów dyabła weneckiego. Dziadkowi towarzyszy zacna Zosia, natomiast niegodziwa Zuzia, nieodrodna córka Murdeliona, pozostała na gospodarstwie w Zwierniku.

Na Litwę pospieszył też i p. Nieczuja nie chcąc odstąpić w tym terminie fatalnym sędziwego pana Wita i swej ukochanej Zosi. W podróży tej miał różne, nie należące ściśle do głównej opowieści, a fatalne wypadki, które opóźniły jego przyjazd do domu p. Wita, gdzie już się gromadziła tłumnie szlachta, w celu urządzenia zbrojnej wyprawy na zamek Murdeliona. Następuje jeszcze opis przyjęcia tej szlachty, urządzonego przez p. Wita, hucznej

pijatyki niesfornej i niezbyt odważnej szlachty oszmiańskiej i wreszcie szturmu na zamek Murdeliona. Dyabeł wenecki broni się wprawdzie dzielnie, wielu szturmujących uśmierca, lecz w chwili największego niebezpieczeństwa, umie zniknąć bez śladu, jak na syna piekieł przystało. Nie zdołał jednak zabrać z sobą stolnikowej, która, zemdlona, dostaje się w ręce zwycięzców, ci zaś odwożą ją w tryumfie do ojca. Zdawałoby się, że po tak skandalicznej awanturze, pani stolnikowa stanie się pokorniejszą i spuści z tonu, że zechce może pokutować za ciężkie swe grzechy. Lecz ona o pokucie wcale nie myśli, jest smutna, często płacze i ciągle tęskni za swoim dyabelskim kochankiem, wcale nie rada, że ją z jego objęć wyrwano. Nie okazywała też bynajmniej wdzięczności panu Nieczui, który nawet poniósł ranę z ręki Murdeliona, ranę, która, że dyabelskim orężem zadana, długo nie chciała się goić Gdy zaś Nieczuja ponawia swą prośbę o rękę Zosi, wręcz mu odmawia. Tu jednak energicznie występuje p. Wit i dając uczuć córce całą niegodziwość jej postępowania, błogosławi młodą, zakochaną parę. Stolnikowa wybucha bezsilnym gniewem i już nie tai swej nienawiści do pana Nieczui, że interwencyą swą przyczynił się do wyrwania jej z objęć kochanka. Niebawem Nieczuja poślubia Zosię i wyjeżdża do Bóbrki, gdzie pędzi dni zrazu bardzo szczęśliwe. Murdelio już się osobiście nie pojawia na widowni. Dowiadujemy się tylko, że był w Zwierniku u Zuzi, że się tam przedstawił jako jej ojciec i przywiózłszy z sobą Niemca, barona Holmfelsa, wydał za niego niegodziwą Zuzię, która narzeczonego swego, pana Konopkę bez żalu puściła z kwitkiem. W parę lat potem pan Nieczuja, jadąc przez Krosno, dowiedział się, że w tamtejszym klasztorze Franciszkanów umarł mnich tajemniczy, imieniem Murdelio, który musiał być dyabłem wcielonym, bo też go dyabli wzięli po śmierci. Zwłoki jego zniknęły z trumny a w tej samej chwili ujrzano konia, czarnego jak węgiel, który z kurytarza klasztornego wyleciał i popędził w świat. Popędził do Zwiernika, wpadł do sypialni stolnikowej, która z przestrachu krwią się zalała i zmarła.

Nie trwało też długo szczęście małżeńskie Nieczui. Jego umiłowana Zosia, dając życie dwu synkom-bliźniakom, którzy wnet po urodzeniu zgaśli, także umarła. I leżała na katafalku, wśród dwu trumienek dziecinnych, jak owa martwa biała róża, wśród dwu białych martwych goździków, widziana niegdyś w śnie dziewiczym. Stuletni pan Wit także życie zakończył; na szczęście ocalał Nieczuja, aby nam tę długą a tragiczną historyę opowiedzieć.

Powieść jednak wywarła wrażenie, podobała się czytającej publiczności, a dzięki łaskawej krytyce i dziś jeszcze uważana jest za arcydzieło Kaczkowskiego. Pewna tajemniczość, owiewająca postać główną, „dyabelskość“ Murdeliona, jego działalność zuchwała a rycerska, ukryta pod habitem mniszym, jego wreszcie stały i pomimo lat niesłabnący sentyment dla stolnikowej, jego niewątpliwie wyższa nad zwykły poziom inteligencya i doświadczenie życiowe— wszystko to sprawia, że awanturnicza ta postać, staranniej niż inne opracowana, wbija się w pamięć czytelnika i w niej pozostaje. Jest to postać zgoła odmienna od tych, jakie przedtem i potem wyprowadzał na widownię pan Nieczuja, który, zdaje się pod wpływem opinii powszechnej, sam w końcu uwierzył w „dyabelskość“ Murdeliona i to piętno mu zostawił, aż do końca, ku uciesze żądnych niezwykłych wrażeń czytelników.

Tego rodzaju powieści były podówczas w modzie; romanse takie, jak Eugeniusza Sue, pełne niezwykłych zawikłań i przygód, pochłaniała publiczność. Przypomnijmy sobie, z jakim entuzyazmem oceniał sam Kaczkowski w r. 1850 powieść tego francuskiego pisarza p. t. „Les enfants de l'amour“, a nie pomylimy się twierdząc, że „Murdelio“ pod tym wpływem się narodził. W jego postaci niema też zgoła narodowych cech polskich; jest to raczej typ międzynarodowego awanturnika, którego „dyabelskość“ nie może już dzisiaj nikogo przerażać, a raczej razi i nieraz śmieszy, że mimowoli przychodzi na myśl złośliwa, leez trafna uwaga Lucyana Siemieńskiego: „dziwny to jakiś dyabeł, którego całą robotą i sztuką jest porwanie starej baby i to nie do piekła, lecz na jakieś ukryte rozkoszne ustronie“.

Mamy przed sobą ciekawy list Kaczkowskiego, pisany ze Zboisk d. 12. stycznia 1852, do Wincentego Rogalińskiego, w którym znajdujemy ocenę Murdeliona i innych Nieczujowskich powieści, pisaną przez samego autora.

„Muszę Pana — pisze Kaczkowski — nakoniec obznajomić z mojemi robotami. Owoż „Bitwa o Chorążankę, „Kasztelanice“, „Pan Puławski“[1]), który będzie drukowany w Albumie na pogorzelców krakowskich, wydać się mającem przez Siemieńskiego, „Pan Bal“, drukujący się już teraz w Dodatku do „Gazety Lwowskiej“ i innych kilkanaście tego rozmiaru powiastek, które w większej części gotowe, leżą u mnie w tece, formują cały cyklus takich powiastek, który nosi napis „Ostatni z domu Nieczujów“. A jest

[1]) Kaczkowski zawsze mylnie tak pisał nazwisko Pułaskich.

to po prostu *curriculum vitae* ostatniego kontuszowego szlachcica, więc jego i jego sąsiadów historya. Rzecz ta nie wiem, czy w swojej całości wyjdzie tak prędko z druku, bo zawiera miejsca, które by cenzury nie przeszły, a gdyby przeszły, to wymagałaby wielkiego nakładu, bo tego jest dużo. „Murdelio“ zaś, którato powieść zajmie sama tom spory, jest to historya ożenienia się tegoż pana Nieczui z panną Strzegocką, stolnikówną Rzeczycką, mieszkającą naówczas z matką swoją i dziadkiem, szlachcicem od Oszmiany, w Zwierniku. Powieść ta, pomimo to, iż w nią włożyłem enigmatyczną figurę „Murdeliona“, w którym uosabiam ideę destruktywną, której podówczas niektórzy Polacy mimo swej woli nieraz za narzędzie służyli, nie będzie lepsza od „Kasztelaniców“, a to po prostu dla tego, że cała rzecz w niej jest moją tylko inwencyą. Ale tak, jako „Pan Puławski“ osnuty na fakcie prawdziwym daleko i daleko jest lepszym od „Chorążanki“ i „Kasztelaniców“, tak znowu „Śmierć Junaka“, „Król Owsianych“ i ta powieść o Rogalińskich, do których się następnie zabiorę, o wiele przewyższa „Murdeliona“, bo wszystkie trzy będą osnute na faktach, a nie na imaginacyi. Imaginacya jest to włóczka i dopiero na kanwie może coś doskonałego wyrobić — czapki, woreczki etc. robione na drutach zawsze należą do miernych wyrobów i jeszcze nigdy nie zadziwiły świata“ [1]).

Znamiennem jest wielce to zdanie Kaczkowskiego, obniżające znaczenie wyobraźni w tworzeniu historycznych powieści. Że on w utworach swych powieściowych na tle dziejowem osnutych tłumił wyobraźnię, albo też ją zamykał w granicach rzeczywistych faktów, dając im przed nią pierwszeństwo, to właśnie sprawiało, że powieści te przeciążone były nieraz kronikarskimi szczegółami, stawały się suchem opowiadaniem faktów, bez polotu i tej plastyczności, którą tylko fantazya twórcy dać może. Tej jednak zasadzie hołdował Kaczkowski aż do końca, był jej wierny nawet w ostatnich powieściach jak n. p. w „Abrahamie Kitaju“, który miał być repliką na świetne, tworzone w blasku twórczej wyobraźni malowidła Sienkiewicza.

Z wymienionych w powyższym liście powieści, niektóre ukazały się pod zmienionymi tytułami, niektóre nie ukazały wcale, jak owa zamierzona powieść o Rogalińskich, o której jeszcze później

[1]) List ten udzielony mi został łaskawie przez prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, dr. Chrzanowskiego.

mówić będziemy. gdy Kaczkowski powrócił do tego pomysłu w celi więziennej w r. 1861.

Co do „Murdeliona“, to może właśnie dlatego ta powieść cieszyła się największem wzięciem, że w niej autor puścił nieco wodze fantazyi i stworzył ową „enigmatyczną“ jak ją nazywa, postać, mającą być wcieleniem idei „destruktywnej“. Gdyby jednak nie owa domieszka „dyabelskości“, idea ta byłaby zapewne mogła silniej oddziałać na sceptycznych czytelników.

Przyznać należy, że powieść ta jest lepiej od innych zbudowana, nie braknie i tu wprawdzie luźnych epizodów, lecz łączą się one mniej lub więcej ściśle z całością; typy niektóre są żywe i plastyczne. Do takich należy przedewszystkiem pan Wit Piotrowicz, starzec sędziwy, podtrzymujący słabnącą pamieć starym miodem, a wtedy umiejący opowiadać o przeszłości żywo i barwnie. Nie braknie mu zresztą zdrowego sądu o teraźniejszości, gdy popiera konkury pana Nieczui o rękę wnuczki, właściwie oceniając wartość umysłową bogatego starościca Lgockiego; gdy zachowaniem się swem i powagą imponuje szlachcie oszmiańskiej; gdy wreszcie umie zmianą swą w postępowaniu ze stolnikową zaznaczyć, jak bardzo potępia jej występny sentyment dla gwałtownika Murdeliona. Inne, drugoplanowe postacie, jak bogobojnego misyonarza, starościca Lgockiego i zaledwie kilku charakterystycznymi rysami zaznaczonego Jnra z Borowiczek, występują wyraźnie i żywo.

W tym czasie Kaczkowski miał pewne nieprzyjemności z prasą warszawską. Narzeka na to w liście pisanym d. 1. listopada 1852 do jednego z przyjaciół [1]). „Czego chce odemnie „Dziennik Warszawski“? — zapytuje z żalem [2]). Posłał mu przecież dwie powieści. „Dziennlk“ na warunki się zgodził, a potem bez wiedzy autora sprzedał rękopisy M. B. Wolffowi i został dłużny 400 złp. — „Dziennik Warszawski“ uczynił zarazem Kaczkowskiemu zarzut, że jedną i tę samą powieść kilkakrotnie drukuje, zmieniając tylko tytuł. Na zarzut ten odpowiada Kaczkowski, że idzie tu właśnie o „Murdeliona“, którego w tym czasie drukowała „Gazeta Warszawska“. Otóż autor wyjaśnia, że powieść tę zaczął pisać w roku

[1]) „Wędrowiec“ r. 1896 nr. 40 „Kaczkowski o sobie“.

[2]) Prawdopodobnie jest tu mowa o „Dzienniku warszawskim“, wychodzącym pod redakcyą Henryka Rzewuskiego, od r. 1851. Głównymi współpracownikami byli: Wacław Szymanowski i Julian Bartoszowicz.

ubiegłym i wstęp do niej wydrukowała „Gazeta Lwowska“ p. t. „Żądza dziedzictwa“ [1]).

Wstęp ten przedrukował następnie warszawski „Magazyn Mód“. „Gazeta Warszawska“ rozpoczynając druk całej powieści, nie mogła opuścić tego wstępu.

W związku z tą scysyą z dziennikarstwem warszawskiem pozostaje list z 12 listopada 1852 r. wydawcy i naczelnego redaktora „Gazety Warszawskiej“, Antoniego Lesznowskiego, na którego ręce przesłał Kaczkowski pismo, odpowiadające na zaczepki „Dziennika Warszawskiego“.

„Dziękuję Panu nasamprzód — pisze Lesznowski — za list do Redakcyi, który wydrukowawszy już się zupełnie przed publiką oczyściłem z niegodziwości poczynionych mi zarzutów. Numer „Gazety“, w którym go pomieściłem przesyłam Panu przy niniejszem, usunięto tylko *delatora*, lecz to lepiej, bo znów byłoby za mocno. Do tej pory nic więcej w warszawskich pismach ani o Panu, ani o pracach jego, ani przytyku żadnego nie było“.

„Wrażenie listu Pańskiego w „Gazecie“ drukowanego, piorunująco oddziałało na „Dziennik“ i „Gazetę Codzienną“; to im przetnie możność przedruku i żywienia się cudzą pracą. Skoro tylko pojawi się w pismach naszych co takiego względem prac Pańskich, co zasługiwałoby na wzgląd jaki — nie omieszkam przesłać Panu natychmiast — a nadto zapewniam Pana, że na razie sami Pana bronić będziemy, gdyby zaszła potrzeba jakiej obrony, czego wszakże bynajmniej nie przewiduję. Artykuł J. M. w „Dzienniku“ napisany był przez Redakcyę samą, jakto wiemy z pewnością, — a najmocniej pomawiają o to Wacka Szymanowskiego [2]) i niezawodnie z tej tylko lekkomyślnej głowy wylecieć mogła taka niedorzeczność [3]).

Zaznaczyliśmy już, że autor uczucie miłości określa, jako siłę fatalną. Przypatrzywszy się jednak typom niewieścim, przedstawionym w dotychczas omówionych opowieściach nieczujowskich, trudno zrozumieć, że właśnie one wywołać mogły uczucia o sile tak wielkiej i do tego jeszcze fatalnej. Wszystkie te typy są prawie

[1]) Patrz „Gazeta Lwowska“ z r. 1852, Nr. 50 z 2. marca, dalej Nr. 51. 53. 54. 56. 57. 59. 60. 62. 63. 65. 66. 68. Porównywając z wydaniem warszawskiem Gebethnera i Wolffa (Wybór pism tom III. z r. 1900) obejmuje „Żądza dziedzictwa nie tylko „Wstęp do Murdeliona“ lecz i rozdział I, powieści.

[2]) Późniejszego redaktora „Kuryera Warszawskiego“.

[3]) Ze zbiorów Rapperswylskich. Ms.

bez wyjątku bierne, banalne, bez wybitnego charakteru, a czasem nawet nie ukazują się wcale, jak owa chorążanka, o którą się toczy „bitwa“ na kielichy, a potem na szable. Starościanka Anna Bożysławska w „Mężu Szalonym“ kochająca się od dziecka w Michale Strzeleckim, nie umie bronić tej swojej miłości, nie chce jej nawet wyznać przed matką; bez oporu, ulegając jej woli, oddaje swą rękę Kitajgrodzkiemu i przez pierwszych lat parę znosi nawet z pogodą swą dolę. Dopiero później zaczyna pocichu płakać, a spytana przez męża o tych łez przyczynę, nie chce mu jej wyznać, podniecając tem milczeniem porywy jego zazdrości. Gdy wreszcie Kitajgrodzki poczyna wpadać w szaleństwo, Anusia, która dotychczas była tak korna i „znała obowiązki dla swego męża i pana“, zdradza go, szukając szczęścia w objęciach kochanka. Tegoż samego kochanka, zostawszy wolną po zgonie męża, odpycha bezlitośnie od siebie i składa śluby zakonne. To wszystko dzieje się, jak gdyby pomimo jej woli, jak gdyby po za nią, czy też pod wpływem uczuć, z których ona nie zdaje sobie sprawy, a których czytelnik także dokładnie zrozumieć nie może. Widzi tylko, że ta Anusia, nie odznaczająca się żadnymi, wybitnymi przymiotami, chyba tylko urodą, pospolita, a zacięta, staje się bezpośrednią przyczyną zguby dwóch ludzi, bez porównania od niej wyższych. Ona dwa razy tylko występuje żywiej a nawet gwałtownie; w obu razach na to tylko, aby sytuacyę pogorszyć. Raz, gdy Kitajgrodzki kazał strzelać do jej kochanka, wpada do męża jak furya, czyni mu gwałtowne wyrzuty, nazywa go katem, zesłanym na mord „niewinnych“, — powtóre, przed złożeniem ślubów zakonnych, gdy na pół już także oszalały Strzelecki błaga ją rzewnemi słowy, by teraz, skoro jest wolną, zechciała być jego żoną i wynagrodzić tyloletnie zniesione przez nią cierpienia.

Ale Anna jest już teraz głazem i nie dba o to wcale, co się stanie z tym zrozpaczonym kochankiem. Ona mówi teraz o odzyskanym własnym spokoju ducha i nawet dziękuje Bogu, że pozwolił jej zapomnieć o wiernym swym wielbicielu. Jak obłudą swą, udaną pokorą i zaciętem milczeniem doprowadziła do szaleństwa męża, tak teraz tą dbałością o własny spokój, doprowadza do szału rozpaczy i marnej śmierci towarzysza swych lat dziecinnych.

Jeszcze bledszą od niej jest Anulka Ostrowska ze „Swatów na Rusi“. Umie ona wprawdzie kochać się w Janie Ołtarzewskim i szczebiotać z nim wesoło, łudząc się nadzieją ułagodzenia oporu ojca, lecz na żaden czyn samodzielny się nie zdobywa; potrafi tylko

jęknąć i umrzeć w objęciach ukochanego, gdy ten przybywa wyzwolić ją z niedoli.

A wreszcie stolnikowa Strzegocka — ideał Murdeliona. To istna kopalnia, czy, jak się Chmielowski wyraża, szkatuła sprzeczności. Zrazu przedstawia się nam jako pełna powagi matrona, wzorowa gospodyni domu, przywiązana gorąco do staruszka ojca, okazuje się w dalszym ciągu lekkomyślną niewiastą, która przyjmuje fałszywego mnicha. Murdeliona, we własnej sypialni, wymaga od niego, niewiadomo dobrze z jakich powodów, aby na nią jeszcze dziesięć lat czekał, pozwala jednak mu się porwać, jak nieświadoma dziewczynka i oburza się wreszcie na swych wybawicieli, za to, że ją ze szponów dyabelskiego kochanka wyzwolili. Nieuzasadnionym oporem przeciw małżeństwu swej córki z Nieczują, staje się powodem ich długich udręczeń, — jak też niewątpliwie jest przyczyną wielu występków Murdeliona.

Inne typy niewieście, drugoplanowe, a nawet i ukochana Nieczui Zosia, to są raczej cienie, zarysowujące się blado na tle banalnej naiwności.

Jej siostra Zuzia odznacza się chyba tem, że pisać nie umie, a ochmistrzyni, dawniej stolnikowej, a potem Zosi, bardzo nieszczególnym przymiotem, bo jest przekupna i za pieniądze Murdeliona ułatwia miłosne jego schadzki z nadobną córką pana Wita. — Zaiste, nie był szczęśliwym pan Nieczuja, że tylko takie postacie kobiece spotykał w swych po kraju wędrówkach, a ród niewieści nie może być mu bardzo wdzięczny za to, że go w takich niezaszczytnych egzemplarzach pamięci potomnych w opowiadaniach swych przekazał.

„Gniazdo Nieczujów“ powinno by właściwie rozpoczynać tę całą seryę opowiadań pana skarbnikowicza zakroczymskiego. Jestto bowiem dość szczegółowa kronika rodu Nieczujów, opis domu i rodzinnego życia w Bóbrce i historya wyjścia za mąż siostry narratora panny Jadwigi. Ta panienka, dobra wprawdzie i skromna, niczem jednak wybitnem się nie odznacza, a nawet, zdaje się, w swoich własnych uczuciach rozpoznać się nie umie. Stara się o nią dwóch młodych ludzi: Jędrzej Wisłocki cześnikowicz sanocki i Krzysztof Michałowski stolnikowicz sandomierski. Serce naiwnej Jadwisi zdaje się wprawdzie skłaniać ku Michałowskiemu, ale gdy ten, zniewolony grą losową, od konkurów usunąć się musiał, zgadza się bez oporu poślubić Wisłockiego. I oto termin ślubu naznaczony, zjeżdżają się goście a nawet tacy dygnitarze jak wojewoda Ossoliński, hetman Branicki i książę biskup krakowski, których pod skromny dach dzierżawcy bobreckiego sprowadziła — polityka kaptowania szlachty. Wszyscy czekają na pana młodego; czeka i biedna Jadwisia, modli się i płacze, bo jej serce ciągnie ku Michałowskiemu, który na wesele jako gość przybył. Pan Nieczuja w niemałym jest ambarasie, bo pana młodego jak nie widać, tak nie widać, a już i przedtem dochodziły wieści, że lekkomyślny pan Wisłocki, wyjechawszy na Podole w jakichś majątkowych sprawach, rozpoczął tam zabiegi o rękę niejakiej panny Czyżównej, zapomniawszy snadź o swych zrękowinach w sanockiem. Gniewa się tedy i odgraża pan skarbnik, ale że jest słowny, postanawia czekać na Wisłockiego do północy. Spożyto więc wspaniałą kolacyę, szlachta pije, co szyja strzyma, a wtem i północ bije. *Casus fatalis*, — panna Jadwiga, skompromitowana, osiąść gotowa na koszu. Ale od czegoż Michałowski? On staje na miejscu Wisłockiego ku uszczęśliwieniu Jadwisi a także i jej ojca, który pana stolnikowicza sandomierskiego wielce umiłował sobie, a książę biskup krakowski na poczekaniu łączy młodą parę ślubem dozgonnym. Okazało się dopiero później, że pan Wisłocki przybyć nie mógł, bo nie był już wtedy w liczbie żyjących, zginął bowiem w pojedynku z konkurentem panny Czyżównej, Zabielskim. Państwo Michałowscy żyli odtąd szczęśliwie, a co roku, w dzień zgonu Wisłockiego sprawiali nabożeństwo żałobne za jego duszę.

Po awanturach dyabelskiego Murdeliona, powiastka ta, wprowadzająca czytelnika w pogodniejszą atmosferę świata szlacheckiego, oddziaływa uśmierzająco, chociaż pojawienie się w dworku dzierżawcy Bóbrki najwyższych dygnitarzy Rzeczypospolitej płoszy poniekąd ten nastrój, wprowadza żywioł nowy, wysoce polityczny, a przewyższający o wiele zakres myślenia zacnego pana skarbnika. Ukazanie się na widowni trzech dygnitarzy w chwili upadku partyi saskiej, po śmierci Augusta III., w chwili stanowczego zwycięstwa *familii*, wymagałoby szerszego tła, wyraźniejszego uwypuklenia. W skromnych ścianach dworku bobreckiego i wśród biesiadującej i politykującej bez ładu szlachty, książę biskup krakowski, pan hetman i pan wojewoda wyglądają na maryonetki, a to, coby było najważniejszem i dla ich ówczesnego stanowiska najbardziej znamiennem, najciekawszem zaś dla czytelnika, wypowiadają między sobą w języku francuskim, którego pan skarbnikowicz nie zna, więc i treści tych rozmów powtórzyć nie może.

W okrutne natomiast zawikłania wprowadza nas znowu dwutomowa powieść p. t. „Starosta Hołobucki“. Tu już imćp. Nieczuja uchodzi nieco w cień; tu już bohaterowie powieści występują sami,

mówią i działają sami za siebie, bez interwencyi pana skarbnikowicza, który w właściwej akcyi nie bierze już udziału i nawet nie może być jej naocznym świadkiem, trudno mu bowiem podążyć w ślad za panem Jackiem Jahołkowskim, starostą hołobuckim, snuć się za nim po pokojach królewskich, mieszać się do rozmowy ze Stanisławem Augustem, Naruszewiczem, Węgierskim, Trembeckim, albo szperać w aktach kancelaryi królewskiej. Tylko we wstępie przemawia jeszcze p. Nieczuja i przyznając po raz pierwszy, że za czasów saskich światło w narodzie zagasło a zakorzeniło się pijaństwo, które jednak w poprzednich swych narracyach traktował tak bardzo pobłażliwie, chwaląc bez zastrzeżeń rozmaitych Deręgowskich i Chojnackich za ich bujną „fantazyę“, — twierdzi, że w epoce Stanisława Augusta górną część narodu ogarnął „jakiś szał pijany“ pod wpływem którego postanowiono wyrugować to wszystko, co było dawniej a wprowadzić „n o w o ś c i“.

Pan skarbnikowicz zdaje się nie dostrzegać chlubnych usiłowań, by zgaszone za czasów saskich „światło“ na nowo rozniecić, nie widzi w niczem postępu, natomiast wywiera cały gniew swój na naśladownictwo stroju i obyczajów francuskich. Obraz zepsucia, jakie te „nowości“ wprowadziły do Polski, przedstawia p. Nieczuja już nie sam, lecz za pośrednictwem przyjaciela swego p. Jacka Jahołkowskiego podstarościca gnieźnieńskiego a później hołobuckiego starosty. I ten p. Jacek jest głównym bohaterem powieści. Po śmierci ojca, męża uczonego i skrzętnego zbieracza starożytności, oddziedziczywszy po nim znaczny majątek ziemski i sporo gotowizny, oprócz drogocennej biblioteki i zbiorów, wyjeżdża p. Jacek do Warszawy, gdzie dzięki reputacyi ojca i protekcyi swego brata ciotecznego, głośnego podówczas poety, szambelana Kajetana Węgierskiego, znajduje bardzo uprzejme przyjęcie i dostaje się nawet na pokoje królewskie. Ale tu właśnie wpada w sidła intrygi. W zamian za cenne zbiory ojcowskie i bibliotekę nadaje mu król, za złośliwem poduszczeniem Trembeckiego, starostwo hołubuckie, w którego posiadanie wszakże Jahołkowski wejść nie może, zajęte jest bowiem *per nefas* przez niejakiego p. Łęskiego, który dobrowolnie ustąpić się nie chce. Jahołkowski do żywego tem dotknięty, zamierza przemocą wejść w posiadanie nadanego mu starostwa i przy czynnym współudziale przyjaciela swego Kurdwanowskiego organizuje zbrojny najazd na owe Hołobuki.

Na to jednak nie zezwala sam król, Hołobuki bowiem leżą na pograniczu, a taki zbrojny napad mógłby łatwo wywołać niemiłe komplikacye polityczne. Obiecując więc Jahołkowskiemu stosowne wynagrodzenie, nakazuje mu odstąpić od szturmu na Hołobuki. Obietnica ta pozostaje oczywiście niespełniona, p. Jacek odchodzi z kwitkiem i udaje się na ukrainne kresy, aby w walce z hajdamakami zapomnieć o doznanej krzywdzie. — Dopiero w kilka lat później dochodzi Jacek, na podstawie dobrowolnej ugody z Łęskim i za sowitą opłatą, do posiadania nadanego mu starostwa. — Wszystko to ma być, zdaje się, satyrą na bezrząd w ówczesnej Polsce i niemoc administracyi królewskiej; w rzeczywistości jest bardzo niesmacznym i mało prawdopodobnym epizodem.

Z tą walką o starostwo łączy się historya nieszczęśliwej miłości Jacka, którą jego młodzieńcze serce rozgorzało dla niejakiej panny Petryny, dalekiej kuzynki pana starosty Jaorlickiego. Panna Petryna, wychowana w skromnym dworku poborcy cłowego, mieszczanina lubelskiego, odziedziczyła snadź ze krwi matki, szlachcianki dobrego rodu, choć skromnej i cichej, wielkie rozumienie o sobie i wysokie pretensye.

Odrzuca więc starania o swą rękę zacnego aplikanta sądowego Łukowskiego, a przyjmuje propozycyę starosty Jaorlickiego, który ją umieszcza w swym domu w charakterze towarzyszki swej chorej żony. Wkrótce potem wyjeżdża Petrynka wraz z Jaorlickimi do wód zagranicznych, do Włoch, Szwajcaryi i innych krajów, a spróbowawszy mocy swych wdzięków na jakimś lordzie Angliku, który wszakże umiał w czas się wywikłać, wraca do Warszawy, pewna już siebie, z główką niedouczoną, ale umiejącą sprytnie z nachwytanych wiadomości korzystać, wraca mistrzynią w kokieteryi. Chwyta w swe sidła najpierw kasztelanica Hilzena, a potem starostę Jahołkowskiego, obu zaś w krótkim czasie, obałamuciwszy, porzuca. Czytelnik nie pojmuje zrazu powodów takiego postępowania panny Petryny, bo obaj ci konkurenci, to chyba niespodziewana zgoła partya dla córki poborcy z Lublina.

Zabiegi jej o pozyskanie Jacka są istotnie niezmordowane i bardzo wyraźne, niektóre jednak sprawiają nieco komiczne wrażenie, jak np. owa wszczęta przez nią dyskusya o Janie Jakóbie Rousseau i skromne przyznanie się do „grzechu“, że czyta właśnie „Nową Heloizę“, na co z miną poważną doradza jej starosta hołobucki, by przeczytała sobie jeszcze „Contrat Social“ i Emila, a wreszcie, znajdując widocznie, że to uzupełni edukacyę młodej panny, jego „Confessions“. Nie wiemy, czy panna Petryna poszła za ryzykowną radą swego konkurenta, — ale nagle się zmienia i gdy zakochany Jacek wprost z kresów ukrainnych pędzi na skrzydłach miłości do Karlsbadu, gdzie podówczas bawią starostwo Jaorliccy z piękną

kuzynką, zamiast zalotnego uśmiechu na jej twarzy, widzi zimną obojętność, a w zachowaniu się wprost brutalną niegrzeczność. Wszystkie uśmiechy i zalotne spojrzenia pięknej panny skierowane są teraz ku bogatemu kupczykowi z Pragi. Na to pan starosta hołobucki odpowiada gestem, którego chyba nie nauczył się na pokojach królewskich. Oto „odchrząknął, plunął z lekka na fotel i wyszedł z salonu". Długo się jeszcze potem wlokła ta historya miłosna a skończyła się tragicznie dla Petryny. Okazało się w końcu, że głównym motywem jej dziwacznego postępowania z Hilzenem, Jahołkowskim, a wreszcie z bogatym kupczykiem z Pragi, było to, że oni wszycy służyli tylko za parawan, mający ukrywać jej amory ze starym wujaszkiem, starostą Jaorlickim. A gdy ciągle chorująca starościna zamknęła wreszcie oczy na wieki, starosta gotuje się poślubić Petrynę, która zdaje się być u szczytu marzeń. Tymczasem — katastrofa! Starostę zabija apopleksya właśnie w chwili, gdy wspaniałym ekwipażem, hucznie i dwornie, przybywa na wesele. Na widok trupa Petryna oczywiście mdleje, a odepchnięta od wszystkich, wraca do Lublina, do matki. Tam spotyka ją ostatni zawód — towarzysz jej lat dziecinnych, Łukowski, dawniej odepchnięty przez nią ze wzgardą, teraz już usidlić się nie dał. Petryna w smutku i nędzy zakończyła swój awanturniczy żywot w Lublinie.

A pan starosta hołobucki? Temu powiodło się wcale dobrze. Po rozczarowaniach doznanych w Warszawie, powrócił on do swej wioski rodzinnej i przypomniał sobie nareszcie, że w najbliższem sąsiedztwie mieszka pan stolnik opoczyński z uroczą córką Helenką, której zabawy dziecinne on niegdyś dzielił. Łączyło ich najpierw uczucie, jakby braterskie, na którego gruncie rozwijać się począł żywy sentyment, przerwany nagle wyjazdem Jacka do Warszawy, zabiegami o starostwo hołobuckie a wreszcie płomiennym afektem dla panny Petryny. Dawna jednak miłość dla dobrej Helenki obudziła się teraz w rozczarowanem sercu Jacka a po zwalczeniu pewnych przeszkód, stawianych przez obrażonego stolnika, uwieńczona została ślubem i hucznem weselem.

Taką jest ta długa, dwutomowa powieść, bardzo nieskładna w budowie a rozwlekła w treści. Zmienił się tu nieco pan Nieczuja; z pogodnego szlachcica hulaki, rębacza, stał się surowym moralistą, potępiającym wszystkie zmiany, jakie się dokonały w okół niego. Głównym kamieniem obrazy jest, według niego, strój francuski i pudrowane peruki. Surowy w sądzie o królu, potępiający bezwzględnie kulturę zachodnią, w historyi nadania starostwa hołobuckiego piętnuje niemoc czy niedołęstwo rządów ówczesnych.

W blado naszkicowanych sylwetkach takich ludzi, jak Naruszewicz, nie znajduje ta bezwzględna krytyka przeciwwagi, — wszystko jest złe i zepsute, a już najbardziej zepsutemi są kobiety, przedstawione w takich typach jak hipokrytka, udająca pobożną rozpustnica, podkomorzyna kaliska i zalotna a próżna Petryna. Te dwie postacie, narysowane barwnie i żywo, chociaż nie zawszo konsekwentnie, postacie w najwyższym stopniu ujemne, wysuwają się pośród typów kobiet nieczujowskich na plan pierwszy i blaskiem swym gaszą nieśmiałe, szczebioczące naiwnie, lub szlochające rozpaczliwie Helenki, czy Zosie. Stanisław August ze swojem majestatycznem „my" na ustach, nawet w rozmowach prywatnych, wygląda jak maryonetka; maryonetkami też są i inne dworskie postacie, — tylko jeden młody szambelan Węgierski odcina się na tem szarem tle żywiej, sympatyczniej, może nawet nad zasługę, a nie zawsze zgodnie z tem pojęciem, jakie mógł sobie wyrobić czytelnik o autorze „Organów". Za mało w nim rozpustnej werwy, za dużo refleksyi i powagi.

I oto już jesteśmy u „Grobu Nieczui". Powieść znowu dwutomowa a jeszcze bardziej w swej budowie nieskładna, niż poprzednia. Obejmuje ona epokę niezmiernie ciekawą, epokę przełomu pojęć i zasad społecznych (1793—1797), której obrazu jednak nie daje, ścieśniając swój widnokrąg do rzeczy drobnych, wypadków domowych ludzi małych, którzy jeśli biorą udział w wielkich zapasach, czy to na polu bitwy, czy dyplomatycznem, czynią to jakby za kulisami powieści, po za jej głównym tokiem. Ztąd też nie widzimy tu ani razu występującego Kołłątaja, nie znajdujemy wzmianki o Staszicu. Z powieści tej czytelnik nie nabierze najmniejszego nawet pojęcia o kiełkujących wielkich ideach w społeczeństwie, dążącem za przewodem takich Staszicow lub Czackich do przetworzenia się i oparcia na nowych podstawach, na zasadach podniesienia stanu trzeciego, przemysłu, oświaty w ogóle, emancypacyi stanu włościańskiego. O tem wszystkiem głucho w tej powieści, która na podstawie ustnych opowiadań jeszcze żyjących świadków, przedstawia, już po śmierci Nieczui, dzieje ostatnich lat jego życia. Dziwnie pięknym i wzruszającym jest sam wstęp do tej powieści, w którym autor bierze niejako za rękę czytelnika i mówi: „Jakom cię niegdyś oprowadzał po zamkach i dworach i pokazywał dawne życie ludzi, — tak ci dziś całą tę ziemię, jakby na dłoni pokażę i tego starca grób ci pokażę i jeszcze jedną powieść o nim samym opowiem". — Rozrzewniający jest również epizod w rozdziale I., gdy Nieczuja, wróciwszy z ostatniej wojny, bardzo przy-

gnębiony, do swojej Bóbrki, szablę odpasał i rzucił ją między stare graty do skrzyni, płacząc... Wogóle ten podstarzały Nieczuja jest w tej powieści daleko sympatyczniejszy od dawniejszego hulaki-rębajły, sympatyczniejszy od całego swego otoczenia, a nawet od siostry swej Jadwigi, która niegdyś w tak niespodziewany sposób, zamiast niemiłego sobie narzeczonego Wisłockiego, poślubiła Michałowskiego, który jej bardziej przypadł do serca. Otóż teraz, owdowiawszy, zmieniła się na niekorzyść. Jest uparta i kapryśna a ma skłonność do życia nad stan, to też huczny prowadzi dom we Lwowie, niby dla wprowadzenia w świat pięknej córki swej Stanisławy. Ta urocza dziewica niczem się zresztą, prócz urodą, nie odznaczająca, ma dwóch zapalczywych wielbicieli. Jeden z nich dzielny i szlachetny młodzieniec, dobrego rodu i pokaźnej fortuny, Jędrzej Rudnicki, od razu pozyskał serce panny. Drugi, niewiadomego pochodzenia, pół Polak, a pół Francuz, nazywa się Fabricius. Mówią o nim, że jest młodzieńcem niesłychanych zdolności, cieszy się protekcyą ks. Hugona Kołłątaja, ale nikt nie umie powiedzieć, skąd się on wziął na świecie. To młodzieńca ambitnego okrutnie trapi, to też z namiętnością oddaje się poszukiwaniu swego ojca. Z równą namiętnością kocha się on w pięknej Stanisławie a przez pół powieści wywiera wrażenie człowieka bez skrupułów, niemal demonicznego usposobienia, który wszelkimi możliwymi środkami chciałby zdobyć stanowisko w świecie. Zabiegi te i niefortunny jego afekt dla panny Michałowskiej wypełniają znaczną część powieści. Z drugiej strony Rudnicki, posiadający wzajemność panny Stanisławy, spotyka na swej drodze różnorodne trudności. Główną zaś przeszkodą jest tu wojewodzianka Melania, której ojciec był opiekunem jego dzieciństwa, ona zaś najlepszą siostrą i towarzyszką jego od kolebki, Kocha go ona szczerze i głęboko, ale obdarzona wielką siłą woli, dostrzegłszy miłość Rudnickiego dla Stanisławy, postanawia się poświęcić i udając zupełną swobodę, zgadza się na poślubienie bogatego lecz podstarzałego wdowca, starosty bełzkiego.

Odbywają się huczne zrękowiny, — lecz poświęcenia tego zacna Melania przeżyć nie może. Po zrękowinach zapada na zdrowiu i — umiera, a tej śmierci Rudnicki spokojnie znieść nie zdoła. Postanawia odbyć „pokutę“ za tę śmierć, której stał się powodem, rzuca przeto rozkochaną Stasię, dom i ojczyznę i idzie walczyć pod zwycięskim sztandarem Napoleona. W toku kampanii włoskiej, omal nie zginął, ocalony heroicznem poświęceniem Fabriciusa, który zaniechawszy bezowocnego poszukiwania ojca i stanowiska

w Polsce, walczy również w armii francuskiej i walecznością swoją zdobywa głośne imię, wysoki stopień wojskowy i stanowisko, które sam sobie zawdzięcza. Z demonicznego młodzienca i samolubnego karyerowicza, staje się wzorem bohaterstwa i szlachetności. Ocaliwszy życie Rudnickiemu, staje się jego najserdeczniejszym przyjacielem, bo wyzbywszy się szczęśliwie swej niefortunnej miłości dla Stanisławy, przestał być tem łatwiej jego rywalem, że w jego sercu zaczęło już kiełkować inne uczucie dla siostrzenicy starosty bełzkiego, zacnej panny Ernestyny. Rudnicki, wygoiwszy się z ran ciężkich, powraca wreszcie do kraju i poślubia oczekującą nań wiernie Stanisławę.

Fabricius walczy jeszcze w legionach; z ich resztkami przybywa do Marsylii i tu najniespodziewaniej odnajduje ojca w osobie tego właśnie bogatego starosty bełzkiego, który miał zamiar poślubić nieszczęśliwą Melanię. Starosta bełzki tym razem nie odpycha go od swego serca, uznaje go najformalniej i pozostawiając mu majątek wielki i imię, na jego rękach umiera. Teraz oczywiście Fabricius wraca do kraju i poślubia za dyspensą kuzynkę swoją, zacną Ernestynę.

W tych wszystkich wypadkach, pogmatwanych najdziwaczniej i splątanych, stary Nieczuja odgrywa niepoślednią rolę, najczęściej jako rozjemca i pośrednik, nie zawsze szczęśliwy. W ogóle sprawia on nam nie jedną niespodziankę. Wróciwszy z ostatniej wojny, rozczulił nas gdy szablę swą rzucił między stare rupiecie i chciał zamknąć się w samotności ze swym beznadziejnym smutkiem. Aż oto naraz, na wezwanie siostry wyjeżdża z nią i Stasią do Lwowa, tam się nadspodziewanie ożywia, bierze udział w życiu towarzyskiem i światowem, zniechęca się do swojej tak przedtem ukochanej i z wielkim trudem nabytej Bóbrki, sprzedaje ją, urządza sobie w klasztorze Reformatów w Zagórzu, celę, opatrzoną napisem: „Grób Nieczui“ i znakiem herbowym, tam składa całe swoje miemie w skrzyniach, rozporządza tym swoim majątkiem w testamencie i — znika. Ze zdumieniem czytamy, że ten starzec brał jeszcze udział w kampanii w południowych Włoszech, był w Rzymie i na brzegach Sycylii, był w Marsylii przy rozproszeniu legionów i wrócił dopiero w jesieni 1813 r. Nie zastał już przy życiu siostry swej Michałowskiej, zabawił jeszcze czas jakiś w domu szczęśliwych w pożyciu Jędrzeja i Stasi, lecz osiedlić się tam nie zdołał. Zamknął się wreszcie w swojej celi w zagórskim klasztorze i tam żywota dokonał.

Ale nie tylko sam skarbnik sprawia nam niespodzianki. Zupełnie niewytłumaczoną metamorfozę przebywa tak zrazu niesympatyczny, podejrzany Fabricius; nie zbyt wyraźnym w postępowaniu jest pan Jędrzej Rudnicki, który postanowiwszy „pokutować“ za śmierć Melanii, chociaż w tem żadnej nie ponosił winy, skazuje na takąż samą „pokutę“ rozkochaną Stasię i naraża ją także, tym razem z całą świadomością, na śmierć z zawiedzionej miłości. Stasia, wierząca mu jednak ślepo, umiała na szczęście czekać i doczekała się. Postać to bez wyrazu, anemiczna i blada cnota.

Niespodzianką jest również panna Ernestyna, która wychowana przez lekkomyślną, próżną i złą matkę, umiała w sobie wyrobić charakter niepospolity i wielki rozsądek. Niewiadomo zgoła skąd to wszystko wziąć się mogło. — W ogóle w tej powieści pełno jaskrawych nielogiczności, nadzwyczajnych przygód i wydarzeń, jak n. p. ów nagły ślub starosty bełzkiego w Wiśniczu z córką książęcego oficyalisty, Francuza p. Durand, ślub wymuszony przez pana Nieczuję, mieszającego się tu, w imię litościwej sprawiedliwości, w zgoła obce sobie rzeczy.

Z postaci występujących, nie główne osoby, lecz uboczne, drugoplanowe, kreślone z werwą i charakterystycznemi znaczone cechami, wrażają się w pamięć czytelnika.

Taką dobrze postawioną postacią jest np. wojewoda inflantski, albo zdzieciniały stary Rudnicki, zahukany przez żonę a pijący „na frasunek“. Główne osoby, pomimo długich i nieraz nużących opisów i określeń, są po największej części, jak np. Jędrzej Rudnicki, rysowane blado, szablonowo, a przy całej swej tężyźnie rycerskiej, płaczą nieraz jak dzieci i szlochają jak baby. Płacze Nieczuja, szlocha rycerski Jędrzej i demoniczny a potem bohaterski Fabricius, wtórują im oczywiście kobiety. Tło historyczne i społeczne, któreby mogło być niezmiernie ciekawe, niknie najzupełniej w tej powieści, po za wypadkami i zdarzeniami prywatnej natury, spiętrzonymi bez artystycznego ładu. W ogóle, rzec można, że z cyklu nieczujowskich powieści, „Grób Nieczui“ jest najsłabszą, pomimo pięknego wstępu i kilku ładnych epizodów. Język tutaj jest, jak w innych opowiadaniach Nieczui, pełen barwy i kolorytu, chociaż nie wolny od wytkniętych już przez nas błędów gramatycznych i germanizmów. Dyalogi są prowadzone we wszystkich tych powieściach sztucznie, damy i panowie mówią okresami długimi i zaokrąglonymi nad podziw, a gdy im się zdarzy popisać się francuzczyzną to najczęściej — Boże odpuść! Nawet Murdelio, człowiek bywały w świecie, który znaczną część życia za granicą spędził, witając się z p.

Fredro podstolim przemyskim pyta go: „*Comment vous va?*“ — A p. Fredro odpowiada: „*Tout à fait comme vous*“.

Reasumując nasze wrażenia z cyklu nieczujowskiego, musimy stwierdzić, że jeśli pierwsza z nich „Bitwa o chorążankę“ pociągała werwą, zacięciem, niezwykłym rozmachem w obrazowaniu obyczajów szlacheckich, jeżeli „Mąż szalony“ i „Murdelio“ mogli interesować barwnem przedstawieniem niezwykłych postaci i żywością opowiadania, jeżeli powieści te, powitane z taką sympatyą przez czytającą publiczność i z takiemi pochwałami przez krytykę współczesną, zapowiadać się zdawały nowe i niezwykłe zjawisko na horyzoncie powieści polskiej, to oczekiwań tych nie ziścił autor ani w „Staroście Hołobuckim“, ani w „Gnieździe Nieczujów“, ani w „Grobie Nieczui“. — Coraz mniej temperamentu, coraz więcej rozwlekłości, coraz mniej barwy, coraz luźniejsza budowa, coraz bledsze charaktery. — Doliczywszy do tych głównych, mniejsze powiastki jak „Pan Bal“, „Basia Karsznicka“, „Kuchmistrz Litewski, „Edmund Chojnacki“, które nie przynosząc nic nowego, są po większej części suchem, kronikarskiem opowiadaniem, możemy zdać sobie sprawę z całego tego cyklu powieści sanockich i odpowiedzieć na zapytanie, czy Nieczuja może być uważany, jak tego domaga się sam Kaczkowski, jako „idealny typ niezawisłego szlachcica żołnierza-patryoty“.

Ideałem niewątpliwie nie jest, ani też zupełnie niezawisłym. Bardzo uniżony względem swego jurisdatora, wojewody Ossolińskiego, należy też za jego przewodem do partyi saskiej i służy mu wiernie w każdej potrzebie, a na sprawy krajowe patrzy z punktu widzenia niezmiernie ciasnego. Widzi drobne sprawy i niemi głównie się zajmuje; małych ludzi przedstawia dobrze i wiernie; nie ma jednak dość śmiałego i niezawisłego sądu, by wyższych od siebie należycie ocenić, stąd też i rysunek ich jest zwykle bladym tylko szkicem. Wszelkie idee wyższe, które właśnie wówczas, gdy Nieczuja dojrzał i doszedł męskiego wieku, już kiełkowały w społeczeństwie, nie miały do niego przystępu; ani razu nie wspomina o gotujących się i zamierzonych reformach; nie interesował się ani działalnością Staszica, ani zasadami, które w licznych broszurach pod pseudonimem Odrowąża rozszerzał Michał Czacki. Religijność jego polegała głównie na objawach zewnętrznych, pielgrzymkach do miejsc świętych i tym podobnych praktykach, — nie sięgała głębiej i nie wpływała na czyny, — godziła się z pijatyką, burdamj, najazdami, pojedynkami. Ojciec jego stary stolnik, nie był również w postępowaniu konsekwentny. Konfederacyę Barską po-

tępiał, synowi nie pozwolił brać w niej udziału. Gdy syn upierał się przy swojem, stary stolnik rzekł mu: „Konfederacya leska — t. j. napad szlachty sanockiej na zamek Ossolińskiego w Lesku — jest burda mała, a konfederacya barska jest burda wielka, a ja mojej krwi w burdach zaprawiać się nie dam“ [1]). Pomimo tego i ojciec i syn w konfederacyi barskiej uczestniczyli. — W ogóle i ojciec i syn Nieczujowie ani w zachowaniu się, ani w poglądach, mimo różnicy wieku i czasu, nie różnią się zgoła i tworzą postać jednolitą, daleką jednak od „idealnego typu niezawisłego szlachcica żołnierza-patryoty“.

Niewątpliwie Nieczuja sympatyczniejszy jest od Soplicy; prostotą swą, szczerością i wesołym humorem, zjednywa sobie życzliwość czytelnika, tak, że mu z pewnym żalem przychodzi żegnać starca, gdy poczuwszy się w obcym w nowem społeczeństwie i odmiennych stosunkach, idzie się zamknąć w celi klasztornej, jak w grobie. A jednak czuje czytelnik, że Nieczuja jest jakby echem Soplicy, że ten ostatni jest oryginałem, a ten pierwszy, to z pewnemi odmianami, kopia, że gdyby nie było „Pamiątek“ cześnika Parnawskiego, nie byłoby Nieczui, jak nie byłoby „Obrazów Chodźki“ i wielu gawęd Pola, że Rzewuski, chociaż najmniej sympatyczny i nieraz na potępienie zasługujący, to mistrz, a wszyscy następni „gawędziarze“, to mniej lub więcej samodzielni, lecz zawsze od niego zawiśli — uczniowie.

Powieści nieczujowskie zjednały głównie popularność Kaczkowskiemu. Przyczyniła się do tego niewątpliwie w znacznej mierze nie tylko pochlebna krytyka takich pisarzy, jak Michał Grabowski, Zenon Fisz, Kraszewski i Korzeniowski, Tyszyński i inni, lecz także i sama szlachta sanocka, która w powieściach tych znalazła historyę własnych rodów, nieraz upiększoną a częstokroć popartą genealogicznym wywodem. To niezawodnie zapewniło poczytność i dawało rozgłos po dworach i dworkach sanockich.

O tej poczytności nieczujowskich powieści i sympatyi, jaką zdobył sobie ich autor, zwłaszcza w sanockiem, zaświadczy chyba najlepiej list wybitnego tamtejszego ziemianina, wydawcy „Wizerunków znakomitych ludzi w Polsce“ i autora „Pamiętnika“, Ksawerego Preka. List ten, pisany z Sielca 1. maja 1855, brzmi, jak następuje:

---

[1]) „Mąż szalony“ wyd. Gebethn. i Wolffa w Warszawie. Tom I. str. 247.

„Wielnożny Mości Dobrodzieju! — Czytanie powieści WPana Dobrodzieja wydanych, tak mocne zrobiło mi wrażenie; tak wiele wspomnień obudziły w mej duszy opisy, przedewszystkiem mi drogiej ziemi Sanockiej, że chociaż nieznajomy ośmielam się złożyć WPanu Dobr. najszczersze podziękowanie za urocze chwile pociechy, które Jego utworom winien jestem. — Urodziłem się i wychowałem w Nozdrzcu nad brzegami Sanu i na tej ziemi, której dzieje Pan tak pięknie malujesz i to z epoki tak mało jeszcze znanej — jest barwa miejscowa, jest wierne odbicie charakterów i jakby woń przeszłości rozlana w powieściach Pana, które mi żywo przypomniały moje lata dziecinne i ustne podania z owych czasów, w pamięci mojej przechowane. — Słyszałem żeś WPan Dobrodziej był w Sędziszowie u Wgo Rogalińskiego, żałuję bardzo, iż nie wiedziałem wtenczas o tem. — Jeżeli Pan jeszcze kiedy zawitasz w te strony, racz wspomnieć sobie, iżbyś mnie uszczęśliwił łaskawemi odwiedzinami swemi. Mieszkam w wiosce Sielce, posiadłości mojej, o ćwierć mili od miasteczka Sędziszowa, od lat kilkudziesiąt piszę dziennik i pamiętniki moje, posiadam zbiór rysunków tyczących się rzeczy krajowych, a mianowicie wizerunki i szkice przezemnie samego z natury kreślone, tworzące niejako galeryę współczesnych, pomiędzy któremi znalazłbyś Pan wierne rysy nie jednej z osób w Twoich pięknych powieściach potomności przekazanych. Może te zbiory moje nie byłyby bez interesu dla WPana Dobr. a przynajmiej sprawiły mu chwilową rozrywkę, prosząc o wybaczenie mej śmiałości zostaję z winnym poważaniem WPana Dobrodzieja najniższym sługą

Xawery Prek [1]).

W ślad za tą poczytnością szły zabiegi wydawców, dobijających się o utwory głośnego powieściopisarza. Wydawca „Gazety Warszawskiej“ Antoni Lesznowski w liście z d. 12 listopada 1852, oświadczywszy, że „Męża Szalonego“ przedrukowywać z „Gazety Lwowskiej“ nie może „bo znowu by na mnie krzyczeli“, śpieszy dodać:

...„lecz proszę najmocniej Szanownego Pana, abyś dalsze utwory swoje dla mnie już raczył zachować nieomylnie, i pamiętać, że masz we mnie gotowego nabywcę. Otwartość i szczerość jest podstawą trwałych stosunków — więc otwarcie Panu Szanownemu powiem, że jakkolwiek słowo dane między porządnymi ludźmi jest dostateczną rękojmią — jednakowoż dla większej jeszcze z mej

---

[1]) Ze zbiorów rapperswylskich.

strony gwarancyi, trzymam w gotówce na Pańskie rozkazy złp. 1000, którebym mógł zaliczyć na poczet przyszłej powieści dla „Gazety Warszawskiej“...

W tym liście, w przypisku dodaje Lesznowski, że za arkusz druku, obejmujący 4 kolumny „Gazety Warsz.“ t. j. taki, jak Wolf drukuje „Murdeliona“, ofiaruje Kaczkowskiemu 150 zł. polskich [1]).

Księgarz i wydawca lwowski, Karol Wild, pisze w liście z 20. kwietnia 1854: „Pokup na pańskie pisma byłby daleko większy, gdyby nie Wolfowskie ceny, które przez agio srebra stają się zbytecznie wysokie: tak n. p. „Murdelio“ kosztuje złr. 6 m. k. co dla pustych kieszeń naszej szlachty jest prawie nie do osiągnienia. — Co do mego rachunku, to chciej WPan mi pozwolić, żebym go uważał za jakąś antycypacyjną cząstkę honoraryum za powiastkę, którą WPan Dobr. może tymi czasy dla mnie napisać zechce, a za którąbym chętnie zapłacił honoraryum, jakie Panu Wolf płaci. A może też Pan Dobr. zechcesz odstąpić mi prawo osobnego odcisku jakiej nowej powieści, poprzednio w „Gazecie Lwowskiej“ albo w „Dzienniku literackim“ wychodzić mającej. Szczególnie ten ostatni zasługiwałby na wsparcie takiem piórem, jak Pańskie, aby tym sposobem więcej się rozpowszechnić i położyć niejako tamę przeciw wyłączności i teroryzacyi „Nowin“ [2]). Maniecki (właściciel „Dziennika“) zapłaciłby najmniej takie honoraryum jak „Nowiny“ a ja po 20 do 25 złr. od arkusza za oddruk. Może też WPan Dobr. zechcesz ze swej strony przyczynić się tym sposobem do ułatwienia emancypacyi księgarstwa galicyjskiego od monopolistów petersburskich i warszawskich. Raz dokonana taka emancypacya tak nam, jak i literatom przynieść może złote owoce“ [3]).

Listy powyższe rzucają także pewne światło na ówczesne honorarya autorskie i stosunki wydawnicze.

---

[1]) Ze zbiorów rapperswylskich. Ms.

[2]) Wychodziły od r. 1854—1856 pod redakcyą Jana Dobrzanskiego.

[3]) Ze zbiorów rapperswylskich. Ms.

V.

(Wyjazd Kaczkowskiego ze Lwowa do Krakowa. — Franciszek Wężyk i Kajetan Koźmian o Kaczkowskim. — Zdania ich o jego powieściach. — Przybycie Deotymy do Krakowa. — Kaczkowskiego „List do Redaktora „Gazety Warszawskiej“ o improwizacyach Deotymy i ostra polemika z tego powodu. — Niepopularność Kaczkowskiego w Krakowie. — Gra w karty. — Awantura z Mikołajem Bołozem Antoniewiczem. — Wyjazd Kaczkowskiego do Brukseli i Paryża. — Staranie się Kaczkowskiego o rękę panny Pauliny Ratajskiej. — Zerwanie tych matrymonialnych zamiarów. — Niedoszły pojedynek z Antoniewiczem. — Odwiedziny Zygmunta Krasińskiego w Heidelbergu, wedle rękopiśmiennej notatki Kaczkowskiego. — Zdania Kaczkowskiego o Krasińskim i jego poezyach, zawarte w listach do pani Jadwigi Liskowej. — Powieści: „Bracia ślubni“, — „Bajronista“, — „Dziwożona“, — Wnuczęta“. — Z listów do Seweryna Smarzewskiego. — Różne projekty. — Zamierzony dramat z czasów Bolesławowskich. — Zdania o emigracyi paryskiej i o „Wiadomościach polskich“. — Projekt wyjazdu do Warszawy i objęcia redakcyi pisma politycznego. — Listy Antoniego Ostrowskiego. — „Kronika wiadomości kraj. i zagr.“ — Powieści: „Sodalis Marianus“. — Zdania o kobietach. — „Rozbitek“.

Ostatnia z powieści nieczujowskich p. t. „Grób Nieczui“ ukazała się w r. 1858, my zaś pozostawiliśmy Kaczkowskiego w r. 1851 we Lwowie, pisującego korespondencye do „Czasu“ i goszczącego u siebie Gosslara. Cóż przez ten kilkuletni okres czasu działo się z samym autorem? Przebywał częścią we Lwowie, częścią w Bereźnicy, kładł podwaliny swego rozgłosu pierwszemi powieściami nieczujowskiemi i — romansował. Kronika skandaliczna lwowska wymienia w tym czasie dwa nazwiska kobiet, z których jedna była żoną kupca, druga damą z wyższego świata. K. Estreicher w zapiskach swoich [1]) wymienia wyraźnie oba nazwiska, z dodatkiem

---

[1]) Ms.

uwag bardzo skandalicznych, a w najwyższym stopniu ubliżających Kaczkowskiemu.

Już dnia 9. września 1850 r. radzi Kaczkowskiemu Karol Szajnocha, w liście bardzo przyjacielskim, aby wyjechał na czas jakiś ze Lwowa. „Wytrwałeś — pisze — dość długo na placu, aby cię ktokolwiek o niegotowość przyjęcia wszelkich skutków przeszłości mógł posądzić". „On ne meurt pas de ces douleurs — dodaje — a zwłaszcza nie umiera rogata dusza polska — dla niemieckiej to chyba duszy tylko tyle pod słońcem świata, ile go spodnica kochanki pokryje. Nad wami, rzekł do nas Pan Bóg w chwili stworzenia — nie będą miały władzy ani bole miłosne, ani wexle lichwiarskie, ani piekielne ognie krytyki". „Nie bądź dzieckiem, daj chwilę odpoczynku sentymentowi, chwyć się doraźnie jakiejś pracy, — a wypłyniesz na wierzch zdrów i wesół i z jakąś — językiem naszych poetów mówiąc — perłą boleści z głębi serca dobytą" [1]).

Nie wdając się oczywiście w szczegóły tych romansów, wspomnieć o tem musimy jedynie dlatego, że zajścia te miały fatalny wpływ na życie autora „Murdeliona" i nadały temu życiu zgoła niespodziewany obrót, zmieniając jego koleje i budząc nieprzychylne echa w wiele lat później. — Rozgłos temi zajściami wywołany, był też zapewne jednym z powodów, dla których Kaczkowski wyjechał na wieś, a wreszcie do Krakowa. Na bruku krakowskim znalazł się on już w początkach r. 1853, skąd pisze do jednego z przyjaciół, że „wynalazł" nową powieść i w większej części ją ułożył z czasów Zygmunta III. Główną postacią tej powieści miał być Koniecpolski, a mianowicie: wykradzenie panny z klasztoru i rzucenie klątwy, którą chce oddać „z całą okazałością". Grzebie się teraz w materyałach; nie wie wszakże, co po „Braciach ślubnych" „na stół weźmie", czy „Dziedzica Strwiążyka", czy „Bajronistę", czy „Koniecpolskiego" [2]).

Już 5. stycznia 1853 pisze Franciszek Wężyk z Krakowa do Kajetana Koźmiana, zamieszkałego w swem wiejskiem zaciszu, w Piotrowicach:

„Poznałem tu dzisiejszą znakomitość, piszącą powiastki, t. j. Zygmunta Kaczkowskiego, autora dwóch nieosobliwych powiastek,

[1]) Ze zbiorów Rapperswylskich Ms.

[2]) „Wędrowiec" Nr. 40 1896. „Kaczkowski o sobie".

któremi żył przez kilka tygodni nasz biedny „Czas" [1]), a którego dziwny romans pod napisem „Murdelio" zajmuje wielkie miejsce w „Warszawskiej Gazecie"... Byłem dość mocno zajęty kształtną powierzchownością młodego pisarza, jego poglądem na rzeczy, wymową. Wtem, ledwie wyszedł, dowiedziałem się, że on sam był bohaterem znakomitym w romansie pani L. B. Tak spadła z oczu moich ułuda, bom zawsze mniemał, że dla poety potrzeba i łaski nieba i cnoty. Tu była pierwsza, ale na drugą czekać jeszcze będziemy" [2]).

Widocznie więc już wieści o skandalu lwowskim przeniknęły do Krakowa i psuły dodatnie zresztą wrażenie, jakie Kaczkowski swoją osobistością wywierał zwłaszcza na kasztelana Wężyka, tego najliberalniejszego z klasyków, którego rozprawę „O poezyi dramatycznej", odrzuciła była niegdyś komisya Towarzystwa Przyjaciół Nauk, jako „rewolucyjną", a który do późnego wieku zachował pociągającą, pogodną wyrozumiałość w sądach, czem znacznie się różnił od przyjaciela swego, bardziej nieprzejednanego, Kajetana Koźmiana. — To też Wężyk otworzył gościnnie dom swój Kaczkowskiemu i brał go pod swoją niejako protekcyę, gdy wskutek polemiki o Deotymę, Kaczkowski stał się przedmiotem zaciekłych ataków. Niemiłosiernie za to surowym dla autora „Murdeliona" jest Kajetan Koźmian. „Och, trzeba — woła w liście do Wężyka z d. 15. stycznia 1853, — trzeba karcić i ohydzie wieków podawać tych „Bezimiennych" [3]), tych „Murdelionów", mordujących moralność, cnotę, zdrowy rozsądek i t. d. Gdy przeczytałem jak Murdelio strzelił do uwiedzionej mężatki i nie zabił, jak Jura przebił na wylot, ukąsił jak pies, a Jura żył, rzuciłem tę babską banialukę, godną plecenia dzieciom pod kądzielą... Dla podłego zarobku, zwodzą, plotą, trują".

Obaj zaś staruszkowie nie mają dość słów oburzenia na to, że znajdują się już wydawcy, którzy kupują, i autorowie, którzy sprzedają płody swego talentu, nawet jeszcze przed urodzeniem. Zdarzyło się bowiem, że właśnie w tym czasie przybył z Warszawy

[1]) Mowa tu o powieści „Kato" i „Kasztelanicach Lubaczewskich".

[2]) Stanisław Tomkowicz: „Korespondencya literacka Kajetana Koźmiana z Franciszkiem Wężykiem". Str. 111. Kraków 1913. Wszystkie dalsze cytaty z listów Wężyka i Koźmiana wyjęte są z tej cennej publikacyi.

[3]) „Tadeusz Bezimienny" Korzeniowskiego".

do Krakowa Lesznowski, redaktor główny poczytnej podówczas „Gazety Warszawskiej“ i zawarł umowę o prace literackie z Lucyanem Siemieńskim i Z. Kaczkowskim. Wężyk wybucha oburzeniem: „Jak rybak przezorny — pisze do Koźmiana — przyjeżdżał tu (Lesznowski) na połów z wędką rublową i złapał na nią dwie ryby; to jest dwa nieistniejące romanse. Kupił więc kota w worze i nie wie nawet, jak się będzie nazywał. Jednego mu sprzedał na wagę złota będący tu Zygmunt Kaczkowski, drugiego Lucyan Siemieński. Czy pojmujesz to upośledzenie zdolności, do któregośmy doszli za śladem tych bezwstydnych Francuzów. Więc już promesy płodów dowcipu idą na giełdową szachrajkę. Cóż będzie, jeśli sprzedany poemat (za 1 arkusz w druku 30 rubli) cale się nie uda?... Gdzież — pyta dalej z żalem — gdzież dziś jesteście Juvenalisy, Persyusze, Naruszewicze, Krasiccy?“

Na to z niemniejszem oburzeniem odpowiada Koźmian: „Mniej — pisze — mam pogardy dla tego, co kupił, jak dla tych, co się sprzedali. Podły i nikczemny wiek, bezczelni i nikczemni ludzie, co najszlachetniejszą ozdobę i zaszczyt towarzystwa, literaturę, skazili sobą i na pokup więcej dającemu puścili“.

Powód dłuższego pobytu swego w Krakowie tłumaczy Kaczkowski jednemu z przyjaciół, w liście z d. 26. lutego 1853, „chorobą przyjaciela i sąsiada“, lecz donosi mu zarazem, że powietrze krakowskie mu nie służy, ale za to zebrał niemało materyałów do powieści z czasów Zygmunta III. Odniósł także tę korzyść, że poznał Henryka Rzewuskiego. Właściciel Woli Justowskiej, Kuczkowski, dał obiad, na którym byli Rzewuski i Kaczkowski. Biskup Łętowski wydał także dla nich obiad, a Rzewuski mówi o autorze „Murdeliona“ „wszędzie dobrze i podnosi jego sławę literacką“ [1]).

Wkrótce potem poczęła ukazywać się w „Gazecie Warszawskiej“ powieść Kaczkowskiego p. t. „Bracia ślubni“. Kosztowała go ta powieść pracy niemało. Do jednego z przyjaciół pisze [2]), że wysiadywać musi przy biurku po dziesięć godzin dziennie, i użala się, że robota nie idzie mu tak sporo, jak przy „Murdelionie“; zmuszony jest tu więcej namyślać się nad układem całości i umotywowaniem wypadków; w ogóle „wykład jest trudniejszy“. Tu już nie opowiada Nieczuja po staroświecku, chronologicznie, wedle swego ciasnego obrębu pojęć... Tu nie tylko całość ma być okrągła, ale i każda część pojedyńcza. Czy powieść zrobi wrażenie? zapytuje

[1]) „Wędrowiec“ l. c.
[2]) „Wędrowiec“ l. c. List z Bereźnicy 25 marca 1853.

autor. Tego wiedzieć nie może, ale zapewnia, że jest ona „z samych ciosowych kamieni zbudowana, że każdy kamień będzie jak najstaranniej obrobiony i że żadne wiązanie pod najsurowszą nawet krytyką się nie rozlezie“.

A jednakże „Bracia ślubni“ nie odnieśli sukcesu. Przedewszystkiem Kajetan Koźmian w liście do Wężyka z 29. października 1853, krytykując surowo powieść Kraszewskiego p. t. „Dyabeł“, pisze z pogardą: „Za jego wzorem już jakiś Kaczkowski tuła się po gazetach z „Ślubnymi braćmi“. Co to będzie? a jak Osiński dodawał: głupio wszędzie i t. d.“ — Na co wkrótce potem odpowiada Wężyk: „Pomiędzy gwiazdami pierwszego rzędu jest dziś p. Zygmunt Kaczkowski. On podjął się dostarczać choćby smalonych dubów do „Gazety Warszawskiej“ za cenę 200 zł. od zasmarowania arkusza. Na wiosnę jadł i pił wybornie, grał w karty od południa aż do północy. Ciekawy byłem, kiedy swój towar na obstalunek przyrzeczony wytworzy. Aż tu wychodzi dziwo czyli dziwoląg pod nazwą „Bracia ślubni“. Tyle rozdziałów już przeminęło, jakby jedynie dla zbycia grubego redaktora „Warszawskiej Gazety“. Ale za cóż nas tak, jak grubych traktować? Aliści w jednym z niedawnych numerów tejże gazety, palnął p. Korzeniowski panegiryk swemu koledze. Czekajmyż teraz, rychło się odwzajemni ten drugi. I oni cechują naszą literaturę z końca 17-go wieku panegiryzmem! Wtedy przynajmniej chwaleni dawali coś w zamian: chleb, wino i złoto; teraz jeden drugiemu próchnem podkurzy, a ten zaraz pobieży do żony i dziatek i powie: mnie to kadzą“. W liście następnym Wężyk gorszy się znowu pochwałą Korzeniowskiego tej powieści „tak nudnej i ckliwej, że nawet tutejsi (krakowscy) wielbiciele znanego osobiście autora czytać ją zaprzestali, że nikt nie przenika ani dalszego wątku, ani końca powieści, a wszystko tak się rozciąga niemiłosiernie, że podejrzywają ludzie namysł, by więcej arkuszy w druku, a zatem więcej rubli przybyło! Gdyby tak rzecz się miała w istocie, to hańba piszącym i płacącym i czytającym! Ja jeszcze nie mam wyrobionego zdania; czytam, często usypiam, lecz raz zacząwszy, muszę doczytać“. Kajetan Koźmian nawet czytać tej powieści już nie chce: „Bracia ślubni“ tak mnie znudzili, że przestaję prenumerować „Gazetę“ Lesznowskiego; zamówiłem „Codzienną“. W odpowiedzi Wężyk, krytykując „Filozofię“ Kremera i jego „Listy z Krakowa“, przeraża się artykułem w tych „Listach“ o Fantazyi i twierdzi, że ta Fantazya, to nowy Baal, któremu się kłania pokolenie obecne. „Gdy nam p. Korzeniowski — pisze — stawia na świeczniku ołtarza żonę po dwa-

kroć cu... (to jest za ostro) niewierną, a jej bezimiennego syna na bohatera naznacza [1]), gdy nowy autor (Z. Kaczkowski) plecie koszałki opałki o szlachcie sanockiej i przy rozwlekłych rozdziałach do snu poniewolnego przymusza — to jest „Fantazya“! Nietylko Wężykowi i Koźmianowi nie podobali się „Bracia ślubni“. Nie podobali się również Konstantemu Gaszyńskiemu, który w liście do L. Siemieńskiego, chwaląc „Murdeliona“, zarzuca „Braciom“ rozwlekłość i nazywa tę powieść utworem słabym [2]). Nawet sam autor w liście do jednego z przyjaciół [3]) przyznaje, że początek „Braci ślubnych“ wydał mu się nudnym. To skutek, powiada, studyów nad Walter Scottem i przykładu Kraszewskiego, którego „niedbałość, wywołująca niechęć i oburzenie“, sprawia, że Kaczkowski wpada w drugą ostateczność — w rozwlekłość. — To przyznanie się nie przeszkadza mu wszakże ostro polemizować z krytyką Antoniego Marcinkowskiego, pisującego pod pseudonymem Nowosielskiego, który między innymi zarzutami podnosił jednostajność typów szlacheckich. Pociesza się natomiast Kaczkowski pochlebną oceną Grabowskiego Michała i Juliana Bartoszewicza swych powieści historycznych.

Po miesięcznym pobycie w Krakowie powrócił Kaczkowski już w marcu 1853 do Bereźnicy, gdzie oddał się pracy literackiej. Przeczytał w tym czasie powieść Kraszewskiego p. t. „Dziwadła“ i przyznaje, że „powieść bardzo ładna, pełna prawdy, życia i ruchu“. Nie może jednak darować autorowi, że w utworach jego czuć „dyletantyzm, urywkowość i niedbałość“. Duch „Dziwadeł“ jest „cały i szkielet zupełny“, lecz podano to wszystko „w poobrywanych łachmanach“.

W sierpniu tegoż roku rozpoczął Kaczkowski pisać „Wnuczęta“. Spodziewa się, że ta powieść sprawi wrażenie, bo „z figur galicyjskich nikt jeszcze nie złożył całej powieści. Potem zabierze się do „Bajronisty“. Ale to będzie druga, lecz i ostatnia powieść współczesna, bo jak twierdzi — „szkoda pióra na opisywanie tak wielkiego ubóstwa w charaktery i zdarzenia“. Zabierze się teraz do Jana Olbrachta. Ułożył i wyrobił cały szkielet powieści p. t. „Olbrachtowi Rycerze“ [4]).

[1]) „Tadeusz Bezimienny“.
[2]) Kossowski Stanisław „Listy Gaszyńskiego“.
[3]) Wędrowiec“ z r. 1896 Nr. 41. List z Bereźnicy z 31. grudnia 1853.
[4]) „Wędrowiec“ l. c. Ztąd się okazuje, że powieść, która dopiero w ostatnich latach życia autora ukazała się w druku, a mianowicie w „Gazecie Lwowskiej“ r. 1887, już w r. 1853 była ułożona.

W liście z d. 31. grudnia 1853 to samo powtarza, dodając, że ma jeszcze na myśli trzecią powieść, która będzie się działa między r. 1815 a 1845. — Zapowiada, że po ukończeniu „Wnucząt“ ma zamiar wyjechać do Krakowa, a stamtąd do Wiednia, może nawet do Włoch“ [1]).

Jakkolwiek od połowy 1853 r. nie domagał na zdrowiu, cierpiał na uderzenia krwi do głowy i leczył się wodą zimną i wodą marienbadzką, nie ustawał w pracy. W lutym 1854 widzimy go w Krakowie. Donosi o tem Wężyk Koźmianowi w liście z 16. lutego: „Jest tu w Krakowie p. Kaczkowski, którego powieści ogłosili arystarchowie Litwy, Podola i Ukrainy za arcydzieła, a którego „Braci ślubnych“, drukowanych od wielu miesięcy w „Gazecie Warszawskiej“ doczytać cierpliwości mi zabrakło. Wiem o tem, że jesień i zimę siedział na wsi i pisał. Jeżeli się nie opatrzył w co lepszego od tych „Braci ślubnych“, strach na nas biednych w roku bieżącym 1854, któryśmy zaledwie poczęli“. A w następnym liście dodaje: „Jest tu Kaczkowski, autor „Murdeliona“ i „Braci ślubnych“, którego czasem widuję. On kazał w swoim romansie ostatnim jednemu z tych ślubnych braci wyliczyć sto batów. Co za nieludzkie obejście się z własnem swem dzieckiem! Czyby nie było słusznie dla ulgi bolu i własnego sumienia, aby z niem się podzielił? Tak on wziął od „Gazety“ może ze trzy tysiące, a jego bohater sto boćkowskich! Gdzież tu jest sprawiedliwość i gdzie współczucie“?

W tymże roku 2. października przybyli do Krakowa pp. Łuszczewscy z córką Jadwigą, rozgłośną już podówczas improwizatorką poetką Deotymą. Ściągnął ich do podwawelskiego grodu Wężyk, spotkawszy się z nimi w Karlsbadzie. Hotele krakowskie przepełnione były wówczas wracającymi z wód zagranicznych i pp. Łuszczewscy nigdzie dla siebie miejsca znaleźć nie mogli. Zacny Wężyk ugościł więc ich w swojem mieszkaniu i zaraz dnia następnego urządził dla nich towarzyskie zebranie, na którem były — jak donosi Koźmianowi — „nasze znakomitości i trochę dam“, a także Zygmunt Kaczkowski. Improwizacyi tego wieczoru nie było; za to nazajutrz, na wieczorze u ks. biskupa Łętowskiego wygłosiła Deotyma improwizacyę p. t. „Góry“, a w dniu następnym na licznem zgromadzeniu u Wężyka improwizowała, na zadany temat przez ks. biskupa Łętowskiego, wiersz p. t. „Miłość najwyższa“, budząc zachwyt powszechny. Nie podzielał go w całej pełni Franciszek Wężyk, a z jego zdaniem zgadzał się całkowicie Kajetan

[1]) l. c.

Koźmian. — Jeszcze przed tem, skoro tylko sława improwizatorki doszła z Warszawy do Krakowa, pisał Wężyk: „Bodajby jak najrychlej przestała improwizować, a pisać porządnie poczęła. Improwizacya, to daguerotyp chwilowego wrażenia — poezya, kierowana rozsądkiem, to malarstwo“. Koźmian, usposobiony bardzo serdecznie dla młodej poetki, żałuje tego „natchnionego i utalentowanego dziewczęcia, że tak pospolituje (w improwizacyach) dar prawdziwie niebieski i oburza się na „chwalców, którzy rozkołysują w niej próżność“. Radby uchronić od tych pokus „tę prawnuczkę najświątobliwszego kapłana, biskupa łuckiego, Cieciszowskiego“. „Tuli się ona — pisze do Wężyka — do starszych, niewinna, skromna, lękliwa, prosi o radę, z wdzięcznością ją przyjmuje, ale nieszczęściem, otoczona jest szatanami, którzy w zdradliwych poklaskach wywołali z piekła przeciwko niej próżność i już kadzidłami piekielnego dymu ją duszą. Już ją zespolili z klawicymbalistą (!) Kątskim, już ją wywlekli na kuryerkowe i gazeciarskie karty; już długimi i przesadnymi artykułami szarzają, pospolitują tę nadziemską istotę... Uciekła ona przed tymi Mefistofelesami i Asmodeuszami pod starszych tarczę; trzeba ją wspierać szczeremi i przychylnemi radami, aby jej nie obłąkali. Już ona się zrzekła improwizacyi za radą moją, mego syna i Z.“ [1]) — Nie zrzekła się jednak, bo jakto widzieliśmy w przeszło rok od daty powyższego listu Koźmiana, pisanego 8. lutego 1852, improwizowała w Krakowie u Wężyka, ks. biskupa Łętowskiego i pani Kuszlowej [2]); improwizowała i potem, — Wężyk gorszy się także niektóremi improwizacyami Deotymy, martwi się niemi „jak gdyby jaką stratą domową“, bo są w nich „duby, sprzeczności, bezsensa“, lecz niektóre znowu, jak „Rzeźbiarstwo“ i „Sen“, podziwia. — Koźmian obawia się ciągle wpływu matki, która, chociaż „kobieta słuszna i oświecona, ma jednak w sobie nieco krwi teatralnej, jako urodzona z owej sławnej Skoraszewskiej, jest zatem „nierozważna i zaślepiona żądzą sławności“. Morawski [3]) admirując Jadwigę, napisał do mnie o jej matce: jest słuszna kobieta, lecz coś jest w jej krwi z głowy ojca i z nóg matki“ [4]).

---

[1]) Syn, to Andrzej Edward Koźmian; Z. to prawdopodobnie Zygmunt Krasiński.

[2]) Aniela z Kuszlów Walewska, pisząca pod pseudonimem „Bożenna“.

[3]) Franciszek.

[4]) Ojcem Deotymy był Wacław Łuszczewski, radca stanu, dyrektor wydziału komisyi spraw wewn.; matką Nina (Magdalena) Żółtowska, córka Edwarda, gen. dywizyi wojsk polsk. i Kazimiery Skoraszewskiej.

We wszystkich uroczystościach krakowskich na cześć Deotymy brał udział Kaczkowski i stał się jej bezwzględnym wielbicielem, tak dalece, że gdy w niektórych dziennikach, a przedewszystkiem w „Czasie“ ozwały się głosy krytyczne, odmawiające improwizacyom Deotymy istotnie poetyckiego natchnienia i polotu, autor „Murdeliona“ wystosował w formie listu do redaktora „Gazety Warszawskiej“ sążniste pismo, wydane następnie w osobnej broszurze p. t. „Deotyma w Krakowie“, a obejmujące w druku aż 109 stronic. W broszurze tej nie szczędził Kaczkowski słów uwielbienia dla młodej poetki; ogłosił wszystkie jej najważniejsze improwizacye, wypowiedziane w Krakowie i inne wiersze na cześć Wężyka i biskupa Łętowskiego i dał ciętą, miejscami nawet zjadliwą odprawę krytykom Deotymy, nie oszczędzając nawet autora krytyki, zamieszczonej w „Czasie“ p. t. „Kilka myśli o Improwizacyach Deotymy“, podpisanej literą W., a pochodzącej, jak twierdzono, z pod pióra Wincentego Pola. — Wszystkim tym krytykom zarzuca Kaczkowski „nędzę moralną, która z zawziętością uderza na cudzą zdolność i zasługę, nie wahając się nawet przed plagiatem w niby uczonych definicyach zdolności improwizowania. Wogóle w literaturze polskiej uznaje Kaczkowski dwóch tylko krytyków: Michała Grabowskiego i Aleksandra Tyszyńskiego, — inni, zdaniem jego, tworzą tylko „gwar jarmarczny, chwytający swoje zasady z powietrza, a tworzący mnóstwo nieporozumień, fałszów, podejrzeń i nienawiści“. Cała ta rozprawa, pełna zbytecznych zgoła dygresyi, n. p. o mistycyzmie, tchnie pretensyonalnością.

Surowy wyrok, wydany na krytyków przez tak młodego jeszcze pisarza, musiał oczywiście wywołać burzę. W obronie jednego z krytyków Deotymy (Prusinowskiego), czuł się nawet w obowiązku stanąć J. I. Kraszewski [1]). W Krakowie zawrzało. „Widzę — pisze Wężyk do Koźmiana — wzbierającą się burzę z tego powodu nad Kaczkowskim. On młody, on temu da rady. Lecz gdy to widzą, że bywa u mnie i często chodzi ze mną, więc gotowi członkowie Towarzystwa wzajemnej admiracyi i mnie swą łaską uraczyć“.

Kaczkowski biorąc żywy udział w przyjęciu Deotymy w Krakowie, z tej sposobności skorzystał, by się zbliżyć i pozyskać względy Wężyka, któremu też we wspomnianej swej broszurze słów pochlebnych nie szczędził. „Traf zdarzył, pisze autor „Bezkrólewia“, że był (Kaczkowski) ze mną, gdyśmy Deotymę w dworcu kolei że-

---

[1]) „Gazeta Warszawska“ Nr. 263 z r. 1854.

laznej witali; odtąd mnie nie odstąpił i był najdzielniejszą pomocą w okazaniu jej i jej rodzicom naszego współczucia".

Wężyk dostarczył też Kaczkowskiemu materyałów do odpowiedzi na krytykę improwizacyj Deotymy, przesłał mu wiersz swój p. t. „Deotyma na katedrze w Krakowie, 4 października 1854 r.", oraz tekst swego toastu, wzniesionego na jej cześć w dniu następnym, a także wiersz Deotymy „Do Franciszka Wężyka", wygłoszony d. 7. października.

Przesyłając te materyały, pisze kasztelan d. 8. października do Kaczkowskiego:

„Chcę jeszcze parę słów dodać do tego, cośmy wczoraj mówili:

„Czyli zamierzony opis będzie miał formę listu, czy inną, na jedno wyjdzie. Lecz przesyłając ieden Exemplarz do „Gazety Warsz.", życzę mieć drugi, ażeby ten List czy Opis tu oddzielnie wydrukować — na przypadek spóźnienia lub przeciwności tamecznej Cenzury.

„W każdym razie pragnąłbym dorzucić następujące słowa w nocie, lub coś podobnej treści:

„Przed niedawnym czasem czytaliśmy w kilku numerach dziennika pod napisem „Czas" zdania rozmaite o Deotymie i iey Improwizacyiach. Nie łatwa iest odpowiedź na artykuły, umieszczone w Nr. 134 i 135. Wypadałoby koniecznie przeiąć się podobną cierpkością i excentrycznością, iakiej w nich użyto — na co nie każdy się zdobędzie. Co innego zachodzi względem Artykułów w Nr. 145 i 146. Pierwszy z nich iest przypisywany, zapewnie błędnie, iednemu z naszych znakomitych Poetów. Ale rzekł ktoś w niedawnej chwili: Poeta, to gwiazda. Krytyk, to astronom. Możnaż bydź zarazem i astronomem i gwiazdą? Wreszcie wiele przemawia za naszem mniemaniem przeciw powszechnemu twierdzeniu. Zarzut krwawy prozaiczności miasta Warszawy i obelga, rzucona na Towarzystwo Przyjaciół nauk — niczym się usprawiedliwić nie dozwolą. Musiałby to bydź poeta bardzo *świeżej* daty, albo taki, który nim nigdy nie był i nie będzie."

„Na zarzut mistyfikacyi odpowiedziała zwycięsko Deotyma w czasie swojego między nami pobytu i autor artykułu, o którym mowa, mógł bydź obecnym tej odpowiedzi."

„Artykuł czwarty pod napisem: „Improwizacya i Poezya" jest skreślony bardzo oględnie i zręcznie i nie obejmuje żadnej satyry. Każde zdanie, choćby naszemu przeciwne, szanować umiemy, byleby było sumienne i bez rekryminacyj wyrzeczone — o co

w imieniu przyzwoitości i prawdy wszystkich naszych krytyków śmiemy upraszać." [1])

Ton i sposób, w jaki Kaczkowski z materyałów dostarczonych przez Wężyka w swej polemice skorzystał, nie mógł się podobać sędziwemu kasztelanowi.

Kajetan Koźmian już z góry wypowiadał pod tym względem obawy. „Liczy się on (Kaczkowski) — pisał autor „Ziemiaństwa", do Wężyka — między wielbicielami talentu Deotymy i podobno wygotował odpowiedź i obronę jej naprzeciw wymierzonym na nią pociskom. Skłonny jestem wierzyć i spodziewam się, że ta odpowiedź odpowie sądem, delikatnością i trafnością swojemu celowi; bałbym się tylko, aby przeciągnięta dłużej ta literacka polemika, wprowadzając ciągle imię Deotymy na karty gazeciarskie, nie spospolitowała i nie poniżyła imienia tego skromnego dziewczęcia; zważ to, czyliby nie korzystniej było dla niej nie drażnić przeciwników i nie przerwać gardzącem milczeniem?" Wężyk otwarcie wypowiada swoje niezadowolenie z rozprawy krytycznej Kaczkowskiego. „Szkoda, — pisze — że nazajutrz po jej (Deotymy) odjeździe i ja odjechać musiałem. Możebym był wpłynął na odmianę tego opisu, który już znany jest krajowi z gazet warszawskich. Jest on zanadto rozwlekły i znać w nim, że napisany do gazet. Musiałem dostarczyć tych materyałów, którem posiadał, i widzę w druku takie rzeczy, którebym oszczędził, a w pominięciu takie, o których wartoby było nadmienić... Nie ucieszyłem się z tego, że tyle razy zostałem wspomniany. Dla mnie dość już byłoby na modlitwie w czasie pogrzebu. Lecz mówią, że to nie mogło być inaczej i ja to z rezygnacyą przyjmuję."

Nie podziela też Wężyk zachwytów Kaczkowskiego nad krakowskiemi improwizacyami Deotymy; woli dawniejsze. Koźmian również nie jest zadowolony. „Z ciekawością — pisze — czytałem „Listy" jego o Deotymie, umieszczone w „Gazecie Warszawskiej", lecz to przeczytanie utwierdziło we mnie twoją o nich opinię. Jeżeliś czytał je wprzódy, nim wydrukował, za cóż ich nie obrałeś z tej mniej potrzebnej dysertacyi i definicyi, nie definiującej o mistycyzmie... A przytem *cui bono* nadział to makaronizmami, to scyentyficznymi wyrazami, a trudnymi do zrozumienia? Wyszukana erudycya trąci pretensyą i w tem zdradziła się jego młodość."

---

[1]) Ze zbiorów Rapperswylskich. Ms.

Natychmiast Wężyk pośpieszył zaprotestować przeciw przepuszczeniu Koźmiana, jakoby znał „Listy“ Kaczkowskiego o Deotymie przed wydrukowaniem. „Czyżbym — woła — mu z rąk ich nie wydarł, albo nie przekreślił większej połowy“? ...W całym tym liście znalazłem gazeciarską rozwlekłość; jest ona i w Kaczkowskiego powieściach, ponieważ te przeznaczone do gazet, a ten rodzaj literatury nie ma wstrętu do wielomówstwa, kiedy dziś płacą za każdy wiersz druku, a przeto, im więcej wierszy, tem więcej kopiejek. Otóż jest strona ujemna (jeżeli nie potrzeba użyć silniejszego wyrazu) przedajnej literatury naszego wieku!“ W końcu dodaje: „Nie zezwoliłbym nigdy na osobiste przycinki; teraz ma za nie p. Zygmunt, bo i przeciwnicy mają żądełka.“

Natomiast pozyskał sobie Kaczkowski wdzięczność poetki i jej rodziców, wyrażoną w listach dziękczynnych. Deotyma dnia 28. marca 1855 przesyła mu przy liście, pełnym uznania, wiersz następujący:

ODA DO CHWAŁY.

Skrzydłami światy okrywać zdoła,
W wiekach przyświeca — w wieczności pała.
Palmę ma w dłoni, lub laur u czoła;
Jej imię — chwała!

Obecność dla niej zawsze za blada;
Tylko potomność w mgle ukochała;
Nie zna spoczynku — potokiem chwała:
Rośnie, lub spada.

Jeżeli lata marzeń i trudu
Tylko kruszcowy wieniec nam dały,
Chwała upada. — Szczytem zaś chwały:
Żyć w pieśni ludu.

Ceni ją wiedza — ubóstwia sztuka —
Ceni ją cnota, a łaknie pycha;
Wśród swych czcicieli jednego szuka,
Milion odpycha.

Nieszukający przez nią szukani.
W prostaczkach wznieca żar bohatera!
O chwało chwały! kto żyje dla niej,
Dla niej umiera!

Młodych zachwyca — kobiet unika —
Panem orkanów czyni żeglarza —
Mężnym tka sztandar — w gwiazdy przetwarza
Cierń męczennika!

Lecz od niej spokój stroni tem łatwiej,
Im z nią zabiegów większa drużyna...
Zaledwie kilku ją błogosławi —
Iluż przeklina!

Szatan ją przeklął, bo chciał za wielkiej —
Człowiek przeklina, gdy ma za małą;
Lecz Bóg nie przeklął tej czci czcicielki,
Bo sam jest chwałą.

Wogóle jednak wystąpienie Kaczkowskiego w obronie Deotymy nie miało powodzenia. Przyczyniło mu wrogów, a nie zyskało aprobaty nawet tych, o których względy widocznie mu chodziło, t. j. Kajetana Koźmiana i Wężyka, którego na bruku krakowskim się trzymał.

Wszakże niechętny sąd o młodym pisarzu obu ostatnich przedstawicieli klasycyzmu, złagodniał odtąd znacznie, zwłaszcza od czasu, gdy Andrzej Edward Koźmian, syn Kajetana, poznawszy w Krakowie Kaczkowskiego, powziął ku niemu sympatyę i z wielkiemi o nim pochwałami do ojca napisał. „Pisał mi syn, — donosi Wężykowi Koźmian — że poznał p. Kaczkowskiego, młodego pisarza rozmaitych powieści; podobał mu się i z układu i ze zdolności i z talentu, którego dał liczne dowody.“ Wnet na to odpowiada Wężyk: „Cieszę się, że Kaczkowski podobał się zacnemu p. Andrzejowi. Nad wszystkich dziś piszących, a którzy się o mnie ocierać raczyli, ujrzałem w nim obok zdolności szlachetne cele, cześć dla religii, uszanowanie dla przeszłości i miałem sposobność wynurzyć mu moje uczucia. Co do estetycznej części jego utworów, zostawiłem ten przedmiot dalszemu czasowi, bo w naszych czasach sama poczciwa tendencya już jest potężną dźwignią i godną mi się zdaje uczczenia.“ W następnym znów liście, wracając do tegoż przedmiotu, pisze Wężyk: „Pojmuję bardzo, że się p. Andrzejowi Kaczkowski podobał. Ma on znakomite prawa ku temu. Ja go szczególniej odznaczam z powodu dążności pism jego. Kiedyśmy już na to potępieni zostali, abyśmy żyli samemi powieściami, kiedy je już liczymy na setki, jeżeli nie na tysiące, kiedy wszystkie gazety, kalendarze i nawet tak zwane książki nabożne są ich pełne, kiedy je czytają po pałacach, folwarkach i straganach — niechaj

przynajmniej ich autorowie szanują wiarę i obyczajów nie każą. To jest w Kaczkowskim. Nie obrzuca on błotem naszej przeszłości, a chociaż możnaby nie jedno powiedzieć z estetycznego względu o jego powieściach, chciałbym namówić poważniejszych w narodzie mężów, aby mu rękę życzliwą podali i odróżnili od innych jego kolegów. Widział p. Andrzej, w jakich z nim zostaję stosunkach. Chciej mu przez syna lub też przezemnie coś poczciwego powiedzieć, ażeby nabrał otuchy i utwierdził się na raz obranej drodze. Nie uwierzysz, jaki wpływ wywiera na młodych dobre słowo z ust starych, a ust twoim podobnych. Lecz przez ciekawość każ sobie „Murdeliona“ przeczytać. Byłem i ja ciekawy, przecież rozwiązanie popsuło cały skutek tego pięknie napisanego romansu. Radbym wiedzieć, jak to z twej strony uważać będziesz.“

Jak przyjaźnie usposobiony był Andrzej Edward Koźmian dla Kaczkowskiego, zaświadczy najlepiej list jego, pisany z Dobrzechowa d. 15 listopada 1854, do autora „Murdeliona“, w którym to liście czytamy:

„Te pierwsze, krótkie, bo na samem wyjezdnem przesłane wyrazy, będą, jeżeli Pan na to zezwolisz, początkiem tylko dalszych i obszerniejszych odezw moich. Spotkanie moje z Szanownym Panem zbyt miłe zostawiło mi wspomnienie, abym chciał tylko na samem wspomnieniu poprzestać. — Z przyjemnością zabierałem znajomość z każdem pismem Zygmunta Kaczkowskiego, — niemniejszej pewnie doznałem w poznaniu samego pisarza. — Jeżeli bowiem dzieło jakie odpowiedziało naszym zacnym i szlachetnym czuciom, jeżeli je umocnić i ożywić zdołało, jeżeli u nas obudziło miłe wrażenia, jakże je jeszcze wyżej cenimy, jak szczęśliwi jesteśmy, gdy poznawszy jego Twórcę, znajdujemy w nim zupełną z dziełem jego zgodność i przekonywamy się, że on na niem część swojej duszy wycisnął. — Szczęść Ci więc Boże, łaskawy Panie Zygmuncie Dobr., we wszystkich pracach Twoich; szczęść Ci, zwłaszcza w tych, które nie dla samej obecności, ale i dla przyszłości przedsięweźmiesz. — Niech Ci także Bóg szczęści i dopomaga w wszelkiej walce umysłowej o wiarę — narodowość — o świętość i nieomylność pewnych Zasad, — o to wszystko, co stanowi szlachetną część natury ludzkiej. — Nie daleki może czas, w którym bój tego rorodzaju zawrze i przywoła wszystkich swoich wojowników. Niechże do niego gotowi będą ci wszyscy, których głosu kraj z upodobaniem słucha i do którego już mile nawykł.“

„Ja za dni parę ujrzę się wraz z synem za kratami naszego więzienia. Wracam do Królestwa. Któż przewidzieć zdoła, co nas

tam czeka i czego doświadczyć przyjdzie. Racz Panie, za widzeniem się z Panem Kasztelanem [1]), powiedzieć mu, że przybywszy do Rzeszowa, zaspokojony zostałem o Ojca i dom, dwa listy tam zastawszy, — dwa poprzedzające zaginęły wśród anarchii poczt tutejszych, i o niepokój mnie przyprawiły, — mniemam, że i Pan Kasztelan musiał od mego Ojca listopadowy list odebrać.“

„My tu od wczoraj zasypani śniegiem. — Ja, na widok śniegu, smutnieję. Śnieg, to zima, a zima, to martwość — to śmierć, a przynajmniej letarg, — to okrucieństwo despotyzmu — to Rossya.“

„Pozwól Panie, ażebym acz po pierwszem i niezbyt długiem poznaniu, z szczerem uczuciem dłoń Twoją uścisnął, — i abym Cię zapewnił, że równie drogo cenić będę Twoją pamięć o mnie, jak cenię wspomnienie tego poznania. Nie odmawiaj mi więc dowodów Twej pamięci i przyjm zapewnienie rzetelnego poważania dla Ciebie i prac Twych powziętego.“ [2])

Nie wiemy, w jaki sposób odpowiedział Kaczkowski na ten dowód przyjaźni Andrzeja Edwarda Koźmiana, o którym zresztą w swych niewydanych rękopiśmiennych notatkach wyraża się niezbyt pochlebnie, — to pewna, że życzliwe usposobienie syna wpłynęło silnie na opinię ojca, który odpowiadając Wężykowi na list, poprzednio przytoczony, pisze z Piotrowic d. 12 grudnia 1854 r.:

„Przeczytałem „Murdeliona“; z tego, co mi Jędrzej opowiedział o nim, z tego, com czytał z pod jego pióra, uznaję z całą szczerością znakomite w nim zdolności, a szczególniej cenię tę religijną, moralną dążność, której się młodzi pisarze wyparli. Proszę cię, wyjednaj mi jego przyjaźń; chociaż mu się na nic nie przydam, przecież moim szacunkiem i poważaniem krzywdy mu nie przyniosę.“

Koźmian jeszcze przed przeczytaniem całego „Murdeliona“, wysłuchawszy kilku scen z tej powieści, które mu czytał syn Andrzej, wyraził zdumienie, że „autor tak młody, tak trafnie i tak prawdziwie odmalował i osoby i sceny między niemi, których ani on, ani ojciec jego nie widział, a o których ledwie dziad lub pradziad jego mógł przed nim rozprawiać i gdyby nie jaka rozwlekłość w opowiadaniu i wyczerpywanie przedmiotu, prawie bliskie powtarzaniu, to byłyby większy efekt zrobiły.“

I w dalszych jeszcze listach tak Koźmiana, jak i Wężyka, nie brak pochlebnych i życzliwych dla Kaczkowskiego wzmianek.

---

[1]) Wężykiem.
[2]) Ze zbiorów Rapperswylskich. Ms.

Koźmian bardzo nie łaskaw na „bajdopisarzy“, któremu na sam widok prospektu petersburskiej drukarni na prenumeratę „licznych i grubych tomów“ powieści „kijowskich, ukraińskich, wołyńskich aż do warszawskich“, wyrywa się „z oburzonego umysłu“ epigram:

„Ileż to dzieł wsławionych, iluż autorów
Grubych tomów, powiastek, smaku, stylu wzorów!
Ciesz się postępem światła narodzie sarmacki,
Będziesz miał przez pół wieku czem podlepiać placki!“

— trzech tylko powieściopisarzy „wyłącza z pod tego sarkazmu: Rzewuskiego, Kaczkowskiego i Syrokomlę, którym jako dobrym i utalentowanym malarzom dawnych obyczajów oddaje zasłużoną w całej powszechności zaletę“.

Burza jednak, wywołana polemiką o Deotymę i zjadliwą krytyką jej krytyków, ogłoszoną przez Kaczkowskiego, nie ustawała. Wężyk użala się na istniejące w Krakowie „Towarzystwo wzajemnej admiracyi“, z którego „wygryziono“ między innymi Kaczkowskiego, a które o nim — Wężyku — milczy „czy z uszanowania, czy z ryczywolskiej przyczyny“, wynosi zaś nad wszelki podziw świeżo wydrukowany poemat Pola pod napisem „Mohort“. Poematowi temu zarzuca jednak „brak akcyi zupełny i wodnistość stylu“. W dalszym ciągu listu pisze stary kasztelan: „Nasz Kaczkowski ledwie wytrzymał wszystkie pociski, którymi go obsypano za list o Deotymie. Już chciał wybuchnąć, kiedym go zaklął, ażeby ani pisnął. Dziś z tego kontent, że milczał. Jutro niech im odpowie, jakim nowym i wyższym utworem. Jego „Mąż szalony“ stoi wyżej od „Braci ślubnych“, przynajmniej swoją powagą, prostotą. Ale wszyscy Prusinowscy (a to jest liczna rodzina) powściekali się na niego.“ — O „Mężu szalonym“ parokrotnie wspomina Wężyk z uznaniem. „Wydrukowany w Petersburgu, — pisze do Koźmiana d. 2 stycznia 1855 — musiał już trafić i do was, chociaż jego wydanie oznacza r. 1855. Drażniłem się z autorem, że go czytać przed czasem nie mogę: bo gdybym coś o nim napisał i w roku 1854 skończył życie, łatwoby zaprzeczyli potomni. Ale że nie było tego obawy, więc znalazłem treść prostszą i naturalniejszą od „Murdeliona“ i „Braci ślubnych“, co mię bardzo ujęło: ale forma, zależąca na opowiadaniu jednego kozaka, może jest mniej właściwą do rozwinięcia takich zdolności, jakie Kaczkowski wykazał. Prosiłem go, aby mi tego kozaka odstąpił, choćbym miał zostać jego stenografem. Ale nie przystał na to bynajmniej.“

Ton tego listu świadczy najlepiej, jak życzliwe stosunki łączyły podówczas Wężyka z Kaczkowskim, pomimo „kwasów“, jakie pozostały z powodu owej polemiki o Deotymę, na co Wężyk się uskarża, dodając w jednym z listów następnych, że to „spaczyło wszystkie dawne stosunki.“ — „Są oni wszyscy — dodaje — bardzo grzeczni dla mnie, lecz to zapewne dlatego, że żadnych z nimi nie mam stosunków. Autor artykułów z podpisem *W.* (Wincenty Pol) widocznie mnie unika. Ledwie nie tak się dzieje z Siemieńskim, a że widują mnie dość często z Kaczkowskim, więc choćbym nie miał innych win i grzechów na karku, to jedno wystarczyłoby na zupełną niełaskę.“

To najlepiej dowodzi, jak niepopularnym w Krakowie stał się Zygmunt Kaczkowski. Niebawem sytuacya ta pogorszyła się jeszcze. Już w pierwszych miesiącach r. 1855 poczęto głosić, że autor „Murdeliona“ namiętnie gra w karty, a wieści te doszły nawet aż do Kajetana Koźmiana w Piotrowicach. Dnia 23 marca pisze on do Wężyka: „Zadziwiło mnie niezmiernie, doniesienie o Kaczkowskim, że narodziwszy tyle tomów powieści, porzucił literatnrę dla djabełka — musi on mu więcej czynić, byle nie z krzywdą obywatelskich dzieci.“

Wszakże r. 1854 upłynął Kaczkowskiemu na pracy literackiej. Jakkolwiek ciągle jeszcze zapadał na zdrowiu, o czem donosi jednemu ze swoich przyjaciół w listach z maja i czerwca [1]), kończył „Dziwożonę“ dla „Nowin“, szkicował powieść dla „Gazety Warszawskiej“, a wybierał się w Wadowickie dla „przypatrzenia się pewnemu szlachcicowi“, a także w Krakowskie dla oglądnięcia „niektórych zamków i ruin“. We wrześniu donosi, że „zabiera się do pisania „Ducha Nieczui“ [2]), przyczem dodaje, że powieść ta będzie niejako „epilogiem do wszystkich Nieczujowskich powieści.“ Autor chciałby tu „wyłożyć gruntownie pojęcia o niektórych stosunkach społecznych owego czasu“. Zamierza również pisać kilkutomową powieść „obrazową, charakterową i o ile być może humorystyczną“. Użala się przytem na „galicyjską demokratyczną literaturę, która nie może mu darować szlacheckich powieści. Mszczą się na Murdelionie; nazywają tę powieść bagnem błotnistem szlacheckiej głupoty i pijaństwa. Nieczuja — to głupiec, Zosia — prostaczka, Dziadek — opój i t. d.“.

---

[1]) „Wędrowiec“ l. c.
[2]) Powieść ta wyszła pod tytułem „Grób Nieczui“.

Rok 1855 zaczął się dla Kaczkowskiego w Krakowie różnemi niepowodzeniami, na które się użala w liście do jednego z przyjaciół. W kościele Dominikanów, obok którego autor „Murdeliona“ mieszkał (przy ul. Grodzkiej l. 28), zawaliło się sklepienie. Kazano mu się wynosić. Wyniósł się więc do domu „pod Różą“ l. 13, ale płacić musi zbyt drogo, przyczem przy przenosinach poniósł znaczne szkody: poniszczono mu wiele sprzętów, lamp, zwierciadeł, nakradziono dużo książek.

Wszystkie te jednak przykrości łagodziła mu zapewne obudzona w nieskorem, zdaje się, do sentymentów sercu — miłość. W Krakowie mieszkali podówczas pp. Karwiccy z Wołynia i prowadzili dom otwarty, przy ulicy Grodzkiej. Mieli przy sobie wychowanicę pannę Paulinę Ratajską, przystojną i wykształconą. Przypuszczano powszechnie, że dziedziczyć będzie po zamożnych, bezdzietnych Karwickich [1]). Kaczkowski rozpoczął starania o rękę tej panny i zapewne na seryo w niej się rozkochał; był już nawet z nią po słowie. Że się w tej pannie Kaczkowski prawdziwie rozkochał, zdaje się świadczyć list do jednego z przyjaciół, pisany z Krakowa d. 22 kwietnia 1855 r. [2]):

„Kocham się, staram się i t. d. O ile mi ta sprawa jest drogą i świętą, nie trudno odgadnąć, a jak gorąco pragnę doprowadzić do szczęśliwego końca, także się łatwo domyślić. Niechaj ludzie domyślają się i mówią, co chcą, ja sam wiem najlepiej, co we mnie przeważa: czy głowa, czy serce... Ale intrygi babskie posuwają się do tego stopnia, że mi bałamucą dziewczynę i knują szkaradnie pomiędzy jej krewnych i opiekunów. Istota ta, przy wykształceniu wybornem, ma instynkt cudowny i płynie tak ślicznie pomiędzy te burze i skały, jak łódka na morzu, którą jakaś gwiazda niebieska prowadzi na swoim promieniu i jestem pewny, że minie wszystkie niebezpieczeństwa i dopłynie spokojnie do tych brzegów zielonych, majowych, które ja jej wskazałem. Ale zawsze ta trwoga ma przemoc nad nami i niepodobna jest od drzenia serca być wolnym natenczas, kiedy się widzi tyle szczęścia dla siebie w przyszłości, a około tego szczęścia tyle ludzkiej zazdrości, tyle żółci i jadu i najobrzydliwszych potworów. I owoż to jest, co mnie w tej chwili uczyniło tak bojaźliwym. Ale niech no ja już raz włożę pierścionek z turkusem na palec, to ja temu wszystkiemu rozśmieję się w oczy i powiem wszystko otwarcie, co myślę.“

[1]) Z listu Stanisława Koźmiana, pisanego do mnie d. 18 kwietnia 1914.

[2]) „Wędrowiec l. c.

W dalszym ciągu tego listu donosi, że ma zamiar wkrótce wyjechać na wieś dla „uporządkowania interesów, zbierania pieniędzy i windykowania indemnizacyi“. Należy mu się przeszło 10.000 złp., ale nie może ich wydobyć z powodu „wikłaniny z gminą“. Pisze dalej „Bajronistę“ i w lot by skończył tę powieść, „gdyby nie był tak rozdarty“.

W następnym liście z d. 11 maja 1855 donosi, że lwowscy księgarze męczą go. Młody Wild, dowiedziawszy się, że zamierza się żenić, zrobił adwokatowi jego propozycyę sześcioletniej umowy. Wyznaje że jest „szkaradnie niepewny“, co z sobą zrobi. Najprawdopodobniej za 10—14 dni wyjedzie za granicę, mianowicie do Paryża.

Widocznie na zapytanie, z jakich powodów ta podróż, odpowiada d. 20 maja 1855 r., że nie skłania go do niej bynajmniej „ciekawość wystawy“. „Są to — pisze — skutki, raczej potrzeby konkurencyi mojej, które są tego rodzaju, że nie dadzą się ominąć,“

Było to, jak się zdaje, upozorowanie już tylko wyjazdu, którego konieczność nie wynikła bynajmniej „z konkurencyi“ o rękę panny Ratajskiej, lecz z powodu głośnego skandalu, którego echo nietylko na bruku krakowskim, lecz w całym kraju odbiło się głośno.

Z przykrością przychodzi pisać o tem, lecz niepodobna przemilczeć faktu, ujawnionego już szczegółowo w liście K. Szajnochy do Kornela Ujejskiego, ogłoszonym w pracy p. Kazimierza Wróblewskiego p. t. „Kornel Ujejski“ [1]) — faktu, który niewątpliwie na całą przyszłość Kaczkowskiego wywarł wpływ niemały. — List Szajnochy nosi datę d. 27 maja 1855 r. i jest już odpowiedzią na zapytanie Ujejskiego. Nazwiska aktorów zajścia ukryte są pod przejrzystemi przezwiskami. Nieczują nazywa Szajnocha Zygm. Kaczkowskiego, a Urielem Mikołaja Bołoz Antoniewicza, który, jak wiadomo, przed wydaniem poematu dramatycznego p. t. „Anna Oświęcimówna“, znany był jako autor różnych „śpiewów“ i wierszy, a przedewszystkiem jako autor pięknego przekładu wierszem dramatu Gutzkowa p. t. „Uriel Akosta“. — O niego przedewszystkiem zapytywał Ujejski, a Szajnocha, „zaspakajając jego ciekawość“, udziela mu szczegółów zajścia, zaczerpniętych „od dwóch osobiście w tej sprawie konsultowanych przez Nieczuję przyjaciół“. „Cała historya — pisze w dalszym ciągu Szajnocha — wiąże się z wypadkiem poprzednim, z zajściem Uriela z tym samym krakowskim

[1]) Kazimierz Wróblewski. „Kornel Ujejski (1823—1893). Lwów 1902, str. 299—300.

Hrabią, z którym Leszek miał burdę. Przyszło do wyzwania na kule, przyczem Nieczuja świadkować miał przeciwnikowi Uriela. Między umową a odłożonym do kilkunastu dni aktem, zeszli się wszyscy przypadkowo, czy wiedząc wzajem o sobie, w każdym razie arcyniedorzecznie, do kart, u brata autora „Listów estetycznych“. Uriel wygrał kilkadziesiąt reńskich i w przestanku przed herbatą wyszedł do przedpokoju. Wtedy Nieczuja występuje z oświadczeniem, iż Uriel fałszywie grał. Przystępują do kart, znajdują rzeczywiście jedną, czy też kilka za wiele. Wtem wraca Uriel. Wszczyna się gwar, w którym jednakże nikt wyraźnie odezwać się nie umie. Czyni to wreszcie Nieczuja, zadając Urielowi w oczy oszustwo. Ten — trudnym do zrozumienia sposobem — ofiaruje naprzód zwrot pieniędzy wygranych, a potem żąda satysfakcyi od wszystkich. Na to odpowiada Nieczuja, że nietylko teraźniejsze jego wyzwanie, ale oraz i dawniej umówiona już sprawa, ze względu na postępek dzisiejszy nie może wcale mieć skutku. — Sam jeden przeciwko całemu towarzystwu, musi Uriel wynieść się. Ale trzymając się Nieczui, jako głównego reprezentanta, wpada nań jednego z dni następnych, przy wyjściu z teatru i tnie go kijem, wymieniając swoje nazwisko i znikając w natłoku. Nazajutrz dochodzi Nieczuję list, w którym stary autor, kasztelan [1]), w imieniu większej części towarzystwa (lecz zawsze tylko części, gdyż druga, pobożna, gwoli imiennikowi Uriela [2]), oświadczyła się za nim) wzywa Nieczuję, aby sobie nie brał do serca wypadku wczorajszego i był zawsze pewnym szacunku wszystkich. Nieczuja przestaje na tem, stając niby przy pierwszem zaprzeczeniu satysfakcyi — a tymczasem Uriel, uczczony podobnem świadectwem ze strony przeciwnej, do której ponoś należy Wincenty [3]), opuszcza miasto. Dopiero wtedy, już to za radą przejeżdżających tamtędy rezolutnych przyjaciół tutejszych, już to ponoś także na widok nieukontentowania bogdanki, bardzo bogatej panny [4]), postanawia Nieczuja dać, czy żądać przecież satysfakcyi i posyła za nim list, który jednakże nie zastaje już Uriela w nowem miejscu pobytu. Niema więc innej rady, jak szukać go po świecie, nie chciawszy go mieć przed nosem. Na tem też kończy się dotychczasowy fragment powieści. Na wszelki wypadek głupia to powieść i szkoda tylko, że właściwie koledzy w niej występują. Sam Nieczuja wyznaje teraz: Postąpiłem, jak student. Niektórzy widzą w tem umyślną intrygę na korzyść poprzedniego przeciwnika Urielowego. Inni przebąkują ciągle o fałszerstwie Uriela. Zawsze paskudztwo.“

[1]) Zapewne przychylny Kaczkowskiemu, Fr. Wężyk.

[2]) Ks. Karola Antoniewicza.

[3]) Czyżby była tu mowa o Wincentym Polu? Szajnocha nie jest tego pewny, dodaje bowiem słówko „ponoś“, a istotnie wątpić należy, aby tak być mogło, znając przyjacielskie stosunki, jakie łączyły Pola z Kaczkowskim.

[4]) Pauliny Ratajskiej.

O tejże smutnej sprawie pisał w tymże czasie Lucyan Siemieński do Augusta Bielowskiego, osądzając Kaczkowskiego bardzo surowo. List ten, przechowany w Bibliotece Ossolińskich [1]), zawiera następujący ustęp:

...„Czy wiesz, mój drogi, jakie tu awantury — tego Antoniewicza posądzono o szachrajstwo w karty, ale to towarzystwo, które go posądziło, było wcale nie wzorowych obyczajów. — Antoniewicz za to, gdy mu nie chciano stanąć w pojedynku, wyprał Kaczkowskiego, autora Nieczujów, kijem przy wyjściu z teatru. — Kaczkowski okazał się prawdziwym Nieczują, bo zniósł najcierpliwiej te razy... Słowem, same paskudztwa, tak, że człowiek ucieka od ludzi, aby się w podobnem towarzystwie nie znalazł. Całej tej szajce szulerów zamknięto drzwi we wszystkich porządnych domach. Ale to pewnie nie koniec tym brudom! Kraków spokojny — a jednak wre wojną. — Biedny to literat z tego Kaczkowskiego, który przyjechawszy tu, łasił się, układał i kaptował słodyczą — potem pazurki pokazał i zaczął bawić się w intrygi — teraz zaś wziął kije. — To mi to kapłan!“

„Obelgę, jakiej doznał (Kaczkowski), — pisze Koźmian do Wężyka [2]), nie może tylko krwią zmazać, swoją lub przeciwnika. Do czego to nieszczęśliwa namiętność gry kartowej prowadzi!“

Narzeczona Kaczkowskiego, panna Ratajska bawiła podówczas z opiekunami swymi w Salzbrunn; tam też podążył Kaczkowski, lecz grać nie zaprzestał, bo w przytoczonym powyżej liście donosi Koźmian: „W Salzbrunn, mimo swego tak przykrego położenia, po całych nocach grywał w karty z Sewerynem K.“ — Całe to zajście skończyło się najsmutniej dla Kaczkowskiego, bo panna Ratajska, o której „nieukontentowaniu“ donosi Szajnocha, zerwała z nim stanowczo. [3])

[1]) Korespondencya Augusta Bielowskiego nr. 2432. Ms.

[2]) Z d. 23 sierpnia 1855 z Piotrowic.

[3]) Wyszła potem d. 9 czerwca 1860 r. w Krakowie za Mieczysława hr. Dzieduszyckiego z Karniowa i Olejowej. Zmarła d. 29 września 1892 r. w Krakowie. Ogłaszała swoje utwory beletrystyczne pod pseudonimem „Paweł Sas“.

Franciszek Wężyk, widocznie stale Kaczkowskiemu przychylny, znajduje dla niego słowa ubolewania i z Marienbadu pisze do Koźmiana: „Biedny Kaczkowski! tak zręcznie prowadzi pasmo zdarzeń bohaterów swoich romansów — a tak niepomyślnie poszedł mu jego własny! Niema złego, coby nie wyszło na dobre. Pojechał do Brukseli uczyć się dziejów od Lelewela — czego mu jeszcze nie dostaje, jakkolwiek snuł dobrze dzieje szlachty swego powiatu. Ma on zdolności, lecz postawienie na świeczniku od razu tych zdolności, mogło go do zarozumiałości posunąć. Dziś może on widzi, jak mu wiele braknie. W końcu jeszcze jest za młody (lat 28) na akt ostatni w życiu, do czego i stałej podstawy fizycznej, jak moralnej potrzeba... Ja już w Marienbadzie odebrałem list z Salzbrunn od panny Pauliny (Ratajskiej) z komentarzem.“ W następnym liście, pisanym już z Krakowa d. 12 września 1855, nazywa Wężyk p. Ratajską „ukochaną p. Kaczkowskiego“ i powiada o niej, że jest ładna i dość wykształcona, a dalej już z pewną niechęcią donosi: „P. Kaczkowski zamiast w Brukseli zabawić, kopnął się za śladem owczym aż do Paryża. Tam jest podobno jego przeciwnik. Tam ma się odbyć akt ostatni dramatu, któremu nie łatwo dobrać przymiotnika, a którego źródłem są karty. Czy myślisz, że ci panowie dla rozrywki przerzucają te malowane papierki? *Auri sacra fames,* to grunt. Nie dosyć, że im księgarze płacą na wagę kruszcu ich nędzne ramoty, jeszcze jeden drugiego rozbija po całych dniach i nocach. Możeż się wylądz co poczciwego z takiego serca, jakie pod ich piersiami kołace? Strach myśleć o tem, strach ocierać się o brudy podobne.“

Równocześnie rozeszła się pogłoska, jakoby pod prezydencyą Wężyka miał się zawiązać komitet obywatelski w celu osądzenia i rozstrzygnięcia tej sprawy honorowej, a nawet mówiono, że komitet ten uniewinnić miał Kaczkowskiego, a potępić Antoniewicza. Gdy wieści te dotarły do Piotrowic, Koźmian zapytuje o to natychmiast Wężyka, dodając: „Lubo co do mnie, cieszę się i akceptuję wyrok, nie taję ci, że w publiczności lubelskiej i galicyjskiej więcej jest interesowania się Antoniewiczem, krewnym czy imiennikiem owego Antoniewicza [1]), którego dotąd opłakują w Poznańskiem“. — Wężyk odpowiada oczywiście zaprzeczeniem: „O żadnym komitecie obywatelskim, o żadnem rozjemstwie w owej nieszczęśliwej sprawie nic nie wiem i nic nie słyszałem. Kto mnie tą prezydencyą obdarzył, niech przyjmie moją dymisyę, przed dojściem zamianowania. Nieraz mówiono o tem u mnie i przy mnie. Nieraz sam aktor K. raczył mi swoje utrapienia wynurzać. Miałem tyle śmiałości oświadczyć, że jeden krok fałszywy do stu innych podobnych prowadzi, a kartownictwo jeszcze nikomu nie utorowało drogi do znakomitości na świecie.“

[1]) Ks. Karola.

W notatkach rękopiśmiennych K. Estreichera znajdujemy o tym przykrym epizodzie następującą wzmiankę: „Co do pojedynku z Antoniewiczem. Zjechali się w Paryżu. Kaczkowski wybrał na sekundantów malarza Rodakowskiego i Zygm. Augustynowicza. Wyspowiadał się i zrobił testament. Sekundanci nocowali u niego. Rano mieli się bić, lecz w nocy przyszedł urzędnik policyi i zapowiedział, że wie o zamiarze pojedynku, i jako z cudzoziemcami postąpi wedle prawa. Wtedy Antoniewiczowi zaproponował (Kaczkowski) wyjazd do Szwajcaryi. Antoniewicz jechać nie chciał, lecz bić się w Paryżu. Kaczkowski wyjechał do Krakowa, za nim Antoniewicz, wtedy K. wrócił do Sanoka.“ [1])

Bezstronność jednak każe przytoczyć jeszcze list Kaczkowskiego, pisany z Drezna d. 14 października 1855 r. [2]) do Wincentego Rogalińskiego, w którym to liście przedstawiony jest epilog sprawy pojedynkowej. Z przedstawienia tego, korzystnego oczywiście dla autora listu, opuszczamy tylko te ustępy, w których Kaczkowski zbyt ostremi słowy piętnuje postępowanie strony przeciwnej.

„Ponieważ nie miałem czasu — czytamy w tym liście — napisać Ci z Paryża, piszę z Drezna, gdzie od kilku dni po tylu trudach, emocyach, zawodach, zgryzotach i t. d. odpoczywam... Otóż w krótkości, co się stało: Przyjechałem do Paryża jeszcze w miesiącu lipcu i przyjechawszy, natychmiast oddałem sprawę moją Rodakowskiemu. Antoniewicz przyjechał jeszcze w pierwszych dniach sierpnia, ale pomimo to się wcale nie zgłaszał. Dopiero dnia 6 września zgłosił się do Rodakowskiego jakiś Pan de Jean (młody emigrant...), ale nie zgłosił się jako sekundant, tylko z zapytaniem do Rodakowskiego, czyli on może Antoniewiczowi sekundować? Jaki początek, taki i dalszy ciąg rzeczy. W kilka dni potem zgłosił się znowu tenże p. de Jean już w charakterze sekundanta, ale zapowiedział Rodakowskiemu, że wyjeżdża na parę dni do Londynu, a jak powróci, zgłosi się do ułożenia warunków. Pomimo

[1]) Karol Estreicher. Ms.

[2]) Udzielony mi łaskawie przez dr. Chrzanowskiego, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego.

to jednak minęło kilka razy po parę dni, a o panu de Jeanie ani słychać. Dowiedziawszy się zkądinąd, że p. de Jean wcale nigdzie nie jeździł i doczekawszy w największej niecierpliwości aż do dnia 23 września — Rodakowski jeden, a Zygmunt Augustynowicz mój drugi sekundant, poszli do tegoż p. de Jeana i zapowiedzieli mu, żeby się z ułożeniem warunków śpieszył, bo wrzesień się zbliża do końca, a jak się skończy, to plac wyznaczymy my sami, ostrzelamy go — i potem o żadnym pojedynku już mowy nie będzie. Tak przyciśniony zgłosił się tedy p. de Jean dnia tego samego, ale złożywszy się tem, że nie mogą znaleźć drugiego świadka, zniknął i obiecał się zgłosić jak najprędzej. W istocie też zaczęła się zaraz latanina z ich strony po całym Paryżu za drugim świadkiem, ale zarazem z tem zaczęła się także latanina różnych figur i z emigracyi i z kraju, to do mnie, to do Rodakowskiego z najróżniejszemi propozycyami: to żeby tę sprawę załagodzić, to żeby się bić na pałasze, to żeby się strzelać na komendę i na jednym strzale poprzestać i milionowe takie niedorzeczności... Ponieważ to jednak nic nie skutkowało i myśmy tym panom odpowiadali ni to, ni owo, więc wynaleźli tamci przecie nakoniec drugiego świadka, jakiegoś p. Jędrzejewicza, młodziutkiego chłopczyka, który dopiero co wyszedł z Akademii i bawi obecnie w Paryżu. We czwartek przecie zeszli się sekundanci stron obudwóch i po całodziennym targu zgodzili się na warunki — i nawet wytargowali na Rodakowskim warunki dosyć lekkie w porównaniu z naszemi — bariera na 10 kroków, a po sześć z każdej strony — pistolety całkiem nowe i nie ciągnione. W piątek obrali plac w Ville d'Avray za Paryżem — kupili pistolety, zamówili lekarza, zamówili powozy i t. d., a w sobotę o godz. ¼4 rano mieliśmy każdy swoją drogą wyjechać z miasta, ażeby przed godziną 7 stanąć na placu. Tymczasem o godz. 10 wieczór wpadł do Rodakowskiego Ms. Philippe, officier de Paix, a po prostu komisarz Policyi, któren z polecenia Prefekta zapowiedział mu, że p. Prefekt wie o wszystkiem i że nas ostrzega, ażebyśmy na plac nie jechali, bo posyła wprost za nami policyę, aresztuje nas i robi nam proces — a z tego procesu nie wykręcimy się w żaden sposób, parceque vous êtes prévenus..."

Z okoliczności, że ów p. Philippe znał dokładnie wszystkie szczegóły pojedynku, nawet takie, o których tylko strony same wiedzieć mogły, Kaczkowski wnosi, chociaż „dowodów na to oczywistych niemasz", że ktoś ze strony przeciwnej dopuścił się w przeddzień pojedynku denuncyacyi, przyczem wymienia owego

p. de Jean, dodaje wszakże: „O Jędrzejewiczu tu ani wspominam. bo jakkolwiek ni brat ni swat wmieszał się w tamtą sprawę, mam go jednak za uczciwego człowieka, i jego całe późniejsze zachowanie dowodziło dość jawnie, że jeżeli była z tamtej strony zrobiona denuncyacya, to on o niej nie wiedział."

„Możesz sobie wyobrazić, — pisze dalej Kaczkowski — jakie to na mnie zrobiło wrażenie wtenczas, kiedym już po 6 miesiącach trudów i zabiegów i po przejściu wszystkich przedpojedynkowych emocyi, stał na koniec na tym punkcie, że już prawie tylko wziąć było pistolet do ręki i stanąć na placu. Myśląc jednak, że może jeszcze się da co na to poradzić, posłałem Rodakowskiego do Jen. Dembińskiego, ażeby jego zdania zasięgnąć. Ale Jenerał tak, jak wszyscy potem, powiedział: C'est fini pour Paris et pour la France. Tu się już zrobić nic nie da, bo policya tutejsza nie żartuje, a gdybyście zresztą chcieli się ryzykować, to i cóż z tego? zaaresztują was pewnie, a cały świat powie, żeście się dobrowolnie dali aresztować, boście byli uprzedzeni. — To się też potwierdziło niebawem, bo tenże sam p. Philippe przyszedł i do mnie o godz. 4 rano — i tak samo mnie ostrzegł urzędownie, jak i Rodakowskiego, i jeszcze zapowiedział mi, że jesteśmy wzięci pod najściślejszy dozór policyi i każden krok nasz jest śledzony..."

„To jest dotychczauowy koniec tej... awantury — a co w tem najgorsza, prócz straconych przezemnie sześciu miesięcy, tylu trudów, przykrości, pieniędzy i t. d., to to, że nie widzę żadnego środka pochwycenia... (przeciwnika) tak, żeby się nie mógł wyślizgnąć, bo koniec końców, jak się policya znalazła w Wiedniu, i jak się już w ostatniej chwili znalazła w Paryżu, tak znajdzie się wszędzie. Poradziwszy się tedy ze wszystkimi przyjaciółmi moimi w Paryżu, postanowiliśmy tak, że trzeba sobie powiedzieć passe na to, bo widoczna jest, że tylko darmo czas tracę, któregom tracić nie powinien i darmo tracę pieniądze, których tyle ani nie mam, ani mogę mieć do stracenia, — a ja swoją drogą posłałem mu potem moich sekundantów, którzy mu zapowiedzieli krótko i węzłowato: że odtąd ani mu termin jaki nowy wyznaczam, ani żadnego terminu nie przyjmuję od niego, ale gdziekolwiek go przypadnę, tam do 24 godzin bez żadnej wymówki się strzelać musi, na te same warunki, jakie zostały oznaczone w Paryżu."

„Ciekawym bardzo Twego zdania o tej sprawie i przy sposobności rad go wysłucham."

Jakie było o tem zdanie Rogalińskiego, nie wiemy; trudno też skontrolować prawdziwość wszystkich szczegółów, podanych w liście Kaczkowskiego, co do zajść w Paryżu. To pewna, że zdania o tej sprawie były mocno podzielone, a echem opinii, nieprzychylnej Kaczkowskiemu, stał się K. Estreicher w swych rękopiśmiennych notatkach,

Przy końcu przytoczonego powyżej listu, donosi Kaczkowski, że jeszcze dni kilka ma zabawić w Dreźnie, potem również dni kilka zatrzyma się w Krakowie i ztamtąd odjedzie na wieś, — „bo — dodaje — włóczyć się dalej nie mam ani czasu, ani pieniędzy, a choćby nie to, to trzeba przecie pracować dalej, kiedy się raz zaczęło".

Franciszek Wężyk donosi ze swej strony Koźmianowi, że Kaczkowski, wyzwawszy Antoniewicza, wyjechał do Paryża, lecz dodaje, że ztamtąd jeździł jeszcze do Drezna, gdzie próżno oczekiwał przeciwnika całe 4 tygodnie, poczem przybył do Krakowa, lecz tu znowu policya kazała mu wyjeżdżać. „Utrzymał się — dodaje — wprawdzie przy Krakowie na czas niejaki, ale sam czując zgóry niestosowność swego tu pobytu, odstąpił rocznego mieszkania, sprzedał swe graty i obiecywał pisywać... Taka jest kolej bohaterów XIX wieku." [1]) W tymże liście czytamy: „Dziś wyrzekł się on wszelkiej gry w karty i gdy przed kilku dniami brakło jednej osoby do skromniutkiej partyi, którą miewam czasami po kilka groszy, Kaczkowski wszelkiego udziału odmówił, przecież został przez cały wieczór. Dziś on odjechał ztąd zupełnie do domu ojca na wieś, co wypadało uczynić i ze względów osobistych i z literackich stosunków. Obowiązał się albowiem Lesznowskiemu do napisania powieści gazeciarskiej i może nawet raczył wziąć honoraryum."

Na zaprzeczenie Wężyka co do owego komitetu obywatelwatelskiego, który pod przewodnictwem jego miał rzekomo Kaczkowskiego uniewinnić, odpowiada Koźmian zapytaniem: „Ale któż to jest autorem tej bajki? Kto ci tę niezasłużoną przysługę zrobił? Mnie się zdaje, że to sprawka tego, który tej rehabilitacyi potrzebował; wikła się on widzę i wikłanym będzie przez gazeciarzów, którym się zaprzedał, dopnie jednak swego zamiaru, bo go obdarzy majątkiem chciwa zarobkowość i głupia ciekawość nikczemnej zgrai, którą nazywamy publicznością. O sporze jego z antagonistą rzec można: trafiła kosa na kamień; podobno się oba bić nie będą i obelga zaschnie na ich skórze."

[1]) List z daty 9 listopada 1855.

Już z tych słów widać, jak bardzo wówczas ostygły pierwotne sympatye dla Kaczkowskiego. W przypisku jednego z listów Koźmiana do Wężyka z tegoż czasu, czytamy: „Przeczytaj w „Gazecie Warszawskiej" Nr. 254 „Bajronistę" Kaczkowskiego o kiełbasie, jajecznicy, o tabace, a uznasz, że zgłupiał."

Opinia Wężyka o „Bajroniście" także niezbyt pomyślna, jak również o „Wnuczętach", którym przyznaje myśl „dość piękną", lecz gani wykonanie; zarzuca „długość i rozwlekłość", przytem zaniedbanie stylu, zwroty, obce językowi polskiemu, makaronizmy francusko-niemieckie. „Wszystko to — dodaje — pochodzi z obietnicy 4-tomowej powieści, za którą p. Wolff płaci po 1200 rubli i z tego zwyczaju, że nie raczą odczytywać tego, co raz napisali...

„Piszą, póki papieru, tchu i pióra stanie.
I znać, że pisarz płód ten skreślił na kolanie."

Wszelako stosunki pomiędzy Wężykiem i Kaczkowskim trwały jeszcze czas jakiś, utrzymywane korespondencyą. W jednym z ostatnich już listów do Kajetana Koźmiana [1]), który w parę miesięcy potem życie zakończył, pisze Franciszek Wężyk: „Autor Murdeliona, wydalony (nie wiedzieć dlaczego) z Krakowa, z wiejskiego ustronia czasem się do mnie odzywa."

Tak się zakończył ten smutny krakowski epizod w życiu Kaczkowskiego.

Widzieliśmy, z jakich powodów i w jakim celu wyjechał Kaczkowski do Paryża. Wiemy już także, że powracając ze stolicy Francyi, zatrzymał się Kaczkowski w Dreźnie. I na ten właśnie czas przypada jego wycieczka do Heidelbergu, przedsięwzięta w celu poznania Zygmunta Krasińskiego. O tych odwiedzinach znajdujemy rękopiśmienną relacyę Kaczkowskiego, niestety, bardzo niekompletną; brakuje w niej bowiem karty środkowej i zakończenia. — Nosi ona tytuł: „Notatka o Krasińskim", a na okładce: „Spotkanie się z Z. Krasińskim w Heidelbergu".

„Jeden z naszych pisarzy, — czytamy tam — najmłodszy wiekiem, ale rozważnego czytelnika niemal zadziwiający powagą myśli, dojrzałością sądu i gładkością wysłowienia, — mówiąc w „Przeglądzie Polskim" o dziele profesora Małeckiego p. t. „Juliusz Słowacki" [2]), — postawił, jako nierozwiązane dotychczas py-

[1]) Z d. 19 stycznia 1856 r.

[2]) Mowa tu niewątpliwie o ocenie dzieła Małeckiego, napisanej przez Stan. Tarnowskiego i zamieszczonej w „Przeglądzie Polskim", w zeszycie kwietniowym 1867 r. Warto zapamiętać sobie to zdanie Kaczkowskiego o Tarnowskim, które potem radykalnemu uległo przeobrażeniu!

tanie, z jakich właściwie powodów zerwała się przyjaźń pomiędzy Krasińskim i Słowackim? — a zarazem wyraził życzenie, ażeby ktoś z tych, co mogą, wdał się w tę sprawę i wykrył prawdziwe przyczyny zmiany Krasińskiego względem Juliusza.

„Nie należałem do tego pokolenia narodowych pisarzy, któremu wraz z Mickiewiczem przewodniczyli obadwa wyż wymienieni poeci. Słowackiego nigdy osobiście nie znałem, z Krasińskim nigdy mnie bliższe nie łączyły stosunki: ale wychowałem się w tej atmosferze, którą ci trzej mistrzowie słowa napełnili swym duchem, na ich dziełach, jako na zakazanych, a przeto podwójnym wówczas urokiem opromienionych owocach, uczyłem się z świętą trwogą odgadywania najwyższych tajemnic narodowego geniuszu, i należałem do tych, którzy równie promiennym urokiem otoczone osoby tych wieszczów w dziewiczej prostocie serca uważali niemal za nadprzyrodzone zjawiska. Toż nie było wówczas żadnego szczegółu, odnoszącego się bądź do ich prywatnego życia, bądź publicznego zawodu, nie było anegdoty ani tak potwornej, ani tak drobnej, nie było wreszcie pytania, rzucającego światło na ich wzajemne do siebie stosunki, o którebyśmy się byli z gorączkową ciekawością nie dopytywali, któregobyśmy pomiędzy sobą nie powtarzali i nie rozbierali z jak najściślejszą drobnostkowością. Wyjątkowe to były dla ludzi wsławionych czasy, — minęły wszędzie na długo, a może na zawsze, — i u nas nie prędko powrócą.

„Prócz tego, w czasach późniejszych, poznałem osobiście Krasińskiego, miałem z nim kilkakrotne rozmowy — i właśnie zdarzyło się tak, żeśmy bardzo wiele mówili z sobą o Słowackim.

„Nie wiem, ażali pytanie, przez p. Tarnowskiego postawione, potrafię wyczerpująco i ostatecznie rozwiązać: lecz zdaje mi się, że tem, co mam z tego powodu do powiedzenia, mogę się w każdym razie choć cokolwiek do rozjaśnienia tego pytania przyczynić. Sądzę też nadto, że zdanie sprawy z tego, co od Krasińskiego słyszałem, nie będzie już z tego powodu bez pewnego zajęcia, ileże miałem zwyczaj, który też zachowuję do dziś dnia, ilekroć mi się zdarzy spotkać z ludźmi pierwszorzędnego, bądź w kraju, bądź za granicą, znaczenia, notować sobie natychmiast po mianych z nimi rozmowach, tak usłyszane od nich ważniejsze zdania, jak też sprawione przez nich wrażenie. Tak samo postąpiłem z Krasińskim, a przeto wszystko, co zamieszczam poniżej, czerpię wprost z porobionych naówczas notatek, do których zgoła nic nie dodaję, bardzo wiele opuszczam — i tylko żałuję, iż z obawy przerwania wątku i niedokładnego wyjaśnienia, dlaczego Krasiński właśnie ze mną mówił

tak wiele i tak otwarcie o Słowackim, nie mogę jeszcze więcej opuścić.[1])

„Wybierając się w roku 1855 za granicę, miałem zgóry powzięty zamiar poznania wszystkich naszych znakomitości, tamże bawiących. Nie była to rzecz trudna; wszelako o Krasińskiego miałem niejakie obawy, bo wiedziałem, że nietylko nie zawsze jest przystępnym, ale często nawet nie łatwo miejsce jego pobytu odpytać. Jednakże przed wyjazdem wzmocnił mnie w tem przedsięwzięciu, a zarazem pocieszył jeden z jego krewnych, mówiąc mi: — Poznaj się koniecznie z Krasińskim. Jest to nietylko sławny poeta, ale zarazem niezwykły człowiek. Jedna rozmowa z nim może wielki wpływ wywrzeć na młodego pisarza, może mu znacznie widoki rozszerzyć, może cały nastrój jego umysłu podnieść o wiele wyżej. Nie wątpię, że i dla ciebie nie będzie bez wyższego zajęcia. Jeżeli go zechcesz szukać, to go znajdziesz zapewne aż do końca lata tu, albo ówdzie nad Renem. Unika on często obcych, bo jest cierpiący; ale jest przy nim Roman Załuski, którego znasz, a jak ten cię wprowadzi, będziesz jak najlepiej przyjętym.

„Atoli przyjechawszy do Drezna, zastałem tam Romana Załuskiego, przybyłego właśnie z nad Renu. Załuski sam mnie pierwszy zagadnął, ażali nie myślę Krasińskiego odwiedzić, mówiąc mi: Niewymownie żałuję, żem właśnie wyjechał, ale mimo to jedź. Zygmunt jest w Heidelbergu. Jedź koniecznie, trafisz w najlepszą porę. Właśnieśmy ciebie czytali, bardzośmy wiele o tobie mówili. Po szlacheckich, zaczęliśmy czytać twoją powieść współczesną. Nadzwyczaj go to zajmowało. Znalazł tam rzeczy, które niezmiernie żywe na nim sprawiały wrażenie. Bo wyobraź sobie, koniecznie mu się z początku zdawało, że to się do niego odnosi, że przynajmniej coś z niego jest wzięte... Okazało się potem, że nie. Uprzedzam cię o tem na wszelki wypadek, abyś pomimo woli nie przyjął na siebie pozoru, że tworząc charakter Edmunda[2]), miałeś jego na myśli, a tworząc Kamila, myślałeś o pewnym demokratycznym poecie. Z tem wszystkiem zapewniam cię, że będziesz jak

---

[1]) Ponieważ notatka ta powstała pod wrażeniem artykułu Stan. Tarnowskiego o dziele Małeckiego, drukowanego w kwietniu 1867 r., przeto ustalić można datę napisania tej notatki. Napisana ona została niewątpliwie w tymże samym 1867 roku, t j. w lat dwanaście blisko po wizycie w Heidelbergu.

[2]) W powieści p. t. „Dziwożona“.

najlepiej przyjętym. Dam ci zresztą list do Zygmunta, który ci mnie samego zastąpi.

„Wszystko to działo się tak prędko, Załuski się tak śpieszył, tak był czegoś uradowany, czy zniepokojony, że zaledwie mi wręczył list, przy mnie napisany, jużeśmy się pożegnali. Nie miałem nawet czasu wypytać go dokładnie, co tam mogło być takiego w owej powieści, w czemby Krasiński mógł był znaleźć jakieś aluzye do żyjących poetów. Później zaś wcale o tem nie myślałem.

„W kilkanaście dni potem przybyłem do Heidelbergu. Było to rano. Dzień był prześliczny, bardzo jasny i ciepły, jakie zazwyczaj na schyłku wiosny [1]) miewamy. Poszedłem zaraz do Krasińskiego. Służący wprowadził mnie do jakiegoś pokoju, w którym zapewne najczęściej przebywał poeta, ale o którym tylko to umiem powiedzieć, że sprzęty w nim były ciemne, a okna na wpół zasłonięte czemsiś zielonem. Chcąc się bowiem po tym pokoju rozpatrzyć, spostrzegłem przed wszystkiem innem jakiś rodzaj stojącego pultu do czytania, a na nim otwartą tę właśnie powieść moją, o której wspominał Załuski. Była to „Dziwożona“. Nie łatwo mi dzisiaj odtworzyć te wszystkie uczucia, które mnie wtenczas przejęły. Rozmaici pisarze rozmaite mają wyobrażenia o swoich utworach: jedni rozumieją o nich zanadto wiele, drudzy nadzwyczaj mało. Ja zawsze należałem do tych ostatnich. Lecz nigdy mi moje pisarskie maleństwo nie stanęło przed oczyma tak żywo, jak wtenczas. Bo jeżeli już sama obecność tej chwili, w której miałem obaczyć jednego z największych poetów, opromienionego tak świetną aureolą w mej wyobraźni, musiała mnie pewną niespokojnością przejmować: to znowu widok tej nędznej xiążki mojej na jego pulcie, widok tak wzniosłego ducha, spuszczającego się z błękitów na ziemskie niziny, ażeby się listkom rosnących na nich drobniutkich trawek przypatrzeć, napełnił mnie niewymowną pokorą i jakby jakąś obawą. Całe uczucie jego wielkości, a mego maleństwa, przygniotło mnie takim utłumiającym ciężarem, że mi się oddech zaparł w piersi na chwilę i niemal żal się we mnie odezwał, żem się na to spotkanie odważył. Jednak w tej samej chwili stanęła mi cała treść owej powieści w pamięci: owa walka dwóch prądów społecznych i ów „syn szlachecki“ i syn „idei ludowej“, kochający się wzajem i nienawidzący zarazem, odpychający się

[1]) Zapewne ma być u schyłku lata, bo jak z listów Wężyka wynika, Kaczkowski dopiero w sierpniu 1855 r. wyjechał za granicę.

wiecznie, a przecież nierozdzielni i ginący każdy swoim sposobem, nie rozstrzygnąwszy swej walki stanowczo.“

Tu, niestety, brakuje jednej kartki rękopisu Kaczkowskiego. Zauważyć musimy, że ów niemal-entuzyastyczny ustęp, nazywający Krasińskiego jednym „z największych poetów, otoczonym świetną aureolą“, jest w rażącej sprzeczności z temi zdaniami o twórcy „Irydyona“, które znajdziemy później w rękopisach i listach Kaczkowskiego. Żałować też wypada, że w tej notatce brakuje właśnie opisu pierwszego wrażenia, jakie wywarły na Kaczkowskim postać i przyjęcie Krasińskiego. Brak ten zastąpić możemy jedynie wyjątkiem z listu autora „Dziwożony“, pisanego w wiele lat później, a mianowicie 21 marca 1893, do pani Ksawerowej Liskowej.[1]) Być bardzo może, iż zarówno jak opinia o stanowisku wśród poetów, tak też i sąd o powierzchowności jego i wrażeniu, jakie wywierała, uległ z czasem zmianie na niekorzyść poety.

„Powierzchowność Krasińskiego — czytamy w tym liście — nie sprawiała sympatycznego wrażenia. Był on niewielkiego wzrostu i w plecach daleko szerszy, niżeli wygląda na portretach, przyłączonych do xiążki Tarnowskiego. Twarz miał niełądną i bez wyrazu, jego schorowane oczy były bez blasku, nim zaczął mówić, wyglądał na biuralistę, który się nad papierami spracował. Ale jak zaczął mówić, wyłaził z niego człowiek całkiem inny, który z jego powierzchownością był w diametralnej sprzeczności; fizyczność jego była jak najzupełniej ziemską i prozaiczną, natomiast zaś jego słowo było tak duchowe, iż zdawało się często, jakgdyby nie miało z ziemią żadnej styczności. Tak przynajmniej przedstawiał się tym osobom, które tylko rzadko widywał i które nie miały z nim zażyłości. Jednak ta duchowość jego rozmowy nie była naturalną, mówiąc, bezustannie pozował, unikał starannie dotykania rzeczy codziennych, szukał myśli i szukał wyrazów, a chociaż jedne i drugie znajdował z łatwością, myśli były zawsze jakieś pozaświatowe, a wyrazy wyszukane i bombastyczne tak samo, jak w jego listach. Zgoła zetknięcie się z nim nie było przyjemne, — a jeżeli kto po pierwszej rozmowie z nim drugiej zapragnął, to przez ciekawość, ale nie przez pociąg do niego. Jest to nietylko moje zdanie, ale tych wszystkich, którzy go znali, nie należąc do jego ścisłego kółka, a nawet i wielu z tych, którzy przez jakiś czas żyli z nim w bliższych stosunkach.“

[1]) Późniejszej Władysławowej Łozińskiej.

Tu powołuje się Kaczkowski na Kazimierza Stadnickiego, autora „Gedyminów“, „który bardzo często Krasińskiego widywał w Wiedniu“, a nawet na opinię Klaczki, „gdyby ten chciał kiedy szczerze powiedzieć, co o Krasińskim rozumiał“. — Stadnicki, chociaż „z opiniami, jakie Krasiński wyrażał w swoich Listach i w konwersacyach poufnych, nie był w sprzeczności, nazywał go komedyantem“.

„Krasiński — czytamy dalej w tym liście — był jednym z najwięcej uprzedzonych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem w życiu: uprzedzony za, albo przeciw, sądzący zawsze według swego urojenia, a nigdy według rzeczywistości, dlatego sąd jego był zawsze niesprawiedliwym. Można o nim słusznie powiedzieć, że nie miał zgoła żadnego daru obserwacyi. To też kto go widział kilka razy, ten mógł łatwo zrozumieć, dlaczego było tylu ludzi z jego własnej warstwy społecznej, którzy z początku weszli z nim w bliskie stosunki, a potem odskoczyli od niego, aby go widywać, o ile możności, jak najrzadziej. Pomiędzy takimi ludźmi znajdowali się nawet jego krewni, których sam znałem.“

„Krasiński — pisze Kaczkowski dalej — uprzedzał się tak samo przeciwko stronnictwom politycznym, a nawet przeciwko całym warstwom społecznym, jak przeciwko ludziom. Nie cierpiał demokracyi, czy to w kraju, czy za granicą, nie cierpiał emigracyi, nienawidził mieszczan jako kupców i handlarzy, nie miał sympatyi dla ogółu szlachty, nazywając pogardliwie „drobną szlachtą“. We wszystkich tych sferach czuł nienawiść do arystokracyi i rewolucyę, którą z zasady potępiał, jednakże nie dlatego, że była oporem przeciwko władzy, której nielegalność dopuszczał, tylko z tego powodu, że ją w ogólności pojmował, jako przewrót społeczny. Do ludzi się także bardzo łatwo uprzedzał, nawet do takich, których znał tylko z nazwiska. Uprzedzał się także do znajomych, a jak się przeciwko takiemu znajomemu uprzedził, to posuwał swoje uprzedzenie tak daleko, że się znajomości wypierał. O pisarzach polskich, z bardzo nielicznymi wyjątkami, mówił zwykle z przekąsem, a do bardzo wielu z nich miał antypatyę, której wcale nie taił. Tak n. p. był niesłychanie uprzedzony przeciwko Polowi. Kiedy przed nim podnoszono piękność „Pieśni Janusza“, to odpowiedział na to: „że to jest apoteoza rewolucyi, która się nie udała, a nadto jeszcze skończyła na szubienicach“. A kiedy podniesiono „Pieśń o ziemi naszej“, to zrobił uwagę, że „jest to pieśń „p o“ ziemi naszej, co miało znaczyć, że pełznie przy samej ziemi, a potem mówił przez cały kwadrans o tej Polsce nadpo-

wietrznej, którą sam kochał...“ W naturalnych i ciepłych uczuciach Malczewskiego nie mógł się smaku domacać — a Goszczyński był u niego poetą hajdamackim.“ [1])

Z tego ustępu listu Kaczkowskiego do pani Liskowej okazuje się dowodnie, jaką niechęć powziął Kaczkowski do Krasińskiego, w lat wiele po swej wizycie w Heidelbergu. Niechęć ta, która wywołała sąd niezmiernie surowy tak o poecie i jego dziełach, jak i o człowieku i jego prywatnem życiu, dyktowana była widocznie w r. 1893 nie rzeczywistem przekonaniem Kaczkowskiego o Krasińskim, lecz stronniczem i zawziętem uprzedzeniem przeciw autorowi znakomitego dzieła o wielkim poecie, przeciw Stanisławowi Tarnowskiemu, jako przewódcy znienawidzonych przez siebie Stańczyków. Zarzucając Krasińskiemu, że się „uprzedzał“ łatwo przeciw stronnictwom i ludziom, dawał Kaczkowski folgę własnym uprzedzeniom do ludzi i stronnictw i okazywał jawną partyjność. I zdaje się, że miał zupełną słuszność K. Estreicher, który w swoich notatkach, mówiąc przy innej okazyi o Kaczkowskim, wyraził się: „Był to człowiek zawsze stronniczy“. [2])

Jak się rozpoczęła rozmowa Kaczkowskiego z Krasińskim w r. 1855 w Heidelbergu, trudno się domyśleć z defektowej notatki. Z dalszego jej ciągu wnosić można, że Krasiński począł mówić o powieściach nieczujowskich, zarzucając autorowi, że wyprowadził na widownię tylko „małych szlachciców“, a pominął zupełnie wielkie, historyczne postacie.

„Przynajmniej — mówił poeta — nasze słowa tak daleko dosięgną, jak sięgały ich czyny. Zresztą i mali wyrosną, jeżeli sięgać będą wysoko. Jabym tych małych szlachciców postawił na drugim planie. Tam było ich miejsce w historyi i tam powinni stać w dziele sztuki. Nie tworzyłbym też Murdelionów. Ten duch ujemny, niesforny, rozprzęgający, ma swoich żywych przedstawicieli w wyższych sferach społecznych. Postawiwszy tę siłę tak wysoko, jak wówczas stała w rzeczywistości, można jej przeciwstawić daleko wyższe postacie dodatnie, które ci dadzą sposobność uosobienia najwznioślejszych cnót naszych, najszczytniejszych charakterów narodowych, obejmujących swem sercem nie parę powiatów, ale całą ojczyznę, niosących całopalenie z siebie nie swojej rodzinie, lecz całej narodowej przyszłości. Zgoła, byłby to dramat i wielki dramat — i nie masz większego w całej historyi!“

---

[1]) Ms.
[2]) Ms.

Trudno zaprzeczyć temu zdaniu, tej krytyce nieczujowskich powieści, nietylko trafności, ale i wyższego, wzniosłego tonu.

„Ośmieliłem się na to — pisze dalej Kaczkowski — zrobić uwagę, że odtwarzanie żywych postaci z sfer wyższych, postaci, napełnionych duchem rozprzęgającym, miałoby tę niedogodność, iż należałoby wtedy wymówić imię — a niemasz z owych czasów takiego imienia, któreby już wygasło; co większa, niemasz potępionego naówczas imienia, któregoby następcy późniejsi nie starali się byli, częstokroć nawet bardzo znamienitemi cnotami i ofiarami, zmyć plamy lub hańby swojego owoczesnego pradziada. Historykowi wolno sądzić jak najsurowiej, to jego prawo i obowiązek; może on zresztą jak najściślej wydzielić indywiduum z rodziny i pokolenia: ale dla poety lub powieściopisarza jest rzeczą wstrętną z ludzi, żyjących pomiędzy nami w swoich dzieciach lub wnukach, czynić szatanów, oczywiście tak czarnych, jakimi nigdy nie byli, bo naturalna ich czarność sztuce nie wystarczy, i podawać imiona ich niańkom, ażeby niemi dzieci straszyły. W innym zresztą narodzie, który się cieszy bytem państwowym i gdzie ci, których rodzinne imiona poezya, albo lekka literatura, czarnemi narzuci barwami, mają szeroką arenę publicznego życia przed sobą, na której mogą zaćmić swych przodków, — w takim narodzie może to jeszcze być pozwolonem; ale u nas, gdzie nawet jeszcze historya nie wydała ostatecznego wyroku, gdzie najgłośniejszych imion dziedzice są na ciche cnoty wskazani...

— Masz słuszność, masz słuszność, — przerwał mi niecierpliwie Krasiński — nic ohydniejszego nad tę szkaradną swawolę! A już się ona i u nas rozzuchwaliła niepomału. Nie dziwię się temu ubożuchnemu robactwu, które nie mogąc znaleźć gdzieindziej, szuka piórowej sławy w skandalu. Ale i duchy wyższe, ludzie genialni, poeci pierwszego rzędu, także grzęzną od czasu do czasu w tej błotnej kałuży. Ileż już nad tem bolałem i jaki wstręt od nich mię bierze! Uderzając na zmarłych, pchają swe bratobójcze noże w ciała żywych; czerwona krew płynie z pod ich morderczych narzędzi, krew niewinna: oni to widzą i z śliną szyderczą na swoich wargach drgających, urągają cierpiącym. Lub jeszcze gorzej. Przyznają się bowiem do winy, uderzają się w piersi, piszą listy z uniewinnieniem; ale nim jeszcze list napisali, już noża dobyli, ażeby na nowo uderzyć. Przezwyciężałem ten wstręt w sobie; chciałem dla wielkich przymiotów małe wady przebaczyć — i przebaczyłem, ale zapomnieć nie mogę. Masz słuszność, masz słuszność zupełną. Pomsta i kara nie powinny być naszem zadaniem. Polska stanęła tak wysoko potrzebą i duchem ofiary, że ją zabija ten, który jej każe być sędzią i katem. Duchem jej jest przebaczenie, przebaczenie mordercom obcym i winowajcom w własnej rodzinie. Oh, cóż to za rola dla poety, albo artysty, wywlekać z grobu umarłe i stawiać te trupy przed trybunały gawiedzi i pytać jednego: A zkąd te plamy czerwone na twojej delii błękitnej? a drugiego: A zkąd to złoto na twoim pasie? a dlaczego kordy wasze pordzewiały? — Bóg będzie ich sądził, niech ich sądzą dziejopisarze; ale ty, kiedy zstępujesz do grobów, wyprowadzaj z nich owych starych rycerzy, których lśniące pancerze nie mają ani chmurnego oddechu na sobie; niechaj bijące od nich promienie w twej xiążce choć przez godzinę tak jasno zaświecą, jak niegdyś w Polsce świeciły przez całe wieki. — Ja też wcale tak nie myślałem. Nie dobrze mnie zrozumiałeś. Powiedziałem przecież wyraźnie: takiego rozprzęgającego ducha nie stawiłbym na pierwszym planie. Byłby jak szatan, jak duch rozstroju, wichrzący gdzieś w przepaściach... Duch winy, grzech zbiorowy pokoleń, wcielający się w hetmanów i senatorów, w królów i królewskich doradców, w sejmy całe, w konfederacye, duch ujemny, grzech, fatum: jemu nie trzeba nazwiska.

W tym kierunku myśli mówił Krasiński i więcej i daleko lotniej; oddaję tu tylko to, co mogłem schwycić, zachować w pamięci i zanotować. Po krótkim zwrocie do literatury bieżącej, rzekł, wskazując ręką na pult:

— Jest tu jeszcze inna xiążka twoja, z innych czasów. Skąd ci przyszło na myśl wziąć przed się ten przedmiot?

Spojrzałem na niego, milcząc; wszakże zaraz poderwał i rzekł z uśmiechem:

— Powiedziałem coś, jak szanowna publiczność, albo jak sąsiad pyzaty. Ale istotnie, czy rzeczywiście się taka walka u was odbywa?

Odpowiedziałem, że odbywała się rzeczywiście w tej epoce, którą ta powieść obejmuje. Ruch roku 1848 wiele kwestyi spornych faktycznie rozstrzygnął, inne złagodził, a chociaż ta sama walka się jeszcze ciągle odbywa, to teraz już w innych formach i rozmiarach i walczący zmienili znacznie swe stanowiska. Na to Krasiński:

— „Jest to walka wieczna, stara jak świat i jak świat bez końca. Z jednej strony duch ładu, z drugiej duch prący naprzód bez względu na istniejący porządek rzeczy; z jednej strony umysły dodatnie, a z drugiej ujemne, zachowawczość i rewolucya, spokój

i burza, wiecznie się z sobą bić będą, dopóki ludzi stanie na świecie. Duchowa walka, nic żywotniejszego na ziemi, to pierwszy warunek życia, to samo życie, — w społeczeństwach, żyjących życiem normalnem. Ale my w wyjątkowych żyjemy warunkach. Toż u nas i te dwie potęgi z sobą walczące odmienny przybrały charakter.“

Na tem urywa się, niestety, ta notatka Kaczkowskiego o wizycie jego w Heidelbergu. Nie rozstrzyga ona bynajmniej pytania, postawionego na wstępie, „z jakich właściwie powodów zerwała się przyjaźń pomiędzy Krasińskim i Słowackim“, ani też zawiera tego, co Krasiński miał z Kaczkowskim „bardzo wiele mówić o Słowackim“. Przypuszczać tylko można, że Krasiński, mówiąc o „duchach wyższych, ludziach genialnych, poetach wyższego rzędu, którzy grzęzną od czasu do czasu w kałuży“, miał na myśli autora „Księdza Marka“ i rolę, jaką w tym poemacie kazał Słowacki odgrywać marszałkowi konfederacyi Krasińskiemu, a mówiąc o swoim bolu i przebaczeniu, myślał o twórcy wspaniałego wiersza „Do autora Trzech Psalmów“ i swojej odpowiedzi, zawartej w „Psalmie Żalu“. Pytanie zresztą powyższe co do oziębienia stosunków Z. Krasińskiego z Słowackim rozstrzygnął sam Stanisław Tarnowski w swej znakomitej pracy o twórcy „Nieboskiej“. Dzieło to wszakże doczekało się bardzo ostrej krytyki ze strony Kaczkowskiego w latach o wiele późniejszych, bo dopiero w r. 1893 w obszernych kilku listach do pani Jadwigi Liskowej. Krytyki tej, bardzo zjadliwej i niesprawiedliwej, w najwyższym bowiem stopniu stronniczej, pisanej pod wpływem animozyi do „Stańczyków“, nie mamy zamiaru i nie widzimy potrzeby powtarzać. Dość zaznaczyć, że zdania, tam wypowiedziane, dzieli cała przepaść od uczuć pokory i uszanowania, z jakiemi w roku 1855 przekraczał Kaczkowski w Heidelbergu progi wielkiego poety. Wówczas Kaczkowski z czcią głęboką zbliżał się do „jednego z największych poetów, opromienionego świetną aureolą w jego wyobraźni“, — do twórcy „Irydiona“ i „Nieboskiej“. W roku 1893 ta „Nieboska komedya“ jest, zdaniem tegoż Kaczkowskiego, utworem pod względem sztuki niesłychanie bezładnym, a co do treści czystą mrzonką, nie mającą żadnej podstawy w rzeczywistości“, to „czysta ideologia, nie mająca w sobie prawdy ani rzeczywistej, ani nawet teoretycznej, — a poezya bez prawdy jest po prostu aberracyą umysłu, która nie zasługuje na żadną uwagę, a nie dopiero na sąd taki, że jest arcydziełem“. — „Jaki tam nieład! co za figury! — woła. — Ani jednego człowieka z krwi i kości, wszystko same maryonetki, przebrane za ludzi. Żadna też z nich nie mówi, jak mówią ludzie, wszystkie wiedzą o tem, że są na scenie i grają — komedyę. Lecz co najważniejsze, to to, że niemasz decyzyi. Skąd to pochodzi? Oto stąd, że Krasiński z tradycyi demokracyi nie cierpiał, a o arystokracyi wiedział ze swego najbliższego otoczenia, ile jest warta i dlatego nie dał żadnej zwyciężyć.“ — „Irydion“ — pisze dalej Kaczkowski — jest rodzonym bratem „Nieboskiej“. Tam wszakże nietylko sama inwencya jest prostą niedorzecznością, nietylko w nim niemasz ani jednej żywej figury, tylko same mrzonki, ubrane w postać, niby do człowieka podobną, ale jeszcze nadto wszystko jest styl, którego żaden żołądek strawić nie potrafi.“ [1]) „Irydion“ — twierdzi Kaczkowski w jednym z dalszych listów[2]) — jest dziełem niejasnej głowy i nieokiełzanej fantazyi. Niemasz w nim ani prawdy, ani piękna, — a jeżeli jest tu i ówdzie jakaś myśl wzniosła, to jest ona owinięta w szatę tak mglistą, tak trzeba dopiero szukać, do czego się odnosi i czego chce nas nauczyć, że nie sprawia żadnego wrażenia. Prócz tego jest takim napuszystym i bombastycznym stylem pisany, że czytelnika dławi i dusi...“ „Wszystkie dalsze poemata: „Trzy myśli Ligęzy“ i t. d. są to pomniki rozczochranego romantyzmu, w Bajronowskim stylu, ale bez Bajronowskiego geniuszu pisane, pomniki aberracyi romantyzmu, tak dla rozwoju literatury, jak i dla społeczeństwa bez żadnej wartości.“

Z pod tego okrutnego wyroku wyjęte są tylko „Przedświt“ i „Psalmy“, chociaż także nie bez zastrzeżeń. „W „Przedświcie“ i „Psalmach“ także niemasz prawdy, — pisze autor „Murdeliona“ — ale jest wzniosłość i piękno. Z wyjątkiem małych językowych usterek, w których się jeszcze przebija dawna przesada, ale które można przebaczyć, są to poetyckie utwory pierwszorzędnej piękności, tak piękne, że piękniejszych od nich niemasz ani w naszej, ani w żadnej innej literaturze. Są równe, ale ze stanowiska piękności niemasz wspanialszych i wyższych.“

Napisawszy te słowa, zauważył snadź Kaczkowski, że powiedział za wiele. Spieszy więc dodać:

„Ale jakaż jest ich wartość istotna w dziedzinie poezyi? Ponieważ niemasz w nich prawdy, więc są to wielkie kompozycye muzyczne, osnute na najwznioślejszych narodowych motywach, kompozycye, pojęte szczytnie i wykonane z mistrzowstwem, peł-

[1]) Listy do pani Jadwigi Liskowej z 4 i 15 marca 1893. Ms.
[2]) Z 3 kwietnia 1893.

nem doskonałości, dlatego działają bezpośrednio, podnoszą umysł i serce i pozostawiają po sobie podniosłe, uszlachetniające i ulepszające wrażenie.“

Jeszcze i to wydało się autorowi listu za wiele, więc w dalszym ciągu usiłuje wrażenie osłabić. „Nawet — dorzuca — i tę wartość muzykalno-duchową mają (poezye Krasińskiego) tylko w odniesieniu do swego czasu: jakoż tak sądzę, że gdyby jeszcze nie były drukowane i gdyby Krasiński wstał z grobu i przypatrzył się zbliska Polsce dzisiejszej, toby ich nie drukował, bo sprzeczność ich z prawdą jest zanadto rażącą, a są nawet w nich miejsca, które, dziś drukowane jako rzecz nowa, wyglądałyby na satyrę.“

Ciosy krytyczne, jakie spadły w tych listach na Krasińskiego, w znacznej części przypisać należy już nie tylko animozyi, ale wprost nienawiści, jaką żywił Kaczkowski do stronnictwa krakowskiego, zwanego stańczykowskiem. Nie szczędzi też w tych listach uszczypliwych docinków i ujemnych sądów pod adresem autora dzieła o Krasińskim, tego samego, który w r. 1855 „zdumiewał powagą myśli, dojrzałością opinii i gładkością wysłowienia“. — Ale w roku 1893 przemawiał do pani Liskowej nie początkujący autor nieczujowskich powieści, lecz polityczny Stańczyków antagonista, autor „Teki Nieczui“, wydanej ku ich pohańbieniu w roku 1883.

Nie brak też i w rękopiśmiennych notatkach Kaczkowskiego z lat ostatnich ujemnych uwag o Krasińskim. W jednem miejscu nazywa ducha poety i jego patryotyzm „nie apokaliptycznym, lecz epileptycznym“.[1])

W innej notatce jest jakby uzupełnienie wizyty w Heidelbergu. Czytamy tam mianowicie:

„Na Krasińskiego uwagę: „Pieśń p o ziemi naszej“, — powiedziałem w dalszej konwersacyi: Idąc tą drogą, doszlibyśmy do „ekonomskiej tradycyi“. Na to Krasiński wybuchnął przeciw demokracyi szlacheckiej: — „Znasz historyę rewolucyi francuskiej i wiesz-że, ile tam było szlachty, począwszy od Woltera.“ Ale rozstaliśmy się w dobrej przyjaźni i zgodzie.“

W zapale krytycznym, wywołanym dziełem Tarnowskiego, nie oszczędza też Kaczkowski w listach do pani Liskowej prywatnego życia Zygmunta, usiłując przedewszystkiem poniżyć te kobiety, które w życiu poety odegrały znaczną rolę i podniesione były

[1]) Ms.

przez niego na wyżyny ideału. Sam przyznaje, że tak p. Bobrowę, jak i Delfinę Potocką poznał dopiero około r. 1855, to jest wówczas, gdy one obie liczyły blisko lat pięćdziesiąt. Nie biorąc jednak w rachubę zmian, jakie nietylko fizycznie, lecz i w usposobieniu wewnętrznem mógł wywołać wpływ czasu i nadchodząca starość, stwierdza w liście z d. 15 marca 1893 r., że „nie znalazł w nich nic duchowego, nic idealnego“, a o pani Bobrowej tak pisze:

„Bobrowa była typem kobiety kwaśnego, gorżkiego, a przeto nieznośnego humoru. Raz odprawiłem z nią podróż z Paryża do Krakowa, która trwała sześć dni, bośmy trzy dni odpoczywali w Wiedniu; byliśmy ciągle razem, jechaliśmy w tem samem *coupé*, a w Wiedniu mieszkaliśmy w jednym hotelu; pozostało mi po niej to wrażenie, jakobym miał przed sobą wór, napełniony pilnikami, piłkami, nożami, świdrami, szydłami, które za każdym ruchem z niego wyłażą. Jednak jeszcze więcej charakterystycznem jest to, że przez te całe sześć dni nie słyszałem z jej ust ani jednego słowa po polsku, a zarazem ani jednego słowa o jakiejkolwiek rzeczy, dotyczącej spraw polskich. Jakim sposobem Krasiński mógł sobie wyidealizować tę kobietę, to pojąć trudno...“

Prześliczne, pełne uczucia i wzniosłych myśli listy Krasińskiego, w których on przed najbliższym przyjacielem spowiada się ze swej miłości i wyrzutów sumienia, jakie go trapią, nazywa oczywiście Kaczkowski „niegodną tragikomedyą“. Gorzej jeszcze wyraża się on o Delfinie Potockiej. „Była — pisze — za młodu nadzwyczaj piękną, to prawda, ale Krasiński ją poznał, kiedy już miała lat 32 i zaczynała przekwitać, a niebawem potem dostała trądu na twarzy i przedstawiała widok wstrętny... Z takiej kobiety zrobił Krasiński Beatrice w „Przedświcie“ i wprowadził jako świętą w swoją Polskę Chrystusową.“

W bezwzględnej tej krytyce nie miał względu Kaczkowski ani na rzeczywistą niedolę małżeńską Delfiny Potockiej, ani na wpływy wychowania, otoczenia i wielkiego paryskiego świata, ani wreszcie brał pod rozwagę jej istotnych zalet, jej miłości i poświęcenia dla Krasińskiego, z jakiem pielęgnowała go w ciężkiej i odrażającej chorobie ospy.

To, cośmy powyżej z sążnistych listów do pani Liskowej przytoczyli w zestawieniu z tem, co pisał autor „Murdeliona“ o swych odwiedzinach w Heidelbergu, wystarczy chyba najzupełniej do wykazania, jak bardzo stronnym i zmiennym w sądach swych był Kaczkowski. — W jednym z listów do pani Liskowej sam on przyznaje, że ma w sobie „upor“; upor ten przeradza się

w zaciętość, ilekroć idzie o czyny lub dzieła ludzi, należących do nienawistnego mu obozu „Stańczyków“. O genezie tej nienawiści będziemy jeszcze mieli sposobność mówić w czasie, w którym Kaczkowski zamierzał przerzucić się na arenę polityczną w kraju.

W roku 1855, t. j. wówczas, gdy Kaczkowski odwiedził Krasińskiego w Heidelbergu, dorobek jego literacki powiększył się był o trzy powieści, a mianowicie o te, o których w listach Wężyka i Koźmiana były już wzmianki, t. j. „Braci ślubnych“ i „Bajronistę“, a także i o tę, którą autor dostrzegł na pulpicie u Krasińskiego i o której z nim mówił, o „Dziwożonę“.

Trudno nie przyznać słuszności Wężykowi i Koźmianowi, którzy, jakto widzieliśmy, tak ostro krytykowali „Braci ślubnych“. Jest to niezmiernie rozwlekła i przerażająco nudna historya dwóch sąsiadów i rówieśników: stolnikowicza sanockiego Stanisława Bobowskiego z Żernicy i łowczyca sieradzkiego Józefa Osuchowskiego z Żerniczki. Prowadząc dalej tradycyjną przyjaźń rodów Bobowskich i Osuchowskich, obaj młodzieńcy zaprzysięgli sobie uroczyście w kościele dozgonną miłość braterską i pomoc w każdej potrzebie. Osuchowski, olbrzym wzrostem, był dzielnym junakiem, Bobowski natomiast, znacznie wątlejszy, a przeznaczony przez ojca na jurystę, całą swoją pierwszą młodość spędził na studyowaniu Pandektów i Voluminów Legum i dopiero po śmierci rodzica, za poduszczeniem Osuchowskiego, spalił książki jurydyczne, a wziął się do jazdy konnej i sztuki rycerskiej. Miał też serce tkliwe i wnet zakochał się w Julii, córce sąsiada z Zachoczewia pana Dzianotta, człowieka bardzo podejrzanego charakteru. Julia natomiast była to istota wątła, nikła, pogrążona wiecznie w marzeniach nadziemskich i snach — o miłości nie z tego świata. Podzieliła ona oczywiście afekta Bobowskiego i już przyszło między niemi do wzajemnych zwierzeń, gdy interwencya „brata ślubnego“, łowczyca Osuchowskiego, tę nawiązującą się nić serdeczną zerwała. Osuchowski bowiem był zażartym wrogiem kobiet i związków małżeńskich. Domyślając się przeto powodów ciągłych wizyt stolnikowicza w Zachoczewiu, skłonił go niemal gwałtem do towarzyszenia mu w wyprawie rycerskiej „na kresy“, innej bowiem potrzeby rycerskiej podówczas nie było, ile że działa się ta historya za panowania Sasów, gdy Polska zupełnego zażywała spokoju. W ciągu tej wyprawy wywietrzała Bobowskiemu z głowy rozmarzona Julia Dzianottówna, i powróciwszy do domu, już ani myślał o swej bogdance. Wkrótce jednak zakochał się znowu. Tym razem w pannie Barbarze Karsznickiej z Balogrodu, będącej z charakteru i usposobienia zupełnie różną od Julii. O ile Julia była cicha, łagodna, marząca, o tyle Barbara objawiała animusz wojowniczy, temperament nieokiełzany, niemal zawadyacki. Zalotom „brata ślubnego“ już się tym razem — rzecz dziwna — nie sprzeciwiał Osuchowski, a nietylko się nie sprzeciwiał, lecz nawet je popierał i wraz z poważnym p. Błońskim z Berezki pojechał do Balogrodu z oświadczynami w imieniu przyjaciela. Bobowski oczywiście został przyjęty. Ale tymczasem w Zachoczewiu gotowała się burza. Stary pan Dzianott, kreatura bardzo nieciekawa, wraz z synkiem swoim już zgoła przewrotnym, Pakosławem, palestrantem warszawskim, świeżo za różne nadużycia wydalonym z kancelaryi ministra Brühla, obmyślili wywrzeć presyę na Bobowskiego, groźbą skandalu z powodu zerwania przyrzeczenia małżeństwa. Zjeżdżają tedy do Osuchowskiego, bo do stolnikowicza najlepiej trafić przez „ślubnego brata“. I dzieje się rzecz niesłychana. Osuchowski przeraża się skandalu, grożącego jego przyjacielowi, — skandalu, któryby musiał doprowadzić do zerwania upragnionego przez Bobowskiego związku z ukochaną Barbarą. I postanawia poświęcić się dla „ślubnego brata“. On, nieprzyjaciel związków małżeńskich, decyduje się w jednej chwili, jedzie z Dzianottami do Zachoczewia i *stante pede* oświadcza się o rękę marzącej Julii, która rozstawszy się już z myślą poślubienia stolnikowicza, decyduje się również rychło, i idąc posłusznie „za wolą rodzica“, przyjmuje w zamian za wątłego Bobowskiego, olbrzyma łowczyca. Wszystko to ma być jednak utrzymane w największej tajemnicy aż do dnia ślubu, który ma się odbyć w ten sam dzień, co ślub Bobowskiego z Barbarką.

Tymczasem w Balogrodzie dzieje się także nie dobrze. Oto pojawił się tam bogaty, stryjeczny braciszek Barbarki, Bartek Karsznicki; przyjechał wprost z Paryża, nosi się też po francusku, we fraku i pudrowanej peruce. Ale że jest zarówno biegły w sztuce rycerskiej, jak w sztuce podbijania serc niewieścich, nie wiele potrzebował czasu, aby zdobyć afekt lekkomyślnej Barbarki. Ta jednak, upatrując w bliskiem pokrewieństwie z Bartkiem nieprzemożoną do małżeństwa z nim przeszkodę, nie waha się złożyć przed ołtarzem przysięgi stolnikowiczowi na dozgonną miłość i wierność. Weselisko w Balogrodzie było huczne, a w czasie wspaniałej biesiady wymyka się z zamku Osuchowski, dąży do Zachoczewia i tam, w skromnym kościółku, poślubia Julię Dzianottównę, poczem, jakgdyby nic się nie stało, powraca niepostrzeżenie na koniec hucznego wesela Barbarki. Ale wnet nad zamkiem balogrodzkim rozpętała się szalona burza: istny huragan, czy oberwanie się

chmury. — Stary Karsznicki, ratując tonących, zaziębił się i w parę dni umarł, za nim poszła wkrótce jego żona; państwo młodzi wyjechali do Żernicy, zamek balogrodzki opustoszał, a wkrótce rozpadł się w ruinę.

Pod tak fatalnemi auspicyami rozpoczęło się małżeńskie pożycie obu „braci ślubnych“. I oczywiście nie mogło być szczęśliwe. Barbarka zmieniła się wkrótce w Herod-babę, przed którą drżał wątły Bobowski, a olbrzym Osuchowski dostał się w szpony przebiegłego szwagierka, Pakosława Dzianotta, który łowczyca całkowicie potrafił usidlić, ogołocił go z gotowizny i prawie już z majątku wydziedziczył. — Pożycie jego z marzącą Julią nie mogło mu przynieść pociechy. Nie kochający i nie kochany, nie umiał zdobyć sobie ani zaufania, ani przywiązania żony, która coraz bardziej zagłębiać się poczęła w marzenia o dawnym swym narzeczonym stolnikowiczu, podsycane przez czarownicę, czy wróżbiarkę, Ewę. Ze swej strony Bobowski, uciekając od swojej małżonki, która nim i całym domem zawładnęła, coraz częściej zaglądał do Zachoczewia i coraz głębiej wpatrywał się w rozmarzone i tęskne oczy Julii. I byłoby skończyło się na ostatecznym upadku cnoty pani łowczycowej, gdyby nie to, że Bobowski ocknął się w czas jeszcze i wyrwawszy się z objęć Julii, uciekł od niej bez pożegnania, a powróciwszy do domu, cały przejęty skruchą i wyrzutami sumienia, że oto omal nie stał się winnym sromotnej zdrady „brata ślubnego“, kazał swemu masztalerzowi wyliczyć sobie w stajni — sto batogów. Ta cała scena, nawet za czasów saskich zgoła nieprawdopodobna, wywiera wprost komiczne wrażenie. I trudno się dziwić Wężykowi, gdy mówi złośliwie. że owe sto batów, przynajmniej w połowie, należałyby się raczej autorowi, niż skruszonemu i bądź co bądź niewinnemu „bratu ślubnemu“.

Odtąd „bracia ślubni“ pędzą żywot cichy i nędzny. Bobowski, wyganiany z domu przez rozjuszoną coraz bardziej Barbarkę, schodzi się z ograbionym przez Pakosława Dzianottę Osuchowskim w lasach okolicznych i tam, niby polując, gawędzą z sobą, narzekając na swoją niedolę. W tym samym czasie gładki Francuzik, pan Bartłomiej Karsznicki, nabył zrujnowany Balogród, aby być bliżej ukochanej Barbarki, z którą już nie na żarty urządza schadzki miłosne. Na jednej z takich schadzek w chacie czarownicy Ewy, gdzie nie braknie ani węża, ani czarnego kota, ani koguta i różnych czarodziejskich przyrządów, przychwytują parę miłosną obaj „bracia ślubni“. Traf zrządził tak, że w tejże porze, w chacie czarownicy znajduje się także marząca Julia, która stęskniona

i smutna przyszła pytać Ewę o dalsze koleje swojej nieszczęśliwej miłości. — Odbywa się tedy scena tragiczna. Bobowski, z mazgaja, jakim był dotychczas, przemienia się w surowego, bezlitosnego sędziego; przewiózłszy Barbarkę do Żernicy, zamyka ją w celi więziennej; Osuchowski, wyzwawszy Bartka Karsznickiego na rękę, zabija go w pojedynku, o czem dowiedziawszy się Barbarka, zapada w jakąś chorobę i umiera. Ewa, wydana sądom, ginie na stosie w Sanoku. Julia zaś, jakkolwiek traktowana łagodnie, a nawet czule przez męża, gaśnie niebawem na suchoty. Wreszcie przeniewierczy Pakosław Dzianott, w chwili, gdy przybyła z Warszawy komisya sądowa, ma go aresztować za jakieś fałszerstwa, dokonane w stolicy, zażywa trucizny i uczyniwszy zeznanie na piśmie swych zbrodni, ginie, pozostawiając w skrzyniach miliony. Pokrzywdzeni przez niego odbierają swoje, a resztę przeznaczają wspaniałomyślnie i zgodnie na cel dobroczynny. „Bracia ślubni“ osamotnieni, lecz i oswobodzeni od swych ciemiężców i wrogów, pędzili dalej żywot pełen zacności, otoczeni powszechnym szacunkiem. Bobowski został wybrany sędzią ziemskim sanockim, Osuchowski zaś cześnikiem, a gdy za nowego króla wybuchły wojny, brali w nich chwalebny udział, poczem w wiernej dla siebie przyjaźni dożywali dni swoich w spokoju.

Taki jest w możliwem streszczeniu szkielet tej dziwnej powieści, pełnej przytem zupełnie luźnych i zgoła dla całości niepotrzebnych epizodów, które jednak, zarówno jak i drugo- i trzeciorzędne postacie, tworzą najbarwniejszą i najbardziej charakteryczną część utworu. Podczas kiedy obaj „bracia ślubni“ czynią nieraz wrażenie płaksiwych, nieporadnych mazgajów, wraża się w pamięć taki Grott, postać drugo-planowa, żyjący wybornie cudzym kosztem i umiejący się prześlizgiwać bez szwanku przez życie; lub taki Pieniążek, nie biorący wcale w właściwej akcyi powieściowej udziału, lecz ukazujący się czasem na widowni ze swojem przysłowiem „widzisz dyable“ i umiejący powściągnąć plotkarstwo szlachty, gromadzącej się w Łatesowej winiarni, w Lesku. I gdy sceny tragiczne przemijają albo bez efektu, albo wywierają wprost przeciwne zamiarom autora wrażenie, taki luźny epizod zgromadzenia szlacheckiego w owej winiarni pozostaje w pamięci, jako obraz żywy i charakterystyczny. Niejednokrotnie też zdarzają się w tej powieści barwne opisy przyrody, jak n. p. owej burzy straszliwej, jaka się rozpętała nad balogrodzkim zamkiem w noc weselną „braci ślubnych“, zwiastując im przyszłe katastrofy życiowe. To wszystko jednak nie wynagradza czytelnikowi trudu czytania

tej powieści, której wątek co chwila się urywa i ginie w powodzi rozwlekłych opowiadań, rozmaitych ozdobnych oracyj, opisów i zgoła zbytecznych dygresyj. — Typy kobiece, tu wprowadzone, nie wiele przynoszą nowego. Julia, istota bierna, tą biernością staje obok znanych z powieści nieczujowskich postaci, z pewnym tylko odcieniem „marzycielstwa“, dość zresztą nienaturalnego w córce pana Dzianotta i siostrze Pakosława, ludzi aż do zbytku „realnych“. — Barbarka, o której zrazu chciałoby się powiedzieć: zuchdziewczyna, staje się rychło najzwyklejszą herod-babą, a przytem bezwstydną zalotnicą, która nie waha się skandalicznie romansować z swym bratem stryjecznym, chociaż pokrewieństwo to uważała za przeszkodę do małżeńskiego z nim związku. Kochanek jej, Bartek Karsznicki, wywiera coraz to inne wrażenie: raz przedstawia się jako dzielny junak, imponujący, pomimo swego francuskiego stroju, nawet kontuszowej szlachcie; to znów, jako zręczny dworak, umiejący się zgrabnem słówkiem wywinąć z każdej trudnej sytuacyi, to wreszcie jako dość pospolity amant, nie umiejący stanąć w obronie swej kochanki w obec rozjuszonego nagle i zmężniałego Bobowskiego, który wreszcie, chociaż niedawno posiekał był dzielnie Gumowskiego w starciu się z nim orężnem, nie wytrzymał pierwszego natarcia Osuchowskiego i padł odrazu trupem z przeciętym obojczykiem, deką piersiową i lewą łopatką.

Wreszcie język w tej powieści trzymany jest w tonie imép. Nieczui, z tą samą potoczystością stylu i tymi samymi błędami gramatycznymi.

W dalszych swych współczesnych powieściach Kaczkowski, przyznać trzeba, miał szerokie i dobre pomysły, mając na celu nie tyle może artystyczne względy, ile chęć wykazania w akcyi powieściowej wad i zboczeń społeczeństwa, a zwłaszcza młodego pokolenia. Chciał być nauczycielem i mistrzem: karcić i prostować drogi. Do tego celu obrał jednak sposób najmniej właściwy. Zamiast odtworzyć życie, jakiem było w swej istocie, kazał akcyi powieściowej wić się i gubić w powodzi wypadków, jak najmniej prawdopodobnych, wśród nużących opisów i dysertacyj, kazał typom swoim odgrywać role zupełnie fałszywe, pozbawiając je prawdy życiowej, a tem samem wszelkiego zainteresowania.

W „Bajroniście“, który miał na celu napiętnować, czy wyszydzić niespokojne, gorżkie, szydercze usposobienie pokolenia, wyhodowanego na poezyi wielkiego Anglika i jego epigonów, wyprowadził autor na widownię niezdarnego marzyciela Mirona, wygłaszającego liche wiersze, mdlejącego pod ironicznym wzrokiem

hrabiego Aspisa, a obcego najzupełniej tym prądom, jakie przenikały społeczeństwo w tych właśnie czasach najbujniejszego rozkwitu poezyi narodowej. Miron, działający w epoce „Pana Tadeusza“, szczególnym sposobem zdaje się nie znać arcydzieł mickiewiczowskich i o nich nigdzie nie wspomina; raz jeden tylko znajduje słowa uznania dla sielankowej poezyi Brodzińskiego, a jego następcom nie szczędzi nawet wymówki, że umieli tylko „zręczniej i głośniej“ z jego puścizny korzystać, dając przystęp do literatury rodzimej obcym naleciałościom. Czyż mógł tak czuć i mówić rzeczywisty ówczesny „bajronista“? Niewątpliwie, nie!

Podobnie jak jego myśli, tak i życie owego rzekomego bajronisty-Mirona, idą dziwacznym torem. Zakochawszy się w zaraniu młodości w pięknej córce regimentarza, Herminie, daje się uwikłać w sidła intrygi mściwej, bo zawiedzionej w swych zabiegach o względy Mirona, podstarzałej kokietki, pani senatorowej. Z jej namowy przybywszy na schadzkę z naiwną Herminką, tam przychwytany przez regimentarza, najhaniebniej umyka z placu, nie myśląc nawet o obronie niewinnej Herminy, pozostawionej na pastwę gniewu surowego ojca, który też córkę więzi o chlebie i wodzie w jakiejś zakratowanej celi, a oświadczyny Mirona, chociaż uczynione za pośrednictwem poważnego jego ojca, pana Tomasza, stanowczo odrzuca. Miron z początku okrutnie rozpacza, ale wysłany za granicę, niebawem trzeźwieje, i powróciwszy do kraju, wnet ulega innej namiętnej miłości dla pięknej księżniczki Talii, która, niewiadomo z jakich powodów, poślubia wstrętnego oszusta, hrabiego Aspisa. Niebawem jednak zawiązuje się we Lwowie romans — niby platoniczny — pomiędzy tą uroczą mężatką a Mironem. Romans, zakończony przychwyceniem kochanków na czułej rozmowie przez Aspisa i znowu — ucieczką Mirona. Aspis bynajmniej go nie ściga, lecz zadowala się zamknięciem żony w celi klasztoru Sakramentek, sam zaś wyjeżdża do Wiednia, gdzie usiłuje zapobiedz fatalnym skutkom swoich szalbierstw, popełnionych na spółkę ze swym plenipotentem, niegodziwym Siekierką. — Po długich poszukiwaniach Miron odnajduje schronienie Talii i postanawia wykraść ją z klasztoru. Zamiarowi temu przeszkadza jednak hr. Aspis, który wywozi żonę ze Lwowa i ukrywa ją na długo przed okiem ludzkiem. Miron wyjeżdża szukać jej za granicą, lecz nagle w Dreźnie spotyka się ze swą pierwszą miłością, Herminą, obecnie już sierotą, a opłakującą na cmentarzu drezdeńskim śmierć swego brata, dawnego kolegi Mirona. Zupełnie nie po byronowsku Miron uklęka obok Herminy na grobie Julka i pła-

cząc z nią razem (wszyscy bohaterowie Kaczkowskiego płaczą!), modli się żarliwie, poczem odprowadza ją do mieszkania, zaczyna tam bywać codziennie, przekonywa się wkrótce, że tylko Herminę kocha, i za powrotem do kraju łączy się z nią dozgonnym węzłem małżeńskim. — Na tem jednak nie kończy się powieść, — potrzeba jeszcze melodramatycznego epilogu.

Pożycie Mirona z Herminą, zrazu bardzo szczęśliwe, nie długo potrafiło się utrzymać na tej wyżynie. Miron niebawem zapada w zadumę i „od świtu do nocy“ zaczyna marzyć o zaginionej Talii. Pragnie koniecznie choć na chwilę ją zobaczyć. Pragnienie to się ziszcza, bo Talia żyje niedaleko od Mirona, żyje, zamknięta przez srogiego męża w jego zamku, jak w więzieniu. Dowiedziawszy się o tem, Miron przekupuje niegodziwego Siekierkę i dostaje się do celi, w której wegetuje nieszczęśliwa Talia. Ujrzawszy jednak, zamiast uwielbionej, jaśniejącej urodą i zdrowiem kochanki, wyschniętego zmienionego do niepoznania kościotrupa, który ku niemu wychudłe wyciągnął ramiona, bajronista nasz cofa się i zamiast litością, wybucha szyderczym śmiechem. Tego szyderstwa nie mogła przenieść Talia, upadła z krzykiem na ziemię i — umarła... Widząc to Miron, dobywa rewolweru i strzela do siebie, wszakże siebie nie trafia, lecz zabija stojącego opodal Siekierkę. Przewieziony niemal w obłąkaniu do domu, Miron zapada w chorobę i umiera, przepraszając Herminę, zapisując jej cały swój majątek i zalecając jej, by wyszła po jego śmierci za mąż, za człowieka „trzeźwego i czynnego, któryby stał obiema nogami na ziemi“. Hermina posłuchała tej rady i poślubiła w parę lat potem zacnego Stefana, przyjaciela Mirona. Ten Stefan, pochodzenia chłopskiego, wykształcony jednak i niezmiernie zacny, adoptowany przez ojca Mirona, pana Tomasza, stał się dziedzicem całej jego fortuny i najszczęśliwszym mężem pięknej zawsze i idealnie dobrej Herminy. Pogoda i spokój otaczały już bez przerwy ich ognisko domowe.

Jeszcze bardziej „awanturniczą“ od powyższej, jest następna powieść p. t. „Dziwożona“, właśnie ta, którą Kaczkowski dostrzegł na pulpicie u Krasińskiego w Heidelbergu. I tu przyświecała autorowi myśl wyższa, — zamiar plastycznego przedstawienia dwóch prądów, nurtujących w społeczeństwie w latach, poprzedzających rok 1846 i ujawnionych najdobitniej w tym roku krwawym. Lecz i tu wykonanie zawiodło. Dwaj przedstawiciele owych prądów: „arystokrata“ Edmund i „demokrata“ Kamil, żyjący niby w przyjaźni, a nienawidzący się społem, są bardzo niezdarnymi przedstawicielami tych zasad. Przyjaźń ich rodzi się, pomimo różnic przekonań, wychowania i pozycyi społecznej, na ławach szkolnych i pomimo nieustannych a jałowych dysput, które z sobą prowadzą, mogłaby była trwać wieczyście, gdyby nie — miłość. Ona to, nie zasady lub jakiekolwiek na tle społecznem, czy politycznem, działanie, rozdzieliła tych ludzi i kazała im się nienawidzieć. Edmund, jakkolwiek nie zgadza się z zapatrywaniami Kamila, ratuje go wspaniałomyślnie kilkakrotnie, gdy ten „demokrata“ swem nieoględnem, spiskowem postępowaniem ściąga na siebie prześladowanie władzy. Własnymi końmi wywozi go za rogatki miasta i umożliwia powrót na wieś, do domu ojca młodego spiskowca, gdzie ten przez długi czas szczęśliwie się ukrywa. Cały ten epizod spiskowy, zresztą dość niejasno, zapewne przez wzgląd na cenzurę warszawską, przedstawiony, mimowolnie przywodzi na pamięć ów spisek w Przemyślu w r. 1839 i zamach studenta Justyna Begejowicza na Gutha, urzędnika policyi. Jak ów Begejowicz, tak i Kamil uszedł na razie bez szwanku, pozostawiając we Lwowie jedno serce rozdarte, a mianowicie uroczej Hanusi, piętnasto-letniej córeczki poczciwych pp. Sieniawskich, którzy z dziwną nieoględnością pozwolili wzrastać w sercu dzieweczki uczuciu dla mieszkającego pod ich dachem studenta. Kamil nie wiele przywiązywał wagi do uczuć kobiecych i o Hanusi łatwo zapomniał, zwłaszcza od czasu, gdy błądząc bez zajęcia po górach, nad jakiemś urwiskiem skalnem, zwanem „Jarem pogańskim“, spostrzegł dziwną postać dziewczęcia, przystrojonego, jak na boginię leśną przystało, w liście i wieńce z kwiatów, z badylem dziewanny w ręku, w towarzystwie oswojonej sarneczki i charcika angielskiego. Kamila od tej uroczej postaci, już w okolicy „Dziwożoną“ zwanej, dzieliła wprawdzie przepaść, którą jednak niebawem zapalczywy młodzieniec przebyć zdołał, — poczem zaczął się rozwijać romansik wcale nie platonicznej natury. Zapomniawszy o wszelkiego rodzaju spiskach, Kamil dał się całkowicie pochłonąć tej miłości, gdy nagle pościg zbrojny zmusił go do ucieczki z domu ojca. Zniknął tedy w znanych sobie dobrze górskich jarach i dotarł, nie ścigany już wcale, do jakiegoś pałacu nieznanego sobie generała. Ów generał, zgoła innych od Kamila przekonań, arystokrata i legitymista, daje jednak przytułek zbiegowi. — przytułek zupełnie bezpieczny, niktby bowiem nawet przypuścić nie mógł, że w takim lojalnym domu ukrywa się — spiskowiec. Ale na Kamila czekało tam inne niebezpieczeństwo, bo traf zrządził, że właśnie generał ten był ojcem „Dziwożony“ z jaru pogańskiego, uroczej a zuchwałej Adeli, a pałac jego

jej domem rodzinnym, z którego ona wymykała się w puszczę leśną, by tam nad jarem pogańskim szukać awantury miłosnej. Ale awantury tej nie myśli wcale prowadzić dalej pod rodzicielskim dachem i traktuje Kamila, jako zupełnie sobie obcego, a nawet niemiłego przybysza, co zapalczywego młodzieńca do rozpaczy doprowadza. Męczarnie, jakich z tego powodu doświadcza, dochodzą do szczytu, gdy się okazuje, że urocza Adela, przeznaczona jest oddawna na żonę Edmunda, który tam niebawem przybywa, a olśniony jej niezwykłą urodą, rozpoczyna formalne konkury i w krótkim czasie zdobywa względy płochej dziewczyny i jej rękę. To obudza w sercu Kamila zaciętą nienawiść do dawnego przyjaciela, z którym różnice przekonań i zasad nie zdołały go dotychczas poważnić, wywołując tylko długie i nudne dysputy. Interwencya siostry generała, marszałkowej, komplikuje fatalnie sytuacyę. Zalotna ta, chociaż już niemłoda, niewiasta, idąc w ślady pani senatorowej z „Bajronisty“, zapałała afektem do Kamila, a gdy jej zabiegi nietylko nie odnoszą pożądanego skutku, lecz wywołują skandaliczną scenę, postanawia się zemścić. — Senatorowa, jakto widzieliśmy, urządza schadzkę Herminy z „bajronistą“ i rzuca kochanków na pastwę srogiego regimentarza, — marszałkowa, pod pozorem jazdy do kościoła, udaje się do pobliskiego miasteczka i zdradza w urzędzie miejsce pobytu ściganego Kamila. Następstwa nie dają na siebie długo czekać. Przybywa urzędnik w asystencyi wojskowej, w celu przeprowadzenia rewizyi w domu generała. Nadaremnie generał sprzeciwia się temu z oburzeniem, nadaremnie przywdziewa na siebie mundur galowy i orderowe odznaki, — przedstawiciel władzy ustąpić nie chce. A wówczas generał, w najwyższem uniesieniu, wyrzuca przedstawiciela władzy za drzwi, sam jednak, apopleksyą rażony, pada trupem na miejscu. Sprawczyni całego nieszczęścia, zalotna marszałkowa, złożona niemocą, kładzie się do łóżka i wprawdzie nie umiera, lecz po przebytej chorobie wstaje osiwiałą, pokutującą grzesznicą. Kamil i tym razem uszedł pogoni, a spotkawszy się w puszczy leśnej z Edmundem, polującym na dziki, znowu znajduje u niego nietylko schronienie, lecz i wspaniałomyślną pomoc pieniężną, dzięki której mógł umknąć za granicę. Na wyjezdnem otrzymał niespodziewanie czuły list od Dziwożony, oświadczający nietylko miłość gorącą, lecz i gotowość poślubienia go. Kamil jednak, dobrze nie wiemy z jakich powodów, propozycyę odrzuca, a zabezpieczony pieniędzmi nienawistnego sobie Edmunda, opiera się wkrótce na bruku paryskim, gdzie w lat parę szczególniejszym zbiegiem okoliczności, zdobywa olbrzymią fortunę.

Tymczasem Dziwożona, utraciwszy Kamila, poślubia Edmunda i najhaniebniej zdradza go z jakimś huzarem. A gdy zdrada się wydała, uzyskuje rozwód z mężem i wyjeżdża do Lwowa, gdzie jest uwielbianą — kokotą; żyjąc jednak rozrzutnie, traci resztki majątku i znajduje się już nad brzegiem przepaści nędzy, gdy wtem zjeżdża bogaty, milionowy były spiskowiec i były „demokrata“ Kamil, gotów złożyć całą fortunę swoją i serce u stóp zawsze uwielbianej Adeli. Wnet jednak po przybyciu do Lwowa, jest świadkiem na reducie skandalicznej sceny pijackiej, w której Adela, otoczona gronem oficerów, główną odgrywa rolę. Zrozpaczony, wyrzeka się zamiaru poślubienia jej i poczyna wkrótce potem zabiegi o rękę cnotliwej Hani, córki pp. Sieniawskich. Hania, której pierwszą miłością był Kamil, zgadza się chętnie i już omal nie przyszło do ślubu, gdy wtem okazuje się, że ojciec Hani, p. Sieniawski, jest rodzonym bratem ojca Kamila, pana Łaskiego, że więc małżeństwo pomiędzy stryjeczno-rodzonymi Kamilem i Hanią jest niemożliwe. Biedna Hania zostaje znowu na razie na lodzie, a rozgoryczony Kamil wyjeżdża na wieś do ojca. — Tu błądząc w rozmarzeniu po górach, zatopiony w myślach o przeszłości i promiennych uczuciach lat młodzieńczych, spotyka nagle nad owym Jarem pogańskim Dziwożonę — Adelę. Ona bowiem, skompromitowawszy się haniebnie w oczach Kamila na reducie lwowskiej, a widząc w nim jedyny ratunek wobec grożącej jej materyalnej ruiny, przybyła także do dawnej swej siedziby, aby tu zastawić ponowne sidła na swego pierwszego kochanka. I udaje się jej cudownie. Kamil, który Hani wcale nie kochał, Adelę zaś kochał zawsze namiętnie, dał się jej pociągnąć. W skromnym kościółku wiejskim odbył się tedy ślub Dziwożony z milionowym „demokratą“, lecz kiedy państwo młodzi, jadąc do siebie, przebywali, pomimo przestróg, karkołomny mostek nad Jarem pogańskim, mostek się zawalił i powóz z państwem młodymi, końmi i stangretem runął w przepaść. Kamilowi nic się nie stało, lecz Dziwożona zginęła na miejscu. — Kamil także nie na długo ocalał, bo w parę lat później postradał życie gdzieś we Włoszech.

A cóż się stało z owym przedstawicielem arystokracyi, Edmundem? — Dla niego los był łaskawy. Wyrzekłszy się bowiem wszelakich przesądów, poślubił cnotliwą Hanię, córkę skromnego archiwisty, pana Sieniawskiego, i odtąd płynęło mu życie wśród ciszy i świetlanej pogody...

Takie były dziwaczne losy owych dwóch przedstawicieli młodego pokolenia z przed roku 1846, którzy wedle zamiaru autora

mieli być „typami tych sławnych marzycieli społecznych, za młodu obiecujących tak wiele, posiadających niezaprzeczone zdolności, a nie mogących wyjść z błędnego koła niewczesnych sporów o czcze teorye lub martwe przesądy“. W wykonaniu zamiar autora nie został osiągnięty, bo niepodobna dopatrzeć w Edmundzie cech istotnego arystokraty, ani też uznać w Kamilu rzeczywistego przedstawiciela idei demokratycznej. W dysputach, jakie ci młodzieńcy z sobą ustawicznie toczą, przeważa czcza frazeologia; zasady ich nigdy i w niczem nie przebijają się w działaniu, w czynach. A przedewszystkiem Kamil jest w całem swem życiu wahającym się, ciągle się zrażającym i zniechęcającym najmniejszą trudnością, a już zgoła bezsilnym w obec złej, przewrotnej, zepsutej do szpiku kości kobiety, której nędzę moralną doskonale widzi. On od początku obiecuje nie wiele, nie zdradza się z wyższymi przymiotami ducha, popełnia czyny występne bez wahania i wyrzutów sumienia, najhaniebniej korzysta ze wspaniałomyślności przyjaciela, któremu płaci za to nienawiścią, a gdy kraj opuszcza na zawsze, przesyła ojczyźnie swojej — przekleństwo! Wszystkie cienie rzucił Kaczkowski na tego przedstawiciela idei demokratycznej, daleko zaś więcej światła skupił na postaci arystokraty Edmunda, który chociaż także nie zbyt wygląda na przedstawiciela wyższych warstw społecznych, zdobywa się wszakże na czyny szlachetne i wspaniołomyślne, umie być dobrym przyjacielem dla nieznośnego Kamila, umie zapominać uraz i przebaczać wyrządzone sobie krzywdy, a wreszcie zwycięża „przesądy“ i w skromnej Hani uznaje wyższość jej umysłu i serca.

Takie ustawienie głównych postaci w powieści, nie może być oczywiście sprawą mimowolnego przeoczenia, — jest w tem tendencya, przebijająca się ponadto wyraźnie we wszystkich ustępach, gdzie jest mowa o demokracyi w ogóle, o roku 1846 i jego następstwach, o paryskiem Towarzystwie demokratycznem. — Widzieliśmy już, jak wpłynęło na Kaczkowskiego dwuletnie więzienie, przebyte wskutek wypadków r. 1846. Temu wpływowi przypisaliśmy widoczne zniknięcie Kaczkowskiego z widowni politycznej w roku 1848; ten wpływ oddziałać też musiał na wytworzenie w umyśle jego takich postaci, jak Kamil w „Dziwożonie“, lub „Drabik“ we „Wnuczętach“. Powieści te, pisane w r. 1854, poczęły się również pod wrażeniem atmosfery Krakowa, gdzie Kaczkowski właśnie podówczas przebywał, i towarzystwa takich ludzi, jak Franciszek Wężyk i Koźmianowie. To już samo przez się wyjaśnić nam może, dlaczego gorliwy uczestnik wypadków 1846 r.

kolega Gosslara, przyjaciel Wiesiołowskich, taką niełaskę okazał Kamilom i Drabikom, a wszystkie światła skupił nad głową szlachetnego arystokraty, Edmunda. Po wielu latach, gdy Kaczkowski z powodów, które przytoczymy później, zapałał srogą do krakowskiego stronnictwa nienawiścią, wyrazem czego była „Teka Nieczui“,— zaczął on znowu wypowiadać się z entuzyazmem o „spiskach“, w niedrukowanych notatkach, przeznaczonych do niewydanego II. tomu tej „Teki“. Najwybitniejsze ustępy z tych zdań przytoczyliśmy w pierwszym rozdziale pracy niniejszej.

Wedle relacyi Kaczkowskiego, którą podaliśmy powyżej, Zygmunt Krasiński miał przypuszczać, że autor „Dziwożony“, kreśląc postać Edmunda, na nim się wzorował. Niepodobna się domyśleć, w czem twórca „Nieboskiej“ mógł dopatrzeć swoje podobieństwo z Edmundem. Uczynił tem niewątpliwie zaszczyt Edmundowi, a zapewne autorowi przyjemność, lecz siebie niepomiernie skrzywdził. — Edmund. to człowiek niewątpliwie w gruncie szlachetny i wspaniałomyślny, ale w swem usposobieniu nie mający nic poetycznego, nic, coby znamionowało wyższy nastrój ducha. Krasińskiego mógł chyba na nieprawdopodobny domysł naprowadzić ten ustęp powieści, w którym Edmund, w dyspucie z Kamilem, cytuje wiersz z „Psalmu dobrej woli“:

„Tyś odważny, — ja się boję
Kazirodczych ran.
Bojaźń moją — męztwo twoje
Niech osądzi Pan!“

Czterotomowa powieść p. t. „Wnuczęta“, pisana w r. 1854, ukazała się w druku w następnym roku, wywołując pochlebne oceny, a między innemi entuzyastyczne pochwały w „Gazecie Warszawskiej“ [1]). — Pochwał tych niepodobna podzielać. Jest to jeden z najsłabszych Kaczkowskiego utworów, jakkolwiek dyktowany głębszą myślą krytycznego przedstawienia wad i ułomności „wnucząt“ w obec tężyzny i dzielności charakteru „dziadów“. Przedstawicielem tych „dziadów“ jest sędziwy hr. Dęboróg, mający pełne usta rozmaitych historyczno-genealogiczno-herbowych opowieści, a w rzeczywistości grzeszący nadmierną słabością względem lekkomyślnego i marnotrawnego syna, hr. Amilkara. Pośrednią warstwę pomiędzy „dziadkami“ a „wnuczętami“ stanowią niezbyt wyraźnie określone typy Niemiry, hr. Racibora, szachraja barona i inne. Wreszcie smutnymi reprezentantami „wnucząt“ są

[1]) Nr. 248, 274, 276, 280 z r. 1855.

dorobkiewicz Edward, wnuk kucharza-złodzieja, i nauczyciel, niby „opiekun ludu“, nikczemny, zdradziecki Drabik, wreszcie szlachetny mazgaj Lolo. Innych postaci jest mnóstwo, a wszystko to, wraz z wątkiem powieści, gubi się i tonie w powodzi opisów, szczegółów i szczegółików, rezonowań i dygresyj. Każda postać podlega zaraz przy swem ukazaniu się drobiazgowemu opisowi swej powierzchowności, ubioru i t. d. Tak samo szczegółowo opisane są okolice, domy, wewnętrzne ich urządzenie i wygląd zewnętrzny, a że tych postaci i siedzib ich jest mnóstwo, więc i część opisowa zajmuje większą połowę powieści, tworząc nieopisany chaos, a nie przyczyniając się bynajmniej do plastycznego zobrazowania całości, pełnej przytem niezwyczajnych wydarzeń, nieprawdopodobnych a niby tragicznych sytuacyj, które jednak wcale nie wzruszają. Prawie wszystkie z wprowadzonych do powieści osób giną marnie. Sędziwy hr. Dęboróg pada rażony apopleksyą, przekonawszy się, że skarb familijny, przechowywany z pietyzmem przez kilka pokoleń, został z trumny pradziadka skradziony. Zacny hr. Racibor ginie wśród zamieci śnieżnej u wrót pałacu zrujnowanej hr. Amilkarowej, w której od lat szeregu platonicznie się kocha; ginie w chwili, gdy wiezie dla niej pieniężny ratunek. Hr. Amilkar, opuściwszy żonę i uroczą, pełną naiwnej słodyczy córeczkę Munię, umiera gdzieś za granicą w nędzy. Munia, w której się kocha mazgajowato papinek Lolo, dostaje obłąkania. Nikczemny Edward, wnuk kuchcika-złodzieja, omal już się nie rehabilitował w naszych oczach dzielnością swą rycerską, w wojsku, do którego wstąpił, lecz w jakiejś utarczce z nieprzyjacielem „rozsiekany został w puch“ na Węgrzech. Majątek jego zagrabił, sfałszowawszy z pomocą Drabika testament, rządca jego, Kopytkiewicz, Drabik zaś także doszedł do własności ziemskiej i przezwawszy się Drabickiem, zaczyna udawać pana. — Ci jeszcze wyszli najlepiej.

Do galeryi postaci niewieścich przybyło kilka — nie nowych: rozpustna baronowa i mściwa Ernestyna, to z pewną lekką odmianą, senatorowa i marszałkowa z poprzednich powieści. Zacna, kochająca się platonicznie w hr. Raciborze, Amilkarowa, narysowana blado, nie tworzy odrębnego typu, a nieszczęśliwa Munia staje w rzędzie znanych nam już dobrze uroczych naiwności, które chyba dopóty mogą być urocze, dopóki młode, a banalną swą naiwnością tworzą jedną, mało charakterystyczną, bladą grupę. W ogóle kobieta jest dla Kaczkowskiego wieczystą zagadką, nie do rozwiązania problemem. Sama przez się niezdolna jest ona zająć miejsca w społeczeństwie, jeśli cnotliwa, biernością swą ni-

komu nie przynosi pożytku, dla nikogo nie jest dźwignią; natomiast jest szkodliwa i bez wahania wyrządza krzywdy, jeśli zła z natury, a życie nauczyło ją rozpusty. Ale nawet w złem rzadko zdobywa się na samodzielne działanie, najczęściej jest narzędziem w ręku złego mężczyzny, lub wpływów przewrotnego otoczenia; — usprawiedliwieniem jej, jest zawsze jej bezgraniczna słabość. — Obudza ona wszakże w sercu mężczyzny ową „siłę fatalną“ — miłość. Ale ta miłość, działająca najczęściej znagła, jak uderzenie piorunu, ma niemal zawsze siedlisko swe w zmysłach, jest tylko żądzą, nie opartą na wyższych zaletach czy to umysłu, czy charakteru kobiety.

Wszystkie powyżej wzmiankowane powieści współczesne, „Bajronista“, „Dziwożona“, „Wnuczęta“, powstałe około 1855 r., grzeszą przedewszystkiem nadmierną rozwlekłością, wadliwą budową, a chociaż odznaczają się stylem, miejscami, zwłaszcza w opisach przyrody, dość barwnym, oszpecone są rażącymi, już nieraz wytkniętymi przez nas, błędami gramatycznymi i wykroczeniami przeciw duchowi języka. Czwarty przypadek z przeczeniem, takie usterki, jak „dwie godzin“, takie germanizmy, jak „zrobić kogoś uważnym“. „być przeszkodzonym“ i t. p. powtarzają się stale, a wydarzają się też okropne „rusinizmy“, jak n. p. najbardziej rażący w „Dziwożonie“, gdzie w jednem miejscu czytamy, jakto Kamil „zkocił się“ (t. zn. „stoczył się“) na dno pogańskiego Jaru. [1])

Powieści te pisał Kaczkowski przeważnie w Bereźnicy. We Lwowie nie pokazywał się wcale, zrażony zapewne obiegającemi o nim plotkami z powodu jego romansowych przygód. Zamiłowanie Lwowa w plotkarstwie napiętnował też Kaczkowski w „Dziwożonie. „Plotki — powiada — w tem mieście stały się rzeczą tak zwyczajną, że się jako nierozerwany od niego epitet połączyły z jego nazwiskiem.“ W dzień chmurny i zimny — pisze dalej — „Lwowianie zapalają czem prędzej swoje plotkarskie latarnie i z taką skwapliwością latają z niemi po ulicach i domach, że aż się całe miasto za nimi obraca.“ Wszyscy nie Lwowianie „aż wzrok tracą od tych strasznych jasności i całkiem oślepieni powracają do domów.“ [2])

Otóż Kaczkowski uciekł zapewne także przed tą jasnością „latarń plotkarskich“ do Krakowa, zkąd wygnany wiadomemi już nam zajściami, po niedługim pobycie za granicą, szukał schronie-

[1]) str. 387. Wydanie Józefa Ungra w Warszawie 1874 r.
[2]) l. c., str. 155.

nia w Bereźnicy, gdzie po śmierci energicznej babki sam prowadził gospodarstwo z pomocą rządcy, niejakiego Janiszewskiego z Królestwa.

D. 16 lutego 1856 r. donosi jednemu ze swych przyjaciół, że kończy „Stacha z Kępy“ i układa obszerniejszą powieść p. t. „Grób Nieczui“, albo „Duch Nieczui“ [1]), zaczętą, jakeśmy to już widzieli, jeszcze w jesieni 1854 r. w Krakowie. Jest jednak widocznie zgorżkniały i w jednym z następnych listów, donosząc przyjacielowi o zachorowaniu matki, użala się na swoich antagonistów i pomawia ich o zazdrość. „Wiedzą, — pisze — że zarabiam 20.000 złp. co roku“, ale też pracuje przy stoliku 12—14 godzin. „Zazdroszczą mi — dodaje — niezawisłości od nikogo i niczego, bo oprócz tej pracy i trochę talentu, mam jeszcze 1000 morgów własności, co mi drugie tyle przynosi.“

W czerwcu 1856 r. Kaczkowski silnie zapadł na zdrowiu, na którem widocznie odbiły się fatalnie przebyte strapienia. Zachorował na obrzmienie wątroby, śledziony i rozstrój nerwowy. Dla kuracyi wyjechał do Karlsbadu, gdzie czas spędził przyjemnie, zawiązawszy bardzo serdeczne stosunki z Koroniarzami, zkąd też wywiązały się plany podróży do Warszawy. O tym swoim pobycie w Karlsbadzie, Kaczkowski, lubiący się chwalić znakomitymi stosunkami, pisze do p. Liskowej dnia 21 maja 1891: „W r. 1856 przepędziliśmy z sobą (z ks. Augustem Sułkowskim) cały sezon w Karlsbadzie, gdzie wówczas zgromadziło się było towarzystwo bardzo świetne: lord Granville, dopiero co zmarły lord Ponsonby z Anglików, z Francuzów: Xiążę Persigny i Xiężna Sagan w bardzo licznem otoczeniu swoich rodaków, dwóch niemieckich poetów Laube i Meissner, a z Polaków: Ludwik Wołowski, Henryk Choński, kasztelan Wężyk i Henryk Rzewuski. Dom Xięcia Augusta był głównem zbiorowiskiem dla wszystkich; tam poznałem także sławną wówczas z piękności panią Szwajkowską (sic), dzisiejszą Xiężnę de Noailles. *Tempi passati!* Dzisiaj już tylko Xiężna de Noailles i ja jeszcze się błąkamy po świecie.“ [2])

Powróciwszy do Bereźnicy, wziął się usilnie do pracy nad „Grobem Nieczui“; spodziewa się też, że powieść ta stanie wyżej od „Murdeliona“ i „Braci ślubnych“. Równocześnie przygotowuje „kompozycyę większą p. t. „Ubodzy“ i czyni dalsze studya „do czasów Kazimierza Jagiellończyka i Jana Olbrachta“. — Wśród

[1]) „Wędrowiec“, 1896 r., Nr. 42.
[2]) Zbiór Bibl. Ossol. Ms.

tej pracy gniewają go wszakże krytyki Kraszewskiego i Siemieńskiego. Kraszewski — pisze do jednego z przyjaciół — wystąpił w lwowskim „Dzienniku Literackim“ przeciw Polowi za „sponiewieranie dzisiejszej literatury. I to jest bardzo ładnie. Ale to nieładnie, że Kraszewski w całym szeregu artykułów krytycznych rzuca anatemy na mnie za wszystko, com napisał. Gani także Rzewuskiego i mnie do niego przyciąga“. Autor „Braci ślubnych“ nie myśli tego puścić płazem. „Chcę — pisze — odpowiedzieć na zaczepki Siemieńskiego i Kraszewskiego... Gdyby napaści nie miały ustać, dłużej milczeć nie będę.“ Napisał jednak przedtem do redaktora „Gazety Warszawskiej“ Lesznowskiego i jeszcze do kogoś innego do Warszawy, a nareszcie do Syrokomli, jako Kraszewskiemu najbliższego. „W tych listach — dorzuca — zwróciłem uwagę, „że mogę mu się odpłacić tą samą monetą i mam szerokie pole dla złośliwego pióra, od powieści Kleofasa Fakunda Pasternaka, aż do „Sfinksa“, „Komedyantów“, a nawet „Dwóch światów“. „Na popularność Kraszewskiego nie będę się oglądać!“ — grozi.

Wszystko to dowodzi, jak czułym był Kaczkowski na wszelką krytykę. I znowu w roku następnym w liście do przyjaciela z d. 5 kwietnia 1857 r., donosząc, że epilog „Grobu Nieczui“ wysłał już do Lesznowskiego, i że „Bajronista“ jest już w handlu księgarskim we Lwowie, użala się, że „Dziennik Literacki“ wydrukował na tę książkę paszkwil, a nawet paszkwil na moją osobę, obwiniając o niechęć dla własnego społeczeństwa. Krytykę pisał Dzierżkowski.“ [1])

Że autorowi mogła się niepodobać krytyka „Bajronisty“, to łatwe do pojęcia; trudno jednak przyznać, aby to był paszkwil na tę powieść, lub na osobę autora. Z tą oceną „Bajronisty“, zamieszczoną w „Dzienniku Literackim“ [2]), dziś każdy chyba zgodzić się musi. Zarzucono w niej autorowi, że „jest wielbicielem życia salonowego“ i że szczegółami tego życia powieść przeciążył; że epoki, o której pisze, nie zna zupełnie, że taki salon księżnej Liwii nie mógł podówczas (przed 1831 r.) istnieć, że postać głównego bohatera jest najzupełniej chybiona, że w całości przebija się nieszczerość i maniera, że postacie napoleońskiego żołnierza Chrewty i syna chłopskiego Stefana są tendencyjnie nieraz wypaczone, że wreszcie niewłaściwem jest przebranie niegodziwca Kru-

[1]) „Wędrowiec“ l. c.
[2]) Nr. 43 i nast.

cia w — czamarkę. Pomimo tych zarzutów autor przyznaje powieści wiele stron dodatnich, widzi w niej wiele typów drugorzędnych dobrze schwyconych, wiele scen kreślonych z życiem i prawdą. — Że Kaczkowski w tej recenzyi, bardzo zresztą obszernej i dokładnej, upatrzył „paszkwil“, to tylko znowu świadczy o wielkiej jego drażliwości na wszelką krytykę.

Czy autorem tego rozbioru „Bajronisty“ był Dzierżkowski, stwierdzić trudno, artykuł bowiem oznaczony jest tylko na końcu cyfrą 9. Taką samą cyfrą podpisał się autor recenzyi „Stacha z Kępy“, w temże samem piśmie zamieszczonej [1]), — recenzyi niezmiernie, niewątpliwie nad zasługę, pochwalnej. Autor tej krytyki, jakkolwiek nie jest zwolennikiem powieści ludowych i nie uznaje ich pożytku, to jednak twierdzi, że „Stach z Kępy“ jest „ważnym nabytkiem dla naszej literatury powieściowej“. Jeżeli jednak gdzie, to właśnie w tej powieści znać „wymuszenie i manierę“, a w postaciach starego plebana i dziedzica wioski z jednej strony, z drugiej zaś w postaci wikarego, możnaby się dopatrzeć pewnej tendencyi społecznej. W każdym razie trudno pomówić chwalcę „Stacha z Kępy“ o chęć pisania paszkwilu na „Bajronistę“ i jej autora.

W tymże roku 1857 wyjeżdżał Kaczkowski, zapewne w interesach, na Węgry, zresztą siedział w Bereźnicy, lecząc rany serca i ambicyi autorskiej. Dopiero w lutym 1858 r. pojawił się we Lwowie, pod tą bowiem datą zanotował w swych zapiskach Karol Estreicher: „Kaczkowski Zygmunt przyjechał do Lwowa po długoletniej nieobecności“ [2]), łącząc z tą wiadomością uwagę o owych „romansach“ powieściopisarza, które zakończone nieprzyjemnemi zajściami, stały się zapewne powodem tej „długoletniej nieobecności“.

Pobyt we Lwowie trwał jednak nie długo, bo już d. 28 maja 1858 r. wysyła on z Bereźnicy list obszerny do przyjaciela swego Seweryna Smarzewskiego, mieszkającego podówczas ze swą niedawno poślubioną żoną, Józefą z Drzewieckich [3]), w Tułkowicach, w powiecie mościskim. List ten, który rozpoczyna długoletnią korespondencyą obu przyjaciół, jest odbiciem miłych wrażeń doznanych

[1]) Nr. 12, 13 i 14.

[2]) Ms.

[3]) Seweryn Smarzewski, niepospolity obywatel i parlamentarzysta, poseł na sejm rakuski w Kromieryżu 1848 r., później poseł na sejm krajowy galic. i do Rady państwa, prezes Towarzystwa gospod., prezes Rady powiatowej mościskiej, właściciel wsi Tułkowic i Myślatycz, w tymże powiecie.

przez Zygmunta w serdecznem ognisku domowem pp. Smarzewskich. W zestawieniu z tem szczęściem domowem, jakie tam widział, mniej już podobały mu się inne domy w sąsiedztwie, a w Bereźnicy jest mu nudno, coraz nudniej, zwłaszcza, że gospodarstwo idzie nie sporo. Żyto całkiem chybiło, jeden kawałek trzeba będzie nawet przeorać, a konicz podsiewać; pszenica tylko tyle, że jako tako się trzyma. Takie same rezultaty są niemal wszędzie w sąsiedztwie, a w samborskiem nie o wiele lepiej. „Jednak u mnie — dodaje — strata jest o tyle większa, o ile z większym kosztem i pracą przyszedłem do możności porobienia takich zasiewów.“ W tym liście, pełnym innych jeszcze szczegółów gospodarskich i utyskiwań, donosi Kaczkowski przyjacielowi, że „znalazł jeszcze jeden „medalion“ (jaki?) i jeden egzemplarz „Bajronisty“, które mu jednocześnie posyła. Zapowiada też „przesyłkę innych książek, skoro nadejdą, a to, „abyś o mnie pamiętał. Tyle to podobno — dodaje — prawdziwej przyjaźni w tem życiu, ile jej pozostało w młodości. W późniejszych latach nie zawiązują się już takie węzły serdeczne. Trza było mieć tyle serca i życia, ileśmy mieli niegdyś, ażeby dziś jedna chwila mogła sześcioletnią przerwę tak zatrzeć, jakby jej nigdy nie było. Mnie się dziś zdaje, że nasze stosunki przyjazne ani na chwilę się nie przerwały: wczoraj jedliśmy z sobą ostatni obiad u Żorża, — dziś byłem w Tułkowicach, — chociaż ten obiad jedliśmy w r. 1851, a dzisiaj mamy rok 1858. Jakaż to przestrzeń ogromna! a ileż w niej zdarzeń!“

W dalszym ciągu tego listu zaprasza Kaczkowski serdecznie Smarzewskiego, by przyjechał do niego do Bereźnicy, sam bowiem nie tak łatwo będzie mógł się wyrwać z domu, gdzie przynajmniej cztery tygodnie posiedzieć musi. „W każdym razie — dodaje — potrzeba będzie coś pisać. Zanadto się rozbryzgnąłem w autorskim zawodzie, ażeby ztąd nie wynikał dla mnie rodzaj niewoli. Znowu się tam w Warszawie zawiązało jakieś przedsiębiorstwo taniego wydawnictwa xiążek, — rzecz bardzo ważna, a nawet konieczna — nie można temu nie dać pomocy, a pomoc taka, to kilka miesięcy czasu.“

W końcu tego obszernego, a niezwykle serdecznego listu, podającego oprócz szczegółów gospodarskich, drobiazgową marszrutę z Tułkowic do Bereźnicy, znajdujemy jeszcze następującą wiadomość literacką:

„W ostatnim numerze Kroniki Warszawskiej jest wiadomość o oznaczyć się mającem premium we Lwowie na dramat; wiadomość ta jeszcze niedokładna, ale potwierdza Twoje zdanie, że jest

w publice pragnienie dramatu, zwłaszcza, że i w Warszawie takie premia już ogłoszone. Lubo dyplomacya autorska nie każe takiemu konkurować o premia pojedyńczych, który dostał już premium od powszechności, a w skutek tego i ja o żadne premium podobne konkurować nie myślę; zaczynam się jednak coraz więcej zapalać do dramatu, bo widzę, że rzecz taka byłaby bardzo na czasie." [1])

Od tej chwili istotnie, jak to w dalszym ciągu obaczymy, Kaczkowski myślał stale o napisaniu wielkiego historycznego dramatu, zbierał materyały, czynił studya, a nawet przez prasę przedostało się do publicznej wiadomości, że Kaczkowski pracuje nad dramatem z czasów Bolesławowskich.

Do tego samego przedmiotu wraca on znowu w następnym liście do Smarzewskiego z d. 21 lipca 1858. „Jestem teraz, — pisze — że tak powiem, oplastrowany dramatami. Powróciwszy z Tułkowic, zacząłem studya i jak mam zwyczaj od niejakiego czasu, zacząłem od samego początku. Przeszedłem więc Greków, których miałem pod ręką w tłumaczeniach niemieckich, a pominąwszy tych, z którymi jako ze służbą nie potrzebuję rozmawiać, kiedy się mogę bezpośrednio porozumiewać z Panami, wziąłem się do Szekspira, Goethego i Szyllera. Nie wiem jeszcze, czy się to na co przyda, czy nie, (zawsze coś zostanie) ale to pewna, że sama myśl ta tak jakoś mnie ożywiła, jak gdyby mi się świat jakiś nowy otworzył. Czytam też dziwnie łakomo i to nie tylko do tego stopnia, że już nawet dzienników nie czytam, tylko sobie każę zdawać z nich sprawę bawiącemu u mnie Zachariasiewiczowi, ale nawet do tego, że jakiś Schauspiel Goethego, który mnie dawniej dławił przy drugiej scenie, teraz mnie tak zajmuje, jakby rzecz najprzedniejsza. Z tem wszystkiem wszakże teraz dopiero odbiłem od brzegu, widzę przed sobą morze, ale jakie to morze, jak daleko do lądu, rzecz niewiadoma. W każdym razie nim się wezmę do czegoś (jeżeli się wezmę), niemało jeszcze czasu upłynie. Najpierwej bowiem trza bardzo dużo przeczytać, przeczytane trza strawić, a potem trzeba znów czytać, ażeby znaleźć tę okruszynę, z której się ma coś zrobić. A to podobno nie będzie łatwo. Szukali już inni przedemną i nie wiele znaleźli. Korzystać po prostu z ich wynalazków nie chcę, przynajmniej nie chcę zaczynać od tego, — a rozumieć o sobie, że będę miał szczęście Kolumba, chcę sercem, ale nie mogę rozumem. Z takiem na teraz usposobieniem błąkam się po czasach Bolesławowskich. Wziąłem naturalnie najpierw Bol. Chro-

[1]) Ms.

brego, i jeszczem nic w nim nie znalazł, czemby mi do moich teraźniejszych szufladek przypadał; mimo to jednak nie tracę wcale nadziei, bo jak Bol. Chrobry sam może jutro mi się pojawić w dramatycznej postaci, tak znowu wiem o tem aż nadto dobrze, że bohaterem dramatu nie koniecznie być musi ten, który podówczas siedział na tronie, ani nawet koniecznie ten, którego imię i czyny zapisał Gall albo Bielski. Jest zresztą i w Bielskim, oprócz Chrobrego, cała garść Bolesławów, jak Władysław Biały, którego już nadpoczął Magnuszewski i Wężyk (w Bezkrólewiu), jest nareszcie Kazimierz Mnich, którego tak gorąco rekomenduje Goethe. Tak sądzę, że jeśli będzie wszystko inne po temu, to i wynalazek się znajdzie, — ale, jak mówię, do tego lądu jeszcze mi bardzo daleko, bo cobądź się tam stanie, muszę pierwej całe to morze studyów przepłynąć, a morze to, choćby dzięki mojej metodzie robienia studyów, skutkiem której zawsze się chcę uczyć tylko od samych nauczycieli, nie było bardzo szerokie, to zawsze jest dosyć głębokie, a na głębinach płynie się pomału".[1])

Minął jednak od tego czasu przeszło rok cały, a dramat nawet rozpoczęty nie został. W liście z d. 20 września 1859 r., pisanym także do Seweryna Smarzewskiego, znajdujemy o tem jeszcze jedną, już jednak pełną zniechęcenia wzmiankę.

„Z dramatami z czasów Piastowskich dziwna jest sprawa. — wyznaje w tym liście Kaczkowski. — Przez drzwi boczne wchodzić się nie chce, a przez główne nie można. Z Bolesława Chrobrego dramatu niema, ze Śmiałego jest, ale nie na scenę, a z Kazimierza Mnicha także jest, ale tylko natenczas, jeżeli Masław mazowiecki, buntownik, stanie się główną figurą. Mieszek otruty, Zbigniew nieprawy, to wszystko dramatyczne figury, ale nie na dramat pierwszy, tylko przynajmniej drugi. Czy mi to ktoś powiadał, czym gdzieś czytał, że Goethe chciał zrobić dramat z Kazimierza Mnicha. Ciekawą byłoby rzeczą wiedzieć, jak on te sprawy pojmował. Czy nie słyszałeś co o tem? Cóżkolwiekbądź, jakoś się trzeba będzie przybrać do tego, — ale pierwej trza puścić albo powiastkę z tych czasów, albo artystyczne wejrzenie w te czasy, bo jest wiele względów, które się w dramacie wypowiedzieć nie dadzą, a o które trzeba się porozumieć z publiką." [2])

Ani powieść z tej epoki, ani dramat nie wyszedł jednak z pod pióra Kaczkowskiego. Skończyło się na pięknych projektach. Był

[1]) Ms.
[2]) Ms.

on zresztą w tych czasach innemi także sprawami zajęty. Smarzewski, widocznie bardzo serdecznie dla niego usposobiony, chciał go koniecznie wciągnąć do pracy obywatelskiej i w tej niewątpliwie myśli, za pośrednictwem hr. Kazimierza Krasickiego, wyrobił mu nominacyę na członka lwowskiego Towarzystwa rolniczego. Dla Kaczkowskiego, który się o to bynajmniej nie ubiegał, było to istotną niespodzianką. Pisze o tem jednak do przyjaciela dość chłodno: „Nominacya na członka Towarzystwa agr. Lw. już otrzymana przezemnie, stała się dla mnie aż do otrzymania Twojego listu zagadką. W samej istocie rzeczy nie prosiłem Cię o to, nie idzie wszakże za tem, aby mi to było nie na rękę; przeciwnie, bardzo się tem cieszę. Spowoduje mnie to może do jakiej przez te wrota czynności. Tymczasem zaś ciekawy jestem, jak poszło głosowanie? Chciałbym także wiedzieć, czy należy się napisać list do Kazim. Krasickiego, dziękujący mu za przedstawienie?“

Nie myślał też Kaczkowski pozostać biernym członkiem Towarzystwa. Od razu snuje szerokie plany i Smarzewskiemu je przedstawia. Będąc w roku zeszłym na Węgrzech, przypatrywał się istniejącej tam instytucyi pod nazwą „Pester Lloyd“ i podobała mu się jej działalność. Bierze też pod uwagę projekt Kornela Krzeczunowicza założenia Banku obywatelskiego we Lwowie, a otrzymawszy nominacyę na członka Towarzystwa rolniczego, poczuwa się do obowiązku „coś robić i zrobić, i coś pozostawić po sobie“. Ze względu przytem na pomyślniejszą konstelacyę polityczną i przychylność okazaną Polakom przez Austryę, należy z tego koniecznie korzystać. Kaczkowski poddaje przeto myśl, ażeby Towarzystwo „ufundowało teraz instytucyę taką, któraby była czemś więcej, niżeli dotąd było Towarzystwo, była pożyteczną na teraz i stała się na przyszłość zawiązkiem, mogącym swoje znaczenie, czynność i pożyteczność przy szczęśliwych okolicznościach rozprzestrzeniać do nieskończonych miar i zakresów“. — „Mojem tedy zdaniem — pisze dalej Kaczkowski — trzebaby przedewszystkiem pochwycić już rzucony projekt Krzeczunowicza i dołączyć do niego tylko Dziennik polityczno-ekonomiczny, urządzony na skalę, odpowiednią interesom Banku, Towarzystwa i zresztą potrzebom czytającego ogółu.“ — Kaczkowski jest przekonany, że „instytucya taka stałaby się w położeniu naszem fundamentem do olbrzymiej na przyszłość budowy“, wsiąknęłaby w siebie wszystkie sprężyny życia kraju, stałaby się „potężnym i wspaniałym organem, nadającym ton całej prowincyi“. — Ta myśl tak go zajęła, jak przedtem myśl o dramacie i jak pierwej wziął się do studyowania całej literatury dramatycznej, tak teraz sprowadza sobie statuty wszystkich instytucyj podobnych, a skoro je otrzyma i przestudyuje, zabierze się wnet do ułożenia całego planu, zastosowanego, bez wszelkich złudzeń, do naszych sił i położenia. Radzi przeto Smarzewskiemu, by wysondował opinię ludzi kompetentnych, pomówił o tem z ks. Adamem Sapiehą i Kazimierzem Krasickim, a on następnie plan swój, należycie opracowany, do Tułkowic przywiezie, „chociażbyśmy mieli tę myśl przy herbacie pogrzebać“. Ufa jednak, że w kraju dobrych chęci nie zabraknie, potrzeba tylko inicyatywy, „potrzeba człowieka, któryby primo dał ognia tak głośno, ażeby się wszyscy zbudzili, — a secundo, któryby jednocześnie ciężar takiego projektu wziął w znacznej części na własne barki i poszedł naprzód“. „Ja sam — dodaje — działo sporządzę, nabiję i strzelę, a nawet nie wahałbym się władować natychmiast tyle czynności na moje barki, ileby się na nie zmieściło.“

Pisząc to Kaczkowski, miał niewątpliwie jak najlepsze zamiary i widoczny zapał do pracy obywatelskiej na szerszej arenie, obudzony ową nominacyą na członka Towarzystwa rolniczego. Ale plan ten cały, zdaje się, istotnie przy herbacie pogrzebany został, czy też może zgoła do opracowania go nie przyszło, bo odtąd głucho o nim zupełnie.

Natomiast gospodarstwo rolne nie przestaje go jeszcze interesować; wyraża radość, że zboża w Bereźnicy znacznie się poprawiły, ale zarazem narzeka, że dom ma lichy i nie ma gdzie przyjąć należycie gości, którzy go licznie nawiedzają, „bo trza ci wiedzieć, — pisze — że lubo umiem wybornie dać jeden wieczór lub obiad jeszcze do tego w mieście, tak znowu na wsi i dla gości codziennych jestem gospodarzem najgorszym. Staropolską mam kuchnię, a nowomodną piwnicę, — czy może być większy postrach na gości? Ale to wszystko jakoś nic nie skutkuje, — jakoż i teraz, kiedy to piszę, śpi na drugiej stronie J. K. Turowski, który przyjechał z propozycyą, ażebym przejął na siebie wydawnictwo Biblioteki Polskiej, i kilku innych, którzy przyjechali bez propozycyi, i tylko się dziwili, spać idąc, że dosiedzieli do samej północy w gościnie i preferansa nie grali“. [1])

Z następnych jednak listów do Smarzewskiego z d. 28 września i 24 października 1858 r.[2]) okazuje się, że Kaczkowski już

[1]) List do Seweryna Smarzewskiego z Bereźnicy z d. 21 lipca 1858 r. Ms.

[2]) Ms.

się do Bereźnicy i tamtejszego gospodarstwa „wśród gór i na glinkach“ mocno zniechęcił. Powziął myśl wydzierżawienia od pani Tyszkowskiej wsi Pakoszówki, „jednej z najlepszych w tym obwodzie“. Prosi też Smarzewskiego, aby go zawiózł do Rybotycz do Józefa Tyszkowskiego, gdyż bez jego interwencyi matka nie zdecyduje się na puszczenie owej Pakoszówki w dzierżawę. A na tej dzierżawie wielce mu zależy, w Bereźnicy bowiem, pomimo względnych urodzajów i pomnożenia inwentarzy, jest tak, że jak się zrobi „ostateczny rachunek, pokaże się, że te wszystkie urodzaje i inwentarze on sam kupił i to za drogie pieniądze“. Może być, że kiedyś będzie jakaś intrata, — „ale do tego wszystkiego trzeba świętej cierpliwości, siedzenia kołkiem w domu i dobywania intrat na innej drodze, co go wszystko zabija“. — „Ciężki to kawałek chleba — narzeka — z gospodarstwa na ziemiach tego gatunku. Mnóstwem pieniędzy, żelazną pracą i świętą cierpliwością wszystkiego dokazać można, — ale czy stanie skórka za wyprawę, to inne pytanie“. Gdyby wzięcie Pakoszówki w dzierżawę się udało, naówczas przeniósłby się on tam na mieszkanie „z wyborem inwentarzy“, a „gospodarstwo Bereźnickie zmieniłby pod dowództwem Janiszewskiego na inną, po prostu, skromną i li tylko dochodową skalę.“ Na przeniesieniu do Pakoszówki zyskałby jeszcze i to, że kiedy już „wlazł w gospodarstwo“, to miałby tam obszerne i niezawodne widoki, „mieszkałby już nareszcie na świecie i nie kwasiłby się jak eremita w tych górach“. Sam wreszcie przyznaje, że najwięcej zajmuje się nie gospodarstwem rolnem, lecz końmi, bo jest „zawołanym koniarzem“. „Wiem o tem dobrze, — pisze — że zamiłowanie w koniach nigdy prawie nie idzie w parze z gospodarstwem intratnem. Mimo to jednak ja wbijam się w konie.“ Otrzymawszy od ks. Lobkowitza przyrzeczenie, że mu da ze stadniny cesarskiej pełnej krwi ogiera, dokupił jeszcze cokolwiek klaczy i „stawia w lot końską stajnię“. Ks. Lobkowitz obiecał mu także, że jeżeli tylko główna kwatera nie stanie na przeszkodzie, założy w Bereźnicy stacyę ogierów, co byłoby interesem intratnym.

Z tego wszystkiego widać, że Kaczkowski nudził się w odludnej Bereźnicy i szukał różnych rozrywek, czy to zajmując się końmi i hodowlą bydła holenderskiego, czy też oddając wizyty w bliższem i dalszem sąsiedztwie. Między innemi donosi Smarzewskiemu, że musiał interweniować w sprawie Tytusa Winnickiego z p. Zarembą. Sprawa szła o to, że p. Zaremba, zgodziwszy się na zaręczyny swej córki z p. Winnickim, „potem skręcił kominka“. „Skrzywdzony kawaler — pisze Kaczkowski — wybrał do tej mi-

syi z tutejszej szlachty Ostaszewskiego i mnie, — a prócz tego przywiózł z sobą dwóch Złoczowianów pp. Januszowskiego i Łączyńskiego. Chodziło mu teraz już tylko o to, ażeby go Zaremba przeprosił za ubliżające wyrazy, które zamieścił w swoich listach, pisanych do jego familii. Jakoż to się zrobiło; my z Ostaszewskim utarliśmy drogę, a potem xiądz, świadek zaręczyn, dopełnił reszty i Winnicki odebrał satysfakcyę solenną. Zabawna to zresztą była historya: możnaby z niej napisać drugą „Bitwę o Chorążankę“, której, jak widzę, Winnicki nie czytał, bo byłby w Sanockie po pannę nie jeździł.“

„W parę dni potem — czytamy dalej w tym liście — byłem znów świadkiem scen bardzo smutnych. Ostaszewskim [1]) synek umarł jedyny, cała jego moralna pociecha w tem życiu. Stąd cios ten stał się tem boleśniejszym dla niego, — o niej samej nawet już nie wspominam, a wszakżeż dopiero kilka tygodni temu, jak jej matka umarła.[2]) Dziwny zresztą i głębokie wrażenie czyniący widok przedstawia dom ten, któremu wszystkie materyalne sprawy tak się wiodą, że dostatki im przez wierzch się przelewają, ale rzadki tam tydzień bez jakiegoś zmartwienia. Siedzą po uszy w złocie i po uszy w nieszczęściach. To też się serce prawie rozdziera, patrząc na tę kobietę tak jeszcze młodą [3]), a tak już podruzgotaną i połamaną. Dziesięć lat temu była to śliczna, świeża, wesoła, najszczęśliwsza pod słońcem dziewczyna, — dzisiaj cień tylko kobiety, pokutnica, wiecznemi zalana łzami. Będąc teraz we Wzdowie, przypomniały mi się pomimo woli Tułkowice i powiedziałem sobie: owoż dwie drogi przedemną. Wyjechać nie trudno i zajechać nareszcie nie trudno: ale czy wiem, dokąd zajadę? I Ostaszewski do Tułkowic wyjechał, a przecież zajechał do Wzdowa. Ty mi mówisz i piszesz: „żeń się, kochany Zygmuncie“, — a Ostaszewski, trzymając się mnie obydwiema rękami i płacząc głośno, jak dziecko, przez całą noc mi powtarzał: Jeżeli Pana Boga kochasz, ani pomyśl o żonie. Jam był szczęśliwy przez całe życie,

---

[1]) Teofil Ostaszewski, właściciel Wzdowa w pow. brzozowskim i Klimkówki w Sanockiem, ożeniony z Emmą hr. Załuską.

[2]) Aniela z ks. Ogińskich, hr. Karolowa Załuska, zmarła dnia 5 września 1858 r. na wyspie Ischii.

[3]) Ur. w r. 1831, miała więc podówczas lat zaledwie 27. Pp. Ostaszewscy mieli potem jeszcze trzech synów i córkę, a mianowicie: Adama (ur. 1860), Stanisława (ur. 1862) i Kazimierza (ur. 1864). Córka Marya w r. 1882 poślubiła Augusta hr. Dzieduszyckiego. — (Jerzy hr. Borkowski: „Rocznik szlachty polskiej“ str. 604).

dziś cierpię ciągle i cierpię podwójnie, bo za siebie i za nią. Kogoż tu słuchać? Czas to pokaże, — jakoż trza to jemu zostawić. Tymczasem zaś trzeba myśleć o tem, ażeby, jeżeli kiedy żona przybędzie, było ją gdzie pomieścić, czem pożywić, czem rozweselić i t. p.“

W tych dwóch obszernych listach, z których powyżej podaliśmy wyjątki, są też, obok obszernych szczegółów gospodarskich, które pomijamy, liczne uwagi o sprawach publicznych, o pismach peryodycznych i dziennikach tak emigracyjnych, jak warszawskich i galicyjskich, przyczem nie szczędzi Kaczkowski ostrej nieraz krytyki. Posyłając Smarzewskiemu wydawane w Paryżu „Wiadomości Polskie“ [1]), daje taką odpowiedź na wyrażoną widocznie przez Smarzewskiego opinię o emigracyi: „Co o emigracyi piszesz, jest zupełnie prawdziwe. Po kilkomiesięcznym (?) pobycie moim w Paryżu jeszcze w roku 1855, powiedziałem im tam na miejscu te same słowa: Są emigranci, ale niemasz już emigracyi. Niebawem potem usiłowano się przecież skupić i coś reprezentować, ale z tych usiłowań zrobiło się jakieś monstrum ni w pięć ni w dziewięć, czego obrazem „Wiadomości“. Patryotyczny radykalizm, albo raczej radykalny patryotyzm w spółce z dworactwem, mieszanina to osobliwa. Ale co w tem najlepsze. to to, że współpracownikiem tego nadwornego pisma jest Klaczko, demagog czerwony de purissimo grano, a za mego czasu główny współpracownik de la Revue de Paris i serdeczny przyjaciel Maxima Du Camp. Maxim Du Camp, pomimo swej republiki czerwonej i swojej Revue, którą mu zakazano, jest najwyborniejszym człowiekiem pod słońcem, — ale żyd polski, primo wychrzczony, a secundo demagog, to znowu dworak Hôtelu Lambert, to już jest taki dosadny typ XIX. wieku, że dość o nim słyszeć, można go wcale nie widzieć. Takie też to były i jego prelekcye o Mickiewiczu, o których mi Pani Krasicka nie mogła się dosyć naopowiadać.“ [2])

Trudno w kilkunastu wierszach wypowiedzieć więcej zdań, nietylko fałszywych, ale niesprawiedliwych i krzywdzących; krzywdzących zwłaszcza Jul. Klaczkę, już podówczas głośnego w Europie publicystę i pisarza, którego artykuły w „Revue Contemporaine“ i „Revue de Paris“ zwracały powszechną uwagę, którego polityczna broszura p. t. „Die deutschen Hegemonen“, jeszcze w r. 1849 w Berlinie wydana, jest istotnym arcydziełem argumentacyi

[1]) Wyszły następnie w 4 tomach p. t. „Roczniki Polskie“, jako wydanie Biblioteki Polskiej w Paryżu, w r. 1865.

[2]) Ms.

i stylu. Kaczkowski zdaje się nie wiedzieć o tem; nie zna też prawdopodobnie jego świetnej pracy o Sonetach krymskich Mickiewicza, a wydawszy na niego wyrok, jako na „ochrzczonego żyda i czerwonego demagoga“, zdaje się nie przeczuwać w nim autora „Katechizmu nierycerskiego“, a z lekceważeniem odzywa się o jego wspaniałych prelekcyach paryskich o Mickiewiczu! Równie niesprawiedliwym był sąd Kaczkowskiego o „Wiadomościach Polskich“. W jaki sposób pismo to, które po dziś dzień może być podawane za wzór peryodycznych publikacyj, odznaczające się ścisłą harmonią wewnętrzną i świetnym doborem artykułów, nazwane być mogło organem „patryotycznego radykalizmu“, potworem „ni w pięć ni w dziewięć“, to zaiste pojąć trudno. Zupełnie też niesłusznie Maxime du Camp otrzymał miano reprezentanta „republiki czerwonej“. Należał on przeciwnie do stronnictwa konserwatywnego, a jego udział później, w r. 1860, w sycylijskiej wyprawie Garibaldiego był uważany jako sprzeniewierzenie się dotychczasowym przekonaniom politycznym.

Znajdujemy też w tych listach Kaczkowskiego krytykę pism lwowskich, krakowskich i poznańskich, oraz wiele zdań ujemnych o lwowskich literatach. Doradzając Smarzewskiemu abonowanie pism warszawskich, nadmienia, że tymczasem powinien sobie zaprenumerować „Przegląd Polityczny“, wychodzący we Lwowie [1]), a który zdaje sprawę z treści dzienników warszawskich. „Dziennik ten — dodaje — zresztą wcale nie źle jest redagowany, stosunkowo daleko lepiej niż „Czas“, który swoją głupotą i arogancyą nawet zdrowy rozsądek obraża. To samo prawie, chociaż na inną skalę i zresztą z innem do tego prawem, dzieje się z „Przeglądem“ Poznańskim, który już przemawia tonem nieledwie dyktatorskim. Jeżeli się przy tym tonie przypomni, że „Przeglądu“ rozchodzi się ledwie sto egzemplarzy, — to nie wiedzieć, co robić: czy śmiać się z tej niezłomnej konsekwencyi, niezwichnionej od lat 15-tu, czy się nią budować. W żadnym jednak razie nie można się zbudować „Dziennikiem Literackim“ lwowskim, który najobrzydliwiej się dzisiaj liże tym samym, na których wczoraj najobrzydliwiej wymyślał.“

Tu następuje ustęp, bardzo ujemny, o Kornelu Ujejskim, który przytoczyliśmy już w całości, w miejscu, gdzie jest mowa o stosunkach twórcy „Chorału“ z Kaczkowskim.

[1]) „Przegląd polityczny powszechny“ pod redakcyą Błotnickiego i Rapackiego. Wychodził od r. 1856—1861.

W dalszym ciągu pisze autor „Murdeliona“:

„Śmiać mi się chce nieraz doprawdy z tych lwowskich autorów. Ja wprawdzie nie mam żadnej z nimi styczności, ale przyjeżdża tu do mnie co roku na kilka miesięcy Zachariasiewicz, a przez niego wiem, jaką który z nich nosi krawatę. Znając ich tedy do najdrobniejszych i najskrytszych ich myśli, nie mogę sobie dosyć być wdzięcznym za to, że nie mam z nimi żadnych styczności. Cobym ja robił pomiędzy takimi wielkimi ludźmi? Pod każdym jednak względem wyjątek czynię z Szajnochy. On jeden pomiędzy nimi, który istotnie wart czegoś więcej, niż człek codzienny, ale też i on tylko jeden pomiędzy nimi, który zacząwszy być autorem, nie zapomniał o tem, że przez to nie zaprzestał być takim samym człowiekiem, jak każdy inny, ale przeciwnie, o ile większym się stawał autorem, o tyle potężniejszym starał się być człowiekiem. Dlatego bardzo mi miłe było Twoje o nim wspomnienie, jeszcze milsze, żeście tam i o mnie mówili. Kiedy tu był u mnie Zachariasiewicz, a Szajnocha w Korczynie, wybieraliśmy się jechać do niego, ale jak wszystkie moje podróże od lat dwóch, tak i ta spełzła na niczem.“

Zadziwiać tu znowu może sąd pochlebny Kaczkowskiego o „Przeglądzie politycznym“, piśmie, wychodzącem dwa razy na tydzień, a nie mającem żadnego wpływu i znaczenia, w porównaniu z ostrą krytyką „Dziennika Literackiego“, który w życiu umysłowem Lwowa niepospolitą odegrał rolę, a którego pierwszym redaktorem był właśnie Karol Szajnocha, tak zresztą zasłużenie odszczególniony przez Kaczkowskiego wyjątkową pochwałą.

Znużony siedzeniem w Bereźnicy, miał też podówczas Kaczkowski zamiar podróży w świat daleki, pomimo swoich dzierżawnych i gospodarskich planów. „Chcę być w tych czasach — pisze — u Starzeńskiego [1]) w Ropczyckiej Górze, niby na polowaniu, a właściwie w interesie mojego brata [2]). — Z tej podróży może się i druga wywinąć, a to aż do Ancony, gdzie mój brat stoi. Byłaby mi ta podróż właściwie nie na rękę, ale mimo to przyniosłaby mi wielką pociechę, bo w takim razie dojechałbym już oczywiście do Rzymu i przesiedziałbym tam z jakie pół roku. Rzym i Pakoszówka rzeczy to siebie nie bliskie, ale ludziom, nie mającym ani żony,

[1]) Prawdopodobnie jest mowa o hr. Kazimierzu Starzeńskim, podówczas majorze potem pułkowniku wojsk austr.

[2]) Waleryana Kaczkowskiego, służącego w wojsku.

ani dzieci, wolno mieć w jednej chwili dwa a nawet więcej tak niezgodnych z sobą projektów.“ [1])

Żaden z tych projektów nie przyszedł jednak do skutku. Kaczkowski, zajęty odwiedzinami w sąsiedztwie nie siedział też prawie w domu. „Objechałem wszystkie obwody zachodnie — donosi Smarzewskiemu w liście z d. 15 lutego 1859 — sto domów, sto wizyt. Wiele rzeczy widziałem, wiele przeżyłem, bogaty przedmiot do pogadanki.“ Na tem oczywiście nie zyskiwało bereźnickie gospodarstwo, zwłaszcza, że właściciel zajęty był równocześnie pracami i projektami literackimi. „Mam dwutomową powieść na stole“ [2]), — donosi w tymże liście — a równocześnie kręcą się około mnie rozmaite nowe zamiary. Traktuję z Turowskim o zakupno jego „Biblioteki“. Jest to zakład niezmiernie ważny, środek oddania narodowi w ręce jego całej piśmiennej puścizny. Przedsiębiorstwo kwasi się w jego rękach, lezie tylko, ażeby lazło, i nic już w tym stanie z niego być nie może. Turowski nie ma ani głowy, ani środków po temu, — tak wydawać, albo i nie wydawać, to prawie jedno. Z tego można coś zrobić, opłaci się materyalnie i może dać umiejętnemu wydawcy granitową podstawę moralną. To jedno. Do tego zaś przedsiębiorstwa wiąże się zamiar, dawno już pomyślany w Krakowie, założenia wydawnictwa polskich książek, jak tylko można najtaniej. Do tego celu są już zgromadzone niejakie fundusze, wiąże się teraz spółka pomału. Dyrekcyę tego mnie proponują, którą tylko w takim razie przyjmę, jeżeli „Bibliotekę“ Turowskiego nabędę, którą nabywam dla siebie, i wtedy obadwa te przedsiębiorstwa razem połączę. Do tego momentu nic się jeszcze nie zrobiło stanowczo, bo jest tysiąc trudności. Na samą „Bibliotekę“ potrzeba 100.000 złp. z okładem, na „Tanie druki“ drugie tyle, — ale rzeczy te już się zdają być bliskie i przyjdą pewnie do skutku, jeżeli względy na polityczne wypadki nie każą mi się rozmyśleć.“

Otoż te względy polityczne zdają się bałamucić Kaczkowskiego i paraliżować zamiary. „Nowy duch — pisze — zaczyna wiać od Warszawy. Listy za listami, pełne najrozmaitszych nadziei.“ Nadzieje, oparte na rossyjskiem stronnictwie liberalnem, na wywodach „Russkiego Inwalida“, proponujących rewizyę traktatu z r. 1815, na wieściach o bliskiem zniesieniu cenzury, o oddaleniu aż siedmiu gubernatorów z partyi Mikołajowskiej, wreszcie

[1]) Ms.

[2]) Zapewne „Rozbitek“.

na spodziewanym sojuszu francusko-rossyjskim i t. p. rzeczywiście zawiodły. Ale Kaczkowski, zdaje się, wierzył, że rossyjska partya liberalna przemoże starą rossyjską, „poczem nastąpią fakta!“ „Na ten wypadek — dodaje — przygotowują się znaczne środki do założenia nowego politycznego Dziennika w Warszawie. Listy z tego miesiąca (luty 1859) proponują mi Redakcyę, — napisałem im plan wedle moich myśli najstosowniejszy, a zarazem będący warunkiem, pod którym tę redakcyę obejmę, — do końca marca kwestya ta się ma rozstrzygnąć o tyle, że mi napiszą, czy mam do Warszawy przyjechać, czy nie.“

Smarzewskiemu, tak przyjaźnie usposobionemu dla Kaczkowskiego, musiał się niepodobać jego system prowadzenia gospodarstwa w Bereźnicy, wśród ciągłych rozjazdów i wizyt w sąsiedztwo i rozlicznych projektów literacko-wydawniczych. Musiał mu też z tego powodu czynić jakieś uwagi, na które w tonie dość rozdrażnionym odpowiada Kaczkowski w liście z dnia 6 marca 1859 r. [1])

„Nabrałeś jakiegoś nowego wyobrażenia o mojem gospodarstwie — nie wiem skąd. Jeżeli domysł, to spudłowany; jeżeli wieść, to fałszywa. Bo skoro tylko na ten rok dochody w gotówce wyniosą tyle, ile za ojca podobno cała wieś nie przynosiła, to już nie jest źle. Zapewne, że to kosztowało; ale jeżeli wiesz, co można dostać na tym świecie za darmo, to zmiłuj się, powiedz, ja zaraz za tem polecę. U mnie zresztą i o rachunek nie trudno; bo jeżeli policzę to, co mam w narzędziach i inwentarzach i to, żem żył przez lat cztery, to rachunek gotowy.“

Z tem wszystkiem snuje Kaczkowski coraz nowe projekty. To wydzierżawienie Bereźnicy dotychczasowemu rządcy Janiszewskiemu, w razie wyjazdu do Warszawy dla objęcia redakcyi jakiegoś dziennika; to sprzedaż Bereźnicy, to zamiana tej wsi na inną byleby przy gościńcu, albo kolei i z dobrym domem mieszkalnym, wreszcie nawet zamiana Bereźnicy na kamienicę we Lwowie, a choćby i w Przemyślu. We wszystkiem jednak są trudności: Janiszewski nie ma dość pieniędzy, zresztą spieszno mu do Królestwa wyjechać, gdzie ma bogatych krewnych i pozycyę inną, bo „ojciec jego miał znaczny majątek w Lubelskiem i był szambelanem Stanisława Augusta“.

Zdaje się, że Smarzewski także co do powodzenia zamiarów redakcyjnych miał pewne wątpliwości, obawiając się snadź nadmiaru

[1]) Ms.

gorącego temperamentu w Kaczkowskim, uwikłania się w polemikę zbyteczną i t. p. Oto, co na to odpowiada autor „Murdeliona“:

„Co do redakcyi dziennika, to ja się biorę do tego z rozmysłem i świadomością siebie. Głowę mam gorącą, to prawda, ale mi się zdaje, że przy ogniu mam w niej tyle rozumu, ażeby się nie wplątać w jakąś polemikę głupią, aby dążności pozostać wiernym i zresztą żadnej niedorzeczności nie zrobić. Że objąwszy dziennik, dam ognia ze wszystkich armat i zapewne nie raz, to oczywista; ale że pierwej dobrze wymierzę, zanim dam ognia, to więcej, jak pewna. A zresztą, gdybym na to nie liczył, że mogę tak dać ognia, żeby mnie w całej Polsce słyszano, — a co najważniejsza, że jest wiele rzeczy, do których trzeba dać ognia, tobym ani pomyślał o dziennikarstwie. Sumować dzienne wypadki i ogryzać kości z tego, co autorowie napiszą, potrafi także kto inny. Z mechanizmem dziennikarskim, drukiem etc. jestem obeznany daleko dokładniej, niż nasi wszyscy dziennikarze, bom to pilnie badał za granicą“. (?!)

Z tego ustępu się okazuje, jak wysokie miał rozumienie Kaczkowski o swoich zdolnościach publicystycznych, nie wątpiąc, że głos jego będzie w całej Polsce słyszany, że będzie zawsze celnie ciosy swe wymierzał i że nawet pod względem techniki dziennikarskiej wystarczy mu to, czemu się przypatrywał za granicą, chociaż już to samo twierdzenie świadczyć by mogło, że nie zdawał sobie dokładnie sprawy z różnicy, jaka zachodzi pomiędzy stosunkami wydawniczymi za granicą, a naszymi.

W następnym liście do Smarzewskiego z d. 28 maja 1859 r. wraca on jeszcze do tej sprawy. „Piszą mi znowu, — donosi — ażeby przyjeżdżać (do Warszawy) i obejmować ster jakiegoś wielkiego dziennika. Oczekuję w tych czasach listów z Kijowa, gdzie obecnie się zebrał w całym komplecie komitet pańszczyźniany centralny wszystkich tamtejszych gubernij i w listach tych mam znaleźć ostateczne postanowienie: czy odpowiedzą warunkom położonym przezemnie, czy nie? — Ostrowski mi pisze, iż najlepiejbym zrobił, gdybym po prostu sam dziennik założył na własną rękę; zapewnia mnie, że zrobiłoby się daleko więcej, niżeli się mogę spodziewać i miałbym od razu abonentów daleko więcej, niż którykolwiek dziennik najwięcej wzięty.“

Ale już tutaj sam Kaczkowski powątpiewa, czy podołałby zadaniu. „Myśl ta — wyznaje — nie zdaje mi się możebną, choćby tylko dlatego, iż brać się do kierowania opinią w kraju nie zupełnie mi znanym, bez jakiejś rady przybocznej, przynajmniej na

pierwszych kilka miesięcy i bez zbudowanej naprzód obywatelskiej podstawy, nie byłoby bardzo roztropnem. O taką też podstawę głównie mi chodzi i chciałbym ją mieć rozszerzoną na wszystkie polskie prowincye. O to się toczy korespondencya."

Korespondencyę tę mamy przed sobą, a mianowicie trzy listy Antoniego hr. Ostrowskiego z 7 czerwca 1858 r., z 16 stycznia i 4 czerwca 1859 r.[1]). Z listów tych nie wynika bynajmniej, by Ostrowski proponował Kaczkowskiemu założenie dziennika „na własną rękę"; chciał jedynie powierzyć mu kierownictwo upadającej „Kroniki wiadomości krajowych i zagranicznych", której był jednym z założycieli. Okazuje się również z tych listów, że propozycya ta nie wyszła z Warszawy, lecz że Kaczkowski sam się zgłosił jeszcze w r. 1858. D. 16 stycznia roku następnego odpisuje Ostrowski, przepraszając, że tak późno odpowiada na list Kaczkowskiego „tak pełen przychylności dla „Kroniki" i dla grona jej założycieli". „Jestem — dodaje — sam jeden z nich wszystkich w Warszawie. trzeba się było choć w części z nimi porozumieć co do p r o p o z y c y i Pańskich, a zresztą był to czas niemałych kłopotów i trudności dla nas, tak, że z dnia na dzień się odkładała odpowiedź, z powodu zupełnej niepewności co do najbliższej przyszłości „Kroniki".

Byt tego pisma rozbijał się o obojętność publiczności; liczba prenumeratorów nie pokrywała kosztów. „Nasz przyjaciel p. Sobański — pisze Ostrowski — z szlachetnem poświęceniem dopłacał przez trzy lata i wkłady jego do wysokiej sumy doszły. Dłużej ponosić takiego ciężaru nie mógł i co więcej, nie powinien. Opierając się na niektórych sympatycznych dla „Kroniki" obietnicach, udaliśmy się temu kilka miesięcy do jednego z zamożnych zaniemeńskich obywateli, ażeby zluzował Sobańskiego. Marudził kilka miesięcy, nareszcie pod sam koniec roku wykręcił się z obietnicy, a tu trzeba było gotowego grosza w znacznej sumie i zaraz do prowadzenia pisma nadal. Wiele może ten, co musi, i gdy się obaczyliśmy zupełnie opuszczonymi, p. Konstanty Górski i ja, po odrzuceniu propozycyi nam czynionych względem odstąpienia „Kroniki" w ręce izraelskie, odstąpiliśmy ją od 1 stycznia b. r. panu Edwardowi Staweckiemu."

Ostrowski przeczuwa, że Stawecki nie podoła przedsięwzięciu, ma wprawdzie najlepsze chęci, pragnie „Kronikę" „w dotychczasowej dążności utrzymać", ale wróżyć nic dobrego nie można, bo

[1]) Ze zbiorów Rapperswilskich Ms

Stawecki nie posiada ani wyrachowania, ani bardzo jasnych pojęć." Wyrażając nadzieję, że Kaczkowski potrafi „Kronikę" ożywić, pisze w dalszym ciągu Ostrowski:

„Bardzo nam trafił do serca ostatni list Pański; powiedzieliśmy sobie z Górskim: czemuż też takiego listu nie odebraliśmy całym rokiem wcześniej? Czy wiesz Pan, my w kółku naszem fundatorów „Kroniki" od przeszło roku szukaliśmy w naszych poufnych (po za obrębem narad z płatną redakcyą) obradowaniach głównego redaktora, i gdyśmy z kolei wszystkich możebnych po całym kraju redaktorów wymienili i zbrakowali. tego dla tego, tamtego dla owego, zawsze na tem się kończyło, żeśmy Pana, jako jedynego uznawali, któryby wszystkim wymaganiom zupełnie i bez wszelkiego a l e odpowiadał; tylko zawsze stało nam na przeszkodzie przekonanie, o którem nam list Pański dowiódł, że było nieuzasadnionem. żebyś się Pan podobnej jak redaktorstwo pracy nie podjął. Szkoda, były widać między Panem a nami jakby dwa prądy magnetyczne, które dążyły ku sobie, wzajemnie się szukały, a przecież się nie spotkały. Jednakże przy dobrej woli, jeszcze może nie jest za późno. Widzimy, jak Pan dobrze rozumiesz, czego c h c i a ł a „Kronika", będąc na miejscu, łatwo Pan zmiarkowałbyś, czego n i e m o g ł a dokazać."

Dalszy ciąg tego listu jest o tyle ważny, że odsłania w części tendencye, jakim miała służyć „Kronika" pod redakcyą Kaczkowskiego. Była to epoka nie pierwszych i nie ostatnich w Królestwie, a przedewszystkiem w Warszawie, złudzeń, opartych na ciągle spodziewanych zmianach polityki rządu rossyjskiego względem Polaków, jakiegoś „odrodzenia Rossyi". Ostrowski był widocznie zdania, że Polakom należy podążyć ku tym zmianom z otwartemi ramionami i uprzedzić je niejako okazaniem „ugodowych" usposobień. Oto, co pisze:

„Obecna pora dla naszego kraju bardzo ważna. Wiele złudzeń, któremi trzy pokolenia z kolei po sobie żyły, dzisiaj resztę uroku tracą. Kwestya bytu społecznego w polskich krajach niezaprzeczenie teraz góruje nad kwestyami politycznemi. W Rossyi inaczej na nas zaczynają patrzeć; nie mówię o tych, co się skrystalizowali w dawnych wyobrażeniach i nienawiściach, ukoronowanych od 1825 do 1855 r., ale o tych, którzy uznali potrzebę odrodzenia Rossyi na zasadach zachodniej cywilizacyi (!), o tych mówię, którzy, jak się wyrażono w Moskwie, chcą postępu od góry, ażeby nie było ruchu od dołu. Nie wiem, jak tam Panowie sądzicie o tem po za kordonem, ale mnie osobiście zdaje się, że wieje dobry wiatr

z Petersburga (!); od nas zależy, czy pozostaniemy nadal, jak od 30 lat w zadąsanej nieczynności, czyli też rozpuścimy żagiel jeden, a potem i drugi i na drodze pojednania (?!) do dalszych przeznaczeń popłyniemy. Gdyby w wysokich sferach widziano u naszego obywatelstwa dobrą wolę, to by wiele rzeczy na korzyść kraju się stało, które w dotychczasowem zadąsaniu naszem niemożebnemi marzeniami się wydają. Folianty by się o tem spisały, może mnie Pan bez tego zrozumiesz; wyobrażenia tu napomknięte są moje własne, oparte na sądzie ile mi się zdaje beznamiętnym: uderza mnie, że te wyobrażenia coraz więcej zwolenników tu nabierają; myśli pojednawcze z obu stron się pokazują, pod parciem potrzeby utworzenia podstawy dla społeczności i położenia tamy socyalistowskim (?!) dążnościom. Wśród takich okoliczności pismo, jak „Kronika“, coraz potrzebniejszem się staje; trzeba prawdziwe i zgodne z dzisiejszemi wymagalnościami wyobrażenia krzewić i bronić przeciw tutejszej prasie, która w imię postępu wszystko podkopuje. Trzeba bronić własność i pracę, matkę własności we wszystkich jej formach. Do tej walki nikt zdolniejszym nie jest od Pana. „Kronika“ w rękach Staweckiego długo się nie utrzyma. Sobański przyjedzie tu w marcu najdalej, — obecnie jest na Podolu. Będzie tu Górski, także i inni obywatele, myślący i przewidujący. Przyjedź Pan; trzeba się poznać, osobiście porozumieć. „Kronika“ upadła dla braku jedynie głównego Redaktora, któryby się wyłącznie mógł pismem zająć. Nie ulega wątpliwości, że w dzisiejszych rękach się nie utrzyma, więc wrócić do nas może wkrótce, a Pan ją postawisz na nogach. Pański przyjazd może wiele dobrego zrobić; właściwie tu obszerniejsze i naturalniejsze pole dla takich ludzi, jak Pan, aniżeli w Galicyi. Czekamy na Pana i spodziewamy się, że pomiędzy nas Pan się przeniesiesz. — Serdecznie tymczasem Górski i ja dziękujemy Panu za ostatni list i za to, że Pan z własnego natchnienia się nam na pomoc garniesz, kiedy myśmy nie śmieli o nią prosić.“

W przypisku, na marginesie, dodaje jeszcze Ostrowski: „Zdaje się, że „Słowo“ petersburskie [1]) będzie tak, jak wszystkie pisma, po polsku wydawane, antykonserwatywne. Nie znam redaktorów, ale słyszę, że tam nie wielka rękojmia długiego bytu, ani też żadne wyrobione zdanie. Może mój sposób widzenia, spowodowany

[1]) Wydawane przez Jozafata Ohryzkę. Od d. 1 stycznia 1859 r. wyszło tylko Nr. 15. Zawiera prace: Jul. Bartoszewicza, Michała Balińskiego, Syrokomli i in.

kilkakrotnem rozczarowaniem, jakie nas od lat tylu dotknęły, jest także złudzeniem, i wynurzam te myśli z wszelkiemi potrzebnemi zastrzeżeniami. Ale w gruncie zdaje mi się, że nie jest ani niebezpiecznem, ani nierozsądnem zaprzątnąć się w dzisiejszych okolicznościach nie polityką, która siły nasze przenosi, ale rozwinięciem moralnem naszego społeczeństwa, które widzę zagrożonem. Widzę z obawą wzrastające nowe pokolenie bez nauki, bez wyobrażenia o obowiązkach stanu swojego, ubierające swoją gnuśność w pozory zniechęcenia i oczekiwania. Trzeba się pchać do pracy, jedynej odkupicielki tylu lat straconego czasu.“

List ten Ostrowskiego, który niemal w całości przytoczyliśmy, znamionuje ówczesne usposobienie pewnych sfer konserwatywnych warszawskich, obudzone głosami prasy liberalnej rossyjskiej i nadziejami na „dobry wiatr z Petersburga“. Hasło „pojednania“ zostało podniesione, zrazu bardzo nieśmiało. Ostrowski zastrzega się wyraźnie, że to jest jego osobiste zdanie i że i ono może się okazać „złudzeniem“. Tym wszakże zasadom chce, aby nadal służyła „Kronika“ pod redakcyą Kaczkowskiego.

Niema tu jednak mowy o jakimś nowym dzienniku, a okazuje się też najwyraźniej, że inicyatywa co do objęcia redakcyi nie z Warszawy wyszła, lecz od Kaczkowskiego, który zniechęcony zapewne trudnościami gospodarskiemi w Bereźnicy i ciągle nowymi a nie dochodzącymi do skutku projektami to sprzedaży tej wsi, to nabycia innego majątku lub wzięcia dzierżawy, umyślił przenieść się do Warszawy i oddać się pracy redaktorskiej. „Kronika“ przyszła mu na myśl dlatego, że w niej drukował trzy swoje w tych czasach ogłoszone powieści, a mianowicie: „Stacha z Kępy“ w r. 1856, „Anuncyatę“ i „Sodalisa“ w r. 1858. W skutek tego zawiązały się bliższe listowne stosunki z redaktorem Julianem Bartoszewiczem i Antonim Ostrowskim. Bartoszewicz był od r. 1851 członkiem redakcyi „Dziennika Warszawskiego“, założonego a raczej odnowionego przez Rzewuskiego Henryka. Po ustąpieniu tego ostatniego w r. 1854 z redakcyi, ster objął Bartoszewicz i w r. 1856 zmienił tytuł dotychczasowy na „Kronikę wiadomości krajowych i zagranicznych“. Jeszcze w marcu powyższego roku pisał do Kaczkowskiego na papierze z nagłówkiem: „Redakcya Dziennika Warszawskiego“, przesyłając 370 rubli srebrem, czyli 70 półimperyałów, jako honoraryum za „Stacha z Kępy“. Powieść ta, jedna z najsłabszych Kaczkowskiego, osnuta na tle życia ludu wiejskiego, o tyle tylko zasługuje na wzmiankę, że w niej autor podnosi konieczność szerzenia oświaty wśród ludu, chociaż sam propagator

tej idei. ksiądz wikary, nie bardzo szczęśliwie został wybrany i zbytkiem gorliwości, w gruncie szlachetnej, psuje wrażenie. Podobała się jednak ta powieść Szajnosze, który w „Rozmaitościach“ z r. 1857 pochlebnie ją ocenił. — Mniej, zdaje się, zadowolonym był redaktor „Kroniki“ Bartoszewicz, który, jakkolwiek w liście swym „dziękuje za już, a prosi o jeszcze, i wyraża nadzieję, że „zawiązane z pismem naszem stosunki nie zerwą się tak prędko“, to wszakże, podnosząc, iż wszelkie żądania autora redakcya spełniła bez wahania, dodaje: „prawdę powiedziawszy, trochę za drogo będzie nas kosztował „Stach z Kępy“.[1])

Poprawiła może nieco to wrażenie „Anuncyata“, drukowana w „Kronice“ w pierwszej połowie 1858 r. Powieść ta, osnuta na tle konfederacyi Barskiej, pełna ruchu, nadzwyczajnych wypadków, nadprzyrodzonych zjawisk i wpływów, niewątpliwie zająć mogła umysły tych zwłaszcza czytelników, którzy żądni są silniejszych wrażeń. Sama konfederacya Barska nie występuje tu dość plastycznie, a sympatyi bynajmniej nie budzi, samozwańczy zaś regimentarz województwa sieradzkiego, Bierzyński, przedstawia się dość niewyraźnie w swem działaniu. W umyśle czytelnika ciągle waha się pytanie: zdrajca to, czy bohater? nieszczęśliwa ofiara, czy nikczemnik? Sama postać Anuncyaty rysuje się, zwłaszcza w pierwszej części powieści, dość sympatycznie; jest znacznie energiczniejsza od innych typów kobiecych Kaczkowskiego, po większej części najzupełniej biernych; braknie jej wszakże jednolitości i psychologicznego pogłębienia. Wśród mnóstwa osób, do powieści wprowadzonych, są niektóre przedstawione żywo i barwnie, niektóre zupełnie chybione, a żadna z nich prawie nie jest utrzymana w jednolitym tonie. Taki n. p. Dzierżanowski, lub Wścieklica, w miarę postępu powieści, zadają kłam pierwotnemu wrażeniu. I znowu nie bardzo wiadomo, czy to dzielni rycerze, czy awanturnicy. Zawikłany wątek powieści czyni jej streszczenie niemożliwem i bezcelowem, bo nawet treść najskrupulatniej podana, nie zdoła dać wyobrażenia o całości.

Antoni Ostrowski w liście do Kaczkowskiego z d. 7 czerwca 1858 r. wspomina wprawdzie o „Anuncyacie“, lecz opinii swej nie wyraża. — Przesyła tylko honoraryum, czy też część jego w kwocie 116 sztuk półimperyałów rossyjskich, „liczonych podług kontraktu po rubli sr. 5·15“, chociaż zaznacza, że „obecny ich kurs nierównie jest wyższy, bo wynosi rs. 5·45“. — W tym liście dopomina

[1]) Ze zbiorów rapperswilskich. Ms.

się też Ostrowski o jak najrychlejsze nadesłanie dokończenia manuskryptu powieści p. t. „Sodalis Marianus“, bo „Kronika“ w tych dniach ma jej druk rozpocząć.

Już podówczas Kaczkowski zapowiadał był swoje przybycie do Warszawy, Ostrowski bowiem dodaje:

„Szkoda, żeś Pan na pół danego przyrzeczenia nie spełnił i do nas nie przybył“

W dalszym ciągu listu wtajemnicza Ostrowski autora „Anuncyaty“ w stosunki redakcyi „Kroniki“:

„Pan Sobański wyjechał na Podole na słabość żony i na wybory do sprawy włościańskiej. Jak się zapędzi, to bardzo być może, że się aż o Jerozolimę oprze, dokąd istotnie ma zamiar w tych czasach popłynąć, w ślady za ks. Eugeniuszem Lubomirskim, który ztamtąd po 3-ch miesięcznym pobycie w Syonie i pomiędzy Beduinami nadjordańskimi powrócił i cuda rozpowiada. Wszyscy inni z redakcyi rozjechali się, pożenili, lub jak tam inaczej się rozbiegli, zostało zaś tylko czterech; p. Bartoszewicz, p. Szymanowski (Wacław), p. Górski i ja. Ledwo się w późną jesień komplet zbierze napowrót.“

Chwiała się już podówczas widocznie redakcya „Kroniki“, a zachwiała ostatecznie, gdy z końcem 1858 r. Bartoszewicz ze stanowiska kierownika ustąpił. I wtenczas to napisał Ostrowski ów list z d. 16 stycznia 1859 r. w odpowiedzi na propozycyę Kaczkowskiego; list, który powyżej przytoczyliśmy w całości, ofiarujący mu już stanowczo redaktorstwo „Kroniki“ i naglący o przyjazd.

Kaczkowski jednak się wahał. — Wprawdzie łudził się on jeszcze, a może tylko chciał wmówić w siebie i w innych, że w Warszawie „przygotowują znaczne środki do założenia nowego politycznego dziennika“, jak pisał do Seweryna Smarzewskiego; — wprawdzie przypuszczał, że przyjdzie mu „wynieść się z ukochanej Galicyi na długo, a może na zawsze, coby mi — dodawał — i z innych względów nie było nie na rękę“, — lecz się ciągle wahał i zasięgał rady przyjaciela. „Żal mi rodzinnego kąta, — pisał — żal kilku ludzi, których tu mam przyjaciółmi, — ale żyć w kącie i z kilku ludźmi, kiedy można żyć na wielkim świecie i z całem społeczeństwem, czy to nie szkoda?“

Byłby jednak niewątpliwie się zerwał i do Warszawy podążył, gdyby istotnie szło o założenie nowego, wielkiego dziennika i gdyby rzeczywiście przygotowane były na to znaczne środki pieniężne. Ale propozycya objęcia steru redakcyi upadającego pisma,

i wiadomość o wyjeździe bezterminowym Sobańskiego, głównego niewątpliwie dostarczyciela funduszów, nie były wcale nęcące. Odpowiada więc Ostrowskiemu dopiero w drugiej połowie maja, przesyłając mu widocznie swoje warunki. Ostrowski w liście z dnia 4 czerwca 1859 r.[1]) odpisuje, że list ten posłał Konstantemu Górskiemu „dla umówienia się z nim co do odpowiedzi". Górski zaś odpowiedział, że „zdaniem jego najlepiej będzie, aby Kaczkowski, nie tracąc czasu, przybył do Warszawy na czas Ś-to Jański (na czas od 15 czerwca) i osobiście na miejscu osądził, jak wypadnie postąpić z „Kroniką". „W samej rzeczy — dodaje Ostrowski — tak będzie najlepiej. Sobański za przybyciem do Kijowa, ciężko, chociaż nie niebezpiecznie zapadł na zdrowiu; nie będzie z niego pociechy do interesu przez te pierwsze czasy, chociaż z pewnością na jego udział rachować wypada. Tymczasem wszelakie obywatelstwo zjeżdża się do Warszawy na wyścigi konne, na publiczne posiedzenie Towarzystwa rolniczego i na kontrakty. Będziesz Pan miał sposobność zapoznać się z tą częścią kraju. Przytem obecna chwila tem jest ważna, że teraźniejszy właściciel „Kroniki" jest w najkrytyczniejszem, jak się zdaje, położeniu; lekkomyślnie nabył od Sobańskiego pismo, na prowadzenie którego zapewniał, że miał dostateczne fundusze, a przytem i obietnice poparcia ze strony literatów. Tymczasem pokazuje się, że pismo wychodzi za pomocą pożyczonego grosza, bez żadnego kierunku, na chybi trafi, i lada dzień może ustać z powodu braku funduszów na najbliższe wydatki, jak druk, papier i pocztę. P. Stawecki szuka nabywcy na „Kronikę", tem bardziej, że liczba abonentów ciągle się zmniejsza. Jeżeli więc Pan zechcesz wziąć na siebie znaczniejszą część ciężaru nakładu i prowadzenia „Kroniki", pora po temu najlepsza teraz, przed rozstrzeleniem się obywatelstwa na wszystkie cztery strony świata, pod mineralnymi i kąpielanymi pozorami, a niewątpimy wcale (piszę to od siebie i od K. Górskiego), że oprócz Sobańskiego znajdą się jeszcze inni obywatele, którzy się dzielnie przyczynią do podźwignięcia „Kroniki". Mamy już z kilku stron objawy dobrej woli do rozbierania akcyi, a nawet prawie oznaczone już co do cyfry obietnice. Na poparciu też moralnem, o którem Pan wspominasz, nie braknie."

I w dalszym ciągu tego listu usiłuje Ostrowski upewnić Kaczkowskiego, że „pismo obywatelskie, uznające wszelki istotny postęp, a stroniące od wszelkiej kosztem przekonań okupionej popularności, potrafi swój głos wśród krzykaczy utrzymać". Ale już w całym tonie listu Ostrowskiego niema tej pewności, co w liście poprzednim, a chociaż nie szczędzi Kaczkowskiemu zachęty, wszystko jednak brzmi znacznie słabiej: „Podobno — powiada — najprościej i najlepiej byłoby, ażebyś Pan natychmiast objął „Kronikę" i dlatego pozałatwiał się tak w Galicyi, abyś Pan mógł już zaraz z początku dłuższy czas tu zabawić, a potem dopiero wyjechać za granicę w celu zgonienia korespondentów."

[1]) Ze zbiorów rapperswilskich. Ms.

List ten, odkrywający całą, rozpaczliwą sytuacyę „Kroniki", wywrzeć musiał na Kaczkowskim deprymnjące wrażenie. Do reszty odebrały mu snadź otuchę słowa, by „wziął na siebie znaczniejszą część kosztów wydawnictwa". To też na tem urywa się korespondencya z Ostrowskim, a i w listach do Sew. Smarzewskiego już o projektach warszawskich ani wzmianki. Natomiast coraz inne plany to kupna, to dzierżawy wsi rozmaitych. Z Bereźnicy stanowczo chce się wynieść i sprzedać tę wieś, gdzie zbyt wiele czasu się traci „przy gospodarstwie, potrzebującem urządzenia i większych nakładów"... Kupiłby coś małego, aby mieć więcej czasu dla siebie, lub majątek z lasami, które dają intratę. Ma na myśli Podmoysce albo Cyków, albo Duńkowiczki czy Borysławice, lub Barwinek hr. Weissenwolffowej, który leży przy gościńcu za Duklą i ma 5700 m. lasu. — Smarzewski udziela mu informacyj o rozmaitych wioskach na sprzedaż w Przemyskiem, ale Kaczkowski już d. 28 grudnia 1859 r. zawiadamia go w liście[1]), że odstępuje od zamiaru kupna ziemi, bo ceny jej w Przemyskiem są nadto wysokie. „Humnicki n. p. żąda 150 fl. za morg obszaru, to drożej, niż pod Krakowem i Warszawą, gdzie włóka kosztuje 12.000 złp., t. j. 100 fl. za morg." „Ja — dodaje — mam niby podróż przed sobą do Żytomierza. Ale prawdopodobnie będę się starał uniknąć jej i jeszcze z rok jakiś posiedzieć w ciszy nad książkami. Mam trochę nowych myśli, chciałbym się z nich wyrobić."

Właśnie w tym czasie wyszedł „Sodalis Marianus", drukowany w owej „Kronice", powieść historyczna aż pięciotomowa, „ze starych ksiąg i papierów spisana". Jest to historya niezmiernie długa i rozwlekła, zaniedbana w stylu, bez najmniejszego artystycznego zmysłu sklecona. Obejmuje panowanie Augusta II. i III., a przedstawia dzieje i karyerę Jerzego Ożarowskiego, podstolego, a później obożnego w. kor., generała piechoty koronnej, marszałka konfederacyi sandomierskiej, marszałka sejmu i t. d. Od dzieciń-

[1]) Ze zbiorów Tad. Smarzewskiego. Ms.

stwa niemal opowiada Kaczkowski dzieje karyery swego bohatera, jego niezbyt szczerą służbę u hetmana w. kor. Sieniawskiego, jego małżeństwo z Konstancyą Bobrownicką, jego wystąpienia publiczne i oratorskie, stosunki, niezbyt zgodne, z hetmanami polnymi, Rzewuskim i Denhofem, któremu wszakże przez szlachetną zemstę utorował drogę do ręki hetmanównej Sieniawskiej. — i doprowadza swą suchą, kronikarską opowieść aż do zgonu niemal wszystkich osób, w powieści występujących, a wreszcie i samego Ożarowskiego.

Powieść ta chyba nie wzmogła poczytności upadającej warszawskiej „Kroniki“, ale dziwnym sposobem podobała się Sewerynowi Smarzewskiemu, który, może przez grzeczność, posłał autorowi komplement. „Cieszę się bardzo, — odpowiada Kaczkowski — że ci się „Sodalis“ podobał. Pochwała ta nie jest mi obojętna. Byłoby tam do zarzucenia jeszcze to i owo, ale nie to, co wyrzuca Kraszewski.“

Otóż Kraszewski zamieścił istotnie w „Gazecie Warszawskiej“, przedrukowaną następnie w „Dzienniku Literackim“, recenzyę „Sodalisa“, a raczej „uwagi pochlebne“, jak się „Biblioteka Warszawska“ z r. 1860 wyraża. Te jednak „uwagi“, w których Kraszewski zarzucił głównie bierność charakteru kobiet w tej i innych powieściach Kaczkowskiego, i zupełnie słusznie wytknął niezmierną rozwlekłość dyalogów, — nie podobały się mocno autorowi „Sodalisa“. Oto, co pisze w tym przedmiocie do Seweryna Smarzewskiego:

„Kobiety są to istoty bierne na wskróś, takiemi były one przedewszystkiem w Polsce; podobało mi się w innych powieściach przedstawić charaktery kobiece wyjątkowe, ale tu mi się podobało przedstawić charaktery zwyczajne. Dyalogi polityczne są bez żadnego wątpienia wyczerpujące, zaczem długie; ale ja nie piszę powieści dla Kraszewskiego, któremu dość namarkować obrazy i myśli, tylko dla publiczności, która na markach się nie rozumie, z punktów niczego się nie domyśli i chce, aby jej dawano obrazy pełne i wykończone i t. d. O co wszystko mniejsza, — ale to jest zabawne, że Kraszewski na żaden sposób nie może się pozbyć tej głębokiej niechęci, którą ma do mnie i przy każdej sposobności, a często nawet i bez sposobności, objawia. Zdarzyło mi się w tym roku wejść z nim w korespondencyę, z czego korzystając, dałem mu do poznania, iż jego wycieczki przeciwko mnie nie byłyby nawet wtedy na swojem miejscu, gdyby były sprawiedliwemi, a to dlatego, że ja pomimowoli jestem uważany za jego współzawodnika. Skutkowały te moje uwagi i w ostatniej wzmiance o mnie stał się wyrozumialszym, ale przecież nagderał się po staremu. Wszystkich autorów strawił, tylko mnie jakoś nie może. Co mnie zresztą cieszy z wielu względów, — a nareszcie dlatego, że jeżeli wezmę redakcyę Dziennika, nie będę zmuszony do zbytecznej wyrozumiałości i przeciw niemu. Tylko ja sobie postąpię inaczej, gderać pewnie nie będę, ale oddawszy pochwałę, czemu się pochwała należy, położę na ławę (sic!) i z powagą a flegmą niemiecką odliczę sto batogów, jak jeden.“ [1])

Groźby tej, bardzo zamaszystej, zdaje się Kaczkowski nie spełnił, Kraszewski uszedł bez szwanku, z niewątpliwie w krytyce swej, zresztą bardzo oględnej i wyrozumiałej, miał zupełną słuszność.

O kobietach polskich współczesnych miał Kaczkowski bardzo ujemne, a niezawodnie na ogół fałszywe wyobrażenie. Zdarzyło się, że jeszcze w r. 1858 wpadła mu w ręce książka Micheleta, która w tymże roku się ukazała, prawdopodobnie „L' Amour“, czy może raczej „La Femme“. Podobała mu się widocznie i posłał ją Smarzewskiemu. Ten jednak zachwytów nie podzielił, nie znalazłszy w niej nic nowego, prócz kilku myśli. Na co odpowiada Kaczkowski:

„Nic tam niema w tej książce prócz kilku myśli? nic więcej? Może być. Możem ja czytał fantazyą. Powiem ci wszakże, com wyczytał. Otom wyczytał to, że u nas trzeba koniecznie napisać książkę o posłannictwie i wychowaniu kobiety. Dlaczego my tacy mali, tacy lisi? bo takie są nasze kobiety. Źle mówię, nie one są takie, ale my je takiemi robimy. Tu miejsce na komplement dla Ciebie i Twojej żony, pomyśl go sobie, — a tymczasem przyznaj mi, że nic potem jesteśmy wszyscy i nic potem nasze kobiety. Dlaczegom ja się nie ożenił? przez kobiety. Najpierwej dlatego, żem je poznał z ich stron najsłabszych i o niczem innem nie myślał, jak z tego korzystać, — a potem dlatego, że a contrario wyrozumiałem, jaką kobieta być może i powinna i znaleźć takiej nie mogę. Ja w mojej teraźniejszej podróży o małom się nie ożenił, — alem się — nie ożenił. Reszta do pogadania. Teraz to tylko, iż ja sobie robię studya do takiej książki: kobieta, jaką była w historyi, — matka polska z ostatnich czasów, — typy te giną, dlaczego? Wychowanie, jakiem jest i jakiem być powinno. Znaczenie i posłannictwo kobiety — córka — żona — matka. Jeżeli to pra-

[1]) List z d. 28 maja 1859 r. Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

wda, że najlepiej się opisuje te kraje, w których się nigdy nie było, to ta książka uda mi się wybornie.“ [1])

I rzeczywiście, w r. 1860 zaczęło się ukazywać w „Bibliotece Warszawskiej“ studyum historyczno-obyczajowe Kaczkowskiego p. t. „Kobieta w Polsce“. Dzieło to miało być trzytomowe. Wyszedł jednak w Żytomierzu nakładem księgarni spółkowej pod firmą Hussarowskiego tylko tom 1. w dwu częściach i to dopiero w r. 1862.

W Bibliotece Ossolińskich znajduje się znaczna część rękopisu tego dzieła, jednakże mocno uszkodzona; są braki i przerwy i brak końca.

W „Kraju“ petersburskim z r. 1892 (Nr. 1 i Nr. 4) jest cały szereg listów w sprawie tego dzieła, a między innymi obszerny list córki Aleksandra Grozy, Maryi, która twierdzi, że redakcyą i korektą dzieła tego, którego edycyi podjęła się żytomierska spółka wydawnicza, założona przez Aleksandra Grozę. dr. Karola Kaczkowskiego i Leona Lipkowskiego, — zajmował się sam Aleksander Groza. Ostatnie tomy pozostały w rękopisie. Gdy spółka owa została rozwiązana, księgarnię nabył Jan Hussarowski, wszakże lepsze książki i rękopisy pozostały w posiadaniu mieszkańca Żytomierza, Edwarda Wąża. Tam też dostał się manuskrypt Kaczkowskiego o „Kobiecie“. Księgarz Zawadzki chciał to dzieło wydać, ale Wąż zażądał za to 4000 rubli, wobec czego układy się rozbiły i wydawnictwa zaniechano.

W biurku Edwarda Wąża przeleżał manuskrypt lat wiele, aż dopiero wydostał go ztamtąd dr. Narkiewicz-Jodko, a prof. Piotr Chmielowski, opatrzywszy przedmową, wydał jako tom II. Tom ten wyszedł w Warszawie, nakładem Kazimierza Grendyszyńskiego. W tomie I., obejmującym 10 rozdziałów, historya kobiety polskiej doprowadzona jest do końca XIV. wieku; jest to przeważnie historya polityczna, kwestya „poddaństwa kobiet“. W tomie II. kobieta wysuwa się na plan pierwszy. Cokolwiekby się dało zarzucić tej pracy, tak ze względów historycznych, jak i z tego względu, że dzisiejsze poglądy na kwestyę kobiecą, od czasu napisania studyum, znacznej uległy zmianie, to jednak ma ona jeszcze i teraz niewątpliwą wartość jako pracowite studyum, obejmujące dzieje kobiety polskiej od czasów zamierzchłych, pogańskich, aż do nowej doby.

---

[1]) List z d. 6 marca 1859 r. Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego.

W czasie kiedy Kaczkowski zamierzał przenieść się do Warszawy i objąć redakcyę „Kroniki“, t. j. pod koniec r. 1858, napisał powieść p. t. „Rozbitek“ w 3 tomach, przeznaczoną do „Teki Wileńskiej“, przez A. H. Kirkora redagowanej. Gdy jednak wydawnictwo tej „Teki“ w tymże roku zostało zamknięte, Kirkor ogłosił tę powieść osobno dopiero w 1861 r. — Jak już wiemy, jednym z głównych wydawców i protektorów „Kroniki“ był zamożny obywatel ukraiński Feliks Sobański. Tem się też tłumaczy, dlaczego Kaczkowski temuż Sobańskiemu, jakkolwiek nieznanemu sobie osobiście, dedykował „Rozbitka“. Wtedy właśnie, gdy zawiadamiał Smarzewskiego o toczącej się korespondencyi w sprawie objęcia redakcyi dziennika w Warszawie, a mianowicie w liście z dnia 28 maja 1859 r. donosi mu, że powieść ta już ukończona.

„Miałem wspomnieć jeszcze o naszej szlachcie, która nie wzięła inicyatywy w rozwoju zasad liberalnych i postępowych, a mogła, — dosnuj sobie tej myśli, ja już tu nie mam miejsca na nią. Napisałem zresztą o tem całą powieść p. t. „Rozbitek“, którą teraz posyłam do Wilna, zaczem, jeśli będziesz miał cierpliwość, to się ztamtąd dowiesz daleko dokładniej, co o tem myślę, niżeli z listu.“

Rzeczywiście w „Rozbitku“ jest mnóstwo długich i nużących dysertacyj o szlachcie, o jej upadku z powodu zniesienia pańszczyzny, o jej pięknych tradycyach i nowych drogach, jakie ją czekają w przyszłości. Uwagom tym nie można odmówić uzasadnienia, ani tendencyj szlachetnych, przeradzają się one jednak w rezonerstwo, a zbyt obszerne i powtarzające się ciągle, psują efekt artystyczny powieści. Artyzmu też w tej powieści bardzo mało; natomiast chęć widoczna pozyskania sobie życzliwych względów w opinii szlacheckiej — przecież miał być redaktorem pisma *par excellence* „obywatelskiego“ w Warszawie, — i olśnienia erudycyą. Ztąd przy każdej sposobności rozprawy to z zakresu agronomii, to nawet archeologii i historyi. Wśród tego wątek powieści i tak słabiuchny, co chwila urywa się i ginie.

„Rozbitkami“ w tej powieści są: Karol i hr. Izydor. Obaj potomkowie zacnych i zasłużonych rodów; obaj zarówno szlachetni, których losy wszakże idą odmiennymi torami. Karol, zrazu zapalony marzyciel, wychowany przez zacnego człowieka, lecz zwolennika „gminowładztwa“, demokratycznego działacza, Skibę. Pod jego wpływem Karol bierze gorący udział w ruchach 1846 r., dostaje się do więzienia i przepędziwszy tam dwa lata, przebywa zupełną metamorfozę. Stał się zgoła innym, tak dalece, że go na-

uczyciel Skiba poznać nie mógł. Ideałów Skiby pozbył się on w więzieniu zupełnie, a nawet powierzchownie się przeobraził. Widzimy go zaraz po uwolnieniu z celi więziennej w r. 1848; widzimy na ulicy, właśnie w chwili największego entuzyazmu tłumów, gdy na twarzach wszystkich „promienna odbija się radość“, gdy mowców i przewodników opinii obnoszono po ulicach w tryumfie. Wówczas to na rogu rynku, przed cukiernią Pohla, stanął Karol, ubrany elegancko, z laseczką ze złotą gałką w ręku, z batystową chusteczką przy ustach, zimnym, obojętnym wzrokiem, a nawet z niesmakiem mierząc rozentuzyazmowane tłumy. Był smutny i rozgoryczony. Ze zwątpieniem swojem i goryczą nie tai się też przed sąsiadem swoim hr. Izydorem, w tym entuzyazmie tłumów, opartym na jakiejś „ćwiartkowej“ nadziei, widząc „wielki upadek ducha, świadectwo najogromniejszej klęski“. W dalszej rozmowie z nauczycielem swym Skibą, który lata całe systematycznie pracował, aby w nim „zabić szlachectwo“, wypowiada się również otwarcie, objawiając, ku wielkiemu zmartwieniu „szlachetnego demagoga“, wielką miłość tradycyj i pamiątek rodowych, a stanowczą niechęć do wszelkiego działania w imię idei demokratycznych.

Jest to niewątpliwie wierne odbicie tych wrażeń, jakich doznał sam autor w ciągu dwuletniego swego uwięzienia w Sanoku i we Lwowie, oraz tego usposobienia, jakie mu kazało trzymać się zdala od wszelkiego działania w r. 1848 i manifestacyj, na które patrzał obojętnie, a nawet krytycznie.

Do „rozbicia“ Karola przyczyniła się też niemało miłość jego do pięknej córki szambelana, Józi, — miłość, powzięta w chatce rybaka nad Wisłoką, dziwnie potem zmrożona zachowaniem się panny w salonach lwowskich. Pod wpływem dorobkiewicza, pyszałka i szalbierza ojca, a także niecnotliwej ciotki, urocza Józia stłumiła w sercu miłość do Karola, przenosząc nazwisko i majątek hr. Izydora. A tak obaj przyjaciele, sąsiedzi i „rozbitki“ stanęli przeciw sobie jako współzawodnicy. Ale odbył się tu „pojedynek szlachetnych“. Hrabia Izydor, dowiedziawszy się o słowach miłości, wyrzeczonych przed dwoma laty w chatce rybaka przez Karola i Józię, wyrzeka się jej wspaniałomyślnie na rzecz rywala, który jednak tej ofiary przyjąć nie chce i wyjeżdża za granicę, do Paryża. Biedna Józia osiada na koszu, bo hr. Izydor zaczyna od tej pory chorować, wpada w suchoty i umiera, zapisując piękny majątek swój — szczyt szlachetności! — Karolowi. — Zbyt przywiązany do tradycyj dawnych, nie mógł hr. Izydor pogodzić się z nowym stanem rzeczy i wolał zejść ze świata, którego, pomimo swego

rozumu i wysokiej szlachetności, a może właśnie dlatego, zrozumieć nie mógł. Brakowało mu umiejętności dostosowania się, więc musiał zginąć jako „rozbitek“. — Daleko lepiej wyszedł drugi „rozbitek“, Karol. Pogodziwszy się z życiem i nowymi stosunkami i ożeniwszy się z Józią, która wyrobiła się na wzór niewiast, stał się zawołanym gospodarzem i powszechnie szanowanym obywatelem.

Nikt pewnie nie odmówi tej powieści, jak zresztą wszystkim innym współczesnym utworom powieściowym Kaczkowskiego, głębszej myśli przewodniej i najlepszej intencyi, skierowanej ku poprawie społeczeństwa. Wytykał wady, piętnował występki, lecz zamiast czynić to środkami artystycznymi, wcielając swoje teorye w akcyę powieści, przybierał nieraz zgryźliwy ton zniecierpliwionego nauczyciela, albo przerywając wątek powieści, gubił się w nużącem rezonerstwie. Zadanie powieściopisarza polskiego pojmował Kaczkowski niewątpliwie poważnie; każdą swą współczesną powieść uważał jakby za trybunę, z której miał głosić społeczeństwu zbawienne nauki. Ale w tym nauczycielskim, czy kaznodziejskim zapale gubił się — artysta... Z drugiej jednak strony, jeżeli utwory te, pomimo braku artyzmu, zachowały po dziś dzień pewną wartość, to jedynie dzięki temu, że są one dość wiernem — chociaż nierzadko tendencyjnem — odbiciem swojej epoki, odwzorowaniem tych prądów, opinii i zasad, które podówczas panowały.

Zbliżyliśmy się już do przełomowej epoki w życiu i działalności Zygmunta Kaczkowskiego. Doszliśmy do r. 1860, w którym on wszedł na szerszą arenę publicystycznego zawodu. Do tego nowego, a bardzo nieszczęśliwego okresu należy też powieść p. t. „Żydowscy“, ukończona w ciągu wspomnianego roku, która wywołała przykrą polemikę przeciw autorowi ze strony żywiołów ultra demokratycznych, na których czele stał podówczas Jan Dobrzański i Kornel Ujejski. — Zródła tej walki należy szukać nie tyle w różnicach poglądów literackich, ile raczej w zapasach tworzących się stronnictw politycznych i ich organów.

VII.

(Powieść „Żydowscy. — Polemika nią wywołana. — List Kaczkowskiego do Augusta Bielowskiego w tej sprawie. — List Kaczkowskiego do Edmunda hr. Krasickiego o J. Dzierżkowskim i demokracyi. — Zabiegi w sprawie założenia pisma, mogącego podjąć walkę z koteryą J. Dobrzańskiego i K. Ujejskiego. — Konferencye przedstawicieli stronnictwa zachowawczego. — Zdania: Seweryna Smarzewskiego, A. Z. Helcla, Ludwika Skrzyńskiego, Kazimierza hr. Wodzickiego. — Założenie „Głosu“. — Program pisma. — Kaczkowski w Paryżu. — Rokowania z Hotelem Lambert i redakcyą „Wiadomości Polskich. — Pobyt w Warszawie. — Przyjęcie u państwa Łuszczewskich; improwizacya Deotymy; uczta w „Resursie nowej“. — Zabiegi i starania ks. Adama Sapiehy. — 72 akcyonaryuszy „Głosu“. — Polemika, obudzona ukazaniem się tego pisma. — Agitacya wyborcza. — Kaczkowski chce wystąpić jako kandydat na posła. — List jego do Edmunda hr. Krasickiego. — Niezadowolenie z Kaczkowskiego i niepopularność wśród ziemian. — Listy ks. Adama Sapiehy. — Siły redakcyjne „Głosu“. — Proces karny, wytoczony Kaczkowskiemu. — Skazanie na 2 lata więzienia. — Projekty literackie Kaczkowskiego. — Listy do dr. Karola Kaczkowskiega. — Opis Lwowa i jego towarzystwa. — Listy do Wincentego Rogalińskiego. — Wyjątki z rozprawy o żywotności narodu polskiego. — Zapowiedź powieści: „Związek Braterski“. — Wyjątki z niedrukowanej i nieskończonej powieści „Wójtowicz Pilznieński. — List Kaczkowskiego do Edmunda hr. Krasickiego. — Upadek stanowczy „Głosu“. Deficyt. Pismo Kaczkowskiego do akcyonaryuszy tego dziennika. — Ułaskawienie. — Zwrócenie praw szlachectwa i obywatelskich. — Korespondencya z J. I. Kraszewskim. — „Album Lwowskie“ i artykuł Z. Kaczkowskiego o literaturze polskiej.)

W roku 1860 poczęła się ukazywać w „Kółku rodzinnem“ powieść Zygmunta Kaczkowskiegó p, t. „Żydowscy“.

Piotr Chmielowski w „Historyi Literatury Polskiej“ [1]) twierdzi, że powieść ta była właściwie „pamfletem jeno, wymierzonym

[1]) Tom VI., str. 110.

przeciwko głowom wichrowatym, z wyraźnemi aluzyami do znakomitego poety, Kornela Ujejskiego“.

Że powieść ta z artyzmem nie wiele ma wspólnego, na to zgodzić się można bezwarunkowo. Ale pamfletu w niej dopatrzeć się trudno. Jest niewątpliwie tendencyjna, do czego sam autor się przyznaje w przedmowie, napisanej w Paryżu już w r. 1871, do książkowego wydania „Żydowskich“. „Dążnością jej — powiada Kaczkowski — miało być rozbudzenie uśpionego pod ową chwilę ducha narodowego i oczyszczenie go z naleciałości, tchnących materyalizmem.“ „Pomiędzy idealizmem, — pisze on dalej — który nas zawsze gubił, a materyalizmem, który jeszcze nigdy nikogo nie zbawił. należało, jako przyszłego przywódcę, postawić realizm, który pełen czci dla wszystkiego, co wzniosłe i piękne, lecz brzydzący się bałwochwalstwem dla bezdusznej materyi, potrafiłby nas bez strat i zawodów zaprowadzić do celów, równie odpowiednich naszym ideałom, jak materyalnie pożytecznych.“

Niemal równocześnie z pojawieniem się pierwszych rozdziałów tej powieści, rozpoczęła się agitacya, mająca również na celu rozbudzenie ducha narodowego, ale postępująca bardzo raźnymi krokami. „Niebawem — powiada Kaczkowski w owej przedmowie z roku 1871 — wystąpili budziciele tacy, którzy zamiast rozbudzać uśpione uczucia miłości i zgody, ofiary i poświęcenia, jęli podżegać złości i nienawiści, zapalać swary stronnicze i osobiste i rozrzucać nasiona wojny domowej...“ „Zaczęły się orgie społeczne i polityczne, literackie i publicystyczne...“ „Historyczny widnokrąg narodu zacieśnił się... a na tak ścieśnionej arenie wystąpiły na jaw drobne cele prowincyonalne, odpowiednio tym celom potworzyły się drobne stronnictwa, jakieś partye nibyto polityczne, nie mające od innych części swego własnego organizmu żadnego mandatu.“

Tak przedstawia Kaczkowski w r. 1871 tendencyę swej powieści, przed jedenastu laty pisanej, i stan umysłów w Galicyi w r. 1860. Była to epoka istotnie jaskrawego ścierania się prądów politycznych i społecznych, a w tej walce zapominano, niestety, zbyt często o właściwych granicach polemiki.

Zdawało się jednak zrazu, że powieść, obejmująca kronikę rodu Żydowskich od czasów bajecznych, nie da do takiej polemiki żadnego powodu. Pierwsze też rozdziały, przedstawiające typy z XVIII. stulecia, typy bardzo idealne, mężów wielkiego hartu, cnót rycerskich i rodzinnych, którzy umieli jeszcze „umierać z oburzenia i sromu“, jak Jozafat Żydowski, kasztelan słoński, jak dzielny

syn jego Bernard, miłośnik ojczyzny, który umarł z boleści po jej upadku, jak wnuk kasztelana Seweryn, który zginął jak bohater w r. 1830, w bitwie pod Grochowem; — nie nastręczały bynajmniej sposobności do zaczepki. W tych pierwszych rozdziałach Kaczkowski, jako bezwzględny *laudator temporis acti*, przedstawia wyłącznie niemal typy idealnie szlachetne, rycerskie, dzielne. Wprawdzie ostatni z tych typów, Seweryn, za młodu paź króla Stanisława, wychowany „w lichej szkole antykamery królewskiej", zatracił już był w sobie wiele z tych przymiotów, które jego przodków zdobiły. Początkowa jego charakterystyka jest raczej ujemna. „Libertyn i niedowiarek, drwiący filozof, epikurejczyk, był przytem napojony zasadami arystokracyi, tej arystokracyi najlichszej, która się zasadza na pogardzie dla niższych, a na lokajstwie dla wyższych". — Całkiem jednak niespodzianie „wyskakiwały z niego czasem demagogiczne zasady zrównania ludzi, powrotu do stanu natury, rzeczypospolite europejskie, amerykańskie i Bóg nie wie jakie". — Tkwiła też w jego naturze tak zwana podówczas „tężyzna" i awanturniczość. Po upadku Ojczyzny i śmierci ojca, Seweryn dał folgę swemu awanturniczemu usposobieniu i przedewszystkiem puścił się w podróż do — Paryża, gdzie zapomniawszy o pierwotnych swych patryotycznych zamiarach i legionach, począł hulać „na schwał!" I zabrnął po same uszy, — lecz nie na długo. Spotkawszy się na bruku paryskim z Barssem, Konopką i Nadolskim, werbującym do legionów, tworzących się we Włoszech, ochotnie podążył na wojnę, znosił mężnie wszelakie trudy i bił się dzielnie, a jak już wspomnieliśmy, zginął bohaterską śmiercią pod Grochowem.

Dotychczasowe zatem rozdziały powieści, pisane po kronikarsku, bez śladu dawnej nieczujowskiej werwy, jeżeli nie czyniły zbyt wielkiego wrażenia, to nie obudzały niechęci. Podniecił ją dopiero rozdział p. t. „Od roku 1831" i następne, piętnujące dość jaskrawo tendencye materyalistyczne i owych „podżegaczy" do wojny domowej.

W pierwotnym tekście musiały być nawet ustępy znacznie jaskrawsze, które jednak ostrożna redakcya „Kółka rodzinnego" opuściła. Bo oto, co pisze Kaczkowski z Bereźnicy d. 12 maja 1860 do Seweryna Smarzewskiego:

„Jeżeli chcesz wiedzieć, co teraz piszę, to zaabonuj „Kółko rodzinne". Idzie tam moja robota p. t. „Żydowscy". Jest to rozprawa z niektóremi kwestyami, dotyczącemi losów Galicyi. Powiedziałem tam wiele, nawet tak wiele, iż zaryzykowałem dla siebie

proces, a dla „Kółka" admonicyę: ale teraz już jestem próżen wszelkiej obawy, bo lojalne „Kółko" pozwoliło sobie zastępować nieboszczkę Cenzurę i wszelkie miejsca drażliwe wypuszcza. Co zostanie, sam teraz już nie wiem." [1])

Zostało jednak dosyć, aby wywołać burzę. Spowodował ją przedewszystkiem ustęp [2]) o Galicyanach, reprezentowanych przez nikczemną kreaturę, niejakiego Nowickiego, „Galicyanina krwi pełnej". Ostrza satyry nie szczędził tu Kaczkowski. „Naród ten (galicyjski), — pisze — który się dopiero w bieżącym wieku zaczął wynurzać z odmętów historyi, jest dotąd jeszcze daleko mniej licznym, aniżeli wynaleziony niedawno naród Rutenów... Są to — powiada dalej — „biali murzyni, którzy nadzwyczaj ukochali niewolę i za nic w świecie nie daliby się z niej wyswobodzić... Na tem polega ich narodowość". „Religii nie mają żadnej... Mówią powszechnie swym własnym galicyjskim językiem, który jest cokolwiek do polskiego podobny. Nie wyrobiwszy go jednak należycie, mieszają go z obcymi: więc oświeceni z francuskim, chrzczeni z niemieckim, niechrzczeni z żydowskim, a inni z ruskim. Literatury swojej także nie mają... Nauki tylko takie szanują, które dają chleb pewny... Sztuk pięknych nie pielęgnują żadnych... Historyi polskiej zupełnie nie znają, a swojej nie mają, bo ich historya nie wyszła jeszcze z ustnych tradycyj, które wyglądają bajecznie... Można przypuścić, że narodek ten urobił się zwolna z Polaków, Niemców, Rusinów i Żydów... Żyje on porozsiewany dość rzadko po Rusi Czerwonej, południowych częściach Małopolski i Bukowinie. Bukowina jest ich ziemią obiecaną, do której się garną najchętniej; tam też podobno chowają się w rasie najczystszej... Nie przywiązują się namiętnie do miejsca i wszędzie ciągną za zyskiem... Niemasz zatrudnienia, któregoby się nie chwycili, jeżeli tylko korzyść przynosi... Niektórzy z nich skrzętnie zajmują się lichwą, kopią dołki pod Polakami i często ich wyzuwają z majątków..." i t. d., i t. d.

Tego rodzaju wycieczka przeciw „Galicyanom" wywołała oczywiście burzę. Skorzystano skwapliwie z pozoru, aby wywrzeć zemstę na niewygodnych konkurentach publicystycznych, a to tem skwapliwiej, że było wiadomem, iż jeden z redaktorów „Kółka rodzinnego" Karol Widman, wraz z Henrykiem Nowakowskim, wniósł

---

[1]) Ms.

[2]) Tom I., str. 124 i nast., wydanie lwowskie F. H. Richtera z 1872 r.

już był podanie o koncesyę na założenie nowego dziennika politycznego. W obozie „Dziennika literackiego“, w obozie Jana Dobrzańskiego i Kornela Ujejskiego zawrzało. Skorzystano skwapliwie z owego ustępu powieści o „narodzie galicyjskim“ i o Bukowinie. jego „ziemi obiecanej“, aby pomówić Kaczkowskiego, że chciał tem ubliżyć Ormianom i pisząc to, miał ich na myśli.

Oto, co w tej sprawie donosi Kaczkowskiemu Karol Widman w liście ze Lwowa z d. 16 czerwca 1860 [1]):

„Supiński przyniósł dziś z rana Zachariasiewiczowi artykuł dla „Kółka“, wystosowany przeciw Twojej powieści o Galicyanach. Artykuł ten wskazuje cały ustęp, tyczący się Galicyanów, czyli wszystkie tego rodzaju ustępy, jako wymierzone przeciwko nacyi ormiańskiej, okrzykuje to za zbrodnię, zasiewanie rozdwojenia w narodzie etc. Rozumie się, że to nie jest nic, tylko nowa Korneliada i Dobrzańskiada przeciwko „Kółku“. Zachariasiewicz (który był wyjechał do chorej matki, do Radymna) prosił mię, abym Ci napisał: 1) że on wyjednał tyle u Supińskiego, by się wstrzymał z ogłoszeniem tego artykułu aż do jego powrotu, 2) bym Ciebie prosił, żebyś napisał jak najrychlej artykuł wyjaśniający: a) że pod Galicyanami bynajmniej ani Ormian, ani żadnej podobnej rozumieć nie można nacyi; b) że pod Galicyanami nie można rozumieć Polaków z niemieckiemi nazwiskami, bo się obruszono w imieniu Bajerów, Reitzenheimów, Hefernów etc., etc. Rozumie się, że mnie oprymowano koniecznie, abym się za to gniewał; ja tylko odpowiedziałem, że się nie poczuwam do tego galicyanizmu, jaki Ty opisujesz; c) że pod Galicyanami rozumiesz tylko złych Polaków i t. p.“

Nie sam jednak tylko Supiński tak zrozumiał ów ustęp powieści o „Galicyanach“. Tego samego zdania był, zdaje się, także August Bielowski, jak to się okazuie z listu Kaczkowskiego, pisanego do Bielowskiego z Bereźnicy d. 6 lipca 1860 r. W liście tym czytamy:

„Nie mogę wszakże na żaden sposób zgodzić się na to, co z nader pochlebnej i wdzięcznem sercem przyjętej przyjaźni dla mnie wspominasz o mojej definicyi Galicyanów. Jakim wypadkiem mogło się takie nieporozumienie urodzić, jest dla mnie rzeczą niepojętą. Zawzięcie mi nieprzyjazny „Czas“ mnie zrozumiał, bijący na „Kółko“ „Przegląd“ mnie zrozumiał, cały kraj mnie zrozumiał: tylko we Lwowie podsunięto pod ten ustęp myśl taką, o której

[2]) Ze zbiorów Rapperswilskich. Ms.

ani mi się śniło. A przecież zdaje mi się, że nie dałem do tego najmniejszego powodu, bo wyłożyłem myśl moją, jak tylko można było najjaśniej. Pod galicyjskim narodem cóż rozumiałem? Oto rozumiałem tych ludzi, którzy pod panowaniem austryackiem zabili w sobie polskie sumienie, którzy zatarli w sobie uczucie jednolitości z narodem polskim, zgodzili się z losem obecnym, popadli socyalnie i politycznie nie w powiatowszczyznę, ale w prowincyonalizm, w prowincyonalizm nie polski, lecz austryacki, — z czego wyrobiła się klasa ludzi, nie wierzących w przyszłość całego narodu polskiego, nie zajmujących się losami polskiego ogółu, czujących się częścią austryackiego Państwa, dbających zazwyczaj tylko o swój byt materyalny, a w najlepszym razie pragnących tylko jakichś swobodniejszych urządzeń pod berłem Austryi. To są moi Galicyanie. Że pod nimi nie rozumiałem żadnego szczepu, o tem nie powinno być najmniejszego wątpienia, bo przecież powiedziałem wyraźnie: że się składają z Polaków, Niemców, Rusinów i Żydów, że mówią językiem polskim, francuskim, niemieckim, żydowskim i ruskim i t. d. Żem zaś Ormian nie miał wcale na myśli, dowód najlepszy w tem, iż Nowicki, typ, z którego ich wyprowadzam, wskazuje albo na wychrztę, albo na parweniusza polskiego rodu, ale na żaden sposób na Ormianina; a zresztą w tem, iż powiedziałem, że się namiętnie kochają w świecidłach, o co przecież Ormianów żadną miarą posądzać nie można. Są oprócz tego i dalsze w tej powieści ustępy z tegoż samego wątku wysnute, które stoją za dowód, jak n. p.: „Proboszcz Grodowiski był dawniej także trochę Galicyaninem, ale się z czasem rozmyślił i trzymał całem sercem z gromadą“. Proszę podłożyć wyraz Ormianinem pod wyraz Galicyaninem, a okaże się bezsens wierutny. Takich ustępów, objaśniających tę myśl, jest w tej powieści więcej — a wszystkie są zgodne z założeniem. Nie widzę zresztą wcale, dlaczegobym był miał występować przeciw Ormianom, których najpierwej jest u nas tak mało, iż przy wszelkich widokach ogólnych można na nich bezpiecznie żadnej nie zwracać uwagi — i którzy powtóre, lubo mają tak samo hultajów pomiędzy sobą, jak każdy szczep inny, jednak w ogólności są porządnymi i najczęściej zacnymi ludźmi, zlali się z Polakami od wieków i dali nawet niejednokrotnie dowody pięknego przywiązania do kraju.

„Jeżeliś tedy na mnie istotnie łaskaw, zacny Panie Auguście, to odczytaj jeszcze raz uważnie ów ustęp o Galicyanach — a wtedy przekonasz się dowodnie, że nie miałem przytem żadnego szczepu ani narodu, ani nawet ludzi tego albo owego pochodzenia na my-

śli, tylko właśnie ze wszystkich u nas żyjących narodów n i e n a r o d o w e wyjątki. które przestały być Polakami, a stały się c. k. Galicyanami. Nie dzielić, dwoić lub jątrzyć było moim zamiarem, ale właśnie zwrócić na to uwagę, iż podział taki już istnieje, bo w polskim narodzie, zamieszkującym tak zwaną Galicyę, wyrabia się naród osobny, wierny austryacki poddany, naród galicyjski. Na oświadczenie to kładę tem większy nacisk, ile że wiem już od kilku tygodni, że to podejrzenie przeciwko owemu ustępowi „Żydowskich“ ma we Lwowie swoich wyznawców — a nawet, że Pan Józef Supiński wygotował przeciw mnie srogi artykuł, w którym obyczajem obecnej chwili, obwinia mnie wielkim głosem — o fałsz, pożogę, bratobójstwo i zdradę! — Ja P. Supińskiego nie znam, ale już nieraz o nim słyszałem i słyszałem zawsze najlepsze rzeczy. Mam go za człowieka oświeconego, zapatrującego się na świat ze strony poważnej, a przytem za dobrego Polaka. Dlatego na pierwszą wieść o jego zamiarze nie mogłem temu uwierzyć; lecz kiedy się przekonałem, że jego zamiar zamienił się w już napisany artykuł, nie mogę nic innego powiedzieć, jak tylko: że byłoby to dla mnie wielką przykrością, gdybym został zniewolony do bronienia się przeciw niemu w kwestyi takiej, która 1-o jest jasną i przez opinię publiczną jasno zrozumianą, 2-o w której nie można się bronić półgębkiem, a 3-o która nie jest jeszcze całkowicie wypowiedzianą przezemnie. bo powieść nie jest skończoną, — wskutek czego mogę się bronić najrozmaitszą bronią: i artykułem osobnym, i odpowiednimi zwrotami w dalszym ciągu powieści, i wprowadzeniem jakiego nowego typu, a wreszcie nawet osobną rozprawą o galicyanizmie, wywołaną tą właśnie zaczepką. Wspominam tu o tem dlatego, iż o ile wiem P. Supiński nie jest Ci obcym, zaczem Cię proszę, ażebyś był łaskaw tego oświadczenia mego Jemu udzielić, a zarazem Go zawiadomić, ażeby, jeżeli koniecznie chce wojnę rozpocząć ze mną o nacyę Ormiańską. przynajmniej nie przepieprzył oskarżenia, bo tym sposobem przepieprzy z góry moją obronę, — a tak wojując, że czy ja zwyciężę, czy on zwyciężonym zostanie, zawsze on będzie tym, który nowe wywoła zgorszenie.“ [1])

Nie trudno więc przyszło Kaczkowskiemu obalić te niesłuszne zarzuty, ale rozjątrzenie trwało, tem bardziej, że dalszy ciąg powieści ujawniał dobitnie jej tendencyę, wymierzoną przeciw kie-

[1]) Rękopis Biblioteki Ossolińskich Nr. 2432, Tom II., karta 70—71.

runkom materyalistycznym i wichrzycielskim żywiołom w kraju. Reprezentantem owych kierunków w powieści jest przedewszystkiem Nowicki, ten „Galicyanin pełnej krwi“, jak go autor nazywa, i młodszy syn Seweryna Żydowskiego, Krzesław. Oni obaj popełniają szereg niegodziwości, a Krzesław posuwa się aż do wywłaszczenia w sposób nielegalny starszego swego brata, Dobiesława, i sprzedaży ojczystego majątku cudzoziemcom.

Dobiesław jest przedstawicielem zupełnie odrębnego kierunku, jest uosobieniem owego „realizmu“, który Kaczkowski zamierzał postawić pomiędzy zgubnym „idealizmem“ a materyalizmem, jako „przyszłego przywódcę“. — Po wypadkach 1846 r. Dobiesław oparł się na dłużej aż w Paryżu, gdzie się kształcił w naukach technicznych i nabywał owego realnego na świat poglądu, tak mu później niezbędnego w działaniu na niwie ojczystej. Powróciwszy do kraju, zastał ruinę materyalną i moralną: majątek ojczysty w rękach obcych, a brata również obcego sobie zasadami, postępowaniem i uczuciem. Wszystko to jednak z czasem poczęło się pomyślnie układać. Majątek rodowy, Grodowiska, udało się Dobiesławowi z rąk obcych wydobyć, a ożeniwszy się z zacną Klotyldą Wapnowską, pochodzącą z równie jak Żydowscy zasłużonego, rycerskiego rodu, rozpoczął on życie pełne spokoju, lecz zarazem oddane szerszej pracy obywatelskiej, nacechowanej owym zdrowym, trzeźwym realizmem, który, zdaniem autora, miał być zbawcą społeczeństwa w walce ze szkodliwym materyalizmem. Hasłem jego stała się oszczędność i praca. Zwolna zakres tej pracy rozszerzał się. — Dobiesław, w miarę przybywających środków pieniężnych, wziął się do chowu bydła na większe rozmiary, do fabrykacyi nawozów sztucznych, irygacyi łąk starych i zakładania sztucznych, rozszerzył szkółkę nasion pastewnych, uregulował gospodarstwo lasowe, pracując równocześnie nad podniesieniem stanu włościańskiego i rozszerzając zbawienny wpływ swój na bogatszych sąsiadów. Z czasem pomyślał o nowych podstawach krajowego rolnictwa, przemysłu i handlu, o zawiązywaniu Spółek rolniczych i handlowych, — a miał tę pociechę, że jego myśli i plany twórcze znajdowały zwolenników i wytwarzały — czego Dobiesław pragnął najbardziej — jedność i zgodę powszechną. Radość tę z osiągniętych rezultatów mąciła mu jednak myśl, że dotychczas nie mógł dojść do porozumienia z rodzonym bratem, Krzesławem. Spotkali się dopiero na gruncie owych Spółek handlowych i — pogodzili. A to pogodzenie niezmiernie zbawiennie wpłynęło na Krzesława, który począł się stawać innym, pożytecznym człowiekiem.

Ale ten pogodny horyzont wnet począł się zaciemniać z przybyciem do domu Dobiesława w Grodowiskach jego dawnego kolegi szkolnego, niejakiego Walentego Wichra. Był to człowiek, „obdarzony wulkanicznem sercem i dziwnie niespokojnym umysłem“. Typ agitatora, wichrzyciela i intryganta, który wnet ową cudowną harmonię, owoc pracy Dobiesława, gruntownie zamącił. I rozpoczął się w całej okolicy ruch niezwykły a niezdrowy, oparty na podejrzeniach, insynuacyach i potwarzach. Owemu Wichrowi „nie dosyć było oskarżać, opluwać i druzgotać tych, którzy dali do tego jakiekolwiek powody, ale trzeba było także oplwać i podruzgotać tych, którzy dotychczas bądź pracą, bądź zasługami, bądź osobistą zacnością zdobyli sobie jakiekolwiek poszanowanie“. Pierwszą ofiarą intryg Wichra padł Krzesław, który pod wpływem brata zupełnie się przeobraził, a którego wszystkie dawne grzechy wydobyto na jaw; za nim poszły ofiary dalsze, a między temi przezacny teść Dobiesława, stary Wapnowski. Dostało się wreszcie i samemu Dobiesławowi, którego nie ogłoszono wprawdzie zdrajeą, lecz budzono ku niemu nieufność, jako człowiekowi przestarzałych zasad, wstecznikowi.

Wywieszono sztandar pozornie patryotyczny, lecz w gruncie tylko stronniczy, pod osłoną którego „krzykliwa literatura stała się jednym wielkim pamfletem na szlachtę“; każdy, zabierający głos w sprawach publicznych, „ściągany jest na bruk ulicy i oddany pod sąd opinii ulicznej, pod jadowitą ślinę plwaczy publicznych i bicze, kręcone z szubienicznych powrozów“.

Pod takimi wpływami, a dzięki intrygom Wichra, zamącił się spokój w Grodowiskach i całej okolicy. I niewiadomo, co byłoby się stało, gdyby nagle nie był się tam pojawił starzec sędziwy, wracający z Sybiru, męczennik sprawy narodowej, dziadek macierzysty Żydowskich, Szydłowski. Już samo pojawienie się jego podziałało magicznie. A cóż dopiero, gdy usta otworzył i opowiedziawszy własne koleje i męczeństwa przebyte, począł stylem biblijnym nawoływać do zgody, do jedności, do wspólnej pracy ku odrodzeniu ojczyzny. — Wszyscy, płacząc, rzucili się sobie w ramiona, nawet Wichr „upadł na piersi Dobiesława“. A wśród tego pojednania „rozpoczął się dzień nowy na ziemi“.

Temi słowy kończy się ta powieść, bardzo słaba pod względem artystycznym i niewątpliwie tendencyjna, która jednak pomimo pewnych ostrych wycieczek, skierowanych przeciw „orgiom społecznym i politycznym, literackim i publicystycznym“, nie może być nazwana, jak tego chce Chmielowski, „pamfletem, wymierzonym przeciwko głowom wichrowatym, z wyraźnemi aluzyami do znakomitego poety, Kornela Ujejskiego“. W postaci Walentego Wichra możnaby zapewne dopatrzeć się ukrytej myśli Kaczkowskiego, skierowanej przeciw autorowi „Listów z pode Lwowa“, ale trudno przypuścić, aby Kaczkowski na seryo przypisywał Ujejskiemu hasło Wichra: „Precz z powagami! precz z poetami i uczonymi! precz ze wszystkiem, co dzisiaj jest!“ — Pomimo swej animozyi do Ujejskiego, Kaczkowski nie zapomniał nigdy, że to twórca „Skarg Jeremiego“ i „Chorału“ i — jakto w swoim czasie zaznaczyliśmy — jeżeli dawał upust swej niechęci w listach prywatnych i notatkach rękopiśmiennych, to jednak publicznie przeciw poecie nie występował wcale. Jak widzieliśmy, zaniechał nawet publicznej manifestacyi w obronie Pola.

Typ Wichra, jest zdaniem naszem, typem złożonym. Mogą być w nim niektóre rysy i Ujejskiego, lecz jest tam i Jan Dobrzański i Dzierżkowski Józef, a nawet zapewne ów stary kolega szkolny Kaczkowskiego, Gosslar, anarchista-agitator, który bawił u niego i we Lwowie i w Bereźnicy i ztamtąd swoje nici agitacyjne rozsnuwał. Przerzucony w czas późniejszy, w czas „orgij społecznych i politycznych, literackich i publicystycznych“, musiał być typ ten przystosowany przedewszystkiem do tej epoki, w której przyszło „Kółku rodzinnemu“ walczyć z atakami całej armii Jana Dobrzańskiego, owych „budzicieli, zapalających swary stronnicze i osobiste, rzucających nasiona wojny domowej“. — Walenty Wichr najwięcej też cech znamiennych wziął od Józefa Dzierżkowskiego. Kto zna sposoby walki, zastosowywane przez Dzierżkowskiego, jak n. p. w polemice z publicystą konserwatywnym, Hilarym Meciszewskim, owo obrzucanie przeciwników stekiem potwarzy i obelg, ten bez trudności schwyci podobieństwo tej metody z metodą Wichra, którego hasło, przytoczone powyżej, łatwiej też do Dzierżkowskiego, niż do Ujejskiego da się przystosować.

Sąd Kaczkowskiego o Dzierżkowskim i całem jego stronnictwie, jakoteż o demokracyi w ogóle, był bardzo ujemny. Świadczy o tem list jego, pisany ze Lwowa d. 30 września 1850 r. do Edmunda Krasickiego, w którym mu donosi, że Dzierżkowski, po wypadkach 1848 r. i kampanii węgierskiej, internowany w Lincu, powrócił do Lwowa.

„Pan Dzierżkowski — pisze — uszczęśliwił Lwów swojem przybyciem z miejsca wygnania, z Lincu, ale nieborak tak się nigdzie nie pokazuje, że nie miałem jeszcze honoru oglądać tej arcyszanownej osoby. Mówił mi Jaźwiński, który, wracając z Karls-

badu, jechał z nim w jednym szybkowozie z Krakowa, że ten Robespierre manqué, stał się najpotulniejszym barankiem teraz i niesłychanie wymyśla na niewdzięczność demokracyi. Panu Bogu milszy wprawdzie jeden grzesznik nawrócony, niżeli stu prawowiernych, — ale.. ludzie są źli, i dopiero dzisiaj zaczynają gadać o powozach, zegarkach, serwisach ukradzionych... ludzie są źli, i pozwalają na to, żeby ich trybun przedtrzechletni, który tak zacięcie bronił lud lwowski od krwiożerczego Meciszewskiego, chodził dziś w wytartym i niepodwatowanym surducie, chociaż tak zimno na dworze. Niewdzięczna Demokracya! bo chociaż sama w wytartych i niewatowanych surdutach chodzi, czyż nie mogłaby złożyć dwa, trzy, albo i więcej na jeden i ubrać ciepło trybuna! Bardzo zabawnie wyszli ci na tem (tu we Lwowie, bo nam na prowincyi to nie zaszkodziło; zresztą myśmy wcześnie kurtynę spuścić kazali, aby się komedya skończyła), którzy poszli w służbę do Demokracyi. Kilku z nich wskutek wielkiej cywilnej odwagi (o której się z dzieł Libelta całe rozdziały na pamięć uczyli), przesiedziawszy wojnę węgierską i węgierskie szubienice za granicami Monarchii austryackiej, popowracali do Lwowa, wymarzywszy sobie w Eilwagenach, jakto tu ich na rękach będzie nosić Demokracya! Tymczasem lud pracuje po warsztatach i wygląda przez okno, czy nie przychodzi szlachcic jaki, aby kupić surdut, buty, kapelusz, maszynkę do kawy, samowar etc., a demokraci, przehulawszy podczas ruchów swoje Reserve-Gelder, siedzą po kancelaryach adwokackich z piórkami za uchem i także wyglądają szlachcica, któryby przyszedł zażądać napisania akcyi albo repliki. I gdzież czas nosić trybuna na rękach? i czyż podobna iść nawet przez ulicę z panem Dzierżkowskim lub Duninem Borkowskim, kiedy jakby szlachcic jaki to widział, to już nie da do napisania akcyi ani repliki, bo na sam widok tych, którzy pańszczyznę darowali, to mu się serce zakrwawi! — Otóż na co zeszła ta biedna, niegdyś wolna i niepodległa Demokracya nasza. Może ma rozum, ale *paucis exceptis* podła jest... i niema co z nią robić. — I dzisiaj jeszcze przy każdym ukłonie to myśli sobie: poczekaj szlachcicu, *fugiet nox, veniet lux,* to pokażemy ci znowu, co my umiemy. Jak my ci znowu coś darujemy, jak ci każemy składki dawać na papier, na którym napiszemy dekret darowania propinacyi żydom, którym wedle praw boskich należy się równość i obywatelstwo! i t. d. Taki jest stan Demokracyi."

Nie kochał więc Kaczkowski demokracyi, — potępiał wichrzycielstwo i szarpanie sławy ludzkiej dla celów polityki stronniczej

i temu dał jaskrawy wyraz w „Żydowskich", a zwłaszcza w nakreśleniu typu Walentego Wichra.

Bądź co bądź polemika wywołana tą powieścią i rozjątrzenie ztąd przeciw Kaczkowskiemu powstałe, nie były dla niego dobrą na przyszłość wróżbą, a zwłaszcza w tym czasie, w którym miał on zająć wybitniejsze stanowisko w świecie publicystycznym, jako naczelny redaktor nowo założonego we Lwowie, konserwatywnego pisma p. t. „Głos".

Już w pierwszej połowie 1860 r. sprawa tego dziennika stała się aktualną. Było to w czasie wielkiego strapienia dla Kaczkowskiego, właśnie bowiem wówczas siostra jego, Honorata, dotknięta gruźlicą, dogorywała w Bereźnicy. Donosząc o tem Smarzewskiemu d. 2 czerwca 1860 r., oznajmia mu zarazem, że odbiera ciągle listy ze Lwowa, przedstawiające „potrzebę zgromadzenia sił umysłowych w jedno ognisko". „Wczorajszą pocztą — pisze — odebrałem nawet list, wzywający mnie do Lwowa koniecznie. Odgłosy publicznego niepokoju odzywają się tam coraz głośniej, ale nie tak, jak sobie życzy większość ludzi zacnych. Te same głosy, które w r. 1848 wzięły górę nad wszystkiem i tylko dały jawne świadectwo naszej nieudolności, burmistrzują i teraz, a Szlachta śpi albo przez niedołężność, albo z powodu nieufności w te głosy. Potrzeba jest konieczna (jak mi donoszą) jakiegoś ciepłego, ale trzeźwego głosu. Liczą na to, że ja mógłbym choć kilka słów takich wyszeptać. Wielki zaszczyt, daleko większy, niż moja własna o sobie opinia w chwilach najbujalszej fantazyi. Gdybym wiedział, że mogę się stać choć pomostem, po którym jakiś znakomity, a dziś tak potrzebny człowiek wejdzie na przedrewolucyjną trybunę, pojechałbym pewnie. Ale dziś nie jestem zdatny nawet na pomost. Głowę mam skołataną, serce zakrwawione: przez trumnę i grób, który mi wciąż stoi przed oczyma, nic zgoła nie widzę. Chciałbym przecież wiedzieć, co tam Wy w waszych stronach myślicie? Jak jest usposobiona wasza szlachta i inteligencya?..."

Kaczkowski w broszurze swej, w r. 1866 wydanej w Wiedniu p. t. „Rewolucyjne sądy i wyroki", przypisuje sobie inicyatywę w skupieniu żywiołów zachowawczych i założeniu poważnego dziennika, któryby owym „orgiom radykalno-publicystycznym" położył koniec[1]). Jeszcze wyraźniej pisze w liście z Paryża d. 21 marca 1891 r. do pani Jadwigi Liskowej: „Kiedyśmy w r. 1860 za moją inicyatywą zorganizowali stronnictwo konserwatywne

[1]) Str. 5 i nast.

w Galicyi"... (Ms. Bibl. Ossol.). Tak jednak, zdaje się, nie było. Myśl założenia pisma, któreby stanęło do walki z koteryą Dobrzańskiego i Ujejskiego, powziął Karol Widman, o czem doniósł Kaczkowskiemu w liście z d. 16 czerwca 1860 r., przedstawiając mu obszernie program pisma i zawiadamiając, że już wniósł podanie o koncesyę.[1]) — Równocześnie toczyły się „pogadanki" i korespondencye między przedstawicielami stronnictwa zachowawczego, Sewerynem Smarzewskim, Ludwikiem Skrzyńskim, A. Z. Helclem, Kazimierzem Wodzickiem i innymi w sprawie założenia dziennika. W tych jednak naradach Kaczkowski nie miał żadnego udziału, a nawet wówczas, gdy krystalizował się już projekt i program owego dziennika, nie było mowy o Kaczkowskim, nawet jako o redaktorze. Nie mówi nawet o nim i nie myśli najbliższy jego przyjaciel, Seweryn Smarzewski, który d. 25 lipca 1860 r. pisze do Ludwika Skrzyńskiego: „Największa zawsze trudność będzie w wyborze Redaktora. Mówiono mi tu o Chrzanowskim[2]), który jest w Redakcyi „Czasu". Czy znasz jego i jego stosunki? Może też, będąc w tamtych stronach, znajdziesz sposobność dowiedzieć się o nim dokładniej." W dalszym ciągu, donosząc, że „Przegląd" prawdopodobnie upadnie, dodaje: „W biurze jego znalazłyby się także zdolności, które na podrzędnem stanowisku zużytkowaćby można.[3])

Dopiero po wyczerpującej korespondencyi Smarzewskiego z Ludwikiem Skrzyńskim, Helclem, Kazimierzem hr. Wodzickim i Adamem ks. Sapiehą przystąpiono do organizacyi Towarzystwa i ustalono program dziennika, któremu zrazu chciano dać tytuł „Trybuna", lecz w końcu zgodzono się na znacznie lepszy, bo mniej pretensyonalny, tytuł: „Głos". I dopiero wówczas, zapewne za inicyatywą Smarzewskiego, postanowiono powierzyć naczelną redakcyę Zygmuntowi Kaczkowskiemu.

Czy wybór ten był szczęśliwy? — Nie sądzimy. Już choćby dlatego, że Kaczkowski nie solidaryzował się widocznie z całością programu, a przynajmniej czynił w duchu pewne restrykcye, które ujawnione w piśmie, rychło zraziły dość znaczną liczbę założycieli i zgotowały mu upadek. Kaczkowski sam to przyznaje w swej broszurze „Rewolucyjne sądy i wyroki"[4]), w której powiada: „Grun-

[1]) Ze zbiorów Rapperswilskich. Ms.

[2]) Niewątpliwie Leonie, późniejszym pośle na Sejm i do Rady państwa.

[3]) Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego.

[4]) Str. 5, 6.

townie mylnem było niemal powszechne wówczas mniemanie, jakoby „Głos" miał arystokratyczne i ściśle zachowawcze dążności. W grono jego założycieli weszły wprawdzie niektóre arystokratyczne i zachowawcze żywioły; w jego program nawet weszły dwa paragrafy takie, które trąciły przestarzałemi pojęciami, a których wykluczenia przeciwnicy takowych przeprzeć nie mogli. Ale — dodaje — dziennik sam był nie tem, czem go ci albo owi z założycieli, lub też te albo owe paragrafy mieć chciały, lecz tem, czem go zrobili ci, którzy przeważne wywierali nań wpływy, — mianowicie zaś i przedewszystkiem redaktor główny."

To sprawiło, że Ludwik hr. Dębicki w książce swojej p. t. „Portrety i Sylwetki" wprost pomawia Kaczkowskiego o „złą wiarę" w obec obowiązków, na siebie przyjętych, zarzucając mu, że jako redaktor nadał pismu nawskróś konserwatywnemu, „a pod względem kościelnym ultramontańskiemu", kierunek liberalny i rewolucyjny".[1])

Zarzut złej wiary potwierdza poniekąd, w zestawieniu z powyżej przytoczonemi słowami samego Kaczkowskiego, pismo, które mamy przed sobą, zawierające cały program „Głosu", ogłoszone następnie z nieznacznemi, stylistycznemi zmianami, w 1-szym numerze dziennika, a które obok Ludwika Skrzyńskiego, Adama ks. Sapiehy, Seweryna Smarzewskiego, Michała Gnoińskiego, Kazimierza Grocholskiego, Stanisława Polanowskiego i Augusta Bielowskiego, podpisał Zygmunt Kaczkowski oraz przyjaciel jego, adwokat Zygmunt Rodakowski, widocznie jako współredaktor i prawny doradca. Pismo to, którego autorem był Seweryn Smarzewski, tchnie duchem konserwatywnym i gorąco katolickim, — w niem zaś zawarte są owe dwa paragrafy, które Kaczkowski nazywa w swej broszurze „przestarzałymi". Na naczelnem miejscu programu postawiono „sprawę Religii i Kościoła", — gdyż jakkolwiek — czytamy tam — dziennik nasz poświęcony być ma sprawom świeckim kraju, jednak ani zapoznawać, ani milczeniem pomijać się godzi rzeczy, obchodzących wiarę naszą i Kościół, tę najdawniejszą i najpotężniejszą instytucyę w narodzie. Wierne trzymanie się ducha i prawd św. Religii naszej, tak, aby nic przeciwnego im, a tem mniej gorszącego, Dziennik nasz nie kaziło, winno być pierwszym obowiązkiem i nienaruszalną normą postępowania naszego".

[1]) Serya II., Tom II., str. 175.

W dalszym ciągu zaznacza to pismo, że obowiązkiem jest „otaczać Kościół nasz, tak łacińskiego, jak grecko-unickiego obrządku, wysoką czcią“, ogarniać sługi Jego „uszanowaniem i miłością“, zasadę wolności Kościoła „najwyżej na sztandarze naszym zapisać i bronić ją wszędzie“.

Zaznaczywszy w dalszym ciągu konieczność utrzymania tolerancyi względem „wszystkich innych sumienia moralnego nie obrażających wyznań“, — stawia pismo na pierwszem „po sprawie świętej“ miejscu, sprawę narodowości, której „najusilniej bronić zawsze i wszędzie będziemy“.

Po tym punkcie znajduje się ustęp następujący:

„Szlachectwo w Polsce było zawsze dostępnem dla wszystkich, którzy się go dorabiali zacnością i poświęceniem dla sprawy narodowej. Szanując tę tradycyę historyczną i ducha, który z niej wionie, tego ducha bronić i rozwijać chcemy.“

Ustęp ten, który do drukowanego programu wszedł w nieco zmienionej stylistycznie i obszerniejszej formie, musiał widocznie dać powód do obszernej dyskusyi, dodany bowiem został na marginesie, na miejsce przekreślonego ustępu i osobno zaopatrzony podpisem Adama Sapiehy, Ludwika Skrzyńskiego i Smarzewskiego Seweryna.

Już w korespondencyi, poprzedzającej ukazanie się „Głosu“, a przeprowadzonej pomiędzy założycielami dziennika, objawiły się pewne różnice zdań co do owych dwu punktów zasadniczych: Religii i szlachectwa.

Ludwik Skrzyński w liście do Smarzewskiego, pisanym ze Szczawnicy d. 20 lipca 1860 r., jakkolwiek uznaje, że „wierne przestrzeganie zasad Ś. Religii naszej“ jest obowiązkiem i warunkiem *sine qua non*, to wszakże nie chce „narzucać Dziennikowi obrony wszystkich spraw Kościoła i każdoczesnej w tym względzie jego polityki“ i nie chciałby „występować polemicznie przeciw wszystkim niezupełnie zgodnym z zasadami Kościoła objawom w życiu lub piśmiennictwie, lub też polityce, gdyż toby nas nieraz postawić mogło w sprzeczności z zasadami i dążeniami narodowo-liberalnemi, które rozszerzać i popierać głównem właśnie zadaniem naszem być powinno“.

Antoni Zygmunt Helcel w przesłanym Smarzewskiemu bardzo obszernym i pełnym treści memoryale, pisze w tej kwestyi:

„Duch prawdziwego katolicyzmu niech zawsze będzie śródtkwiącym w treści „Głosu“, lecz rozpraw i sporów religijnych niech stanowczo unika i niech nie wciąga w zakres religijny tego, co tylko do polityki należy. W kwestyi obecnej Rzymskiej wyrodziło się w całej Polsce smutne rozdwojenie umysłów, nawet u osób przywiązanych do wiary. Nie jątrząc dalej tej rany, należy w sprawie tej, ile możności, przestać na prostem referowaniu faktów, a pod względem zasad, tylko przy tej stać ogólnie, iż świecka zwierzchność monarchiczna Papieża żadną miarą całkowicie zniesioną być nie może, bo należy do koniecznych wymogów niepodległości i duchowego Majestatu Głowy Kościoła.“

W liście, pisanym do Smarzewskiego z Olejowa d. 23 lipca 1860 r., tak się wyraża Kazimierz Wodzicki:

„Religia rzymsko-katolicka z tolerancyą innych niegorszących obrządków, jest naszą pierwszą falangą, gdyż zawsze występować musimy, jako Krzyżacy, wojujący przeciw schyzmie i protestantyzmowi.“

Kwestya „szlachty“ dała również powód do wymiany zdań wielce charakterystycznych. A. Z. Helcel powiada:

„Szlachectwo jest faktem, a nie przymiotem, a tem mniej tytułem, fakt zaś nigdy odstać się nie może... Niema w tem żadnej zasługi rodzić się szlachcicem. Cnotę, talent, męztwo, zasługę osobistą same z siebie więcej cenimy, niż szlachectwo samo z siebie, ale zaprzeczyć nie możemy bytu szlachectwa, zaprzeczyć nie można i tego, że choć nie jest żadną zasługą, to przecież nie przeszkadza do położenia zasług.“

Po określeniu tego, co stanowi urok szlachectwa, t. j. owa „tkanka czynów i wpływów znakomitych ludzi, których imiona przeszły na potomków“, podnosi Helcel, że „żywa legenda historyi“, ten „legat, którym się przeszłość narodowego życia przyszłości przekazuje“, ma rzeczywistą dla narodu wartość. Ztąd też ludy, nie mające szlachty, mają „kształt jakichś mizernych żyjątek, jednodniuchów, służących za pokarm innym, doskonalszym organizmom“.

Obszerny swój wywód kończy Helcel temi słowy:

„Otóż to i takie stanowisko szlachty, szlachty organizmu, a nie przywileju, szlachty siłę narodową Państwa przysparzającej, a nie absorbującej samolubnie, szlachty z przodków i majątku znakomitéj, a z osób zasłużonej i zdatnej, — uważam za stosowne i wchodzące w cele patryotycznego konserwatyzmu.“

Znamiennem jest również to, co pisze Kazimierz Wodzicki z Olejowa w cytowanym liście:

„Podstawa musi być demokratyczną, bo Europa cała jest dziś demokratyczną. Chodzi o to, aby tę zasadę pogodzić z tradycyą

i z teraźniejszym składem polskiego społeczeństwa. Szlachta jest rzeczywiście czołem narodu i światłem jego; jej należy przewodniczyć, o ile zrzeknie się wszelkich prerogatyw, a jasno określi swoje stanowisko. Niemal wszystkie tytuły są obczyzną i nie mają wartości żadnej; każdy szlachcic rodu, dumny ze swego pochodzenia, opartego na poświęceniu, przez tytuł skrzywdzony został i w jakiem bądź położeniu majątkowem i socyalnem, czy co posiada, czy nie, zostaje szlachcicem i zatrzymuje swe miejsce przewodnika. Prawość charakteru, oświata rzeczywista, zasługi i życie w pracy i na wiernem stanowisku narodowem, dają równe z nami prawa. Nie znam niebezpieczniejszego stanowiska, jak zamkniętych w kaście posiadaczy ziemskich (tak, jak ogół znamię szlachty pojmuje); tem się utrzymać nie można, bo fala bije ustawicznie. Określenie tego stanowiska jest trudnem, lecz ono nastąpić musi, bo to najżywotniejsza kwestya. Szlachta jest wszędzie i w każdej warstwie społeczeństwa, w chacie często dawniejszy ród, jak w zamku i pałacu; w zawodzie sądownictwa, medycyny i naukowym szlachta góruje, tejże szlachcie należy przyznać równe prawa. Dziś się tak zmieniły stanowiska, że jak możniejszy nie schodzi podawać ręki mniej zamożnemu, to sam zostaję na szczeblu społecznej drabiny i to zgnbiło u nas możnych, mimo zasług, zdolności, zasobów i poświęcenia, bo oparci na tradycyi, czekali na przybycie drobnej szlachty i nie szukali jej, a ona, wyswobodzona z dawnych wyobrażeń, niepodległa a dumna, czuje, że jej potrzeba przewodnictwa, lecz kroku nie zrobi ku górze, aby je otrzymać. Tak pojęcie znaczenia szlachty określając, można mieć nadzieję zgromadzenia potężnego obozu."

Ludwik Skrzyński jest wprawdzie za tem, aby się „trzymać historycznych tradycyi", aby „zasady i ducha przeszłości naszej narodowej zachowywać wszędzie ze czcią synowską, tam nawet, gdzie formy polityczne, w których niegdyś duch ten wyobrażał się, usunięte już zostały, lub usuniętemi być mają i być powinny", — czyni jednak zarazem pewne zastrzeżenia: „Długi przeszłości śpiesznie zlikwidować nam potrzeba, do tego zachęcać, będzie naszem zadaniem. Jak szlachta dawna herbowa w kraju, tak znowu w gronie szlachty herbowej i w obywatelstwie w ogólności nie powinni Oligarchowicze (Oligarchów XVII. i XVIII. wieku potomkowie) monopolu żadnego używać, wyjąwszy może monopolu większych dla narodu ofiar, gdyż słuszna, aby tym, którzy więcej mają grzechów, cięższe ofiary pokutne dozwolone zostały. Na rozszerzenie pojęcia szlachectwa zgadzam się w zupełności, lecz sądzę, iż inicyatywę i przewodnictwo w tem dziele unii społecznej, z której ma wyjść owe obywatelskie szlachectwo, należy się zatrzymać w rękach czysto polskiej ziemiańskiej szlachty, opierającej się i siłę swą czerpiącej z tradycyi i ziemi, którą dzierży. Przedewszystkiem bowiem powinniśmy być Polakami, a przy bezwzględnem łączeniu się łatwo mogłaby się Polskość zatrzeć, a przynajmniej rozwodnić obcymi jej lub indeferentnymi na zasadę narodowości pierwiastkami."

W dalszym ciągu tego ciekawego listu oświadcza Skrzyński, że stronnictwo „dotychczas nam przeciwne, które zabsorbować lub przynajmniej zneutralizować chcemy", nie jest jednolite. Widzi on w niem dwa odłamy: czysto kosmopolityczno-demokratyczny i narodowo-demokratyczny. Pierwszy odłam przyjmuje wprawdzie narodowość za podstawę i punkt wyjścia, lecz „w rzeczy samej, sercem i duchem swoim obcy jest i obojętny na dążności czysto narodowe". — „Przedstawicielem najwierniejszym tego odłamu jest — dodaje Skrzyński — jeśli się nie mylę, Smolka et Consortes. Z tym odłamem kosmopolityczno-demokratycznym „szczery a zupełny sojusz jest dla nas niemożebnym i wypadałoby go nawet unikać, raz dlatego, iżby nas to mogło cudzoziemszczyzną zafarbować, powtóre dlatego, iż z nim trudniejby nam przyszło zorganizować się. Drugie, przybliżone do niego stronnictwo, narodowo-demokratyczne, jest duchem i sercem czysto polskie, lecz w niem charakter polskości przeważa zawiść wyższości wszelkiej i nieufność do niej, popędliwość, niesforność i buta szlachecka. Przez to właśnie spokrewnione jest to stronnictwo z liczną częścią szlachty sielskiej, na którą też dlatego silny wpływ wywiera. Jak niegdyś szlachty sejmikowej, tak dziś stronnictwa tego godłem jest równość. Przedstawicielem i organem najwierniejszym tego najliczniejszego oddziału Stronnictwa Demokratycznego jest „Dziennik Literacki" (Ujejski, Dobrzański et Consortes)". — Otóż Skrzyński sądzi, że to drugie, „narodowo-demokratyczne, a raczej tegoczesnym duchem przesiąknięte przeważnie sielsko-szlacheckie stronnictwo, należałoby koniecznie zabsorbować, robiąc mu koncesye, bez poświęcenia, rozumie się, zasad".

Przytoczyliśmy tylko niektóre wyjątki z listów i deklaracyj tych niewątpliwie najpoważniejszych ludzi w ówczesnem społeczeństwie polskiem w Galicyi, a żal nam istotnie, że nie możemy w całości powtórzyć tych, niewątpliwie ciekawych i ważnych dla charakterystyki epoki, głosów. Można się z nimi dzisiaj mniej lub więcej zgadzać, tego jednak zaprzeczyć niepodobna, że z deklaracyj

tych i wywodów przemawia szczery i gorący duch obywatelski. Wszyscy, zabierający głos w sprawie mającego powstać dziennika, zaznaczają przedewszystkiem, że winien on mieć wybitną cechę patryotyczną. — „Zasadą i normą — powiada Ludwik Skrzyński — naszego w każdym wypadku postępowania powinno być to, że nie część Polski, ale Polska cała jest naszą Ojczyzną, a tem wierniej potrzeba nam zasady tej przestrzegać, iż wyrzec jej jasno nie będzie nam dozwolono.“

A. Z. Helcel, w obszernych swych wywodach, wypowiada się się w tymże samym duchu, a rozstrząsając sprawy polityki międzynarodowej, idzie jeszcze dalej, przewiduje bowiem konieczność odbudowania państwa polskiego, w obec wzmagającej się groźnie potęgi Rossyi. Ustęp ten, tak nawet dziś aktualny, przytaczamy dosłownie:

„Wynika tedy konieczność innego jeszcze środka zabezpieczenia od Rossyi Zachodu Europy, a tym zdaćby się mogła najstosowniej restauracya potężnej Polski. Przez tę restauracyę Austrya, zwracająca Galicyę, nie utraci nigdy tyle, co zyszcze na cofnięciu granic środka europejskiej Rossyi ku Wschodowi.. Prusy tak mało przy tem stracą, że samo uzyskane dobro zapewnionego spokoju Europy, zasłonięcia swych wschodnich granic niemieckich od Rossyi przez granice Polski... już niemal równoważy ich stratę.“ [1])

Wszystkie te opinie streścił i wyraził Seweryn Smarzewski w piśmie, które potem powtórzone zostało, jako program w okazowym numerze „Głosu“ z d. 20 grudnia 1860 r. Pismo to, jak już zaznaczyliśmy, podpisał bez zastrzeżeń wraz z innymi Zygmunt Kaczkowski, obowiązując się tem samem do ścisłego przestrzegania tych zasad w dzienniku, którego naczelnym redaktorem miał zostać. — Jeżeli zatem w broszurze swej, ogłoszonej w r. 1866 p. t. „Rewolucyjne sądy i wyroki“, przyznaje, że „Głos“ pod jego kierunkiem nie trzymał się tych zasad, że niektóre ustępy programu uważał jako „przestarzałe“, że dziennik ten nie był bynajmniej organem ani szlacheckim (arystokratycznym), ani zachowawczym, że, słowem, nie był tem, czem go „niektórzy z założycieli“ mieć pragnęli, — to zarzut braku dobrej wiary, uczyniony Kaczkowskiemu przez Dębickiego Ludwika, zdaje się być zupełnie uzasadnionym.

[1]) Listy i wywody Helcla, L. Skrzyńskiego, Sew. Smarzewskiego, Kazimierza Wodzickiego, pochodzą z łaskawie nam udzielonych zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

To pewna, że „Głos“, wywoławszy swem ukazaniem się zaciętą polemikę ze strony organów demokratycznych, nie odpowiedział również pokładanym w nim nadziejom założycieli. Niektórzy z nich, jak twierdzi Dębicki, a mianowicie: Helcel, Grocholski i Kazimierz Wodzicki wystąpili z grona akcyonaryuszy. Twierdzenie to nie zdaje się być jednak dokładnem. W spisie bowiem wszystkich 72 akcyonaryuszy, sporządzonym przez Z. Kaczkowskiego, już po upadku pisma, d. 26 listopada 1863 r., a który mamy przed sobą [1]), figuruje Kazimierz hr. Wodzicki z subskrybowaną kwotą 500 złr., a Kazimierz Grocholski z subskrybowaną kwotą 200 złr., natomiast w tym spisie niema wcale Helcla, co dowodzi, że on do akcyonaryuszy nie należał.

Kaczkowski, podpisawszy bądź co bądź bez wahania program Smarzewskiego, który wszystkie swoje myśli, tak pod względem religijnym, jak i narodowym, w obec zresztą czysto teoretycznej a bynajmniej nie zasadniczej opozycyi Ludwika Skrzyńskiego, przeforsować umiał, — wziął się niewątpliwie z zapałem do dzieła. Rozpoczął zaś od podróży do Paryża. Chodziło tu o porozumienie się z Hotelem Lambert, redakcyą „Wiadomości Polskich“ [2]) i najznakomitszymi przedstawicielami żywiołów konserwatywnych.

Przybywszy do Paryża, zamieszkał Kaczkowski w hotelu „Des Etats Unis“, przy ulicy d'Antin, i już d. 15 października 1860 r. wysyła obszerny list do Seweryna Smarzewskiego, w którym mu donosi, że znalazł tam daleko więcej zajęcia sprawą założenia dziennika, niż się spodziewał. Z pewnem zadowoleniem pisze, że „zamiar nasz znalazł w Paryżu jak najserdeczniejsze przyjęcie: X-że Adam, Zamoyski, Redakcya „Wiadomości“, bardzo się nami cieszą. Konferujemy z sobą po całych dniach i nocach, bo nie trudno Ci się domyśleć, że jest o czem konferować. Są nawet kwestye takie, o których nam się ani śniło, a które ważne mają znaczenie. Na dobitkę zastałem tutaj pułkownika Jordana, który od lat ośmiu rezyduje w Konstantynopolu, jako tutejszy wysłannik. Przyjechał właśnie teraz na kilka dni i nazad na swoje miejsce powraca. Od niego oświecam się o całej kwestyi wschodniej i przez niego znajdę korespondenta w Stambule“.

[1]) Ms.

[2]) „Roczniki Polskie“ 1857—1861. Red. Wrotnowski, Kalinka, Klaczko.

Już z tego ustępu własnoręcznej relacyi Kaczkowskiego okazuje się, że szukał on przedewszystkiem stosunków z takimi ludźmi, jak Adam ks. Czartoryski i gen. Zamoyski, jak Wrotnowski, Klaczko i Kalinka, reprezentujący redakcyę „Wiadomości Polskich“, i że w sojuszu z nimi miał kierować nowym dziennikiem we Lwowie. Dziennik ten zatem, stosownie do swego programu, miał być rzeczywiście ściśle konserwatywnym, katolickim i szlachecko-arystokratycznym. A jeśli takim w praktyce się nie okazał, to już wina nie założycieli, lecz samego kierownika, który widocznie w przekonaniach swych i zasadach nie był zbyt silnie ugruntowany.

W chwili jednak, gdy ów list z Paryża do Smarzewskiego Kaczkowski pisał, szedł on może jeszcze dalej, niż to było w intencyach założycieli. Czuł się bowiem w obowiązku przestrzegać przed działaniem przybyszy z Galicyi, mieniących się „wysłannikami obywatelstwa“. Donosi mianowicie:

„Był tu przed kilkunastu dniami Alex(ander) D(zieduszycki?) i odegrał rolę dziwaczną. Narobił ogromnego hałasu w Hotelu Lambert, u Zamoyskiego, we „Wiadomościach“, opowiadając, że w Galicyi gore, że się przygotowuje rzeź i t. d., i że on, jako wysłannik od obywatelstwa, przyjechał tutaj po radę i pomoc. Lecz zapytany, kiedy wyjechał z tej gorejącej Galicyi, — odpowiedział: że przed trzema miesiącami! Ci ludzie zwykli brać rzeczy ściśle i poważnie; możesz więc sobie zrobić łatwo pojęcie, jakie to na nich zrobiło wrażenie. A cóż dopiero powiedzieć o tem, że tenże wysłannik od obywatelstwa, konferując rano z Hotelem Lambert, konferował zawsze wieczorem z Mierosławskim, Elżanowskim i t. d. Ja sam nie wiedziałem, co odpowiedzieć, kiedy na mnie nalegano o wyjaśnienie tego błazeństwa. Słusznie też powiedział mi Zamoyski: Tylko na miłość Boga nie przysyłajcie mi takich ludzi.

„Ale dalej. W tymże samym czasie był i jest podobno do dziś dnia w Paryżu Miecz(ysław P(awlikowski), Twój sąsiad. Ten nie widuje się wcale z Hotelem Lambert, ale za to ciągle z kim innym. Rzecz to ciekawa, bo jedną z tajemnic wyjaśnia; ale ważniejsza to, że Alex. rekomendował go tutaj wszędzie, jako jednego z najznakomitszych ludzi z Galicyi i jako także wysłannika od obywalelstwa.

„Nieporozumienia te wyjaśnić nie było mi trudno, bo i sam mam dosyć kredytu na to — i oni sami łatwo się poznają na ludziach. Jakoż nie o to idzie. Tylko o to, żeby ten, który będzie do naszego grona Alex. nie przyjmował tego człowieka takim, jakim do dziś dnia jest. [1]) My takich dwukolorowych ludzi brać do siebie nie możem; nam wreszcie półgłówków wcale nie potrzeba. Trza zatem go przycisnąć do muru, niech się decyduje, tu albo tam, bo na dwóch stołkach siedzieć nie można. On zapewne tak samo jak tutaj i tam będzie udawał człowieka, który dlatego stoi pośrodku, aby zrobić fuzyę; ale jeżeli gdzie, to tutaj przekonałem się dowodnie, że to jest fantazya, która się w żaden sposób urzeczywistnić nie da. Trza się nareszcie tej fantazyi pozbyć stanowczo, bo nietylko, że się na nic nie przyda, ale owszem, gniotąc nas jak zmora, hamować będzie nasze życzenia. Tak trza także postąpić z Alex. Piszę o tem do Ciebie dlatego, że on już zapewne powrócił do kraju i bardzo łatwo zdarzyć się może, że Ty się z nim obaczysz jeszcze przed 15 listopada, a zatem przed moim przyjazdem. Zalecam Ci postępowanie z nim otwarte, jasne, a nawet nielitościwe — niech się decyduje stanowczo, — bo inaczej będziemy z jego powodu mieć Bóg wie ile bałamuctwa i nieporozumień. Wiadomość ta do zakomunikowania Sapieże i t. d.“

Jak widzimy z tego listu, Kaczkowski solidaryzował się zupełnie ze stronnictwem, którego organem miał być „Głos“, przemawiał nawet w imieniu tego stronnictwa, używając zwrotów: „My“, „nasze grono“ i t. p.

Zdanie o Aleks. D. zmodyfikował znacznie Kaczkowski już w następnym liście (bez daty) do Smarzewskiego, pisanym jeszcze z Paryża. Zmiana ta nastąpiła w skutek przyjazdu do Paryża Ludwika Skrzyńskiego. Po naradzie postanowiono zawezwać Smarzewskiego, „by się starał ile możności dokładnie rozmówić z Alex.“ „On już się porozumiał ze Skrzyńskim o tyle, że to, cośmy dotychczas zrobili, w zupełności pochwala i obiecuje swoją adhezyę. Pożytecznym może on nam być, nie tylko dlatego, że jest w pewnych kilku cyrkułach popularnym, ale tem więcej dlatego, iż, jak mi mówi Skrzyński, właśnie w tych cyrkułach partya nam przeciwna, usiłuje nas zdepopularyzować, ogłaszając nas za nowe Ziemiaństwo. Alex. mógłby temu zaradzić, lecz trzeba się z nim rozmówić tak, abyśmy z niego mieli z pewnością pożytek. Prócz tego rekomenduje Ci Skrzyński, abyś się widział czemprędzej z Grocholskim i innymi z tamtych stron, i starał się przez nich sparaliżować szkodliwe dla nas wpływy demagogów.“

---

[1]) Tekst niezupełnie jasny, ale tak brzmi w rękopisie listu.

Z tego się okazuje, jak rychło Kaczkowski zmienił zdanie. Ten sam człowiek, który w pierwszym liście był „dwukolorowym“, samozwańczym wysłanikiem obywatelstwa, popełniającym „błazeństwa półgłówkiem“, którego niepodobna było przyjmować do grona ludzi poważnie myślących, ten sam człowiek, w następnym zaraz liście, okazywał się pożytecznym i zasługującym na pozyskanie.

Oprócz tych konferencyi politycznych z Hotelem Lambert i osobistościami blisko niego stojącemi, zajmował się także Kaczkowski w czasie swego pobytu w stolicy Francyi pozyskaniem odpowiednich korespondentów dla nowego pisma. Szło mu to jednak nie sporo. „Brać korespondenta takiego, — pisze do Smarzewskiego Seweryna — jakich ma „Czas“, podług mnie, nie warto, — a ani Klaczko, Kalinka i t. d. korespondencyi podjąć się nie chcą i nie mogą.“ — Decyduje się już Kaczkowski wziąć Francuza na korespondenta, lecz w takim razie trzebaby brać jeszcze drugiego. Polaka, do rzeczy polskich.

Ludwik Dębicki, w cytowanem już dziele twierdzi, że książę Adam Sapieha, który „najgorliwiej zajmował się „Głosem“, sam go zasilał korespondencyami swemi z Warszawy i z Paryża“.[1]) Tu widocznie zaszła omyłka. W liście bowiem ks. Adama, który mamy przed sobą, jest mowa nie o korespondencyach z Paryża, lecz tylko z Warszawy i Poznania.[2])

Ze stolicy Francyi Kaczkowski miał udać się jeszcze do Poznania i Warszawy, w celu nawiązania tam literackich i dziennikarskich stosunków; sprawy te bowiem w Wiedniu już całkowicie załatwione, jak Smarzewskiemu donosi, a w Krakowie tak, jak załatwione, bo potrzebuje tam wstąpić tylko na jeden dzień. Z końcem października miał być w Poznaniu, a w początkach listopada w Warszawie, — na 15-go tego miesiąca zapowiada swój powrót do Lwowa.

Wedle relacyi Pługa[3]). Kaczkowski rzeczywiście w połowie listopada przybył do Warszawy, przyjmowany bardzo serdecznie, niemal owacyjnie. Rodzice Deotymy, pp. Łuszczewscy, dali dla niego obiad, w czasie którego Deotyma oczywiście improwizowała o znaczeniu dziennikarstwa. „Dzienniki, — mówiła — to pochodnie purpurowe, które w zmroku wiodą tłum, to jakby oczy, sięgające w głąb społeczeństwa.“ W dniach następnych pp. Łuszczewscy

[1]) Portrety i sylwetki. Serya II., Tom II., str. 175.
[2]) List z Krasiczyna z d. 17 lutego 1861 r. Ms.
[3]) „Wędrowiec“ 1869 r.

urządzili wieczór literacki, na którym Deotyma improwizowała ponownie, — a dnia 21 listopada obywatele miejscy i wiejscy dali ucztę w Resursie nowej, na którą stawił się licznie świat dziennikarski i literacki, z Kraszewskim i Korzeniowskim na czele.[1])

Były to jednak tylko „miłe początki“ przedsięwzięcia, które tak dla akcyonaryuszów „Głosu“, jak i dla naczelnego redaktora miały się smutno zakończyć.

Najgorliwiej zajmował się zamierzonem wydawnictwem książę Adam Sapieha. Wcześnie, bo już w ostatnim kwartale 1860 r., rozpoczął starania, aby mu zapewnić poparcie w sferach ziemiańskich i materyalne podstawy. Rozpisuje listy do wybitnych obywateli, gromadzi fundusze i cieszy się zrazu, że mu nie źle idzie. „W Sieniawie — donosi Smarzewskiemu[2]) — zebrałem 1000 złr. Mój teść[3]) jakoś nie chce programu podpisać, chociaż rzecz samą chwali i pieniędzmi przystąpi; zdaje mi się, że założycielstwo mu nie uśmiecha się. Mój poczciwy ojciec, który bardzo pochwala program, obiecał mi już, że w najgorszym razie ze mną do reszty pójdzie... Jutro jadę do Łańcuta i tam się rozstrzygnie los mego arkusza subskrypcyjnego; aż mrowie po mnie przechodzi, kiedy myślę, że mógłbym tam fiasco zrobić.“

On też przeważył kwestyę tytułu. Pierwotnie zamierzony tytuł „Trybuna“, stanowczo odrzucił. „Jeszcze — powiada — nie zdarzyło mi się widzieć jednej osoby, którąby najsolenniej nie protestowała przeciw tytułowi „Trybuna“ i rzeczywiście ja sam znajduję teraz, że to bardzo nieszczęśliwy wybór — słowo nie polskie, a przytem tytuł, który we Francyi używany był zawsze przez ultra czerwonych.“

„W Łańcucie — pisze książę w następnym liście do Smarzewskiego[4]) — przyjął nasz program Wodzicki Ludwik i podpisał. Z Alfredem młodym[5]) mówiłem i dałem program do przeczytania. W tych dniach spodziewam się odpowiedzi jego. Z Adamem[6]) mówić będę, wracając z Wiednia; osobno do niego wstąpię. 12-go zobaczę się z Janem Tarnowskim, ale skoro Ludwik Wodzicki przy-

[1]) vide „Kuryer Warszawski“ z d. 16, 18 i 22 listopada 1860 r.
[2]) List z d. 30 września 1860 r., z Gumnisk.
[3]) Książę Władysław Sanguszko.
[4]) Gumniska, d. 7 października 1860 r.
[5]) Potockim.
[6]) Potockim.

stąpił, to on pewnie należeć będzie [1]). Co do finansów mam wprawdzie nie wiele dotąd, ale już i mój teść się udobruchał [2]) i w razie braku pociągnąć się da do reszty, która boję się, że będzie znaczna. Spodziewam się tego i po Alfredzie. Między tu okoliczną szlachtą nie zbieram, bo zostawię to Dzwonkowskiemu, jeżeli przyjmie."

W następnym liście, pisanym także z Gumnisk d. 13 października 1860 r., donosi, że „Dzwonkowskiego odstąpił Ludwikowi Wodzickiemu. bo on go dobrze zna, a przewiduje, że będą z nim trudności". W liście też subskrybentów Dzwonkowskiego nie znajdujemy, książę zaś w tymże liście oznajmia, że „Zyblikiewicz wystąpił".

Książę Adam nie tai się też ze swą niechęcią do Kaczkowskiego. „Kaczkowski — pisze — niepomału bruździ nam, a imię jego masę ludzi odstrasza, którzy dlatego tylko nie przystąpią." „Z Chrzanowskim — dodaje — nie da się nic zrobić, a szkoda wielka. Winien temu tylko Kaczkowski."

Już z tego się okazuje, jak mało popularnym w sferach ziemiańskich był Kaczkowski. Książę też rozpacza: „Z funduszami — pisze — źle stoję. Ci, na których najwięcej liczyłem, nie dali. Adama Potockiego jeszcze raz spróbuję."

Próba, zdaje się, nie miała powodzenia, bo w liście subskrybentów niema ani Adama, ani Alfreda Potockich.

Zdołano wszakże zgromadzić 72 akcyonaryuszy, z których najwięcej subskrybował ks. Adam Sapieha, bo 6550 złr. Po nim najwięcej: 3150 złr. Ludwik Skrzyński. W ogóle na liście subskrybentów widzimy nazwiska 4 książąt (dwóch Sapiehów, ks. Wład. Sanguszko, ks. Jerzy Lubomirski), 24 hrabiów i 44 najwybitniejszej szlachty. Najmniejszy udział wynosił 50 złr. Razem subskrybowano 24.350 złr.

Z tem rozpoczęto. Ale jeszcze nie ukazało się nowe pismo, a już posypały się krytyki i uszczypliwe uwagi ze szpalt „Dziennika Literackiego" i „Przeglądu Powszechnego". I tak: „Dziennik Literacki" z końcem listopada 1860 r. zamieścił rzekomy list „z nad

[1]) Ludwik Wodzicki przystąpił jako akcyonaryusz z kwotą 300 złr., Kazimierz Wodzicki z kwotą 500 złr., Jan Tarnowski z Dzikowa z kwotą 200 złr., Jan Tarnowski z Chorzelowa z kwotą 100 złr. Lista subskrybowanych kwot, sporządzona przez Kaczkowskiego. Ms.

[2]) Książę Władysław Sanguszko przystąpił z kwotą 1200 złr., książę Leon Sapieha subskrybował 1000 złr.

Wisły" do redaktora [1]), dopytujący się o nowe pismo, mające wychodzić p. t. Trybuna" pod redakcyą Z. Kaczkowskiego, a jak niektórzy twierdzą, pod wspólną redakcyą autora „Murdeliona" i autora Anny Oświęcimówny, Bołoza-Antoniewicza. — Jest to uszczypliwa aluzya do znanego nam już skandalicznego zajścia w Krakowie. W odpowiedzi na list ten, redakcya „Dziennika Literackiego" oznajmia, że tytuł pisma ma być „Głos", że założyciele „Głosu" ofiarowywali 42.000 złr. „Przeglądowi Powszechnemu", aby przestał wychodzić, naciągają zaś szlachtę, by składała po 50 złr. na akcye nowego pisma. Redakcya „Przeglądu" odrzuciła propozycyę; znalazła też zkądinąd poparcie, które ten zamach udaremniło „bez zbierania składek po kraju i bez chwytania szlachty na wędkę imion polskich". — W dalszym ciągu Jan Dobrzański w szeregu artykułów zaczął popierać „Przegląd".

Ta kampania „Dziennika Literackiego" przeciw „Głosowi" mogła być istotnie groźna; zdołał on bowiem skupić w około siebie takie siły pisarskie, jak Józef Szujski („Portrety nie Van Dycka"), Karol Brzozowski, Teofil Lenartowicz, Walery Łoziński, Mieczysław Romanowski, obok Jana Dobrzańskiego, Kornela Ujejskiego, Juliusza Starkla. W sukurs szedł mu wiernie „Przegląd Powszechny", który skoro tylko d. 20 grudnia 1860 r. ukazał się numer okazowy „Głosu", rozpoczął ostrą z nim polemikę i już w numerze z 27 grudnia zamieścił bardzo złośliwą krytykę programu „Głosu", a nawet samego tytułu. Tytuł ten, zdaniem tego pisma, przypomina owo zwierzątko w bajce, które przywdziało na siebie lwią skórę, lecz za pierwszem odezwaniem zdradziło się, czem jest istotnie.[2])

Obszerny dalszy artykuł „Przeglądu", krytykujący szczegółowo program „Głosu", podpisał znany historyk Henryk Schmitt. Nazywa on ów program „dyplomatycznym", w rzeczywistości jednak jest on niedokładnym i ogólnikowym; zarzuca, że „Głos" chce być przewodnikiem narodu, a rzuca tylko słowa i szumne frazesy, dziś, gdy trzeba czynów i poświęceń. Obecnie nie czas wynosić się nad drugich i przyznawać sobie prawo pierwszeństwa. Z tego, że „Głos" wymienia na czele „wiarę przodków i Kościół", wysnuwa Schmitt zarzut, że stawia je wyżej, niż ojczyznę i naro-

[1]) „Dziennik Literacki" Nr. 96.

[2]) Jak z manuskryptu, udzielonego mi łaskawie przez p. Dąbczańską, okazuje się, autorem tej krytyki, niezmiernie uszczypliwej, był Leszek hr. Borkowski.

dowość. To, co „Głos“ szeroko, a jednak ogólnikowo mówi o wolności Kościoła, rozumie się, katolickiego i tolerancyi względem innych wyznań, sprzeciwia się, zdaniem Schmitta, zasadzie osobistej wolności i równości obywatelskiej. Wybiegiem, niebezpiecznym ogólnikiem, dającym się wedle upodobania zastosować, mieni on to, co „Głos“ mówi w programie o cudzoziemskich, obcych duchowi, uczuciom i potrzebom narodu, teoryach i dążnościach.

Nie podoba mu się również ustęp o stosunkach między ziemianami a ludem wiejskim. To — woła Schmitt — tradycyjna opieka, to właściwie władza, ocukrowana miłością, — to po prostu „gwałt“, który znieść należy. — Ustęp o szlachectwie nie zyskuje także aprobaty. „Głos“ — zarzuca Schmitt — uznaje szlachectwo za zasadę narodową, dzieli ludzi na szlachtę i nieszlachtę. Należy pragnąć szlachetności całego narodu, ale „szlachectwa“, instytucyi zużytej, nie można wskrzeszać. Wszystko razem, to ogólniki, frazesy, obietnice..

Krytyka ostra i bardzo niesprawiedliwa, naciągnięta, ale też i odpowiedź na nią „Głosu“ nie była ani trafna, ani taktowna. Równie ostra w tonie, zawierała ponadto, grzeszący jaskrawym brakiem taktu, zarzut, że autor krytyki nosi nazwisko nie polskie. Tym zarzutem „Głos“ osłabił swoją odpowiedź i ułatwił replikę „Przeglądowi“, który z tryumfem mógł podnieść istotne zasługi Henryka Schmitta, dowody jego patryotyzmu polskiego, za który odcierpiał dwukrotne więzienie i był nawet na śmierć skazany. — Wnet potem posypały się inne krytyki i zarzuty, a mianowicie, że „Głos“ jest organem koteryi, nie stronnictwa, organem Hotelu Lambert, połączonym ścisłymi stosunkami z redakcyą paryskich „Wiadomości Polskich“.

Miał też zupełną słuszność A. Z. Helcel, gdy w liście z Krakowa, d. 3 stycznia 1861 r., pisał do Kaczkowskiego: „Polemika zrobiła nie dobre wrażenie, głównie z powodu, iż Szmitta *de nomine et cognomine* wymieniono. Na gburostwa nie należałoby nigdy odpowiadać, a polemizować tylko o r z e c z, a nigdy o osoby. Osoby potwarzane, powinny same od siebie potwarz odkazywać — mają do tego sposoby otwarte; ale sam dziennik od osobistych kwestyj, ile możności, wstrzymywać się powinien. Z tym Szmittem w istocie zły początek zrobiono.“ [1])

Na te ataki i wiele innych mniejszej wagi uszczypliwych docinków „Głos“ odpowiadał w sposób, nie zawsze stosowny dla

[1]) Ze zbiorów rapperswilskich. Ms.

poważnego organu konserwatywnego, który miał być przewodnikiem społeczeństwa i prostować drogi rozwichrzonej publicystyki polskiej. Dolewał nieraz oliwy do ognia, pomnażając szeregi swoich przeciwników.

Nawet jeden z najbardziej życzliwych Kaczkowskiemu, Edmund hr. Krasicki, czynił mu widocznie uwagi, co do niewłaściwości pewnych wyrażeń krytycznych, bo oto w liście z d. 22 lutego 1861 r. odpowiada na to Kaczkowski: „Napisałem umyślnie, że Lwów nie był nigdy walecznym, bo tak było. Za to nikt się tu nie pogniewa — i zresztą, kto się może pogniewać? Artykuły te bardzo się tu podobały, a nawet rozgłos zyskały. Ale diablo za nie goli nas „Słowo“ [1]) w numerze 5. Mniejsza o to. Kto czyta „Słowo“? Ja zresztą nie będę z nimi polemiki prowadził, bo by to nas poniżało.“

Dalszy ciąg tego listu wprowadza nas w pewne tajniki redakcyjne. Dowiadujemy się, że artykuły „Z ulicy“, z których jeden inkryminowany był, jakto zobaczymy, w późniejszym procesie, pisze nie Skrzyński, „który jeszcze ani jednej litery nie napisał i nie napisze“, lecz adwokat Rodakowski. „Prosimy — dodaje Kaczkowski — o dalsze korespondencye, a warto nam coś dać, bośmy demokratów niezmiernie ubezwładnili.“

Pomimo tej, dość zresztą wątpliwej wiktoryi nad demokratami, którą się chełpi Kaczkowski, myśli on już wówczas o innej, szerszej karyerze, mianowicie na polu parlamentarnem, do której „Głos“ ma mu służyć pomostem. Oto bowiem, co pisze w tymże samym liście do hr. Edmunda Krasickiego [2]):

„Ostaszewski się wziął nie do swoich rzeczy. Zupełnie zgadzam się na to, że Jenerał [3]) nie na posła. Dlaczego pan Hrabia upiera się przy biernym oporze? Tą drogą do żadnego nie zajdziemy celu. Ale kiedy tak jest i inaczej nie może być, to ja z mojej strony zgadzam się zupełnie na Ludwika Skrzyńskiego. On także się zgadza, ale nie chce sam nic robić, a bez tego trudno podobno będzie, bo go właściwie w Sanockiem nikt nie zna.

[1]) Organ russofilski, wychodzący od r. 1861 do lipca 1871 pod redakcyą Bogdana Dziedzickiego. Późniejszym redaktorem był Benedykt Płoszczański, który wreszcie, przyjąwszy prawosławie, wywędrował do Rossyi.

[2]) List ten i następny udzielił mi łaskawie hr. Ignacy Krasicki z Niegoszowic. Ms.

[3]) Zapewne hr. Józef Załuski, generał brygady w. p. 1830 r.

Może się jeszcze da do tej objażdżki namówić, a wtedy proszę o pomoc dla niego. Jeżeliby w Sanockiem obierała szlachta dwóch posłów, wtedy ja się podaję na drugiego kandydata. Nie myślałem o tem, ale mi powiedział świadek naoczny, że kiedy w Brzozowie robiono przed kilku tygodniami próbę głosowania, to przy Załuskim i Traczewskim i ja miałem głosy. Kiedy przyjdzie do rzeczy, zapewne o Jenerale mowy nie będzie, a z Traczewskim spodziewam się, że powinienem konkurencyę wytrzymać. Piszę to Panu Hrabiemu dlatego, że wiem, jaką Pan Hrabia przy głosowaniu będziesz miał przewagę, a nie wątpię, że mi swego wpływu nie odmówisz. Zastrzegam sobie tylko, że jeżeli Sanockie będzie jednego tylko posła wybierać, to ja odstępuję moją kandydaturę na rzecz Skrzyńskiego, zwłaszcza, jeśli konkurować będzie. W razie zaś takim, gdyby chłopom, żydom i t. d. wolno było wybierać, kogo im się podoba, to bym nie konkurował u szlachty, bo zdaje mi się, że za łaskawą Pana Hrabiego pomocą mógłbym być łatwo wybranym w Lisku, czy w Baligrodzie, czy nawet w Lutowiskach, gdzie Konarski i Abgarowicz mogliby mi być pomocnymi. W Baligrodzkiem nie wszystka zapewne szlachta byłaby za mną, ale chłopi i żydzi z pewnością, zaś w Liskiem ten będzie posłem, kogo Pan Hrabia nim mieć zechce.

Piszę to wszystko teraz tylko nawiasem, bo do tego właściwy czas aż po ogłoszeniu statutów. Piszę jednak dlatego, ażebym powiedział, że jakkolwiek Redakcya „Głosu“ nie da mi się tak na Sejmie odznaczyć, jakby mi się to może udało, gdybym był wolnym, jednak mam zawsze chęci po temu, bo przecież pod wielu względami mógłbym być pożyteczniejszym na Sejmie, niż wielu innych.

Kończę tymczasem, zostawiając sobie list obszerniejszy do chwili, kiedy już będą ogłoszone statuty, jeżeli będą.“

Ciekawy jest również list następny, pisany d. 29 marca 1861 do hr. Edmunda Krasickiego w sprawach wyborczych, w którym czytamy:

„Posyłam na ręce pana Hrabiego plenipotencyę p. Niezabitowskiego dla Xiędza Wolskiego. Dodaję wiadomość, że jak się dowiaduję, wyjeżdża p. Barański do Liska i będzie podczas wyborów w Lisku. Jeżeli za jego pomocą nie można mieć więcej głosów, to przynajmniej jego głos możnaby zyskać. Ja od czasu jego procesu przeciw mnie, nie mając do tego żadnych z nim interesów, nie znam go już, więc sam o głos starać się nie mogę.

Lubaczewski [1]) podobno nienajlepszy agitator; mógłby dla mnie uzyskać przynajmniej Bezirk Baligrodzki, ale i tego nie zrobił. Niewielka zatem nadzieja, bo chociaż Pan Hrabia robi wszystko, co można, jednak *nec Hercules contra plures.*

My tu o X. Leona do dziś dnia nie mamy pewności. Dobrzański aż bóty (sic!) powykrzywiał, tak agituje za Leszkiem Borkowskim, a przeciw Xięciu; wprawdzie i Xiąże Adam zajeździł już parę koni, ale agitować na pewno można tylko piechotą, cóż dopiero w powykrzywianych bótach (sic!), jednak zdaje się, że X. Leon pewniej przejdzie.

Tu zresztą nic nowego, co ważniejsze, jest w „Głosie“. Jeżeli tak dalej postępować będzie Rossya w Królestwie, przeważy pewnie Galicyę do siebie. Że waży na to, to pewne. Interpelacya a raczej wniosek Niegolewskiego zrobiony został za wskazówką Napoleona i Anglii, dokąd z Warszawy jeździł Plater Poznański, p. Zamoyski został jeszcze w Londynie dla pilnowania naszych interesów. Plater wrócił do Berlina, wniosek zrobił w Izbie przez usta Niegolewskiego i zaraz mi go przysłał. Ztąd podałem go w „Głosie“ pierwej nawet, niżeli gazety pruskie. Wypadek ten zrobił tu w pewnych kołach swój efekt — zaczynają nas respektować, ale kto wie, czy z wielkiego respektu nie ukręcą „Głosowi“ karku. Że ja będę siedział *in carcere duro*, to pewna, z powodu wytoczonego mi procesu o podburzanie przeci Rządowi, i przynajmniej tak słyszę, że się Niemcy okrutnie na mnie zajedli. Ś-to Jurcy coś zaczynają majaczyć, „Słowo“ bije na urzędników lepiej niż „Głos“. W ostatnich numerach już nawet jakiś zgodny duch wiać zaczyna. Rząd myśli go się niebawem obawiać. Powiadał mi ktoś: *Dieses „Słowo“ fängt schon an uns über den Kopf zu wachsen.* Tymczasem Ś-to Jurcy, jak się okazuje, wcale niewielki mir mają pomiędzy ludem na Rusi. Chłopi ich nazywają Jurci.

Rodakowski, który dziś wrócił z Tyśmienicy, gdzie się stara o wota, przywiózł wiele ciekawych nowin ztamtąd. Pytał się chłopów: *Na koho budete hołosowaty? Dit'ko znaje, szczo robyty* — mówią chłopi. — *Jurci każut' hołosowaty na jakohoś Antosia Pawęckoho, ale toty Jurci szczoś ne mudryj. Ony powidajut, szczo Lachy chotiat sia z namy kołotyty, a ono wydysz ne prawda; bo preci każdyj to znaje, szczo od wika Rusyn a Polak to jedno. Powidajut, szczo Cisar pańszczyznu darowau, a i to breszut. Bo ani Cisar, ani panowe pańszczyzny ne darowały, jeno toty mały Polaczki, szczo bi-*

[1]) Przyjaciel Kaczkowskiego.

hajut' po kraju i t. d. Koniec końców jakiś świt już rzeczywiście musi być nie daleko, kiedy już nawet Rusinom zaczyna świtać po głowach.

Był u mnie tymi dniami Traczewski i mówił mi o wyborach w Sanockiem. Licho te rzeczy tam idą. Szlachta ani biała, ani czerwona, trzyma się jakiegoś *juste milieu* — i zapewne posadzi przynajmniej dwóch Zbyszewskich na Sejmie. Jeden z nich ślepy, a drugi głupi, jeden by potrafił mury forteczne połatać, a drugi krew puścić, ale na Sejmie nie wiem, na co się zdadzą, bo ani mowcy, ani potrafią pracować w Wydziałach."

Do tychże spraw wyborczych odnosi się list bez daty, pisany do Seweryna Smarzewskiego. W liście tym czytamy:

„Rżniemy się tu znowu z Demokratami o kandydaturę Xięcia Leona. Z „Głosu" się dowiesz, jak rzeczy idą. Ale tego się nie dowiesz, dlatego Ci donoszę, że sprawa ta idzie bardzo twardo — i kto wie, czy zwyciężymy. Ziemiałkowski rej wiedzie przeciw Xięciu, pełen fałszu, podstępów etc. W ogóle Ziemiałkowski poszedł teraz naprzód przed wszystkich. Wczoraj posiedzenie Niemców rozbito — zrobił to Ziemiałkowski z Dobrzańskim. Policya nie dawała im mówić —, ale policya w kąt — mówiono i przegadano — a w końcu rozbito..." [1])

Jak wiadomo, agitacya ta odniosła skutek. Książę Leon Sapieha nie przeszedł we Lwowie, gdzie wybrani zostali wówczas: Marek Dubs, właściciel realności i fabrykant likierów, dr. Franciszek Smolka, dr. Floryan Ziemiałkowski i Leszek hr. Borkowski. Książę Leon Sapieha natomiast wybrany został w ciele wyborczem wielkich posiadłości w krakowskim obwodzie, a nadto z większych posiadłości w Brzeżańskiem, Przemyskiem, Czortkowskiem, Tarnopolskiem i Żółkiewskiem, gdzie musiały być rozpisane ponowne wybory, gdyż ks. Leon przyjął mandat krakowski.

Nadzieje Kaczkowskiego uzyskania przy tych wyborach mandatu okazały się najzupełniej płonnemi. W Sanockiem bowiem z większych posiadłości wybrani zostali: Ludwik Skrzyński i Felicyan Laskowski, a także ks. Aleksander Dobrzański, gr. kat. pleban z Jurowiec. Wówczas to w Przemyskiem uzyskali mandaty Seweryn Smarzewski i Maurycy Kraiński.

Ten zawód musiał być Kaczkowskiemu tem bardziej przykry, że już wtedy, jakto się z powyżej przytoczonego listu do hr. Edmunda Krasickiego okazuje, miał on przeczucie, że zagrożony procesem karnym, będzie siedział *in carcere duro*, i że czuł się przeciążonym pracą. „Jeżeli masz czas — pisał w powyżej cytowanym liście do Smarzewskiego, — to pisz; może napiszesz co takiego, żeby mogło pójść na czoło. Ja nie mogę nastarczyć. Nie mogę bywać na wszystkich posiedzeniach, na czem „Głos" wiele traci, bo nie może dawać dokładnych sprawozdań."

[1]) Ms.

Istotnie też wśród akcyonaryuszów „Głosu" wzmagało się niezadowolenie. Już d. 11 marca 1861 r. nazwał książę Adam Sapieha, w liście do Seweryna Smarzewskiego, „Głos" nieszczęśliwym. „Jak kochanek o narzeczonej — pisze, — jak matka o swem pierworodnem dziecięciu, tak ja o tym nieszczęśliwym „Głosie" marzyłem, i tu, pomimo zajęć gospodarskich, często marzę." [1])

Książę Adam nie przestawał więc troszczyć się o wydawnictwo, chociaż ciągle, a może coraz bardziej nie ufał Kaczkowskiemu. W cytowanym już liście do Smarzewskiego z d. 17 lutego 1861 r., w którym obiecuje przysyłać korespondencye z Warszawy i Poznania, dodaje, że będzie je znaczył † krzyżem, lecz prosi, „aby tylko przez Smarzewskiego były poprawiane, lub zmieniane. Panu Kaczkowskiemu bądź łaskaw powiedzieć, aby ich nie ruszał."

Widocznie i Seweryn Smarzewski nie był bardzo zadowolony z treści „Głosu", bo oto książę Adam w tymże liście z d. 11 maja 1861, w którym wyznaje, że o tym „nieszczęśliwym" dzienniku ciągle marzy, „jak kochanek o narzeczonej", pisze: „że co do treści jego jesteśmy na drodze lepszej, że przecież już i Ty nawet nie możesz powiedzieć, że czytać nie warto"... „Ale — dodaje — finanse słabe, a słabe po większej części dla braku porządku i ładu. W niczem porządku niema, każdy wydaje, ile chce, bierze, ile mu się podoba. Czaplicki rządzi i szafuje w kasie, papierem szafują zecerzy, numerami lokaje i piszczyki, co tam przy ekspedycyi pomagają. Dlatego wnoszę: 1-o aby oddać całą administracyę Bochenkowi i za to mu do owych pobieranych złr. 800, dodać złr. 200; 2-o aby Czaplicki ani przyjmował, ani wydawał pieniędzy bez asygnacyi sznurowej, przez Bochenka wydanej."

Jak z tego widzimy, wchodził książę Adam Sapieha w najdrobniejsze szczegóły, nawet tyczące się administracyi dziennika. Narzeka też w dalszym ciągu tego listu: „Z drukarnią ciągła bieda. Kaczkowski się żali i lamentuje; wiele razy o cokolwiek pytać, zawsze odpowiedź gotowa: bo drukarnia, bo zecerzy, bo Winiarz...

[1]) List z Krasiczyna. Ms.

Kilkanaście już razy prosiłem, aby spróbował z innemi drukarniami, a osobliwie nalegałem, żeby z Manieckim próbował. Dotąd zaczynało się i kończyło na słowach. Już Madeyskiemu, na wsiadanem będąc, mówiłem, a tu powtarzam, że jeżeli Ty nie zechcesz w to wejrzeć i korzystając z wpływu, jaki wywierasz na Kaczkowskim, nie weźmiesz go za kark — to nigdy nie wybrniemy z tej biedy...“ — To „wzięcie za kark“ Kaczkowskiego powtarza Sapieha dwukrotnie, po raz drugi, gdy mówi o pomieszczeniu redakcyi zbyt drogiem i zbyt oddalonem od drukarni. Biura redakcyi i administracyi znajdowały się w Rynku, w domu narożnym Nr. 179.

Merytoryczne, godne uwagi, zarzuty co do treści dziennika czyni A. Z. Helcel w liście do Kaczkowskiego, z dnia 7 stycznia 1861 r.[1])

Zarzuca mianowicie artykułowi wstępnemu w Nr. 5, że jest mało wytrawnym w swych żądaniach, wypowiadanych pod adresem Ministra Stanu, Schmerlinga. W obec niego, zdaniem Helcla, nietylko w sprawiedliwość, lecz i „w uczciwość wierzyć można, a nawet wierzyć umyślnie wypada, chcąc być parlamentarnym“. „Wszystko można było powiedzieć, lecz nie w barwie nieufności i gwałtownego nalegania.“ Za ważny błąd polityczny uważa przytem Helcel to, że „Głos“ chce „zgromadzenie Towarzystwa rolniczego zamienić na zgromadzenie polityczne. Nielegalnych dróg, fałszywych pozycyj — nigdy „Głos“ zalecać nie powinien. Nielegalnych środków — pisze dalej Helcel — chwytać się często wypadło wprost przez fakt konieczności, — przez zdobycz momentalną stosownej pory, — ale nie przez plan, z góry i zdala rozmyślany. Towarzystwo rolnicze, mogąc być zbawiennem, pilnując wiernie swego zawodu, nie powinno się na klub polityczny zamieniać dzisiaj.“

Zarzuca dalej Helcel „Głosowi“ „polityczną młodzieńczość“ w uszczypliwych dowcipach, nie nowych, a właściwych tylko pismakom humorystycznym. „Jakiż — pyta — może być skutek takiego szczypania? Dla przeciwników żaden, — dla nas najgorszy! Jątrzy tylko, oburza, — a nie szkodzi nic przeciwnikom, tylko im dodaje energii zawziętości. Czyżby „Głos“ tylko wojnę szczypcami takiemi był zdolny prowadzić? Jeśli nie mamy innej (broni), to dajmy lepiej pokój wszystkiemu. Kto nie ma siły przeciwnika powalić, ten niech go nie drażni, a raczej tak z nim

[1]) Ze zbiorów rapperswilskich. Ms.

niech walczy, jak gdyby jutro miał się z nim pogodzić, — jakby mu mógł się stać przyjacielem. Nie potrzeba, i broń Boże, — w tem wszelkiego Wallenrodyzmu! Trzeba tylko zacnej wstępnej broni i rycersko-politycznej walki.“

„Na miłość Boską, bądźcie dyskretnymi!“ — woła wreszcie Helcel, w obec tego, że „Głos“ miał wyjawić nazwisko korespondenta lwowskiego do pism warszawskich — i powołując się na przyrzeczenie Kaczkowskiego, radzi raz jeszcze zaniechania niepotrzebnej polemiki.

Czy Kaczkowski zastosował się do tych rad tak wytrawnych i rozumnych? — Zdaje się, że nie bardzo i że uzasadniony był zarzut Ludwika Dębickiego[1]), że „Głos“ coraz silniej przechylał się na lewo“ i że redaktor nadał pismu, wbrew intencyom założycieli, „kierunek w duchu liberalnym i rewolucyjnym“.

Bieda jednak była coraz większa i to pod każdym względem. „Głos“ nie odpowiadał swemu zadaniu i nie zadowalał akcyonaryuszy, a zwłaszcza ks. Sapiehy. Już w poprzednim liście zaznacza on, że nie podobała mu się część polemiczna. „Nie wątpię — pisze, — że z „Przeglądem“ będzie wojna znowu. Czy na naszą korzyść wypadnie, nie wiem.“[2]) Teraz znów poddaje krytyce korespondencye z Paryża, znaczone literą *K.*, prawdopodobnie pisane przez samego Kaczkowskiego. „Nadto — pisze — są patryotyczne tłumaczenia tytułów dzienników, tak, że trudno zrozumieć, kogo to cytują. I tak, zamiast „Revue des deux mondes“ — „Przegląd dwóch światów“; zamiast „Journal des Débats“ — czytam „Dziennik sporów“. Nad tem drugiem myślałem z godzinę i ledwo za pomocą Kuhna odkryłem o co chodzi (jeżelim odkrył), bo nawet źle tłumaczone, boć „débats“, to nie spory. Wartoby pana K. poprosić, aby nie zadawał sobie tej pracy i pisał imiona, jak są, nie tłumacząc ich.“

Przyznać należy, że Kaczkowski, jako naczelny redaktor, nie miał ani dostatecznych, ani dość wprawnych sił do pomocy. Oprócz Jana Zachariasiewicza, który pozostał jednak równocześnie w redakcyi „Kółka rodzinnego“, a w „Głosie“ prowadził tylko rubrykę „Przeglądu politycznego“, współpracownikami byli: Karol Widmann, który pisał artykuły wstępne o sprawach krajowych i ekonomicznych, oraz zapełnial rubrykę p. n. „Austrya“ i Leon Boche-

[1]) Portrety i Sylwetki. Serya VI. Tom II., str. 175, 176.

[2]) List z Krasiczyna z d. 17 lutego 1861 r. Ze zbiorów T. Smarzewskiego. Ms.

nek z Krakowa, który prowadził dział „Wiadomości zagranicznych“. Korektorem był Jan Wagilewicz, postać ciekawa, początkowo ksiądz ruski, potem ewangielik, przymierający nieraz głodem, a znany już podówczas pracownik na polu naukowem, autor wielu rozpraw, drukowanych w języku ruskim i polskim. Tych współpracowników „Głosu“ wymieniają akta karne, odnoszące się do późniejszego procesu prasowego, wytoczonego Kaczkowskiemu [1]). Karol Estreicher w rękopiśmiennych swych notatkach wymienia nadto, jako współpracowników „Głosu“: Henryka Nowakowskiego z płacą 1000 złr. i Walerego Łozińskiego z płacą 800 złr. za prowadzenie kroniki miejscowej, Widmana z płacą 1000 złr., Dimmla i Titza [2]).

Z temi siłami rzucił się Kaczkowski w wir walki publicystycznej. „Siły to były — jak twierdzi Estreicher w swych rękopiśmiennych zapiskach — marne. W skutek tego — powiada — pismo było suche, rzemieślnicze. — Jeden Łoziński (Walery) je ożywiał.“

Po stronie zaś przeciwnej byli wyszkoleni w zapasach polemicznych i nie przebierający w środkach: Dobrzański, Rapacki, Dzierżkowski. Walka z nimi musiała być zacięta i trudna. Niektóre z tych środków walki podaje K. Estreicher we wspomnianych zapiskach, w których skrzętnie notował zarówno istotne wydarzenia, jak i obiegające po Lwowie pogłoski. Wspomina nawet o przekupstwach, jakich miała się dopuszczać redakcya „Przeglądu Powszechnego“, jeszcze przed ukazaniem się „Głosu“, aby tylko przeszkodzić założeniu konkurencyjnego dziennika politycznego. Dobrzański i Rapacki wysyłali korespondencye do Warszawy, oczerniające pismo powstać mające, jako „stek brudów arystokratycznych“. W obec tego K. Estreicher napisał do Anczyca, przedstawiając prawdziwą sytuacyę, a skutkiem tego pisma warszawskie owych potwarczych korespondencyj nie zamieściły. Walka jednak na tem się nie ograniczyła. Podczas kiedy Stupnicki Hipolit, odpowiedzialny redaktor „Przeglądu Powszechnego“, bawiący podówczas w Warszawie, usiłował szkodzić nowemu pismu na tamtejszym gruncie, chociaż mu nie bardzo wierzono, Dobrzański czynił to

[1]) Akta karne sądu krajowego lwowskiego. Protokoły przesłuchania świadków. Ms.

[2]) Zapewne Seweryna Tyca, inżyniera, późniejszego emigranta, żyjącego z Kaczkowskim w przyjaźni. Przy tem nazwisku dodaje Estreicher w nawiasie: „drenarz“. Ms.

samo we Lwowie za pomocą różnych korespondencyj i artykułów, zohydzających w opinii publicznej tych wszystkich, których posądzał o sprzyjanie „Głosowi“ i podsuwających temu pismu najgorsze tendencye.[1])

Potrzeba było oczywiście wielkiego taktu i doświadczenia publicystycznego, aby odpierając tego rodzaju ataki, nie stracić należytej miary, zachować godność i powagę. — Tego taktu nie miał Kaczkowski, jak to się dobitnie okazuje z przytoczonych listów ks. Adama Sapiehy, który pragnął, aby go Smarzewski „wziął za kark“ i doprowadził do porządku. To wzięcie „za kark“ snadź nie powiodło się i po dość marnym żywocie, „Głos“ szybkim krokiem zbliżał się ku katastrofie.

I oto w pół roku zaledwie po ukazaniu się pierwszego numeru, administracya „Głosu“ ogłosiła d. 18 lipca 1861 r. następujący reskrypt:

„C. k. Sąd krajowy w sprawach karnych we Lwowie, zważywszy, że Redakcya czasopisma „Głos“ w Nr. 161 z dnia 16 lipca 1861 r. zamieściła artykuł pod napisem „Posłanie do wszystkich Rodaków na ziemi polskiej“, w treści swojej zbrodnię stanu w myśl § 58 lit. c. ustaw karnych zawierający, uchwałą z dnia 16 lipca 1861 r. śledztwo sądowe z tego powodu wytoczył, co w myśl § 21 ustawy prasowej Redakcya w najbliższym Nr. na czele swego czasopisma umieścić ma.“ Podpisano: „*Pohlberg.*“

Do tego urzędowego pisma dodała administracya następujące zawiadomienie:

„W skutek postępowania wytoczonego na zasadzie powyższego reskryptu c. k. Sądu krajowego w sprawach karnych, pan Zygmunt Kaczkowski, odpowiedzialny Redaktor dziennika „Głos“, uwięziony został. — Dziennik „Głos“ przeto chwilowo wychodzić przestaje. Administracya ma zaszczyt donieść o tem szanownym Abonentom i nieomieszka zawiadomić ich w czasie najkrótszym o postanowieniu pod względem dalszego wydawania dziennika.“

Cios jednak, zadany „Głosowi, okazał się śmiertelnym. Tyle zachodów, starań, narad miało pójść na marne. „Głos“ nie ukazał się już nigdy potem.

Śledztwo karne przeciw Z. Kaczkowskiemu rozpoczęło się w kilku kierunkach. Głównym zarzutem była zbrodnia zdrady stanu, popełniona przez umieszczenie w „Głosie“ owej odezwy do „wszyst-

[1]) K. Estreicher. Luźne notatki p. t. „Zygmunt Kaczkowski.“ Ms.

kich rodaków na ziemi polskiej". Prócz tego inne jeszcze artykuły „Głosu" zostały inkryminowane, przedewszystkiem zaś artykuł p. n. „Z ulicy" [1]), jakoteż dwie korespondencye „z Jasielskiego" i „ze Stanisławowa". W obu tych korespondencyach, omawiających i krytykujących stosunki w ówczesnej biurokracyi i sądownictwie, dopatrzono się zrazu złego zamiaru „podburzenia". Oskarżenie to wszakże uchylił sąd krajowy, wobec czego pozostał główny zarzut usiłowanej zbrodni zdrady stanu, przez umieszczenie „Posłania" i zarzut zbrodni „zamącenia spokoju publicznego" przez umieszczenie artykułu p. t. „Z ulicy, dnia 10 czerwca".

W tym ostatnim artykule, autor, nawiązując do rozpraw w sejmie berlińskim i przemowy posła Niegolewskiego, użalającego się na rozpaczliwe położenie Polaków, wywodził, że nie lepsze jest położenie posłów polskich w parlamencie wiedeńskim i sejmie galicyjskim, przyczem wskazał na liczne „monstrualności", przez rząd ówczesny popełniane. Wedle tego artykułu, rząd pozornie konstytucyjny, jest w rzeczywistości absolutno-centralizacyjnym, w czem główną winę ponosi minister Stanu, Schmerling. On to jest przyczyną, że idea demokratyczna uległa skarykaturowaniu przez powołanie do ciał prawodawczych wielkiego zastępu włościan, nie rozumiejących języka, w jakim się toczą obrady i nie mających wyobrażenia o sprawach. Artykuł nazwał to „monstrualnością i machiawelizmem".

Czytając to wszystko, nie można się oprzeć zdumieniu, że w okolicznościach ówczesnych mógł wyjść taki artykuł z pod pióra zastępcy prawnego „Głosu", adwokata Rodakowskiego. Jasną bowiem było rzeczą, że tego rodzaju zarzuty, skierowane przeciw ministrowi Stanu i całemu ówczesnemu rządowi, zarzuty, nacechowane pewną gwałtownością, nie ujdą uwagi sfer rządzących i ściągną na pismo, które je zamieściło, gromy i ciężkie oskarżenie o zbrodnię zakłócenia spokoju publicznego.

Brakiem też przezorności i rozwagi dziennikarskiej wytłumaczyć tylko można zamieszczenie w całości owego „Posłania do wszystkich rodaków na ziemi polskiej", podpisanego przez „mieszkańców Warszawy". Ostrożny „Czas" zadowolił się krótkiem podaniem treści owej odezwy, a w Nr. 160 z d. 16 lipca 1861 r. zamieścił uwagę, że dzienniki niemieckie fałszywie ją komentują, „gdyż odezwa ta, zachęcając do wytrwania na drodze protestacyi

[1]) Artykuły pod tym tytułem pisał, wedle przytoczonego powyżej listu Kaczkowskiego, adwokat Zygmunt Rodakowski.

moralnej, ostrzega, aby się nie dać uwieść do czynnego wystąpienia". Z dzienników niemieckich pierwsza „Schlesische Zeitung" [1]) podała ową odezwę w korespondencyi z Warszawy, opatrzoną komentarzem korespondenta, który ubolewa, że ów dokument „ruchu polskiego" nie może przynieść dobrych następstw dla kraju, chociaż bowiem nie braknie w nim wielu pożytecznych wskazówek moralnych, to wszakże „ciasne i stronnicze pojmowanie międzynarodowych stosunków w ustępach, odnoszących się do Niemców i Rossyan, jest smutnym i godnym ubolewania znakiem".

Zygmunt Kaczkowski, w cytowanej już wielokrotnie broszurze swej „Rewolucyjne sądy i wyroki" [2]), twierdzi, że autorem tej odezwy, a przynajmniej tym, który jej ogłoszenie wywołał, był Marcin Borelowski Lelewel i że „przeznaczeniem jej było: ostrzedz powszechność polską przed niewczesnymi zamiarami powstania". Istotnie też w odezwie są słowa: „kuszenie się na zbrojne powstanie, bez poprzedniego obrachowania się i wyrobienia w sobie siły materyalnej, dzisiaj przedwczesne", — ale zarazem jest ustęp: „Nadejdzie czas zbrojnego wystąpienia i wtedy — sami w sobie mocni i zgodni a pewni zwycięstwa — wystąpimy". Odezwa wzywa więc do organizacyi wszystkich sił narodowych przez złączenie szlachty z włościanami, przez oświatę i obalenie ciężarów pańszczyźnianych, przez zgodę z ludnością żydowską, słowem, przez zjednoczenie powszechne. „Gdy włościanie z dziedzicami — powiada odezwa — złączą się, jak dobrzy sąsiedzi i bracia, a z nimi mieszczanie i rzemieślnicy, będziemy w stanie wszystko przeprowadzić i zwyciężyć." — Jest w tej odezwie zarazem obraz prześladowań, jakich doznaje naród polski pod rządami Rossyi, Prus i Austryi, jest wezwanie, aby nie wierzyć rządowi, odpychać jego namowy, „nie szukać u niego pomocy, bo ją da zatrutą ręką", „nie szukać chleba w wojsku, lub innej podłej służbie", lecz w rzemiośle, w roli, handlu i w innych uczciwych zatrudnieniach": „nie spodziewać się niczego od rządu, niczego nie oczekiwać, nie żądać nigdy jego interwencyi", a oszczędzając się w wydatkach, „dawać hojnie grosz na biednych, na broń, na książkę"... „a nauczymy się wszyscy, gdy czas przyjdzie, stać na polu bitwy i zwyciężać orężem".

„Głos" wydrukował w całości tę odezwę w Nr. 161 z dnia 16 lipca 1861 r., a Kaczkowski sądził zapewne, że zastąpiwszy

[1]) Nr. 322 z d. 13 lipca 1861 r.
[2]) Str. 9.

w tekście wyraz: „Austrya“ kropkami, uniknie wszelkiej odpowiedzialności i da pozór, że mowa jest tylko o rządach Rossyi i Prus. Trudno jednak było, znając ówczesne stosunki, przypuścić, aby taka odezwa nie została należycie zrozumiana i aby ogłoszenie jej uszło bezkarnie. Łudzić się pod tym względem mógł chyba tylko człowiek bardzo niedoświadczony, lub umyślnie dybiący na zgubę dziennika.

Gdy nazajutrz po wydrukowaniu odezwy, Zygmunt Kaczkowski aresztowany został, a wydawnictwo dziennika zamknięto, pojawiły się też natychmiast różne komentarze. Jedni mówili — jak to podaje w swych rękopiśmiennych notatkach K. Estreicher [1]), — że Kaczkowskiego do ogłoszenia odezwy namówili ks. Adam Sapieha i adwokat Rodakowski, i Sapiehę nazywa „głównym winowajcą“, — drudzy utrzymywali, że Kaczkowski umyślnie w ten sposób zabił dziennik, bankrutujący materyalnie, ażeby „skończyć zaszczytnie“. Jednej i drugiej wersyi zaprzecza stanowczo Kaczkowski w swej broszurze „Rewolucyjne sądy i wyroki“ [2]), twierdząc, że odezwa ta „przypadała najściślej do jego przekonań“ i że otrzymawszy ją z Warszawy, postanowił ją ogłosić. Zaznacza wszakże, iż ją przedstawił uprzednio Radzie nadzorczej, która jednogłośnie z ks. Adamem Sapiehą na czele, to postanowienie zaaprobowała.

Co do drugiej wersyi, to z owem zaprzeczeniem, wydrukowanem w broszurze, w rażącej stoją sprzeczności własne słowa Kaczkowskiego, w liście, pisanym z Paryża d. 21 grudnia 1890 r. do prof. Ksawerego Liskego [3]). Czytamy tam: „Przyszło wreszcie do tego, że z końcem czerwca 1861 r. przy naszej chorągwi [4]) już tylko ja zostałem sam jeden — i musiałem się zdecydować na krok rozpaczliwy i zabić dziennik umyślnie, narażając się na proces o zdradę stanu i więzienie, li tylko dlatego, ażeby przynajmniej zginąć z honorem.“

Że umieszczenie owej odezwy wygląda na „czyn rozpaczliwy“, to nie ulega wątpieniu. Z drugiej strony jest rzeczą pewną, że materyalna sytuacya „Głosu“ wówczas była krytyczna i że Rada

[1]) Ms.

[2]) Str. 8 i 9.

[3]) Ms.

[4]) Jest tu mowa o zawiązaniu we Lwowie, rzekomo za inicyatywą Kaczkowskiego, „stronnictwa patryotycznego, rozsądnego i umiarkowanego“, złożonego z 72 „najznamienitszych i najzasłużeńszych obywateli“.

nadzorcza tego dziennika właśnie w czerwcu 1861 r. stwierdziła deficyt.

Bądź co bądź „Głos“ przestał wychodzić, a Kaczkowski znalazł się w więzieniu. Uwięzienie to jednak — jak twierdzi K. Estreicher w swych notatkach [1]) — nie wywarło wrażenia. „Nie lubiono go — pisze. — Wymuskany, przepachniały, czepiał się Panów, rywalizując z nimi dżokiejem i kabryoletem. Literatów spraszał, ale u nich nie bywał. Szajnochę raz tylko odwiedził, jako kupiec. A przed laty 10 żył z nim najściślej. — Brnął w długi. Wioszczynę wydzierżawił na lat 6 i wziął naprzód czynsz. Ztąd powiedziano, że koza oczyści go z długów.“

Dochodzenia bardzo szczegółowe trwały do pierwszych dni października. Dnia 5-go tego miesiąca rozpoczęła się rozprawa, pod przewodnictwem radcy sądu krajowego, Ozurewicza. Wotantami byli radcy tegoż sądu: Lehmann, Dzierzyński, Barański, oraz adjunkt sądowy Mossor. Protokół prowadzili auskultanci: Samolewicz i Hanik. Oskarżenie wnosił zastępca Nadprokuratora Państwa, sekretarz Rady wyż. sądu kraj., von Paulo. Obrońcą Kaczkowskiego był adwokat kraj. dr. Zygmunt Rodakowski.

Bardzo wymownie i obszernie bronił się sam Kaczkowski, usiłując wykazać, że owo „Posłanie“ nie odnosi się bynajmniej do Galicyi, lecz tylko do Królestwa Polskiego oraz tych prowincyj polskich, które pozostają pod berłem rossyjskiem; że dalej odezwa ta nie miała i mieć nie mogła zamiaru odrywania Galicyi od Austryi, ani podniecania ludności do zbrojnego powstania, lecz przeciwnie, celem jej było wpłynąć na mieszkańców Królestwa uśmierzająco i odwrócić ich od wszelkich kroków gwałtownych. — Następnie przemawiał adwokat Rodakowski, wykazując ze stanowiska prawniczego, że tak w treści „Posłania“, jakoteż artykułu „Z ulicy“, niema zbrodni ani w pojęciu podmiotowem, ani w pojęciu objektywnem, że przedewszystkiem niepodobna w nich dopatrzeć złego zamiaru.

Argumentacye te — bardzo subtelne Kaczkowskiego i prawnicze obrońcy — nie na wiele się przydały. Pomimo opozycyi radcy Barańskiego, który przy każdym punkcie oskarżenia wnosił vota separata, uniewinniające Kaczkowskiego, dnia 7 października 1861 r. zapadł wyrok, skazujący go za usiłowaną zbrodnię zdrady stanu przez wydrukowanie „Posłania“ i za wykroczenie podburzania, popełnione przez wydrukowanie artykułu „Z ulicy“, na 5 lat

[1]) Ms.

ciężkiego więzienia, utratę szlachetwa, usunięcie z redaktorstwa, oraz utratę połowy kaucyi „Głosu“, wynoszącej 10.500 złr., t. j. kwoty 5250 złr. Zarazem orzeczono zawieszenie wydawnictwa tego dziennika na 3 miesiące.

W skutek odwołania się, wyższy sąd krajowy potwierdził ten wyrok co do zbrodni zdrady stanu, a zmienił go o tyle, że uznał Kaczkowskiego winnym, nie przekroczenia tylko, lecz zbrodni zakłócenia spokoju publicznego, przez wydrukowanie artykułu p. t. „Z ulicy“. Obniżył jednak wyższy sąd krajowy wymierzoną karę na 3 lata ciężkiego więzienia, podwyższył zaś utratę kaucyi na 8000 złr.

Sprawa oparła się wreszcie o trybunał najwyższy w Wiedniu, który potwierdzając wyrok wyższego sądu krajowego co do winy, złagodził karę więzienia na 2 lata i zniżył „przepad“ kaucyi na 6300 złr.

Jako okoliczności łagodzące przyjęto w motywach sądu, że zachowanie się Kaczkowskiego było od chwili ułaskawienia w r. 1848 nienaganne, że w r. 1859 przyczynił się on datkiem odpowiednim do utworzenia korpusu ochotniczego przez rząd nakazanego i że miał wpływ pożyteczny, jako członek komisyi, ustanowionej dla dostawy koni dla armii (Remontirungs-Kommission).[1])

Nawiasem zaznaczyć należy, że oprócz powyższych oskarżeń, były wytoczone przeciw Kaczkowskiemu, jako redaktorowi „Głosu“, inne jeszcze procesy. I tak, niejaki dr. Wilhelm Rasch, adwokat w Kołomyi, oskarżył był Kaczkowskiego o obrazę czci, z powodu korespondencyi, której autor, Leon Węgliński, opisując przebieg wyborów dwóch posłów z kuryi większych posiadłości w Kołomyjskiem, włożył w usta dr. Rascha, jako kandydata, zdaje się niesłusznie, słowa, ubliżające szlachcie polskiej, domagające się zupełnej emancypacyi żydów, stwierdzające, że polski język w kraju jest niepotrzebny i t. p.

Dowiedziawszy się jednak o procesie, wytoczonym Kaczkowskiemu o zbrodnię zdrady stanu, dr. Rasch cofnął skargę, oświadczając, że w obec bardzo poważnych doświadczeń, na jakie redaktor „Głosu“ jest wystawiony, nie chce mu sprawiać dalszych przykrości i choćby w najmniejszej mierze przedłużać dochodzeń.

[1]) Wszystkie powyższe szczegóły zaczerpnięte są z aktów karnych c. k. Sądu krajowego we Lwowie, przechowaaych w Archiwum Bernardyńskiem.

Tak więc po raz drugi już w życiu zamknęły się za Kaczkowskim wrota więzienne. Zamknęły się dnia 17 lipca 1861 r., a otworzyć się miały po upływie lat 2, licząc od daty wyroku, t. j. od d. 7 października 1861, dopiero d. 6 października 1863.

Już w czasie więzienia śledczego, a mianowicie, gdy sprawa w skutek odwołania się przedstawiona była najwyższemu trybunałowi w Wiedniu, Kaczkowski, przeczuwając niepomyślny jej obrót i dłuższy pobyt w zamknięciu, pomyślał przedewszystkiem o pracy literackiej, któraby mu to zamknięcie lżejszem do zniesienia uczyniła.

Prowadził też z celi więziennej liczne i obszerne korespondencye, a między innemi zawiązał listowne stosunki z imiennikiem swoim Karolem Kaczkowskim (herbu Nałęcz), b. generałem sztabslekarzem wojsk polskich, przebywającym naówczas w Odessie, a mieszkającym stale w Żytomierzu, gdzie stał na czele „Spółki wydawniczej“. Ta spółka miała, jak wiadomo, wydać dzieło Kaczkowskiego „Kobieta w Polsce“, a to dało powód do zawiązania stosunków z Karolem Kaczkowskim. — W jednym z tych listów z d. 30 stycznia 1862 [1]) wyraża Zygmunt Kaczkowski nadzieję, że może już koło połowy, a najdalej do końca lutego, jego sprawa się skończy. Snuje projekty wyjazdu na Wielkanoc do Ziemi Świętej, gdzie „jeszcze nikt na próżno nie pielgrzymował“ — więc i on spodziewa się, że się tam odrodzi, — a wówczas odwiedzi Kaczkowskiego Karola w Odesie.

O stosunkach lwowskich pisze: „We Lwowie, jak zwykle na zimę, zjazd liczny, ale przytem cicho i głucho. Żadnych tańców, żadnych hucznych wieczorów, wszyscy w żałobie. Bywają tylko wieczory konwersacyjne: a i z tych liczniejsze i stałe w niedziele tylko u Xięstwa Sapiehów. Oprócz ogólnych powodów do wstrzemięźliwości są i szczególne. Dom państwa Alfredów Potockich młodych jest prawie zamknięty, bo ona sama słaba, a nadto pani Alfredowa matka prawie kończy w Wiedniu.“ Donosi o śmierci Aleksandrowej Fredrowej z domu hr. Mierównej, „świetnej ozdoby tutejszego towarzystwa, na nieszczęście nie celującego wyborem płci pięknej“. „Biedak mąż, człowiek bardzo bogaty i z siebie i z żony, — a tak nieszczęśliwy przez całe życie. Wiotkim bowiem chłopaczkiem wybrał się na wojnę węgierską i z tego powodu musiał długie lata przepędzić w tułactwie; parę lat temu wrócił, ożenił się i wielkie rozradowało się szczęście około niego — i ot, jak

[1]) Akta rapperswilskie. Ms.

się to prędko, jak straszliwie skończyło!...“ — „W przeciągu czterech tygodni straciliśmy czterech literatów: umarł Stadnicki, Batowski, Zubrzycki i Łobaczewski, botanik. Alex. Stadnicki — umarł w oryginalny sposób, jak żołnierz na polu bitwy. Dyktował właśnie swemu sekretarzowi monografię Ziemi Lwowskiej, skończył i powiedział te słowa: „Teraz pan połóż punkt i idź sobie z Bogiem, a nie przychodź, aż cię każę zawołać, bo ja jeszcze dzisiaj edjeżdżam i sam nie wiem, kiedy powrócę“. Z tem poszedł do drugiego pokoju, padł — i odjechał, ale ażeby już nigdy nie wrócić. Oprócz znakomitej nauki, był to człowiek niezmiernej zacności. Potomek wielkiego rodu, wychowany w błyszczących dostatkach, po bogatych niegdyś rodzicach wziął tylko maleńką schedę, przez całe życie żył, jak człowiek ubogi — a nigdy nie miał najmniejszej goryczy w sercu, nigdy nawet chmurki na czole.“

W następnym liście, z d. 1 lipca 1862 r., donosi o śmierci swej matki, zmarłej 8 czerwca, w pierwszy dzień Zielonych świątek. Umarła na raka. W kilka dni przyjechał ojciec do Lwowa. Także chory, puchną mu ręce i nogi. Ziembicki i Longchamps [1]) radzą Lubień. Wspomina przytem o bolesnych stratach, jakie poniósł. Kilka lat temu zmarła 90-cio kilkoletnia jego babka, matka ojca, a jego szczególna opiekunka. Dwa lata temu 8 lipca umarła siostra, a teraz matka.

W dalszym ciągu radzi generałowi przenieść się do Lwowa i kreśli następujący obraz tego miasta, który nie będzie zapewne bez interesu:

„Lwów — pisze — ma obecnie do 100.000 mieszkańców i należy do ładniejszych miast drugiego rzędu. Czystość nie zostawia nic do życzenia, chodniki i bruki wyborne, ogrody i przechadzki publiczne bardzo piękne i utrzymywane bardzo starannie, klimat łagodniejszy niż w Żytomierzu, powietrze w środku miasta mniej zdrowe, ale w ulicach tych, gdzie zwykle rodziny zamożniejsze mieszkają, dosyć czyste i świeże. Życie jest tutaj daleko tańsze niżeli w innych większych miastach, przynajmniej o połowę tańsze niżeli w Warszawie lub Wiedniu, tańsze niżeli w Krakowie i prawie tak samo tanie, jak w Dreźnie, Monachium, albo Wenecyi. Z moich własnych doświadczeń nie mogę Wam podać przykładu w cyfrach, bo mieszkając tu w r. 1860 i 1861, nie trzymałem kuchni swojej, a za to trzymałem koni więcej niżeli koniecznie potrzeba; teraz zaś chociaż trzymam dom z kuchnią, to

[1]) Lekarze.

znowu przy nim prowadzi się gospodarstwo rolne i ogrodowe, które pokrywa wydatki. Ale z cudzych doświadczeń wyciągnąłem taką skalę, że kto wydaje 6000 f. rocznie, utrzyma się przyzwoicie z żoną i dziećmi; wydając 8000 f., można trzymać ekipaż; wydając 10 do 12.000 f. można żyć bardzo wygodnie i pięknie, wychowywać dzieci starannie i utrzymywać dom dosyć otwarty. Suponuje się naturalnie rządność; lecz na to za to zważyć trzeba, że to są nasze banknoty, które są niskiej wartości, tak, że rubel sr. wart około 2 f. nasze. — Co do tak zwanego towarzystwa, to jest bardzo liczne i ciągle się pomnaża, bo coraz więcej szlachty tu się buduje lub zamieszkuje. Towarzystwo to w ogólności błyszczy ogładą i elegancyą, lecz zresztą nie wielkiej jest wartości wewnętrznej; prawdziwej oświaty, cnót obywatelskich a nawet domowych bardzo mało; cudzoziemszczyzny, lekkomyślności, furfanteryi bardzo wiele: kobiety wprawdzie wyjarzmione z tej niemoralności, jaka tu grasowała niegdyś, ale jeszcze zawsze lekkie i nie pojmujące swych obowiązków, młodzież męska nie odrażająca wielkiemi wadami, ale zimna, drwiąca, bez zapału i bez wykształcenia. Salony ich są też chłodne i nudne i prawie obce krajowi. Pomiędzy niemi jednak są domy czysto polskie, w których jest światło i ciepło. Do tych policzyć trzeba dom XX. Sapiehów starych i młodych, pp. Alfredów Potockich, Alex. Fredrów i jeszcze kilka innych — a tych jest tyle, że przecie przyjemnych stosunków z światłymi ludźmi i zajmującej konwersacyi nie braknie. Domy warstw średnich, czyli tak zwanej u nas intelligencyi, t. j. adwokatów, prawników, lekarzy, profesorów i t. d. także nie dają pożądanych resursów, bo jedne z nich są pełne śmiesznych pretensyj, a drugie znowu tak dalece bez pretensyi, że niemasz w nich żadnego towarzyskiego pożycia. Przyznać, niestety! potrzeba, że winą tego są głównie kobiety, których wychowanie w ogólności tutaj stoi daleko niżej, niżeli we wszystkich innych prowincyach polskich. Za to jednak mężczyźni tej warstwy są prawie wszyscy znakomicie wykształceni, każdy coś umie i dobrze umie, każdy coś widział i dobrze widział — a jest ich przytem tak wielu, że ziomkowie, przyjeżdżający z innych prowincyj, kładą to miasto pod tym względem najwyżej ze wszystkich miast polskich. Kto tedy tutaj chce żyć towarzysko, jakiekolwiek mieć będzie pretensye, zawsze potrafi je zaspokoić, bo chociaż stan towarzystwa nie jest takim, jakimby być mógł, to wielka liczba osób je składających, stawia każdego w możności wynalezienia dla siebie tak w świecie żeńskim, jak w męskim odpowiednich żywiołów. Tak samo dzieje się z duchem,

który tu we Lwowie panuje. Jedna część tak zwanej arystokracyi jest światłą, pracującą, przystępną, skromną i bez przesądów. W ich ręku są prawie wszystkie publiczne zakłady. Grupują się oni prawie wszyscy około Sapiehów. Druga część tej arystokracyi, niestety daleko liczniejsza, stoi na stronie od wszystkich prac pożytecznych i narodowych, nie zajmuje się niczem, jest pełna uprzedzeń, pełna cierpkiej ironii, jest prawie obcą krajowi, ale także tak samo obcą rządowi. Również intelligencya i mieszczanie dzielą się między sobą. Jedni z nich są poważni i rozważni, pracujący w swoich zakresach, bez uprzedzeń i nienawiści; drudzy, pełni gorączkowego zapału, krzątający się ciągle około czegoś, niespracowani w swoich zabiegach około sprawy publicznej, ale opętani uprzedzeniami bez końca, pełni zazdrości i nienawiści, niepowściągliwi, gwałtowni, łaknący ciągle przewagi, niecierpiący cudzego zdania i bijący bezwzględnie nietylko na tak zwanych arystokratów i ziemskich bogaczów, ale zgoła na wszystkich i na wszystko, cokolwiek im się nie podoba. Pomiędzy tą całą ludnością niemasz właściwie zorganizowanych stronnictw ani społecznych, ani też politycznych, ale każda kwestya dzieli ją zaraz na stronnictwa, które z niesłychaną niecierpliwością uderzają na siebie. Stąd widoczny jest ruch, tartas i wrzawa, i naturalnie wieczny chaos wyobrażeń, uczuć i pojęć. Jednakże z tego chaosu może się pomału coś statecznego wyrobi, bo tak dobrych chęci, jak i zdolności nie braknie, ale brak jeszcze spokojnej pracy, na której miejscu górują niepowściągliwie namiętności. Zresztą całe to miasto jest niezmiernie ruchliwe i ożywione: na ulicach i w miejscach publicznych ciągły ruch ludzi, jeźdźców i ekipażów; z zaprowadzeniem żelaznej kolei wzmaga się także ruch w handlu, przemyśle i rękodziełach."

Po wzmiance o Sejmie, Radzie miejskiej, Towarzystwach rolniczem i kredytowem, zakładach naukowych i bibliotekach, wreszcie ułatwionej komunikacyi, Kaczkowski kończy ten list obszerny słowami: „Oto nasz Lwów w czasie obecnym."

W liście z d. 1 września 1862 r. podaje szczegóły o gospodarstwie i cenach zboża, także o mających się budować kolejach: „X. Leon Sapieha — pisze — właśnie wrócił z Londynu, gdzie udało mu się nareszcie zawiązać Towarzystwo w połowie z Anglików, a w połowie z Mołdo-Wołochów złożone, w celu wybudowania kolei od galicyjskiej granicy do Gałaczu. — O sobie donosi, że wszystkie jego plany podróży rozbiły się. Narzeka, że czas mu schodzi na próżno. Pisać nie może prawie nic, bo nie ma po temu spokoju. Tyle tylko korzysta z czasu, że czyta, zbiera materyały

dalsze do historyi XVIII. w., robi notatki, układa jakieś roboty na przyszłość."

W następnym liście z d. 7 października 1862 r. opowiada generałowi o swym pobycie w Warszawie przed 2 laty. Namawiano go wówczas do wygłoszenia prelekcyi. Nie można było o tem myśleć, bo był tylko na dni kilkanaście w Warszawie. Ale odpowiedział, że możnaby wziąć przed się „Historyę oświaty polskiej" i powiedzieć 10—12 prelekcyi. — Podchwycił tę myśl Kraszewski, a „jak to on zawsze rączy do wszystkiego", oświadczył, że on by miał o tem prelekcye. Kaczkowski uczynił mu parę uwag, wymienił kilka dzieł w literaturach francuskiej i angielskiej, a nadewszystko zalecił „*Histoire générale de la Civilisation en Europe*" Guizota. Kraszewski prelekcyi nie miał, „bo nie ma żadnej wymowy, a do tego niesłychanie jest roztargniony i prędki", — ale napisał za kilka tygodni xiążkę p. t. „Historya cywilizacyi w Polsce". „Proszę czytać, co napisał — dodaje Kaczkowski. — Bóg nie wie, co i do czego podobne, jak dobrze powiedział Bielowski: „z pogardą tego wszystkiego, co od lat trzydziestu w tym przedmiocie zrobiono"."

W tymże liście użala się na znaczne straty, poniesione na „Głosie" i prosi o interwencyę, by mu wrócono rękopis „Kobiety", aby mógł go sprzedać w Warszawie. O sobie dodaje:

„Naturalnie jeszcze siedzę i przy takich przyjaciołach, jakimi mnie P. Bóg obdarzył, mógłbym nawet siedzieć na wieki. Bo u nas tak: poświęcenia wymagają od każdego, jakby od Chrystusa Pana; jeżeliby się ktoś tylko w połowie lub nie tak, jak im się podoba, poświęcił, to wart szubienicy — a jeśli się poświęcił, no! to się poświęcił, przepadł i nikt o nim już nie pamięta i nikt nie ma sobie za obowiązek przynajmniej jakoś mu ulżyć, albo zmniejszyć to poświęcenie. Z tem wszystkiem powinniby mnie wypuścić już w tym miesiącu, bo właśnie dziś mija połowa zapadłego na mnie wyroku. Chodzi koło tego w Wiedniu X-że Karol Jabłonowski: źle chodzi, a inni wcale nie chodzą."

Myślał jednak ciągle o rozpoczęciu jakiejś większej pracy literackiej i przypomniał sobie, że jeszcze w roku 1852 zamyślał o stworzeniu powieści na tle konfederacyi Barskiej i zbierał do niej materyały. Podówczas też otrzymał on od p. Wincentego Rogalińskiego ciekawe szczegóły, za które w liście, pisanym ze Zboisk d. 22 czerwca 1852 r.[1]), z wylaniem dziękuje. „Muszę panu —

[1]) Akta rapperswilskie. Ms.

pisze — moją najwyższą wdzięczność oświadczyć za te daty o p. Tadeuszu i Kasprze Rogalińskich. Tadeusz, Kasper, Ujejski teść i panna Ujejska. to już najwyborniejszy przedmiot na piękną powieść i będziesz Pan widział, jakie to zajmujące się stanie, kiedy się do tego dorzuci jeszcze kilkanaście osób, szlachty, dyssydentów i parę kobiet... Wypadek Sawy z Moskalami — powiada dalej — doskonały, — jenerał figura przecudowna i właśnie taka, jakiej chciałem. Polak, optymista, arystokrata, wierzący w Austryę, doskonale będzie figurował, a jeszcze lepiej podnosił sobą wartość Tadeusza — i dlatego, że taki doskonały, może go ani dotknę w tej powieści, którą dziś piszę, aby go nie zmarnować."

Prosząc o dalsze jeszcze informacye, dodaje w końcu Kaczkowski: „To, co się w Pańskim liście znajduje, jest dla mnie, szperającego już od dwóch lat w historyach Konfederacyi, aż nadto dostateczne na całotomową powieść; dwu i trzytomowe zaś wątpię, ażebym pisał kiedy, bo zwyczajnie bywają nudne i nie mogą mieć wykonczenia równego wszędzie: są bowiem albo zanadto rozwałkowane, albo tak scenami nabite, że jedna drugą wyparowuje czytelnikowi z pamięci i nakoniec prócz treści, nie pozostaje mu nic w głowie. Może się mylę, ale tak dzisiaj rzeczy widzę."

Nie napisał wówczas Kaczkowski tej powieści. Natomiast w r. 1858, jak to już wspomnieliśmy powyżej, wydrukował „Anuncyatę", osnutą na tle konfederacyi Barskiej, „najbłędniej — zdaniem Juliana Bartoszewicza [1]) — przedstawionej", w której też zupełnie nie korzystał z informacyj o Tadeuszu i Kasprze Rogalińskich. W celi więziennej przypomniały mu się jednak szczegóły listu Wincentego Rogalińskiego. Chwycił tedy za pióro i d. 21 listopada 1861 r. napisał do niego list następujący [2]):

„Zapewne się pierwej bardzo wielu innych rzeczy spodziewałeś, niżeli listu z Karmelitów odemnie. Tymczasem nic niema niepodobnego pod słońcem, zwłaszcza jeżeli przyciśnie konieczność. Bez długich tedy preludyów mam do Ciebie następujące dwie prośby:

„Kilka lat temu byłeś łaskaw przysłać mi listowną notatkę o Twoim dziadzie Tadeuszu, o wystawionym i straconym pułku przez niego, wraz z jego teściem Ujejskim, o obozie Sawy pod Jodłową, o bitwie z Moskalami w Pilźnie, w mieście i w kościele,

[1]) Encykl. Powsz. Orgelbranda. Tom II., str. 940.

[2]) Udzielony mi uprzejmie przez prof. Uniw. Jagiell. dr. Chrzanowskiego. Ms.

o rozkrzyżowaniu i rozstrzelaniu Pilźnieńskiego Wójta, zresztą o Twoim drugim dziadzie Kasprze, o majątkowych i familijnych stosunkach obudwóch braci i t. d. Ja wtedy, mając jakieś inne roboty przed sobą, dołączyłem do tych wiadomości wszystko to, co mi się dało do tego przedmiotu odszukać w xiążkach i rękopismach, powiązałem z niemi kilka jeszcze innych nieznanych dotąd szczegółów z czasów konfederacyi Barskiej, złożyłem z tego całą powieść — i schowałem *ad feliciora tempora*. Teraz, kiedy mnie tu zamknięto, mając od razu pewność, że nie tak prędko się wydobędę, powziąłem zamiar zasiąść do napisania historyi Rozbiorów Polski, do czego od lat dziesięciu zbieram materyały i mniej więcej wszystko już wyczerpnąłem Byłem pewny, że mi nic nie przeszkodzi, bo chociaż moja własna biblioteka nie może mi wszystkiego dostarczyć, co do tej pracy potrzebne, otrzymałem obietnicę tak od Bielowskiego, jak z Biblioteki Pawlikowskiego, że mi ztamtąd na zawołanie wszystkich broszur, xiążek, map, gazet, a nawet i rękopismów dostarczą, jakich tylko zażądam. Tymczasem, strawiwszy przeszło dwa miesiące na pracach przygotowawczych, kiedym tych materiałów zażądał. Biblioteka Ossolińskich wprost odmówiła, a Biblioteka Pawlikowskiego zwleka z dnia na dzień bez żadnego powodu, co się także równa odmowie. Z niemałym tedy żalem musiałem wszelką myśl nie tylko o tej, ale o każdej poważniejszej pracy porzucić, bo bez xiążek historyi pisać nie można. Że zaś do pisania Listów wnuka do dziadka albo dziadka do wnuka niema humoru w więzieniu, chociaż nie brak przedmiotu: nie pozostaje mi nic, jak tymczasem wrócić znów do powieści. Otóż postanowiłem spisać z wyż wspomnianych materyałów tę ostatnią z powieści o konfederacyi Barskiej, a zapewne i ostatnią z moich wszystkich powieści. Ale tymczasem i w tem przedsięwzięciu zaszła niespodziewana przeszkoda. Po uwięzieniu mojem przez parę dni nie pilnowano dobrze mojego mieszkania, w skutek czego redakcyjni chłopcy porozkradali mi moje xiążki i papiery. Jednocześnie prawie, bo na dniu 1 lipca, wypuściłem Bereźnicę w dzierżawę i kazałem moje ruchomości a zarazem i bibliotekę przenieść do Lwowa. Ja nie pamiętam już dobrze, gdzie się ten fascykuł znajdował, czy tu, czy na wsi; ale dziś ani pomiędzy mojemi tutejszemi, ani pomiędzy tamtejszemi papierami nie można go znaleźć. Możebym ja sam potrafił jeszcze go znaleźć, bo niektóre szpargały z tego fascykułu znalazły się; ale Twojego listu odszukać nie można. Stąd tedy prośba do Ciebie. Co potrafiłeś zanotować raz, to zanotujesz i drugi raz. — Jeżeliś tedy na mnie po staremu łaskaw, to siądź

i znotuj mi wszystko, co wiesz o wyż wspomnianych wypadkach — a osobliwie o Twoich obudwóch dziadach Tadeuszu i Kasprze, o stosunkach Tadeusza do Ujejskiego, o losie wysztyftowanego przez nich półku (sic!), a zarazem o ich stosunkach familijnych i majątkowych. Kto na czem dziedziczył? kto kogo rodzi? jakie majątki Tadeusz potracił? który mu się na końcu pozostał i t. d. Gdybyś zaś mógł się dowiedzieć, jak się nazywał ów wójt w Pilźnie (co przy bliskości Pilzna od Ciebie i przy istnieniu zapewne aktów tamtejszych dowiedzieć się może nie trudno), tobyś mi wielką łaskę wyświadczył. Jednak przy tem wszystkiem muszę Cię jeszcze koniecznie prosić o pospiech, bo ja tu już do kilku dni reszty dat do tego przedmiotu doszukam — a jeżelibym miał co napisać, to muszę tak pisać, ażeby można z NRokiem druk zacząć, bo inaczej trudnoby mi było do druku przystąpić. Na każdy tedy wypadek, licząc na Twoją przyjacielską uczynność, spodziewam się do pięciu, a najdalej do sześciu dni, przynajmniej jakiejś odpowiedzi od Ciebie."

Czy na list ten otrzymał Kaczkowski odpowiedź? — nie wiemy. To pewna, że i teraz owej powieści nie napisał. — W papierach, złożonych w lwowskiem Towarzystwie historycznem [1]) znajdujemy spory manuskrypt, noszący tytuł „Związek Braterski", przy końcu którego zanotował autor: „Pisałem u Karmelitów we Lwowie, w styczniu 1862." Praca ta dość obszerna, obejmująca sto kilkadziesiąt stronic *in quarto* bitego pisma, została w znacznej części z pewnemi zmianami, skróceniami i uzupełnieniami wydrukowana w 1 tomie „Dzieł Zygmunta Kaczkowskiego", jako przedmowa „Od Autora". Jest to rozprawa o wartości źródeł rękopiśmiennych i ustnych tradycyj do historyi drugiej połowy XVIII. w.[2]). Część ta zawiera, dość zresztą pobieżną wiadomość o zbiorach Kuropatnickiego i Zakładu im. Ossolińskich, Podhoreckich, biblioteki Jagiellońskiej, aktach Bernardyńskich i t. d., wreszcie mieści się tu wywód o znaczeniu tradycyj ustnych. Druga część tej pracy więziennej, obejmująca jeszcze trzydzieści stronic, ścisłem pismem Kaczkowskiego skreślonych, zawiera niejako tłumaczenie, dlaczego on historyi konfederacyi Barskiej nie napisał pomimo posiadanych materyałów i zachęty takich ludzi, jak Karol Sienkiewicz, a przedewszystkiem Mickiewicz.

---

[1]) Udzielonych mi łaskawie przez prof. Uniwersytetu lwowsk. dr. Ludwika Finkla.

[2]) Wydanie Józefa Ungra. Warszawa 1874.

„Mickiewicz — pisze Kaczkowski, — który rad padał myślą na tę epokę i w ogólności w uroczych ją widział kolorach, ze względu na jej historyę, tak mówił:

— „Kiedyś, jak Polska powstanie, będziem mieć piękną historyę rozbiorów. Ale dzisiaj nie łatwa z tem sprawa. I Francuzi nie mieliby takich historyj swojej rewolucyi, gdyby była po niej Francya upadła. Aniby Thiers na to nie poradził, ani sam Tacyt, gdyby wstał z grobu — bo w tych naszych czasach, gdzie góruje zasada: *Finis coronat opus*, tak w świecie czynów, jak w świecie myśli, najlepsze chęci, najwspanialsze a bezskuteczne usiłowania, żadnego nie znajdują oddźwięku. Wszyscy patrzą w kolebki: na groby ledwie kwiat rzucą i uciekają czemprędzej. Uczucie tego rodzaju piękna już się stępiło — i trudno je będzie obudzić, dopóki świat znowu nie przejdzie przez wielkie boleści, albo też w wielkie nie popadnie zwątpienie... Ale niech w tamte czasy idą poeci: tam wiele pięknych, wiele wzniosłych jest rzeczy. Tylko niechaj z konfederatów Don Juanów nie robią, bo tem nie usłużą nikomu."

„Była to zapewne — dodaje Kaczkowski — przymówka do poematu Słowackiego „Beniowski", który jest modelowany podług Bajronowskiego „Don Juana". — Mówił mi wreszcie wiele o ustnych podaniach, co mniej więcej samo da się zamknąć w tych słowach:

— „A osobliwie żywe jeszcze podania niech zapisują i na nich się uczą. Jak te przepadną, i historya przepadnie — i będziem ją wtedy sami tak pisać, jak o nas piszą Francuzi i Niemcy, co już się i dzisiaj wydarza."

Nie poszedł jednak za tem zdaniem Kaczkowski, nie posłuchał też rady Lelewela, który zalecał: ‚Pisać co można — a nie frasować się tem, że tu i ówdzie czegoś brakuje. Przyjdzie drugi i trzeci i dopełnią. Tak się tworzyły wszystkie historye."

A że za temi radami nie poszedł, to oprócz braków pewnych źródeł, a mianowicie wiadomości o owoczesnych działaniach dyplomatycznych, skłoniła Kaczkowskiego różnica, zachodząca pomiędzy jego zapatrywaniami na upadek Rzeczpospolitej polskiej, a poglądami innych historyków na fakt upadku Polski.

Te zapatrywania swoje przedstawia Kaczkowski w obszernym wywodzie, który jest jednym hymnem na cześć niepożytego ducha polskiego narodu.

Epoką najniższego upadku Polski — przedstawia Kaczkowski — jest epoka saska; lecz wnet zaczynają się coraz głośniej objawiać myśli o rozmaitych reformach tak społecznych, jak poli-

tycznych, których pierwszymi apostołami byli król Stanisław Leszczyński, obaj Załuscy, Konarscy, Czartoryscy i wielu innych. Dźwigała się Polska własnemi siłami z upadku, a ztąd wynika, że epoka saska, chociaż jest chwilą niskiego upadku, jest jednak zarazem chwilą zbudzenia. Naród zaczął się odradzać, nie z śmierci, nie z swoich popiołów, ale z własnej krwi jeszcze obiegającej po całem ciele, z własnego ducha, będącego jeszcze w tem ciele przy życiu.

To też gdy zasiadł na tronie Stanisław August, naród, chociaż w swej większości sprzeciwiał się jego elekcyi, widząc w nim kreaturę rossyjską, ten naród, zajęty myślą swego odrodzenia, pogodził się z nim w okamgnieniu i skupił w okół niego, w przekonaniu, że pod każdym królem cel odrodzenia swego może osiągnąć potrafi. To jeden z najpiękniejszych czynów, jakiemi poszczycić się może historya wszystkich narodów, to zarazem dowód, jak głęboko przejęty był naród polski sprawą swego odrodzenia. — Była to jednak krótka chwila pięknych, lecz złudnych nadziei. Stanisław August odpowiadał tylko dopóty swoim obowiązkom, dopóki to nie wymagało stanowczości, energii i poświęcenia. Skoro jednak tylko Rossya uknuła pierwszą intrygę polityczną przez podbudzenie konfederacyi Radomskiej, król z tej intrygi nie powagą i silną wolą, lecz intrygą się wyratował, a naród, widząc to, los swój własnym poruczył siłom — i podniósł konfederacyę Barską.

Z pozoru konfederacya ta zdaje się być ostatnim czynem umierającej Polski, w rzeczywistości jednak jest pierwszym krokiem Rzeczypospolitej polskiej, dźwigającej się wszelkiemi siłami z upadku. Obudza ona ducha wolności, równości, braterstwa, ofiary i poświęcenia, obudza ducha wiary we własne siły, obudza ducha „narodowego powstania, ażeby wcielił się w naród i stał się jego głównym czynnikiem aż po dzień ostatecznego zwycięstwa". Rozpatrzona jednak w swej części materyalnej, jest to sprawa najnieszczęśliwsza. Pełna najszlachetniejszych uczuć i zadziwiających czynów odwagi, była wszakże najlekkomyślniej poczęta, opierała się na samych złudzeniach, prowadziła swe sprawy tak dyplomatyczne, jak i wojenne z niepojętą częstokroć nieudolnością. W oderwaniu przeto jest ta konfederacya bardzo smutnym obrazem, a pociągnęła za sobą pierwszy rozbiór Polski.

A jednak naród pognębić się nie dał. W żadnym narodzie nie widzimy tak gorącej, wytrwałej, niezmordowanej pracy wewnętrznej, jak w uszczuplonej Polsce, w ciągu lat ośmnastu, które nastąpiły po pierwszym robiorze. Kiedy konfederacya Barska nie

mogła przez całych pięć lat swego trwania tyle siły wydobyć, ażeby w granicach całej Rzeczypospolitej jednocześnie postawić przynajmniej 15.000 żołnierza pod bronią, to w r. 1792 państwo, o trzecią część umniejszone, bez żadnych wysileń i haseł rewolucyjnych, wyprawiło 45.000 wybornego żołnierza przeciwko Moskwie. Po drugim rozbiorze, utraciwszy więcej niżeli trzecią część swego obszaru, naród przecież na duchu nie upada, przeciwnie nawet, siły jego materyalne stosunkowo znacznie się wzmagają. Kościuszko, podniósłszy sztandar insurekcyjny w Krakowie, „mógł zaraz stanąć na czele znacznych zastępów, mógł staczać nawet bitwy zwycięskie". „Nie upadający to naród, który tak wstaje!" — woła Kaczkowski. — Ale nie było w nim tej samorzutnej, moralnej siły, która się wciela w jednego lub kilku stworzonych przez siebie ludzi; władza się ciągle dzieliła i chwiała, a w obec przemocy zewnętrznej Polska uległa ostatecznemu podziałowi i jako państwo istnieć przestała.

Na tem się kończą zwykle dotychczasowe historye Polski, „bo dziejopisarstwo w ogóle chodzi jeszcze ciągle w okowach idei Państwa". Z pod tej idei powinno się przedewszystkiem wyjarzmić dziejopisarstwo polskie i „naród postawić na pierwszym planie". Pomimo upadku państwa naród żyje i nie ma „ani chwilowego wytchnienia w tych wielkich, niespracowanych, niezmiernie rozgałęzionych usiłowaniach swoich ku odzyskaniu niepodległości, usiłowaniach, zaczętych w połowie XVIII. wieku, a idących do dziś dnia". Powstałe na gruzach polskiego Państwa Księstwo Warszawskie nie potrzebuje też wcale nowych sił dla siebie wyrabiać; znajduje do wszystkiego już obrobiony materyał: armię gotową, ludzi do administracyi i sądów gotowych, skarb w oka mgnieniu, naukowe zakłady i szkoły pod ręką. Tak samo później w Królestwie kongresowem widzimy niebawem pracę skrzętną, administracyę wyborną, wzrastające rolnictwo, przemysł, fabryki, rękodzieła. Duch narodowy objawia się z całą potęgą w obywatelskich cnotach i poświęceniach. Mała armia polska staje się nieporównanym wzorem, przedmiotem naukowych pielgrzymek dla wojskowych stałego lądu. W tem małem Królestwie kongresowem budzi się wraz z poczuciem siły poczucie obowiązku odzyskania niepodległości. Powstanie Listopadowe, po dziesięcio-miesięcznym boju, upada, nie wskutek braku zapału, waleczności lub poświęcenia, lecz znowu z powodu braku tej samorzutnej siły moralnej, która w jednym lub kilku ludziach skupia całą cnotę, rozum i wolę narodu. — Z tego powstania, pomimo klęsk ogromnych, odniósł naród tę korzyść, że się

„wstrząsł jednocześnie we wszystkich swych częściach i przerzucił się w nowe stadyum swego rozwoju“. — „W lat kilkanaście ogromne robi postępy na drodze nauki, rozkwita najpiękniejszą, jaka kiedykolwiek się pojawiła na ziemi, poezyą, tworzy niezmiernie bujną literaturę. I stało się, że w chwili obecnej „każda z większych prowincyi polskich ma daleko więcej światła i ciepła, posiada daleko więcej materyalnych zasobów i może daleko więcej zdolnych do każdej pracy wystawić ludzi, niżeli cała Rzeczpospolita w którejbądź dobie za Stanisława Augusta“.

Cokolwiekby można ze stanowiska ścisłej krytyki zarzucić powyżej streszczonemu poglądowi, to jedno zaprzeczyć się nie da, że natchnęło go Kaczkowskiemu gorące umiłowanie Ojczyzny i własnego narodu.

Dziwny zaiste los sprawił, że w rok zaledwie później ten człowiek, który w ciszy celi więziennej rozpamiętywał tak miłośnie dzieje swego narodu, pomówiony o zdradę kraju, skazany za szpiegostwo, wyjechać musiał za granicę, jako — banita!

Pogląd swój zamyka autor wyrażeniem przeświadczenia, że „naród taki, który pomimo podziału i rozerwania ciągle jednym i niepodzielnym tchnie duchem — musi koniecznie w pewnej epoce urość do takiej potęgi, która go wyswobodzi z narzuconych mu więzów i sporządzi odpowiednie dlań stanowisko na karcie europejskiej“.

Jesteśmy oto w przededniu tej właśnie epoki...

Dlaczego jednak Kaczkowski nie napisał historyi konfederacyi Barskiej? Powód tego wyjaśnia w następujący sposób:

„Konfederacya ta jest pierwszem, bardzo jeszcze słabem, niedokładnie odkutem i jeszcze starą rdzą przesiąkłem ogniwem tego długiego łańcucha usiłowań narodu ku odzyskaniu niepodległości, który się kuje do dziś dnia. W związku z tym łańcuchem ma ona wielkie znaczenie dziejowe i przedstawia czyn żywotny, pełen wielostronnego zajęcia. Ale jako fakt luźny traci niemal całe swoje znaczenie, musi się zniżyć koniecznie do prostej historycznej powieści, a co gorsza, przedstawiona sumiennie, nie może innego, jak tylko smutne pozostawić po sobie wrażenie...“

Po takim obszernym ustępie znajdujemy zupełnie niespodziewanie zapowiedź nowej powieści nieczujowskiej, która, niestety, nigdy napisaną nie została. Powiadamy, niestety, bo powieść ta, wedle tej zapowiedzi, mogła być naprawdę zajmująca.

Oto, co czytamy przy końcu tego rękopisu Kaczkowskiego:

„Znajduję jednak pomiędzy temi materyałami jedną wiadomość, która, jak sądzę, nietylko budzi cokolwiek wyższego rzędu zajęcie, ale nawet z powodu swej historycznej ważności nie powinna w notatkach pozostać.

„Jest to podanie dotychczas nieznane: podanie o sprzysiężeniu prtriotycznem, które pod nazwą „Związku Braterskiego“ jeszcze w roku 1758 Andrzej Mokronowski zawiązał w Dukli, w które bardzo wielu nietylko do najznamienitszych, ale nawet i do najniższych warstw należących ludzi pociągał i które zrazu na wielkie się rozpostarło rozmiary. „Związek“ ten jest już z tego względu niezmiernie zajmującym, iż był pierwszem sprzysiężeniem obywatelskiem na ziemi naszej, nie używającem utartej od wieków nazwy „Konfederacyi“, a zarazem pierwszym rewolucyjnym objawem Polski, budzącej się z Saskiej otrętwiałości; jednak jeszcze daleko więcej zajmującym czyni go ta okoliczność, iż był opartym na zasadach wolno-mularskich i był zawiązanym właśnie przez tego Mokronowskiego, co potem tak ważną odgrywa rolę w początkach Konfederacyi Barskiej, które to szczegóły bardzo jasne rzucają światło na niektóre tajemnice tej sprawy, jeszcze nie rozwiązane do dziś dnia. Nakoniec nie jest i to bez historycznego zajęcia, wiedzieć, jak duch rewolucyjny u nas trafiał na samym wstępie na te żywioły, na których się odtąd coraz więcej opiera, jakiemi już wtedy chodził drogami i jak się potem przewalił w te same okolice kraju, gdzie odtąd tak wiele najrozmaitszych powstań wybuchło i gdzie zarazem przepowiednie ludowe naznaczają miejsce ostatecznej walki pomiędzy Polską a Moskwą, pomiędzy europejską oświatą z azyatyckiem barbarzyństwem.

„Wiadomość o tym „Związku“ mam najprzód z rękopiśmiennych zabytków historyi Wolno-mularstwa w Polsce, które się do mnie w fragmentach właśnie te lata obejmujących dostały, — powtóre ze Statutów polskich wolno-mularzy, ku niemałemu dla nas ździwieniu po niemiecku pisanych, i listów odnoszących się do tej sprawy, jakie się zachowały w rodzinie Zgierskich, — nakoniec z listów prywatnych obudwóch Mniszchów, Potockich, Krasińskiego, Cetnera (Kaczkowski pisze: „Cettnera“), i wielu innych, którzy bądź sami do tego sprzysiężenia należeli, bądź o niem wiedzieli i jego sprawom służyli.

„Wiem o tem, że wiadomości te nie wyjaśniają jeszcze tak dokładnie tego przedmiotu, jak tego wymaga ścisła historya. Rozumiem nawet, iż przedsięwziąwszy poszukiwania systematyczne, niejeden szczegół tej sprawy dałby się wyświecić dokładnie, który

ja muszę w mgłach pozostawić. Mam bowiem sam niektóre wskazówki, które mnie nauczają, gdzie i co dałoby się prawdopodobnie odszukać. Wiem zresztą pewnie, że ś. p. Jędrzej Moraczewski, zawcześnie zgasły autor „Dziejów Rzeczypospolitej polskiej“, posiadał rękopism całych dziejów Wolno-mularstwa w Polsce, który, jak mniemam, nie musiał zaginąć; a co ważniejsza, że miał także jakąś o tym „związku“ wiadomość, której ślad pozostawił w „Starożytnościach polskich“ (Tom II. Art. Wolno-mularstwo), a którą zapewne z tego rękopismu wyczerpnął. Któż zresztą wie, jak wiele jeszcze innych tego rodzaju rękopiśmiennych historyi dałoby się odpytać? — Lecz w naszem rozerwaniu, jak w ogólności tego rodzaju poszukiwania są utrudnione do tego stopnia, iż nie można ich nigdy za zupełnie skończone uważać, bo niemal każda chwila coś nowego wykrywa: tak jeszcze trudniej mnie dzisiaj poszukiwania za bliższemi szczegółami tego „Związku“ prowadzić dalej — z za kraty...

„Nie pozostaje mi zatem nic innego, jak stosując zdanie Lelewela do tej roboty, „dać, co można“, — a dopełnienie dalszemu pozostawić czasowi.

„Nie mogąc jednak z tego, co jest, złożyć dokładnego obrazu tej sprawy, odpowiadającego warunkom ścisłej nauki, sądzę, iż zrobię najlepiej, jeżeli materyał ten przeniosę na pole sztuki.

„W tym celu dopełniam go: najpierw wypadkami z czasów Konfederacyi Barskiej, na które duch tego „Związku“ bezpośredni wpływ wywarł, a o których bliższą wiadomość znalazłem bądź w materyałach wyż wymienionych, bądź w źródłach do Konfederacyi powszechnie znanych: powtóre dalszą historyą życia osób „Związkowych“, do czego mi znów za materyał posłużyły, po części żywe jeszcze tradycye mieszczańskie miasteczek Pilznieńskiego powiatu, głównie zaś tak pisemne, jak i ustne podania, odnoszące się do ówczesnej historyi Województwa Sędomierskiego, a przechowywane w rodzinie Rogalińskich, jednej z najznamienitszych w tem Województwie.

„Z tego wszystkiego — bardzo mało, nic prawie nie dodając od siebie, owszem, trzymając się ściśle źródeł i podań ówczesnych — składam niniejszą powieść, która, chciałbym, ażeby nie była mierzona łokciem opinii dzisiejszych, ale ażeby przeniosła słuchacza sercem i duchem w te czasy, które przedstawia: dlatego też sam zrzekam się głosu, a opowie za mnie te rzeczy po staremu Imć Pan Nieczuja — i opowie je w sposób taki, w jaki się na nie podówczas światlejsi i lepsi ludzie zapatrywali.“

Na rękopisie, bez podpisu, czytamy u spodu:

„Pisałem u Karmelitów we Lwowie
w styczniu 1862.“

Znajdujemy również w tej pośmiertnej puściźnie dwa odrębne krótkie początki powieści p. t. „Wójtowicz Pilznieński“. Pierwszy liczy trzy stronnice ścisłego pisma Kaczkowskiego i nosi nazwę: „Rapsod wojenny“; drugi liczy tyleż stronnic i nazwany jest „Fraszką z opowiadań Imć Pana Nieczui“.

Pierwszy fragment, tchnący smutkiem starca, którego nowe pokolenie już nie rozumie, zawiera dość surową krytykę Konfederacyi Barskiej, a że się przytem odznacza zaletami stylu, przytaczamy go przeto w całości:

„Niemasz nic smutniejszego, jak być starcem w dzisiejszych czasach. Pięćdziesiąt lat wojen, prowadzonych bronią żelazną i umysłową, uczyniło to, że nowy naród osiadł na nowej ziemi. Z dawnego państwa zostały pod każdym względem tylko ruiny i zgliszcza. Nad szkieletami starych zamków i grodów unoszą się szkielety starych opinii i wyznań. Niektóre z nich bywają wywlekane stamtąd na pośmiewisko żakom i swawolnikom, inne, przystrojone w teatralne koturny, odgrywają komedye dla wynarodowionej i bezbożnej gawiedzi, — starzec tylko białowłosy z przytępionym wzrokiem i trzęsącą się głową, w wypłowiałej czapce i wytartym żupanie, uklęka czasem pod temi świętemi murami i złożywszy ręce w pokorze, oddaje tam cześć dawnym Bogom narodu, dla których niemasz już nigdzie kościoła...

„I tak modlącego się obskakują go czasem wąsate pacholęta nowego wieku, przypatrują mu się, skaczą około niego, szarpią go za pas i za żupan i mówią: „Starcze! powiadaj nam co, bo nam się nudzi.“

„I dobroduszny starzec kończy z pośpiechem modlitwę, żegna się krzyżem świętym, usiada na omszonym kamieniu, wystającym z ruiny i powiada powieści. Zgromadzona rzesza, oczy wlepiwszy w niego, słucha go zrazu ciekawie, powtarza sobie jego słowa, dziwi się jemu, że znał wszystkich jej ojców i dziadów... Starzec się zapala i mówi bez przerwy, jemu się zdaje, że uwięziwszy ich oczy i uszy przy sobie, uwięził zarazem i serca... i głos jego podnosi się coraz wyżej, biała czapka się zawiesza na prawem uchu, wyciągają się ręce, w tył odlatują wyloty... Lecz wkrótce dostrzega on poniewolnie, że słuchacze jego śmieją się tam, gdzie on by płakał, gdyby miał jeszcze łzy w piersiach, inni zasie udają litość i współczucie nad tem, z czego się śmiano po wszystkie czasy, —

i pokazuje się jawnie, że słuchaczów do mowcy nie wiąże serce, tylko oko i ucho. Wtedy nagle starcowi urywa się mowa, głowa jego opada na piersi, oczy wlepiają się w ziemię, a z jego ust pobielałych wymykają się słowa: *Barbarus hic ego sum, quia non intelligor illis!*

„Po takiem wyznaniu nie powinienby on już ani ust swoich otworzyć, ani spojrzeć nawet w tę stronę, gdzie po bezdrożach błądzą nowych pokoleń gromady; tylko zamknąć się pomiędzy ścianami swojego starego dworku, owinąć się w ostatki wypłowiałego żupana, owinąć się w stare modlitwy swoje i tak czekać w spokoju, póki anioł śmierci nie uderzy brunatnem swem skrzydłem w jego łoża wezgłowie, mówiąc: „Czasy twoje się dopełniły; chodź, zawiodę cię do onej marmurowej pościeli, w której śpią twoi hetmani i rotmistrzowie.“

Jakoż z takiem postanowieniem w myśli i ze słowami: *Barbarus sum* na ustach, kończy on zwykle swoje opowiadania... Lecz kiedy noc długa i bezsenna pochłonie jego myśli smutne i czarne przeczucia, i jasny dzień słońca wybieli pochmurną duszę jego, a wieczorem poczną się po staremu jawić około niego ciekawe twarze słuchaczów: to staruszek znowu usiada na swoim ulubionym kamieniu, z miłością spogląda na rzeźwe swego rodu gałązki i zapominając tak o wczorajszych zwątpieniach, nowe z siebie wysnuwa powieści...

* * *

„Otóż działo się to, jeżeli mnie pamięć nie myli, trzeciego roku naszej Konfederacyi. Ja, — zaprawiwszy się już cokolwiek w rycerskiem rzemiośle, w owej niefortunnej bitwie pod Hoszowem, w której Rzeczpospolita utraciła jednego z najprzedniejszych rycerzy swoich, pana Franciszka Pułaskiego (Kaczkowski, jak to już zaznaczyliśmy, stale pisze błędnie to nazwisko; „Puławski“, gdy ono brzmieć powinno: z Pułazia Pułaski), i dostawszy potem dobre od Moskwy pod Chyrowem poczęstne, — osiadłem w domu i, Panie Boże mi to odpuść! niepomału nos spuściłem na kwintę. Mój ojciec nawet, który natyrawszy się dosyć po służbach u postronnych potencyi, nietylko za pięknego żołnierza, ale nawet i za głębokiego polityka był miany w sąsiedztwie, powiadał mi z wszelką pewnością: że sprawa ta, lubo najpiękniejsze ma cele, jednak tak źle jest poczęta i tak źle prowadzona, że szkoda za nią przelewać i jedną krwi kroplę. W istocie też dziwne to się rzeczy już

działy natenczas. Kraj cały był w zamieszaniu okropnem, nie rozumiały się pomiędzy sobą pojedyńcze powiaty, najpotworniejsze wieści obiegały prowincye, przelatywały jak chmury pędzone wichrami porozpraszane oddziały to Moskwy, to Regalistów, to Konfederatów, uciekano, goniono się i bito po wszystkich miejscach, nie było zjazdów, ni sejmików, ni sądów, a podczas kiedy tu i ówdzie stały puste i porabowane kościoły, popalone wioski i dwory szlacheckie w ruinach, podczas kiedy nieprzyjaciel jak gdyby szarańcza spadał nagle na całe krainy, wybierał kontrybucye, wypróżniał szpichrza i obory i nieraz jeszcze się pastwił nad szlachtą niewinną: panowie dowódcy się kłócili pomiędzy sobą o komendy i konsystencye, i usuwając się zręcznie oczom nieprzyjaciela, wyniszczonych i ogłodzonych swych braci nowym przygniatali uciskiem. Przy tej zgrozie jednak i gwałtach wszechstronnych, któremi z pomiędzy swoich głównie się natenczas odznaczali Bierzyński, Kossakowski i kilku innych partykularnych dowódców, którzy z małemi oddziałami łotrowali po kraju, zawsze w niepokalanej czystości i sławie utrzymywały się imiona Pułaskiego, Sawy, Zaremby, Potockich i znowu wielu innych, którzy głód nieraz znosząc i nędzę, w ustawicznej przecież rewerencyi przed sobą trzymali tak Moskwę jak Regalistów i małemi siłami bijąc bitwy ogromne, roznosili przez to po kraju całkiem inne wyobrażenie o siłach konfederacyi, niżeli to, które odpowiadało prawdzie. My szlachta, na prowincyi siedząca, nie mieliśmy wprawdzie regularnych relacyi o tem wszystkiem, co się gdzie działo natenczas, ale jednakże, jak każde większe nieszczęście, tak też i każde sławniejsze zwycięstwo dobijało się do uszu naszych zawczasu. Owóż tedy i wtenczas przyszła do nas wieść pewna, że pan Pułaski, pozbierawszy wszystkie drobniejsze konfederackie oddziały, które się błąkały po Województwach Krakowskiem i Sandomierskiem i opanowawszy wszystkie małe forteczki i zamki w tych okolicach się znajdujące, kusi się o zamek Krakowski i albo go już wziął, albo lada chwila go weźmie. Wiadomość ta uczyniła wielkie na mnie wrażenie, jakoż zaraz odezwała się we mnie chętka pobiedz tam także i przyłączyć się do tych hufców nielicznych lecz niezmordowanych i codzień nową sławą się okrywających.

„Tę myśl moją powiedziałem natychmiast ojcu, ale ojciec zrazu ani sobie mówić dał o tem. Ja trwałem statecznie przy swojem i codzień nowe wynajdowałem powody, któremi przemawiałem do niego, ale to nie pomogało. Starzec ten nie miał wiary w tę sprawę i nie było już tego argumentu w ludzkim rozumie, ażeby

go do niej przekonać. I byłbym go pewno nigdy już nie przekonał, gdyby nie to, że mi sam czas w tem dopomógł. Niebawem bowiem rozeszła się wieść pewna, że zamek Krakowski już jest ubieżony przez naszych i że siły pana Pułaskiego wzmogły się do dwunastu tysięcy. To też zaraz zamknęło usta mojemu ojcu, a na drugi dzień potem miałem już pozwolenie wyraźne pójścia do Konfederacyi.

„Zwołałem tedy czemprędzej krawców i kazałem w skok szyć mundury, sam ujeżdżając tymczasem konia i sposobiąc broń należytą, — a nim tydzień przeminął, wszystko już było tak dla mnie jak i dla moich ludzi gotowe."

Na tem kończy się pierwszy fragment. Drugi urywek powieściowy, to opowiadanie Nieczui z tychże samych czasów, a wprowadzające czytelnika bez żadnego wstępu od razu *in medias res*. Rozpoczyna się on od słów:

„Onego czasu ciągnąłem tedy znowu do Konfederacyi — a jechał za mną wierny mój sługa Węgrzynek, Serednicki wyrostek i czeladniczek rymarski."

Towarzyszyło też Nieczui dwóch szlachciców ruskich z Terła, — braci rodzonych Terleckich. Oddziałek ten chciał przedostać się do Krakowa, a pragnąc zasięgnąć języka i zbadać, w jaki sposób najbezpieczniej można było tam dotrzeć, zatrzymał się w pewnej wiosce niewielkiej. Nieczuja wszczął naradę z Terleckimi, gdy oto „nagle dała nam się słyszeć — czytamy dalej w manuskrypcie — jakby jakaś muzyka, tuż gdzieś niedaleko. Spojrzymy przed siebie, aż tu wprost ku nam idzie drożyną jakiś człowiek grający, a prawie dziwne to było zjawisko. Był to bowiem człek młody i prawie jeszcze pacholę, dość mierny wzrostem i wiotki w sobie, twarz miał niezarośniętą i białą, jak gdyby panna, a jasne włosy spływały mu w gęstych kędziorach na plecy. Na sobie miał, pomnę to dobrze jak dzisiaj, kurtkę jasno-zieloną wełnistą, jak gdyby z muzułbasu uszytą, pasem był przepasany czarnym ze sklącej skóry, buty wielkie niby myśliwskie, albo też i rycerskie, u boku krótki w czarnej pochwie jatagan, — a mając na taśmie zawieszony przez plecy teorban, szedł i grał sobie.

„Obaczywszy nas, przestał grać, zatrzymał się chwilkę, a potem zbliżał się ku nam jakby trochę nieśmiało.

„Spojrzałem tedy na Terleckiego i rzekłem:

— Anoż to dziwny jakiś muzykant, właśnie jakby jaki trubadur albo menestrel. — A na to Terlecki:

— Widzi mi się raczej prosty teorbanista, jakich niemało na Ukrainie; żeby jeno nie szpieg moskiewski.

„A wtem ów młodzieniec zbliżył się ku nam, a przypatrując się nam dosyć pilnie, pokłonił się, mówiąc:

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki wieków, — odpowiedziałem, pytając zaraz: — a dokąd to Pan Bóg prowadzi?

„Spojrzał tedy jeszcze raz na mnie i odpowiedział z westchnieniem:

— Ot, tak w świat, mój panie łaskawy, gdzie mnie oczy poniosą.

— Za czem-że w świat, jeśli wolno zapytać? czy za służbą, czy też za innemi sprawami?

— Ej, nie mam ja Panie spraw żadnych nigdzie, dobraby była teraz dla mnie i służba.

— A! toż o służbę teraz nie trudno. Można służyć Panu jakiemu, można też przyjąć obowiązki i lepsze niż służba Pańska, bo można służyć krajowi, do czego droga otwarta każdemu a okazya nie trudna, boć i zaraz być może. Ale powiedz-że mi najpierwej, kto jesteś?

— Jestem Panie, — rzekł na to, — syn Wójta Pilznieńskiego, a imię moje Kasperek.

— Syn Wójta Pilznieńskiego! — powtórzył z niedowierzaniem Terlecki, toż to Wójt w Pilznie musi się mieć nie źle, ba i lepiej niż inni, nie staćby go było na wyżywienie własnego dziecka?

— O! jużci go stać pewnie i dobrze, bo fortuna jest słuszna, mało nie największa na całe miasto; aleć to co innego...

— Jakto co innego? — spytałem na to, — bo Waść się jakoś tłumaczysz nieregularnie. Czemuż opuściłeś dom ojcowski? czy cię zeń wypędzono?

— A jużci pewnie, że wypędzono, bo inaczejbym tutaj nie był...

— Któż cię wypędził? czy sam ojciec?

— A jużci ojciec.

— A toż to, panie bracie, musiałeś coś grubo przeskrobać, bo ojciec nie zaraz wypędza swojego syna z domu, a jeszcze do tego tak prawie z niczem, jak owo ciebie. Cóż tam więc przeskrobałeś?

— Możem co przeskrobał, a może i nie, — odpowiedział Wójtowicz, — boć to różnie bywa na świecie, ale choćby tam

komu i co złego wydawać się mogło, ja przecie zawsze sumienie mieć będę czyste i przed Panem Bogiem się o to nie boję.

— Bywa i to czasem, — rzekłem ja na to, — że się coś komuś przywidzi, a zwłaszcza starym, którzy-to zwykle są podejrzliwi; aleć-by to była rzecz prawie cudna, żeby ojciec dla samej podejrzliwości miał aż syna wypędzić z domu. Jakoż gdyby to tylko była podejrzliwość, toby się na to dało łatwo poradzić. Powiedz mi tedy, co to było takiego, a może też i ja co poradzę. — A na to Terlecki:

— Ej! co tam Waszmość będziesz się mieszał w sprawy cudze; mamy my nasze ważniejsze na głowie. — Powiedz-no nam raczej, panie Wójtowicz, co się tam dzieje w Pilznie? Czy prawda, że tam Moskwy jak pszczół w ulu?...

— O! bodaj i nie więcej! Pół regimentu piechoty już stoi w mieście, a jeszcze wciąż nadciągają drudzy.

— A skąd-że ciągną?

— Wszystko to od Tarnowa.

— A Konfederaci dawno tam byli?

— Trzy dni temu było ich jeszcze kilkunastu z pułku Pana Rogalińskiego, ale na wieść o Moskwie, wyszli natychmiast z miasta.

— A nie wiesz Waść, dokąd poszli?

— Poszli gdzieś w tę stronę, pewnie do Pana Sawy.

— Jakto? albo Pan Sawa tutaj?

— Pan Sawa jest stąd o półtorej mili w Jodłowej, tam stoi obozem, o czem też wszyscy wiedzą i tak się spodziewają, że albo on tu na Moskwę teraz uderzy, albo może i Moskwa rzuci się ku niemu."

Na tem się kończy ten drugi fragment. Snadź na więcej nie starczyło panu Nieczui już głosu. Miał się on dopiero odezwać raz jeszcze zgrzytem w „Tece Nieczui". Zamiaru pisania dalszego tej powieści zaniechał Kaczkowski, czy to z braku odpowiednich informacyj, co do braci Rogalińskich, których w liście się domagał, czy też z braku zapału dla sprawy Konfederacyi Barskiej, którą widocznie surowo oceniał.

Oprócz prośby o informacye, co do tej zamierzonej powieści, wyraził Kaczkowski jeszcze inną, ściśle osobistą, prośbę do Rogalińskiego, w przytoczonym powyżej liście. Jak już wspomnieliśmy, sprawa jego w tym czasie, wskutek odwołania się, miała być rozstrzygniętą w Trybunale najwyższym w Wiedniu. — Kaczkowski obawiał się złego obrotu sprawy, że w Wiedniu wyrok wyższego

sądu krajowego potwierdzą i że dla niego pozostanie „przykra alternata, t. j. albo siedzieć, albo podawać o łaskę Cesarską". Otóż w takim razie Kaczkowski sądził, że mógłby mu być pomocnym hr. Starzeński[1]) i prosił Rogalińskiego o wstawiennictwo. Użalając się, że posłowie polscy nic dla niego uczynić nie chcieli, „uważali bowiem, że toby ubliżało ich stanowisku, gdyby się o tak małą rzecz, jak jego wolność, udawali do Cesarza" — i skarżąc się dalej, że z 72 założycieli „Głosu", którzyby mogli także interweniować skutecznie, zostało tylko dwóch przy nim: ks. Adam Sapieha i Rodakowski, dodaje: „Sapieha do Cesarza iść nie mógł, bo od czasu deputacyi jest tam nie dobrze widziany i tylkoby mógł sprawę popsuć — a Rodakowski za mało ma wpływu, aby mógł innych pociągnąć za sobą..."

W dalszym ciągu pisze: „Adam Sapieha i Rodakowski pojadą wtedy (t. j. w czasie, gdy sprawa rozstrzygać się będzie) do Wiednia, ale oni sami u dworu nic nie zrobią. Co inni wtedy zrobą? co zrobi X. Leon Sapieha? nie wiem: ale nie mogę się po nim niczego spodziewać, bo on, jak najlepiej położony u dworu, mógł i teraz wszystko sam zrobić — a nic nie zrobił, chociaż ja dobrze karku za niego nadstawiałem, kiedy szło o wybory. Skrzyński wpadł, jak kamień w wodę i ani wiem, co się z nim dzieje. Inni to samo. Jest to zresztą położenie takie, że u Cesarza tylko tacy coś mogą wyjednać, którzy tam mają wzięcie. Stąd jestem zdania, iż niemało by w takim razie mógł być pomocnym Starzeński. On i sam ma pozycyę po temu i potrafi wpływ wywrzeć na drugich... Dlatego prosiłbym Cię, ażebyś był łaskaw przy sposobności, objaśniwszy Starzeńskiego, o co rzecz idzie, wyrozumieć z niego, czy w danym razie byłby skłonnym do takiej instancyi, czy nie?"

Jak już powyżej zaznaczyliśmy, wiedeński trybunał najwyższy złagodził karę więzienia na lat dwa. — W tym czasie jednak zdrowie Kaczkowskiego zaczęło szwankować. Estreicher zanotował w swoich zapiskach:

„Utył ogromnie w więzieniu. Doktor lękał się puchliny." Przytem dodaje: „Pisze dzieje spisków w Galicyi, ale to mu nie

[1]) Prawdopodobnie Kazimierz, tajny radca, pułkownik, członek dożywotni Izby Panów, regimentarz pułku Krakusów. Przez swoją babkę Maryannę z Rogalińskich, żonę Piotra Starzeńskiego, córkę zaś Filipa Rogalińskiego, łowczego Pilzneńskiego, był Kazimierz hr. Starzeński spokrewniony z Rogalińskimi. Dlatego też zapewne prosił Kaczkowski Rogalińskiego Wincentego o to wstawiennictwo.

idzie, bo jest rozdrażniony. Ciągle się boi, aby mu nie wzięto fotelu i kanapy, bo nie wolno ich mieć. Kajdany leżą na boku, gotowe do wdziania na wypadek rewizyi. Ubior nosi aresztancki, bo raz był gwałt, gdy komisya nie zastała go ubranego po więziennemu.[1])

Mamy nadto przed sobą świadectwo lekarskie z d. 1 listopada 1862 r., które podpisał dr. Antoni de Jakubowicz, „k. k. Strafhaus-Phisicus“, i Andrzej Tang, „Strafhaus-Wundarzt“, stwierdzające, że Kaczkowski już w kwietniu zachorował na silną gastryczną gorączkę, która trwała przez trzy miesiące, a wywołała dalsze następstwa, mianowicie cierpienia żółciowe i wątrobiane, przyczem odnowiły się dawniejsze niedomagania sercowe i uderzenia krwi do głowy. Więzień cierpi przytem na bezsenność w skutek rozstroju nerwowego.[2])

Ten stan zdrowia skłonił zapewne Kaczkowskiego, że sam już wniósł prośbę do Cesarza o darowanie mu reszty kary. Już sama nadzieja ułaskawienia wpłynęła widocznie dodatnio na umysł więźnia, bo oto mamy przed sobą obszerny list jego z d. 12 listopada 1862 r., pisany z celi do Edmunda hr. Krasickiego, list pełen werwy, z którego przedewszystkiem okazuje się, że Kaczkowski nawet w zamknięciu więziennem nie był pozbawiony wiadomości ze świata. Przynosił mu je tam Włodzimierz hr. Borkowski. Kaczkowski nazywa go Miecznikowiczem.[3]) „Miecznikowicz — pisze, — który *quoique chambellan et chevalier de la Couronne de Fer*, regularnie mnie co tydzień odwiedza, powiedział mi, że projekt kupna Dubiecka rozbił się, bo Pan Alexander sam kupił Dubiecko, to bardzo ładnie, że nie wypuścił z ręki majątku, który od r. 1570 jest w ręku Krasickich, ale w tym razie byłoby było lepiej, gdyby go był wypuścił, bo Dubiecko byłoby przeszło w ręce takiego Krasickiego, po którym należy się spodziewać, że zostawi po sobie potomstwo, podczas kiedy Pan Alexander już pozostanie sterilis.[4])

[1]) Ms.

[2]) Akta sądu karnego.

[3]) Marya Włodzimierz hr. Borkowski, herbu Junosza, był synem Aloizego, miecznika koronnego galicyjskiego, i Maryanny Faustyny z Ufniarskich.

[4]) Aleksander hr. Krasicki, ożeniony z hr. Męcińską, miał tylko trzy córki: Aleksandrę hr. Konarską, Laurę 1-o voto Edwardową Dunin-Borkowską, 2-o voto Zygmuntową Lesserową i Jadwigę hr. Weissenwolfową. Kaczkowski pisząc, że pozostanie sterilis, miał widocznie na myśli potomstwo męskie.

A propos kupna i Miecznikowicz chciałby coś kupić, widać, że koleje żelazne dobrze się rentują, ale nie może nic znaleść, bo ziemia ogromnie poszła i wciąż idzie w górę. Gołuchowski zaś Der Grosse kupił od Sewerynka Borkowskiego Szuparkę za 280.000, z kosztami wyniesie to 300.000. Dzierżawa płaci 12.000, ale czystego nie pozostaje Sewerynkowi, jak 9000.

„Dzierżawa trwać jeszcze będzie 3 lata, a jeszcze i potem w Kołomyjskiem czy podobno Czortkowskiem o wiele się podnieść nie da. Ulokował więc zatem kapitał na 3, summum na 3 i pół od sta, ale tak teraz kupują zwłaszcza ci, którzy kupują dla dzieci. Niedaleko od Szuparki, w Kołomyjskiem, jest tam śliczny majątek Peczyniżyn, Bezirk i 7000 morgów z chłopami i mieszczanami, ale powiadał mi ktoś, kto zna całą Galicyę, jak własną kieszeń, że jest to majątek jeden z najpiękniejszych w kraju, niegdyś Królewszczyzna, dziś Banku. — Z Bankiem niezmiernie łatwa sprawa, bo się nie drożą i zezwalają na bardzo drobne i długie raty. Wprawdzie stamtąd do Lwowa jest dwadzieścia kilka mil, ale tyle było do niedawna i z Liska, a za kilka lat i tam kolej się zbliży. Za Peczyniżyn żądają podobno około 150.000, wartoby kiedy ze Stratyna tam zajrzeć, a gdyby się to Panu Hrabiemu podobało, to mógłbym tam przy tem, jak przy każdem kupnie od Banku być z tego względu pomocnym, że mam kogoś przy banku, przez którego bym mógł na drodze prywatnej, nawet nie podobne na innej drodze, warunki wyrobić. Może zresztą która inna z Królewszczyzn byłaby dla Michasia[1]) odpowiednia. Zdaje mi się, że wszystkie, które Bank odebrał, są do sprzedania, zwracam na to uwagę interesowanych. W tych czasach nie był u mnie nikt z ludzi takich, którychby warto zapisać. W sobotę był Xiążę Adam, który jest zdrów, do zadziwienia dla mnie, bo mi już prawie zatrważające listy pisywał z Vösslau i Wiednia. Sejm ma się już definitive zebrać 10 grudnia. Najjaśniejszy Pan już wici rozesłał. Xiążę Leon musi być w złotym humorze. Michaś zapewne się znowu na zimę pokaże we Lwowie i dobrze zrobi, bo Lwów będzie ożywiony. Zapewne płci pięknej nie braknie. Ale jabym proponował, żeby i Ignaś[2]) przyjechał i przysłuchał się obradom sejmowym; bardzo i bardzo do tego namawiam, argumentów nie powtarzam, bo sama rzecz mówi za sobą, powiem tylko krótko i z głębi serca, że jeżeli

[1]) Michał hr. Krasicki, syn starszy hr. Edmunda, ur. w r. 1836, miał więc w r. 1862 lat 26.

[2]) Ignacy hr. Krasicki, syn młodszy hr. Edmunda.

Panowie będziecie synów trzymać u siebie i chować na ojców rodziny, to naturalnie, że będą nami na wieki wieków rządzić Dzierżkowscy i Dobrzańscy. Ażeby taką młodzież pociągać ku zainteresowaniu się sprawami, róbmy, co możemy. Właśnie mówiliśmy o tem z Xięciem Adamem, zdaje się też, że na czas obrad sejmowych trochę się takiej młodzieży tu zbierze, miałby zatem Ignaś odpowiednie towarzystwo dla siebie.

„Ja niby mam teraz — pisze Kaczkowski w dalszym ciągu — jakąś dla siebie nadzieję. Przyszło tu zapytanie o mnie z Wiednia i jeszcze w przeszłym tygodniu odeszło. W kołach urzędowych sądzą, że mnie puszczą najdalej do tygodnia, ale to między nami, bo podług mnie jeszcze to bardzo wątpliwe. Nie mając robić co lepszego po długich wieczorach, układam sobie plan, co robić, jak wyjdę. Więc najpierw, ponieważ teraz już niepodobna nosić się nie po polsku, nabiorę sobie rozmaitej sajety i zwołam do siebie krawców żydków, zasadzę ich w przedpokoju i każę szyć kontusze i hajdawery. Item zawoła się żyda kuśnierza, ażeby uszył deliję i czapkę, item szewca, ażeby poszył buty. Bo kiedy ma być ubior polski, to niechże będzie robiony po polsku. Pasów reperować nie trzeba, bo jeszcze dobre. Już podczas mego siedzenia przysłano mi dwa z Podola, pomiędzy którymi jeden ma być, wedle zdania znawców, rzadkiej długości i szerokości, ale drugi jeszcze ciekawszy, bo Rodakowski powiada o nim, że jest jedwabny, a Sapieha, że lity. Tego pasa jestem więcej ciekawy niż miasta Lwowa, o którym wiem, że nie jest ani lite, ani jedwabne. Item każę zawołać rostrucharza [1]), ażeby mi koni dostarczył, bo te, które mam na folwarku, wprawdzie chodzą w powozie, ale także czasem gnój wożą. A przyznam się, że w polskich butach, na które nie można włożyć kaloszów, nie wiem, jak chodzić piechotą, chociaż możnaby się tego nauczyć od członków Rady miejskiej. Uporawszy się z tem wszystkiem, wyjadę zapewne na jakiś krótki czas do Krasiczyna, raz dla konwersacyi, a przytem dla przejrzenia kilku skrzyń papierów, uratowanych z dawnego sapieżyńskiego archiwum, które tam się znajdują. Z Krasiczyna będę próbował dojechać do Nozdrzca, ażeby Skrzyńskiego namówić, czy nie chciałby jeszcze raz wstąpić z nami do Spółki „Głosu“, nie dla wydawania dziennika, ale dla podzielenia się z Xięciem Adamem i ze mną poniesionemi przez nas stratami, choć w stosunku takim, w jakim stoi Nozdrzec cum attinentiis z jednej strony do Krasiczyna, a z drugiej do Bereźnicy.

[1]) handlarza koni.

Wprawdzie z tego drugiego stosunku wypadnie skala dla właściciela Nozdrzca nie bardzo korzystna, ale zato ja nie wymagam żadnej indemnizacyi za siedzenie w kozie, co miałoby jednakową wartość tak dla pana na Nozdrzcu, jak na Bereźnicy. Zważywszy jeszcze do tego, że Nozdrzec nawet z Bylicami i Nowosiółkami nie donosi o wiele do Krasiczyna, Łanowiec i Bilcza, a chodzi tu głównie o podzielenie straty kaucyi, którą poniósł sam Xiążę Adam, więc sądzę, że się łatwo zgodzimy, do czego nawet sam Skrzyński się był zobowiązał, ale nie wiem istotnie, dlaczego dotąd sam się z tem nie zgłosił. Już to pomiędzy nami mówiąc, panowie założyciele „Głosu“, których było 72 i sami wyborowi obywatele kraju, znaleźli się w tym wypadku wcale niewyborowo, bo od chwili gromu, który uderzył w „Głos“, właśnie i li tylko dlatego, że się składał z tylu i takich założycieli, żaden z nich ani nie spytał, kto też poniósł wynikłe straty, co jest tem więcej rażącem, ile że cała strata, bo ja, mówiąc seryo, ze wszystkiego kwituję, choć także gotówką straciłem nie mało, byłaby zapłacona, gdyby każdy dał około 100 guldenów. Dla mnie, który jeszcze wierzę w szlachtę, jest to nie do pojęcia.

„Bardzobym był rad, gdybym stamtąd mógł dojechać do Liska i do Bereźnicy, ale tę podróż trzeba będzie zapewne odłożyć do wiosny, do którego to czasu, jak mniemam, uporam się także z panem Wierzbowskim [1]). Prócz tego wypadnie mi jeszcze prawdopodobnie pojechać do Wiednia, bo sądzę, że chociażby mi opuścili te 10 miesięcy, które mam jeszcze siedzieć, to nie opuszczą skutków wyroku. A skutkiem jednym jest strata szlachectwa, o które w tym razie mniejsza, bo to, co szlachectwo było warte w obec rządu, zniosło *Gleichberechtigung*, a tego, co w obec nas warte, nie mogą mi odebrać ci, którzy mi go nie dali. O to się ani starać nie będę i nawet powiem otwarcie, że jest śmiesznością nawet odbierać jeszcze raz urzędownie szlachectwo tam, gdzie ono już urzędownie dawno zostało zniesione. Szlachectwo jest u nas dzisiaj tylko własnością rodzinną, a jako takie jest faktem, który jak z jednej strony nie potrzebuje potwierdzeń, tak z drugiej odebranem być nie może. Ale za takimi wyrokami idzie także strata praw obywatelskich, t. j., że nie można ani posłować, ani urzędować, czy to w gminie, czy w kraju, ani mieć firmy i t. d. To nudne i o to się zapewne osobno starać wypada.

[1]) Dzierżawca Bereźnicy.

„Abancourt [1]) sledzi, ale co piszą o nim, że jego proces tak prędko i tak dobrze się skończy, to wątpię, bo ja miałem tylko dwa procesy i to wątpliwe, pilnowałem biegu rzeczy tak, jak on dopilnować nie potrafi, a minęło 5 miesięcy, nim wyrok zapadł i zapadł na dwa lata. A on ma procesów 13. O amnestyi ogólnej, wiem z najlepszego źródła, że ani mowy niema. Jako redaktora Abancourta mi nie żal. Nie *par jalousie de métier*, bo to zresztą nie jest mój métier, ale raz dlatego, że bronił złej sprawy, a drugi raz dlatego, że się chwycił redaktorstwa jako interesu, co jest arcynaiwnem, a to tem więcej, że mu płacono wszystkiego 2000 florenów. Że rozumniej a nawet obowiązkiem było pilnować Łówczy, gdzie dobry dozór może przynieść nie dwa, ale 4000 florenów, to nie ulega wątpieniu. Ale mi go żal jako człowieka, który ma żonę i 7-ro dzieci. Jednak obawiam się, że mu nie pomoże ani wzgląd na to, ani jego krętarska obrona, której w tym razie nawet usprawiedliwić nie można. Rozważyłem ja te wszystkie względy wszechstronnie, nim przystąpiłem do mojej obrony, a mogę z doświadczenia zapewnić, że w takim procesie odpowiedzialny redaktor nie ma nic innego do zrobienia, jak wziąć wszystko i swoje i cudze na siebie i wszystko przyznać otwarcie. Jest to droga zarazem najczystsza i najkrótsza, a stąd i moralnie i materyalnie najkorzystniejsza; moralnie, bo przynajmniej nic się nie straci, a materyalnie, bo zawsze na czasie się zyska. Dziwi mnie, że Abancourt nie poszedł za gotowym już przykładem, ale nie byłby redaktorem adwokatów, gdyby nie kręcił."

Nadzieja, wyrażona w tym liście, nie była płonna. Najwyższem pismem z d. 8 grudnia 1862 r. darował cesarz resztę kary Kaczkowskiemu, który też natychmiast z więzienia wypuszczony został.

O tem uwolnieniu swojem pisze on d. 28 grudnia 1862 r. do generała Karola Kaczkowskiego:

„Uwolniono mnie niby skutkiem łaski, ale właściwie tylko w skutek szczególniejszej i niepraktykowanej usilnej protekcyi i opieki tutejszego Namiestnika Hr. Mensdorff-Pouilly, który wiedząc o tem, że w sprawie, za którą mnie osądzono, byłem całkiem niewinny, po prostu nie ustąpił się z Wiednia, dopóki uwolnienia nie podpisano." [2])

[1]) Franciszek Ksawery d'Abancourt, redaktor odpowiedzialny „Dziennika Polskiego", który wychodził we Lwowie od 1 października 1861 do września 1862.

[2]) Wszystkie cytowane powyżej listy do Karola Kaczkowskiego ze zbiorów rapperswilskich. Ms.

Wspomniana w przytoczonym powyżej liście do hr. Edmunda Krasickiego podróż do Nozdrzca albo nie przyszła do skutku, albo też nie odniosła rezultatu, bo jeszcze w rok potem d. 26 listopada 1863 r. Kaczkowski rozpisywał listy do akcyonaryuszów „Głosu", wzywając ich do odpowiadającej wysokości akcyj dopłaty, na pokrycie deficytu zamkniętego, a z tylu nadziejami rozpoczętego wydawnictwa. Deficyt ten, wykazany przez Radę Nadzorczą z dniem 9 lipca 1861 r., wynosił 1620 złr. Wówczas to, jak świadczy pismo Z. Kaczkowskiego, do akcyonaryuszy wystosowane [1]), książę Adam Sapieha, chcąc ratować przedsiębiorstwo od niezaszczytnego w tak krótkim czasie z braku funduszów upadku, ofiarował się wziąć je na siebie. Miało to nastąpić z dniem 1 sierpnia, — lecz tymczasem ów proces karny o zbrodnię zdrady stanu położył kres dziennikowi i unicestwił wspaniałomyślną ofertę ks. Adama Sapiehy, przy którym miało stanąć jeszcze dwóch akcyonaryuszy, jak twierdzi Kaczkowski w swej broszurze: „Rewolucyjne sądy i wyroki" [2]), nazwisk wszakże nie wymieniając.

Otóż do wykazanego podówczas deficytu 1620 złr. przybyła orzeczona wyrokiem utrata kwoty 6300 zł. z kaucyi, pożyczonej przez Spółkę od ks. Adama Sapiehy, a z doliczeniem kosztów procesowych i innych mniejszych wydatków, deficyt wzrósł do kwoty 7782 złr. Na pokrycie tego deficytu, wedle rozliczenia Kaczkowskiego, miał dopłacić książę Adam Sapieha 2096 złr., Ludwik Skrzyński 1008 złr., ks. Władysław Sanguszko 384 złr., książęta Leon Sapieha i Jerzy Lubomirski po 320 złr., hr. Jan Stadnicki i hr. Włodzimierz Baworowski także po 320 złr. Z dalszych subskrybentów 4 miało dopłacić po 160 złr., inni po 160, 96, 80, 64 i 32 złr.; 27 subskrybentów złożyć miało już tylko po 16 złr.

Dalszy wątek tej sprawy się urywa. Kaczkowski wszakże w cytowanej broszurze swojej użala się w roku 1866, że założyciele „Głosu" nie dopełnili swych zobowiązań. „Zerwali się — powiada — z wielkim ferworem do utworzenia politycznego organu, ale ten ferwor zgasł prędzej, niż się zapalił, a dziennik nie znalazł w swych twórcach tak statecznego oparcia, na jakie rachować miał prawo."

Do ostygnięcia tego ferworu jednak, kto wie, czy nie przyczynił się sam Kaczkowski, kierując dziennik na tory, zupełnie niemal odmienne od tych, na jakich widzieć go chcieli założyciele. Kierownictwo było nieudolne, w zasadach chwiejne, a przynajmniej

[1]) Ms.

[2]) Str. 8.

niewyraźne, w polemice nietaktowne, w polityce niezręczne i ryzykujące zbyt wiele bez koniecznych do tego powodów.

Bądź co bądź przedsięwzięcie to, tak ważne w życiu politycznem Galicyi, podjęte przez ludzi niepośledniej miary i najlepszych chęci, z wielkim nakładem sił duchowych i materyalnych, zwichnięte i zniweczone zostało. „Głos“, jakkolwiek wyrokiem sądowym na 3-miesięczne tylko zawieszenie skazany, zamilkł na zawsze... Czytając teraz pełne rozwagi, umiarkowania i rozumne wywody Helcla, Kazimierza Wodzickiego, Ludwika Skrzyńskiego i Seweryna Smarzewskiego, wywody wielce cenne dla charakterystyki tych ludzi i epoki, istotnie żal zbiera, że te wszystkie usiłowania poszły na marne...

Aby tę sprawę zupełnie wyczerpać, nadmienić wypada, że Kaczkowski, jdkkolwiek w przytoczonym powyżej liście do Edmunda hr. Krasickiego z r. 1862 tak solennie się zastrzega, że nie będzie się ubiegał o zniesienie skutków wyroku karnego, a mianowicie co do utraty szlachectwa, które „jest i pozostanie faktem i własnością rodzinną“, namyślił się widocznie w cztery lata później i d. 14 października 1866 r. wniósł w Wiedniu prośbę do Cesarza o powrócenie mu w drodze łaski praw szlachectwa i obywatelskich, co też nastąpiło Najwyższem postanowieniem z d. 19 grudnia tegoż roku. [1])

Siedząc jeszcze w więzieniu, nawiązał Kaczkowski korespondencyę z J. I. Kraszewskim, który podówczas był redaktorem „Gazety Polskiej“ w Warszawie. Proponował mu powieść do fejletonu, ów zdaje się „Związek braterski“, wraz ze wstępem, o którym powyżej już mówiliśmy. Proponował również przedruk „Kobiety“. Na to odpowiedział Kraszewski listem z d. 13 października 1862, w którym na wstępie przeprasza za spóźnioną odpowiedź.

„Wedle obyczaju przyjętego — pisze — list Pański musiałem udzielić i Redakcyi i właścicielowi [2]) „Gazety“. Uwierzysz Pan, gdy Mu powiem, że najmilej by nam było tak znakomttego współpracownika pozyskać. Pragniemy tego wszyscy. Co się tyczy rękopismu powieści, w dzisiejszym stanie cenzury naszej, drukowanie jej najzupełniej niemożliwe. Zadanie, treść, czas, wszystko, sama myśl Związku, czynią to niepodobieństwem. Nie wiem, czyby wstęp mógł przejść, a sam Pan najlepszym jesteś sędzią, czy oderwany stanowiłby całość zupełną, i czy byłby właściwym do fejletonu...“. „Co do „Kobiety“ — pisze w dalszym ciągu Kraszewski, — tej dwa tomy widziałem i mam drukowane w Żytomierzu, rzecz więc jest na pół znana i nie zdaje mi się, by u nas powtarzać ją można.“ [1])

[1]) Z aktów Sądu karnego.
[2]) Leopold Kronenberg.

Zdaje się wszakże, iż Kaczkowski przesyłał „Gazecie Polskiej“ korespondencye z celi więziennej, bo oto, co czytamy w liście J. I. Kraszewskiego z d. 31 grudnia 1862 r.:

„Szanowny Panie! Opuszczając Redakcyę „Gazety Polskiej“ i przesyłając Panu najszczersze podziękowanie za Jego współudział dotychczasowy, czuję się w obowiązku przesłać Mu kwartałową należność (zł. p. tysiąc) i pożegnanie.“

W przypisku do tego listu czytamy:

„Chciejcie tam wpływem swym niedopuszczać, aby szerzono pogłoski jakie niedorzeczne o mojem wystąpieniu z Redakcyi, któreby mi szkodzić mogły. Jestem znużony, potrzebuję spoczynku, a w warunkach dzisiejszych naszego dziennikarstwa nie było co robić.“

Kaczkowskiego list ten zastał już na wolności. Niezwłocznie też odpisał Kraszewskiemu, zapytując widocznie o powody ustąpienia z redakcyi „Gazety Polskiej“, na co odpowiada Kraszewski w liście z d. 3 stycznia 1863 r., o tyle ciekawym, że przedstawia w nim swoją ówczesną sytuacyę, a zarazem swoje poglądy i zapatrywania polityczne w chwili przełomowej.

„Szło mi o to głównie, Szanowny Panie Zygmuncie Dobrodzieju — czytamy tam, — aby pisma lwowskie nie szerzyły pogłosek o mojem ustąpieniu z „Gazety“ takich, któreby na mnie i tak już źle tu widzianego, nowe ściągnąć mogły prześladowania. Zresztą, co do sądu o mnie, o tem, co się uczynić dało i zrobić nie mogło, niech to już tam Bóg ma w swej opiece. Ufam w rozsądek przyszłości i sąd jej sprawiedliwy. Na nieszczęście nie mam przekonań tak skrajnych, abym z jakiemkolwiekbądź stronnictwem mógł iść w nieodłącznej parze. Stoję na stanowisku z konieczności odosobnionem i nie dziwię się nawet, że na mnie z obu stron rzucają kamieniami. Ci, co więcej chcieli odemnie stanowczości, nie znają warunków tutejszego dziennikarstwa. Co się tyczy tak zwanej demokracyi, z tą absolutnie sympatyzować rozsądnemu człowiekowi niepodobna. Naprzód nierozumiem dobrze, dlaczego demokracya ma się nawet tak nazywać; pojmuję ludzi, dążących do równouprawnienia, do stosownego udziału kraju całego, reprezen-

[1]) Ze zbiorów rapperswilskich. Ms.

towanego przez intelligencyę, w sprawach własnych, ale nierozumiem, jeszcze raz, rządów i panowania demokracyi. Z drugiej strony rewolucya w górze, czy w dole, jest dla mnie rzeczą niegodziwą, czy ją robi lud, czy rząd; drogi porządnego chodu do postępu nie są w rewolucyi, ale w rozsądnym liberalizmie. Z temi zasadami, którym kłamać nie mogę, trudno mi było spełnić, co się tam ludzie po mnie spodziewać mogli. Jestem przekonany, że wybuchami i konwulsyami nie przyjdziemy do życia: a tacy ludzie, jak Generał Ludwik [1]) i jego klika, tylko do przepaści i szału doprowadzić mogą. Tymczasem z jednej strony przewodzi u nas szał, doprowadzony do najwyższej potęgi i rozpyszniony niesłychanie, z drugiej, arbitralność; ludzie umiarkowani rozstrzeleni stoją i w kupę się zebrać nie mogą. Prawda w pośrodku, jak zawsze, ale iskry, jak w elektrycznym konduktorze, po końcach."

„Trzeba czekać, aż Opatrzność z tego zawikłania i chaosu ład wyprowadzi. Szczere i serdeczne składam dzięki za list i proszę o pamięć łaskawą. Przyjaciel i sługa *J. I. Kraszewski.* [2])

Kraszewski, chociaż ustąpił ze stanowiska naczelnego redaktora „Gazety Polskiej", nie przestał jednak interesować się jej losem i pragnął zapewnić jej współpracownictwo Kaczkowskiego.

„Obchodzi mnie jej los — pisze do niego dnia 16 stycznia 1863 r., — bom dużo życia i pracy nieuznanej i niewidocznej, dużo wreszcie boleści nieocenionych przez nikogo, zakopał w tej bibule. Czy gra warta była świecy, dziś wątpić przychodzi, gdyśmy doszli do tego, że mniej mamy niż mieliśmy, a zadanie nasze i czasu gorzej może pojmujemy wszyscy, niż przed niedawnym czasem. Z odrodzenia tego możemy popaść łatwo w śmierć gorszą niż była. W polityce, dosyć dotąd głupiej, utopiliśmy to, cośmy mieli dotąd najlepszego — literaturę, — w której trochę życia się skryło. Czy z tej toni ją wydobędziemy, teraz Bóg wiedzieć raczy. Wy tam, swobodniejsi nieco, możecie się silnie przyczynić. Pan ze swym potężnym talentem więcej niż ktokolwiekbądź. Myślmy o tem, ratujmy z ognia penaty.

„Kto wie, czy nie lepiejby nam stanąć po za szrankami jałowych politycznych bałamuctw, a zwrócić się więcej, silniej do literatury, przez którą wiele prawd wypowiedzieć się może i w one *templa serena* umysły by się wwiodły a pokrzepiły."

---

[1]) Mierosławski.
[2]) Ze zbiorów rapperswilskich. Ms.

List ten Kraszewskiego, zakończony wyrazami „szczerej przyjaźni", a tchnący niezwykłą serdecznością, jest odpowiedzią na jakiś list Kaczkowskiego, który miał być, jak pisze Kraszewski, „dowodem rzadkiej dziś przyjaźni i interesowania się". Rady, w nim zawarte, „są bardzo zdrowe". To też odczuł za to „serdeczną dla Kaczkowskiego wdzięczność" i zapewnia, że „będzie myślał o powieści i takiej, któraby się nam na co w ogóle przydała... i takiej, któraby tam u Was wyjść mogła." [1])

We Lwowie wychodziło podówczas, pod redakcyą Henryka Nowakowskiego, pismo p. t. „Goniec", w którym zamieszczał artykuły swoje także Kaczkowski i pisał sprawozdania sejmowe, jakto wynika z listu Kraszewskiego z d. 19 stycznia 1863 r.

„Proszę i obliguję co do przesyłania nam gazety „Goniec", abyś był łaskaw urządzić na nasz rachunek przesyłanie dwóch egzemplarzy „Gońca", — jeden w kopercie: W. Leopold Kronenberg w Warszawie, — drugi pod adresem moim: ulica Daniłowiczowska 619 Zapłacimy za koszta. Z „Gońca" będziemy per extensum drukować Sejm wasz, tak, jak w przeszłym roku; kwestye są w analogii z temi, jakie mogą wypaść u nas. Dobrze, by się z niemi oswajano... W sprawozdaniach swych racz uwzględnić to, że drukujemy in extenso Sejm, ale mocno potrzebujemy charakterystyki i tłumaczenia sprężyn zakulisowych, które Pan tylko nam dać możesz." [2])

Jest to ostatni list Kraszewskiego, pisany do Kaczkowskiego z Warszawy. Przebył on tam jeszcze tragiczną noc z 22 na 23 stycznia, a w dni kilka po wybuchu powstania, otrzymawszy rozkaz wyjazdu, opuścił stolicę i już 1 lutego znalazł się na bruku drezdeńskim.

Mamy jeszcze przed sobą krótki liścik Kraszewskiego, pisany już z Drezna d. 10 lutego 1863 r., a polecający opiece Kaczkowskiego p. Findeisena z Warszawy, „który jedzie do Lwowa w celu skomunikowania się z ludźmi wpływu, aby w naszem dziennikarstwie i czynnościach, o ile można, jakąś jedność i zgodność wyrobić". [3])

Czy przydała się na co p Findeisenowi opieka Kaczkowskiego, który wchodził właśnie w najkrytyczniejszą epokę swego życia. — nie wiemy. To jednak wiemy, że tej „jedności i zgodności"

---

[1]) Tamże.
[2]) Ze zbiorów rapperswilskich. Ms.
[3]) Tamże.

w dziennikarstwie nie udało się owemu wysłannikowi z Warszawy „wyrobić“.

Aby przedmiot ten, mianowicie ówczesną działalność literacką Kaczkowskiego całkowicie wyczerpać, nadmienić musimy, że wspomniany powyżej Henryk Nowakowski, redaktor „Gońca“, autor dramatu p. t. „Kasper Karliński“ i 5-aktowej sztuki p. t. „Dwa pożegnania“, wydał był w r. 1862 pismo zbiorowe p. t. „Album lwowskie“, w którem obok ustępu z poematu W. Pola „Pacholę hetmańskie“, rozprawy A. Małeckiego o „Maryi Stuart“ Słowackiego, urywku z powieści sybirskiej, wierszem, K. Ujejskiego, fragmentu z dramatu J. Szujskiego „Jerzy Lubomirski“ i w. i., znajdujemy rozprawkę Z. Kaczkowskiego p. t. „Charakter piśmiennictwa polskiego“. Sposobem pisania i tonem zbliża się ta rozprawka bardzo do streszczonego przez nas powyżej wywodu o niepożytej sile narodu polskiego. Jak w dawniejszej, tak i we współczesnej literaturze upatruje autor trzy główne, „piękne i świetne“ znamiona, a mianowicie: „chrześciaństwo, rodzimość i obywatelskość“. Do tych cech przybyło w czasach ostatnich czwarte znamię: „boleść“.

Cały ton tej rozprawki, niezwykle łagodny, słodki a pełen entuzyazmu, jaskrawo odbija od „zgrzytów krytycznych“, jakich nie szczędziło przedtem i potem pióro Kaczkowskiego, zwłaszcza gdy mu przyszło wydawać sądy o literaturze współczesnej. Niewątpliwie praca ta powstała, wraz z rozprawą o „duchu polskiego narodu“, za kratą więzienną...

VII.

(Działalność Kaczkowskiego po wyjściu z więzienia w r. 1863. — Komitet „Sapieżyński“ Galicyi wschodniej. — Komitet miejski. — Pierwsze oskarżenia przeciw Kaczkowskiemu. — Jego wizyty u dyrektora Policyi Hammera. — Śledzenie Policyi Narodowej. — Zeznanie „Kruka“. — Projekt założenia Biura prasowego i wydawnictwa organu Rządu Narodowego. — Wyjazd Kaczkowskiego do Krakowa i Wiednia. — Denuncyacye. — Pisma hr. Mensdorffa-Pouilly i radcy Namiestnictwa Summera. — Niedokładne tłumaczenie tych dokumentów w „Wydawnictwie Materyałów do Historyi Powstania“. — Cyfry, mające oznaczać nazwisko Kaczkowskiego. — Zeznania Twardzickiego czy też Twardowskiego. — Potworne pogłoski i plotki we Lwowie. — Raport urzędowy dr. Lutostańskiego, dyrektora Policyi Narodowej. — Powrót Kaczkowskiego do Lwowa. — Cofnięcie poręki za bezpieczeństwo osobiste Kaczkowskiego. — Skład sądu. — Opinia dr. Maurycego Kabata. — Postępowanie zaoczne. — Równość głosów. — Przeważa głos przewodniczącego. — Wyrok „banicyi“. — Rząd Narodowy kasuje ten wyrok jako nielegalny i „brzydki“. — Podejrzana autentyczność „klucza“, za pomocą którego odczytać miano Kaczkowskiego nazwisko. — List Kaczkowskiego, pisany na wyjezdnem ze Lwowa i z kraju. — Przybycie do Wiednia. — Rozczarowanie. — Opinie Grocholskiego i Skorupki. — Rekurs Kaczkowskiego do Rządu Narodowego w Warszawie. — Wyjazd do Paryża. — Zachowanie się Hotelu Lambert. — Opinia generała Zamoyskiego. — Pierwsze kroki w dziennikarstwie francuskiem. — Tęsknota do kraju. — Rząd Narodowy w Warszawie nakazuje złożenie nowego sądu w Paryżu. — Trudności, brak dokumentów. — Zabiegi Kaczkowskiego o zwołanie tego sądu. — Władysław Majewski. — Książę Adam Sapieha. — Kurzyna. — Pisma emigracyjne w tej sprawie. — Polemika. — Pozwolenie powrotu do kraju i pasport. — Zniechęcenie, a przytem plany na przyszłość. — Wydanie broszury: „Rewolucyjne sądy i wyroki“. — Gotowość do kompromisu z Dobrzańskim. — Przyjazd do Lwowa. — Zabiegi o mandat poselski. — Niepowodzenie. — Wyjazd ponowny za granicę. — List Żaboklickiego (Majewskiego). — Wznowienie sprawy z r. 1863 przez „Wydawnictwo Materyałów do Historyi Powstania“. — Głos prof. dr. Ksawerego Liskego: „W imię

prawdy". — Odpowiedź Kaczkowskiego. — Jego sytuacya finansowa. — List adwokata Ludomira Lewandowskiego, odnoszący się do procesu z r. 1863 i udziału w nim K. Ujejskiego.

Szybkim krokiem zbliżamy się do najbardziej tragicznej, przełomowej chwili w życiu Zygmunta Kaczkowskiego.

Wprost niemal z celi więziennej, okryty żałobą po śmierci matki, wpadł on w wir działań, wywołanych wybuchem powstania w Królestwie. Jakie były zapatrywania Kaczkowskiego na sprawę owego powstania, określa on w swej broszurze „Rewolucyjne sądy i wyroki" [1]). Twierdzi on tam, że zdaniem jego ówczesnem było, aby Galicya, dając pomoc silną i energiczną, przedewszystkiem materyalną, powstaniu w Królestwie, zajęła sama takie stanowisko, ażeby rząd austryacki nie mógł mieć żadnej wątpliwości, iż powstanie nie wkroczy w granice Austryi, a roboty przygotowawcze nie zaburzą w niczem spokoju publicznego. — Wedle dalszych twierdzeń Kaczkowskiego, w tej broszurze wypowiedzianych, zaszły na tym punkcie różnice zdań między nim a ks. Adamem Sapiehą, różnice, które stały się powodem odstrychnięcia się jego od wszelkiego wspólnictwa z księciem i z komitetem t. zw. „Sapieżyńskim". — To spowodowało zawiązanie — z inicyatywy, jak utrzymuje Kaczkowski, jego własnej — komitetu Miejskiego, który miał wciągnąć do współpracy żywioł mieszczański, pominięty zupełnie przez komitet pierwszy. Do tego komitetu, wedle „Pamiętników F. Ziemiałkowskiego" [2]), weszli: jako prezes Rodakowski, a jako członkowie: kuśnierz Armatys, krawiec Bałutowski, blacharz Piątkowski i Zygmunt Kaczkowski.

Wyrodziły się też od razu pewne sprzeczności i antagonizmy pomiędzy obu komitetami, a wreszcie w komitecie, który przybrał nazwę „komitetu Galicyi wschodniej", postanowiono — jak twierdzi Ziemiałkowski — „ażeby odjąć Kaczkowskiemu i jego przyjacielowi Z. Rodakowskiemu wszelki pretekst do pokątnych agitacyi" [3]), przybrać do składu tego komitetu Kaczkowskiego i Bałutowskiego. Kaczkowski był tam przez jakiś czas używany w komisyi ekspedycyjnej; o organizacyi kraju, ani o Rządzie narodowym nie mógł nic wiedzieć, chyba ze stosunków z komisarzami rządowymi i od Rodakowskiego, gdy ten został członkiem Komitetu Galicyi Wschodniej, na miejsce uwięzionego Ziemiałkowskiego.

[1]) str. 13 i nast.
[2]) Część III., str. 72, 73.
[3]) l. c., str. 110. I dalej str. 174, 175, 166—177.

Nie naszą jest rzeczą kreślić tu dalszy tok wypadków, znanych zresztą zkądinąd dokładnie. Nadmieniamy tylko, że ów komitet miejski z nakazu Rządu Narodowego rozwiązany został, a Kaczkowski wyjechał na wieś i dopiero w sierpniu 1863 r. powrócił do Lwowa. Już podówczas zaczęły o nim obiegać najfatalniejsze wieści, które na gruncie ogólnej niechęci do Kaczkowskiego przyjmowały się łatwo. Widzieliśmy już, że osoba jego, zdaniem księcia Adama Sapiehy, była przeszkodą w werbowaniu w sferze ziemiańskiej akcyonaryuszów dla „Głosu"; Kaczkowski sam przyznaje, że jego wyjście z więzienia powitał jedyny dziennik polityczny, wychodzący podówczas we Lwowie, „uszczypliwym przycinkiem" [1]). Z cytowanych przez nas rękopiśmiennych notatek K. Estreichera, odźwierciedlających opinię ówczesną, okazuje się, jak dalece niepopularnym, a nawet nie lubionym, był Kaczkowski, którego „nikt nie żałował", gdy go na więzienie skazano. Wytworzyła się przeto atmosfera, zgoła mu nieprzyjazna, a wśród niej najpotworniejsze plotki, o które w czasach gorączki rewolucyjnej tak łatwo, znajdowały wiarę. — Oburzenie rosło tembardziej, że Kaczkowski nie zdawał się liczyć z tym nastrojem umysłów i nie zmieniał swego, dość wystawnego trybu życia. Równocześnie rozeszły się pogłoski o założeniu biura prasowego i zamiarze wydawania we Lwowie dziennika politycznego, któryby był organem Narodowego Rządu. Jednym z kierowników owego biura i członkiem redakcyi tego dziennika miał być Kaczkowski, co w sferach dziennikarskich, już i tak Kaczkowskiemu niechętnych, wywołało jeszcze większe rozgoryczenie; mówiono bowiem, że owo biuro prasowe ma nadzorować i nadawać kierunek prasie galicyjskiej.

Posypały się teraz do dyrektora policyi narodowej rozmaite doniesienia, oskarżające Kaczkowskiego, że zbyt często uczęszcza do dyrektora policyi rządowej Hammera. Nakazano baczne śledzenie. Kaczkowski, w cytowanej swej broszurze, użala się też, że już wówczas zauważył ustawioną straż w sieniach tego domu, w którym mieszkał. Na uwagę Kaczkowskiego, uczynioną w tym względzie, Policya narodowa straż tę cofnęła, ale śledzenie nie ustało. Jak świadczy Ziemiałkowski w swych „Pamiętnikach", nastawiono podmieszczanina lwowskiego, niejakiego Matuszyńskiego [2]), aby Kaczkowskiego bacznie śledził.

[1]) „Rewolucyjne sądy i wyroki", str. 10.
[1]) W „Wydawnictwie materyałów" Tom II., str. 98 nazywa się on Julian Małuszyński, należący do Policyi narodowej.

Aby całą tę sprawę, dość zawikłaną, jak można najprzejrzyściej przedstawić, będziemy odtąd kolejno przytaczać wszystkie, czynione Kaczkowskiemu, zarzuty, a przy każdym z nich podawać jego własną obronę i inne usprawiedliwiające go opinie.

Otóż pierwszy zarzut odnosi się do owych wizyt Kaczkowskiego u dyrektora policyi Hammera.

Ziemiałkowski w „Pamiętnikach“ swych pisze:

„Po godz. 10-tej wieczorem Matuszyński spotkał Kaczkowskiego, wychodzącego z policyi. Udał, że go nie widzi. Ale Kaczkowski sam go dopędził i powiedział, że wraca od Hammera, z którym ma stosunki od czasu redagowania „Głosu“, aby czegoś się dowiedzieć. Otóż dowiedział się, że ma być rewizya na Chorążczyźnie za tajną drukarnią. Policya narodowa już o tem wiedziała i przeniosła drukarnię do Matuszyńskiego. Matuszyński zdał sprawę Bogdanowiczowi, który nakazał pilnie śledzić Kaczkowskiego.“

Mamy nadto przed sobą protokolarne zeznanie, spisane ręką naczelnika Policyi narodowej, Lutostańskiego [1]), a podpisane przez jakiegoś „Kruka“, prawdopodobnie tegoż samego Matuszyńskiego, czy Małuszyńskiego.

Zeznanie to, wydrukowane w III. tomie „Wydawnictwa materyałów do historyi Powstania“ [2]), podaje mniej więcej podobne szczegóły, co powyżej przytoczona relacya Ziemiałkowskiego, z tem jednak uzupełnieniem, że Kaczkowski, dogoniwszy owego „Kruka“ pewnego wieczora w listopadzie o godzinie 9-tej około Dyrekcyi Policyi, przy ul. Długiej, miał powiedzieć mu bez zapytania: „Byłem u Dyr. Policyi Hamera, starając się o pasport do Włoch, ponieważ muszę wyjechać dla poratowania zdrowia. Hamer jest człowiekiem gadatliwym, zastałem u niego na stole mnóstwo papierów z pieczęciami urzędowemi, przyczem mówił, że Organizacya robi mnóstwo głupstw przez wypuszczanie druków. Hamer mówił mi, że koło mnie kręci się drukarnia i że Pan wie najlepiej, że była u Czaplickiego na Zielonem, następnie przeszła na Chorążczyznę, a w końcu była pod opieką Stokow(skiego).“ W tem miejscu zauważałem, że Hamer, opowiadając Z. Kaczkowskiemu, miał rzeczywiście ślad. Następnie Z. Kaczkowski oświadczył, że Hamer

[1]) Ze zbiorów rapperswilskich: „Archiwum Rządu Narodowego“, „Sprawa Zygmunta Kaczkowskiego“. Ms.

[2]) str. 280.

zna organizacyi [1]) członków i wymienił Wnęt(owskiego) [2]), Stok(owskiego), Piątk(owskiego), czwartego nie pamiętam. Następnie oświadczył mi Z. Kaczkowski, że Hamer mówił mu jeszcze cztery nazwiska osób nie tutejszych, które zapomniałem. Pożegnawszy się ze mną — zeznaje dalej ów „Kruk“, — wrócił się Z. Kaczkowski nazad i powiedział mi, że zna skład policyi narodowej i sam ostrzeże przed możliwą rewizyą, mówiąc, że Tad. Rom(anowicz) jest dyrektorem policyi, na co ja wiedząc, że tak nie jest, przyznałem mu słuszność; on zaś zapytał się nagle, czy rzeczywiście Tad. Rom. jest Dyrektorem Policyi. Po tej rozmowie rozeszliśmy się. Na dowód prawdziwości mego zeznania własnoręcznym podpisem stwierdzam. Z. Kaczk., wychodzącego z Policyi, raz tylko widziałem, a nie więcej.“

Na tym dokumencie jest podpis, dość niezgrabnie, sztywnemi literami nakreślony: „Kruk“.

„Wydawnictwo materyałów“, w rozdziale IX. p. t. „Sprawa Zygmunta Kaczkowskiego“ [3]), podaje te same szczegóły, dodając, jakoby Kaczkowski „w ciągu jednego tygodnia był cztery razy u dyrektora policyi Hammera“ i powołuje się na zeznania owego Matuszyńskiego, czy Małuszyńskiego, gdy z protokołu, podpisanego przez „Kruka“, okazuje się, że tenże widział Kaczkowskiego tylko raz jeden, wychodzącego z dyrekcyi Policyi.

Pominąwszy tę sprzeczność, był to pierwszy fakt, który rzucił cień podejrzenia na postępowanie Kaczkowskiego.

W odwołaniu się do Rządu Narodowego w Warszawie, przeciw wyrokowi sądu lwowskiego, pisze Kaczkowski:

„Kiedym pod koniec listopada w sprawie uwolnienia powstańca Juliusza Drohojowskiego, na prośbę jego przyjaciół był zniewolony pójść kilka razy do dyrektora austr. Policyi Hammera. Policya Narodowa zaraz pochwyciła tę okoliczność i rozsiała po mieście, jakobym miewał konferencye z Hammerem“. [4]) W innem miejscu, a mianowicie w liście do Z. Miłkowskiego z Paryża dnia 26 grudnia 1890 r. [5]), twierdzi znów Kaczkowski, że „nigdy do

[1]) W „Wydawnictwie materyałów“ wydrukowano nie „organizacyi członków“, lecz „z organizacyi członków“, co stanowi pewną różnicę.

[2]) l. c., wydrukowano zamiast: „Wnęt.“ — „Przeb.“, zatem zupełnie inne nazwisko w temże samem zeznaniu owego „Kruka“!

[3]) str. 98.

[4]) Ze zbiorów Tad. Smarzewskiego. Ms. Także Akta rapperswilskie. Ms.

[5]) Akta rapperswilskie. Ms.

Policyi nie chodził". Snadź wyszło mu z pamięci, co przed dwudziestu kilku laty pisał w swem odwołaniu się do Rządu Narodowego w Warszawie. — O Policyi narodowej rozpisuje się długo i szeroko, a bardzo ujemnie, w broszurze swej „Rewolucyjne sądy i wyroki" [1]), a także w rozmaitych swoich listach. „Narodowa policya — pisze, — złożona z urzędników jawnych i tajnych i z całej chmury urzędowego i dobrowolnego szpiegostwa, szpiegowała przed wszystkiem innem członków organizacyi białej, potem wysłanników Rządu Narodowego i przybywających kuryerów, potem członków swych własnych, a wreszcie wszystkich mieszkańców... Narodowa Policya stroiła najwszeteczniejsze kabały przeciwko organizacyi białej, jedynemu naówczas ciału, które jeszcze mogło jakąkolwiek pomoc przynieść powstaniu; podkopywała potwarzami i oszczerstwami znaczenie i wpływy najpoważniejszych ludzi; wślizgiwała się w domy i pomiędzy rodziny, burząc żony przeciwko mężom, synów przeciwko ojcom, sługi przeciwko panom, podwładnych przeciwko ich przełożonym, zaszczepiając wszędzie nieufność i podejrzliwość, rozbudzając złości i nienawiści i rozprzęgając wszystkie węzły społeczne."

Choćbyśmy nawet przypuścić chcieli pewną, wywołaną rozgoryczeniem, w tych słowach przesadę, choćbyśmy nie chcieli przywiązywać wagi do tego, co podaje Kaczkowski w wspomnianej broszurze swojej, że naczelny komisarz Rządu Narodowego na całą Galicyę, urzędujący w Krakowie, znany pod nazwiskiem Żaboklickiego, a właściwie Władysław Majewski, żalił się na postępowanie Policyi narodowej, która go zasypuje oszczerczemi denuncyacyami [2]), to wszakże dalszy tok tej sprawy ujawnia jaskrawo wielką lekkomyślność w igraniu z czcią ludzką.

D. 3 grudnia 1863 r. Kaczkowski, wezwany przez owego Żaboklickiego w celu porozumienia się co do założenia biura prasowego i zamierzonego wydawnictwa dziennika, wyjechał do Krakowa. Ziemiałkowski w „Pamiętnikach" swoich [3]) podaje, że równocześnie, oprócz tych dwóch spraw, wyłoniła się trzecia. Mianowicie dowiedziano się w Krakowie, że w Wiedniu bawi jakiś agent londyńskiego towarzystwa fałszerzy rossyjskich banknotów, który za bezcen te banknoty sprzedawał. Komisarz Rządu narodowego (Majewski - Żaboklicki), po naradzie z przybyłym także do

[1]) str. 37.
[2]) str. 43.
[3]) Część III., str. 174, 175, 166, 177.

Krakowa Zygmuntem Rodakowskim, postanowił dać Kaczkowskiemu kilka tysięcy złr. i wysłać go do Wiednia, celem zakupienia tych banknotów.

W tej właśnie chwili doręczono Majewskiemu denuncyacyę narodowej Policyi lwowskiej, rzucającą na Kaczkowskiego podejrzenie, jakoby wyjechał do Krakowa w celu porozumienia się z tamtejszemi władzami rządowemi, a mianowicie radcą Dworu Merklem. Członkowie Rządu Narodowego P(iotr) G(ross) i Z(ygmunt) R(odakowski) zawiadomili o tem doniesieniu Kaczkowskiego, który uczuł się tem mocno dotknięty, i jakkolwiek obaj wspomniani członkowie Rządu Narodowego zdawali się nie przywiązywać do tego żadnego znaczenia, to jednak Kaczkowski mówił o tem natychmiast z Majewskim, prosząc go o wyznaczenie komisyi, któraby zbadała powody tej denuncyacyi i ukarała winnych tego oszczerstwa. Kaczkowski chciał nawet natychmiast wracać do Lwowa. Jednakże Majewski był odmiennego zdania. Obiecując „zmyć głowę oszczercom", polecił Kaczkowskiemu jechać do Wiednia i nie tracić czasu w sprawach sobie poruczonych.

D. 7 grudnia Kaczkowski stanął w Wiedniu. Tu Zygmunt Rodakowski, wracający do Lwowa, doręczył mu 3000 złr. na cele podróży; tu też nadszedł na ręce Kaczkowskiego list bezimienny, ostrzegający go przed agitacyą i intrygami Policyi narodowej, zmierzającemi do postawienia go w stan oskarżenia. W parę dni później Rodakowski zjawił się znów w Wiedniu i zawiadomił Kaczkowskiego o nowych na niego denuncyacyach Policyi narodowej, mianowicie, jakoby on wyjechał do Wiednia w celu porozumienia się z Ministrem Policyi.

Denuncyacye te opierały się na rzekomo przychwyconych dwóch listach własnoręcznych Namiestnika hr. Mensdorffa-Pouilly do Ministra Policyi w Wiedniu Mecsery'ego i radcy Namiestnictwa lwowskiego Summera do dyrektora Policyi w Krakowie, Englischa.

Pierwsze pismo podajemy w odpisie tekstu niemieckiego, przechowanego w zbiorach rapperswilskich („Archiwum Rządu Narodowego 1863) p. t. „Sprawa Zygmunta Kaczkowskiego". Tekst ten brzmi:

Euer Exzellenz! Aus der Aufzeichnungen, welche ich Euer Exzellenz gestern mitzutheilen die Ehre hatte, ist zu entnehmen, dass der Schreiber derselben in der Lager der Weissen fortan gehört. Nichtsdestoweniger kann man sich von seiner Tätigkeit die besten Dienste versprechen. Ob und wieferne seine Berührung mit Regierungskreisen mit Wissen

seiner Parteigenossen stattfindet, bleibt selbstverständlich noch dahingestellt. Er reiset heute nach Kraków wird dort Materialien und Memoiren über die ortlichen Kreise ergänzen und sodann sich nach Wien begeben. Dort wird er sich Euer Exzellenz vorstellen. Ich halte es daher für nothwendig seinen Namen in der Beilage Euer Exzellenz mitzutheilen.

Den 1 Dezember 1863.

Nie wchodząc na razie, w jaki sposób to pismo przychwycono i o ile to było rzeczą możebną, na pierwszy rzut oka uderza, że tłumaczenie tego aktu, tak zawarte w relacyi Dyrektora lwowskiej Policyi Narodowej (dr. Lutostańskiego), wystosowanej do Komisarza Pełnomocnego Rządu Narodowego w Galicyi (Władysł. Majewskiego), jakoteż podane w „Wydawnictwie Materyałów do Historyi Powstania 1863—1864“ [1]), jest nietylko nie ścisłe, ale nawet zupełnie błędne w ustępach, które powyżej w tekście niemieckim podkreśliliśmy.

Mianowicie ustęp pierwszy, poczynający się od słów: „Aus der Aufzeichnungen...“, brzmi w przekładzie Dyrektora Policyi narodowej i w „Wydawnictwie materyałów“:

„Z tego, co miałem honor udzielić Waszej Excelencyi, okazuje się, że autor odtąd należy do obozu białych“, — gdy ściślejszy przekład tego ustępu powinienby opiewać: „Z zapisków, jakie wczoraj miałem zaszczyt W. E. udzielić, powziąć można, że ten, który je (owe zapiski) spisał, należy odtąd (czy też: nadal) do obozu białych.“

Po zaznaczeniu, że „niemniej można sobie z jego działalności obiecywać najlepszych usług, dalszy ustęp rzekomego pisma Namiestnika, poczynający się od słów: „Ob und wieferne...“, znowu błędnie przetłumaczony, opiewa w relacyi dyrektora Policyi narodowej:

„Styczność jego z kołami rządowemi, jak się samo przez się rozumie, nie jest wiadoma jego stronnikom i pozostaje niepostrzeżona.“

W ściślejszym przekładzie ustęp ten brzmiećby powinien:

„Czy i o ile styczność jego z kołami rządowemi dzieje się z wiadomością członków jego stronnictwa, pozostaje, jak to się samo przez się rozumie, rzeczą jeszcze niewyjaśnioną“ (niewiadomą).

---

[1]) Tom II., str. 95. Tom III., str. 274.

Ta sprzeczność tłumaczenia Policyi narodowej z tekstem niemieckim jest już uderzająca.

Ale najbardziej uderzającym jest błąd w przekładzie bezpośrednio następującego ustępu.

Tekst niemiecki, poczynający się od słów: „Er reiset heute nach Krakau“, w przekładzie dr. Lutostańskiego brzmi: „Jedzie dziś z Krakowa (zamiast do Krakowa — nach Krakau) i ma uzupełnić materyały do pamiętników okręgów zachodnich.“

Dosłowny przekład tekstu niemieckiego powinienby brzmieć: „On jedzie dziś do Krakowa i tam ma uzupełnić materyały i memoryały o kołach miejscowych.“ Niema tu ani wzmianki o jakichkolwiek „pamiętnikach okręgów zachodnich“. W tekście niemieckim czytamy wyraźnie o „Materialien und Memoiren über die ortlichen Kreise“. — Wprawdzie przepisywacz tekstu nie umieścił kresek nad literą *o* w wyrazie „örtlich“, najwidoczniej jednak następną literę: *r* napisał gotykiem niemieckim r, czem uniemożliwił przypuszczenie, że ten wyraz ma brzmieć östlich (wschodni), zgoła zaś nieprawdopodobnem jest, aby mógł brzmieć westlich — zachodni.

Przekład więc wyrazu „Schreiber“ na „autor“ i tłumaczenie słów: „über die ortlichen Kreise“ na „okręgi zachodnie“ są zupełnie dowolne i z gruntu fałszywe.

Rzecz przytem szczególna, że „Wydawnictwo materyałów“ ani w II., ani w III. tomie, rozpisując się o „Sprawie Zygmunta Kaczkowskiego“, podało tylko wadliwe tłumaczenie niemieckiego tekstu, a tego tekstu oryginalnego, na którym właściwie oskarżenie oprzeć się było powinno, wcale nie zamieściło!

Podobnież przekład: „er reiset heute nach Krakau“ — na: „jedzie dzisiaj *z* Krakowa“, wprowadza nowe bałamuctwo. Dyrektor Policyi narodowej, w wspomnianej relacyi swej, donosi stanowczo: „Z. K. wyjechał ze Lwowa 3 grudnia“, — zatem Namiestnik nie mógł, jeśliby Kaczkowskiego miał na myśli, donosić Ministrowi Policyi, że dzisiaj, t. j. 1 grudnia — data pisma — wyjeżdża *z* Krakowa, czy też *do* Krakowa. Kaczkowski, wyruszywszy ze Lwowa, miał zamiar jechać tylko do Krakowa i dopiero w Krakowie skłonił go Majewski do podróży do Wiednia. Wyjechał on tam dopiero 6 grudnia, i to nie sam, lecz w towarzystwie dwóch członków Rządu Narodowego: Piotra Grossa i Zygmunta Rodakowskiego.

Każdy nieuprzedzony, w obec tych sprzeczności i porównawszy oryginalny tekst niemiecki rzekomo przychwyconego pisma

Mensdorffa, z tłumaczeniem polskiem, zupełnie wadliwem, byłby się zawahał i raczej przypuścił, że to pismo nie może odnosić się do Zygmunta Kaczkowskiego. Gorączkowe naprężenie owych czasów nie dało snadź możności do rozwagi, skontrolowania tekstu oryginalnego z tłumaczeniem, oraz ścisłego porównania dat. Zwrócono natomiast całą uwagę na kartkę z cyframi, dołączoną do owego pisma Namiestnika.

Otóż na kartce tej były wypisane cyfry:

779. — 125. 110. 127. 125. 139. 113. 129. 106.

Ziemiałkowski w tomie III. „Pamiętników“ swoich [1]) podaje, że kurjer, wysłany ze Lwowa do Krakowa z doniesieniem o podejrzeniach, na Kaczkowskim ciężących, miał pośpieszyć do Wiednia, aby odczytać owe cyfry przez ujętego za 2000 złr. urzędnika głównego urzędu telegraficznego.

Dr. Lutostański, naczelnik lwowskiej Policyi narodowej, w relacyi swej, przesłanej Pełnomocnemu Komisarzowi Rządu Narodowego Władysławowi Majewskiemu, podaje, że cyfry te odczytano za pomocą tajnego klucza Ministeryum Policyi, „przez osobę wiarogodną“ i znaczą one:

Vernehme. — K, a, cz, k, o, w, sk, i.

Zagadkowy jest pierwszy, oznaczony jedną tylko cyfrą, wyraz: „Vernehme“, a zadziwiać może, iż nie podano natomiast imienia owego „zdrajcy“. Przecież w takich wypadkach skrupulatna ścisłość w oznaczeniu osoby jest niezbędnym warunkiem. Trudno niemal przypuścić, aby Namiestnik nie zastosował się do tego warunku, zwłaszcza w tym wypadku, ileże nazwisko: Kaczkowski, nie należy do niezwykłych i mogło być noszone przez więcej osób.

Równocześnie miano przychwycić inne jeszcze pismo radcy Namiestnictwa lwowskiego Summera do dyrektora policyi w Krakowie Englischa, datowane, podobnie jak pismo Namiestnika, 1-go grudnia 1863.

Pismo to w odpisie tekstu oryginalnego, niemieckiego, przechowanego w zbiorach rapperswilskich [2]), brzmi:

Ein Herr der hier recht gute Dienste leistet, soll heute nach Krakau reisen, wo er sich einige Tage dort aufhalten dürfte. Mittheilungen, die er an Sie zu machen in die Lage kommen würde, wird er begreiflich vermitteln. Die Briefe an Sie werden

[1]) l. c.
[2]) Archiwum Rządu Narodowego. Ms.

an Markus Lischt post. rest. adressirt sein. Ich bitte von Mittwoch Abends auf die Post zu schicken. Haben sie ihm eine Mittheilung zu machen, so wollen Sie es auf demselben Wege unter Adresse Franz Reitberg post. rest. Krakau thun. Nur wenn es unumgänglich nothwendig wäre, wird der Ungenannte persönlich bei Ihnen erscheinen, doch auch dann erfährt Niemand ausser Ihnen, welche Geschäfte ihn nach Krakau führen.

Następuje data: 1 grudnia 1863 i podpis: *Summer.*

Tłumaczenie polskie tego pisma, niezbyt także ścisłe, lecz przynajmniej tekstu nie wypaczające, dołączone do relacyi naczelnika lwowskiej Policyi narodowej, przesłanej komisarzowi pełnomocnemu Rządu Narodowego w Krakowie, wydrukowane też zostało w „Wydawnictwie materyałów“ w tomie II. i III. [1]). Nazwisko tylko owego Markusa, brzmiące w tekście niemieckim Lischt, napisano w polskim przekładzie Licht; w ostatnim ustępie, wyrazy w liczbie mnogiej: „welche Geschäfte“, przetłumaczono w liczbie pojedyńczej: „jaki interes“. Wreszcie jest w tym przekładzie dodatek, umieszczony już po podpisie Summera: „Zniszcz pan ten list“, którego to dodatku niema wcale w tekście niemieckim.

Dyrektor Policyi narodowej, przesyłając oba powyższe pisma do Krakowa, dodaje w swej relacyi, że przychwycone korespondencye dołącza „w odpisach wierzytelnych, sporządzonych w obecności czterech zaprzysięgłych świadków“.

W zbiorach rapperswilskich [2]) znajduje się nadto protokół, ręką dr. Lutostańskiego spisany, który brzmi:

„Ja, niżej podpisany, potwierdzam w zupełności prawdziwość co do treści depesz, a mianowicie Namiestnika do Ministra Policyi i Radcy Namiestnictwa Sumera do Dyrektora Policyi w Krakowie. Depesze te były w mojej obecności przyniesione przez Adama i otworzone, przepisane i napowrót przez Ad. zapieczętowane. — Prawdziwość urzędowego pochodzenia również potwierdzam, przytem oświadczam, iż wewnątrz w depeszy Namiestnika do Ministra Policyi znajdował się alegat, na którym znajdowały się też same cyfry, które mi były przedstawione, bez punktów, z małymi przedziałami. — Nad cyframi temi nie było żadnych znaków. Czy wyrażenie: „Zniszcz Pan ten list“ było zamieszczone na końcu depeszy, nie przypominam. Nazwiska cyfrowanego nie znałem, ani odkryć nie mogłem. Dopiero na drugi dzień Adam powiedział mi,

[1]) l. c.
[2]) Archiwum Rządu Narodowego.

że cyfry wiadome oznaczają Zygmunta Kaczkowskiego. Zeznanie to mogę stwierdzić przysięgą.

Dnia 4 stycznia 1864 r.

Lwów. — (podpisano) *Twardowski.*

Obok pieczęć: Rząd Narodowy. Naczelnik Okręgu Lwowskiego.

Zeznanie powyższe, zamieszczone w tomie III. „Wydawnictwa materyałów“ [1]), nosi podpis nie Twardowski, lecz Twardzicki, a spisane zostało widocznie *ad usum* sądu dopiero 4 stycznia, gdy owe depesze urzędowe przychwycone być miały w pierwszych dniach grudnia, bo już 13-go tego miesiąca Zygmunt Rodakowski zawiadomił Kaczkowskiego w Wiedniu o nowych denuncyacyach Policyi narodowej, nadeszłych do Krakowa, a opartych na owych przychwyconych pismach. Zarazem zawiadomił Rodakowski Kaczkowskiego, że Rząd Narodowy wzywa go, aby wrócił do Lwowa i stanął tam przed sądem, który miał być złożony przez członka Wydziału Rządu Nar., Piotra Grossa.

Wówczas Kaczkowski — jak twierdzi w swej broszurze — zwrócił Rodakowskiemu, dane sobie na cele dalszej podróży, 3000 złr. Ziemiałkowski w III. części „Pamiętników“ swoich utrzymuje, że Kaczkowski zwrócił tylko część otrzymanych pieniędzy. Bądź co bądź sprawa weszła teraz na niebezpieczną drogę sądu.

Co jednak miano przedstawić temu sądowi, jako dowody zdrady?

1. Protokolarne zeznanie jakiegoś „Kruka“, który raz jedyny miał widzieć Kaczkowskiego, „wychodzącego z bramy Policyi“.
2. Znane nam już pisma urzędowe Namiestnika Mensdorffa do Ministra Policyi, oraz radcy Namiestnictwa lwowskiego, Summera, do dyrektora Policyi Englischa w Krakowie.
3. Zeznanie protokolarne jakiegoś Twardowskiego, czy Twardzickiego, odnoszące się do pism owych. Zeznanie to jest tem charakterystyczne, że nie wspominając nic o tem, co podaje w raporcie swym dr. Lutostański, mianowicie o sporządzeniu odpisów wierzytelnych tych dokumentów w obecności czterech zaprzysiężonych świadków, mówi natomiast o jakimś „Adamie“, który miał te depesze zkądsiś przynieść, a po ich przeczytaniu i przepisaniu napowrót zapieczętować.

---

[1]) str. 281.

W III. tomie „Wydawnictwa materyałów“ [1]) przytoczone są jeszcze, jako odnoszące się do tej sprawy, telegramy rządowe, rzekomo odszyfrowane, w liczbie 8, a mówiące o jakimś „wysłanniku“, który ze Lwowa do Krakowa i Wiednia odjechał, i o jakimś „pamiętniku“, który Namiestnik galicyjski miał już czytać [2]). Dnia 13 grudnia Namiestnik hr. Mensdorff telegrafuje do Ministra Policyi w Wiedniu, z prośbą, by osobie, która „pamiętnik“ doręczyła, wypłacić drugą ratę 2100 złr., i z doniesieniem, że za „wiadomym wysłannikiem“ wyprawiono do Wiednia „bardzo niebezpiecznego“ Abancourta. O czem ostrzega się „wysłannika“ i zaleca mu się wielką ostrożność. Niech w Wiedniu długo nie bawi. — Minister Policyi telegrafuje również 13 grudnia do Namiestnika we Lwowie, że jakiś „Heubauer, major w pensyi,“ pragnąłby otrzymać w Wiedniu drugą ratę honoraryum za dzieło, które w całości doręczył. Na co Namiestnik dnia następnego odpowiada: „Proszę honoraryum wypłacić.“ — Telegram Ministra Policyi, tym razem bez daty, donosi Namiestnikowi, że „H. „za granicą“ ukończył dodatek do dzieła, już Ministrowi doręczonego, i dodatek ten opatrzył potrzebnemi adnotacyami“. Zamyśla on dodatek ten osobiście Ministrowi doręczyć i odebrać honoraryum 2000 złr. — Namiestnik (telegramem również bez daty) odpowiada, że należałoby H. uwiadomić, ażeby do Wiednia nie przyjeżdżał, gdzie go jeszcze śledzą. Jeżeli zaś jest w ...., tam go u siebie zatrzymać i po wypłaceniu honoraryum skłonić do natychmiastowego powrotu do .... „Zresztą — dodaje Namiestnik — byłoby wskazane, dodatek ten przez wysłannika zażądać i przez takowego przesłać honoraryum. Przyjazd jego tutaj (do Lwowa) nie jest wskazany i dla niego bardzo niebezpieczny.“

Tekstu niemieckiego owych telegramów „Wydawnictwo“ nie podaje. Niepodobna więc skontrolować, o ile polskie tłumaczenie jest wierne. Na pierwszy rzut oka uderza wątpliwość, czy przytoczone powyżej telegramy mogą się do Kaczkowskiego odnosić? Wszak w nich jest mowa o jakimś „pamiętniku“, zapewne memoryale, o jakiemś „dziele“, napisanem i doręczonem przez jakiegoś „majora w pensyi“ Heubauera, wreszcie o jakimś „dodatku“ z adnotacyami, sporządzonym przez H. „za granicą“... „Kto jest ów Heubauer?“ z podziwem zapytuje Kaczkowski Z. Miłkowskiego“ w li-

---

[1]) str. 278, 279, 280.

[2]) Dyrektor Policyi we Lwowie d. 9 grudnia 1863 r. do Ministra Policyi w Wiedniu.

ście z d. 26 grudnia 1890 r.[1]). „Przecież ja, u diabła, nigdy nie byłem majorem!“ Stwierdzoną natomiast jest rzeczą, że Kaczkowski od 7 do 15 grudnia przebywał bez przerwy w Wiedniu, zkąd wyjechawszy na dni kilka do Wenecyi, już 19 grudnia był w Wiedniu z powrotem. O tym wyjeździe swym ze stolicy naddunajskiej doniósł Kaczkowski naczelnemu komisarzowi Rządu Narodowego w Krakowie, Majewskiemu, z tem, że jest w każdej chwili gotów stanąć przed sądem, prosi jednak o zapewnienie, że wobec rozpuszczonych oszczerstw o „zdradzie“, nie zostanie skrytobójczo zamordowany. Nie żąda zresztą listu żelaznego. Wystarczy mu zawezwanie od jednej ze znajomych mu osób. Na odpowiedź czekać będzie dni ośm, a jeśli do tego terminu odpowiedzi nie otrzyma, to i bez zapewnienia przybędzie do Lwowa.[2])

Dopiero d. 25 grudnia otrzymał Kaczkowski, bawiący ciągle w Wiedniu, od jednego z przyjaciół telegram, ażeby nazajutrz wieczornym pociągiem, nie wcześniej i nie później, wyjechał z Wiednia i 27-go jawił się we Lwowie. Tak się też stało.

Tymczasem we Lwowie obiegały już od dni dziesięciu najpotworniejsze o Kaczkowskim pogłoski. O „zdradzie“ jego mówiono, jako o rzeczy niewątpliwie stwierdzonej, a w końcu rozpuszczono wieść, jakoby on w Wiedniu, czy z obawy przed sądem, czy w skutek wyrzutów sumienia, — zastrzelił się.

Niestety, echo tych plotek odbiło się w raporcie urzędowym dyrektora Policyi narodowej, który przytacza w nim doniesienie Jana Dobrzańskiego, redaktora „Gazety Narodowej“, noszące wszystkie znamiona plotki. Dobrzański donosi mianowicie, że „Z. K. był w Wiedniu, lecz d. 6 grudnia powrócił do Krakowa i ma zamiar wyjechać do Warszawy“. Jak widzieliśmy, Kaczkowski dopiero 7 grudnia przybył z Krakowa do Wiednia, a o zamiarze podróży do Warszawy nie było wcale mowy. Dalej oświadczył Dobrzański, że ma „pewną wiadomość o telegramie hr. Mensdorffa do Englischa, aby oddał Zygm. Kaczkowskiemu pakiet zapieczętowany do rąk własnych. Englisch miał odpowiedzieć, iż Z. K. pokwitował go z odbioru. — Kaczkowski miał mówić (o powstaniu), że ten motłoch rozpędzą, powstanie upadło, jeszcze kilku łajdaków się bije. — Tak oświadczył Kolankowski“.

Doniesienie to człowieka, który powszechnie był znany, jako zacięty wróg Kaczkowskiego, a od całego lat szeregu knuł przeciwko niemu intrygi, tem bardziej nie zasługiwało na wiarę, że w samej swej treści, samą już formą: „miał odpowiedzieć“, „miał mówić“, wyraźnie świadczyło o swej plotkarskiej naturze.

[1]) Akta rapperswilskie. Ms.
[2]) „Rewolucyjne sądy i wyroki“, str. 47, 48, 49.

Ale nawet i w raporcie dr. Lutostańskiego znajdujemy rzeczy, mające również ten charakter. Podawszy mianowicie wiadomość o przychwyconych pismach Namiestnika Mensdorffa i radcy Namiestnictwa Summera, „dopełnia ten fakt“, mający dowodzić stanowczo, „że Kaczkowski jest szpiegiem“, przytoczeniem następujących okoliczności:

„Z. K. prowadził bardzo wykwintne życie, nie mając stałego utrzymania, ani też takich dochodów, któreby mogły starczyć na utrzymanie koni, metresy, na letnie pomieszkanie, wykwintny ubiór i grubą grę w karty. Okoliczność ta sprowadziła na niego podejrzenie, że źródła dochodów jego muszą być bardzo mętne, w skutek czego był wzięty pod nadzór policyjny od miesiąca.“ Nadzór ten zdołał sprawdzić tylko tyle, że Kaczkowski był raz — jak zeznał ów zagadkowy „Kruk“, — a jak twierdzi dr. Lutostański, „cztery razy“ u dyrektora policyi Hammera, — o czem, jak i o powodach tych wizyt, mówiliśmy już powyżej.

Co do owych zarzutów, podniesionych w relacyi naczelnika Policyi narodowej, zauważyć należy, że jeden z nich tylko jest niewątpliwie prawdziwy, do którego zresztą sam Kaczkowski niejednokrotnie się przyznawał, że będąc wielkim amatorem koni, utrzymywał ich nieraz po nad potrzebę[1]). Rzeczą natomiast jest mocno wątpliwą, czy Kaczkowski utrzymywał podówczas jaką metresę. Kronika skandaliczna lwowska wymienia wprawdzie z tych czasów parę nazwisk kobiet, które zaszczycały swymi względami urodziwego autora; były to wszakże kobiety tej sfery, które „utrzymania“ nie potrzebowały i których „sentyment“ nic wcale Kaczkowskiego kosztować nie mógł. Były to stosunki „z miłości“, nie z interesu; o wydatkach zatem na „utrzymywanie metresy“ w ścisłem tego słowa znaczeniu, nie mogło być mowy. Mówiono natomiast podówczas, i to dość głośno we Lwowie, o stosunku miłośnym Kaczkowskiego z pewną, znaną z urody, damą lwowską, dość zamożną, a w każdym razie nie potrzebującą „utrzymania“, która w owym krytycznym czasie miała mu nawet towarzyszyć w kilkudniowej wycieczce z Wiednia do Wenecyi. — Choćby ta wersya była nieprawdziwa, lubo nie jest pozbawiona cech prawdo-

[1]) List do imiennika Karola Kaczkowskiego z d. 1 lipca 1862. Zbiory rapperswilskie. Ms.

podobieństwa, to faktem jest niezbitym, że Kaczkowski, dzięki swej niepospolitej urodzie, nie potrzebował rujnować się na tego rodzaju wydatki i mógł korzystać ze względów pięknych dam, nie wydając grosza.

Równie nieuzasadnionym jest zarzut co do „letniego mieszkania". Kaczkowski umieścił był wówczas swego chorego ojca na przedmieściu lwowskiem i tam go odwiedzał, sam mieszkając w mieście.

Nie jest też ścisłem twierdzenie dr. Lutostańskiego, że Kaczkowski nie ma „stałego utrzymania". Jakkolwiek bowiem po wyjściu z więzienia mógł być w trudnych stosunkach finansowych, to wszakże był jeszcze zawsze właścicielem Bereźnicy, a dochody literackie mógł także mieć znaczne.

Te uprzedzenia przeciw osobie Kaczkowskiego musiały być bardzo silne, skoro w trzy dni zaledwie po jego powrocie do Lwowa, padł pierwszy strzał. Pisze o tem Kaczkowski w liście do Seweryna Smarzewskiego, — w liście, niestety, bez daty i uszkodzonym:

„Sprawa moja — donosi — przeszła dziś w nową, a wcale niespodziewaną, fazę. Oto przed godziną otrzymałem intymat od Dyrektora Narodowej Policyi, mocą którego z rozkazu Władzy wyższej Policya cofa dane mi bezpieczeństwo mojej osoby, — a to jakoby z tego powodu, że się przejeżdżam po mieście i przez to drwię sobie z opinii publicznej. Wniosek ztąd zdaje się oczywisty, że mniemane dowody przeciw mnie muszą być diablo słabe, — a więc zamiast zwołania sądu próbują zmusić mnie albo ażebym wyjechał, albo szukał bezpieczeństwa osoby u austryackiego rządu. Nie potrzebuję Ci dodawać, że nie zrobię ani jednego, ani drugiego, ale co teraz robić, decyzya niełatwa. Twoja roztropna rada byłaby mi tem potrzebniejsza w tym razie..." Dalszy ciąg tego listu oddarty. [1])

Charakterystyczny ten dokument, czyli, jak go nazywa Kaczkowski, intymat Policyi narodowej brzmi w całej osnowie:

Lwów, dnia 30 grudnia 1863.

Dyrektor Policyi narodowej
w mieście Lwowie.

Do obywatela Zygmunta Kaczkowskiego.

Zwierzchnia władza narodowa, zaręczając za bezpieczeństwo osoby Obywatela sądziła, iż postępowaniem swojem staniesz się

[1]) Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego.

godnym prawa obrony, jakie Ci pozostawiła. Tymczasem dochodzą mnie z różnych stron wiadomości, iż Obywatel, będąc widocznie pozbawionym godności osobistej, — ujawniasz się naumyślnie przebieganiem ulic w kabryoletach, obrażasz Obywatel ludność wszelkich stanów i wyznań — a ciągłem ujawianiem się nadrwiwasz sobie z opinii, jaką o Tobie powzięto.

Pod wrażeniem bardzo przykrego uczucia, z polecenia władzy wyższej, zmuszony jestem oświadczyć Ci obywatelu, że ta sama władza, która sądząc powolnie dotychczas czuwała nad bezpieczeństwem twej Osoby — od dnia dzisiejszego przestaje ręczyć za Twoje osobiste bezpieczeństwo.

L. S. Agencya Policyi Narodowej M. Lwów. [1])

Na zarzut przejeżdżania się „w kabryoletach" odpowiada Kaczkowski w swojej broszurze [2]): „Każdemu było wiadomo, że jak długo mieszkałem we Lwowie, zawsze codziennie o godzinie 2-giej z południa jeździłem z mego mieszkania w mieście do mego ojca, mieszkającego na przedmieściu, na obiad, i zawsze w dnie słotne przysyłano po mnie powóz zakryty, a w dnie pogodne otwarty."

Ale jakże, pytamy, pogodzić tę ujemną opinię o życiu Kaczkowskiego, wyrażoną w urzędowym raporcie dyrektora Policyi narodowej, ze stanowiskiem w społeczeństwie ówczesnem, jakie mu tenże raport równocześnie przyznaje, i zaufaniem, jakie widocznie był sobie zdobył.

„Znany powieściopisarz — pisze dr. Lutostański, — b. redaktor „Głosu", agent dyplomatyczny we Lwowie, dyrektor Biura korespondencyjnego, najdokładniej obznajomiony ze wszystkimi stosunkami, przed którym nikt nie robił żadnej tajemnicy — Kaczkowski pod względem politycznym był uważany za człowieka pewnego i był nawet członkiem byłej Ławy Lwowskiej [3]) pozostawał w stosunkach ścisłych z dr. Rodakowskim, z ob. Armatysem, Gromanem, w ogóle ze wszystkimi członkami b. komitetu Galicyi wschodniej. Dr. Rodakowski, po przyjeździe z Warszawy, szczegółowo obznajomił go ze stosunkami Rządu Nar., o czem Kaczkowski głośno mówił przed osobami sobie znajomemi." [4])

[1]) Ze zbiorów Rapperswilskich. Ms.
[2]) str. 55.
[3]) Komitetu miejskiego.
[4]) Ze zbiorów rapperswilskich. Archiwum Rządu Narodowego 1863/4. Dyrektor Policyi narodowej we Lwowie do Obyw. Komisarza pełnomocnego Rządu Nar. w Galicyi. Ms.

I oto ten sam człowiek, uważany za „zupełnie pewnego“, przed którym „nikt żadnej tajemnicy nie robił“, zatem szczycący się zaufaniem powszechnem, zostaje nagle „stanowczo“ uznany za szpiega. Do zdobycia owego zaufania nie przeszkadzało mu dotychczas ani utrzymywanie koni i metresy, ani letnie mieszkanie i ubiór wykwintny. To wszystko stało się dopiero ciężkiem przewinieniem, gdy przychwycono owe „dokumenty urzędowe“, które, jak to widzieliśmy, zupełnie dowolnie i błędnie przetłumaczono. Od tej chwili wszystko szło na karb owego „szpiega“. To, że władze austryackie były dokładnie poinformowane o robotach politycznych Galicyi, że wiedzą naprzód, kto, w jakim charakterze i pod jakiem nazwiskiem ma przyjechać, że hr. Mensdorff prędzej niż Rząd Nar. wiedział o planach powstańczej władzy wojskowej, że przedsięwzięto aresztowanie tej lub owej ważniejszej osobistości, to wszystko — tym razem bez żadnych na to dowodów — przypisuje dyrektor Policyi narodowej — Kaczkowskiemu!

Nie bez słuszności też powiada Kaczkowski w broszurze swej [1]): „Pod wrażeniem ciągle zalatujących najpotworniejszych plotek, zdrowy rozsądek całkiem się zaćmił, a jego miejsce zajęły najdziwaczniejsze fantasmagorye, które jedna za drugą na mnie wieszano. I tak: któremuś z rodaków odmówiono audyencyi u Cesarza, to ja zrobiłem. Jedna władza zatelegrafowała do drugiej, że ktoś wyjechał do Włoch: to o mnie był ten telegram. Inna władza telegrafuje do Wiednia, ażeby kogoś pilnować: to mnie każą pilnować. Hr. Mensdorff otrzymuje list z Wiednia: to list odemnie. Gdyby przypadek był zrządził, żeby któryś z rodaków został był wtedy uwięziony w Krakowie lub Wiedniu: nie wiem, zaprawdę, coby już ze mną zrobiono.“

Wśród takiej atmosfery, przesiąkniętej plotkarstwem, atmosfery iście gorączkowej, zebrał się sąd, mający orzekać o winie Kaczkowskiego i wydać wyrok.

Jaki był skład tego sądu?

Relacye o tem nie są dokładne. W III. części „Pamiętników“ swoich podaje Ziemiałkowski, że w skład tego sądu weszli: Hefern, Tadeusz Wiszniewski, Stanisław Polanowski i major Żurakowski. Przewodniczył naczelnik lwowskiego Okręgu, znany pod imieniem „Szczęsnego“.

W II. tomie „Wydawnictwa materyałów“ w rozdziale Pamiętnika Strusia, zatytułowanym „Sprawa Zygmunta Kaczkowskiego“, czytamy natomiast (str. 94): „Na polecenie Rządu Nar. ustanowiona została komisya, składająca się z Ludwika Skrzyńskiego, Matczyńskiego, Kornela Ujejskiego, Szczęsnego Karpińskiego i nareszcie znakomitego prawnika i adwokata Kabata.“

[1]) str. 49.

Kaczkowski, w tylokrotnie cytowanej broszurze swej, członków sądu po nazwisku nie wymienia, powiada tylko, że „o ile trafnym był wybór dwóch z tychże sędziów, ludzi poważnych, spokojnych i zdolnych, tak również niewątpliwie nietrafnym był wybór takiego żołnierza, który przy całej prawości charakteru, w całej Polsce jest znany z niepowściągliwej popędliwości charakteru, — a jeszcze mniej trafnym mógł być nazwany wybór takiego poety, który niedawno przedtem bledniejący blask swego imienia odświeżył publicznie rzuconem na jednego z najzasłużeńszych rodaków oszczerstwem.“ Kaczkowski ma tu oczywiście na myśli Kornela Ujejskiego.

Jak już powyżej zaznaczyliśmy, Kaczkowski, wyjeżdżając z Wiednia do Wenecyi d. 15 grudnia, zawiadomił o tym wyjeździe swoim naczelnego komisarza Rządu Nar. w Krakowie, z tem, że w każdej chwili gotów jest stanąć przed sądem, a już d. 27 grudnia przybył do Lwowa, gdzie sam i za pośrednictwem przyjaciół usiłował przyśpieszyć zwołanie sądu. Wszystkie jednak usiłowania były daremne. Członek Wydziału Rządu Nar. Piotr Gross, który miał się zająć złożeniem sądu, prosił o cierpliwość i przyrzekał, że do dni ośmiu sprawa będzie załatwiona. Mijał jednak dzień po dniu bezskutecznie.

Że tak było istotnie, świadczy list Kaczkowskiego z d. 7 stycznia 1864 r. [1]) do Seweryna Smarzewskiego, donoszący mu, że już wczorajszego dnia pisał do Grossa. „Prosiłem — opowiada — o przyśpieszenie sądu, bo to już 14 dni mija, jak przyjechałem, i trudno mi zaprawdę pojąć, jak Władza, jeżeli ma jakiekolwiek poczucie władzy, może dopuścić się takiej zwłoki, w sprawie tak kipiącej. Ale do tego momentu nie mam żadnej odpowiedzi. — Bądź tedy łaskaw — jeżeli to uznasz za stosowne — widzieć się z Grossem i przedstawić mu tę rzecz tak, jak ją pojmujesz. — Mnie się zdaje, że możeby nawet dobrze było, zwrócić jego uwagę na to, że takie postępowanie nietylko że jest po prostu nieludzkie, ale lada dzień zmusi mnie do szukania sobie satysfakcyi na drodze innej, którąto drogą nie mogłoby być nic innego, jak pociągnięcie do osobistej odpowiedzialności tych osób, które, zawe-

[1]) Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

zwawszy mnie przed sąd i sądu nie zwoławszy, tak bolesny żart sobie zrubiły ze mnie. Sam będziesz wiedział najlepiej, co wypada powiedzieć już teraz, a co jeszcze zamilczeć, dlatego na tej wzmiance przestaję."

Odtąd dzień każdy był nową torturą dla zagrożonego sądem w tak bolesnej sprawie. Jednego dnia, gdy doniesiono mu, że „w samem kółku oskarżycieli zwrot już nastąpił" i cytowano zdania ludzi, wymieniając nazwiska, otucha rosła [1]). To znowu niepokojem go napełniła wizyta Fr. Ksaw. d'Abancourta [2]), który przybył wprawdzie „skruszony a zarazem zgorszony, że dotychczas nic nie zrobiono, lecz nie przekonany, bo mu powiedziano, że nazwisko niewątpliwie odczytano. On jednak sam powiada, że tylko jest mocny *concursus circumstantiarum*, ale nic więcej".

Te ciągłe zwłoki i półsłówka, tu i ówdzie rzucane, musiały w niemałe rozdrażnienie wprowadzać „podsądnego", którego wcale nie przysłuchiwano, ani też zawiadomiono go, na podstawie jakich dokumentów oparto straszliwe oskarżenie o zbrodnię przeciw własnemu narodowi — o szpiegostwo! — Nalegania Kaczkowskiego i jego przyjaciół o zwołanie sądu i ogłoszenie wyroku nie odnosiły żadnego skutku. Franciszek Ksawery d'Abancourt, jakkolwiek „nie przekonany", podjął się wszakże pośrednictwa i zakomunikował członkom Wydziału Rządu Nar. prośbę Kaczkowskiego, by mu przedstawiono zapytania na piśmie, a on na nie równie pisemnie odpowie. Nie zgodzono się wszakże i na to, — a tymczasem agitacya przeciw Kaczkowskiemu, uliczna i kawiarniana, przybierała na sile i oczywiście wpływać musiała na opinię sędziów, ujętych zapewne z początku tem, że Kaczkowski powrócił i był gotów stanąć przed sądem.

Tak minęły cztery tygodnie od jego powrotu, można łatwo wyobrazić sobie, jak bardzo ciężkie dla człowieka, obarczonego tak strasznym zarzutem.

Aż nadszedł wreszcie dzień 22 stycznia 1864 r., w którym to dniu — jak opowiada Kaczkowski w broszurze swojej [3]) — wpadł jakiś młody chłopiec do pokoju jego służącego, rzucił list na stół i uciekł.

Był to wyrok, który opiewał:

---

[1]) List do Seweryna Smarzewskiego z d. 9 stycznia. Ms.
[2]) List do tegoż bez daty („wtorek, wieczór").
[3]) str. 70.

Nr. 144.

Naczelnik Okręgu Lwowskiego

do Zygmunta Kaczkowskiego.

W Imieniu Rządu Narodowego.

Zwołany Sąd przez Rząd Narodowy do ocenienia przestępstwa, jakiego dopuściłeś się przeciwko swemu własnemu Narodowi jako Szpieg, orzekł większością głosów, iż jesteś winnym zbrodni, a ponieważ kodeks karny, przez Rząd Narodowy wydany, oznacza na podobną zbrodnię karę wygnania z kraju, uwiadamiając o tem Zygmunta Kaczkowskiego, rozkazuję mu w dniach czterech Polskę opuścić.

Lwów, dnia 21 stycznia 1864.

Pieczęć, na której wokół herbu napis: Rząd Narodowy. Naczelnik Okręgu Lwowskiego.

Jakaż to była większość, która w owym sądzie potępiła Kaczkowskiego?

W „Pamiętnikach" Ziemiałkowskiego [1]) znajdujemy o tem następującą relacyę:

„Kaczkowski wrócił do Lwowa, a wyrobiwszy sobie dla bezpieczeństwa swej osoby straż policyjną, zażądał od „Szczęsnego" [2]) przesłuchania. Sąd w obawie, że Kaczkowski wyda Hammerowi nazwiska sędziów, odrzucił prośbę, a uważając dowody za dostateczne, postanowił wydać wyrok. Prezydujący przedłożył pytania: „winien czy niewinien". Hefern i Żurakowski wyrzekli: winien. Polanowski: nie winien, a Wiszniewski, pokręciwszy się, jak diabeł w święconej wodzie, wyrzekł: nie winien. „Szczęsny" rozstrzygnął, przystępując do zdania Heferna i Żurakowskiego."

Nie wchodząc w to, czy do składu sądu należały te lub inne osoby, stosunek głosów musiał być istotnie taki, jak podaje Ziemiałkowski, a większość uzyskana została przez „derymowanie" przewodniczącego, którym, wedle innej wersyi, był Piotr Gross.

Zaznaczyliśmy już powyżej, że Kaczkowski, wyjeżdżając d. 15 grudnia z Wiednia, zawiadomił był o wyjeździe pełnomocnego komisarza Rządu Nar. w Krakowie, z tem, że w każdej chwili jest gotów stanąć przed sądem. Kaczkowski twierdzi też, że formalnego zawezwania do stawienia się przed sądem wcale nie otrzymał, że powróciwszy 19 grudnia, czekał napróżno w Wiedniu na to we-

---

[1]) Część III. l. c.
[2]) Naczelnik Okręgu.

zwanie, a nie mogąc się go doczekać, przybył dnia 27 grudnia do Lwowa.

Zapewne jednak Komisarz ów pełnomocny nie otrzymał wzmiankowanego pisma Kaczkowskiego, czy też go nie uwzględnił, bo oto w zbiorach rapperswilskich znajdujemy pismo tego Komisarza do Naczelnika Okręgu lwowskiego, datowane 20 grudnia, l. 143, następującej treści:

„Sąd na Z. Kaczkowskiego, który pomimo wezwania nie stawił się, — ma natychmiast wydać wyrok i takowy mi zakomunikować.“ [1])

Dowodziłoby to, że było jakieś wezwanie, wystosowane do Kaczkowskiego, — wezwania tego jednak nigdzie w dokumentach do tej sprawy się odnoszących, śladu niema. Sam tylko Kaczkowski, w broszurze swej „Rewolucyjne sądy i wyroki“, mówi o telegramie z 25 grudnia od jednego z przyjaciół, wzywającym go do przyjazdu do Lwowa na dzień 27 grudnia.

Bądź co bądź wyrok wydany został — wyrok zaoczny, bez przesłuchania oskarżonego. Ziemiałkowski w „Pamiętnikach“ [2]) swych twierdzi, że „wyrok ten z obszernem umotywowaniem posłano do Warszawy Rządowi Narodowemu, który zatwierdził wyrok, dyktując karę banicyi pod zagrożeniem śmierci.“

Twierdzenie najzupełniej mylne. Wyroku tego bowiem i jego umotywowania nie przesłano wcale Rządowi Narodowemu w Warszawie, który go nietylko nie zatwierdził, lecz przeciwnie, jako nielegalny, skasował, co w dalszym ciągu zobaczymy.

Komisarz pełnomocny w Krakowie dopiero d. 3 lutego 1864 zawiadomił Rząd Narodowy w Warszawie pismem do L. 77, że „Sprawa Z. Kaczkowskiego skończona. Sąd uznał go winnym zbrodni szpiegostwa, — orzeczenie to więcej na moralnem przekonaniu, jak na dowodach oparte, — i skazał go na wygnanie z kraju. — Wyrok został doręczony 21 stycznia, a osądzony 25 stycznia znikł ze Lwowa. Ponieważ pisma peryodycznego dotąd niema, — Rząd zapewne ogłosić każe w „Niepodległości“ i zadatować i Wyrok i Sąd z Warszawy, lub też udzielić mi instrukcyi, jak z ogłoszeniem postąpić należy.“ [3]).

To zatem „obszerne umotywowanie“, o którem pisze Ziemiałkowski, ogranicza się w piśmie Komisarza pełnomocnego do przy-

[1]) Ze zbiorów rapperswilskich. Ms.
[2]) l. c.
[3]) l. c.

znania, że orzeczenie oparto raczej na moralnem przekonaniu, niż na dowodach!

A i to oparcie się na „moralnem przekonaniu“, bardzo ryzykownem w tak ważnej sprawie, w której o cześć niepospolitego bądź co bądź człowieka chodziło, tem dziwniej wygląda, że nie liczyło się ono bynajmniej z fachowem zdaniem znakomitego prawnika, a powszechnie podówczas szanowanego adwokata, dr. Maurycego Kabata. — Pogląd ten, rozbierający sprawę tak ze stanowiska prawnego, jak i ze stanowiska ogólnego, politycznego, zarzuca na wstępie, że całe dochodzenie („instrukcya oskarżenia“) prowadzone było zupełnie mylnie i rozmijało się z celem. „Zamiast bowiem — pisze dr. Kabat — oskarżonego spokojnie wykluczyć od wszelkiego udziału i postąpić sobie w największej tajemnicy, stawiając go pod nadzór ludzi najzaufańszych, którzyby do niego przystęp mieli, narobiono w całej organizacyi hałasu, postawiono oskarżonego pod otwarty nadzór Policyi Narodowej i tym sposobem nietylko nie wykryto istoty czynu i nie przysposobiono dowodów, ale i jedno i drugie nawet i na przyszłość Bóg daj czy nie uniemożliwiono.“

W dalszym ciągu swego wywodu powiada dr. Kabat:

„Istota czynu wcale nie znajduje się w przedłożonych aktach i relacyach i to ani co do osoby, mianowicie: że zdradził, ani co do rzeczy: co zdradził, jakoteż istotnych dowodów niema żadnych. Są tylko poszlaki i to jednostronne, mianowicie tylko na zeznaniach wspólnika zdrady, to jest rządu austryackiego oparte; niema zaś żadnych poszlak, wypływających z własnych czynów oskarżonego. — Poszlaki uzasadniają podejrzenie, podstawą zaś wyroku być nie mogą. — Podejrzenie pociąga za sobą konieczność wykluczenia podejrzanego zewsząd, ażeby w niczem nadal nie mógł się stać szkodliwym, o ukaraniu zaś podejrzanego li na podstawie podejrzenia mowy być nie może. — Poszlaki popełnionej zdrady usprawiedliwiają jedynie pozostawienie oskarżonego w stanie oskarżenia i staranie się wszelkimi możliwymi, ale odpowiednimi sposobami o przekonanie, *że* zdradził i *co* zdradził.“

Ze względu na stosunki p o l i t y c z n e, wyraża się dr. Kabat następująco:

„Oskarżonego, chociaż najmocniej podejrzanego, bez przekonania o istocie czynu co do osoby i co do rzeczy, ukarać byłoby niesprawiedliwością, a zatem samo przez się czynem niepolitycznym. — Oskarżony jest znakomitością literacką w narodzie, którą już dla tego, ile być może, oszczędzać wypada, oczywiście tylko

co do wystąpienia z wyrokiem i karą. Tak niski upadek bowiem znakomitości narodowej tylko w ostatecznej konieczności narodowi ogłosić i przed Europą wyjawić można. Dla tego też także należy się surowa nagana tym, którzy oskarżonego używali lub do tajemnic przypuszczali, bo wszyscy bardzo dobrze wiedzieli o niemoralnem życiu jego, a rzecz prosta i oklepana, że gdzie niema cnoty domowej, publicznej także nie będzie."

Ten ustęp ostatni świadczy wymownie, na jak bezstronnem stanowisku stanął w opinii swej dr. Kabat, przypuszczając nawet już z góry prawdziwość zarzutów co do niemoralnego życia Kaczkowskiego. O tej bezstronności poglądu zacnego mecenasa lwowskiego świadczy też ostatni ustęp jego pisma, w którym dr. Kabat nie wyklucza możliwości, że Kaczkowski ma stosunki z władzami austryackiemi i zostaje pod ich opieką. Ustęp ten brzmi:

„Wykonanie i ukaranie w obec Rządu Austr. ogólnie i co do dalszego istnienia organizacyi narodowej w szczególności, najnieszczęśliwsze musiałoby sprowadzić skutki, zwłaszcza, że oskarżony najniezawodniej pod szczególną opieką Rz. Austr. zostaje i jako przypuszczony do tajemnic narodowych, jest w stanie wskazać palcem stosunki i osoby, tak, że każdy zamach na niego byłby Rz. Austr. ze wszech miar pożądany, dla tego też wszelkie stawianie oskarżonego przed oblicze sądu w celu przekonania go lub zyskania zeznań i odkryć jest zupełnie niemożliwem."

Na podstawie tych wszystkich motywów i względów dr. Kabat stawia następujący wniosek:

„Wypada przeto zostawić sprawę w zawieszeniu, a oskarżonego i wszystkich, którzy o tem z urzędu wiedzieć nie potrzebują, w zupełnej niewiadomości o dalszym obrocie jego sprawy, — postawić go oraz pod najściślejszy nadzór zaufanych osób, któreby do niego przystęp mieć mogły i przeto byłyby w stanie skutecznie go nadzorować i wyśledzić tak stosunki jego do Rz. Aust., jakoteż dowody przez niego a może i innych[1]), już dopełnionej lub dopełniającej się zdrady." [2])

Z uczciwego tego, prawdziwie obywatelskiego i bezstronnego głosu dr. Maurycego Kabata, do uszu aeropagu sądowego doszedł snadź tylko ten ustęp, w którym powiedziano, że niemożliwą jest rzeczą „stawianie oskarżonego przed oblicze sądu". Nie stawiono

[1]) Wyrazy podkreślone w oryginale.
[2]) Ze zbiorów rapperswilskich. Ms.

go też przed nim i o nic nie pytano, lecz bez żadnego względu na opinię doradcy prawnego, wydano wyrok — zaoczny.

Jak dalece się myli w swych „Pamiętnikach" Ziemiałkowski, podając, że wyrok lwowski przesłany był Rządowi Narodowemu w Warszawie, który go zatwierdził i sam podyktował karę banicyi, pod zagrożeniem śmierci, — dowodzi najlepiej następujące pismo Rządu Narodowego.

W odezwie tego Rządu Nr. 287 i 292, z d. 29 lutego 1864, znajduje się następujący ustęp, przesłany Wacławowi Przybylskiemu, Komisarzowi Nadzwyczajnemu, po za granicami zaboru rossyjskiego:

„Z. Kaczkowski został okrzyczany w Galicyi przez władze tameczne za szpiega, potem osądzony zaocznie i skazany na wygnanie. Sąd odbył się bez prokuratora, niewiadomo po jakiemu, wyrok brzydki — bo albo Z. K. szpieg i w takim razie niema dla niego innej kary, jak kara śmierci, albo niewinny człowiek: wtedy należało go oczyścić ze wszystkich zarzutów. Wyrok kasujemy, jako bezprawny. Na ten jedyny raz Sąd naznaczamy w Paryżu. Załączamy tu appellacyę Kaczkowskiego, chociaż Sąd ma sądzić nie w skutek appellacyi, ale jako pierwsza i ostatnia instancya. Wam poruczamy złożenie sądu z osób prawych, ale energicznych. Liczba członków ma być jak najmniejsza. Dobrze byłoby, aby I. Banzemer do składu sądu należał. Wy macie być Prezesem, Ruprecht prokuratorem. Dowody każemy z Galicyi co najprędzej wysłać. W każdym razie bądźcie z Kaczkowskim bardzo ostrożni.

„Niech Was Bóg strzeże i dopomaga."

Pismo to zaopatrzone jest pieczęcią Rządu Narodowego, a także pieczęcią sekretarza Rządu Nar. [1]).

Oprócz tego Rząd Narodowy w Warszawie wysłał d. 1 marca 1864 r., Nr. 306, do Komisarza Pełnomocnego w zaborze austryackim pismo, które brzmi:

„Im więcej dowiadujemy się o sądzie i przeprowadzeniu całej sprawy Zygmunta Kaczkowskiego, tem bardziej przekonywamy się, że Władze Galicyjskie sądem tym skompromitowały w najwyższy sposób samo znaczenie Władz Narodowych, Władz Polskich. Czy Z. K. zdrajca, czy też niewinny, w każdym razie dziwnie i najniedołężniej go sądzono — równie też dziwny wyrok wydano.

[1]) Ze zbiorów Bibl. Ossol. Nr. 4820.

Prócz tego przy Sądzie tym nie było Prokuratora Naszego, Sąd więc odbył się nielegalnie.

„Z tych powodów wyrok, zapadły na Obywatela Zygmunta Kaczkowskiego, podejrzanego o zdradę stanu i szpiegostwo, niniejszem kasujemy, — sam zaś Sąd, w tej sprawie odbyty, rozkazujemy uważać za żaden i niebyły.

„Dla rozpatrzenia i osądzenia sprawy Ob. Zyg. Kaczkowskiego, z powodu wyjątkowych i ważnych okoliczności, na ten raz ustanawiamy Sąd doraźny w Paryżu — mający go sądzić bez appellacyi, stanowiąc przy tym Sądzie oddzielnego Prokuratora Naszego *ad hoc*.

„Polecamy zatem Wam, obywatelu, niniejsze postanowienie Nasze oznajmić Ob. Z. K. i polecić mu stawić się w jak najprędszym terminie przed Sądem doraźnym w Paryżu, wszystkie zaś papiery i dowody, tyczące się sprawy jego, przesłać do Paryża na ręce Komisarza Naszego przy Komisyi Długu Narodowego Ob. Karola Ruprechta.“ [1])

Pieczęć z napisem wokół herbu: Rząd Narodowy. Równość, Wolność, Niepodległość.

W tomie III. „Wydawnictwa materyałów“ znalazło pomieszczenie zamiast powyższego, ściśle urzędowego orzeczenia, obszerne pismo Rządu Nsrodowego do Komisarza pełnomocnego w Galicyi (Majewskiego), mające charakter poufnej informacyi, w której obok wielu innych szczegółów, tyczących się rozmaitych spraw i osób, jest także ustęp, odnoszący się do sprawy Kaczkowskiego. Pismo to wydrukowano bez żadnej daty. Niewątpliwie jednak jest wcześniejsze od podanego wyżej orzeczenia urzędowego, a z „Pamiętnika pułkownika Strusia“ i z „Przypisków“ do tegoż „Pamiętnika“, zamieszczonych w tomie II. „Wydawnictwa materyałów“ [2]), da się stwierdzić, że jest to „Odezwa Rządu Narodowego“ z d. 14 lutego 1864 r., zatem pisana jeszcze przed stanowczem skasowaniem wyroku. — Pułkownik Struś nie chciał przytoczyć tego dokumentu dosłownie, przyznając, że jest „napisany ostro i namiętnie“. — Pomimo tego, odezwę tę pomieszczono w III. tomie rzeczonego wydawnictwa, bez żadnego komentarza!

Otóż ustęp tej „odezwy“, odnoszący się do sprawy Kaczkowskiego, brzmi, jak następuje:

---

[1]) Ze zbiorów rapperswilskich. Ms.

[2]) str. 100 i XIII.

„Jakoż z całego przebiegu sprawy szpiega K. i z wyroku, w niej zapadłego, jesteśmy w najwyższy sposób niezadowoleni, i niezadowolenie to Wydziałowi, a w szczególności Wam, jako Komisarzowi naszemu, objawiamy. Pomijamy samo prowadzenie rzeczy, prawdziwie austryackie, bo mówić dużo o tem, na nicby się teraz już nie zdało, ale co do samego wyroku, to jeżeli się wstrzymujemy od skasowania jego, czynimy to jedynie dlatego, że to pierwszy wyrok Wydziału. Pozostawiamy sumieniu polskiemu wszystkich, którzy tego łotra sądzili, niech ono ich strofuje o to, że szpiega i zdrajcę Ojczyzny, i to w czasie jej straszliwych zapasów z wrogami, tylko na wygnanie z kraju osądzili. Na takich łotrów i z tej sfery społecznej kara śmierci jest za małą i dlatego tylko musi być zastosowaną, że człowiek większej nad nią wynaleźć nie może. Kto nie poczuje i nie pojmie prawdy tych słów, wątpliwą jest bardzo polskość jego. Ogłaszać wyroku nie będziemy — bo wstyd.“

Z niewątpliwą słusznością pułkownik Struś nie chciał zamieścić tej „odezwy“, która tonem swym nie odpowiada zgoła charakterowi pisma urzędowego.

To też, jakto widzieliśmy, Rząd Narodowy, bliżej zbadawszy sprawę, wyrok lwowski skasował, uznając, że jest brzydki, nielegalny i Władze narodowe kompromitujący.

Zadziwiać może, że w „Wydawnictwie materyałów“, w którem pomieszczono wszystkie dokumenty w sprawie Kaczkowskiego, które go obciążać mogły, a nawet dano miejsce pismu, które sam pułkownik Struś uznał za nazbyt ostre i namiętne, nie znajdujemy wcale tekstu orzeczenia Rządu Narodowego, kasującego wyrok lwowski. Natomiast w piśmie zastępcy Naczelnika okręgu lwowskiego mamy ślad, że czyniono poszukiwania za Kaczkowskim; widocznie w celu zawiadomienia go o kasacie.

Zastępca Naczelnika okręgu lwowskiego pisze mianowicie pod d. 14 marca 1864 r. do Komisarza pełnomocnego w Krakowie:

„Kaczkowskiego jawnie tu niema; każę szukać, czy niema go tajemnie; w razie wyśledzenia zakomunikuję mu postanowienie Rządu Narodowego. Papierów, dotyczących jego sprawy, tutaj niema, gdyż były N. okr. kr. odesłał na moje ręce wraz z wyrokiem p. Komisarzowi.“ [1])

---

[1]) „Wydawnictwo materyałów“, tom III., str. 414, 415, 416.

Że to „postanowienie“ warszawskiego Rządu Nar. wywołało silne niezadowolenie w sferach lwowskich, widoczne jest z dalszego ustępu tegoż pisma:

„Dziwi mnie — pisze zastępca Naczelnika okr. lwowskiego — kierunek tej sprawy. Jaka możność śledzenia w Paryżu? Oświadczyć należy jakiemukolwiek sądowi, że korespondencye pocztowe i telegramy, niemniej autentyczność klucza, może być sprawdzoną nawet przez poświadczenie zaprzysięgłe. Telegramy są również w załączeniu aktu Kaczkowskiego; nie brakuje im podobno dat, które później dostałem i każdego czasu przesłać mogę lub wskazać wprost osobę, od której dostałem.“ [1])

Tu zaznaczyć należy, że autentyczność owego klucza, za pomocą którego miano odczytać cyfry, podane wyżej, a mające oznaczać nazwisko Kaczkowskiego, zdaje się być więcej niż wątpliwą. Podania o tem są niejasne i chwiejne. Ziemiałkowski, w części III. „Pamiętników“ swoich, twierdzi, że Ignacy Kamiński [2]) miał ująć za 2000 złr. urzędnika głównego urzędu telegraficznego, który cyfry odczytał. W „Wydawnictwie materyałów“ [3]) czytamy w przypisku, że „tajemny klucz ten otrzymano za 2000 złr. z Ministeryum Policyi“. Nieprawdopodobną wydaje się rzeczą, aby urzędnik telegrafu mógł mieć do dyspozycyi klucz tajemny; również nieprawdopodobnie niska jest kwota 2000 złr., rzekomo za ten klucz zapłacona, boć przecież to niemała rzecz wykraść z biur Ministerstwa Policyi klucz tajemny, za pomocą którego Minister rozmawia w rzeczach szczególniejszej wagi z zaufanemi osobami. Byłby to również dowód, jak nieściśle strzeżony był klucz ten w Ministerstwie Policyi. Czy to możebne w zwykłym czasie, a cóż dopiero w epoce ówczesnej szczególnego naprężenia sytuacyi? — I jakiż to musiałby być hałas z powodu zniknięcia klucza, — a nigdzie niema śladu, aby w ogóle przedsięwzięto jakiekolwiek w tej sprawie dochodzenia. Natomiast jest ślad, że lwowski urzędnik pocztowy, Ludwik Bernaczek, za wydanie „korespondencyj hr. Mensdorffa Rządowi Narodowemu“, skazany był na trzy lata więzienia, o czem pisze „Dziennik Polski“ w nekrologu tegoż Bernaczka, zmarłego w r. 1873. [4]) Natomiast o tym słynnym kluczu, który dopiero rzucił światło na owe korespondencye Namiestnika i ujawnił nazwisko zdrajcy, niema zgoła mowy, chociaż wydanie go w ręce Rządu Nar. musiałoby być dla Rządu austryackiego rzeczą pierwszorzędnej wagi. A klucz ten tymczasem, wedle podania „Wydawnictwa materyałów“ [1]), spoczywał sobie spokojnie w „zbiorach“ jakiegoś A. S.!

[1]) l. c.
[2]) Burmistrz m. Stanisławowa i poseł sejmowy.
[3]) Tom II., str. 96 i tom III., str. 274.
[4]) „Dziennik Polski“ z r. 1873, Nr. 102, w „Kronice“.

Wszystko to tak dalece niejasne i podejrzane, że zastępca Naczelnika okręgu lwowskiego, jakto widzieliśmy powyżej, chce już sprawdzać autentyczność klucza przez — „poświadczenie zaprzysięgłe!“

Kasata wyroku lwowskiego nie mogła już być doręczona we Lwowie Kaczkowskiemu, gdyż tenże, otrzymawszy ten wyrok dnia 22 stycznia, w parę dni potem opuścił Lwów i wyjechał do Wiednia, a ztamtąd do Paryża.

W jakiem usposobieniu opuszczał Kaczkowski Lwów, po takiej katastrofie? Nie trudno to sobie przedstawić, a wiedząc, że był to człowiek z pozoru bardzo zimny, nie można bez wzruszenia czytać listu jego, pisanego do wiernego w nieszczęściu przyjaciela Seweryna Smarzewskiego. List ten nie nosi daty, ale z treści wynika, że pisany był w sam dzień otrzymania wyroku, t. j. 22-go stycznia.

„Wyjeżdżam — pisze — z kraju jako banita. Wyjeżdżam wśród bardzo przykrych skądinąd dla mnie okoliczności, bo jestem zaopatrzony w bardzo niedostateczne fundusze i zostawiam interesa w stanie takim, że nie prędko mogę się po nich spodziewać dochodów. Prócz tego zostawiam Ojca na łożu śmiertelnem i nigdy go już nie obaczę. Dziś mnie się pytał, mówiąc o mojej podróży, kto się zatrudni jego pogrzebem? To są rzeczy, przez które nie każdy przechodził. Wyjeżdżam, sam nie wiem dokąd i na jak długo. Może na zawsze. W każdym razie na ciężkie próby, na walki zawzięte z przeciwnym losem, w których może uledz wypadnie... Mimo to jestem spokojny i cichy, jak woda stojąca. To, com przecierpiał i jeszcze przecierpię, ofiaruję Bogu za grzechy i prawie cieszę się tem, że mi dał sposobność cierpieć tak ciężko i krwawo: lecz brzemię to, wrzucone na moje barki bez mojej winy, może tylko wzmocnić mojego ducha i podnieść, lecz nigdy osłabić lub złamać. Mam zresztą taką wiarę w moją pracę i siły, że w najgorszym razie potrafię sobie nawet w obcem społeczeństwie znośne stanowisko wyrobić; co więcej, mam silną wiarę, że prędzej czy później potwarz ta odsłonioną a moje dobre imię powróconem zostanie.

[1]) Tom III., str. 280.

A tak, chociaż dziś dnia jednego nie widzę przed sobą i chociaż zgięty brzemieniem boleści, czuję jeszcze przyszłość przed sobą i idę z nią z ufnością i wiarą, że w niej nie przepadnę."

„Pozostaje mi jeszcze podziękować Ci za Twoją pomoc, daną mi w nieszczęściu. Skuteczna czy bezskuteczna, jest ona nad wszelką cenę. Nie można dać piękniejszego dowodu prawdziwej przyjaźni. Wątpię, ażebym Ci ją mógł kiedykolwiek odwdzięczyć. Nie możesz mnie potrzebować — a nadto, kto wie, czy się jeszcze obaczymy w tem życiu. Lecz wierz mi, że pamięć tej przyjaźni zachowam do grobu i za każdem jej wspomnieniem będę prosił Boga, ażeby ją Swojem błogosławieństwem odpłacił Twym dzieciom. Bądź zdrów, niech Ci Bóg dopomaga." [1])

W tym samym liście, na wstępie, donosi Kaczkowski Smarzewskiemu, że zrazu walczył z sobą: „co robić, czy stawić opór, żądać osobistego stawienia przed sądem i iść na złamanie karku, czy wyjechać?" „Zdecydowałem się — pisze — za tem ostatniem. Pierwsze na nicby się nie zdało — bo albo mnie skandalami do wyjazdu zmuszą, albo nowym Sądem potępią. Wyjeżdżam więc jutro. Ale przed wyjazdem zdawało mi się rzeczą konieczną, zameldować rekurs. Napisałem więc Pismo, które w oryginale załączam i proszę jak najusilniej, jako ostatnią może dla mnie przysługę, abyś je do rąk oddał Naczelnikowi. Gdybyś miał słuszne powody takiego Pisma osobiście nie oddawać, w takim razie proszę Cię, abyś był łaskaw taką drogą mu je przesłać, ażeby go doszło z pewnością. Pisma tego i myśli w niem zawartych nie motywuję, bo zdaje mi się, że mniej więcej na wszystko się godzisz. Może jest trochę za cierpkie, ale gdzież cierpkość naturalniejsza, jak w takiem położeniu? Tę tylko jedną okoliczność, że adresuję je także do Członków Wydziału, motywuję Ci tem, iż Gross miał właściwie Sąd na mnie złożyć, a jest nawet wersya, że Gross prezydował w Sądzie. Zdawało mi się również rzeczą stosowną, przy tej sposobności dotknąć Rodakowskiego, który w każdym razie tu nie jest bez winy."

Kaczkowskiemu chodziło teraz o rozpowszechnienie tego pisma, dlatego oprócz egzemplarza, przesłanego Smarzewskiemu, pozostawił jeszcze dwie własnoręczne kopie u dwóch przyjaciół: Moszczańskiego i Lubaczewskiego, dodając, że „gdyby rozpowszechnienie tego pisma okazało się skutecznem, możnaby je kazać odlitografować".

[1]) Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

„Jadę teraz do Wiednia — pisze w dalszym ciągu, — tam napiszę rekurs, czyli tak zwaną naganę do Rządu Narodowego, i zamierzam ten akt także w kilku egzemplarzach w rozmaite strony rozesłać; rozumie się samo przez się, że przedewszystkiem do Rządu Narodowego. Wielka kwestya, czy tam dojdzie, — a prawie niema kwestyi, że żadnego skutku nie zrobi, zwłaszcza, że wieść, jakoby ten wyrok był przez Rząd Nar. potwierdzonym, zdaje się być pewną. [1]) Ale zawsze to zrobić należy. Czy potem wydrukować broszurę, to zostawiam do dalszego namysłu.[2]) Wszakże z pewnością będę próbował w Wiedniu zebrać pewną liczbę Polaków, których będę prosił li tylko o to, ażeby się razem zebrali i wysłuchali tego, co im powiem. Chociaż Władza nie chciała mnie wysłuchać i właśnie dlatego, powinienbym znaleźć ludzi, którzyby mnie wysłuchali. Udam się o to do Grocholskiego, jako do Prezesa Koła poselskiego. Gdybyś to uważał za stosowne, wielką wyrządziłbyś mi przysługę, gdybyś napisał list do niego z krótką relacyą faktu, w której wszakże należałoby położyć mocny nacisk na to, że dokumenta mnie oskarżające są wedle wszelkiego podobieństwa sfałszowane i na ich mocy wydano wyrok zaocznie, chociaż ja byłem obecny."

W przypisku do tego listu znajdujemy jeszcze taki ustęp:

„Jeżeli się cud jakiś nie stanie, który mi wkrótce pozwoli powrócić, to zapewne nie osiądę gdzieindziej, jak w Paryżu. To jedyne miejsce, w którem mogę sobie robić jakąś nadzieję pożytecznego istnienia. Ale i tam bez podstawy istnienie trudne. Jakiekolwiek moralne oparcie mógłbym znaleźć u Czartoryskich, u których dotąd dobre miałem imię. Ale i ich zapewne uprzedzono. Nadto, jako urzędnicy Rządu Narodowego, zechcą może zachować i w tym wypadku jakieś względy dla niego. Jednak będę próbował ich przekonać dla siebie. Do tego celu byłoby mi bardzo pomocnem, gdyby który z XX. Sapiehów napisał kilka słów do nich w tej sprawie, przedstawiając im, jak ją pojmują. Sądzę, że jeżeli kto wątpić nie może o mojej uczciwości, to X. Adam; nie powinienby mi tak drobnej pomocy odmówić. — Również proszę

[1]) Jak widzieliśmy, wieść ta, widocznie umyślnie rozszerzana, a której echo odbiło się w „Pamiętnikach" Ziemiałkowskiego, była najzupełniej mylna.

[2]) Broszura ta, jak wiadomo, pod tytułem: „Rewolucyjne sądy i wyroki" wyszła dopiero w r. 1866. Paryż - Wiedeń.

Cię, abyś był łaskaw udzielić kopii mego Pisma do Naczelnika X. Adamowi.“

Ponieważ wszystko to, co się odnosi do tej smutnej a zawikłanej sprawy, zwłaszcza zaś to, co pochodzi od samego Kaczkowskiego, jest, zdaniem naszem, pierwszorzędnego znaczenia i dla jej ocenienia koniecznem, przeto podajemy owe pismo w dosłownem brzmieniu:

„Do Naczelnika Lwowskiego Okręgu

i Członków Galicyjskiego Wydziału Rządu Narodowego

urzędujących we Lwowie!

„Dnia dzisiejszego otrzymałem Wasz wyrok z dnia 21 b. m., wyrok, klnący mnie szpiegiem i wskazujący na opuszczenie Ojczyzny.

„Nim kraj ten opuszczę, któremu przez lat 18 krwawą pracą służyłem, a któremu pomimo Waszego wyroku za Bożą pomocą jeszcze nie jedną przyniosę usługę, muszę Was spytać: Dlaczegoście mnie do stawienia się osobiście przed Sądem wezwali, a przed Sąd nie stawili? Jakiem prawem sądziliście mnie sądem zaocznym? Dlaczegoście mi nie doręczyli motywów Waszego wyroku? Jakaż jest moja wina? Kogom szpiegował? com zdradził? Gdzie są skutki mojej zdrady? Gdzie macie na moją zdradę dowody? Azaliż zastanowiliście się nad niesumiennością Waszego sądu i niedorzecznością Waszego wyroku? Cóż, gdybym istotnie był szpiegiem? Nikt z osób czynnych w sprawie publicznej nie byłby wolnym dotychczas. Cóż, gdybym był zdrajcą? Dziś jeszcze bylibyście wszyscy w więzieniu.

„Opuszczam kraj, bo szanuję ideę Władzy narodowej, bo umiem się jeszcze nawet w takiem położeniu dla tej idei poświęcić. Modlę się Bogu, ażeby nie odjął swego błogosławieństwa tej sprawie, którą jej przodownicy takiemi prowadzą drogami. Lecz zapowiadam Wam, że nie przyjmuję Waszego wyroku i odrzucam go z oburzeniem i wzgardą! [1])

„Jestem niewinny i czysty, jak łza. Nigdy w mem życiu nie miałem żadnych stosunków z wrogami kraju i nigdy im nie wydałem żadnych tajemnic. Tylko ślepe uprzedzenie, lub słabość ducha, ulegająca parciu ulicznych krzykaczy, mogła wydać na mnie wyrok potępiający!

[1]) Ten ostatni wyraz w tekście, jaki mamy przed sobą, jest, zdaje się później, mocno przemazany. W kopii, przechowanej w zbiorach rapperswilskich, jest wypisany najwyraźniej.

„Zapowiadam Wam, że ten Wasz wyrok naganiam i odnoszę się odeń do Rządu Narodowego. Otwórzcie oczy i uderzcie się w piersi: jeszcze tę krwawą krzywdę, którą mnie wyrządziliście, możecie choć w części naprawić. Pomnijcie na to, że nigdy niewinność nie może być potępiona bezkarnie! Wierzę w uczciwość ludzi i opiekę Boga nad nimi: jeżeli sprawiedliwości nie znajdę u Rządu Narodowego, jeżeli mi jej nie odda otrzeźwiona z potwarczych uprzedzeń opinia narodu, to pewnie mi ją wymierzy historya, do której imieniem mojem i zasługami należę, — a wtedy hańba, dziś na mnie rzucona, spadnie na wieki wieków na głowy tych, którzy nie mając odwagi zajrzeć mi w oczy, nie wahali się rzucić mnie na ofiarę karmiącemu się tylko hańbą swych przeciwników politycznemu stronnictwu.

Lwów, dnia 23 stycznia 1864.

Zygmunt Kaczkowski.“ [1])

Jakkolwiek chciałby kto osądzić ton tego pisma, — którego ostrość sama się zresztą przez się tłumaczy, — nikt nie zaprzeczy, że jest w niem akcent prawdy, że nie jest ono pozbawione godności osobistej.

A już niewątpliwie podziwieniem przejąć mogą przytoczone powyżej wyrazy listu „banity“ do Seweryna Smarzewskiego, wyrazy pełne wiary w siły własne i pracę, pełne chrześciańskiej rezygnacyi, która mu nie pozwoliła złamać się pod straszliwym ciosem. Przechodził wówczas Kaczkowski przez takie doświadczenia, przez które — jak mówi — „nie każdy przechodzi“, gotował się na ciężkie walki na obczyźnie, a jednak nie stracił mocy ducha i w niepewną przyszłość szedł odważnie z ufnością, że „nie przepadnie“.

Zdaje się wszakże, że i we Lwowie następowało zwolna pewne otrzeźwienie. „Były o tem (o wyroku) rozmaite zdania“, — pisze w „Pamiętniku“ swym Ziemiałkowski. [2]) Rozeszła się nawet wieść, przywieziona z Wiednia przez Fr. Ksaw. d'Abancourta, że

[1]) Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. — Oryginał, pisany ręką Kaczkowskiego.

[2]) l. c.

w gronie posłów, należących do stronnictwa Adama Potockiego, opowiadano, jakoby Kaczkowski złożył był istotnie Ministrowi Policyi, Mecseremu, memoryał o powstaniu polskiem, lecz uczynił to za wiedzą i z polecenia stronnictwa Białego.“ — Była to już znacznie łagodniejsza wersya, przedstawiająca czyn Kaczkowskiego już nie jako zdradę i szpiegostwo, lecz jako rodzaj Wallenrodyzmu.

W pierwszych dniach lutego znalazł się Kaczkowski na bruku wiedeńskim, gdzie go czekały rozczarowania. Zastał tam — jak donosi Sewerynowi Smarzewskiego, w liście z d. 3 lutego 1864, — usposobienie niedobre. „Było nijakie, ale jak przyszła wiadomość o wyroku, każdy powiada: „Ja nie wiem, ale wyrok zapadł“. Teraz znowu dowiedzieli się, że Sądu nowego nie było, a od Skrzyńskiego wiedzą, że w tamtym Sądzie *paritas* padła. Więc znowu zmieniają się zdania. Tylko Grocholski podobno, jak pierwej nie wierzył, tak i teraz nie wierzy, ażeby się coś podobnego i w takich formach stać mogło. Skorupkę [1]) zastałem wątpiącego i za pierwszem widzeniem się, jak mi się zdaje, nie całkiem go przekonałem. Co się potem stało, nie wiem, lecz wczoraj zastałem go tak przekonanego, jak ja. Obiecał mi wszelką pomoc na wszystkie strony.“

Bądź co bądź Kaczkowski wyrzekł się pierwotnej myśli zwołania jakiegoś grona Polaków, któreby go wysłuchało. Natomiast zajął się natychmiast napisaniem rekursu do Rządu Narodowego w Warszawie. Kopię tego rekursu przesłał Smarzewskiemu. „Nie jest on — przyznaje — tak napisany, jak potrzeba, ale najpierwej, musiałem się śpieszyć, powtóre musiałem się zbierać jak najkrócej, bo wielkich pakietów tam posyłać nie można, a po trzecie nie mam spokoju.“

„Bądź łaskaw — pisze dalej Kaczkowski — nie trzymać tego rekursu w tajemnicy. Ale, mojem zdaniem, niema potrzeby rozpuszczać go umyślnie pomiędzy wielką publiczność, bo u niej to nic nie pomoże, a jako tak cierpki zarzut i przeciw Nar. Policyi i przeciw Naczelnikowi, może ich jeszcze spowodować do nowych intryg. Lepiej niech się o tem dowiedzą z Warszawy. Ale rozumnym ludziom koniecznie udzielić go trzeba — i dobrzeby było posłać go tu i ówdzie na prowincyę.“

Skorupka miał doręczyć kopię rekursu Grocholskiemu do odczytania w Kole i agitować w tej sprawie. „Ja, zresztą — dodaje Kaczkowski — nie byłem tu u nikogo, bo po co? Gadać kilka

[1]) Leon Skorupka, poseł, właściciel Prokocimia.

godzin na to, ażeby jednego przekonać, albo i nie przekonać, nie stoi skórka za wyprawę, zwłaszcza, że nawet nie mogę wiedzieć, jak mnie kto przyjmie. Rzuciłem między nich rekurs i niech się sami przegryzają. Skorupka jest zdania, że najlepiejbym zrobił, gdybym kogoś posłał, jak to mówią, z gębą, do Warszawy. Ale to niepodobna. Najpierwej, zawsze to karkołomna misya, a powtóre, trzebaby kogoś, którego tam znają. Skąd wziąć takiego? — Co się da zrobić, trzeba robić w Paryżu. Tam jest Kronenberg, Ruprecht, Dionizy Skarzyński i Siwiński, ludzie, których zdanie coś waży u Rządu, bo sami nim byli, ludzie zresztą, którzy mi nie odmówią przystępu. Więc tędy jedyna droga. Dlatego tem bardziej Cię proszę, ażeby ze Lwowa posłano koniecznie list do Hotelu [1]). Niech tylko w nim powiedziane będzie w dwóch słowach to, co w moim rekursie. To mi niezmiernie pomoże. Piszący nie potrzebuje się zresztą obawiać tego, ażebym ja, opierając się na jego liście, wprowadził Hotel w jakiekolwiek niedogodności. Możesz go zapewnić, że ani się tam pokażę, tylko poszlę kopię rekursu i zamelduję moje mieszkanie. Oni tem mniej mogliby być pożyteczni, o ile więcej bym ich kompromitował. To przecie rozumiem. Lecz jestem prawie pewny, że w gruncie chcieliby mi pomódz — ale zawsze im trzeba jeszcze własnego przekonania, może bodźca potrzeba, a taki list do tego się wielce przyczyni.“ [2])

Jakkolwiek ów rekurs Kaczkowskiego nie zawiera nowych szczegółów, a w znacznej części jest powtórzeniem tego, co już powyżej przytoczyliśmy, uważamy jednak za konieczne reprodukować ten akt w pełnem brzmieniu, jako oświetlający całokształt tej sprawy ze strony dotkniętego tak hańbiącym wyrokiem pisarza polskiego. Reprodukujemy go zaś wedle oryginału, przechowanego w zbiorach rapperswilskich. Jest to brulion, pisany własnoręcznie przez Kaczkowskiego, z licznemi poprawkami i skreśleniami. Jest jednak pełniejszy od kopij, z których, jakto z przytoczonego powyżej listu do Seweryna Smarzewskiego wynika, Kaczkowski polecił poopuszczać „wszystkie inicyały nazwisk, bo możeby powiedziano, że to denuncyacya“.

Wedle tego oryginału, rekurs brzmiał, jak następuje:

„Dnia 22 b. m. i r. Naczelnik Lwowskiego Okręgu przysłał mi wyrok jakiegoś Sądu, który mnie o nic nie pytał, orzekający mnie winnym zbrodni, której czyn nie jest wymieniony, i rozka-

[1]) Hotelu Lambert, t. j. do ks. Czartoryskich.

[2]) Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

zujący mi z kraju wyjechać. Takiego a tem mniej jeszcze w takim sądzie zapadłego wyroku na sobie nie zniosę — i jako krok pierwszy w poszukiwaniu sprawiedliwości zanoszę niniejszem następującą naganę a zarazem skargę na postępowanie władz Lwowskich do Rządu Narodowego.

„Sprawa ta ma się, jak następuje:

„Pod koniec listopada z. r. Pełnomocny Komisarz Rządu Nar., mieszkający w Krakowie, zawezwał mnie przez Ob. Z. Rodakowskiego, ażebym w pierwszych dniach grudnia przyjechał do Krakowa w celu porozumienia się z nim i obywatelami J. I. K. i E. S. z zagranicy na ten czas przybyć mającymi, w sprawie założenia we Lwowie biura prasowego. Miałem prócz tego do przedłożenia Komisarzowi kilka wyrobionych przezemnie projektów, poprawienie skarbowości narodowej na celu mających, o których Komisarz od kilku tygodni już był uprzedzony. Przyjechałem do Krakowa dnia 3 grudnia. Wyż wspomniani dwaj obywatele z zagranicy nie przyjechali, a przeto sprawa biura prasowego musiała na teraz być odroczoną. Atoli po kilku konferencyach moich z Komisarzem w kwestyach skarbowości okazało się, iż mogę inną sprawę publiczną pożytecznie załatwić, w skutek czego Komisarz wyprawił mnie do Londynu — a ponieważ nie mógł mi ani potrzebnych do wypełnienia tej misyi pieniędzy, ani zagranicznego pasportu, którego żądałem, w ten moment dostarczyć, więc kazał mi w Wiedniu zatrzymać się póty, póki mi rzeczy tych tam nie nadeszle. Na kilka godzin przed moim wyjazdem przyszło do mnie dwóch Członków Galicyjskiego Wydziału, którzy razem ze mną przyjechali ze Lwowa[1]), i powiedzieli mi, że dnia tego samego Narodowa Policya Lwowska przysłała jakieś oskarżenie przeciw mnie do Komisarza, a oraz okazali mi wycinek z jej raportu mnie dodotyczący. Na tym wycinku były napisane następujące słowa: „Przy rewizyi u Bogdanowicza we Lwowie wzięto adresy, pod któremi Kaczkowski miał korespondować z Merklem. — Z Kaczkowskim trzeba się natychmiast załatwić“. Nie mogąc zrozumieć, co oskarżenie miało znaczyć, a czując w niem jakąś podłą intrygę Nar. Policyi, zażądałem widzenia się z Komisarzem. Kiedy przyszedł do mnie, powiedziałem mu, że w obec takiego oskarżenia uważam za rzecz stosowną natychmiast do Lwowa powrócić i żądać od Władz Nar., ażeby wysadziły Komisyę do zbadania tej

[1]) Wedle broszury: „Rewolucyjne sądy i wyroki“ byli to P(iotr) G(ross) i Z(ygmunt) R(odakowski), str. 42.

sprawy. Atoli Komisarz odpowiedział mi, że to jest widocznie jakaś niedorzeczna intryga albo omyłka, że on sam zmyje głowę za to Policyi, i kazał mi jechać w moją podróż. Dnia 7-go zatem przyjechałem razem z obydwoma Lwowskimi Członkami Gal. Wydziału do Wiednia. Dnia 8-go doręczył mi Ob. Z. R. 3000 f. w. a. na moją podróż i tegoż samego dnia otrzymałem od Ob. L. W. list z Krakowa, w którym mnie zawiadamia, że pasport dla mnie wyprawionym zostanie dopiero w piątek. — Dnia 11-go otrzymałem od Ob. Z. R., który tymczasem do Krakowa powrócił, telegram, żebym się do niedzieli zatrzymał w Wiedniu. W niedzielę, 13-go, przyjechał Ob. Z. R. do Wiednia i powiedział mi, że Policya Nar. Lwowska przysłała nowe oskarżenie przeciw mnie do Komisarza, w którem donosi. jakobym miał pojechać do Wiednia w celu porozumienia się z Ministrem Policyi, że zatem Komisarz wzywa mnie, ażebym się osobiście stawił we Lwowie przed Sądem, którego złożenie, jednakże bez oznaczenia terminu, zostało poruczonem Członkowi Wydziału P(iotrowi) G(rossowi). Wróciłem natychmiast otrzymane 3000 f. Ob. Z. R. i miałem najbliższym pociągiem jechać do Lwowa. Tymczasem, w parę godzin po odejściu Ob. Z. R., przyszedł do mnie pewien Obywatel, czasowo w Wiedniu bawiący, będący w bliskich stosunkach z Lwowską Policyą, ale mający zaufanie we mnie, i ostrzegł mnie, że Policya Lwowska wydała wyrok śmierci na mnie, a odstawiwszy do tego trzech żandarmów, postanowiła nie dopuścić do tego, abym się osobiście stawił przed Sądem, tylko zaraz za moim przyjazdem mnie zamordować. Tego samego dnia otrzymałem dwa listy bezimienne tej samej treści. Wziąwszy zatem położenie tej sprawy pod chłodną rozwagę, powstrzymałem moją podróż do Lwowa, a natomiast napisałem na ręce Ob. L. W. list do Komisarza, w którym go zawiadamiam o doszłych mnie ostrzeżeniach i proszę, ażeby się przekonał o niebezpieczeństwach mnie grożących i albo w innem miejscu Sąd na mnie zwołał, albo mnie zapewnił, że mi żadne niebezpieczeństwo nie grozi we Lwowie. — Dodałem na koniec, że ponieważ zarazem doszła mnie wieść, jakoby żandarmów wysłano za mną do Wiednia, więc będę czekał na jego odpowiedź za Wiedniem, lecz jeżeli do dnia 21-go odpowiedzi nie odbiorę, pojadę bez zapewnienia do Lwowa[1]). — Dnia 15-go wy-

[1]) W tem miejscu, na marginesie, znajdują się dopisane ołówkiem słowa: „Rapp. Nota: Sąd doraźny odbył się jeszcze przed 19 grudnia.“ Dopisek ręką Kaczkowskiego.

jechałem do Wenecyi, lecz niecierpliwiąc się, już 19-go wróciłem do Wiednia. Do 21-go żadna odpowiedź od Komisarza nie przyszła, ale natomiast otrzymałem listy ze Lwowa, w których mi doniesiono, że tam już 15-go Narodowa Policya pod przewodnictwem Jana Dobrzańskiego, głównego przeciwko mnie instygatora, rozniosła najpotworniejszą agitacyę przeciw mnie, rozgłosiła, jakobym się w Wiedniu zastrzelił i całą ludność wzburzyła. A ponieważ Naczelnik Lwowskiego Okręgu nietylko tej agitacyi żadnego nie założył wędzidła, lecz owszem, przeciwnie, jak najswobodniejsze zostawił jej pole, więc przyjaciele moi doradzają mi, ażebym podróż moją jeszcze powstrzymał i nie narażał się na Bóg wie jakie burdy albo niebezpieczeństwa. Dopiero w kilka dni potem otrzymałem za wiedzą Naczelnika, który nareszcie za bezpieczeństwo mojej osoby przyjaciołom moim zaręczył, telegram z wezwaniem, ażebym nie wcześniej i nie później, jak 27-go, wieczornym pociągiem do Lwowa przyjechał. Dnia 27-go przyjechałem do Lwowa i zameldowałem mój przyjazd natychmiast Ob. P(iotrowi) G(rossowi). — Ob. P. G. przyszedł do mnie nazajutrz rano, a z jego rozmowy poznałem, że przyjazd mój nabawił Władze lwowskie jakiegoś dziwnego kłopotu, którego, nie wiedząc jeszcze o odbytym już na mnie Sądzie zaocznym, wcale zrozumieć nie mogłem, lecz zapewnił mnie w końcu, że Sąd niebawem zostanie zwołanym. Od tego czasu, t. j. od 27 grudnia, czekałem całe cztery tygodnie na Sąd, przed który mi się osobiście stawić kazano, ale napróżno. Nie opuściłem żadnego środka, którymbym mógł był Władze krajowe do zwołania takiego Sądu zniewolić; proponowałem przez moich przyjaciół, ażeby wreszcie nie cały Sąd, tylko choć jeden z Sędziów osobiście rozmówił się ze mną; proponowałem później, ażeby mi wolno było postawić przed Sądem zastępcę, który w mojem imieniu bronić mnie będzie, proponowałem w końcu, ażeby mi punkta oskarżenia przedłożono przynajmniej na piśmie: ale nawet i tego nie uczyniono! Tylko we trzy dni po moim przyjeździe do Lwowa, Dyrektor Policyi Narodowej doręczył mi swój wyrok do liczby 414/15 z dnia 30 grudnia, w którym mnie zawiadamia, że ponieważ otwartym powozem przejeżdżam przez miasto, co według niego opinię publiczną obraża, więc z p o l e c e n i a W ł a d z y w y ż s z e j odejmuje mi prawo obrony i cofa dane mi bezpieczeństwo mojej osoby; potem Członkowie Wydziału zapewniali mnie ciągle za pośrednictwem moich przyjaciół, że Sąd lada dzień zostanie zwołany — aż wreszcie Naczelnik doręczył mi dnia 22 stycznia swój po brutalsku zredagowany wyrok, który brzmi dosłownie:“

Tekst tego wyroku podaliśmy powyżej, przeto nie powtarzamy go już tutaj.

W dalszym ciągu pisze Kaczkowski w swoim rekursie:

„Nie mogąc zrozumieć, do jakiego Sądu odwołuje się Naczelnik, jak skoro żadnego Sądu nie było, starałem się o tem przez moich przyjaciół dokładnie zainformować — i dowiedziałem się, że jeszcze przed moim przyjazdem do Lwowa, mimo to, że mnie do osobistego stawienia się przed Sąd zawezwano i dobrze wiedziano, że na każdy wypadek do Lwowa przyjadę, Naczelnik, ulegając parciu osób, którym na tem zależało, ażebym został potępionym, zwołał był jakiś Sąd z czterech osób złożony — i Sąd ten, nie zbadawszy wcale autentyczności dokumentów mnie oskarżających, ani wysłuchawszy oskarżonego, dał dwa głosy za winą, a dwa za niewinnością. Jedyny zatem Sąd, który tę sprawę roztrząsał, nie wydał żadnego wyroku, bo przecież niepodobna przypuścić, ażeby Naczelnik, który przewodniczył temu Sądowi, mógł był być tak dalece z uczucia słuszności i wszelkich pojęć o sądownictwie obranym, ażeby będąc sam stroną oskarżającą, mógł był jakiekolwiek dać *votum*, a tem mniej jeszcze, ażeby przy równości głosów był głosował za winą. Również niepodobna przypuścić ażeby Rząd Narodowy, jeżeli mu taki rezultat takiego Sądu przedłożono, mógł był swoje *votum* położyć na stronę winy. Cóżkolwiekbądź, popełniono tutaj czyn taki, jakiego dotychczas jeszcze nie dopuścił się żaden Sąd na kuli ziemskiej, co więcej, wydano wyrok w takim Sądzie, w takiej formie i na takich podstawach, jakiego przykładu nie znajdziemy nawet w najbezwzględniejszych wyrokach rewolucyi francuskiej! Po otrzymaniu tego monstrualnego wyroku, posłałem do Naczelnika Pismo, które dosłownie brzmi, jak następuje:“

Pismo to z 22 stycznia podaliśmy powyżej w całości, przeto go już tutaj nie powtarzamy.

„Po wysłaniu tego Pisma do Naczelnika — pisze dalej w swym rekursie Kaczkowski — wyjechałem do Wiednia, jako do najbliższego miejsca granicom Polski, z którego mogę znaleźć pewną drogę do przesłania niniejszego Pisma do Rządu Narodowego.

„Taki jest bieg całej tej sprawy.

„Już samo postępowanie Władz krajowych w tej sprawie, tutaj przedstawione jak najsumienniej, wykazuje aż nadto jawnie, że ci, którym przeprowadzenie tego procesu było poruczo-

nem, pod wpływem jakichś względów ubocznych, z umysłu nie przeprowadzili go z taką sumiennością i dokładnością, jakiej tak ważna sprawa wymagała. Dlaczego bowiem przedewszystkiem Pełnomocny Komisarz krakowski, zawezwawszy mnie przed Sąd do Lwowa, zamiast mi przyjazd ułatwić, na list mój pisany do niego na ręce Ob. L. W. nie odpowiedział, a przeto mój przyjazd jeszcze utrudnił? Dlaczego Naczelnik Lwowski, wiedząc o tem, że ja do Lwowa przyjadę, jeszcze przed mym przyjazdem zwołał Sąd zaoczny? Dlaczego, kiedy partya demagogów Lwowskich podniosła jeszcze przed zwołaniem Sądu agitacyę przeciwko mnie, agitacyi tej nie zakazał, co mógł uczynić tem pewniej, ile że, jak powszechnie wiadomo, agitacyę podniesioną równocześnie i na podstawie tych samych oskarżeń przeciwko Członkowi Wydziału Z(ygmuntowi) R(odakowskiemu) zakazał i rzeczywiście umilkła? Dlaczego rozkazał Narodowej Policyi odwołać dane mi bezpieczeństwo osoby, który to krok oczywiście nie mógł mieć nic innego na celu, jak zniewolenie mnie do wyjazdu ze Lwowa przed Sądem? Dlaczego także Naczelnik, powtarzając moim przyjaciołom ciągle, „że dowodów przeciw mnie niema“, że tylko opinia mnie potępia, nie zwrócił słusznego względu na to, że to była opinia uliczna i kawiarniana, opinia moich oskarżycieli, a nie udał się do ludzi poważnych i zacnych we Lwowie i nie starał się przekonać, jaką też oni mają o tej sprawie opinię? Dlaczego Naczelnik, kiedy już miał zamiar oparcia się na wyroku zaocznego Sądu, nie doręczył mi tego wyroku zaraz po moim przybyciu do Lwowa, kiedy nawet i uliczna opinia obróciła się za mną, ale wytrzymał mnie cztery tygodnie na moralnych torturach, dał czas agitatorom zwrot ten osłabić, znudzić nareszcie publiczność i dopiero potem mi wyrok doręczył? Dlaczego, kiedy już nie chciał, czy nie mógł złożyć jawnego Sądu, nie zezwolił na to, ażeby mnie przed Sądem tajnym bronił mój zastępca, dlaczego mi nie przedłożył oskarżenia na piśmie? Jakiem prawem nareszcie na mocy takiego Sądu, w którym zapadła *paritas votorum*, a który przeto nic zgoła nie orzekł, Naczelnik mógł wydać wyrok potępiający? Toż w końcu, gdyby i nie te wszystkie zarzuty, które jawnie uwydatniają stronniczość i niesumienność postępowania, to samo brutalstwo stylu, którym ten wyrok zredagowano, uderzające rozuzdaną namiętnością, jest aż nadto uderzającą[1]) skazówką, że sprawą tą nie kie-

[1]) W kopii: „bijącą w oczy“.

rował ani dojrzały rozsądek, ani spokojne sumienie, tylko zupełna ciemnota rozumu i ślepe jak kret uprzedzenie!

„Z winy, jaka mi zarzuconą została, nie mogę się tutaj niestety dostatecznie usprawiedliwić, bo nie znam przeciw mnie podniesionych zarzutów, bo punktów oskarżenia ani mnie, ani moim przyjaciołom nie chciano objawić. Wszakże od ludzi, mających bliższe styczności z Władzą i osobami, których powoływano do Sądu, dowiedziałem się, że oskarżenie przeciw mnie składa się głównie z następujących punktów: 1. Policya Narodowa miała około 1 grudnia podchwycić na poczcie jakiś list urzędowy, w którym miała się znajdować wiadomość, że ktoś ma pojechać do Krakowa i będzie tam pod wskazanymi adresami korespondować z Merklem. Adresy te skonfiskowała Austryacka Policya przy rewizyi, odbytej u Bogdanowicza dnia 2 czy 3 grudnia. — 2. Policya Narodowa podchwyciła w kilka dni później depeszę Namiestnika Hr. Mensdorffa do Ministra Policyi, w której pierwszy drugiemu donosi, że ktoś, który oddał już znamienite usługi austr. Rządowi, jedzie do Wiednia i będzie się prezentował Ministrowi. Do tej depeszy miało być dołączone w szyfrach nazwisko. — 3. Jeszcze później Policya Narodowa podchwyciła drugą depeszę Mensdorffa do Ministra Policyi, w której Mensdorff prosi Ministra, ażeby temu, który napisał jakiś memoryał, wypłacono jako drugą ratę 2100 fr. — Wszystkie te dokumenty nie istnieją w oryginale, tylko w kopiach, które Policya Narodowa miała zdjąć z oryginałów na poczcie.

„To są główne oskarżenia.

„Przypuściwszy, że te dokumenty są autentyczne, osią i miazgą na nich opartego oskarżenia jest oczywiście szyfrowane nazwisko. Idzie zatem o to, czy je zdeszyfrowano, czy nie. Otóż jest rzeczą pewną, że go nie zdeszyfrowano. Zdarzył się tylko jakiś prywatny człowiek, który powiedział, że zna klucz urzędowy, i napisał tym kluczem moje nazwisko, lecz jego szyfry nie zgodziły się z szyframi, znalezionemi w urzędowej depeszy. Tylko miała się zgodzić jedna szyfra, powtarzająca się trzy razy w depeszy rządowej, — a ponieważ w mojem nazwisku powtarza się trzy razy litera *k*, więc na tej podstawie przyjęto, że to moje nazwisko! Rzecz niesłychana i zaledwie do uwierzenia, ażeby jakakolwiek władza oświeconego narodu mogła tak mało być oświeconą o kluczach szyfrowych i na takich podstawach opierała wyroki! — Pozwolę sobie rzucić cokolwiek światła na tę kwestyę, tak trudną do jasnego zrozumienia dla Władz, działających we Lwowie w imie-

niu Rządu Narodowego. Przedewszystkiem tedy z tego, co o tych szyfrach przyjęto, wynikałoby, że Rząd austryacki posługuje się kluczem pojedyńczym. A toż przecie każdy żak, poczynający się bawić w politykę, powinienby o tem wiedzieć, że Państwo, tak *par excellence* policyjne, jak Austrya, nie stoi na tak pierwiastkowym stopniu policyjności, ażeby, zwłaszcza w sprawach wyższej policyi, używało klucza tak pojedyńczego, w którymby każda litera tylko jeden znak miała, w którymby przeto musiały się powtarzać litery, a który w skutek tego mógłby być z największą łatwością odczytany. Wszakże Rząd Narodowy stoi dopiero od roku, a żadnej z jego Władz, nawet najpodrzędniejszej, jeszcze na myśl nie wpadło używać klucza, w którymby się powtarzały litery. Jakoż każdy człowiek, choćby tylko powierzchownie obeznany z machiną rządu, postawi tu wniosek odwrotnie i powie: właśnie dlatego, że w tym szeregu powtarzają się szyfry, właśnie dlatego w nazwisku nie powtarzają się litery, tylko musi to być klucz taki, w którym znaczenie szyfry nietylko zależy od jej składu, ale także od miejsca, na którem jest położoną. Prócz tego dziwnej potrzeba łatwowierności, ażeby komukolwiek na gołe słowo można uwierzyć, że przyszedł do posiadania klucza tego, którym Namiestnik kraju koresponduje z Ministrem Policyi! Jakoż istotnie pewne osoby we Lwowie, które mają jakikolwiek przystęp do sfer rządowych i starały się zainformować u źródła o podstawach, z których tę kwestyę sądzić należy, przekonały się: 1. że klucz ten, którym Namiestnik koresponduje z Ministrami, całą xiążkę stanowi, w której nietylko są znaki osobne na całe słowa i na wszystkie syllaby, ale nadto po kilkanaście znaków na każdą literę, którym to kluczem przeto można napisać nie jedno słowo, lecz kilka kartek i nie potrzebują się znaki powtarzać. — 2. że ta xiążka nie jest ani drukowana, ani litografowana, i tylko w jednym ręką pisanym exemplarzu istnieje. — 3. że ten exemplarz jest zawsze pod własnym kluczem Hr. Mensdorffa — i nawet podczas mego procesu zdarzył się wypadek, że przyszła depesza z Wiednia, podczas gdy Hr. Mensdorff był w Lisowicach na polowaniu, i jego najzaufańszy sekretarz Summer musiał z nią jeździć do Lisowic, bo i on nie umiał jej zdeszyfrować. To są podania ludzi bez wątpienia poważnych i zacnych i wcale za mną nie interesowanych. Cóżkolwiekbądź, jeżeli jest ktoś, który klucz rządowy posiada, to powinien nietylko złożyć przed Władzą cały klucz, lecz oraz okazać dowodnie, jakiemi do niego przyszedł drogami, bo klucz można zrobić za pół godziny i można go zrobić umyślnie tak, że z danego szeregu szyfer wyczyta się podług niego to właśnie nazwisko, jakie wyczytać się pragnie. Na takim dowodzie mógł się oprzeć tylko ktoś uprzedzony, ktoś taki, który z góry sobie przedsięwziął wydać wyrok potępiający — ale nie oparłby się na nim żaden Sąd na świecie!

„Zatrzymałem się nad kwestyą klucza cokolwiek dłużej, bo ten punkt, jak mi się zdaje, był najważniejszym powodem do wydania wyroku. Zresztą oparto się tylko na zbiegu okoliczności: dziwny to zaprawdę dowód ze zbiegu okoliczności, gdzie o żadną okoliczność nie zapytano winnego! Dlatego z winy mnie zarzuconej wcale się nie usprawiedliwiam, bo winy tej nie znam. Mogę tylko najuroczyściej zapewnić Rząd Narodowy — i równie uroczyście ogłoszę w obec całej Polski i w obec całego świata: że nigdy w żadne porozumienie nie wchodziłem z Niemcami, nigdy im nic nie odkryłem i nigdy im żadnych memoryałów nie podawałem! Moje patryotyczne życie jest czyste jak łza i nigdy na niem najmniejszego cienia nie było!

„Ażeby sumiennie osądzić człowieka z zarzutów, podniesionych przeciwko niemu, nie dość jest wlepić oczy w kopie jakichś tam depesz, przedłożone przez intrygantów ulicznych, nie dość jest, pod naciskiem wzburzonej opinii ulicznej, złatać zbieg jakichś tam okoliczności w sądzie zaocznym: lecz trzeba wziąć całego człowieka na oko, trzeba wziąć całą winę na oko, trzeba o powody, trzeba o skutki tej winy zapytać, — bo przecież przynajmniej tam, gdzie się sądzi ze zbiegu okoliczności, musi popełnienie czynu być koniecznie prawdopodobnem.

„Proszę popatrzyć na życie moje. Urodziłem się w r. 1826 — a w roku 1840, mając zaledwie rok 15-ty, byłem już uwikłany w owoczesny spisek Przemyski, wzięty pod śledztwo cywilno-wojskowe, i tylko osobistym wpływom mojego Ojca miałem do zawdzięczenia, żem uszedł fortecy. Będąc na uniwersytecie we Lwowie, należałem, jak to powszechnie wiadomo, do najpatriotyczniejszej młodzieży. W r. 1845 wszedłem do konspiracyi, powstanie na celu mającej, i byłem jednym z najczynniejszych w Ziemi Sanockiej. Podczas wybuchu powstania Ojciec mój wyprawił 50 ludzi od siebie, a ja z mojej wsi przyłączyłem się w 5 koni do oddziału pod dowództwem Jerzego Bułharyna. Wzięty, po rozproszeniu oddziału, przez Niemców, siedziałem w Karmelitach lwowskich dwa lata i byłem razem z moim Ojcem na śmierć skazany. Uwolniony przez rewolucyę w r. 1848, stanąłem natychmiast do dalszej służby. Opatrzony upoważnieniem od Rady Centralnej Lwowskiej do zawiązania Rady Obwodowej w Sanoku, wszedłem do tej

rady i mając wówczas lat 22, prezydowałem jej kilkakrotnie z takiem zadowoleniem współobywateli, że mnie jednogłośnie wybrali posłem na Sobór Pragski. [1]) — Po bombardowaniu Lwowa, uległem prześladowaniu Niemców, ledwie znacznemi pieniędzmi zdołałem się wykupić od wzięcia w rekruty, lecz za to wzięto mnie przez długie lata pod najsurowszy dozór Policyi. — Przez lat 10 następnych oddałem się pracy naukowej i literackiej i napisałem 50 xiążek, które nie zostały bez pożytku dla kraju, a za które naród mi głośnem uznaniem zapłacił. W roku 1860, jak tylko się dały czuć pierwsze powiewy nowego ruchu, wziąłem się na nowo do pracy patriotycznej, a chcąc w ten ruch wciągnąć te warstwy społeczne, które zwykle zostają bezczynne, objąłem redakcyę dziennika „Głos“, założonego przez ludzi najzamożniejszych w Galicyi. Przed rozpoczęciem dziennika pojechałem do Warszawy, wszedłem w porozumienie z Komitetem Tow. roln. i innymi patriotami, przez co zawiązałem natenczas pierwsze stosunki Królestwa z Galicyą. — Dziennik, wydawany przezemnie we Lwowie, aczkolwiek zakrzyczany przez demagogów Lwowskich, był jednak pierwszym, który zrozumiał ducha ówczesnych ruchów i godnie uczcił ofiary z Lutego i Kwietnia. Dziennik ten był przez cały czas swego istnienia pośrednikiem pomiędzy Warszawą i Lwowem, a kiedy w lipcu Mieszkańcy Warszawy wydali odezwę do Narodu Polskiego, ja nie wahałem się tę odezwę wydrukować, chociaż nie mogłem nie wiedzieć, co za to mnie czeka.[2]) Jakoż uwięziony natychmiast przez Niemców, zostałem skazany za zbrodnię stanu na dwa lata ciężkiego więzienia i wysiedziałem istotnie półtora roku. Uwolniony w grudniu r. 1862, jeszcze obrzękły od więziennej wilgoci, stanąłem natychmiast do dalszej służby. Kiedy w parę tygodni potem wybuchło powstanie w Królestwie, ja byłem jednym

[1]) Widocznie z ust Kaczkowskiego, lecz bez wszelkich innych dowodów, przejął Korotyński powyższe szczegóły o działalności Zygm. Kaczkowskiego po r. 1848 i przytoczył je w swoim artykule „O autorze“, umieszczonym w I. tomie wydania Ungra „Dzieł Z. Kaczkowskiego“. Szczegóły te podaliśmy już w miejscu właściwem w wątpliwość, jako niczem nie poparte i zgoła nieuzasadnione. Że je zamieścił Kaczkowski w swoim rekursie, to łatwo wytłumaczyć chęcią przedstawienia swej przeszłości w świetle jak najkorzystniejszem w obec Rządu Narodowego.

[2]) Autentyczny przebieg tych wypadków przed i po założeniu „Głosu“ i całą działalność redaktorską Kaczkowskiego, przedstawiliśmy już powyżej, na podstawie wiarygodnych dokumentów i świadectw rękopiśmiennych.

z pierwszych, którzy zawołali we Lwowie, że Galicya powinna mu wszelkiemi siłami pomagać. Świadkami tego są dwaj Warszawianie, którzy podówczas byli we Lwowie, a którzy z bliska są znani Rządowi Narodowemu. — Widząc, że zawiązany Komitet pierwszy nie znalazł dostatecznej wziętości w mieście Lwowie, powziąłem myśl zawiązania osobnego Komitetu dla miasta i myśl tę z pomocą równomyślących doprowadziłem do skutku. Wszedłszy sam do Komitetu miejskiego, zawiązałem stosunki z Warszawą i pracowałem w nim wedle wszelkich sił moich. Prócz tego prowadziłem z własnej ochoty korespondencye do kilku zagranicznych dzienników, a praca ta nie była bez pożytku dla sprawy publicznej.

„Po upadku dyktatury Langiewicza utworzyłem z upoważnienia Komisarza J. Grabowskiego biuro korespondencyjne we Lwowie, a wtedy pracę tę rozszerzyłem do obszerniejszych rozmiarów. Widząc nareszcie, że brak funduszów coraz dotkliwszy przynosi uszczerbek powstaniu, wypracowałem kilka planów finansowych, a przedłożywszy je w pierwszych dniach grudnia Pełnomocnemu Komisarzowi w Krakowie, ofiarowałem się na każde zdobyć się poświęcenie, byle się stać pożytecznym Ojczyźnie.

„To moja biografia.

„Jakże? więc człowiek, który przez cały przeciąg swojego życia, który przez lat 18 zdrowiem, krwią swoją, pracą i poświęceniem bez granic służył Ojczyźnie, który na tej drodze głośnej dorobił się sławy i który mimo tej sławy jeszcze zawsze świetniejszą miał przyszłość niż przeszłość przed sobą, więc taki człowiek nagle i niespodzianie sprzedał się Austryakom za 2 czy 4000 guldenów? Czy jest to podobnem? czy może ktokolwiek w to bez niezbitych dowodów uwierzyć? A jeśli taki człowiek w takich okolicznościach się sprzedał, jeśli za liche pieniądze taką przeszłość zdeptał nogami i całą przyszłość zamknął przed sobą, toż musiałby mieć jakieś niezmiernie rozpaczliwe do tego powody. — Gdzież te powody? czy potrzebowałem tak nagle i takiej sumy pieniędzy? czy byłem przyciśnięty długami? czy nie miałem i nie mam dostatecznych funduszów do życia? A przecież to są rzeczy wszystkim wiadome. I jeśli taki człowiek, który wiedział prawie o wszystkiem, sprzedał się wrogom, to przecież za to musiał coś zrobić, coby nie mogło pozostać w ukryciu. Cóż tedy zrobił? jaki jest czyn jego winy? kogo z jego powodu aresztowano? o czem się Niemcy dowiedzieli od niego?

„Lecz nie dość na okazaniu, że żaden występny czyn przezemnie spełnionym nie został i spełnionym być nie mógł, powi-

nienem także okazać, jakim sposobem mogły być na mnie bez mojej winy rzucone takie podejrzenia.

„Otóż w mojem przekonaniu i w przekonaniu wszystkich rozumnych i niezaślepionych ludzi we Lwowie, cały ten proces jest sztucznie uknuty i wszystkie te dokumenty, wszystkie te niby podchwycone depesze są umyślnie podrobione. Za tem pojmowaniem rzeczy mówi bardzo wiele powodów. I tak najpierwej, austryackiemu rządowi podchwytywać depesze, nie jest tak łatwo, jak się zdaje na oko. Rząd austr. jest, jak wiadomo, słynnym z swej ostrożności, a wypadek podchwycenia depesz jest wcale nieznanym w jego annałach. Cóż dopiero powiedzieć o ostrożności, jaką on musi zachowywać w sprawach tajnej Policyi? Powtóre, gdyby Policya Nar. istotnie podchwyciła korespondencye rządowe na poczcie, to Rząd austr., jak wiadomo, w takich wypadkach surowy, byłby, dowiedziawszy się o tem z papierów Bogdanowicza i publicznego rumoru, tych urzędników kryminalnie i pewnie nielitościwie ukarał, — a tymczasem Rząd tylko kilku urzędników pocztowych kazał przenieść na inne miejsce [1]), co jest bijącym w oczy dowodem, że się przekonał, że przeniewierstwa nie popełnili, tylko popadli w podejrzenie. — Po trzecie, jeżeli Rząd rzeczywiście dowiedział się z papierów Bogdanowicza, że mu list jakiś do Krakowa pisany na poczcie podchwycono, czy można dopuścić, ażeby Mensdorff mimo to w kilka dni potem oddawał drugą a potem trzecią depeszę na tę samą pocztę, nie zapewniwszy się pierwej, że także podchwycone nie będą? Nakoniec dla każdego, kto zna machinę Rządu austryackiego, nie jest prawdopodobnem, ażeby Mensdorff asygnował dla kogoś 2000 f. do Wiednia, kiedy je sam może wypłacić; i nie jest prawdopodobnem, ażeby kogoś jadącego do Wiednia rekomendowano przez pocztę, a nie dano mu rekomendacyi do rąk, — najmniej zaś może taka rekomendacya odnosić się do mnie, bo mnie znają wyższe urzędy tak dobrze w Wiedniu, jak i we Lwowie, i gdybym zwłaszcza z ofertą zdrady miał iść do Ministra, pewniebym żadnej nie potrzebował rekomendacyi. — Takich nieprawdopodobieństw pokazałoby się zapewne więcej, gdyby można te depesze obaczyć; ale nie pokazano ich ani mnie, ani żadnemu z moich przyjaciół. Że wreszcie stronnictwo Czerwonych

[1]) Z zacytowanego przez nas nekrologu „Dziennika Polskiego“ okazuje się jednakże, iż jeden z tych urzędników, Ludwik Bernaczek, zmarły w r. 1873, odsiedział 3 lata więzienia. O tym Bernaczku wspomina również Ziemiałkowski w III. części „Pamiętników“.

lwowskich, które ma dzisiaj w ręku Policyę, umie fałszować akta urzędowe, są na to dowody: Pod koniec miesiąca sierpnia 1863, kiedy się toczył zawzięty spór pomiędzy nimi a Komitetem Białym, puścili w obieg cyrkularz Mensdorffa do Starostów, którym pośrednio zadenuncyowali cały skład Komitetu, i pokazało się potem dowodnie, że akt ten był podrobiony. Jest to fakt w całym kraju publiczny.

„Prócz tego jest dzisiaj rzeczą równie wiadomą, że urzędnicy austr. we Lwowie podrabiają urzędowe dokumenty dla zysku i sprzedają je organizacyi jako kopije oryginałów, które jednakże nigdy nie istniały. Ja sam byłem w tem położeniu jeszcze w r. 1861, że kupowałem od pewnego urzędnika takie kopje dokumentów [1]), kilka razy przynosił mi nawet niby oryginały, — a potem się pokazało, że wszystkie były podrabiane i podrabiane w tym duchu, jaki właśnie w nich znaleść chciałem. — Dziś, z rozszerzeniem organizacyi, przemysł ten na daleko szerszą prowadzi się skalę. Może tu zatem nietylko ten zachodzić wypadek, że Czerwoni sami popodrabiali depesze, ale i ten także, że sami zostali oszukani w tym kierunku, w jakim właśnie oszukani być chcieli. Cóżkolwiekbądź, chcąc z czystem sumieniem w autentyczność tych depesz uwierzyć, trzebaby na nie mieć takie dowody, które najmniejszego nie zostawiają wątpienia. A sąż na ich autentyczność choć jakiekolwiek dowody?

„Pozostaje mi jeszcze okazać, dlaczegoby lwowscy Czerwoni tak sztuczną podjęli przeciw mnie machinacyę? Mieli oni i do tego powody. Przedewszystkiem muszę nadmienić, że od lat 10 byłem zawsze przez nich niecierpiany i w najrozmaitsze sposoby potwarzany i prześladowany. Przyznaję zresztą otwarcie, że i ja nie miałem do tego stronnictwa żadnej sympatyi. Nie dzieliły mnie od nich zasady [2]): ale nienawiść, będąca ich głównem uczuciem, i błoto, będące główną ich bronią, zawsze odrzucały mnie od nich. Różnemi czasy najzaciętsze walki staczaliśmy z sobą, które zresztą są wszystkim wiadome. Jeżeli był kto między Białymi, do którego oni nieubłaganą mieli nienawiść, to tym Białym ja byłem. I to także wiadomo. — Teraz pod koniec listopada mogli mieć jeszcze specyalne powody, ażeby mnie zgubić w opinii i złamać. I tak

[1]) W tem miejscu na marginesie u góry dopisek ołówkiem, ręką Kaczkowskiego: „Rapp. dla redakcyi dziennika „Głos“.

[2]) W kopii, znajdującej się w zbiorze Tad. Smarzewskiego, dodano słówko: „może“. „Nie dzieliły mnie może od nich zasady.

najpierwej, właśnie w tym miesiącu [1]) rozeszła się wieść, że X. Sapieha uwolnionym zostanie z więzienia, a ponieważ mieli mnie zawsze, lubo niesłusznie, za głównego doradcę X. Sapiehy, obawiali się, ażebyśmy obydwa nie pozbawili ich wpływów i władzy. 2-o. Wiedzieli o tem, że będę powołanym, ażeby we Lwowie założyć biuro prasowe, a prawdopodobnie i Dziennik, mający być organem Władz Narodowych, chodziło więc Janowi Dobrzańskiemu o to, ażebym ja w tem biurze nie zasiadł, i nie założył takiego Dziennika. 3-o. Chodziło o to, ażebym w ogóle nie zajął takiego stanowiska urzędowego, z któregobym tem ważniejsze wpływy mógł wywierać na władzę i tem potężniej mógł gromić plugastwa tej szajki lwowskiej, która się nazywa Narodową Policyą.

„I jak to prowadzono tę całą robotę! Jeszcze w październiku, a zatem wtedy, kiedy nie było nic przeciw mnie, Policya zaczęła rozsiewać przeciw mnie najrozmaitsze podejrzenia, które jednak się nie przyjmowały, próbowała nawet wziąć mnie pod dozór, co także się nie udało. Kiedym pod koniec listopada, w sprawie uwolnienia powstańca Juliusza Drohojowskiego, na prośbę jego przyjaciół, był zniewolony pójść kilka razy do Dyrektora austr. Policyi Hammera, Policya Narodowa zaraz podchwyciła tę sposobność i rozsiała po mieście, że miewam konferencye z Hammerem. Kiedym do Krakowa wyjechał, powołany przez Komisarza, już trzeba było koniecznie coś ważniejszego wymyśleć, bo groziło niebezpieczeństwo biura prasowego: znalazł się więc wtedy list, rekomendujący Merklowi jakiegoś szpiega, i na podstawie tego listu zaraz przysłano za mną oskarżenie do Krakowa. Kiedy to oskarżenie nie skutkowało, a ja pojechałem do Wiednia, znalazła się depesza, rekomendująca mnie Ministrowi Policyi i zaraz wiadomość o niej rozsiano po mieście. A kiedy opinia publiczna nie chciała temu dać wiary, ażebym ja mógł się zniżyć do denuncyacyi, znalazła się zaraz druga depesza, że ktoś jakiś memoryał podał Rządowi i wiadomość tę przypięto do mnie z tem objaśnieniem, że memoryał ten mógł nie obejmować żadnych nazwisk, a przeto mógł nie pociągnąć widocznych skutków za sobą. Kiedym został zawezwany przed Sąd do Lwowa, ażeby mnie pierwej osądzić w opinii, nim Sąd mnie osądzi, rozkrzyczano po mieście, żem się już zastrzelił i że nie przyjadę. Pod naciskiem tej agitacyi zniewolono Naczelnika, że zwołał wtedy jakiś Sąd zaoczny. Kiedym przyjechał do Lwowa, odjęto mi bezpieczeństwo osoby, ażeby mnie do wyjazdu zniewolić.

[1]) W wyż wspomnianej kopii: „w październiku".

Kiedy w skutek mego przyjazdu opinia obróciła się za mną, zwleczono tę sprawę póty, póki nie uzyskano dość czasu, ażeby pomału tę opinię osłabić. Nareszcie nie zwoławszy Sądu, nie zapytawszy mnie o nic, nie dozwoliwszy mi nawet usprawiedliwić się na piśmie, doręczono mi wyrok winy i wygnania z kraju. Azaliż nie jest tutaj widocznem, że cały ten proces jest dziełem sztucznie uknutej intrygi. Azaliż postępowanie takie ze mną odpowiada pojęciom sprawiedliwości i bezstronności, a raczej nie wykazuje jawnie, że w tej całej sprawie jakieś uboczne działały wpływy? — Czy może Rząd Narodowy, Najwyższa Władza szlachetnego i sprawiedliwego narodu, na takich podstawach wydany wyrok potwierdzić i przyjąć zań odpowiedzialność na siebie?

„Lecz gdyby nawet po dokładnem śledztwie znalazły się dostateczne dowody na to, że w mowie będące depesze są autentyczne, to mam sobie za obowiązek przedłożyć jeszcze Rządowi Nar. pytanie: Jak skoro nie zdeszyfrowano mego nazwiska, — a z pewnością go nie zdeszyfrowano, — dlaczego na podstawie tych oskarżeń, tylko mnie wytoczono proces, a nikomu innemu? A wszakżeż ten sam zbieg okoliczności może się tak samo dać zastosować do osób innych. Więc gdyby tu nawet istotnie została skonstatowaną wina, — czego jednak nie mogę przypuścić, — to może tę winę popełnił kto inny, ale nie ja! którego przeszłość głośno mówi przeciwko wszelkiej podobnej winie, który nigdy nie miałem stosunków z Niemcami i który nie znajdowałem się w tem położeniu, ażebym się mógł był zaprzedać za jakiekolwiek, a tem mniej jeszcze za takie pieniądze.

„Kończąc niniejszy rekurs, zanoszę przedewszystkiem prośbę do Rządu Narodowego, ażeby w mądrości swojej raczył usprawiedliwić cierpkość albo gwałtowność niektórych w tem Piśmie użytych wyrazów. Człowiek, znajdujący się w mojem położeniu, nie jest nawet przy najsilniejszej woli w możności osładzania goryczy, którą całą jego istotę zalano, ani też hamowania naturalnej w tym razie gwałtowności swych uczuć. Formą mojego Pisma nie miałem zamiaru nikomu ubliżać. Że wszelkie władze Narodowe szanuję, złożyłem tego w ciągu mojego procesu dostateczne dowody, stosując się do wszystkich jej rozporządzeń; dzisiaj składam tego uczucia dowód najdobitniejszy, odwołując się od doręczonego mi we Lwowie wyroku do Rządu Narodowego i wyrażając głębokie zaufanie, że sprawiedliwość mi wymierzoną zostanie. W tem zaufaniu proszę Rządu Narodowego:

1-o. Ażeby wyrok doręczony mi we Lwowie w każdym wypadku za nieważny i niebyły, a mnie na podstawie mojego niniejszego usprawiedliwienia za niewinnego uznać raczył — i obadwa te postanowienia w Pismach swych urzędowych ogłosić rozkazał.

2-o. Gdyby moje niniejsze usprawiedliwienie się zostało uznanem za niedostateczne, proszę Rządu Narodowego:

a) ażeby wszystkie podane tutaj przezemnie podstawy mojej obrony przez osobnego *ad hoc* delegowanego Komisarza we Lwowie sprawdzić rozkazał;

b) ażeby w razie takim, jeżeli wyżwspomniane depesze okażą się niewątpliwie autentycznemi, a zatem istota karygodnego czynu skonstatowaną, rozkazał dokładnie rozpatrzyć, azali według tego samego zbiegu okoliczności tej winy nie mógł popełnić kto inny;

c) ażeby Rząd Nar. zwołał Sąd na mnie i Sąd taki, jaki się mnie i moim zasługom należy. A ponieważ zwołanie jawnego Sądu w kraju, niestety! mnogie nastręcza trudności, więc proszę Rządu Nar., ażeby taki Sąd na mnie rozkazał złożyć w Paryżu, gdzie żadne nie zachodzą przeszkody, a dokąd ja teraz wyjeżdżam i gdzie przyjechawszy, natychmiast przyjazd mój zamelduję Ajencyi Polskiej."

„Wiedeń, d. 31 stycznia 1864. *Z. K.*"

Powyższe zakończenie rekursu nie od razu w formie tak spokojnej wybiegło z pod pióra Kaczkowskiego. W brulionie, z którego tekst rekursu podajemy, znajduje się zakończenie inne, bez porównania gwałtowniejsze, które jednak Kaczkowski, snadź po namyśle, przekreślił i zmienił w sposób powyżej podany. Ponieważ jednak tekst pierwotny maluje dobitnie usposobienie ówczesne tak boleśnie dotkniętego w swych uczuciach i godności pisarza i obywatela, przytaczamy w całości ustęp przekreślony, który podawszy mniej więcej te same co powyżej postulaty, brzmi w zakończeniu:

„Składam mój los w Wasze ręce, Mężowie! którzy dzisiaj rządzicie Polską. Składam go z zaufaniem, że mi wymierzycie sprawiedliwość w imieniu tego Narodu, który nigdy nie wyrządza krzywdy swym synom. Pomnijcie na to, że macie przed sobą człowieka, znajdującego się w położeniu takiem, w którem się niema nic już do stracenia. Możecie odemnie wymagać, ażebym mienie i zdrowie i życie dla Ojczyzny poświęcił, lecz nie możecie wymagać, ażebym zniósł hańbę na sobie, choćby to miało którą z Władz Waszych wydobyć z jakich trudności. Zapewniam Was, że z całą świadomością moich sił i energii, jestem przygotowany na wszystko. Jeżeli u Was sprawiedliwości nie znajdę, ogłoszę całą tę sprawę

publicznie, bez względu na to, jakie stąd skutki wynikną dla osób lub Władz, działających w Waszem imieniu." [1])

Rozwaga, której nigdy Kaczkowskiemu nie brakło, usunęła z rekursu ten ustęp, wraz z zawartą w nim groźbą, którą podyktowała piszącemu rozpacz, a której, jesteśmy pewni, nie byłby zresztą nigdy spełnił Kaczkowski, z uwagi na następstwa, jakieby to pociągnąć musiało. Z piersi, przygniecionego niezwykłą katastrofą człowieka, wydarł się ten krzyk rozpaczy, rychło rozmysłem stłumiony i zastąpiony znacznie łagodniejszym i pozbawionym wszelakiej groźby, ustępem.

Należy też przypuszczać, że ten rekurs Kaczkowskiego, napisany d. 31 stycznia 1864 i natychmiast do Warszawy przesłany, wywołał zniesienie przez Rząd Narodowy wyroku, pismem z d. 1 marca. Rozstrzygnięcie to Rządu Narodowego, jakkolwiek nie uniewinnia od razu Kaczkowskiego, lecz czyni zadość wyrażonemu przezeń życzeniu i kasując wyrok lwowski, ustanawia dla rozpatrzenia i osądzenia tej sprawy Sąd doraźny w Paryżu.

Kaczkowski już w pierwszych dniach lutego był w stolicy Francyi, gdzie ponownego doznał rozczarowania. Znalazł dla siebie usposobienie niedobre, o czem donosi Sewerynowi Smarzewskiemu w liście z d. 26 lutego, w kilkanaście dni po przybyciu do Paryża [2]). Odpowiedziano mu wprawdzie na listy, ale dano do zrozumienia, że „na teraz stosunków żadnych". Dotknęło go to boleśnie, nie wymagał bowiem zawiązywania stosunków, chciał tylko, „ażeby ludzie, którzy mogą mieć wpływy w Rządzie Nar., zasięgnęli od niego jeszcze wiadomości o sprawie, w imię zasady: *audiatur et altera pars.* — Powodem tego zachowania się było to, że jeszcze w grudniu Hôtel Lambert otrzymał dwa listy z Galicyi, prawdopodobnie ze Lwowa, od osób rzekomo „pewnych i na wszelką wiarę tam zasługujących", w których to listach zarzuty, wytoczone przeciw Kaczkowskiemu, przedstawione są „jako pewne i na dowodach oparte". — „Oprócz tych dwóch listów — donosi Kaczkowski — napisał tu jeszcze list Rodakowski, obszerny i szczegółowy, naturalnie prywatny, lecz napisany tak i w tym celu, ażeby był udzielony Członkom Hotelu. W tym liście powiada, że dowodów przeciw mnie niema, że postępowanie Władz Nar. ze mną było nieporządne, nareszcie wyroku nie pochwala, ale ani nie wypowiada swego przekonania, żem nie winien, ani nie wyjaśnia ze

[1]) Ze zbiorów rapperswilskich. Ms.

[2]) Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego.

swej strony, jakim sposobem mogły być przeciw mnie podniesione takie oskarżenia bez mojej winy. Ten list, jakkolwiek R. i tutaj nie wielkie ma zaufanie, jednak ze względu na to, że był moim tak bliskim przyjacielem, najwięcej mi tu zaszkodził."

Te wszystkie informacye otrzymał Kaczkowski w odpowiedziach, jakie mu dano na jego listy. Kto owe odpowiedzi pisał, nie wymienia; treść zaś ich jest taka, że jakkolwiek dowodów dostatecznych przeciw niemu niema, to wszakże jest to historya tak ciemna i zawikłana, że „dopóki wyjaśnioną nie zostanie, stosunki z nim za zerwane uważać muszą". Tak odpowiedział Hotel Lambert, tak odpowiedzieli i inni, tylko jeden Ruprecht nic dotąd nie odpowiedział.

„Ja wiem tylko tyle — pisze z widocznem zniechęceniem Kaczkowski, — że już się do nikogo nie zgłoszę, bo już mnie ta sprawa do ostatka zmęczyła — i zresztą dopraszać się audyencyi u ludzi, którzy niedawno temu dobijali się o zaszczyt zrobienia znajomości ze mną, już mi prawie ejekcye sprawia. Lecz choćbym uzyskał audyencyę u p. Ruprechta, to nie wielkie z niej sobie robię widoki, bo jak mi się zdaje, przeważa tu w ogóle przekonanie, że jakkolwiek Władze lwowskie postąpiły sobie ze mną i niesprawiedliwie i niepolitycznie i ja mogę być całkiem niewinnym, jednak jestem już poświęconym, a Rząd Nar., chcąc tę sprawę naprawić, miałby w każdym razie tyle roboty, że dziś żadne indywiduum tego nie warte, a w danym razie musiałby wiele osób, a nadto jeszcze swoje własne Władze skompromitować. Lepiej więc zostać przy tem, co jest, co o tyle im łatwiej, ile że są bezimienni i żaden z nich żadnej odpowiedzialności się za to nie obawia. Tu także zapewne główny jest powód, dlaczego nikt z urzędowych figur osobiście ze mną widzieć się nie chce, bo ganić postępowania Władz Nar. nikt z nich nie może, a pochwalać go w obec mnie nie chce."

„Jednakże — dodaje — ja mam jeszcze inne drogi, których zresztą już użyłem, a na których i rekurs mój i potrzebne objaśnienia do niego doszły już do Rządu Nar. Przynajmniej tak się spodziewam. Obaczymy, czyli i jaka będzie odpowiedź."

Zaznaczyliśmy już powyżej, że w pierwszym liście, pisanym do Seweryna Smarzewskiego, w dzień otrzymania wyroku lwowskiego, a przed samym wyjazdem na „banicyę", prosił go Kaczkowski, aby interwencyą swoją spowodował XX. Sapiehów, by w sprawie jego napisali do Czartoryskich. Teraz ponawia tę prośbę, nazwiska wszakże Sapiehów nie wymienia, — ma już bowiem pewne pod tym względem wątpliwości.

„Byłoby — pisze — z wielkiem dla mnie pożytkiem, gdyby się ktoś ze Lwowa tutaj za mną odezwał. Obiecałeś, że taki list wyjednasz. Przypominam Ci tę obietnicę i ponawiam prośbę. Czy się uda to zrobić, to zapewne pytanie. Powiadam: pytanie, dlatego, że nie umiem odgadnąć, kto to taki bardzo pewny i wiarogodny popisał te złe listy do Hotelu? Obawiam się bardzo, czy ci właśnie, od których Tobie najłatwiej było takie listy wyjednać, nie pospieszyli się i nie napisali źle? Łatwo tam tego dojdziesz. Również byłoby dla mnie bardzo pożytecznem, gdyby albo Moszczański, albo Ziembicki[1]), albo obadwa napisali do Gałęzowskiego. Bądź łaskaw wywrzeć Twój wpływ w tym kierunku... ja już o to pisałem."

List ten pisany był widocznie w najgorszem usposobieniu ducha, a to tak dalece, że nawet w obec najwierniejszego z przyjaciół nie zataił Kaczkowski akcentu nieufności. „Nie wiem — pisze w końcu tego listu, — czy Ci listy moje będą przyjemne. Jeżeli chcesz, abym do Ciebie częściej pisywał, — to daj znak życia."

Następny list do Seweryna Smarzewskiego nosi już datę: 19 kwietnia; jest bardzo obszerny, obfituje w mnóstwo szczegółów o polityce zagranicznej w ogóle i w odniesieniu do sprawy polskiej w szczególności, oraz o stosunkach emigracyjnych; wszystko nacechowane dość pesymistycznym nastrojem. — Było to jednak w czasie, gdy Kaczkowski otrzymał już wiadomość o kasacie wyroku lwowskiego, lecz zarazem okryty był żałobą po śmierci ojca, do którego był mocno przywiązany, a którego pozostawić musiał niemal już konającym, wyjeżdżając ze Lwowa.

Uważamy za stosowne opuścić wszystkie wywody i *les on-dit* polityczne, a także bardzo czarne przedstawienie stosunków emigracyjnych, a podajemy z tego listu to tylko, co się do samej „sprawy" odnosi.

„Przechodząc — czytamy tam — do usposobienia tutejszego dla mnie, o ile o niem coś wiedzieć mogę — a dochodzą mnie tak samo dobre, jak i złe wiadomości, — to zdaje mi się, iż przekonania się tutaj do tego stopnia wytarły, że po prostu nikt w moją winę nie wierzy. Być może, że w pojmowaniu tego procesu są rozmaite odcienia, do czego się przyczyniła niemało plotka czy prawda o gal. arystokracyi, która się miała starać

[1]) Lekarzy lwowscy.

w Wiedniu o stan oblężenia, a z którą niektórzy mnie wiążą, ale w fakt taki, jak jakieś denuncyacye, zdrady lub podawanie memoryałów dla sprawy polskiej szkodliwych, a przez Rząd zapłaconych, nikt tu nie wierzy. Mimo to jednak niemasz nikogo, któryby sobie miał za obowiązek zbliżyć się do tej sprawy, rozpoznać ją i do stanowczego załatwienia dopomódz. Owszem, jeżeli się nie mylę, ze wszystkich tych ludzi, którzyby mieli prawo lub obowiązek własnemi rękami dotknąć się tego procesu, przeważa dziś takie usposobienie, ażeby go się jak najmniej dotykać i po prostu na kasacyi lwowskiego wyroku zakończyć. Jakoż wszyscy ci ludzie mi mówią: Tu niema więcej co robić, to koniec. Tak samo jest usposobiony Sapieha, tak Skorupka, tak cały Hôtel i t. d. — Jeżeli ze Lwowa tutaj nadeszlą bądź akta, bądź tylko umotywowaną opinię, t. j. coś takiego, co będzie mogło służyć za substrat sądowi, to mimo to sąd się zbierze, osądzi i wyrok ogłosi i zrobi wszystko, co będzie słusznem i możebnem; ale to wszystko trzeba będzie wydeptać, wymęczyć, wydusić. Sam nikt nic nie zrobi — choć ręczę za to, że gdyby były powody do potępienia i skondemnowania, to byłoby chętnych współpracowników bez końca. Taki jest stan rzeczy w ogóle. Co do osób, to z Sapiehą dotąd się nie widziałem. Przyznam Ci się otwarcie, że mi się zdaje (może niesłusznie), iż stosunek Sapiehy do mnie był taki, że on powinien był albo przyjść do mnie, albo mnie wezwać do siebie; tego nie zrobił, więc i ja nie byłem u niego. Ale o ile wiem, wszędzie jak najlepiej mówi o mnie i na dowód mojej niewinności, przytacza takie okoliczności, które nie mogły pozostać bez skutku. Skorupka stoi przy mnie jawnie, widujemy się często, przez niego robię, co mi potrzeba. Ma on zawsze odwagę wypowiedzieć swoje przekonanie — i zdaje mi się, że wypowiedział je także w obec Rządu Nar., czem się zapewne do kasacyi przyczynił. Wodzicki, przyjechawszy tutaj, przywiózł wiadomość o kasacyi wyroku z tym dodatkiem, że na tem koniec. Jego zdanie było za mną, ale nie mógł go roznieść wszędzie, bo w parę dni po przyjeździe, do Lizbony odjechał."

W dalszym ciągu tego listu użala się raz jeszcze Kaczkowski na postępowanie Hotelu Lambert względem niego. „Przyjaciele gen. Zamoyskiego wzięli to zachowanie się Hotelowi za złe i chcieli już demonstrować, ale tymczasem zwalono X. Władysława, tymczasem nadjechał Sapieha. Gen. Zamoyski powiedział: „Sprawa Kaczkowskiego, to sprawa Sapiehy" — i na tem się skończyło. Zresztą za przyjazdem Sapiehy zaczęły się kłótnie i burdy; na

Zamoyskiego zrobiono napad, poczem Zamoyski wyjechał do Londynu, Czartoryski wyjechał na wieś, Sapieha wszedł w czynność a raczej wjechał i jedzie tak samo, jak we Lwowie." „Więc o mnie — dodaje Kaczkowski — już niema mowy." Dowiedział się przytem, że Hôtel już żałuje swego z nim postąpienia. „Chcieliby to naprawić, a nie wiedzą jak", czekają może, że on sam poda do tego sposobność, — „ale ja teraz — oświadcza Kaczkowski — stosuję się do ich woli i do nich nie pójdę, — a jak się sprawa moja zakończy, to także do nich nie pójdę, bo znowu do mojej woli się zastosuję."

List ten, bardzo obszerny, obejmujący bowiem całe 4 arkuszyki bitego pisma, pełen jest, jak to już zaznaczyliśmy, gorżkiej krytyki, nie oszczędzającej ani osób, ani sytuacyi politycznej, ani stosunków emigracyjnych. „Gdyby go — przyznaje sam piszący — odczytała Władza Nar., to mogłaby mnie za to skazać na jaką deportacyę." — Te wszystkie szczegóły, zkądinąd nie pozbawione interesu i znaczenia, opuszczamy, jako ściśle poufne zwierzenia przed przyjacielem. Gorycz ich łatwo sobie wytłumaczyć ciągłą niepewnością, w jakiej żył Kaczkowski, pewną chwiejnością w stosunkach z ludźmi, zwłaszcza z rodakami, od których stronić począł, wreszcie daremnem oczekiwaniem „zupełnego uniewinnienia", czem go łudzono.

I tak n. p. w tymże samym liście pisze Kaczkowski:

„Skorupka mi przyniósł dzisiaj wiadomość, iż Sapieha wczoraj przed nim utrzymywał, „że Rząd Nar. mnie uniewinnił" i pytał go, czyli wyrok wydany na mnie lub wiadomość o nim była drukowana w jakiem piśmie polskiem, bo jeśli była, to się wydrukuje uniewinnienie. Jutro będzie się ta kwestya debatować na nowo. Sapieha ma teraz dużo władzy i mógłby wiele do zakończenia tego procesu dopomódz. Prócz tego dopytywali się Komisarze Rządu Nar. o mnie i moje teraźniejsze usposobienie, a to w tym celu, że w danym razie byłbym im do czegoś potrzebnym. O co chodzi, nie wiem; wiem tylko tyle, że Komisarzy jest wielu, ale ludzi niezmiernie mało."

Tak ciągle targany wiadomościami, nie zawsze prawdziwemi, które tylko budziły nieuzasadnione nadzieje, zgnębiony zarazem śmiercią ojca, z którego zgonem — jak pisał — „zerwał się ostatni węzeł rodzinny, jaki wiązał go z krajem", — musiał przytem myśleć Kaczkowski o zgotowaniu sobie jakiej takiej przyszłości na obczyźnie. Na zapytanie Seweryna Smarzewskiego w tym względzie, odpowiada:

„Postanowienie moje zależeć będzie od zakończenia mojej sprawy. Teraz mogę Ci tylko tyle donieść, iż, jakem się tego spodziewał i o czem podobno nadmieniłem w moim liście, pisanym do Ciebie na wyjezdnem ze Lwowa, pozostanie w Paryżu, a nawet wyrobienie sobie tutaj pewnego stanowiska, byłoby mi dość łatwem. Do dziś dnia już mam propozycye od dwóch dzienników francuskich, ażebym wstąpił do ich redakcyi jako referent spraw niemieckich. Praca to niewielka — ale tutaj popłatna. Ofiarują mi na początek 6000 fr. rocznie z widokiem awansu na współredaktora i 12.000 fr. Potargowawszy się — a mianowicie popracowawszy parę miesięcy darmo, mógłbym potem od razu wstąpić jako współredaktor i dostać więcej niż 6000, a może nawet od razu 12.000. Tobym otrzymał tem pewniej, gdybym wstąpił do którego z półurzędowych dzienników lub do tej warstwy należących, jak n. p. „Pays“, albo „La France“. Wstąpiwszy do takiego dziennika, miałbym tę korzyść, iż mógłbym się bardzo prędko naturalizować, wejść jak najłatwiej we wszystkie Stowarzyszenia literackie i artystyczne, zdobyć sobie w krótkim czasie pewne stanowisko (ręczę Ci za to, że daleko lepsze, niżeli ma taki Choński, albo Chojecki), a nawet przyjść do Legii honorowej. Wstępując zaś do takiego dziennika, jak n. p. „La Presse“ Girardina, przy moim jakimkolwiek talencie do polemiki i mogąc nią wojować przeciwko Niemcom, mógłbym z nim zrobić doskonały interes pieniężny. Wszystko już wysondowałem dokładnie — i muszę Ci powiedzieć, iż miałem przytem niemałą pociechę, a to nietylko dlatego, żem się przekonał, żebym tu z głodu nie umarł, ale także dlatego, że mnie tu w takich kołach wszędzie znają z nazwiska, jeżeli nie jako autora, to pewnie jako Redaktora „Głosu“, i tę okoliczność uwzględniają. Zaś co do sprawy mojej z Władzami rewolucyjnemi, to jedni o niej wiedzą, drudzy nie wiedzą, lecz i jedni i drudzy mają ją za nic, *pour rien*. Francuz jest praktyczny i pyta przedewszystkiem o fakt, a z człowiekiem, który mu faktu nie umie określić, nie gada. — Takiebym tedy mógł mieć widoki tutaj, któreby jeszcze mogły być o tyle lepsze, ileże czuję się jeszcze tak młodym, iż miałbym odwagę jeszcze się zacząć czegoś uczyć i nauczyć; możnaby zatem od referatu spraw niemieckich pójść z czasem dalej. Lecz przyznam Ci się, że mnie ten widok wcale nie ciągnie.“

Nie pociągały go te widoki przyszłości w obczyźnie! Pomimo bowiem goryczy, jaka mu zalewała duszę, Kaczkowski począł wtenczas tęsknić do kraju, do literackiej pracy wśród swoich, któraby całą ożywczą siłę czerpać mogła z ojczystego powietrza i rodzinnej ziemi. To też wyznaje w dalszym ciągu przyjacielowi:

„Nie mogę się tutaj zaaklimatyzować, — i czuję naprzód, że niby mi tutaj tak nie smakowało, jak w Polsce. Krótko mówiąc, jestem albo zanadto polskim, albo już za starym, abym się mógł dobrowolnie expatriować. Prócz tego, wziąwszy się tu do roboty, trzebaby zrobić wieczny rozbrat z polską literaturą. Nie wiem, czy to, co jeszcze po polsku napiszę, będzie co warte, czy nie, ale czuję to, że jestem mocno nabity, muszę się koniecznie wypisać — a gdybym się nie wypisał, śród najszczęśliwszych powodzeń we Francyi, niestrawność tę wlókłbym z sobą do grobu. Powtarzam Ci zatem, że jeszcze dziś nie wiem: lecz zdaje mi się, że jeżeli mnie okoliczności do emigracyi nie zmuszą, to pewnie powrócę do kraju.“ [1])

Nie powrócił wszakże na stałe już nigdy, a z literaturą polską przez długie lata wziął rozbrat, — do prac bowiem literackich trudno zaliczyć, wydaną w Paryżu w r. 1866, broszurę p. t. „Rewolucyjne sądy i wyroki“, napisaną w obronie własnej, w owej nieszczęsnej sprawie swego zasądzenia. Sprawa ta ciężyła mu ciągle kamieniem na duszy i nie dawała spokoju. W pierwszych dniach maja pognała go ona do Londynu, zkąd powróciwszy, donosi d. 10 maja Sewerynowi Smarzewskiemu [2]), że tam znalazł „inny świat, atmosferę chłodną i zdrową, politycznej presyi, iluzyi, blagi nic a nic“. To też tam i na jego sprawę „zupełnie inaczej się zapatrują“. Widział tam wszystkich swoich znajomych i „nie znalazł wśród nich ani jednego, któryby miał o nim najmniejszą wątpliwość“, chociaż i tam swego czasu dochodziły „wszystkie wersye i plotki, a nawet premedytowane insynuacye“. Wszystkie te zdania streszczają się w słowach, wypowiedzianych przez generała Zamoyskiego. Powiedział mu on: „Ja tej sprawy szczegółowo nie roztrząsałem, i nawet jej roztrząsać nie będę, bo faktu nie widzę. Gdzie jest zdrada, tam są jej skutki. Zresztą, znam Pana i znam naszą demokracyę, i to mnie tem bardziej od egzaminowania tej sprawy dyspensuje.“ — „Zamoyski — pisze dalej Kaczkowski — krótko i węzłowato tę kwestyę odprawił, był ze mną sam i prosił mnie, abym ja z nim był tak samo, jakeśmy byli dotychczas. Tak samo zachowali się wszyscy. — Prawie razem ze

---

[1]) List z d. 19 i 20 kwietnia 1864 r. Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

[2]) List ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

mną przyjechał tu Mieczysław Waligórski, który pod firmą X. Konst. Czartoryskiego był rzeczywistym Komisarzem Rządu Nar. w Londynie. Bardzo mi to było na rękę, bo Waligórski jest człowiek rozumny, zręczny, a co najważniejsza, spokojny — on mi był tedy najlepszym na parlamentarza do X. Adama... Kiedy był pierwszy raz u Sapiehy i zaczepił o tę historyę, Sapieha był nadzwyczajnie zajęty i roztargniony i odpowiedział mu krótko: Zrobię wszystko dla niego, ale niech mi krótko napisze, co i jak mam zrobić. — Napisałem więc taką notatkę. Kiedy mu ją Waligórski oddał, Sapieha mu dał taką odpowiedź, której sens krótki da się wyrazić następnie: Najpierwej dziwię się, że Pan się dotykasz tej sprawy; co to z tem robić w tych czasach? a powtóre: Czego on chce? na co rozmazywać tę sprawę? Wyrok jest skasowany — reszta się pomału zatrze i zapomni. — Wtedy Waligórski powiedział mu kazanie... dał mu uczuć całe swoje oburzenie, co mu było tem łatwiej, ile że lubo nie był tak bliskiemi i tak jawnemi stosunkami ze mną związany, jak Sapieha, przyznał się do jawnej przyjaźni ze mną i oświadczył postanowienie utrzymania tej przyjaźni w jawności zawsze i wszędzie. Rozmowa skończyła się na tem, iż Sapieha obiecał oddać tę sprawę do załatwienia Majewskiemu, byłemu Pełnomocnemu Komisarzowi w Krakowie podczas mego procesu, a bawiącemu obecnie w Paryżu i obiecał zarazem ze swojej strony wszystko zrobić, co do jej zakończenia prowadzić będzie. Waligórski zaś dodał mi z swojej strony: Nie wątpię, że każdy z nich zrobi, co powinien, ale trzeba, żebyś im twardo siedział na karku."

Tej ostatniej rady posłuchał Kaczkowski i nie ustawał w zabiegach. Udał się najprzód do byłego pełnomocnego Komisarza Rządu Nar., Władysława Majewskiego. „Udałem się do niego — pisze — nabity ostro, choćby na awanturę. Ale nie takto łatwo zrobić awanturę z dyplomatami, jak się zdaje. Majewski, obaczywszy mnie, rzucił się ku mnie z uściskami i ubolewaniami. Na początek rozmowy zapewnił mnie z swojej strony, że on osobiście i był i jest przekonany, że ja ani winien, ani mogłem być winien. Cały ten proces nie ma sensu, ale dziwnemi poszedł drogami. Opowiedział mi zatem cały bieg tej sprawy, przyczem wiele nowych dowiedziałem się rzeczy. I tak n. p. Rząd Nar. od samego początku i potem jeszcze długo miał sam przekonanie, że ja nie mogę być winien. Pan stałeś — powiadał mi Majewski — w opinii Rządu Nar. tak czysto i tak wysoko i nienawiść pewnej partyi we Lwowie ku Panu była Rządowi Nar. tak dokładnie znajoma,

iż mimo niezliczonego mnóstwa oskarżeń przeciwko Panu przysłanych i urzędowemi i prywatnemi drogami, jeszcze aż do przyjazdu Pańskiego do Lwowa wydawał rozkazy, ażeby tę sprawę jak najgruntowniej zbadać, winnych tej intrygi ukarać, a Pana jak najsolenniej uniewinnić. Ale nareszcie nazbierało się tyle prywatnych od znanych patriotów ze Lwowa przeciwko Panu oskarżeń, że Rząd nareszcie wydał rozkaz zadośćuczynienia tej opinii i w razie uznania winy, jak najsurowszego ukarania. — Majewski powiada dalej, że to on wpłynął na to, ażeby kara nie bardzo surowo wypadła, ale przyznaje, że kiedy go zawiadomiono, że wydano tylko wyrok banicyi, niezmiernie się zadziwił. Jest w tem sprzeczność.

„Po zapadnięciu wyroku — pisze w dalszym ciągu Kaczkowski, — Majewski dostał okrutnego nosa od Rządu (o czem wiem i skądinąd), dlaczego mnie nie skazano na śmierć? Kiedy się usprawiedliwił i posłał Rządowi Nar. mój list, napisany do Naczelnika po otrzymaniu wyroku, znów dostał nosa, dlaczego Sąd nie był formalny? dlaczego mnie nie wysłuchano? dlaczego nie wyjaśniono czynu występku? dlaczego nie wyrobiono motywowanego wyroku? i t. d. Zarazem Rząd spytał, co się ze mną dzieje i gdzie się obracam? — a po wniesieniu mojego rekursu, Rząd wyrok lwowski skasował. Zgoła ślicznie się sprawują te Rządy i Sądy: dziś śmierć, jutro banicya, a pojutrze i banicya za dużo. Koniec tego wszystkiego na teraz taki, że Majewski zapewnił mnie najsolenniej: iż do niczego się więcej nie poczuwa, jak do zakończenia tej sprawy i zrobienia wszystkiego, ażebym jak najsolenniej został uniewinniony, — to jest jego przekonanie."

Sprawa stanęła jednak na martwym punkcie. Ks. Adama Sapiehy nie było w Paryżu; nie był także tam obecny ów „Szczęsny" (Sokołowski, recte Karpiński), który, jako naczelnik okręgu lwowskiego, przewodniczył w lwowskim Sądzie i głosem swoim przeważył szalę na niekorzyść Kaczkowskiego; wreszcie Majewski nie otrzymał był nawet jeszcze urzędowego zawiadomienia o skasowaniu wyroku i nie został oficyalnie upoważniony do dalszego prowadzenia sprawy.

Wprawdzie osobiście Majewski upewniał Kaczkowskiego o swej najlepszej woli i wyrażał przekonanie, że wszystkie podniesione przeciw niemu oskarżenia nie mają „ani związku, ani dostatecznej podstawy". Nie wierzy w to, aby Kaczkowski mógł dopuścić się zdrady, „bo — powtarzał — w takim razie ja pierwszy byłbym poszedł do kozy", przyczem zobowiązywał się dać o tem Sądowi świadectwo. W tem jednak była cała trudność, że ów Sąd w żaden

sposób zebrać się nie mógł i wszystko kończyło się na pięknych słówkach i obietnicach, przyczem nie brakło oskarżeń i insynuacyj względem innych osób. — „Przyznam Ci się — pisze Kaczkowski, — że częścią w skutek tego, co powychodziło na jaw przy moim procesie, a częścią tego, co tutaj codziennie słyszę i widzę, takie mam do wszystkich podobnych rzeczy obrzydzenie, jak do trucizny.“ I on, który nawet w późniejszych latach był apologetą działań spiskowych i od wczesnej młodości brał w nich udział, wyznaje w tym liście otwarcie: „To są owoce naszych konspiracyi. Jeżeli jeszcze 50 lat pokonspirujemy, to potem i cud Boski z nas narodu nie stworzy.“ — „My jesteśmy — powiada dalej, — jak ziemia, leżąca na około wypalonego wulkanu. Wulkan ten jeszcze czasem wybucha płomieniem, chciałby swe wnętrze rozsadzić i znowu na wierzch wydobyć zalane lawą miasta i osady; ale napróżno, bo wyrzuca z siebie tylko spalone kamienie i popioł i jeszcze głębiej je zakopuje. Kiedyś, jak jego ognie wewnętrzne całkiem wygasną, ziemia około ochłódnie, popioły i kamienie zwietrzeją i zamienią się w ziemię rodzajną, może tam znowu zazielenią się łany i nowe pobudują się miasta i pracą powolną nowa i może piękna, a może nawet i wielka się wybuduje Ojczyzna, — ale że wulkanicznemi ogniami jej na wierzch nie wysadzimy z pod gruzów, to pewna.“

Większa część tego listu, równie jak list następny z 17 i 18 maja [1]), zajęte są rozważaniem polityki francuskiej i w ogóle europejskiej względem powstania i sprawy polskiej, oraz krytyką, nieraz bardzo ujemną, działalności emigracyjnej ks. Adama Sapiehy na stanowisku reprezentanta Rządu Nar. w Paryżu. Rozważania te i uwagi, nie pozbawione interesu, musimy wszakże opuścić, jako nie należące bezpośrednio do naszego przedmiotu. — To jedno zaznaczymy mimochodem, że właśnie w tym czasie Sapieha wyjeżdżał do Drezna na zjazd „wszystkich teraźniejszych — jak z pewną ironią zaznacza Kaczkowski — opiekunów i zbawców Ojczyzny“. Postanowiono tam „utrzymywać powstanie do końca“, a Sapieha powrócił ztamtąd w połowie maja w „złotym humorze“. „Środków — mówił — będzie aż nadto, sprawa polska stoi jak najlepiej, widoków bez końca“.

Ale nie łatwo przyszło Kaczkowskiemu dotrzeć do Sapiehy. Łatwo natomiast pojąć, jak go to niecierpliwiło. „Jeśli z jakichkolwiek powodów go nie obaczę — pisał do Smarzewskiego, —

[1]) Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

albo nie otrzymam zapewnienia, że sprawę moją weźmie w rękę i zakończy, to biorę po prostu za łeb Majewskiego. Wezwał mnie przed Sąd, więc niech mnie przed Sąd postawi — a jeśli nie postawi, to sprawa jest osobista. Diabliż mnie do tego, że ich wielcy ludzie, uciekając z kraju, pogubili akta po drodze — to ich rzecz, nie moja.“

Dopiero d. 8 lipca 1864 r. ks. Adam Sapieha, jako Komisarz pełnomocny Rządu Nar. we Francyi i Anglii, przesyłając Karolowi Ruprechtowi odpis pisma Rządu Nar. w Warszawie, kasującego wyrok lwowski, dodał od siebie:

„Ponieważ Wy, Obywatelu, mocą tej odezwy mianowani zostaliście Prokuratorem Rządu Narodowego w tej sprawie, wzywam Was, abyście zajęli się jej przeprowadzeniem, — poprzednio jednak proszę osobiście skomunikować się ze mną, oraz z Obywatelem Wacławem Przybylskim, który appellacyę Kaczkowskiego i inne dowody tej sprawy dotyczące Wam dostarczy.

„Pozdrowienie i braterstwo“

Pieczęć komisarska i podpis: *A. Sapieha.*

Dokumentów procesowych odnaleźć jednak nie było można. Według późniejszych doniesień dzienników emigracyjnych [1]) „w skutek ogłoszenia stanu oblężenia w Galicyi, prawie wszystkie władze narodowe albo się dostały w ręce austryackie, albo się rozpierzchły za granicę, dlatego, pomimo najusilniejszych starań kilku ludzi dobrej woli, nic a nic znaleźć nie było można“.

Tak twierdził Wacław Przybylski, nadzwyczajny Komisarz Rządu Narodowego, któremu zlecone było złożenie Sądu w sprawie Kaczkowskiego. Dnia 11 czerwca 1864 r. wydał on polecenie Naczelnikowi Okręgu Krakowskiego, „aby się skomunikował z Naczelnikiem Okręgu Lwowskiego, lub z kimkolwiek, kto tam władzę tegoż Naczelnika reprezentuje, o dowody i akta w sprawie Zygmunta Kaczkowskiego, gdyż stosownie do rozkazu Rządu Narodowego sprawa ta w Paryżu powtórnie ma być sądzoną“. [2]) Ale i to polecenie nie odniosło żadnego skutku. — Kaczkowski, w liście do Seweryna Smarzewskiego z d. 17 września 1864 r. [3]), twierdzi, że ów „Szczęsny“ (Sokołowski, recte Karpiński), który decydującą rolę, jako Naczelnik Okręgu Lwowskiego, odegrał w procesie, po-

[1]) „Wytrwałość“, wychodząca w Brukseli, z d. 17 stycznia 1865, Nr. 17. Był to organ Rządu Nar., resp. organ Kurzyny.

[2]) Ze zbiorów rapperswilskich. Akt urzędowy. Ms.

[3]) Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

niszczył akta procesowe, „umykając ze Lwowa“. — Bądź co bądź, Sąd bez dokumentów odbyć się nie mógł i zaledwie odszukano reskrypt Rządu Nar. w Warszawie, w którym tenże nakazując odbycie Sądu w Paryżu, mianował prezesem Sądu Przybylskiego, a prokuratorem Ruprechta.

Pomimo tych trudności Kaczkowski nie ustawał w zabiegach. Gdy po ustąpieniu Sapiehy stanowisko jego zajęli Kurzyna i Guttry, natychmiast udał się do nich i „znalazł u nich usposobienie najlepsze, przekonanie osobiste o nim nie zostawiające żadnej wątpliwości, a nawet jak najlepszą chęć zakończenia sprawy“.

Chęci może były najlepsze, ale skutek jak przedtem — żaden. „Szczęsny — pisze Kaczkowski, — chociaż już po to tutaj urzędownie wzywany, Paryża szczególnie unika, Majewski i Przybylski obiecują dać tylko wyjaśnienia, a nikt inny z oskarżeniami, ani nawet Ruprecht jako prokurator, występować nie chce.“

W obec takiego stanu rzeczy Kaczkowski zażądał, ażeby mu Pełnomocnik Rządu Nar. w Paryżu dał poświadczenie, że wyrok, wydany na niego, nie istnieje, i aby ten dokument został ogłoszony publicznie. Zrazu Kurzyna przystał na to, lecz niebawem po namyśle uznał taki krok za „niebezpieczny“ i przedstawił natomiast trzy propozycye: 1. Albo wyda mu reskrypt Rządu Nar., pozwalając mu robić z nim, co się podoba: 2. albo odwoła się z całą tą sprawą jeszcze raz do Rządu Nar. w Warszawie, ażeby ją sam Rząd Nar. w jakiś inny sposób zrezolwował; 3. albo wreszcie przeniesie całą tę sprawę napowrót do Lwowa i każe Władzom tamtejszym nowy Sąd zwołać i ostatecznie rozstrzygnąć. — Kaczkowski wszystkie te propozycye odrzucił i odpowiedział Kurzynie: „Ja się trzymam litery reskryptu. Kiedy Przybylski jest mianowany Prezesem Sądu, zamianuj Pan resztę członków Sądu, Ruprecht niech stanie jako Prokurator i niech się ten Sąd ukonstytuuje. Czy ten Sąd sprawę osądzi, czy od oskarżenia przeciw mnie odstąpi, czy wyda tylko ogólne jakieś zdanie, zawsze coś zrobić musi — a co zrobi, to się ogłosi.“ — Kurzyna przystał na to, ale Kaczkowski nie miał już nadziei, żeby się coś na tej drodze zrobić dało. Decydował się już nawet przyjąć trzecią propozycyę Kurzyny i jechać na ponowny Sąd do Lwowa. Myśl ta pociągała go nawet, bo, jak pisał, zależało mu już tylko na Lwowie i na Galicyi. Do Królestwa bowiem i dalszych prowincyj doszły tylko o tej sprawie „słabe i głuche wieści“, które nie mogły podkopać tej reputacyi, „na jaką lat kilkanaście pracował i zdobył sobie faktami. W Poznańskiem nikt o tem nic nie wie. W Paryżu zaś ani cienia niedowierzania, czy też nieufności“ Kaczkowski nie dostrzegał. Wybrałby więc chętnie Lwów na miejsce Sądu, szło mu tylko o zapewnienie, że nie znajdzie tam takiego samego usposobienia, jak dawniej, i czy nowe nie zaczną się przeciw niemu intrygi, tembardziej, że teraz w tę sprawę musiałby być wmieszany jeszcze kto inny, przeciwko któremu, podobne jak przeciw Kaczkowskiemu, poszły do Warszawy oskarżenia. Kaczkowski, w liście do Smarzewskiego, wymienia wyraźnie tę osobę po nazwisku, a z tonu tego i innych listów wynika, że sam podziela podejrzenia, w tę stronę skierowane, i z tego powodu lęka się jeszcze zwiększonych intryg na gruncie lwowskim. — Kurzyna, na zapytanie Kaczkowskiego, czy ręczy za swoich ludzi we Lwowie, „że tę sprawę przeprowadzą porządnie i że jej znowu nie użyją jako środka agitacyi“, odpowiedział wymijająco. W obec tego Kaczkowski prosi Smarzewskiego o wypowiedzenie swego zdania, czy ma przyjechać do Lwowa, czy nie.

Z następnego listu Kaczkowskiego do Smarzewskiego, z dnia 18 listopada 1864 r., wynika, że zarówno Smarzewski, jak i inni, o radę pytani, nie zalecali tej podróży do Lwowa; Smarzewski nawet był zdania, że należy dać pokój tej sprawie, na co znów Kaczkowsk się nie zgadzał i postanowił „nie dać spokoju i mordować koniecznie dalej tych Panów, ażeby coś z tem zrobili“.

Były też rozmaite projekty, a przedewszystkiem ten, by sprawę poruszyć w polskich dziennikach emigracyjnych i wywołać polemikę. I rzeczywiście, dnia 11 grudnia 1864 r. ukazał się w „Wytrwałości“, nr. 9, organie Rządu Nar., artykuł, który omawiając sprawę Kaczkowskiego i wyrok, wydany we Lwowie, a skasowany przez warszawski Rząd Narodowy, całą winę za przewlekanie i nierozstrzygnięcie tej sprawy w Paryżu zwala na Przybylskiego i ks. Adama Sapiehę, „którzy składając jeden drugiemu, a następnie dzisiejszemu Reprezentantowi Pełnomocnikowi Rządu Narodowego powierzoną im władzę“, powinni byli złożyć także „podstawy i instrukcye, mogące posłużyć do nowego podniesienia tej sprawy i odbycia formalnego sądu“. „Widać jednakże — zaznacza „Wytrwałość“, — iż sprawę chciano puścić w niepamięć, gdyż oprócz reskryptu Rządu Narodowego (kasującego wyrok lwowski), nic więcej nie złożono, tak, że dzisiejszy Reprezentant Rządu (Kurzyna), mimo najusilniejszych p. Kaczkowskiego nalegań i najlepszej chęci z swej strony, był zmuszony pozostawić sprawę do rozsądzenia na miejscu, zaś p. Kaczkowskiemu doręczyć tylko kasujący wyrok lwowski reskrypt Rządu Narodowego w oryginale i na mocy tego reskryptu wydać pasport, dozwalający powrotu do kraju.“

„Pasport“ ten, wydany na papierze ze stampilią: „Reprezentant Pełnomocnik Rządu Narodowego“ brzmi:

„Paryż, d. 6 grudnia 1864.

„Na mocy dekretu Rządu Narodowego z dnia 5 lipca 1864, jako też z uwagi na reskrypt tegoż Rządu z dnia 29 lutego b. r. dozwala się niniejszem Ob. Zygmuntowi Kaczkowskiemu powrót wolny do kraju, z zastrzeżeniem, ażeby się stawił na pierwsze zawezwanie władz narodowych do procesu, reskryptem wyżej powołanym z dnia 29 listopada (sic!) 1864 zarządzonego.

Pieczęć Reprezentanta Rządu Nar. i podpis: *J. Kurzyna.*“ [1])

Artykuł „Wytrwałości“ nie zupełnie dogodził Kaczkowskiemu. „Nie jest on taki — pisze do Seweryna Smarzewskiego [2]), — jakiegobym sobie życzył, bo kwestyi radykalnie nie rozstrzyga, ale zawsze ogłasza: 1-o, że wyrok lwowski został skasowany, o czem nie każdy wiedział, a niejeden wiedzieć nie chciał, — a 2-o, że jeżeli Sąd nie został zwołany, to nie z mojej winy, tylko z winy tych władz, którym to zrobić nakazano. Nakoniec konstatuje, że wolno mi jest legalnie powrócić do kraju. Zawsze to tedy jest coś — zawsze to jest dla ludzi dobrej wiary zakończenie tej sprawy takie, jakie w tych warunkach było możebne, — a dla ludzi złej wiary jest przynajmniej dowodem, iż wyrok lwowski został skasowany i że ja robiłem wszystko z mej strony, aby sprawa ta została radykalnie załatwiona.“

Kaczkowski postarał się też o to, że ten numer „Wytrwałości“ przesłano w licznych egzemplarzach do Galicyi, — sprawy jednak nie uważał za skończoną. „Zawsze jeszcze ta nieszczęśliwa sprawa moja mnie najwięcej zajmuje“ — pisze do Smarzewskiego d. 28 grudnia [3]), — a nie mogła nawet przestać go zajmować, albowiem artykuł „Wytrwałości“ wywołał polemikę. W odpowiedzi na zaczepkę „Wytrwałości“, wymierzoną przeciw Przybylskiemu i Sapieże, wystąpił „Głos Wolny“ z atakiem na Kurzynę, zarzucając, że jest bezsensem odsyłać teraz jakąś sprawę do Władz krajowych, obecnie nie istniejących, a zawsze w tej mianowicie sprawie o stronniczość podejrzanych. — Polemika ta — jak w dalszym ciągu tego listu zaznacza Kaczkowski — „narobiła tu trochę złej krwi, ale dziś przy takiem rozdrażnieniu i nieukontentowaniu, jakie panuje w emigracyi, niepodobna jest wymódz na nikim dwóch

[1]) Zbiór Bibl. Ossol., Nr. 4820.
[2]) List z d. 16 grudnia 1864 r. Ze zbiorów T. Smarzewskiego. Ms.
[3]) Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

słów takich, w którychby się nie odezwało oskarżenie lub podejrzywanie kogoś drugiego. Mimo to jednak, te wzajemne cierpkości nie obróciły się z żadnej strony przeciw mnie. Jest to już dosyć trzeźwości i, że tak powiem, dosyć poszanowania dla zasłużonej przeszłości, — a raczej, wielkości nowe, w ostatniem powstaniu wyrosłe, już do tyla zmalały, a dawne i rzeczywiste zasługi już o tyle znów wydobyły się na wierzch, — że nikt nie śmie dawać wiary oskarżeniom patriotów wczorajszych przeciwko człowiekowi, znanemu z patriotyzmu od lat prawie dwudziestu i mającemu jakąkolwiek podstawę istnienia swego w społeczeństwie. *Somme faite*, artykuły te poruszyły tutaj tę skandaliczną historyę na nowo i wydobyły za sobą tysiące plotek, ale zawsze dla mnie jak najkorzystniejsze zrobiły wrażenie, bo ogłosiły najpierw, że wyrok nie istnieje, a powtóre, że nawet najczerwieńsi w istotę winy mojej nie wierzą. Najniechętniejsi nawet, a raczej najzłośliwsi, podnosząc ten fakt, że taki „bialissimus“, jak ja, potrafił zniewolić dwa najczerwieńsze ogniska do wystąpienia za sobą, robią uwagę: Trzeba mu przyznać, że mu przynajmniej zręczności nie braknie.“ — „Zgoła — dodaje wreszcie Kaczkowski — już nic więcej robić nie trzeba, bo nic się zrobić nie da, prócz tego, co może i zrobić powinno dalsze zachowanie się moje.“

Na tem właściwie skończyła się, a raczej „rozlazła się“, ta smutna sprawa.

Echa jej wszakże odbijały się jeszcze czas dłuższy w polemice „Wytrwałości“ z pismem, wychodzącem w Bendlikonie, p. t. „Ojczyzna“, które wzięło w obronę Wacława Przybylskiego i zamieściło obszerne jego pismo z usprawiedliwieniem postępowania w sprawie Kaczkowskiego. Polemika ta, prowadzona w ostrych wyrazach, nie rzuca jednak nowego światła na samą sprawę, która odtąd na czas dłuższy przycichła, pozostawiając Kaczkowskiemu myśl swobodniejszą i czas wolny do pracy na polu publicystycznem.

Zaznaczyliśmy już powyżej, że głośny autor powieści Nieczujowskich postanowił na gruncie paryskim przerzucić się stanowczo na pole dziennikarskie, na którem spodziewał się moralnego, a zwłaszcza materyalnego sukcesu. W listach do Seweryna Smarzewskiego [1]) zaznacza też, że „egzystencyę w Paryżu ma jakąkolwiek. Cała literatura i pieniądze przeznaczone, a raczej dostępne dla pisarzy, przeniosły się głównie do dzienników. Kto ma tu ja-

[1]) z d. 17 i 18 września 1864 r. Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

kiekolwiek relacye, a do tego włada kilkoma językami, nie może być nigdy o to w kłopocie, z czego żyć będzie". „Ja — dodaje — mam roboty dosyć, nietylko dla siebie, ale od czasu do czasu zawsze mam jeszcze coś do rozdania drugim. Jeżelibym się zdecydował tu zostać, mam stanowisko już otwarte i każdego czasu do objęcia, na którem będę miał egzystencyę moralną bardzo przyzwoitą i więcej dochodu, niżeli koniecznie potrzebuję na życie. Przynajmniej więc to mnie nie dociska."

Mimo to myślał ciągle o wystąpieniu na polu literackiem we Francyi. W tym celu przygotowywał do druku swego „Rozbitka", ściśnionego w tom jeden. „Przebić się na wierzch — pisze — przez ten nawał sław literackich tutejszych, rzecz ledwie podobna, ale będę próbował." Więcej jednak sukcesu obiecywali mu Francuzi, których rady zasięgał, po opracowaniu francuskiem „Kobiety w Polsce", bo, jak mówili, teraz właśnie i Kobieta i Polska są w modzie... Do uskutecznienia jednak tych literackich planów nie przyszło i w połowie listopada Kaczkowski pojechał znów do Londynu, nie tylko w celu agitacyi w swojej sprawie procesowej, ale i dla przypatrzenia się tamtejszemu dziennikarstwu. Od Nowego Roku 1865 postanowił też uregulować swoją pracę dziennikarską. „Książek — pisze do Smarzewskiego [1]) — niema jeszcze pisać dla kogo. Cały świat czyta dziś tylko dzienniki i tylko one płacą. Stąd mam w tych dniach dużo zatrudnienia. Jak się to ureguluje, będę nieco swobodniejszym. Robotę tę chcę tak urządzić, jak gdybym tu miał zostać na długo, ale myślę ciągle o powrocie, a w każdym razie przynajmniej o przyjeździe do Lwowa na jakie kilka tygodni. Interesa moje, zostawione przez Rodakowskiego w dziwnych kontumacyach, wymagają tego koniecznie, inaczej nic nie wyratuję. Sądzę, że może będę mógł przyjechać w lutym."

Tymczasem zaczął pisywać korespondencye z Paryża do krakowskiego „Czasu", korespondencye zrazu dość blade, którym też z tego powodu Smarzewski, domyśliwszy się autora, czynił zarzuty. W myśl Smarzewskiego wskazówek, zaczął Kaczkowski pisać śmielej, czy ostrzej. „Spróbowałem — donosi mu — napisać kilka listów takich, o jakich wspomniałeś, ale mi ich nie wydrukowali. W innych listach wykreślają wiele, łagodzą wyrażenia, a nawet i przymiotnikom czasem nie przepuszczają. Ich ideałem, jak i całego dziennikarstwa, jak i całej literatury obecnej, jest takt i przyzwoitość. Kto tą drogą dzisiaj nie idzie, nigdzie nie zajdzie. Taki jest wiek,

[1]) List z d. 28 grudnia 1864. Ze zbiorów T. Smarzewskiego. Ms.

taki duch czasu: reakcya od extrawagancyi rewolucyi francuskiej i literatury romantycznej, która dziś doszła do zupełnej bezbarwności, indyferentyzmu, a pod wielu względami nawet do indolencyi.[1])

W tych warunkach owo korespondowanie do „Czasu" nie mogło trwać długo. Przerwało się ono po pół roku, już od 1 lipca 1865 r., o czem Kaczkowski doniósł Sewerynowi Smarzewskiemu w liście z 18 lipca, przytaczając wszakże, jako powód zerwania, trudności natury finansowej. „Jaki to zawód dla mnie — skarży się, — który płacę gotowemi pieniędzmi za komunikacyę, bo biegać nie mogę za niemi... Dla „Czasu" — dodaje — pisałem daleko taniej, niż dla wszystkich innych i posyłałem im mnóstwo komunikacyi takich, za które „Indépendance" i „Kölnische Zeitung" bardzo drogo płacą."

Oprócz do „Czasu" pisywał wówczas Kaczkowski także do „Gazety Polskiej" w Warszawie i do wiedeńskiego dziennika „Die Debatte". „Prócz tego — donosi Smarzewskiemu — mam jeszcze kilka dzienników, do których tylko wtedy piszę, kiedy mam jakąś lepszą wiadomość, a oprócz tego listy polityczne sytuacyjne i feuilletony. Mam z tego pieniężnie więcej, niż potrzebuję na życie." Stosunek jednak z owym dziennikiem wiedeńskim także niebawem przerwany został i także z powodów materyalnych. Pomimo tego Kaczkowski nie tracił otuchy. „Mnie zresztą teraz — pisał — zaczynają się tutaj otwierać realne widoki. — Żyjąc w kołach dziennikarskich i korespondenckich, które tu mają pewne znaczenie, doprowadziłem do tego, że jestem już znany i uważany. Mam już tedy propozycyi bez końca. Ale zachowuję się względem nich według mojej starej metody: albo coś, albo nic, i propozycye takie, któreby mi mogły przynosić po parę, a czasem i po kilkaset franków miesięcznie, z góry odrzucam, chociaż nieraz dużo mnie to kosztuje. Ale inaczej nie można, jeżeli się chce coś lepszego osiągnąć. To też teraz chce mi już Tański swoją spółkę odstąpić. Tański, dawny redaktor w „Journal des Débats" [2]), od czasu, jak wystąpił z Debatów, a wszedł w osobiste stosunki z Orleanami i Rotszyldami, zrobił na korespondencyach majątek i znaczny majątek, bo ma dziś z samych kapitałów przeszło 40.000 dochodu.

[1]) List do Seweryna Smarzewskiego z dnia 18 lutego 1865 r. Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

[2]) Józef Tański, publicysta francuski; za młodu przed r. 1831 służył w wojsku polskiem, później kapitan w legii zagranicznej w służbie francuskiej i hiszpańskiej. Wydał wiele broszur politycznych w języku francuskim oraz większe dzieło o stosunkach w Hiszpanii.

Teraz zestarzawszy się i mając dosyć zajęcia w innych kierunkach, oddałby to darmo, czego sprzedać nie może, byle znalazł kogoś, któryby tego nie obrócił na jego szkodę i przy którymby mógł, że tak powiem, jeszcze bicze kręcić dla siebie. Prócz tego założony został temi czasy nowy dziennik w Londynie, który się tutaj już teraz na mnie opiera, — a który rozszerzywszy swe przedsiębiorstwo, będzie miał tutaj taką do obsadzenia pozycyę, jaką ma O'Meara z ramienia „Times'a“ w Paryżu, a Russel we Włoszech. Wszystko to są przedsiębiorstwa, które obracają milionami i których pełnomocnicy mają nietylko pieniężnie korzystną, ale i polityczną pozycyę... Ale nie łatwo o to dla każdego, a jeszcze daleko trudniej dla Polaka... Nie prędko też takie rzeczy się robią. Ale nie mając nic lepszego do czynienia, cóż szkodzi próbować? Nie smakuje mi to wszystko do najwyższego stopnia: wolałbym w Polsce mieszkać pod dachem, niżeli tutaj w salonach, — ale jeżeli nie będzie można tak wrócić do Polski, jak trzeba, to zawsze dobrze urządzić się tak za granicą, ażeby nie mieszkać pod dachem.“

Prowadził tymczasem życie — jak się sam przed Smarzewskim użala — „nadzwyczajnie jednostajne i nudne“. Najbliżej żył z Chońskim [1]), z Zygmuntem Jordanem i jeszcze kilkoma tylko Polakami tego rodzaju, „bo to jest inteligencya, która i w czasie reakcyi nie głupieje“. „Na tamtej stronie wody — pisze — bywam bardzo rzadko, bo to daleko — ale u mnie bywa tego dużo i wszystko, co lepsi: ale lepiej, zaprawdę, by nie widywać tych ludzi, takie to wszystko martwe i takie bezmyślne... Dość powiedzieć — dodaje, — że z całej tylotysięcznej emigracyi, w której znajduje się tylu Członków Rządu Nar. i komisarzy, tylu pułkowników i jenerałów, dotychczas jeszcze ani jeden nie dostał takiego miejsca, na którem pracuje się głową. Najlepsze miejsce dostał Różycki przy kolei, za 1500 franków rocznie — i kopiuje regestra.“

Echa skandalicznego procesu lwowskiego tymczasem cichły. „Już nie biją teraz w ten proces o zdradę kraju — pisze w jednym liście do Seweryna Smarzewskiego, — tylko wywlekają a raczej przyczepiają do mnie rozmaite anegdoty z przeszłości. Głupstwo to wszystko — nic mnie to nie szkodzi, dopóki siedzę cicho i w ciasnych obracam się kołach. Lecz gdybym głowę wystawił wyżej i tu chciałbym się przebić, co może spróbuję, to kto wie, czy przebrnę przez te sieci i zastawki, bo to zasnute bardzo wysoko, a niemasz środka, któregoby nie użyto tajemnie.“

[1]) Choński Henryk, publicysta ekonomiczny. Naturalizował się we Francyi; w Paryżu zajmował posadę w ministerstwie handlu i rolnictwa.

W obec tego zastępu nieprzyjaciół napada go chwilami rozpacz.

„Przychodzi mi na myśl — pisze — usunąć się całkiem z oczu tym ludziom, zrzucić z siebie frak i rękawiczki, ubrać się w chłopską sukmanę i zamknąć się z książkami i z samym sobą w jakimś żywym grobie na zawsze.“

A przecież ani sił, ani odwagi jeszcze mu nie braknie.

„Morduję się z tym milionowym zastępem bez odetchnienia i dźwigam ten ciężar olbrzymi sam jeden na swoich barkach. Jak Dant za życia przechodzę przez piekło i jeszcze się ani na chwilę nogi nie zachwiały podemną. Gdzieby tysiące już były upadły, ja stoję — i jeszcze tu i ówdzie zwyciężam.“

I znowu ogarnia go zniechęcenie:

„Ale czego ja się dobiję? — pyta. — Prędzej lub później w tych drobnostkowych walkach muszę się zetrzeć. Przynajmniej bić się muszę do śmierci, — a im skuteczniej się bić będę dla siebie, tem więcej będę miał przeciwników i kto wie, ażali ich kiedy choćby pod koniec życia zwyciężę. Ustąpiwszy zaś z tej pogańskiej areny, przynajmniej choć spokojnie resztę życia przeżyję, może jeszcze niejedną pożyteczną książkę napiszę i może choć przed grobem powiedzą o mnie: że może była w nim krew za gorąca, umysł niesforny, duch buntowniczy, ale miał zawsze dobrą wiarę i wolę, nie zrobił nikomu nic złego, a co po nim zostało, to przyniosło pożytek. Ta myśl już mi się coraz częściej powtarza, ale tymczasem jeszcze się dalej bić będę, jeszcze obaczymy.“

Tak ciągle z krańcowego zniechęcenia wpadał w ferwor wojowniczy, a pasowanie się tego bądź co bądź niepospolitego umysłu, w wyjątkowych okolicznościach, stanowi w każdym razie ciekawy przedmiot do psychologicznego studyum. Wśród tych wahań się i niepewności marzył nieustannie Kaczkowski o powrocie do kraju, do Lwowa. W tym celu gotów był nawet do zawarcia kompromisu z tym, którego za najbardziej zaciętego swego wroga uważał, z Dobrzańskim.

„Nie mylisz się — pisał do Smarzewskiego, — gdy przypuszczasz, że Dobrzański przeciw mnie nie wystąpi. Ja mam nawet powody przypuszczać, że mógłby odezwać się za mną.“ — Przez zaufanych starał się też zbadać sytuacyę: „czy warto jest, aby Dobrzański coś za mną powiedział i czy możnaby go do tego skłonić bezpośrednio we Lwowie.“ — „Źleśmy zrobili — dodaje — kochany Sewerynie, żeśmy od razu, podczas mego pobytu we Lwowie, nie rzucili się na tę drogę. Złe zabić w źródle. Przypomnisz

sobie, że miałem tę myśl; miałem i ufność, że się to uda. Tylko nie miałem dość stanowczości."

Równocześnie snuje mu się po głowie myśl podjęcia na nowo wydawnictwa „Głosu" we Lwowie, lub rozpoczęcia wydawania jakiegoś innego, mniejszego pisma. Z tą myślą dzieli się ze Smarzewskim, prosząc go o radę:

„Jest tu — pisze — małe gronko ludzi, które mnie namawia, ażebym bez względu na wszystkie nieprzyjazne okoliczności wrócił teraz do kraju i podniósł „Głos" na nowo. Myśl ta w części swej materialnej nie byłaby może tak trudną do wykonania, jak się zdaje na pierwszy rzut oka. Funduszów na to, po zrobionych i w kraju i za granicą doświadczeniach, potrzebaby mieć daleko mniej, i te mogłyby się znaleść; stosunki, jakie mam teraz i tu i w Anglii i w Niemczech, ułatwiłyby mnie nadzwyczajnie i moralne i materialne zadanie, — a przeto mógłbym się śmiało konkurencyi galicyjskich dzienników wcale nie obawiać. Zgoła co do prowadzenia dziennika tak pod względem politycznym, jak ekonomicznym, byłbym teraz pewnym siebie zupełnie. Lecz ja się na tę kwestyę zapatruję zupełnie inaczej, bo zdaje mi się, że trudność największa leżałaby właśnie w tem, co tu wszyscy lekceważą, to jest w niechęciach i uprzedzeniach przeciw mojej osobie. Postawiwszy dziennik tak, jak żaden z dzienników galicyjskich dzisiaj nie stoi, wystąpiwszy z tem, z czem żaden z nich nie występuje, a coby było z niewątpliwym pożytkiem dla kraju, mając zresztą jakiekolwiek pióro w ręku, a mając do walczenia z osłabionymi na teraz bardzo znacznie przeciwnikami, prędzej lub później przebiłbym się z pewnością, — przebicie się takie jest zresztą dla mnie jedyną drogą do odzyskania egzystencyi publicznej, — lecz jestem zdania, iż to przebicie się osobiste jest także trudnością samą w sobie, że z nią trudności tej, jaką jest postawienie codziennego politycznego dziennika we Lwowie znowuż samo w sobie, skumulować nie można. Możnaby i to zrobić, ale tylko natenczas, gdybym miał swoich kilkadziesiąt tysięcy do dyspozycyi, albo oparcie na kilkunastu przynajmniej ludziach, mających w kraju znaczenie, o czem jednak ani myśleć nie można. Mogąc zaś w najlepszym razie mieć tylko tyle, ile koniecznie potrzeba do rozpoczęcia, mogłaby agitacya, przeciw mnie podniecona, choćby nawet i słaba, dłuższy mieć oddech, niżeli moja siła materialna, a z nią i moralna. Na taką walkę puściłbym się sam jeden z jakimś tygodniowym polityczno-literackim, a w gruncie krytycznym dziennikiem, o którym mi się coś marzy: ale i to, pomimo licznej zachęty,

ażebym głos zabrał, jeszcze na dzisiaj nie jest dla mnie kwestyą. W każdym jednakże razie wielką mi zrobisz przysługę, jeżeli mi coś *à propos* tych myśli, rozumie się bez ogródki, napiszesz." [1])

Wszystkie te plany i projekty nie przyszły do skutku i Kaczkowski pozostał na bruku paryskim, targany od czasu do czasu odnawiającemi się jeszcze ciągle echami lwowskiego procesu.

W początkach r. 1866 postanowił coś stanowczego przedsięwziąć, „przyłożyć — jak się w liście z d. 9 stycznia do Seweryna Smarzewskiego wyraził — jakąś ostatnią pieczęć na tę sprawę, która go wyrzuciła z kolei prac, zajęć, myśli, a nawet i z kraju". „Bardzo liczne głosy — pisze — i stąd i z kraju upomniały się, abym wystąpił publicznie. Niektórzy najlepsi przyjaciele oświadczyli mi otwarcie: Zrobiłeś wszystko, coś był powinien, ale nikt o tem nie wie. Niechętni wiedzieć nie chcą. Milczałeś dotąd z szlachetnych pobudek: nie chciałeś nikogo kompromitować. Ale teraz (w obec ogłoszonej amnestyi) względy te ustały. Trzeba wystąpić. Nawet nieprzyjaciele mówią: Jeżeli niewinny, czemu się nie broni? Na te argumenty nie było co powiedzieć. Zaraz więc po wydaniu amnestyi zasiadłem do biura i napisałem obszerną broszurę, prawie książkę [2]), w której nietylko ten proces, ale całe moje działanie publiczne od r. 1860—1863 opisuję szczegółowo. Wgląd w akta Rządu Nar. i Władz Nar., który mi ułatwili samiż interesowani w tej sprawie, przekonał mnie jeszcze raz i na teraz już dowodnie, że proces ten w głównej istocie swojej był prostym skutkiem tej walki, jaką oddawna prowadzono ze Lwowa przeciwko Sapieże i mnie, — a o której osobliwszych i niesłychanych dowiedziałem się rzeczy. I w tej książce jeszcze nie mogę ich wszystkich wypowiedzieć, bo komunikowano mi je tylko pod tym warunkiem; ale mogę przynajmniej na pewnych podstawach opowiedzieć główny bieg rzeczy. Książka ta jest naturalnie smutną ostatecznością. Rozbieram się w niej do naga. Nie mogę pociągać do odpowiedzialności Xów i Ypsylonów, więc wszyscy, którzy urzędowy udział wzięli w tej sprawie, są wymienieni *nom et prénom*. Ich czynności rozłożone w całej nagości na stole. Niekompetencya

---

[1]) Wszystkie powyższe szczegóły wzięte z listów Z. Kaczkowskiego do Seweryna Smarzewskiego z 26 stycznia, 18 lutego, 6 maja, 27 czerwca, 18 lipca, 28 lipca, 31 sierpnia i 1 września 1865 r. Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

[2]) „Rewolucyjne sądy i wyroki". Rzecz osobista, przedstawiona przez Zygmunta Kaczkowskiego. Paryż i Wiedeń 1866. Nakładem autora, str. 87.

sądu dowiedziona ogółowo i osobiście. Sapieha rozdarty na parę kawałków, Rodakowski na szmatki. Stronnictwo czerwone wrzucone w kloakę, ostatni Komitet galicyjski zmasakrowany, — a co najgorsza, to to, że same wypadki przedstawiają to stronnictwo, które jeszcze w ostatnich czasach nazywało się białem, bez porównania brudniejszem od tych, którzy sami tego zaprzeczyć nie mogą, że siedzieli w kałuży."

Tak się to widocznie piszącemu zdawało. Dziś jednak czytając tę broszurę, trudno dopatrzeć owego rozmachu w „masakrowaniu", „darciu na kawałki i szmatki". Przeważa owszem spokój i pewna wstrzemięźliwość, jakby niedomówienie. Kaczkowski zresztą sam przyznaje w dalszym ciągu tego listu, że „książkę tę pisał z jak największą oględnością i z jak największym spokojem", że „wyrzucił z niej wszystko, co nie jest niezbędnie potrzebnem". „Ale mimo to — dodaje — jeszcze dosyć zostało, bo, jak mówi Guizot, niemasz nic brutalniejszego, jak fakta. Cała ta rzecz ma na sobie charakter apelacyi od sądów zaocznych i tajnych, odbytych w czasach agitacyi politycznej, do jawnej i spokojnej opinii w czasie spokojnym."

Nie łudził się jednak i nie oczekiwał orzeczenia tej opinii; wiedział, że o broszurze tej „wszyscy mówić będą niezmiernie wiele, ale nikt nic nie zrobi". To jednak przekonanie nie powstrzymuje go wcale, chce nareszcie sprawę wyjaśnić, „chce raz z tem skończyć i uzyskać własne uspokojenie". „Będę wiedział — dodaje, — co mam zrobić z sobą, czy pisać dalej i pracować dla swego kraju, czy przesiedlić się całkiem i szukać sobie gdzieindziej oparcia. Na egzystencyę taką, aby być obcym pomiędzy swoimi, zgodzić się niepodobna nikomu, a tem mniej jeszcze takiemu, który może być łatwo uznanym za swego pomiędzy obcymi, o co mi tutaj nie trudno."

W kilka dni po napisaniu tego listu wyjechał Kaczkowski do Wiednia, aby tam wydać ową broszurę. Wyszła też ona istotnie w Wiedniu, w drukarni XX. Mechitarystów. W stolicy naddunajskiej zabawił czas dłuższy tak w interesie wydawnictwa swej książki, jak też w interesach dziennikarskich. „Ułożyły się tu (w Paryżu) — pisze — rozmaite dziennikarskie projekty, któreby mogły być przeprowadzone w Wiedniu, a na które już są przygotowane fundusze; idzie tylko o to, ażeby ktoś miejscowość i język dobrze znający, wyrozumiał na gruncie, czy są do przeprowadzenia z korzyścią. Wyniknęłyby stąd także niejakie pożytki dla kraju, o którym — dodaje z goryczą — ja, jako „zdrajca" mam sobie za obo-

wiązek, nawet przy kwestyach o chleb codzienny nie zapominać. — Na każdy tedy wypadek zabawię kilka tygodni w Wiedniu, — lecz jak książka zostanie wydrukowana, spodziewam się przyjechać do Lwowa." [1])

W pierwszych dniach kwietnia, po wyjściu broszury, znalazł się istotnie Kaczkowski na bruku lwowskim. Mamy przed sobą list jego, pisany we Lwowie d. 5 kwietnia do Smarzewskiego, którego tam nie zastał. List niedługi i nie zawierający, niestety, żadnych szczegółów o wrażeniach, doznanych po powrocie do miasta, w którem przeżył tyle chwil, nie zawsze „górnych", a najczęściej tragicznych. We Lwowie zabawił niedługo, zapewne tylko dla załatwienia najpilniejszych interesów; chciał bowiem wracać w maju do Paryża, a przedtem jeszcze zamierzał objechać „kilka miast większych środkowo-europejskich, aby sobie nabrać trochę więcej dzienników", to znaczy zapewne pozawierać umowy o korespondencye polityczne z Paryża.

Wspomina też w tym liście o broszurze swojej, która już wyszła z pod prasy. „Zdania o niej — pisze — dziwnie są rozmaite i rozchylone. Od takich, którzy pochwalają wszystko od początku do końca, aż do takich, którzy wszystko potępiają ryczałtem, nie wdając się nawet w szczegóły, znajdziesz wszystkie odcienia, możliwe i niemożliwe, a nawet dziwnie niedorzeczne. To też w ogólności to wszystko, co dotąd słyszę, wcale nie budujące sprawia na mnie wrażenie, bo lubo dziś ludzie sądzą inaczej, niżeli przed dwoma laty, a nawet są tacy, którzy *ex propria diligentia* agitują za mną, jednak jak z jednej strony po staremu nie widzę budzącego się naturalnego uczucia obowiązku sumienia, tak z drugiej także po staremu widzę nie potępianie tego albo owego czynu, tej albo owej z moich wad, albo opinii, tylko ślepą opozycyę przeciwko osobie, wypływającą w gruncie rzeczy z bardzo niskich pobudek. To też ja teraz już tylko — jestem, ażeby odpowiadać, jeżeli mnie ktoś o co zapyta, — a zresztą słucham i milczę."

W końcu tego listu, pisanego, zdaje się, w dawnem mieszkaniu swojem na Wólce [2]), pociesza się Kaczkowski, „że od dawnego czasu żadna książka nie była tak skwapliwie czytana i nie wpro-

---

[1]) List do Seweryna Smarzewskiego z Paryża d. 9 stycznia 1866. Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

[2]) W nagłówku listu: Lwów, Wulka $225^1/_4$.

wadziła publiczności w stan takiego kipienia. Niech kipi — jak ochłódnie, może coś przecie zostanie na dnie". [1])

Ten przyjazd do Lwowa w początkach 1866 roku, oprócz załatwienia interesów majątkowych, mógł mieć i miał niewątpliwie inne jeszcze cele. Kaczkowskiemu, jak wiadomo, chodziło o „przebicie się", o odzyskanie pozycyi społecznej w kraju, aby nie być „obcym między swoimi". Takiem tryumfalnem „przebiciem się" byłoby uzyskanie mandatu do Sejmu i Rady Państwa. Nie mówiąc już o planach poselskich z r. 1860, po dwakroć kusił się jeszcze o to Kaczkowski, a po raz pierwszy właśnie w r. 1866. Bo oto, co czytamy w liście jego do pani Ksawerowej Liskowej z d. 12 grudnia 1890 r. [2]): „Badeni, ojciec dzisiejszego Namiestnika, niemało sobie pracy zadawał, aby mnie w Jarosławiu (w r. 1866) przeprowadził, a nawet Stefan Zamoyski dla mnie od kandydatury odstąpił, upadliśmy jednak przy wyborze, bo nie mieliśmy poparcia ze strony komitetów wyborczych." Upadek ten przypisuje Kaczkowski temu, że w komitetach wyborczych panowało przeciw niemu uprzedzenie. „Powiadano o mnie — pisze, — że mam charakter zanadto absolutny, a do tego jeszcze i temperament zanadto porywający, więc mógłbym delegacyę tam zaprowadzić, gdzie ona iść nie chce."

Upadek ten musiał niewątpliwie Kaczkowskiego zaboleć, to też niedługo zabawił we Lwowie, a już w pierwszych dniach maja był w Wenecyi, wybierał się następnie do Florencyi i na audyencyę do króla włoskiego, następnie do Rzymu i Marsylii. Wszędzie tam chciał badać stosunki polityczne i finansowe. Niewątpliwe powodzenie, uzyskane na polu dziennikarskiem, pobudziło żywą zawsze ambicyę Kaczkowskiego. Począł marzyć o uzyskaniu znaczącej i znacznej pozycyi w świecie dyplomatycznym za granicą, straciwszy nadzieję, przynajmniej na razie, zdobycia stanowiska w kraju.

Ze sprawą swego procesu lwowskiego miał nareszcie spokój, a nietylko spokój, lecz nawet pewnego rodzaju zadośćuczynienie, jakie mu sprawił list, otrzymany w chwili, gdy kończył pisanie swej broszury, od b. Pełnomocnego Komisarza Rządu Nar., Żaboklickiego, *recte* Władysława Majewskiego. Z listu tego, wydrukowanego w całości przy końcu broszury [3]), podajemy najważniejsze

[1]) Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.
[2]) Ms. Bibl. Ossolińskich.
[3]) str. 82, 83.

wyjątki. Otóż ów Komisarz Pełnomocny uczuł się „zaatakowanym we własnem sumieniu" tą sprawą Kaczkowskiego. Wyrok lwowski zapadł większością trzech głosów przeciw dwom, lecz w tej większości był głos Naczelnika Okręgu lwowskiego, który jednak sam przyznawał, że dowody po przejrzeniu nie zdawały mu się dostatecznymi i nie był wcale przekonany o winie. Jeżeli skłonił się do zdania dwóch członków i szalę przeważył, to uczynił to tylko „z uwagi na wyjątkowy stan rzeczy", gdzie trudno było „o oczywiste dowody, a przebaczenie podejrzanemu mogło sprowadzić ciężki cios na całą organizacyę narodową. Naczelnik Okręgu lwowskiego chciał więc, głosując za winą, „wpłynąć na usunięcie Kaczkowskiego z kraju". — „Żaden z członków organizacyi — dodaje Majewski, — ani samaż organizacya w niczem do ostatnich czasów pobytu mojego w Galicyi, to jest do 13 marca 1864, nie były skompromitowanemi. Gdyby jednak istotną prawdą było Pańskie przewinienie, choć po usunięciu go z kraju — i zapewne tem więcej — powinniśmy byli uczuć skutki jego działania. Jednak byliśmy spokojni do końca."

List swój kończy Komisarz Pełnomocny temi słowy:

„Rząd Narodowy ówczesnie i ja i cały kraj, mianowicie Kongresówka, bardzo dotkliwie uczuliśmy to zaskarżenie. Nazwisko bowiem Twoje, Panie, dla prac i zdolności Twoich, nie do Ciebie należy; jest ono własnością całego kraju. Tem więcej też ja, tak go pojmując, czuję wielki ciężar odpowiedzialności mojej. Tak go też czuć winni członkowie sądu owoczesnego, członkowie Wydziału i wszyscy uczciwi Obywatele kraju. Kończąc, jedną prośbę śmiem przesłać dla siebie. Oto, wybacz mi, Szanowny Panie! Wyrzuć z serca żal i gorycze, jakiemi ono przepełnione być musi. A jeśli w życiu przebiegać będziesz myślą przeszłe chwile cierpienia Twojego, pamiętaj, w jakim czasie byliśmy i jak miłość sprawy i obawa o jej powodzenie musiały nas robić drażliwymi i podejrzliwymi."

Nie wszyscy jednak Obywatele kraju i członkowie Wydziału powodowali się snadź takimi szlachetnymi skrupułami sumienia, jakie skłoniły Pełnomocnego Komisarza Rządu Nar. do napisania powyższego listu. Bo oto w czasie, gdy zdawać się mogło, że wszelkie echa tej smutnej sprawy zanikły, — w lat 27 później — odezwały się one raz jeszcze silnie w cytowanem już przez nas „Wydawnictwie Materyałów do historyi Powstania 1863—1864". W tomie II. ukazały się „Pamiętniki" pułkownika Strusia, a w nich rozdział osobny p. t. „Sprawa Zygmunta Kaczkowskiego". W tomie III. zaś ogłoszono „Dokumenty dotyczące sprawy Z. Kaczkowskiego".

Rzecz, zaiste, dziwna, prawie nie do wiary, że „dokumenty“ te, które miały służyć za substrat nowego procesu w Paryżu, a których podówczas rzekomo odszukać nie można było, znalazły tu pomieszczenie w całości, aby snadź raz jeszcze pognębić człowieka, którego przed laty zmuszono do opuszczenia kraju!

Łatwo zrozumieć, jak bolesne wrażenie to wznowienie procesu lwowskiego musiało wywrzeć na Kaczkowskim. Zakrzepła rana poczęła na nowo się krwawić w piersiach już podówczas sześćdziesiąt kilkoletniego starca.

Aby ten przedmiot całkowicie już wyczerpać i nie potrzebować powracać doń później, musimy przeskoczyć lat 27 i przerywając na razie dalsze dzieje „banity“ za granicą, pokrótce przynajmniej przedstawić ten zgoła nieprzewidywany epizod.

Jak krwawo dotknął ten nowy atak Kaczkowskiego, wynika z listu, pisanego do pani Jadwigi Liskowej z dnia 12 grudnia 1890 r.[1]):

„Wyznaję otwarcie — pisze on, — że brutalny napad „Wydawnictwa Materyałów do Historyi Powstania 1863—1864“ bardzo głęboko mnie dotknął, — sprawił on mi niemało nocy bezsennych i do dziś dnia go nie strawiłem.“

Prof. dr. Ksawery Liske, ze zwykłą sobie szlachetnością uczuć i temperamentu, oświadczył też natychmiast gotowość wystąpienia w obronie Kaczkowskiego, za co mu tenże składa podziękowania w liście z d. 21 grudnia 1890 r.[2]). Stanęło na tem, że „Kwartalnik Historyczny“ wydrukuje odpowiedź Kaczkowskiego, której redakcya „Wydawnictwa“ odmówiła miejsca, a zarazem ogłosi to, co „w imię prawdy“ sam prof. Liske uzna za stosowne napisać.

Przy tej sposobności wywiązała się obszerna korespondencya pomiędzy Kaczkowskim a Zygmuntem Miłkowskim (T. T. Jeżem), który dając wyraz swemu oburzeniu na tę niespodziewaną napaść, podawał rozmaite projekty reagowania na nią, a nawet wystąpił z odezwą do „Kół literacko-artystycznych“ we Lwowie i Krakowie, z wezwaniem, by one wzięły tę sprawę w ręce, złożyły sąd i wydały orzeczenie. Kaczkowski, odmawiając wszelkiej kompetencyi tym „Kołom“ do podejmowania tej sprawy i składania jakiegokolwiek sądu, był bardzo z tych odezw Jeża niezadowolony i dał mu to uczuć, jakkolwiek był mu wdzięczny za przyjacielskie zainteresowanie się tą sprawą. Natomiast prosił prof. Liske'go, by do jego „Odpowiedzi“ dodał „od siebie rzut oka na całość tej sprawy i na wartość ogłoszonych dokumentów, ze swoim własnoręcznym podpisem. To będzie miało daleko więcej wartości, niżeli jakiekolwiek manifestacye Kół artystyczno-literackich.“[1])

[1]) Ze zbiorów w Bibliotece Ossolińskich, Nr. 4985. Ms.
[2]) Tamże.

Prof. Liske uczynił zadość prośbie. Na łożu śmierci skreślił własnoręcznie artykuł p. t. „W imię prawdy“, który ukazał się w zeszycie drugim „Kwartalnika Historycznego“ z r. 1891. Zeszyt ten wyszedł już w żałobnych obwódkach, zasłużony bowiem profesor, z wielką dla nauki polskiej szkodą, zgasł dnia 27 lutego. Artykuł ten, to jakby głos zagrobowy szlachetnej, oburzonej ludzką niesprawiedliwością, duszy; powtarzamy go za „Kwartalnikiem“ niemal w całości, jako świadectwo nieuprzedzone, tchnące poczuciem sprawiedliwości, jako pierwszorzędnej wagi dokument.

Po krótkim wstępie, z oznaczeniem tomów i stronic „Wydawnictwa materyałów“, w których sprawa Z. Kaczkowskiego na nowe poruszoną została, pisze ś. p. Liske:

„Po ukazaniu się tomu II. („Wydawnictwa materyałów“) przesłał p. Z. Kaczkowski na ręce jednego ze swych znajomych we Lwowie[2]) obronę swoją, spokojnie i zwięźle napisaną, z prośbą, ażeby ją wraz z zawartymi w niej autentycznymi dokumentami Komitet redakcyjny tegoż wydawnictwa w najbliższym tomie umieścił. Komitet ten stanowczo odmówił, oświadczając, że obrony nie wydrukuje, bo w polemikę się nie bawi. Zasada: *audiatur et altera pars* dla Komitetu redakcyjnego znaczenia nie miała, obwinionemu nie pozwolono się bronić, powtórzyła się przeto scena z r. 1863. Pan Z. K. mógł na podstawie znanego paragrafu prasowego prawa zmusić Komitet do umieszczenia jego odpowiedzi, obrał jednak inną drogę, zwracając się do Redakcyi „Kwartalnika Historycznego“, jako tej, która już poprzednio umieściła recenzye tegoż wydawnictwa, z prośbą, ażeby ona zechciała ogłosić w łamach swych jego obronę; równocześnie zaś przesłał jej oryginały dokumentów, na które się w obronie swej powołuje, przeznaczając je do archiwum Tow. Histor. Redakcya „Kwartalnika Historycznego“ była gotowa niebawem zadość uczynić życzeniu p. Z. K., chodzi jej bowiem o wyjaśnienie tego faktu historycznego, jak każdego innego. Tymczasem jednak ukazał się tom III. „Wydawnictwa“, a w nim powtórzono doku-

[1]) List z d. 24 stycznia 1891 r. Tamże. Ms.
[2]) prof. dr. Ludwika Finkla.

menta z tomu drugiego, dodając do nich nowe. Należało więc w odpowiedzi swej omówić i te dodatkowe zarzuty, co oczywiście wymagało uzupełnienia obrony. Uskuteczniwszy je, przesłał p. Z. Kaczkowski tę swoją odpowiedź Redaktorowi „Kwartalnika Hist.“, a ten podaje ją czytelnikom swym poniżej.

Mógłbym na tem skończyć, uważam sobie jednak za obowiązek wypowiedzieć choć w kilku słowach zdanie moje o smutnej tej sprawie. Nie potrzebuję przytem zaręczać, że sąd mój opieram na starannem przestudyowaniu wszystkiego tego, co w sprawie tej pisano, czy ze strony p. Z. K. i jego przyjaciół, czy zaś ze strony jego przeciwników. Jako historyk z zawodu zaś dążyłem przez całe życie do bezwzględnej prawdy w badaniach moich, jako człowiek, stojący już jedną nogą w grobie, tem bardziej jedynie tylko prawdą kierować się mogę, chcę i będę, a żadne inne względy na mnie wpływać nie mogą. Tem nieparcyalniej też mogę w sprawie tej się odzywać, ponieważ z p. Z. K. nie łączą mnie ani wspólne zapatrywania polityczne, jeżeli ich wyrazem ze strony p. Z. K. jest „Teka Nieczui“, pożałowania godny wynik nieznajomości spraw krajowych, ani stosunki osobiste, znam go bowiem tylko z korespondencyi. Wypowiadam więc zdanie moje w tej przykrej sprawie tak, *jakbym je wygłaszał przed sądem pod przysięgą*. Niech czytelników naszych nie dziwi uroczysty ton, w którym przemawiam: chodzi tu jednak o rzecz tak ważną, jak cześć i honor człowieka, a sprawy takiej nie można traktować w usposobieniu innem, jak nader poważnem. — Zdaniem mojem przeto nie mógł Komitet redakcyjny wyświadczyć p. Z. K. większej przysługi, jak ogłaszając w „Wydawnictwie“ dokumenta, mające się odnosić do sprawy jego. Dotąd przeważna większość wykształconej naszej publiczności słyszała coś tam o smutnym tym epizodzie z powstania; nikt jednak prawie nie znał dokładnie tej sprawy, nikt nie wiedział, na czem właściwie sędziowie narodowi lwowscy potępiający swój werdykt oparli. Że zaś, niestety, przeciętna natura ludzka aż za często skłonna jest uwierzyć złemu, aniżeli dobremu, więc mimowoli wielu, zresztą z gruntu uczciwych ludzi, dochodziło do przekonania, że musi być w tem coś prawdy, czepiał się więc jakiś czarny cień imienia człowieka, którego przed powstaniem tak czczono, tak honorowano, uważając go niemal powszechnie za jednę z najpierwszych gwiazd pomiędzy pisarzami naszymi, a prócz tego za osobistość wielce zasłużoną na polu prac narodowych. Teraz po „Wydawnictwie“ każdy, kto ma dobrą wolę, przekonać się może, na jakich to błahych dowodach oparto potępiający wyrok,

do jakiego stopnia czcze, sztucznie naciągane, niczem nieuzasadnione są te rzekome dowody. Teraz widzieć możemy, z jaką to lekkomyślnością w czasach rewolucyjnych postępuje się w tego rodzaju sprawach, z jaką to pochopnością odziera się z czci i sławy osobistość wysokiego uzdolnieniu i rzadkiej pracowitości, wykluczając ją z własnego społeczeństwa, nie pozwalając jej pracować dla tego społeczeństwa, do którego z prawa natury i wewnętrznej skłonności należy. Do wyjaśnienia tej sprawy więc znakomicie się przyczynia „Wydawnictwo“, a p. Strusiowi, publikującemu owe dokumenta, widocznie o to też jedynie chodziło, jak wynika z własnych słów jego (II., 95). Wśród gorączki rewolucyjnej zresztą takie obłędy, jak ów wyrok, wytłumaczyć się jeszcze dadzą, i niezawodnie wszędzie się pojawiały, choć już wtedy nawet nie zbywało p. Z. K. na obrońcach takich, jak K. Ruprecht, W. Majewski, A. Giller, W. Przybylski, dziś jednak po 27 latach, mniemam, nie znalazłby się ani jeden prawy, uczciwy sędzia przysięgły, któryby na podstawie takich dowodów choć na chwilę się zawahał, co powiedzieć: winny, czy niewinny. Są jednak widocznie takie nieszczęśliwe osobistości, nad któremi cięży jakieś fatum, ściągające na nie podejrzenia nieuzasadnione zgoła niczem. — Jest niezawodnie w sprawie tej strona uczuciowa, bo czyż może drzemać spokojnie uczucie na widok takiego bezprawia? Nie z tej strony jednak chciałbym się zapatrywać na nią, bo uczucie samo może człowieka zaprowadzić na manowce. Mnie rzecz ta zajmowała i zajmuje przedewszystkiem ze strony krytycznej i historycznej, mnie najwięcej fakt ten zajmuje, jako wypadek historyczny, dotąd niewyjaśniony. — My, historycy, zwykliśmy wypowiadać potępiający wyrok na jakąkolwiek osobistość historyczną, mniej lub więcej wybitną, na podstawie dowodów niewzruszonych, dokumentów i zeznań wszechstronnie zbadanych, których autentyczność nie może ulegać najmniejszej wątpliwości. Tutaj zaś: żal się Boże! rzecz ta byłaby bardzo śmieszną, gdyby z drugiej strony nie chodziło o coś takiego, jak cześć człowieka. Weźmy n. p. ową słynną kartkę, na której znajduje się dziewięć liczb, a liczby te oznaczać mają nazwisko wskazanej przez namiestnika Galicyi osobistości, t. j. mają znaczyć: *Vernehme Kaczkowski*, i to na podstawie klucza, który „*zakupiono w ministeryum policyi w Wiedniu za 2000 złr.*“; nikt jednak klucza tego nie dodaje, nikt go z ogłaszających dokumenta nie widział. Na takiej podstawie w dziewięciu tych liczbach wszystko wyczytać można, co się tylko zechce, a w każdym razie coś rozsądniejszego, niż to, co wyczytał rewo-

lucyjny sąd lwowski, to jest owo słynne: *Vernehme*, mające być częścią nazwiska Kaczkowskiego. Jest to prawdziwe *curiosum*, które mogło wyjść tylko od ludzi, którzy nigdy z szyframi i kluczami do nich nie mieli do czynienia. — Przypatrzmy się jeszcze bliżej temu postępowaniu. O autentyczność dokumentów, mających stanowić dowód winy oskarżonego, nikt zgoła nie pyta, byle był gdziekolwiek na jakim świstku napisany, już służy za rzecz autentyczną. Protokoły zeznań i posiedzeń podaje się zgoła bez wszelkiej daty (n. p. t. III., str. 280); wyroki Rządu Nar. raz mają datę dokładną, kiedy się mówi o nich ogólnikowo i nie przytacza w całości (t. II., str. 100), a potem nie mają żadnej daty, kiedy się je podaje dosłownie według oryginału (t. III., nr. 227). Pod takiemi zeznaniami podpisane są nazwiska zgoła nieznane, o których nikt nie słyszał (n. p. Twardzicki), lub też takie, jak Kruk, bez wyjaśnienia czy to pseudonym, czy nazwisko. Najważniejsze dokumenta cytuje się: „Ze zbioru prywatnego N. N.“ i na tem koniec. — Depesze przejęte podobno i szyfrowane podaje się w tłumaczeniu polskiem, a nie w rzekomym niemieckim oryginale (t. III., str. 278 i nast.), a prócz tego operuje sią ciągle kluczem, nie umieszczając go nigdzie. — Rządowi każe areopag rewolucyjny używać klucza, o którym rząd wie, że znajduje się już przez przekupstwo w ręku władz narodowych, każe mu wysyłać depesze szyfrowane przez ręce tych samych urzędników, z których jeden takież depesze i listy zdradziecko wydał władzom narodowym. Cóż za naiwność! Cóż za potworna niekonsekwencya i brak wszelkiej ścisłości i metody! — Każe się wreszcie wierzyć czytelnikowi na proste słowo, jakoby ta i owa depesza odnosiła się do sprawy p. Z. K., każe się — mówię — wierzyć, że Namiestnik, kiedy pisze Heubauer, rozumie przez to Z. Kaczkowskiego. Lecz dosyć tych potworności! — Sądzę, że krótki mój wywód zakończyć mogę słowami, wziętemi z orzeczenia ś. p. M. Kabata, a podanemi w całej rozciągłości przez p. Strusia: „Istota czynu wcale nie znajduje się w przedłożonych aktach i relacyach, i to ani co do osoby, mianowicie, *że* zdradził, ani co do rzeczy, *co* zdradził, ani też istotnych dowodów niema żadnych (t. II., str. 99).“ Kiedy się oskarża człowieka o morderstwo, musiano gdzieś takie popełnić, tutaj zaś potępiają wybitną osobistość o tak potworną rzecz, jak zdrada, a nawet istota czynu nie jest skonstatowaną. Czy to nie okropne?

A teraz, wypowiedziawszy pokrótce nasze zdanie, oddajemy głos samemu p. Z. Kaczkowskiemu.

Xawery Liske.“

Odpowiedzi tej Kaczkowskiego nie podajemy, nie zawiera bowiem żadnych nowych, prócz znanych nam już, szczegółów.

Staraliśmy się przedstawić tę sprawę, o ile było można szczegółowo, podnosząc to wszystko, co mogło mieć w jej ocenieniu zasadnicze znaczenie; sądziliśmy bowiem, że wyjaśnienie jej dokładne, na wiarygodnych dokumentach i głosach poważnych oparte, jest obywatelskim obowiązkiem w obec polskiego pisarza, mającego na tem polu niezaprzeczone zasługi, a na którego życiu tak ciężkiem ona zaważyła brzemieniem, że nawet w chwili śmierci, jakto później obaczymy, ozwała się w przedzgonnym proteście.

Pozostał nam jeszcze jeden szczegół do wyjaśnienia, odnoszący się do materyalnej sytuacyi Kaczkowskiego, którą wrogowie jego przedstawić usiłowali jako wprost rozpaczliwą i uzasadniającą podejrzenie o popełnienie zdrady — za pieniądze.

Otóż na podstawie wiarygodnych, bo sądowych, dokumentów z lat 1860—1861 [1]) możemy stwierdzić, że jego ówczesna sytuacya finansowa nie przedstawiała się bynajmniej krytycznie. Miał wprawdzie długi, a raczej dłużki, jak n. p. za pobrane na wieś wiktuały winien był kupcowi Wolfowi Horowitzowi w Sanoku czy Przemyślu 156 złr. i 29 złr.; to znowu jakiemuś Janowi Moskalikowi 42 złr., Fewlowi Selzerowi 525 złr. oraz Ettli Dymowej w Sanoku także 525 złr. (prawdopodobnie ta sama pretensya, odstąpiona przez Selzera Dymowej), wreszcie Abiszowi Kannerowi z Sanoka 120 złr., która to jednak ostatnia pretensya całkowicie pokrytą była kwotą, należącą się Kaczkowskiemu od skarbu wojskowego za dostarczone siano, słomę, owies i t. p. — Pretensye te, wynoszące najwyżej około tysiąca paręset złr., po większej części zgłoszone i zaskarżone zostały już w tym czasie, gdy Kaczkowski, w skutek procesu, wytoczonego redakcyi „Głosu“, siedział w więzieniu i nie mógł ich załatwić.

Jak wiadomo, posiadał jeszcze Kaczkowtki wieś Bereźnicę wyżną w Sanockiem, obciążoną nieznacznym stosunkowo długiem w Towarzystwie kredytowem ziemskiem, która oczywiście mogła z łatwością pokryć owe „dłużki“. — Że o długach swoich Kaczkowski pamiętał, dowodzi list jego, pisany już z Paryża dnia 23 kwietnia 1864 r. do jednego z adwokatów lwowskich, w którym czytamy:

---

[1]) Udzielonych nam łaskawie przez p. Franciszka Rawitę-Gawrońskiego.

„Wyjechawszy niespodzianie ze Lwowa, zostawiłem tam cokolwiek niepopłaconych rachunków. Wszystkie te pretensye są po największej części słuszne, tylko niektóre z nich, jak n. p. krawca Bałutowskiego, są cokolwiek przesadzone.“ [1])

Kaczkowski zapewnia, że te wszystkie pretensye zaspokoi najdalej do czerwca. Niepokoi go jednak bardzo sytuacya Bereźnicy, którą wydzierżawił niejakiemu Wierzbowskiemu. Dzierżawca ten zawiódł jego oczekiwania, — rat dzierżawnych nie płacił; nie płacił również rat, należnych Towarzystwu kredytowemu ziemskiemu (po 131 złr. półrocznie), z opłatą podatków także zalegał, budynki i las niszczył i prawie żadnych zasiewów nie czynił. — Kaczkowski dziękuje z wylaniem owemu adwokatowi, że wziął te interesa w swoją opiekę i prosi usilnie o rozwiązanie kontraktu z Wierzbowskim, wyrzucenie go z dzierżawy i wytoczenie mu procesu o zwrot strat i szkód, które oblicza na przeszło 7000 złr., co uzasadnia szczegółowo w osobnej „informacyi“, własnoręcznie pisanej, w której podaje sposoby ratowania Bereźnicy, gdyż Tow. kred. ziemskie, w skutek niezapłacenia 3 rat przez Wierzbowskiego, już było rozpisało licytacyę. [2])

Dopiero też wówczas sytuacya stała się krytyczną. „Wtedy zaś — pisze Kaczkowski do pani Ksawerowej Liskowej, z Paryża, d. 12 grudnia 1890 r. [3]), — kiedy, według podania tych panów, za parę tysięcy guldenów sprzedałem Ojczyznę, miałem przecież wieś, stosunkowo znaczne zapasy ruchomości nawet we Lwowie i zgoła żadnych długów. Wieś potem poszła z dymem, ale kiedy? — wtedy, gdy już byłem na emigracyi (1864—1865).“

Jest zresztą rzeczą wprost nieprawdopodobną, aby człowiek takiego hartu i siły woli, który nawet w krytycznej chwili swego wyjazdu ze Lwowa, jakto widzieliśmy, nie tracił zaufania we własne siły, owszem, był przekonania, że da sobie radę na szerokim świecie, aby człowiek taki, dla małych dłużków w Sanoku czy Przemyślu, dał się za marne pieniądze przekupić. Podejrzenie takie mogło się chyba wyrodzić w umysłach, bardzo stronniczo usposobionych i rozgorączkowanych namiętnościami politycznemi.

Sytuacya finansowa Kaczkowskiego, jako właściciela Bereźnicy, stała się dopiero później, już w czasie jego „banicyi“, krytyczną,

[1]) List ze zbiorów pani H. Dąbczańskiej. Ms.
[2]) „Informacya“ ze zbiorów pani Heleny Dąbczańskiej. Ms.
[3]) Zbiór listów w Bibliotece Ossolińskich, Nr. 4985. Ms.

ale i z niej potrafił się wydobyć, a raczej stworzył sobie inną, znacznie świetniejszą, za granicą, gdzie nietylko zdobył znaczny stosunkowo majątek, lecz i niemałe, jak to w dalszym ciągu zobaczymy, znaczenie. [1])

[1]) Już po wydrukowaniu niniejszego rozdziału, otrzymałem od p. dr. Ludomira Lewandowskiego, adwokata kraj. w Dobczycach, list, świadczący, że Kornel Ujejski, przeczytawszy artykuły, zamieszczone w „Kwartalniku historycznym“, w sprawie procesu Zygmunta Kaczkowskiego z r. 1863, żałował swojego ówczesnego postępowania. Dr. Lewandowski poznał poetę u jego brata stryjecznego, Zdzisława Ujejskiego, w Wygnance. Po przeczytaniu owych artykułów, twórca „Chorału“ przyznał — pisze dr. Lewandowski — „że brał udział w sądzie, był jednym z członków trybunału i głosował przeciw Kaczkowskiemu, ale że dzisiaj musi siebie potępić; dziwi się, jak mógł wydawać wyrok potępienia na tak błahych podejrzeniach. Tłumaczył się, że wtenczas wszyscy byli w gorączce i t. d. Tę całą okoliczność dobrze sobie przypominam i że od samego Kornela U. dopiero dowiedziałem się, że on był jednym z sędziów, o czem przedtem nie wiedziałem“.

To świadectwo dr. Lewandowskiego, wywołane ustępem niniejszej pracy, zamieszczonym w zeszycie styczniowym „Przewodnika“, jest niezmiernie cenne dla pamięci zarówno twórcy „Chorału“, jak i Zygmunta Kaczkowskiego.

Przypisek Autora.

VIII.

(Z. Kaczkowski w sferach publicystycznych, politycznych i dyplomatycznych. — Stosunki z Ministrem Stanu hr. Belcredim. — Nominacya hr. Agenora Gołuchowskiego powtórnie Namiestnikiem Galicyi. — Pertraktacye w tej sprawie i warunki. — Kwestya Marszałkowska. — Pamiętniki ks. Leona Sapiehy. — Misye dyplomatyczne Kaczkowskiego. — Wydawnictwo „Morgenpost“. — Chwile zniechęcenia. — Plany publicystyczne. — Zamiar wydawania dziennika polskiego w Wiedniu. — Znaczenie Kaczkowskiego na polu dziennikarskiem. — Listy jego w tej sprawie do Smarzewskiego, pełne goryczy. — Krytyka literatury współczesnej. — Ciepła wzmianka o zmarłym Szajnosze. — Przedsiębiorstwa przemysłowe. — Naprężone stosunki z ks. Adamem Sapiehą. — Pozycya materyalna Kaczkowskiego. — „Banque des Provinces“. — Zamiar kupienia dóbr ziemskich w Galicyi. — Ponowne zabiegi o mandat poselski i ponowne niepowodzenie. — Rozgoryczenie z tego powodu. — Nienawiść do „Stańczyków“. — Zjadliwe zdanie o Galicyi. — Usposobienie sfer demokratycznych dla Kaczkowskiego. — Jego złudzenia w tym względzie. — „Teka Nieczui“. — Pamflet ten nie wywołuje wrażenia. — Przybycie do Lwowa. — Sprawa „Konfederacyi Narodu Polskiego“. — Powrót do Paryża. — Finansowe i przemysłowe spekulacye. — Widzenie się z Namiestnikiem Zaleskim w Paryżu. — Projekt amortyzacyi Listów zastawnych Towarzystwa kredytowego ziemskiego. — Zygmunt Sarnecki o Kaczkowskim.)

Rozszerzając ciągle swoją działalność publicystyczną, nawiązawszy stosunki ze wszystkimi niemal wielkimi organami opinii publicznej w Europie, zbliżył się tem samem Kaczkowski do sfer politycznych i dyplomatycznych i umiał sobie tam pozyskać nietylko głos, lecz i wpływy. Zręczności pod tym względem nikt mu chyba odmówić nie może.

Wpływy te wzmogły się zwłaszcza od chwili, gdy na czele Rządu austryackiego stanął Ryszard hr. Belcredi (1865—1867).

Stosunki z nim wyjaśnia obszernie Kaczkowski w liście do pani Jadwigi Liskowej, pisanym z Paryża, d. 16 maja 1894 [1]), z powodu ustępu we „Wspomnieniach“ ks. Leona Sapiehy, podówczas wydanych [2]). Ustęp ten brzmi:

„Minister Belcredi chciał dać Galicyi namiestnika Polaka. Jedynym Polakiem, mającym zaufanie Cesarza, był hrabia Gołuchowski, na niego więc i minister zwrócił uwagę. Bawił on wtenczas dla zdrowia w Badenie pod Wiedniem. Bardzo mnie zadziwiło, gdy dowiedziałem się, że do traktowania z nim używał minister Kaczkowskiego Zygmunta, literata, nienajlepszej zażywającego reputacyi. Był on czynnym w r. 1863 w komitetach narodowych. Oskarżają go, nie wiem, czy słusznie, że potem denuncyował biorących udział w tych komitetach. Ale że sprytny i ruchliwy, umiał sobie zjednać zaufanie ministra. Z pewnego źródła dowiedziałem się, źródła, któremu to xiążę Auersperg przyznał, że Kaczkowski z ministerstwa spraw zagranicznych pobiera pensyę fl. 10.000 rocznie, jako agent policyi tajnej politycznej, a dla lepszego ukrycia swych czynności redaguje w Wiedniu dziennik niby opozycyjny.“

Było to jeszcze jedno, już ostatnie echo przejść z r. 1863, które jednak mocno Kaczkowskiego dotknęło. Gdy mu o tem doniesiono — a uczyniła to stale mu życzliwa pani Jadwiga Liskowa, — pośpieszył wnet, nie znając jeszcze w całości tego ustępu, z następującem wyjaśnieniem:

„Wracając po wydaniu amnestyi w Austryi do kraju, przyjechałem dnia 16 stycznia 1866 do Wiednia i tego samego dnia wieczorem spotkałem w jednym z tamtejszych domów arystokratycznych na herbacie hr. Ryszarda Belcrediego, który od kilku miesięcy był Ministrem Stanu, a którego znałem osobiście od lat kilkunastu. Po herbacie wywiązała się pomiędzy nami konwersacya o ówczesnej sytuacyi w Austryi i o tem bardzo trudnem zadaniu, które Belcredi przyjął na siebie, — a w tej konwersacyi powiedziałem mu otwarcie, że popełnił błąd wielki, ogłaszając zawieszenie konstytucyi, a teraz popełnia błąd drugi, kneblując prasę, albowiem jeżeli z tej sytuacyi wyjść można, to stać się to może tylko za pomocą rozumnie kierowanej wolności druku. Zdanie to tak go uderzyło, że prosił mnie, abym go nazajutrz wczas rano

---

[1]) Zbiór w Bibl. Ossolińskich, Nr. 4985. Ms.

[2]) „Leon Xiążę Sapieha. Wspomnienia (z lat 1803—1863)“. Lwów, u Altenberga, str. 261.

w jego biurze odwiedził, gdziebyśmy mogli o tem spokojnie pomówić. Ta druga rozmowa nasza trwała parę godzin, a jej rezultat był taki, iż mi się przyznał, że on sam już na tę myśl wpadał, ażeby prasie cugli popuścić, i na tej drodze zdania publiczności o przyszłej organizacyi Austryi wywołać, ale nie miał dotąd odwagi z tem zdaniem wystąpić, bo ma dwóch ministrów obok siebie, Majlatha i Eszterhazego, którzy niezmiernie są reakcyjni... Nadto zaś wszystko sam sobie nie ufa, iż znajdzie dość argumentów na poparcie swojego zdania, bo z działaniem wolności druku w tych krajach, gdzie takowa istnieje, niedostatecznie jest obeznany. Zaczem zasiedliśmy we dwójkę do tej roboty i w kilka dni wygotowaliśmy Memoryał, dowodzący koniecznej potrzeby, nie prawnej, bo ta była niemożebną, ale faktycznej wolności druku, a w parę dni potem propozycya ta została tak przez owych ministrów, jak przez Cesarza, nawet bez żadnego oporu przyjęta. Dzienniki zostały o tem na drodze poufnej zawiadomione, — i łatwo się domyśleć, jakie zadowolenie ten krok wywołał w całej opinii publicznej wiedeńskiej. Dla mnie zaś stąd wyniknął ten skutek, iż zyskałem przez to zupełne zaufanie Belcrediego, a zarazem i tych, którzy stali obok niego i nad nim, — a przytem, ileże się wkrótce rozniosło, z czyjej inicyatywy to postanowienie zostało powzięte, zyskałem pewną popularność w mieście, a to nawet do tego stopnia, że ktokolwiek chciał coś zaproponować rządowi, ten z tem udawał się do mnie. Musiałem nawet wziąć obszerniejsze mieszkanie w hotelu Erzherzog Karl, bo codziennie po kilkanaście, a czasem i po kilkadziesiąt osób bywało u mnie. Polacy, którzy także hurmem ściągnęli się do mnie, byli mi wówczas także, jak sądzę, bez wyjątku przychylni, przynajmniej nie spostrzegłem, aby który z nich przeciw mnie występował. Że i ja nie zapomniałem o kraju, o tem nie potrzebuję wspominać, ale wtedy dla Galicyi nic zrobić nie było można, bo wówczas chodziło przedewszystkiem o Węgry, o których rozumiano, że się skromną autonomią dadzą uspokoić, bez Kroacyi, Slawonii i Pogranicza, poczem zamierzano resztę Monarchii na cztery grupy podzielić i na tej drodze wewnętrzną równowagę wytworzyć. Deak, z którym w cichości układaliśmy te sprawy, nie był dalekim od przyjęcia tej kombinacyi. Ciekawą jest rzeczą, że wówczas we wszystkich sferach rządowych i dyplomatycznych wiedeńskich tylko jeden xiążę Gramont, ambasador francuski znał dokładnie zamiary Węgrów, — jakoż kiedy mnie jednego dnia (a było to w lutym) spytał poufnie, bo byłem z Paryża dobrze zaakredytowany u niego, co robimy z Deakiem, a jam mu

powiedział, com o tem wiedział, on rzekł mi z naciskiem: „*Vous faites fausse route, Vous aurez maille à partir avec les Hongrois, ce n'est pas avec Deak, que vous arriverez à un arrangement, il faut négocier avec Andrassy et Lonyay.*“ Tymczasem... przygotowywano wojnę w tem rozumieniu, że po wojnie zwycięskiej Węgrzy jeszcze skromniejszemi koncesyami się zadowolą. Dowiedziawszy się od Belcrediego, że wojna jest postanowiona i że ma być jednocześnie prowadzona przeciwko Prusom i przeciw Włochom, powiedziałem mu otwarcie, jakie przewiduję z niej skutki, lecz wiedząc dobrze, że na te rzeczy nie mogę wywrzeć żadnego wpływu, a nie chcąc z tą głupotą nic mieć do czynienia, 23 kwietnia wyjechałem z Wiednia, naprzód do Włoch, a ztamtąd do Francyi.“

Tu nadmienić wypada, że jakto z późniejszego listu Kaczkowskiego do pani Liskowej [1]) wynika miał on podówczas, przed wybuchem wojny, misyę od Rządu francuskiego do Rządu austr. w kwestyi uniknięcia wojny z Włochami. Misya ta się nie powiodła, a jeżeli pomimo to Kaczkowski pojechał jeszcze do Włoch, to uczynił to — jak twierdzi — z własnej inicyatywy, a raczej z namowy swoich przyjaciół, stronników pogodzenia się Austryi z Włochami, — lecz od Rządu żadnej do tego misyi nie miał.

„Po zawieszeniu broni, — już w lipcu, — pisze dalej Kaczkowski w liście z 23 kwietnia, — wróciłem do Wiednia i zająłem obok Belcrediego to samo stanowisko, jak przedtem, ale teraz mój wpływ u niego jeszcze znacznie się wzmocnił, raz dlatego, żem dobrze przewidział skutki tej wojny, a głównie z tego powodu, że wtenczas w sprawach rządowych panowała wielka niezaradność. Ale wtenczas i sytuacya wewnętrzna się także całkiem zmieniła. Węgrzy wzięli górę stanowczo i było rzeczą widoczną, że trzeba im będzie dać wszystko co zechcą, a za tem poszło, że już nie można było myśleć o utworzeniu pięciu grup, owszem, w sprawach rządowych zaczęła przeważać idea, iż aby stworzyć przeciwwagę przeciwko wielkim i silnym Węgrom, należy zbić resztę krajów w ciało, ile możności jednolite. Belcredi nie był zwolennikiem tej idei w gruncie rzeczy centralistycznej, ale musiał się liczyć z prądem panującym w górze i podczas kiedy przed wojną zamierzał dać Galicyi autonomię jak najobszerniejszą i zamianować dla niej osobnego kanclerza z siedzibą w Wiedniu, teraz musiał ścieśnić do skromniejszych rozmiarów swoje idee federalistyczne. Zgoła

---

[1]) z Paryża, 16 maja 1894. Zbiór listów w Bibl. Ossolińskich, Nr. 4985. Ms.

w owej chwili jedyną rzeczą, którą można było otrzymać, było zamianowanie Namiestnika Polaka".

Jak Kaczkowski twierdzi w tym liście, wysuwano rozmaite kandydatury na to stanowisko, a mianowicie z Krakowa: proponowano Henryka Wodzickiego, Adama Potockiego, ks. Władysława Sanguszkę i ks. Leona Sapiehę; ze Lwowa: ks. Karola Jabłonowskiego, Ludwika Skrzyńskiego, Władysława Badeniego i Oktawa Pietruskiego. Belcredi jednak na te kandydatury się nie zgodził. „Ale w tymże czasie — pisze w dalszym ciągu Kaczkowski — zaczął Dobrzański agitować we Lwowie za Gołuchowskim, a zarazem przejechało do mnie kilka osób z różnych sfer ze Lwowa z propozycyą, abym u Belcrediego forytował Gołuchowskiego"

Gdy jednak Kaczkowski uczynił tę propozycyę, Belcredi zrazu odpowiedział odmownie, a to z powodu, że pomiędzy nim a Gołuchowskim były pewne nieporozumienia z czasów, gdy Gołuchowski był Ministrem Stanu, a Belcredi kandydatem na zastępcę Namiestnika na Morawach. Kaczkowski jednak od swego nie odstąpił. „Sprowadziłem — pisze — Gołuchowskiego do Wiednia, trzymałem go w Wiedniu i w Baden przez dwa miesiące, pogodziłem go z Belcredim, Belcredi sam utorował mu drogę do Cesarza, wytargowałem dla niego wszystkie warunki, o które było bardzo wiele trudności i dostaliśmy Namiestnika Polaka".

„X. Leon — powiada Kaczkowski — w jednym z późniejszych listów do pani Liskowej [1]) — niby powiada to samo, ale obraca rzecz do góry nogami, bo tak ją przedstawia, jak gdybym ja negocyował tę sprawę z ramienia Belcrediego, a więc w interesie Rządu, podczas kiedy w rzeczywistości ja ją negocyowałem z ramienia Gołuchowskiego, forytowanego na Namiestnika przez opinię publiczną, a więc w interesie kraju, — dowodem zaś tego jest fakt znany całemu krajowi, że Gołuchowski postawił jako warunek objęcia Namiestnictwa 19 punktów, mających na celu wzmocnienie i unarodowienie, w każdym zaś razie zautomizowanie władzy krajowej, a ja te wszystkie 19 punktów od Belcrediego otrzymałem. Owóż takie przedstawienie rzeczy jest z prawdą niezgodne, a oprócz tego ma widocznie na celu zaprzeczenie tej usługi, jaką wówczas w sposób jak najbezinteresowniejszy oddałem krajowi".

Zasługi tej nie odmawiał mu sam Gołuchowski — „bo zaraz po objęciu Namiestnictwa we Lwowie — pisze Kaczkowski [2]) — przysłał mi deputacyę z urzędników i obywateli złożoną z wyrażeniem podziękowania". „Za te zasługi — dodaje — jakie wtenczas krajowi tak w tej, jak i w innych sprawach oddałem, nigdy od nikogo nic nie żądałem i nigdy nic nie dostałem".

[1]) z 19 maja 1894. Ms.

[2]) List z 25 kwietnia do p. J. Liskowej. Ms.

Wszystkie powyższe szczegóły w sprawie nominacyi hr. Gołuchowskiego Namiestnikiem, kreślone w wiele lat później, znajdują zupełne potwierdzenie w listach współczesnych Kaczkowskiego do Smarzewskiego Seweryna [1]). I tak w liście z dnia 18 sierpnia 1866 pisze Kaczkowski:

„Nam, mojem zdaniem, nie pozostaje nic innego, jak żadnych nie stawiać programów, tylko korzystając z tego, żeśmy stanęli na stanowisku lojalności, na którem możemy więcej otrzymać, niż wszyscy inni, badać trzeźwo istniejące warunki możliwości i w obrębie tych warunków brać, co się wziąć da. Na ten program sprowadziłem Gołuchowskiego i przeprowadziłem pomiędzy nim a hr. Belcredim porozumienie. Dotychczas obadwa ci panowie rozmawiali z sobą tylko przezemnie, — a dopiero w poniedziałek wraca Gołuchowski z Baden do Wiednia i będzie już mówił z Belcredim bezpośrednio i na podstawie spodziewanej nominacyi na Namiestnika, która także już jest z Belcredim załatwiona."

Pochwał hr. Gołuchowskiemu Kaczkowski przy tej sposobności nie szczędzi. „Zapatruje się on — powiada — na interesa kraju równie rozsądnie, jak uczciwie, a w kierunku narodowym idzie o wiele dalej, niżeli w chwili dzisiejszej z nadzieją pewnego skutku iść można." „Stoi na stanowisku — dodaje w innem miejscu — czysto polskiem i na każdym kroku pamięta o tem, że go teraz opinia publiczna powołała do służby, z której przed nią ma zdać rachunek... Ma przytem ten wielki rozum, iż nie decyduje stanowczo o rzeczach, których nie jest pewnym i umie słuchać zdania ludzi specyalnych — a w swoim zakresie ma nadzwyczajny trafny pogląd i sąd i stanowczość i będzie miał niezawodnie pożądaną energię."

Podaje też Kaczkowski warunki, pod jakimi hr. Gołuchowski decydował się objąć stanowisko Namiestnika. Zrazu, na pierwszem miejscu była nominacya Kanclerza dla Galicyi z siedzibą w Wiedniu. Od tego warunku wszakże odstąpiono, bo jak czytamy w liście Kaczkowskiego z d. 31 sierpnia 1866 r., w memoryale, złożonym Belcrediemu przez Gołuchowskiego, głównymi warunkami były: 1. Zniesienie podziału Galicyi. 2. Oddalenie pięciu urzędników na-

[1]) Ze zbiorów Tad. Smarzewskiego.

tychmiast, a to: Summera, Moscha, Wolfarta, Henna, Englischa. 3. Przyjęcie zaproponować się mających dalszych takich dymisyj. 4. Wolność dla Gołuchowskiego przerzucania urzędników z miejsca na miejsca. 5. Zniesienie żandarmeryi (usunięcie wpływów wojskowych od Administracyi). 6. Reorganizacya wychowania publicznego i natychmiastowe zorganizowanie ufundowania gimnazyów polskich. 7. Używanie języka polskiego w całej Administracyi wewnętrznej. 8. Przeprowadzenie katastru. 9. Przeprowadzenie serwitutów. 10. Ułożenie systematycznego postępowania względem Rusinów, wspólnie z Belcredim.

„Inne kwestye — pisze Kaczkowski — nie wchodzą w obręb władzy Namiestnikowskiej, ale będziemy i o nich mówić, jako o desideratach kraju, i spodziewać się można, że jakąkolwiek utworzą organizacyę dla Państwa, Sejm galicyjski otrzyma zakres działania najobszerniejszy, jaki w obrębie nowej konstytucyi otrzymać będzie można."

Złożenie owego memorandum przez hr. Gołuchowskiego, z warunkami przytoczonymi powyżej, „było tylko — jak twierdzi Kaczkowski — dopełnieniem formy, bo te warunki ja już przed tygodniem umówiłem z Belcredim".

Wśród tych rokowań, „pomiędzy kwestyami przyszłości, które się wszelako już dzisiaj omawia i obrabia, jest także — jak donosi Smarzewskiemu Kaczkowski — kwestya Marszałkowska na przyszłe sześciolecie". — „Gołuchowski — pisze dalej, — zapytany przezemnie, kogoby uważał za najstosowniejszego na Marszałka, odpowiedział mi, że to jest rzecz, nad którą jeszcze nie myślał, lecz wymieniając nazwiska, pomiędzy pierwszymi Ciebie wymienił."

W dalszym jednak ciągu powiada Kaczkowski, że na stanowisku Marszałka chcianoby mieć kogoś z wielkiem nazwiskiem i wielkim majątkiem i że prawdopodobnie Marszałkiem zostanie Adam Potocki, przyczem rzuca myśl, aby Smarzewski zajął stanowisko wice-marszałka i zapewnia, że w obu kierunkach, t. j. z jednej strony w obec Belcrediego i innych sfer rządowych, z drugiej zaś u Gołuchowskiego mógłby mu utorować drogę. Zapytuje więc otwarcie i prosi o odpowiedź, czy Smarzewski „poszedłby zgodnie i chętnie jako wice-marszałek z Adamem Potockim, jako marszałkiem?" Co odpowiedział na to Seweryn Smarzewski, nie wiemy lecz, jak wiadomo, kombinacya ta upadła i Marszałkiem krajowym po ustąpieniu ks. Leona Sapiehy, został nie Adam, lecz Alfred hr. Potocki.

Wówczas to także powstała w głowie Kaczkowskiego myśl objęcia „Czasu". „Sprawa ta — pisał — z Kirchmayerem jest prawie ułożona, a Ad. Potocki będzie ją, jak sądzę, popierał. Ale są trudności godne zastanowienia się, których wcale przed sobą nie taję. Jest ich dwie: Jedna leży w mojej niepopularności, która jest tak donośna, że może sama z siebie zabić dziennik. — a druga w rachunkach, które wykazują deficyt roczny około 5000 fl., a jeśli zechcę poprawić redakcyę dziennika, wyniosą przynajmniej 15.000 fl. Przeciwko pierwszemu złemu mógłbym użyć tego środka, że przejęcie dziennika przeprowadziłbym bez żadnych ogłoszeń imiennych, a natomiast wlałbym w to martwe ciało tyle patryotyzmu, ruchu i życia, ile tylko można, ażeby czytelników ściągnąć. Nie osiadałbym nawet z tego powodu w Krakowie, tylko zorganizowałbym na nowo redakcyę i pisałbym potem z Paryża, przyjeżdżając do Krakowa tylko w czasie sejmów lub innych wielkich okazyi. Imienne zresztą ogłoszenie się w roli naczelnego dyrektora dziennika uważam dla siebie i będę uważać dopóty za niestosowne, dopóki mi się zdaje, iż w danych okolicznościach mógłbym zająć jakieś inne stanowisko, z dziennikarstwem niezgodne. Przeciwko drugiej trudności mógłbym użyć tego, jak sądzę, wcale godziwego a nawet dla kraju pożytecznego środka, iżby Belcredi zabił „Krakauer Zeitung" i kazał zamieszczać w „Czasie" inseraty rządowe i sądowe, które przynoszą dziś między 10 a 12.000 fl., a które Gołuchowski, który znowu „Lemberger Zeitung" zabije", mógłby jeszcze pomnożyć. Obowiązków ztąd żadnych. Gdyby się rzecz ta udała, t. j. gdybym cyfrę abonentów tylko o 1000 pomnożył, na co tem pewniej liczyć można, ileże wielkie europejskie przewroty oczywiście dopiero się zaczynają, a w nich na wszelki wypadek kwestya polska musi wypłynąć na wierzch, — to możnaby mieć z „Czasu" kilkanaście tysięcy fl. dochodu. Bardzo jeszcze będę się zastanawiał, nim na to się zdecyduję."

Takie to plany snuł Kaczkowski w obec objęcia rządów w Galicyi przez Gołuchowskiego i czując się umocnionym na stanowisku przy Belcredim. Z całą też stanowczością pisał do Smarzewskiego: „Co zaś do Belcrediego, to mogę Ci z całą pewnością siebie powiedzieć, że w sprawach galicyjskich moje zdanie jest decydującem."

Tak było w r. 1866. Zmieniło się to jednak z upadkiem Belcrediego w początkach następnego roku, w którym Kaczkowski znalazł się znów na bruku paryskim, ale już z ustaloną pozycyą tak w sprawach publicystycznych, jak i dyplomatycznych.

Polemizując z owym ustępem we „Wspomnieniach“ ks. Leona Sapiehy, ustępem, który go widocznie mocno zabolał, — Kaczkowski, nie znając jeszcze w całości jego treści, przyznaje w liście do pani Jadwigi Liskowej [1]), że w latach 1866 do 1878 „miał niejednokrotnie sposobność interweniowania w sprawach takich, któremi zawiaduje Ministerstwo spraw zagranicznych“. „W tych czasach — pisze, — gdziekolwiek czas jakiś mieszkałem w Wiedniu, w Paryżu, w Londynie i w Rzymie, żyłem przeważnie w sferach dyplomatycznych, gdzie miałem zawsze bardzo wielu przyjaciół, — stąd poszło, że w kwestyach takich, które z powodu swej delikatnej natury nie mogą być załatwione na drodze urzędowej, proszono mnie nieraz o interwencyę poufną, bo taka interwencya nic nie przesądza.“

W dalszym ciągu tego listu uchyla Kaczkowski nieco rąbka tajemnicy owych interwencyj poufnych. Zaznaczyliśmy już powyżej, że w r. 1866 Kaczkowski miał poruczoną sobie przez rząd francuski misyę do rządu austryackiego w kwestyi uniknięcia wojny z Włochami i że po rozbiciu się tej misyi, z własnej inicyatywy, czy też z namowy przyjaciół, jeździł jeszcze do Włoch. — Co do dalszych takich „interwencyj“ pisze Kaczkowski:

„W r. 1871 w czasie rozejmu pomiędzy Francyą a Prusami, miałem misyę od Thiersa do Beusta, w kwestyi stosunków Francyi do Belgii, na co Beust dał mi odpowiedź, którą zawiozłem do Wersalu; sprawa ta jednak nie pociągnęła dalszych skutków za sobą, bo Beust już był podkopany natenczas i nie miał żadnego wpływu. W roku 1875 załatwiłem zatarg pomiędzy Włochami a Austryą, który Andrassy przez swoją niezręczność wywołał, — ale wmieszałem się w tę sprawę z polecenia króla Wiktora Emanuela, który mnie znał z r. 1864 i 1866, a wreszcie i 1875, kiedy był w Wiedniu, ale nie z upoważnienia Andrassego, z którym zresztą od r. 1866 byłem na zimno i nie miałem bliższych stosunków. Nie wiem już, ile razy miałem do czynienia z tego rodzaju sprawami w Paryżu, Wiedniu, w Londynie i w Rzymie, — ...ale nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek miał jakąś specyalną misyę od Rządu austryackiego. Ministerstwo spraw zagranicznych proponowało mi wprawdzie w latach 1866—1870 rozmaite dyplomatyczne posady, ale nie przyjąłem żadnej, bo nigdy nie mogłem się zdecydować na poświęcenie mojej niezawisłości karyerze.“

---

[1]) z d. 16 maja 1894. Ms.

Poznawszy wreszcie w całej osnowie ów ustęp ze „Wspomnień“ ks. Leona Sapiehy, Kaczkowski protestuje jak najbardziej stanowczo przeciw zawartemu tam twierdzeniu, jakoby był agentem Ministerstwa spraw zagranicznych i że jakoby wówczas wydawał pismo w tym celu, ażeby zamaskować swoje polityczne czynności w duchu przeciwnym.

„X. Leon — pisze — nie powiada, jakie to było pismo, i naturalnie, bo gdyby je wymienił, toby się zaraz wydał fałsz jego podania. Otóż ja Pani powiem. Kiedy się zaniosło na wojnę rossyjsko-turecką, ja i wielu moich przyjaciół, przeważnie cudzoziemców, Węgrów, Turków, Anglików i Francuzów, bo Polacy dopiero później przystąpili do tej sprawy, byliśmy zdania, że trzeba Austryę wciągnąć w wojnę z Rossyą, i w tym celu rozpoczęliśmy odpowiednie czynności. Ponieważ zaś te czynności koncentrowały się w Wiedniu, więc potrzeba było do tego mieć dziennik, a to tem bardziej, ileże Andrassy był stanowczo wojnie przeciwny, a nietylko w Węgrzech, ale i w Wiedniu był w opinii publicznej dość silny prąd za obroną Turcyi i za wojną przeciwko Rossyi. Ale na dziennik nie było pieniędzy, bo główni agitatorowie za tą sprawą, a mianowicie: Midhat Pasza, Johnston-Butler, hr. Breda, generał Klapka i inni, działali każdy na własną rękę i nie byli zorganizowani, a zatem i kasy nie mieli. Ponieważ zaś ich schadzki odbywały się u mnie i wszystkie ich czynności opierały się o mnie i ja poddałem im tę myśl, że trzeba mieć dziennik, więc uważałem niejako za mój obowiązek tę myśl wykonać i wtedy kupiłem za moje własne pieniądze, chociaż dla ostrożności pod cudzem nazwiskiem, dziennik „Morgenpost“, który dawnemi czasy miał bardzo wielu abonentów, ale wtenczas był znacznie podupadł — i w tym dzienniku atakowałem politykę Andrassego w taki sposób, w jaki go jeszcze żaden opozycyjny dziennik nie atakował, jakoż gdyby wtenczas, a nawet jeszcze i dzisiaj ktoś powiedział, że ten dziennik był tylko maską jakiejś czynności Andrassemu przychylnej, toby go wszyscy wyśmieli.“

W dalszym ciągu tego listu zbija Kaczkowski twierdzenie ks. Leona, jakoby on pobierał 10.000 fl. z Ministerstwa spraw zagranicznych. „Przecież — powiada — wiedeńskiego dziennika nie można kupić za trzy grosze („Morgenpost“ kosztowała mnie 27.000 guldenów), a wydawanie takiego codziennego pisma, które się nie rentuje, kosztuje daleko więcej rocznie niżli 10.000 guldenów, gdyby zatem to, co powiada (ks. Leon) było prawdą, to wynikałoby ztąd, żem zaliczył z górą 38.000 guld. (kaucya wynosiła 6000

guld.) i dokładał co roku kilkanaście tysięcy guld., aby zamaskować pensyę wynoszącą tylko 10 000 guld. To ze strony materyalnej tego przedsiębiorstwa. Co się tyczy strony moralnej, to przecież było powszechnie wiadomo, że do „Morgenpost“ pisywali: Artur Gołuchowski, Ludwik Skrzyński, Seweryn Smarzewski i wielu innych, a ci wiedzieli z pewnością, jaki był cel tego pisma, inaczej byliby w niem udziału nie brali“

„Morgenpost“ przeszła w posiadanie Kaczkowskiego w pierwszych miesiącach 1877 r. Przeszła bez rozgłosu, bo Kaczkowski — jak to wyraźnie pisze do Agatona Gillera [1]) — obawiał się, by Polacy nie wymagali bezwzględnego zastępstwa polityki polskiej. „Morgenpost“ — pisze dalej — ma obecnie tylko 6000 abonentów. Mogłoby to się stać później, gdy dojdzie do 20.000 egz. Jest stanowczo przeciw Moskwie, a tem samem za Polską. Jest to dziennik, jedyny w Wiedniu, zupełnie niezawisły, — w opozycyi przeciwko wszystkim Ministrom i Ministerstwom obecnie u steru. Jest liberalny, ale się nigdy nie stanie federalistycznym, może przemawiać za rozszerzeniem wolności Polakom, a nawet — w danym razie — za usamowolnieniem Polski, ale nigdy się nie postawi po stronie Czechów. Moje osobiste stosunki tu i za granicą wystarczają, aby mieć wyjątkowe informacye, jakich żaden inny dziennik nie ma.“

W następnym liście do Gillera [2]) podnosi wielki alarm, z powodu, że „Dziennik Polski“ rozgłosił, jakoby „Morgenpost“ została zakupiona przez Polaków i stała się organem spraw polskich. „Sprawiło to — pisze — najfatalniejsze wrażenie. Napływają reklamacye od abonentów, „Dziennik Polski“ pięknie się przysłużył sprawie polskiej, o ile ona mogła istotnie znaleźć jakiekolwiek poparcie w „Morgenpost“. Ani Czartoryski, ani Czerkawski nie mają żadnej styczności z „Morgenpost“. To zamach — woła — na życie dziennika!“ Zarządził natychmiast zaprzeczenie we wszystkich dziennikach wiedeńskich. Czuje się tem jednak „kompletnie sparaliżowany“ w popieraniu spraw polskich, i będzie chyba musiał wystąpić w kilku artykułach przeciw tym, albo owym tendencyom polskim, aby podejrzenia wykorzenić. „Lepiej — dodaje — zażyć gorzkie lekarstwo i ozdrowieć, niźli ciągle chorować“.

Oprócz tej wzmianki we „Wspomnieniach“ ks. Leona Sapiehy, jakoby Kaczkowski był agentem tajnej policyi politycznej,

[1]) List z 24 kwietnia 1877. Ze zbiorów rapperswilskich. Ms.
[2]) z 10 maja 1877. Tamże.

płatnym z Ministerstwa spraw zagranicznych, równie dotkliwie zabolały go słowa o „nieszczególnej reputacyi“ i o przejściach z r. 1863, zdawało się, już zupełnie zapomnianych.

„Podanie X. Leona“ — pisze do p. Jadwigi Liskowej — jakobym nie miał dobrej reputacyi, dowodzi tylko, jak był dla mnie usposobiony, bo przecież sam dodaje, że w te rzeczy nie wierzy“. Badając powody złego usposobienia ks. Leona dla siebie, przypomina w tych listach, że w r. 1866 miał z nim niemiłe zajście, z powodu budowy kolei ze Lwowa do Tarnopola i do Brodów. Wówczas to Kaczkowski miał interweniować u Belcrediego i ministra Beckego w sprawie wynagrodzenia Borkowskiego Seweryna, który własnym kosztem trasował tę linię, a koncesyi na budowę nie otrzymał. Drugim powodem złego usposobienia ks. Leona Sapiehy, miało być to, że książę był przeciwny kandydaturze hr. Gołuchowskiego na Namiestnika, energicznie popieranej przez Kaczkowskiego.

„Nie wiem zresztą — pisze on — jakie tam jeszcze pretensye X. Leon mógł mieć do mnie, ale to wiem z pewnością, że wówczas w owe podejrzenia, rzucone przeciw mnie w r. 1863, nie wierzył, bo sam mi to mówił. Zresztą, gdyby był wierzył, to byłby mi przecież ręki nie podał, a byłem z nim przez całą pierwszą połowę r. 1866 w jak najlepszych stosunkach [1]).

Że stosunki te jeszcze później były dobre, świadczy własnoręczny list ks. Leona Sapiehy, do Kaczkowskiego pisany ze Lwowa dnia 5 lutego 1867 r., w którym zaznaczywszy, że rządy hr. Belcrediego będą „dla nas pamiętne“, że „były one pierwszą chwilą swobody, którejśmy zakosztowali od 100 lat“, że „dały nam one zarazem sposobność odparcia wiecznego zarzutu, iż jesteśmy anarchistami, których tylko przemocą w karbach utrzymać można“, że „zachowa dla niego zawsze wdzięczność i poważanie“, jako dla tego, który „był może na nasze czasy za mało Ministrem, a zanadto uczciwym człowiekiem“, — taką wyraża prośbę, do Kaczkowskiego skierowaną:

„Bliski środka, przywykły do uważania, możesz Pan prędzej, niż każdy inny, wiedzieć lub przynajmniej wnioskować o naszej przyszłości. Bardzo bym był wdzięczny, gdybyś zechciał mi swoje zapatrywanie udzielić.“

List ten kończy ks. Leon „wyrazami prawdziwego szacunku“.

[1]) List do pani Jadwigi Liskowej z d. 24 kwietnia 1894. Ms.

W obec tego trudno zrozumieć, jakie powody skłoniły ks. Sapiehę do zamieszczenia przytoczonego powyżej ustępu we „Wspomnieniach“ swoich, ustępu, który podrażniwszy dawną ranę, mocno dotknął Kaczkowskiego. Lecz on, wypisawszy całą swą gorycz w sążnistych listach do pani Liskowej, postanowił „w tę pamiętnikową sprawę nie mieszać się zgoła“.

Mógł też sobie już w r. 1867 powiedzieć, że pomimo spiętrzonych trudności, pomimo ciążącej mu ciągle na duszy i ścigającej go niemal do grobu „sprawy z r. 1863“, — zdołał „przebić się“ i wypłynąć ponad zwykły poziom. Uzyskał znaczenie publicystyczne i w sferach dyplomatycznych wpływy; uzyskał nawet materyalny dobrobyt. Ale to wszystko nie było snadź w stanie zadowolić pragnień duszy, bądź co bądź, tułacza. Chwilami napadało go zniechęcenie, które szczególniej odczuł po upadku hr. Belcrediego, a zatem po upadku własnego przy nim znaczenia.

„Mnie się nudzi fatalnie — pisał z końcem 1867 r. do Seweryna Smarzewskiego [1]). — Całe życie przyzwyczajony gonić jakąś stałą pracą do jakiegoś pewnego celu, osiadłem teraz na bruku, bez pracy i bez celu. Jeszcześ w poprzednich latach miałem jakąś troskę na głowie, troskę o chleb codzienny i o zapewnienie sobie przyszłości. Teraz i ta troska mi już ubyła — i znajduję się w położeniu, w którem wcale nie umiem się znaleźć. Za ubogi, ażeby pójść między kapitalistów, za bogaty, aby być przymuszonym do jakiejbądź pracy, za młody, aby na jakiejś bezczynnej *petite existence* poprzestać, za stary, ażeby piewszą lepszą karyerę rozpoczynać na nowo, jestem czemś niepodobnem do niczego — i nieraz już mi się zdaje, jakobym był wcale zbytecznym na świecie. Od czasu, jak kraj uznał za rzecz stosowną nie dać mi miejsca na Sejmie, choćby krzesła poselskie musiał obsadzać Cywińskimi i Torosiewiczami, zważywszy wszystkie stosunki i okoliczności, zawsze miałem jakieś ciemne przeczucie, iż trzebaby mi szukać jakiegoś stanowiska pośredniego i pośredniczącego, bo tylko takie byłoby dla mnie dostępne.“

Takiem pośredniem i pośredniczącem stanowiskiem byłoby, zdaniem Kaczkowskiego, wydawanie dziennika polskiego, jeżeli nie w kraju, to w Wiedniu. Marzył ciągle o tem. Jak już zaznaczyliśmy, chciał w r. 1866 nabyć „Czas“ krakowski od Kirchmajera

[1]) List z d. 23 grudnia 1867. Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

i ofiarowywał — jak twierdzi w liście do Agatona Gillera [1]) — 50.000 złr., „ale — dodaje — arystokracya, otaczająca go (Kirchmajera), wtenczas nie dopuściła do dobicia targu. Później, kiedy „Czas“ przeszedł w ręce Tarnowskiego i Sp., ponowiłem ofertę, ale także mi odmówiono. Śród tego czasu chciałem wzmocnić dziennik polityczny lwowski, który się znajdował w rękach Jasińskiego, Gromana i Smolki i dałem im był 6000 guld. na kaucyę [2]). — Ale pismo to wkrótce potem upadło. Inne usiłowania także spełzły na niczem. W końcu chciałem założyć dziennik polski w Wiedniu, ale nie mogłem znaleźć takich wspólników, którzyby byli nie wymagali obrony Syllabusa i Encykliki i przyjaźni z niedobitkami drobnych narodowostek słowiańskich.“

O wydawnictwie polskiego dziennika w Wiedniu nie przestawał wszakże marzyć. I już w roku następnym, dowiedziawszy się od niejakiego p. Krypiakiewicza, rusina, który z polecenia Gillera odwiedził go w Wiedniu, że „Jan Dobrzański jest zużyty i zmęczony i byłby kontent, gdyby znalazł kupca na „Gazetę Narodową“, oświadcza gotowość nabycia tego pisma, „jeżeliby Dobrzański chciał je sprzedać tanio i pod dogodnymi warunkami wypłaty, jeżeliby dziennik mógł być przeniesiony do Wiednia, i jeżeliby Giller chciał się z nim także przenieść“. Prosi Gillera, aby ostrożnie wybadał w tym względzie Dobrzańskiego i zawiadomił Kaczkowskiego o rezultacie. W końcu zapytuje: „A może korzystniejszem byłoby założenie w Wiedniu nowego dziennika i czy Pan miałby ochotę objąć jego redakcyę?“

Taki dziennik polski, wydawany w Wiedniu, miał zamiar Kaczkowski „przyczepić do którego z tamtejszych wielkich dzienników, do „Starej Presse“, albo „Tagblattu“. W ten sposób organ polski miałby od razu „bardzo wielką drukarnię, wszystkie dzienniki i depesze, sprawozdania z giełdy, targów i telegraf pod ręką“. — Myślał także, jeszcze przed tem, o założeniu w Wiedniu dziennika francuskiego. W tym celu wszedł w układy z „Centre gauche“ i ofiarowywał sam na to 100.000 fr., żądając od subskrybentów tylko 200.000 fr., ale tych subskrybentów znaleźć nie mógł.

Nie zrażając się jednak trudnościami, myślał ciągle, do ostatnich niemal czasów, o założeniu w Wiedniu polskiego dziennika,

[1]) List z d. 14 grudnia 1873. Ze zbiorów rapperswilskich. Ms.

[2]) Jest tu mowa prawdopodobnie o „Dzienniku Lwowskim“, organie demokratycznym, którego redaktorem był w r. 1870 Karol Groman, następnie Karol Widmann, a wreszcie Tadeusz Romanowicz, właścicielem zaś był Franciszek Smolka.

któryby „nie kumał się z Czechami, Morawianami i Słoweńcami, i nie zniżał się do narodowości drugiego i trzeciego rzędu“, bo — dodawał — „jeżeli Polska ma zginąć, to niechaj zginie jako naród pierwszorzędny“.

W r. 1882 pisze z Ragatz do znanego literata Rzążewskiego, używającego pseudonimu: Aër [1]), z zapytaniem, czy nie mógłby nasunąć Asnykowi myśli przeniesienia „Reformy“ do Wiednia, przyczem przedstawia materyalne korzyści takiej translokacyi, wypływające z pomnożenia prenumeraty i opłat insercyjnych.

I jeszcze w r. 1888 pisał do p. Adolfa Władysława Inlendera, znanego publicysty, a podówczas korespondenta paryskiego „Figara“: „Bardzo Panu dziękuję za wiadomość o „Gazecie Narodowej“. Zapewne, że gdyby ją można tanio nabyć i przenieść do Wiednia, to możnaby w tem podwójny znaleźć rachunek, ale zkąd wziąć takiego redaktora, któryby ten dziennik prowadził w stylu europejskim i utrzymywał na takiej wysokości, ażeby wszystkim polskim dziennikom przodował? Ja go nigdzie w Polsce nie widzę. Był niegdyś Gumplowicz [2]), ale ten już się osiedlił w Gracu i stamtąd się nie ruszy. Jeżeli Pan znasz jakiegoś kandydata z odpowiedniem ukształceniem i politycznem doświadczeniem, to chciej mi Pan donieść jego nazwisko.“ [3])

Do tej więc myśli nieustannie powracał; nęciła go widocznie pokusa rozpoczęcia na nowo pracy publicystycznej, w której, jak zresztą sam pisał w przytoczonym liście do Rzążewskiego, miał wieloletnie doświadczenie, nabyte w Wiedniu, we Francyi i Anglii. Na dowód przytacza też w tym liście, że był swojego czasu właścicielem starej „Presse“ i „Morgen-Post“ w Wiedniu, współzałożycielem „Pall Mall Gazette“ w Londynie, współwłaścicielem „Journal de Paris“ i „La Semaine française“ w Paryżu. „Wszystkie te przedsiębiorstwa — dodaje — traktowałem tylko ze stanowiska przemysłowego.“ — I musiało mu się to stanowisko opłacać, bo na niem, a zapewne także dzięki szczęśliwym operacyom finansowym, zdobył znaczny, bardzo znaczny majątek.

W sprawie założenia dziennika polskiego w Wiedniu radził się oczywiście Kaczkowski przedewszystkiem przyjaciela swego,

[1]) List z d. 25 sierpnia 1882. Ze zbiorów rapperswilskich. Ms.

[2]) Dr. Ludwik Gumplowicz, zmarły przed laty profesor Uniwersytetu w Grazu.

[3]) Z listu, udzielonego mi łaskawie przez p. Adolfa Władysława Inlendera. Ms.

Seweryna Smarzewskiego, przedstawiając mu wszystkie materyalne i moralne korzyści, mogące wyniknąć z tego przedsięwzięcia. Zebrał daty z redakcyj wiedeńskich i z nich przekonał się, że Galicya abonuje 5 do 6000 egz. dzienników niemieckich. Gdyby zatem tylko połowę, gdyby można tylko jedną trzecią część tych dzienników wyparować pismem polskiem, to pismo to mogłoby się tem pewniej utrzymać, że Kaczkowski miałby od razu te wszystkie materyalne korzyści i udziały, pochodzące z anonsów i przedsiębiorstw finansowych, jakie mają wielkie dzienniki wiedeńskie. Wszystkie przytem wiadomości z Zachodu przynosiłby najwcześniej. Konkurencya z takim dziennikiem byłaby niemożebną, bo nawet żydzi musieliby go trzymać, dla samych kursów i cen targowych. Moralna zaś strona takiego wydawnictwa „leży jak na dłoni“, bo jużci nie mogłoby być rzeczą obojętną dla kraju mieć swój organ pod bokiem rządu centralnego w Wiedniu, i organ taki, z któregoby wszystko przechodziło natychmiast w dzienniki niemieckie, francuskie i t. d., czego dostateczną gwarancyą byłyby osobiste stosunki Kaczkowskiego z dziennikarstwem europejskiem. Najważniejszą zaś rzeczą co do moralnego znaczenia, jest — zdaniem Kaczkowskiego — niemal zupełna „nicość“ galicyjskich dzienników. I tu następuje bardzo ostra lecz humorystyczna zarazem ich krytyka. „Gazeta Narodowa“ — pisze — przypomina mi psa, którego leśniczy ciągnie na smyczy za sobą, nie chce mu się iść na zające, bo całe życie kury łapał na dziedzińcu, wyje więc, kręci się, ogląda się na leśniczówkę — ale idzie. A „Czas“ znowu jest, jak pies, w budzie schowany: nie zgadza się on z większością reichsratową, z początku szczekał głośno, potem ciszej, aż nareszcie sprzykrzyło mu się, więc wlazł sam do budy i już tylko czasem burczy na Reichsrat — w kronice miejscowej. „Dziennik Lwowski“ zaś, to szczeniak, który jeszcze gonić nie umie, a nawet kąsa nie boleśnie, jeszcze go nikt na polowanie nie bierze, boby więcej zwierza napłoszył, niżeli nagonił.“

Zarzuca w dalszym ciągu, że żaden z tych dzienników nie ma jakiejś idei, ani pojęcia o tem, co czynić i jak postępować należy, — co najwięcej potrafi zganić to, co zrobiono.“ „Ja — dodaje — mam w każdej kwestyi krajowej i narodowej moje bardzo jasne przekonania — i sądzę, że wypowiedziałbym bardzo wiele rzeczy takich, które w krótkim czasie zyskałyby znaczną większość opinii za sobą. Rozumie się zresztą samo z siebie, iż nie szukałbym żadnych spółek pieniężnych, tylko sam wziąłbym

wszystko na siebie. Potrzeba na to 40 do 50.000 fl. *Vogue la galère.*“ [1])

Z następnego listu Kaczkowskiego [2]) wynika, że Smarzewski odradzał mu wydawnictwa polskiego dziennika w Wiedniu, zalecał raczej ogłaszanie od czasu do czasu broszur, a dotknął także kwetyi osobistych „niechęci“. Kaczkowski dziękuje wprawdzie za szczerość wypowiedzianego zdania, lecz przekonać się nie daje, utrzymując stanowczo, że dziennik polski w Wiedniu jest koniecznie potrzebny i niezawodnie by się utrzymał. Lekkomyślnie wszakże nie postąpi i zanim co postanowi, dobrze się ze wszystkimi realnymi warunkami obliczy na miejscu, w Wiedniu.

W sprawie osobistych nieprzyjaźni i niechęci pisze z nietajoną goryczą, nieledwie z rozpaczą:

„Nie zapomnę także o owych osobistych niechęciach i nieprzyjaźniach. Czasem — a teraz coraz częściej — mija po kilka miesięcy takich, w których mnie ten dźwięk wcale nie dochodzi. Wtedy zapominam całkiem o tej diabelskiej orkiestrze. Mam dosyć umysłowego zajęcia i moja przeszłość jest w inne wypadki i myśli zanadto bogatą, ażebym musiał koniecznie od czasu do czasu usiadać na tem wężowisku, płynącem żółcią i jadem. Otóż jak mi się ten dźwięk znowu odezwie, to chociaż nie mogę powiedzieć, że „marzyłem cudnie“, jednak muszę wykrzyknąć: „srodze mnie zbudzono“. I porywają mnie wtedy takie uczucia, których niepodobna opisać. Z niecierpliwości, że tak jest, miotam się przez chwilę, jak człowiek pragnący spokoju, któremu brzęcząca osa ciągle w nos uderza. Potem znowu się uspokajam i myślę: czemuż choć na chwilę nie mogę się stać szklanym, ażeby już raz we mnie zajrzano. Spojrzeliby i pospuszczawszy ogony, poszliby sobie, — a jabym miał spokój na zawsze. Ale może i nie. Bo wtedy ujrzeliby także, co ja o nich myślę — i znowuby mnie nie cierpieli. Więc kiedy tak niedobrze, to niechby piorun uderzył ze mnie lub koło mnie. Są czasem czyny, które oświecają tak silnem światłem człowieka, iż można go przejrzeć na wskróś, — i są czasem wypadki, wśród których postawiony człowiek staje się przejrzystym. Ale tem także rozporządzać nie można. Cóż więc robić? Trzeba czekać — czekać i pokutować, dopóki odkupienie nie przyjdzie. A tymczasem robić co można, mierząc uczynki nie wyrazem tych

[1]) List z Paryża, z d. 23 grudnia 1867 r. Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

[2]) z Paryża, z d. 23 stycznia 1868 r. Tamże. Ms.

tysiąców wykrzywionych twarzy, które się odwróciły odemnie, ale tem uczuciem i przekonaniem, które zawsze mnie prowadziły, a które nie na złej, ale na dobrej szali zaważą kiedyś przed Bogiem.“

Pragnął widocznie jakiegoś czynu, jakiejś pracy, pożytecznej dla kraju. „To nie o to idzie — dodaje — ażeby dziennik wydawać, ale ażeby coś robić.“ Myśl pisania broszur nie bardzo mu się podoba. Nawet w Paryżu broszury się nie rozchodzą, chyba, że je wydaje Thiers, Dupanloup, albo Montalembert. „U nas — powiada — trzebaby broszury darmo rozrzucać, — a to byłoby mi wstrętnem. Wiesz, że nigdy nikomu się nie narzucałem, — a cóż dopiero szanownej publiczności. Ta — dodaje z dumą — musi mnie szukać; ja jej szukać nie będę: mogę tylko powiedzieć, gdzie mnie szukać powinna. Prócz tego częste odzywanie się broszurami nie wiem, czyby odpowiadało mojemu pisarskiemu usposobieniu. Mogę pisać artykuły codzień, albo od czasu do czasu xiążki, pierwsze bez nastrajania się, drugie przygotowawszy się do nich, — ale nastrajać się co kilka tygodni, to mi się zdaje nudną i męczącą robotą. Zresztą, nie wiem, trzebaby spróbować.“

W tymże liście, pisanym widocznie w pesymistycznym nastroju, jest także bardzo ostra krytyka literatury współczesnej. Wybitnego nic w niej niema. Podejmuje się „kilkoma robotami feuilletonowemi wziąć nad tem górę na arenie publicznego rozgłosu“. „Ale nie wiem — dodaje, — czy mnie, „pisarzowi, należącemu do ubiegłej epoki, wypada jeszcze poniewierać się po feuilletonach? Możnaby i xiążki drukować. Od dziś za sześć miesięcy mógłbym wydać 7 do ośmiu tomów. Mam 6 tomów niewydanych, a na 2 tomy materiałów prawie gotowych.“ Dzisiaj jednak nie wie na pewno, co i jakby potrafił jeszcze napisać. „Przez wiele lat — dodaje — nie czytałem po polsku. Ze starych xiążek mało której nie miałem w ręku, nowych dotknąłem się kilka razy w ostatnich latach, lecz nigdy nie mogłem doczytać do końca. To literatura, womitująca nieprzetrawione dawniej szczątki pożywienia — i sprawiająca womity. Kraszewski stoi na jej czele. Ci ludzie okradają sami siebie, jeżeli mogą, a jeśli nie, to okradają drugich. Nigdy kradzież literacka tak nie kwitnęła u nas, jak teraz. Posuwa się ona do bezczelności takiej, której chyba tylko Offenbach może jeszcze służyć za mistrza. Szczytem zaś tej nowej metody tworzenia są Kraszewskiego „Hybrydy“ — żywcem wzięte z Turgeniewa i to wtedy, kiedy na oryginale druk jeszcze nie zasechł.“

Przy końcu tego istotnie „zjadliwego“ listu, wywołanego niechybnie ową wzmianką Smarzewskiego o „osobistych niechęciach i nieprzyjaźniach“, co go zawsze do żywego dojmowało, zastanawia się Kaczkowski nad pytaniem, czy w ogóle warto teraz cokolwiek pisać i wydawać. „Nie zdaje mi się — powiada, — żeby to był czas po temu. Najpierwej nie mogę jakoś oswoić się z myślą drukowania rzeczy literackich li tylko dla Galicyi i Poznania. Nie byłem nigdy prowincyonalnym pisarzem, - co gorsza, pisząc, miałem Galicyę i Poznańskie tylko jako annexa na oku. Pisywałem dla Polski. Drukować dzisiaj coś dla tych annexów, gdzie nigdy nie miałem odpowiedniej popularności i zkąd mnie nie dochodzi żadna zachęta, — jest mi prawie niemożebnem.“

Chybaby na drodze „biograficzno-literackiej możnaby dzisiaj napisać parę rzeczy zajmujących i ciepłych“. — „Ja — dodaje — znałem Krasińskiego i Mickiewicza osobiście i obcowałem z nimi już jako pisarz dosyć znany, a więc niejako niby brat cechowy, choć młodszy i mniejszy; znam cały zastęp ludzi, którzy w najbliższych żyli stosunkach z Słowackim; lecz co ważniejsze, jako pisarz wychowałem się cały tylko w atmosferze, stworzonej przez nich i upajałem się nią więcej, niż potrzeba. Mógłbym więc o samych rozmowach moich z nimi bardzo ciekawe podawać rysunki. — a jakże zajmującą rzecz mógłbym napisać choćby nawet tylko o świeżo co zmarłym Karolu Szajnosze? — Ale nie mam przekonania, ażeby te rzeczy mogły interesować wielką publiczność, zdaje mi się, że zajmują się niemi tylko literaci i jakaś cząstka młodzieży.“

List ten, przepełniony goryczą i mocno niesprawiedliwą krytyką, kończy się wszakże ciepłą wzmianką o Szajnosze.

„Szajnocha tedy — czytamy w tym liście — skończył nareszcie fizycznie swój żywot, duchowo już od lat kilku skończony. Nasi ludzie umierają dziś tak, że nie można ich nawet żałować, a nawet niemal trzeba się cieszyć, że skończyli swoje męki doczesne Tak umarł Zamoyski. Tak Szajnocha. Bardzo zacnie sobie postąpiono, zamierzywszy utworzyć fundusz dla jego żony i syna. Jeżeli bowiem kto na nagrodę zasłużył, to ona, — a jeżeli jakiego chłopca trzeba starannnie wychować, to dziedzica takiego imienia.“

Wśród prac dziennikarskich, pomnożonych jeszcze w skutek założenia z jakąś spółką w Paryżu pisma p. t. „Correspondance du Nord-Est“ [1]), nie spuszczał z oka Kaczkowski rozmaitych przedsiębiorstw przemysłowych, w których gorliwy brał udział. Między innemi interesował się mocno sprawą założenia w Krakowie wielkiej przędzalni i fabryki płócien i w razie, gdyby Smarzewski chciał wziąć na siebie zorganizowanie spółki, oświadczał gotowość przystąpienia z kwotą od 10—20.000 złr., a nawet i z większą, stosownie do warunków, wpłatą. Równocześnie zaangażowany był w przedsiębiorstwie francuskiem, mającem na celu budowę kolei z Fiume do Zemlina, wybudowanie portu w Fiume, założenie na Węgrzech Towarzystwa budowy kolei, kanałów, doków i. t. d. W celu zrealizowania tego wielkiego projektu bawił przez czas dłuższy w Wiedniu, gdzie prowadził w tym celu niezbędne rokowania. „To wszystko wymaga — pisze do Smarzewskiego [1]) — „bardzo skrzętnej czynności“. „Prócz tego — dodaje — stoję za plecyma Kirchmajera, jako pełnomocnik paryskiego „Comptoir d'Escompte do nabycia chociażby i wszystkich dóbr koronnych w Cislitawii. Zresztą w entreaktach bawię się Brestlowskimi planami finansowymi po dziennikach francuskich i niemieckich, — i jest to rzeczywiście niezwykła zabawka, chociaż zresztą także nie bez celu, bo im lepiej potrafię mu zatkać inne źródła, tem głębiej będzie musiał sięgnąć w źródło dóbr koronnych.“

W sprawie owej projektowanej kolei fiumańskiej jeździł Kaczkowski ze swymi spolnikami Belgijczykami do Pesztu, dowiedział się bowiem, że w tej sprawie „pobałamucił trochę Rotszyld na rachunek południowej kolei (Südbahn), która w tem nowem przedsiębiorswie widziała pewne niekorzyści dla siebie“. Okazało się jednak, że „kabały Rotszylda są bez znaczenia“, natomiast polityczne trudności pomiędzy Węgrami a Kroacyą wpływają w sposób utrudniający na to nowe przedsiębiorstwo. „W ogóle — pisze Kaczkowski do Smarzewskiego w liście, datowanym z Wiednia, 3 czerwca 1868 [2]) — rok ten finansowo wcale nie dobry dla mnie Mam kilka większych interesów w ręku, z których korzyści mogłyby być znaczne, ale wszystkie się wloką jak najnieznośniej, tak, że trudno się spodziewać doprowadzenia którejkolwiek do likwidacyi jeszcze w tym roku. Ja jednak moim zwyczajem nie porzucam nadziei i żadnej z nich sam nie odroczę, skutkiem czego wypadnie mi zapewne w tym roku posiedzieć aż do jesieni, a może i cały rok przesiedzieć w Wiedniu.“

[1]) List Kaczkowskiego do Sew. Smarzewskiego z Paryża, z dnia 22 stycznia 1868. Ze zbiorów Tad. Smarzewskiego. Ms.

[1]) List z Wiednia, z d. 3 kwietnia 1868 r.
[2]) Ze zbiorów Tad. Smarzewskiego. Ms.

Konferował również w tym czasie z księciem Adamem Sapiehą. „Bardzośmy jeszcze — pisze — naprężeni względem siebie: ale to trudno; żadnemu z nas kark się nie ugina z łatwością. Wszelako były pomiędzy nami w negocyacyi rozmaite kombinacye w sprawie kolei Koszycko-Przemyskiej".

Naprężenie to istniało od czasu, gdy książę Adam Sapieha jako pełnomocny Komisarz Rządu Nar. miał sobie poruczone doprowadzenie sprawy procesu Kaczkowskiego, wraz z Majewskim i Ruprechtem, w Paryżu do końca. Że tak się nie stało, o to obwiniał Kaczkowski księcia Adama i żalił się na niego przed Smarzewskim jeszcze z końcem 1867 r. w tych słowach: „Ja byłem i jestem zdania, iż Xiążę, objąwszy urząd Komisarza Rządu Nar. powinien był albo mi otwarcie powiedzieć, że sądu nie zwoła, albo, przyrzekłszy, że go zwoła, przyrzeczenia dotrzymać, ale nie zostawić mnie pod kalumnią dopóty, aż póki się wszystko nie rozlazło i zwołanie sądu stało się niemożliwem. Gdybyśmy się byli znaleźli w położeniu odwrotnem, to jabym był nie jadł, nie spał i nie odpoczął dopóty, dopóki bym tej sprawy nie rozstrzygnął, a to tem bardziej, ile że tak samo, jak on o mnie, i ja o nim miałbym był przekonanie, że żadnej sprawy krajowej za żadne pieniądze nie sprzeda."

Obok spraw finansowych, które go pochłaniały, nie przestawał interesować się tem, co się w kraju dzieje, chociaż Galicyi od czasu do czasu ostrej krytyki nie szczędził. W r. 1868 notuje w liście do Seweryna Smarzewskiego, że do Wiednia przybył hr. Gołuchowski. „Ażeby — pisze — dać dementi jakimś wieściom, — o których zresztą ja nic nie słyszałem — jakoby pomiędy nami zaszły jakieś chłody, przyszedł do mnie (do hotelu Erzherzog Karl) kiedyś wieczorem, wyprawiwszy żonę do Baworowskich, i przesiedział od ósmej do pół do dwunastej. Ogadaliśmy, ale nie obgadaliśmy wszystko i wszystkich, z czego się okazało, że z wyjątkiem ludzi, których nie cierpi, kontent jest z biegu rzeczy w Galicyi, i kontent także z Ziemiałkowskiego i z Dobrzańskiego. — I my także kontenci. Zawsze mu to mówiłem, iż to jego największe dzieło, że tak podruzgotał tych dwóch koryfeuszów".

Już w r. 1870, a za tem zaledwie w lat siedm, po wyroku „banicyi", pozycya materyalna Kaczkowskiego uzyskała silną podstawę. Założył, wraz ze wspólnikami, których nie wymienia, bank w Paryżu, pod firmą „Banque des Provinces, société anonyme", i mógł myśleć nawet o zakupieniu znacznych dóbr w Galicyi, chociaż powrót do kraju przestał go już tak silnie, jak dawniej nęcić.

Oto co w tym względzie pisze do Seweryna Smarzewskiego w liście z Paryża d. 14 czerwca 1870 [1]) na firmowym papierze bankowym:

„Dawniej, kiedy roiłem sobie wrócić do kraju i mordować się z ludźmi, aby mi to powrócili, co mi odebrali niesłusznie, przychodziło mi często na myśl Dubiecko. To właśnie, czegoby w takim razie potrzeba. Majątek znany, odpowiednia siedziba, nieźli ludzie wokoło, w złym razie można żyć z tego, w dobrym, nie zawadziłaby taka rezydencya na lato. Ale chęć powrotu do kraju coraz mnie więcej opuszcza, a chęć przeniesienia się do Paryża coraz się wzmaga. Inny tu świat, inni ludzie — dla każdego, a cóż dopiero dla mnie, który tylko tu jestem bez opozycyi miany za uczciwego człowieka i tylko tu nie mam powodów ani do gorszenia się złością, ani do litowania się nad głupotą niektórych moich współbraci. Moralna strona naszej egzystencyi, wiesz ile znaczy, a tu oprócz mojej osobistej, jest jeszcze i ogólna egzystencya moralna wcale inna niż wszędzie indziej, bo inny jest stopień ukształcenia serca i rozumu. Majątek, urzędy i godności dają wszędzie jakieś znaczenie, ale tu także daje znaczenie, jeżeli się w sferach ludzi uczciwych i ukształconych jest wszystkim równym i całym człowiekiem. Prócz tego koledzy moi w Banku, którego tytuł widzisz na tym liście, nie odstępują od postawionego przy założeniu Banku żądania, abym się tu przesiedlił i wziął czynność stałą, jako „Administrateur délégué" z prawem prezydowania tej Instytucyi. Oflarują mi za to podwyższenie ilości moich akcyi al pari i 10% od dochodu."

O sytuacyi tego banku dodaje:

„Bank nasz rozwija się świetnie, do 15 bm. mieliśmy przeszło 83% zarobionego czystego zysku od całego kapitału; z interesów, jakie już mamy w ręku możemy się spodziewać, że do końca roku zarobimy cały nasz kapitał: rzecz niesłychana i tłumacząca się tylko tem, że cały nasz kapitał wynosi tylko 300.000 franków, ale położenie nasze jest takie, mamy w naszem gronie tyle energii i tyle stosunków w najwyższych sferach finansowych, że podnosząc nasz kapitał ciągle, kiedy dojdziemy do dwóch milionów albo i wyżej, zawsze jeszcze będziemy mieli ugruntowane widoki zarabiania przynajmniej połowy naszego kapitału co roku. Ja jestem bardzo ostrożny, mam pewien wstręt do wiązania się tego rodzaju z jednym Instytutem, chciałbym mieć zawsze jedną

[1]) Ze zbiorów Tad. Smarzewskiego. Ms.

nogę w Wiedniu, bo tam zarobek pewniejszy, ale widoki tutaj są ze wszystkich względów tak tentujące, że jeżeli tylko mi się uda zająć miejsce Verwaltungsratha w Vereinsbanku z tym warunkiem, abym większą część roku mógł siedzieć w Paryżu, to się tej tentacyi nie oprę. Jeżeli przeto uda mi się urzeczywistnić taką kombinacyę, abym sobie zapewnił przynajmniej 60 do 70.000 franków stałego dochodu z funkcyi, nie liczę tego, co mi przyniosą akcye obydwóch Banków i co jeszcze prócz tego mogę zarobić, to wobec tego myśl taką, aby w Galicyi osiadać, borykać się z zazdrością, głupotą i złością i jeszcze do tego na małem poprzestać, musiałbym stanowczo odrzucić."

Przewiduje jednak Kaczkowski, że lada „awantura polityczna" może ten cały gmach jego planów przewrócić „stanowcze jednak powodzenie w spekulacyach — dodaje w dalszym ciągu tego listu — może mnie postawić w położenie kupienia takiego majątku, li tylko, aby go mieć i choćby nawet mało co przynosił". Zapowiada też, że w danym razie, powróciwszy do Wiednia, będzie prosił Smarzewskiego o dalsze informacye co do Dubiecka.

Piękne te plany obaliła jednak nie „awantura polityczna", lecz finansowe przesilenie, które wybuchło po powszechnej wystawie wiedeńskiej, zamkniętej w r. 1873 olbrzymim deficytem. Wydatki tej wystawy wyniosły 19,700.000 złr. Niepokryty niedobór wzrósł do kwoty 4 milionów. Przekroczenia preliminarza okazały się również znaczne. I tak n. p. preliminowano dla zarządu kasowego 8000 złr., a wydano rzeczywiście 70.000 złr. Koszta policyi, preliminowane na 60—70.000 złr., wyniosły istotnie 300.000 złr.[1])

W krachu giełdowym, który się następnie do niezwykłych rozmiarów rozszerzył, stracił Kaczkowski bardzo znaczną część swoich kapitałów. Z niezmordowaną energią wziął się on natychmiast do powetowania strat poniesionych, może zaś nawet dla ułatwienia sobie tego ciężkiego zadania, — zamarzył znowu o zajęciu pewnego stanowiska na polu parlamentarnem, o zdobyciu mandatu sejmowego z Galicyi i dostaniu się do Rady Państwa. I tym razem marzenia zawiodły. A zawód doznany musiał być bardzo bolesny, gdyż odbił się jawnie — już nie tylko w korespondencyach prywatnych — w dalszem życiu i działaniu Kaczkowskiego.

Dnia 5 września 1873 r. pisze z Wiednia w tej sprawie do Seweryna Smarzewskiego:[2])

[1]) „Gazeta Lwowska" z d. 28 listopada 1873, Nr. 274.
[2]) Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

„Jeszcze przed kilkunastu dniami zgłosiłem się o kartę legitymacyjną (wyborczą) we Lwowie i w Wiedniu — i właśnie przedwczoraj otrzymałem wiadomość ze Lwowa i ztąd, że mi karty nie dadzą. We Lwowie powiadają, że mam tam wprawdzie posiadłość (?) i płacę podatek, lecz tam nie mieszkam, — tutaj zaś mówią, że nie postarałem się o przynależność do gminy."

Pomimo tej odmowy Kaczkowski nie zaniechał starań i czynił bezpośrednie zabiegi ponowne w Ministerstwie spraw wewnętrznych, gdzie mu wreszcie powiedziano: „My w to wierzymy, że Pan jesteś lojalny i byłbyś nawet o wiele roztropniejszy od innych swoich rodaków, ale ponieważ zdaje nam się być rzeczą pewną, iż nie po to chcesz wejść do Reichsratu, abyś z innymi wotował, tylko zechcesz gdzieś „breszę" wybić, ażeby przez nią na wierzch wypłynąć, więc nie widzimy żadnej potrzeby usuwać tej przeszkody, która Panu przypadkiem stanęła na drodze."

Kaczkowski jednak, w liście do pani Jadwigi Liskowej z dnia 12 grudnia 1890 r., przedstawia tę sprawę znowu inaczej i pisze: „W r. 1873 minister Lasser ofiarował mi krzesło w Reichsracie bądź z Galicyi, bądź nawet z innej prowincyi, mianowicie z wielkiej własności w Czechach, ale mi postawił pewne warunki; przyjąwszy te warunki, można było łatwo się przesiąść na krzesło ministeryalne, alem ich nie przyjął." — W powyżej jednak przytoczonym, współczesnym (z r. 1873) liście do Smarzewskiego, dodaje Kaczkowski: „Nakoniec z rozmowy z innym ministrem dowiedziałem się, iż w sferach rządowych mają wieść — między nami mówiąc, nie zupełnie z powietrza schwyconą, — iż ja mam wypracowane i przygotowane formalne i dokumentami zaopatrzone akty oskarżenia przeciwko ministrowi skarbu, handlu i rolnictwa, i że mam zamiar z tomi oskarżeniami wystąpić, ażeby wspomnianych ministrów po kolei powywracać. ...Nad ich przewróceniem nawet nie bardzo się potrzeba natężać, bo De Pretis i tak nie ma już ziemi pod sobą — a Banhansowi półgodzinną mową dowiodę, że nawet abecadła nie zna tego fachu, którego się podjął... Z rolnictwem rzecz ma się jeszcze daleko gorzej, bo tam niema ani jednego człowieka, któryby rozpoznał pszenicę od żyta. Za ośm dni można mieć na drogach, dobrze mi znanych, wszystkie akta, potrzebne do takiej interpelacyi."

Uśmiechała się snadź bardzo Kaczkowskiemu ta perspektywa walki z ministrami, a raczej, jak mu w ministerstwie powiedziano, wybijania „breszy", ażeby przez nią samemu na wierzch wypłynąć, gdyż nie chcąc, jak powiada, dla słusznych powodów, korzystać

z wpływu ministerstwa spraw zagranicznych. „gdzie ma rzeczywistą podstawę“, wpadł na myśl zdobycia karty wyborczej przez „dostanie obywatelstwa honorowego“ któregokolwiek miasta, czy miasteczka galicyjskiego. „Zaszczyt ten — pisze — ofiarowano mi w r. 1871 z Nowego i Starego Sącza, z Jasła, Sanoka i innych pomniejszych miasteczek tej okolicy; lecz wyprosiłem się od tego natenczas, bo był to koncept szlachecki, który na jakichś imieninach wystrzelił i nie miał właściwie żadnego powodu. Lecz teraz mogłoby mi się to przydać.“ Wprawdzie od tego czasu stosunki bardzo się tam zmieniły... „ale może jeszcze choć jedno miasteczko się znajdzie, w którem sztuka się uda“.

Nie udała się jednak. Nie udało się nawet i to, co w dalszym ciągu tego listu proponował Kaczkowski:

„Za sześć do ośmiu dni — pisał — będę miał wiadomość, czy obywatelstwo (honorowe) otrzymam. Przez ten czas niema nic do czynienia. Lecz jeżeli obywatelstwo otrzymam, natenczas Ci natychmiast zatelegrafuję i będę Cię prosił o pomoc. O Rzeszowie i Jarosławiu zapewne wtedy trudno już będzie myśleć, bo za ośm dni ci, którzy mieli odwagę krzyknąć: Nie pozwalam, już dawno uciekną za Pragę. Ale jeżeli i wówczas jeszcze nie będzie innego kandydata prócz żydów (bo Zbyszewskiego i Bartoszewskiego nie liczę), to zawsze będzie można próbować. Przecież, u kata, jeszcze choć z żydem poborykać się mogę... Lecz gdyby tam była sprawa popsuta, to możebyście mieli jaki inny okręg wyborczy n. p. chłopski, gdzieby można wybór przeprowadzić pieniędzmi, a wtedy i tobym przyjął — i wtedy już pewnie potknąłbym się w Reichsracie na tych trzech ministrach.“

List ten kończy się wprawdzie ustępem, dość lekceważącym sprawę tego wyboru. „Jeżeli — pisze — rzecz się nie uda, to i tak będzie dobrze, jak było dotąd, a nawet może i lepiej, jeżelibym nie mógł być wybranym, bo kwestya jest wielka, czy zdrowie moje wytrzymałoby taką kampanię, w której na każdy wypadek ślepymi nabojami strzelać nie będą, a której ja zwłaszcza nie mógłbym odprawić w ostatnich szeregach.“

Że go niepowodzenie w tej sprawie mocno obeszło, że winę tego niepowodzenia przypisał w głównej mierze stronnictwu krakowskiemu i odtąd wydał śmiertelną walkę znienawidzonym przez siebie „Stańczykom“, to w dalszym ciągu zobaczymy. To pewna, że od tej chwili zaczął gromadzić materyały i przygotowywać pamflet polityczny, który miał się ukazać w kilkanaście lat później p. t. „Teka Nieczui“.

W sprawie swej kandydatury znosił się również z Agatonem Gillerem, a w tonie jednego z listów do Gillera, pisanego w Wiedniu d. 14 grudnia 1873 r., nie trudno wyczuć silne rozdrażnienie. „Gdybyś mi Pan — czytamy w tym liście — był napisał, że Dobrzański jest przeciw memu wyborowi, nie byłoby mnie to ani zdziwiło, ani zmartwiło, bo nigdy o przyjaźń Dobrzańskiego się nie starałem, a wiem również od dawna, że jeszcze w żadnej sprawie publicznej nigdy o dobro ogólne, tylko zawsze o jego własne interesa chodziło. W kilka dni zresztą, po napisaniu mego drugiego listu do Pana, już odstąpiłem był od zamiaru kandydowania, — a to po prostu z tego powodu, że P. Lasser i P. Gołuchowski odmówili mi karty wyborczej. Dziś kontent jestem z tego, żem do delegacyi galicyjskiej nie wszedł, bo jakkolwiek w obec nieuctwa finansowego Reichsratu łatwo mi było wdzięczną odegrać rolę, jednak, jak widzę, byłbym był musiał zaraz w pierwszych dniach z klubu polskiego wystąpić. Albowiem ani kłamstwa reprezentować, ani błazna udawać nie potrafię... Zresztą ja podobno najlepiej zrobię, jeżeli nie będę się mieszać w sprawy galicyjskie. Ja nigdy Galicyi nie rozumiałem i Galicya mnie nigdy nie rozumiała...“

W dalszym ciągu pisze o Galicyi już nie tylko ujemnie, lecz w tak gwałtowny sposób, że nie wszystkie wyrażenia powtórzyć się dadzą.

„Opinia publiczna — powiada między innemi — zgałganiała, to jest *lues universalis*. Ja o Galicyi zwątpiłem i takiego samego zdania jest Warszawa, gdzie nawet o Galicyi wspominać nie można, — jak w rodzinie o córce, która się skompromitowała (w tekście wyrażenie znacznie drastyczniejsze, trywialne) z kozakiem i z nim po karczmach się wala.“

Radzi też Gillerowi, by nie myślał o wydawnictwie dziennika politycznego, „bo — pisze — oskarżą Cię, żeś pokradł łyżki srebrne, lub że jesteś szpiegiem“. Dodaje w końcu, że „do dobrego dziennika literackiego mógłby się przyczynić“. „Ja teraz już od dłuższego czasu nic nie pisuję po polsku; Galicyanie oduczyli mnie tego rzemiosła, — ale mam z dawnych czasów rzeczy niedrukowane.“ [1])

Opozycya przeciw wyborowi Kaczkowskiego do sejmu nie wychodziła jednak bynajmniej wyłącznie ze sfer konserwatywnych; stronnictwo demokratyczne było mu stale przeciwne. Świadczy o tem między innymi fakt następujący:

[1]) Ze zbiorów rapperswilskich. Ms.

Pomimo doznanych dwukrotnych niepowodzeń, Kaczkowski nie przestawał myśleć o dostaniu się na arenę parlamentarną. Chciał próbować ponownie jeszcze w r. 1889, jak na to zdaje się wskazywać list inżyniera Seweryna Tyca — może tego samego, którego K. Estreicher wymienił (zwąc Titzem, drenarzem), w gronie współpracowników „Głosu". — Owóż ów Tyc pisał z Paryża 30 września 1889 r. do przyjaciela swego Tadeusza Romanowicza:

„W Paryżu spotkałem się z towarzyszem lat młodzieńczych, kolegą więziennym, Zygmuntem Kaczkowskim. Pomimo, że ten człowiek rozporządza milionami i dla Francuzów jest niejako wyrocznią w interesach większych rozmiarów, nie zmienił się zupełnie co do moralnej łączności z tymi, którzy z nim dzielili chwile, spędzone na ławach szkolnych i życia zakratowego... Od 14 bm. jestem jego codziennym gościem i długie godziny schodzą nam na rozmowach, których przedmiotem jest kraj rodzinny. Pociągałem go do odpowiedzialności za przeszłość i miałem tę przyjemność, że pewnie się z niej wytłumaczył... Nie sprzeniewierzył się sprawie, chociaż nie dzielił przekonania swych zaciętych przeciwników. Stoi zawsze na gruncie czysto polskim — historycznym... On majątku nie potrzebuje, przeto nie będzie uganiał za synekurami, a może oddać wielkie usługi naszemu (demokratycznemu) stronnictwu. Celem niniejszego jest, aby zwrócić Twoją uwagę na zapomnianego, który ma to za sobą, że się nigdy nie pchał i nie nastawiał. Czy byś go nie mógł wepchać (sic!) do Rady Państwa. Tam z dowodami w ręku skutecznie by zaatakował tych wichrzycieli, którzy nie uważają na środki, byle dopiąć celu. Przy najbliższym wakansie do Rady Państwa postaw jego kandydaturę z sanockiego, przemyskiego, rzeszowskiego, lub tarnowskiego, a jestem pewny, że jeżeli go wybiorą, zyskasz sojusznika, z którym Twoi i jego wrogowie nierówną podejmą walkę. Piszę bez jego wiedzy, bo jestem pewny, żeby mi nie pozwolił, — ale ze skarg jego na bezczynność w sprawie, jestem przekonany, że przyjąłby wybór i swe fundusze do kraju sprowadził, by oddać usługę przed zgonem krajowi, którego kochać nie przestał. Napisz mi kilka słów, co myślisz o tej propozycyi" [1]).

P. Tyc, który się podpisał serdecznym i politycznym przyjacielem Romanowicza, nie doczekał się jednak na swój list odpowiedzi. Romanowicz na wierzchu listu napisał czerwonym ołówkiem: „Bez odpowiedzi".

[1]) List, udzielony mi łaskawie przez p. Stan. Wasylewskiego. Ms.

To już samo świadczy, jak sfery demokratyczne były dla Kaczkowskiego usposobione. On jednak dziwnej pod tym względem ulegał iluzyi. Surowo potępiający zachowanie się Hotelu Lambert względem siebie, po swym przybyciu do Paryża w lutym 1864 r., skłonny do przypuszczenia, że to ze sfer konserwatywnych czy arystokratycznych wpłynęły niekorzystne o nim do Hotelu relacye, zaznaczający w jednym z ówczesnych listów swoich do Smarzewskiego, że „jeżeli go dojdzie wiadomość o czyjemś powątpiewaniu o nim, to prędzej o kimś należącym do arystokracyi, niżeli do demokracyi", — niejednokrotnie okazywał gotowość szukania kompromisu przez Gillera, nawet z takim wrogiem swoim, jak Jan Dobrzański, przez owego inżyniera Tyca z Romanowiczem, przez „Reformę", której udzielał politycznych informacyj jeszcze w r. 1888, z całym obozem demokratycznym. Natomiast nieprzejednanych swych wrogów widział w sferach konserwatywnych i arystokratycznych i wzajemną im odpłacał nienawiścią. To też po tem długiem milczeniu, jeżeli uchwycił polskie pióro do ręki, to po to tylko, aby napisać tchnący na wskróś tą nienawiścią pamflet polityczny p. t. „Teka Nieczui", która ukazała się dopiero w r. 1883, lecz o której już tutaj, w związku z niefortunną sprawą kandydatury poselskiej mówić musimy.

Że o napisaniu takiego pamfletu pomyślał zaraz po upadku swej kandydatury, najlepszym dowodem jest list Kaczkowskiego, pisany z Baden pod Wiedniem do Seweryna Smarzewskiego z dnia 5 lipca 1882 r. [1]). W liście tym czytamy: „Przypominasz sobie, że jeszcze przed kilku laty wspomniałem Ci, iż mam zamiar napisać książkę, w której chcę zestawić i wyświecić główne pomyłki, błędy i występki (sic!) Stańczyków. Wychodziłem z tego przekonania, iż chociaż w tej xiążce może nic nowego nie powiem, jednak może łatwiej czytelników przekonam, raz dlatego, że dam memu wykładowi stosowniejszą i dla większego ogółu przystępniejszą formę, niżeli inni piszący w tym duchu, powtóre, że mam jakiekolwiek w piśmiennictwie nazwisko, a po trzecie, że jest, a przynajmniej powinno być krajowi wiadomo, że się o żadną karyerę polityczną nie staram, żadnej ambicyi tego rodzaju nie mam, do żadnej partyi politycznej nie należę, żyję nawet po za granicami kraju — a przeto mam wszystko po temu, aby wydać o osobach i rzeczach sąd bezstronny i niepodejrzany."

[1]) Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

Otóż, zwłaszcza w tym trzecim punkcie, mylił się, czy też chciał się zmylić, Kaczkowski. W kraju wiadomem było, że właśnie o karyerze politycznej, o działalności parlamentarnej, mającej być jego ostateczną „rehabilitacyą“, marzył on nieustannie. W sądach swych czy to literackich, czy politycznych, bezstronnością nigdy nie grzeszył, a mieszkając po za krajem, nie mógł mieć właśnie jasnego pojęcia o jego wewnętrznych stosunkach i potrzebach. Czuł on to sam widocznie, skoro prosił Smarzewskiego, jako tego, który „zna kraj najlepiej“, o szczegółowe informacye, trudno mu bowiem „spuszczać się na własną pamięć, zwłaszcza po dwudziestoletniej bezczynności w literaturze“; wielu nawet książek i broszur mu brakuje. Tłumaczy się przytem, dlaczego dopiero teraz tę książkę wydać zamierza, chociaż miała być ona właściwie odpowiedzią na „Tekę Stańczyka“, która w odbitce z „Przeglądu Polskiego“ ukazała się jeszcze w roku 1870. Otóż taki atak wcześniejszy narobiłby może chwilowo trochę hałasu, aleby się rozbił wkrótce o silne jeszcze podówczas stanowisko tego stronnictwa w Rządzie i w kraju i przebrzmiał bez skutku.

W r. 1882 upatrywał Kaczkowski upadek wpływów i znaczenia Stańczyków, więc postanowił cios ostateczny wymierzyć. A cios ten miał być wymierzony „bezwzględnie“, wedle rady, jaką mu jeszcze w r. 1855 udzielić miał w Wiedniu minister Buol, który na zapytanie, jak pisać wspomnienia z zamierzonej podówczas przez Kaczkowskiego podróży za granicę, gdzie miał poznać „najznakomitszych uczonych i mężów stanu, a nawet niektóre Dwory“, powiedział mu: „Schreiben Sie rücksichtslos“.

Prosząc Smarzewskiego o informacye co do Stańczyków, dodaje nawet kwestyonaryusz, a dla zachęcenia widocznie swego przyjaciela do obszernej odpowiedzi, przypomina mu „podłą intrygę“, uknutą przeciw Smarzewskiemu w tym czasie, kiedy „było wielkie podobieństwo, iż będzie mu (Smarzewskiemu) ofiarowane Ministerstwo finansów“.

Przed laty wspominał już Smarzewskiemu o formie, w jakiej tę książkę pisać zamierza. Ideę tej formy zachował dotąd. „Zawsze — powiada — to będą umarli, którzy rozmawiać będą o zaszłych lub zachodzących wypadkach; duch tych rozmów uwidocznionym zostanie obrazami z porozbiorowej historyi, a oprócz tego duch jakiś będzie wydawał wyroki, oparte na prawdach wiecznych i niewzruszonych.“

To dowodzi najlepiej, że idea „Teki Nieczui“ zrodziła się bezpośrednio po upadku kandydatury, — wykonanie tylko się opóźniło, lecz ta zwłoka nie wpłynęła bynajmniej na złagodzenie tonu.

Wedle rady Buola pisał bezwzględnie, pisał żółcią i jadem, a bez dokładnej znajomości stosunków krajowych, co mu, jak to widzieliśmy, zarzucił publicznie prof. Liske, potępiając stanowczo „Tekę Nieczui“, i to właśnie w głośnym artykule, stającym w obronie Kaczkowskiego przeciw zarzutom zdrady i szpiegostwa.

W tej sprawie, przed ogłoszeniem jeszcze artykułu prof. Liskego „W imię prawdy“, odbyła się listowna między nim a Kaczkowskim wymiana zdań. Kaczkowski, w liście z d. 1 stycznia 1891, użala się przed profesorem, że jego działalność literacka, mająca dobro kraju na oku, występująca przeciw „egzageracyom romantyzmu (1850—1851)“, usiłująca podnieść „potrzebę utworzenia u nas stanu trzeciego ze szlachty średniej i drobnej (1858—1860)“, „wysuwająca program pracy organicznej („Rozbitek“, 1856)“, „występująca przeciwko agitacyom rewolucyjnym (Żydowscy“, 1860)“, — nie osiągnęła żadnego skutku. „Arystokracya — pisze — ogłosiła mnie libertynem i rewolucyonistą, a demokracya zacofańcem i arystokratą, — a tymi, którzy najenergiczniej na mnie uderzali, byli nie jacyś tuzinkowi krytycy lub publicyści, tylko ludzie, którym ja sam nie odmawiałem pierwszorzędnego znaczenia, bo z prawej bił na mnie Siemieński, a z lewej Kraszewski.“

„Tak samo — wyznaje — na nic się nie przydała moja „Teka Nieczui“. Ażeby tę xiążkę sprawiedliwie osądzić, potrzebaby znać jej właściwą genezę, która datuje jeszcze z r. 1852 i rozmaite za kulisowe walki i spory z lat 1869—1877, — a o tem trzebaby nowy tom „Teki“ napisać; ale to Panu chętnie przyznaję, chociaż tego nie wypowiadasz otwarcie, że pamflet ten był co najmniej zbytecznym. Na moje usprawiedliwienie tylko to mogę powiedzieć, że chociaż tym kartaczem byłem nabity od lat trzydziestu, nie wypuściłem go z siebie z własnego popędu, tylko pod bardzo silnym i przez lat kilka trwającym naciskiem kilku dawnych przyjaciół, którzy mnie zapewniali, że taki strzał jest koniecznie potrzebny dla przytarcia rogów arystokratyczno-klerykalnej reakcyi i dla otworzenia drogi liberalniejszym dążnościom. Ci przyjaciele (dziś już wszyscy wymarli), chociaż mieszkali w kraju, omylili się w dwóch kierunkach: za nisko ocenili partyę krakowską, a za wysoko inteligencyę, energię i w ogóle całą „Leistungsfähigkeit“ liberalnych żywiołów, ja omyliłem się z nimi, ale ja jeszcze nadto ten błąd popełniłem, żem w tę robotę włożył zanadto wiele temperamentu. Praktyczny cel został chybiony: bo Stańczycy, przeczy-

tawszy uważnie, co tam stoi pomiędzy wierszami, a nawet zainformowawszy się u mnie przez trzecie osoby, czyli i jakie dokumenty posiadam, postąpili bardzo rozumnie i przetrwali cierpliwie to uderzenie, — a demokracya nie zrozumiała tej xiążki, nie umiała z niej wszystkiego wyczytać i wyzyskać jej przynajmniej do tego punktu, aby wywołać Tom II. — Facit zaś dla mnie był taki, żem oburzył na siebie nie wszystkich, ale za to naczelnych członków partyi krakowskiej, którzy wprawdzie jeszcze i dzisiaj obchodzą się ze mną, jak z ogniem, ale przecież w pewnych sferach potrafili mnie postawić, jako pisarza bez talentu, niezasłużonego rozgłosu i zawziętego nieprzyjaciela szlachty."

W dalszym ciągu tego listu przyznaje nawet Kaczkowski, że w ostatnich latach partya krakowska „przedstawia się w trochę korzystniejszem świetle, bo ta koterya, która siebie nazywa demokratyczną, widocznie jeszcze mniej warta od niej". „Ci demokraci — pisze dalej, — którzy od lat dwudziestu zdobyli się tylko na takich trzech mężów stanu, jak Asnyk, upersonifikowana indolencya *mit terroristischen Extremitäten,* jak Romanowicz, chodzący jeszcze dziś w pętach Towarzystwa demokratycznego z roku 1836, i Szczepanowski, wielki ekonomista, a nie znający nawet zasadniczych teoryi buchhalterycznych, to jest prawdziwa „Nędza Galicyi".

Otrzeźwiawszy więc z pierwszego impetu, który mu podyktował niefortunny pamflet polityczny, odstąpił nawet Kaczkowski od zamiaru wydania drugiego tomu „Teki Nieczui", do którego zbierał skrzętnie materyały, zasięgając rozmaitych informacyj u Smarzewskiego, Rzążewskiego (Aëra) i innych.

W r. 1888 redakcya „Dziennika Polskiego", zasłyszawszy coś o przygotowywanej nowej pracy Kaczkowskiego, zgłosiła się po nią, na co on, w liście z d. 24 sierpnia tego roku [1]), odpowiada:

„Co do dalszego ciągu „Teki Nieczui" zaszło jakieś nieporozumienie. Najprzód nie jest to powieść, tylko pamflet polityczny, w obrazowej formie napisany. A powtóre, drugi tom zapewne kiedyś napiszę, ale na to potrzeba, ażeby się jakaś epoka polityczna dopełniła i zaokrągliła, i aby mi tym sposobem nowe fakta przybyły, inaczej musiałbym w drugim tomie innemi słowy to samo powtarzać, co już powiedziałem w pierwszym i co już wszyscy wiedzą."

Ostatecznie od zamiaru odstąpił i w r. 1891 pisał do prof. Liskego:

[1]) Z listu do p. Adolfa Wład. Inlendera. Ms.

„Drugiego tomu pewnie już nie napiszę, bobym pisał przeciwko prawdzie: żywiołów postępowych i liberalnych w duchu europejskim u nas niema, przynajmniej na polu politycznem, są tylko epigonowie Towarzystwa demokratycznego i rewolucyi *quand même.*" [1])

Czytając ten i inne listy Kaczkowskiego, których są stosy całe, można łatwo zrozumieć powody niechęci, a nawet nieprzyjaźni, jaką on przeciw sobie obudzał, i to we wszystkich stronnictwach. Należąc z przekonań i usposobienia do obozu demokratycznego, skłonny nawet do popierania spisków i robót podziemnych, zrażał do siebie demokracyę swoją skłonnością do „trzymania się klamki pańskiej", pięciem się do sfer wyższych, żądzą przewodzenia i kierowania. Jakkolwiek mówił o sobie, że nie jest *„Allwissend"*, to jednak chciał wszystko wiedzieć lepiej od innych i przyznawał sobie prawo bezwzględnej krytyki. Sądził wszystkich i wszystko surowo, szukał żywiołów „postępowych i liberalnych", a odpychał je od siebie, ilekroć zauważył, że nie miał wśród nich bezwzględnego posłuchu. Stawiał się po nad nimi i ludzi, reprezentujących je, odsądzał od czci i wiary. — Tej samej taktyki trzymał się w obec sfer zachowawczych, które stale pomawiał o inercyę, niedołęstwo, brak woli do czynu. Niepowodzenie swoje w zabiegach o mandat poselski, przypisawszy tym sferom, w oburzeniu posunął się do wydania pamfletu, który jednak zawiódł jego oczekiwania, a wywołać oczywiście musiał rozgoryczenie i niechęci.

Że się zawiódł, i to zaraz w pierwszej chwili, w której się spodziewał wielkiej około „Teki" wrzawy, dowodzi list jego z dnia 20 września 1883 r., pisany do Seweryna Smarzewskiego z Medyolanu. Oświadcza on w nim przedewszystkiem, „że teraz nic już pisać nie myśli, zbiera tylko i porządkuje niektóre materyały do czasów od ostatniego rozbioru aż do roku 1848. Zarysowały mu się szkielety do kilku powieści z tych czasów, ale żaden nie jest jeszcze należycie wypełniony". „Ażeby — powiada — dobrze zrozumieć i strawić czasy emigracyi, partyzantki i spisków ówczesnych, trzeba przeczytać przeszło tysiąc roczników gazet, xiążek i broszur, które jeszcze do tego nigdzie się nie znajdują na jednem miejscu w komplecie. Najzupełniejszym tego rodzaju jest zbiór Reitzenheima w Paryżu, po nim idzie Rapperswyl, a Biblioteka Polska w Paryżu jest ostatnią. Wszystko, co później napisano o tych czasach, jest

[1]) List z Paryża, z d. 24 stycznia 1891 r. Bibl. Ossolińskich, Nr. 4985. Ms.

niezmiernie powierzchowne, nie wspominając już o tem, że jest bez wyjątku stronnicze.“ — Zapowiedziawszy, że w obec konieczności tych studyów będzie potrzebował dłuższego czasu, zanim będzie mógł wziąć pióro do ręki, — dodaje:

„Prócz tego chciałbym jeszcze przeczekać, aż się wyrobi jakiś sąd stały o „Tece Nieczui“, bo dotąd najsprzeczniejsze dochodzą mnie o niej opinie. Podczas kiedy wielu z pierwszorzędnych dzisiaj pisarzy, począwszy od Kraszewskiego i Jeża, jak najpochlebniejsze wydają o niej zdania w korespondencyach prywatnych, a z Warszawy napisano mi kilka listów, przechodzących granice spokojnego uznania, w niektórych dziennikach, nawet *soi disant* liberalnych, jak n. p. „Kraj“ petersburski i „Gazeta Polska“, pojawiają się krytyki, które tę xiążkę stawią niżej najlichszych ramot, a o jej autorze powiadają, albo że się zestarzał i stracił zdrowy sąd o sprawach publicznych, albo że jest *„ein Narr auf eigene Hand“*... „Jest godnem zastanowienia — pisze dalej, — że są dzienniki, które takie krytyki zamieszczają bez obawy oburzenia przeciwko sobie dzienników innych. Jakoż i to jest godnem zastanowienia, że te inne dzienniki wcale się nie oburzają i milczą. Cóżkolwiekbądź z tem trzeba przeczekać, bo dla każdego autora, działającego z rozmysłem, jest rzeczą pierwszorzędnej wagi wiedzieć dokładnie, jak jest dla niego usposobiona publiczność, do której przemawia.“

Nie mógł zbadać tego usposobienia czytającej publiczności Kaczkowski z tego prostego powodu, że „Teka Nieczui“, o której sądził autor, że wywoła wielką wrzawę i zabije od razu partyę krakowską, że — jak pisał do pani Jadwigi Liskowej — będzie „podniesieniem patriotycznego i liberalnego sztandaru po nad reakcyjne i utylitarne a całkiem bezduszne chorągiewki krakowskiego stronnictwa“, — „Teka“ ta nie wywarła spodziewanego wrażenia, a po największej części wywołała sądy ujemne. „Z powszechną apatyą — skarży się dalej Kaczkowski — tak samo trudna sprawa, jak z posuchą lub słotą.“ Ale podejrzewa zarazem, że są jakieś intrygi przeciwko „Tece Nieczui“ i prosi Rzążewskiego (Aëra), aby mu o tych „intrygach“ donosił. Przytem uskarża się okrutnie na dziennikartwo polskie, które, zdaniem jego, upadło tak nisko, jak nigdy. Uczciwego dziennika niema ani jednego. Laenderbank ma zorganizowane biuro prasowe pod kierownictwem Klaczki i Alfreda Szczepańskiego. Tam się redagują artykuły i instrukcye

[1]) List z Paryża, z d. 9 października 1892 r. Ms.

i ztamtąd płyną sumy ogromne za umieszczenie pewnych artykułów, lub zamilczenie.[1])

Ztąd nowe rozgoryczenie już nietylko przeciw znienawidzonym Stańczykom, ale i przeciw liberalnym żywiołom i całemu dziennikarstwu polskiemu w ogóle. Nienawiści swej do Stańczyków pozostał wiernym do ostatnich czasów, przypisując im wszystkie swoje katastrofy życiowe. Nie tai się z tem jednak, że byłby chętnie w swoim czasie do partyi krakowskiej przystąpił. Znamiennym pod tym względem jest list jego do pani Jadwigi Liskowej, pisany z Paryża d. 24 lipca 1891 r.[2]), w którym wyrażając zadowolenie z tego, co Stanisław hr. Tarnowski miał mówić we Lwowie o jego „sprawie“ z r. 1863, dodaje: „On i jego koledzy, którzy z nim razem w Wydziale Rządu narodowego w Krakowie siedzieli, powinni to byli powiedzieć, kiedy ta bomba w r. 1863 przeciw mnie pękła, bo nikt obok nich, którzy przecież sami mnie wtedy do Krakowa powołali, nie mógł wiedzieć tak na pewne i tak dowodnie, że to była potwarz sztucznie stworzona. Ale oni wtedy milczeli, — a jeszcze i potem, kiedy skutkiem moich osobistych stosunków w Wiedniu mogłem coś zrobić dla kraju, zamiast porozumieć się ze mną, jeszcze mi przeszkadzali. Jestem zdania, że gdyby się byli wtedy ze mną porozumieli, to byłoby się zrobiło daleko więcej dobrego, a i tworzącej się wówczas (1866) partyi krakowskiej, byłoby się to na coś przydało, gdyby była miała w sobie lub obok siebie kogoś, który miał szersze od nich poglądy i mógł ją słowem i piórem od niejednego błędu ochronić. Czemby dziś była ta partya krakowska, gdyby była miała takiego regulatora! Ale tak — z konieczności musiały zaraz nastąpić chłody, potem tarcia, a wreszcie wojna, — która zresztą nikomu nie przyniosła pożytku.“

W słowach tego listu odtwarza się cały Kaczkowskiego charakter. Chciał on być zawsze „regulatorem“ działań stronnictwa, przypisywał sobie zawsze „szersze“ od innych poglądy, uważał siebie za dźwignię i źródło potęgi, — a kto tego uznać nie chciał, z tym wojna! Taką wojnę prowadził ze Stańczykami, taką samą wiódł walkę z „czerwonymi“, z demokracyą, z liberalnymi żywiołami. Każdej swej czynności przypisywał pierwszorzędne znaczenie. Widzieliśmy, jak bezpodstawnie przedstawiał siebie jako pierwszego

[1]) List z Wiednia do Rzążewskiego z d. 26 września 1883 r. Ze zbiorów rapperswilskich. Ms.

[2]) Zbiór Bibl. Ossolińskich, Nr. 4985. Ms.

organizatora skupienia żywiołów zachowawczych przed założeniem „Głosu“, jak jednak zostawszy redaktorem tego pisma, odstępował zwolna od przyjętych przez te żywioły zasad, jak nawet psując zbyt wyraźną tendencyą wartość artystyczną swych prac literackich, a będąc tylko echem głośno podówczas brzmiących haseł, miał się za ich pioniera czy to w „Dziwożonie“, czy „Rozbitku“, czy „Żydowskich“. Z taką samą wysokopienną zarozumiałością oceniał wagę i znaczenie „Teki Nieczui“. Nawet w liście do profesora Liskego, przyznając, że ten pamflet był niepotrzebny i chwaląc rozum Stańczyków, że cios ten „przetrwali cierpliwie“, — daje do zrozumienia, że uczynili to ze strachu, „poinformowawszy się przez trzecie osoby, czyli i jakie dokumenty posiada“. — W pośmiertnej puściźnie Kaczkowskiego pozostało dużo notatek, odnoszących się do „Teki Nieczui“ i przygotowanego drugiego tomu tego pamfletu. Otóż w tych własnoręcznych jego notatach oraz rękopisach, zkądinąd mu nadsyłanych, niema ani jednego takiego „dokumentu“, któregoby się najpłochliwszy nawet Stańczyk mógł przestraszyć. Są to po największej części zebrane dorywczo *les on-dit*, obiegające podówczas pogłoski i insynuacye, oraz na całym niemal arkuszyku spisane obcą ręką „Skazówki, prowadzące do niektórych dzieł, mogących służyć za źródła dla zbadania zasad i literatury tak zwanych Stańczyków“. — Otóż te „skazówki“ nie zawierają nic takiego, coby szerokiej publiczności nie było dostępne. Jest to po prostu spis dzieł, rozpraw i artykułów, ogłoszonych drukiem bądź przez Stanisława hr. Tarnowskiego, Klaczkę, Edwarda hr. Raczyńskiego, Ludwika hr. Dębickiego, Józefa Szujskiego, dr. Michała Bobrzyńskiego, Henryka Lisickiego (zwanego w tych „skazówkach“ Lisowskim) i innych, bądź przez ich przeciwników: Romanowicza, dr. Tadeusza Żulińskiego i t. d.

Na takich to „dokumentach“ opierała się „Teka Nieczui“, pisana rzeczywiście z „temperamentem“, podniecanym wyraźną nienawiścią, a mieszcząca — przyznać należy — wiele ustępów o polocie poetycznym, tam zwłaszcza, gdzie autor kreśli barwne obrazy, przesuwające się przed oczami mieszkańców, owego „podniebia“, gdzie toczą między sobą rozprawy polityczne mężowie stanu dawnej Polski. Ton tych rozpraw, jakie się odbywają w pobliżu przybytku Najwyższego, wychodząc z ust „zbawionych“, chociaż jeszcze niedopuszczonych do „światła wiekuistego“, musiał z konieczności stać się jednolicie umiarkowanym, w skutek czego autor nietylko zatracił właściwą charakterystykę osób działających, jak Sołtyka, Woronicza, Niemcewicza, Czackiego, Kołłątaja, Lelewela, Staszica, Brodzińskiego, Mickiewicza, Malczewskiego, Śniadeckich i innych sławnych nieboszczyków, — osłabiając tem samem ostrze satyry, czasem jednak krwawej, — lecz nagiął ich wszystkich do własnych zapatrywań, a co gorsza, uczynił narzędziem własnych uprzedzeń i nienawiści.

Że Stańczycy nie odpowiedzieli na „Tekę Nieczui“, to wcale nie z obawy jakichś „dokumentów“, będących w posiadaniu Kaczkowskiego. Stanisław hr. Tarnowski, w polemice swej z Chmielowskim [1]), jedyny powód milczenia wyraźnie przytacza: „Nie odpieraliśmy oskarżeń, zawartych w „Tece Nieczui“, nie dlatego, ażebyśmy ich odeprzeć nie mogli, tylko po prostu dlatego, że mamy zwyczaj nie odpowiadać na paszkwile i potwarze. Są rzeczy, na które się nie odpowiada. Brak odpowiedzi nie jest dowodem, że zarzut był słuszny.“

Profesor Liske, w znanym artykule swym „W imię prawdy“, nazwał „Tekę Nieczui“ pożałowania godnym wynikiem nieznajomości spraw krajowych. Ocena aż nazbyt delikatna i względna, bo nietylko „nieznajomość spraw krajowych“ jest grzechem „Teki Nieczui“. Głównym jej grzechem to widoczna chęć wywarcia zemsty osobistej na stronnictwie, którego ani celów, ani ducha nie pojął, czy też pojąć nie chciał, to pomawianie ludzi nieskazitelnych i zasłużonych o odstępstwo od idei narodowej, to upatrywanie w reakcyi przeciw porywom i wybuchom nie liczącego się z warunkami danej chwili zapału, zaparcia się sprawy narodowej. Gdyby „Teka Nieczui“ pojawiła się była w ślad za „Teką Stańczyka“, możnaby jeszcze było wówczas usprawiedliwić jej treść rozgorączkowaniem chwili, polemicznym zapałem. — Ukazując się w lat tyle po niej, a opierając sądy swoje głównie na opiniach, wygłaszanych w r. 1869 i 1870, musiała „Teka Nieczui“ popaść w jaskrawą niesprawiedliwość, usuwając na stronę wszelkie zmiany, jakie w politycznych zapatrywaniach tak ogółu, jak i stronnictwa krakowskiego zajść musiały. — I tem się także tłumaczy, że rzucona ręką Kaczkowskiego bomba, wybuchła bez wrażenia.

Zawód, jakiego doznał autor „Teki Nieczui“, wzmógł jeszcze dawne gorycze i stare zawiści podtrzymywał ciągle. Mamy oto przed sobą list jego, pisany do Smarzewskiego Seweryna z 12 lutego 1886, w którym, krytykując mowy posłów w Sejmie galicyjskim, a zwłaszcza przemówienia Stan. Tarnowskiego i dr. Bobrzyń-

[1]) „Przegląd Polski“, r. 1898. Hoesick: „Stanisław Tarnowski“, t. II., str. 283.

skiego, powtarza znowu, że niema w Sejmie człowieka — tu zapewne także myślał o sobie, — „któryby szeroki program zakreślił, chociażby z tem zastrzeżeniem, że on go tylko stopniowo wykona". „Sapieha — pisze dalej — miał jakieś senne myśli o tem, co powiedzieć trzeba, ale też je tylko sennie wypowiedział, a raczej „zaznaczył"; wyraz ten babski i bawełniany, wynaleziony podczas autonomicznej ery w Galicyi, zawiera też w sobie najdokładniejszą charakterystykę ducha, jaki w tym kraju panuje. Czekajmy, może kiedyś wstanie jakiś *ex nostris ossibus ultor.*"

Że wylanie w „Tece Nieczui" jadowitej goryczy nie wpłynęło wcale na zmniejszenie żalu w sercu Kaczkowskiego, dowodzą jego listy z lat późniejyzych, w których nie oszczędza domniemanych przeciwników, nie mogąc im darować upadku swej poselskiej kandydatury. I tak jeszcze w r. 1892 [1]) pisał do pani Jadwigi Liskowej o swej niefortunnej kandydaturze z r. 1873: „Spotkałem się z opozycyą tak u góry, jak i u dołu. To był zatem kraj, który mi oponował. Jakie kraj miał powody wybierać do Sejmów częstokroć całkiem nic nieznaczące figury, a odrzucać człowieka, który złożył przynajmniej na to dowody, że może i umie pracować, tego ja nie wiem, pamiętam tylko, że Grocholski, który pod owe czasy był na najlepszej stopie z Dobrzańskim, powiedział jednemu z naszych wspólnych przyjaciół te słowa: „Ja jemu ani z prywatnego, ani z politycznego stanowiska nie mam nic do zarzucenia, ale on ma swój rozum i despotyczny charakter, a takich ludzi nam nie potrzeba."

„Ja nie mam charakteru despotycznego — broni się w dalszym ciągu przeciw temu zarzutowi Kaczkowski, — ale mam temperament i upor i za żadną cenę nie odstępuję od tego, o czem jestem przekonany: jeżelibym się był przeniósł do kraju i tam był czynnym, czy to w Sejmach, czy po za Sejmami, to byłbym się starł i stargał... i nie byłbym nic zrobił. Polityka stańczykowska (o niej zapomnieć nie mógł!) znalazła tak w austryackich stosunkach, jak w ogóle w duchu teraźniejszego czasu, tak silną podstawę, że już z tego powodu trudno ją wzruszyć, zadanie to wszakże stało się niemożliwem dlatego, że zasady umiarkowanie liberalne u nas zanadto mało mają przedstawicieli, a do tego jeszcze wloką za sobą dwa ogony, jeden głupio-radykalny, a drugi socyalistyczny, których od siebie odtrącić nie mogą, bo za tymi ogonami tłoczą

[1]) List z Paryża z d. 8 lutego 1892. Ze zbiorów Bibl. Ossol., Nr. 4985. Ms.

się masy miejskiego ludu. Przedstawiciele ci nie mają ani dostatecznej inteligencyi, ani charakterów, a nadto wszystko nie mają zgoła żadnego programu. Od czasu, jak ogłosili przez usta Szczepanowskiego, że zupełnej autonomii Galicyi domagać się nie chcą, bo kraj jest zanadto ubogi, aby ją mógł opłacić, wyrwali ziemię z pod swoich nóg i nie mają gruntu pod sobą, bo to był jedyny program dla liberalnego stronnictwa. Po tej kapitulacyi mogą być tylko i są rzeczywiście lewem skrzydłem Stańczyków, skrzydłem nieposłusznem, a może często niedogodnem, ale na polu politycznych czynności można się z niem zawsze pogodzić, właśnie dlatego, że nie mają charakterów między sobą."

Tu Kaczkowski snadź znowu o sobie pomyślał, ale już z pesymistycznym nastrojem, przewidując końcowe niepowodzenie, pomimo swego „temperamentu i uporu". „Gdyby — powiada — w tym czasie (od r. 1866) był zdarzył się człowiek niezłomny i gdyby mu się było udało pewną ilość posłów porwać za sobą, to prędzej, czy później byłby przecież został sam jeden, boby mu wszyscy uciekli."

Te poglądy bardzo pesymistyczne dyktowała bezwątpienia Kaczkowskiemu niczem nieukojona gorycz, która od r. 1863 nieustannie nurtowała w głębi jego duszy. Potęgowało ją oddalenie od kraju, o którego stosunkach informował się tylko z doniesień dzienników, lub z opowiadań przybywających do Paryża rodaków. Przyjmował je często bezkrytycznie i wyrabiał sobie na tej podstawie sąd opaczny o ludziach i stosunkach galicyjskich.

Do kraju, a mianowicie do Lwowa, przybył raz jeszcze w r. 1878 i zabawił kilka tygodni; był u Namiestnika Alfreda Potockiego, u marszałka krajowego Ludwika Wodzickiego, widział się także ze wszystkiemi osobami, „które się wówczas świeciły u góry", lecz znalazł wszędzie „taki wstręt do każdej donioślejszej czynności, taką obawę każdej myśli stanowczo polskiej", taką zupełną sprzeczność ze „swemi politycznemi zasadami", „że — dodaje — musiałem sobie powiedzieć: w tym kraju ja nie mam nic do czynienia".

W ciągu tego kilkutygodniowego swego pobytu we Lwowie, miał także zbadać Kaczkowski dziwną sprawę tak zwanej „Konfederacyi Narodu Polskiego", zawiązanej w r. 1876 na gruncie lwowskim w przeddzień wybuchu wojny turecko-rossyjskiej, przez ludzi zupełnie nieznanych, lub prawie nieznanych nietylko za granicą, lecz nawet w kraju. Myśl tej konfederacyi, zrodzona w mętnej głowie ówczesnego współpracownika „Gazety Lwowskiej"

Teofila Szumskiego, a w lot pochwycona przez fantastę rewolucyonistę Wacława Koszczyca, b. powstańca z r. 1863 Ksawerego Gebharda i Edmunda Riedla, byłaby niewątpliwie zgasła w samym zarodku, gdyby nie gorączkowa a pełna blagi gorliwość Koszczyca, przedewszystkiem zaś, gdyby nie współdziałanie różnych agentów politycznych, na czele których stał przejeżdżający z krańca w kraniec całą Europę Anglik lord Johnston Butler Northest [1]). Odgrywał tu także niemałą rolę, mieszkający stale w Rzymie, a zręcznie lawirować umiejący między Kwirynałem a Watykanem, hrabia i szambelan papieski Władysław Kulczycki, a także francuski legitymista hr. Bréda. Koszczyc, mający stosunki ze Stambułem, potrafił też zainteresować tamtejsze sfery, wśród których główną rolę odgrywali Polacy, pozostający w służbie tureckiej, zwłaszcza Artur Zimmermann (Artur-bej), Aleksander Zwierzchowski (Iskinder-bej) i inni. Wmieszało się nadto w tę sprawę angielskie Towarzystwo katolickie, które bynajmniej nie z ramienia rządu angielskiego, lecz na własną rękę, przez swego agenta Johnstona Butlera, dążyło w swych własnych celach do wplątania Polski w walkę z Rossyą. — W ten sposób z małej początkowo chmurki, począł padać wielki deszcz i omal nie rozpętała się burza, której jednak położyło kres rozstrzygnięcie wojny — zwycięstwo pod Plewną. — Koszczycowa „Konfederacya Narodu polskiego“ jeszcze przedtem rozpadła się na liczne inne związki czy konfederacye, które znikały jedna po drugiej. Natomiast w Wiedniu utworzono Rząd narodowy, który również nie utrzymał się długo, wciągnąwszy jednak do swego składu już znacznie poważniejsze nazwiska: ks. Adama Sapiehy, Artura hr. Gołuchowskiego, Janki, Kornela Ujejskiego i wielu innych.

Nie tu miejsce rozszerzać się nad tą zaiste dziwną sprawą, w której nie brakło momentów wielce nawet komicznych, a która jednak w swej całości była jednym z epizodów tragedyi narodu polskiego w niewoli. Ciekawych szczegółów tej sprawy odsyłamy do dziełka p. Franciszka Rawity-Gawrońskiego p. t. „Konfederacye Narodu Polskiego w r. 1876“ [2]).

Sprawę tę o tyle poruszyć tu uważaliśmy za stosowne, o ile wziął w niej udział Zygmunt Kaczkowski. Starego spiskowca po-

[1]) O tej sprawie nawiasowo wspomina Kaczkowski w przytoczonym powyżej liście swoim do pani Jadwigi Liskowej z r. 1894, pisanym z powodu „Wspomnień“ ks. Leona Sapiehy.

[2]) Lwów, 1909. Nakładem „Kuryera Lwowskiego“.

ciągać musiała odurzająca woń robót konspiracyjnych; namawiał go też do nich niewątpliwie będący z nim w ciągłych stosunkach Władysław Kulczycki, czynny członek owej „Konfederacyi“, który, jakto z listu jego, pisanego z Rzymu d. 23 lipca 1877 r., wynika, mocno się jej sprawą interesował. W liście tym, adresowanym do „Konfederacyi Narodu Polskiego“, donosi:

„Dwa listy naglące napisałem do Johnstona, jeden do Paryża, drugi do Londynu, przedstawiając gwałtowną potrzebę pieniędzy i akcyi. Prosiłem, aby cały stan rzeczy Beaconsfieldowi przedstawił. Zaklinałem go i poprzysięgałem na wszystkie świętości. Wczoraj zaś napisałem doń do Wiednia, aby się na powagi nie oglądał i K. N. P. tylko słuchał. List ten, nie mając adresu Johnstona, posłałem zapieczętowany Zygmuntowi Kaczkowskiemu, który jest w stosunkach z hr. Bréda, który tu (w Rzymie) był z Buttlerem (Johnstonem) i wprost do Wiednia pojechał. Nie miałem także adresu tego zacnego legitymisty, ale ponieważ Kaczkowskiego ciągle widuje, ten mu list wszak odeszle, a Francuz jest *alter ego* Anglika. W liście wczorajszym także położyłem główny nacisk na pieniądze.“

Po zawiązaniu jednak Rządu narodowego w Wiedniu, gdy sprawa zdawała się przybierać znaczniejsze rozmiary, Kaczkowski przybył do Lwowa, chcąc widocznie rzecz zbadać na miejscu. Nauczony doświadczeniem, postępował wszakże z wielką ostrożnością i trzymał się na uboczu, a po zbadaniu wydał o K. N. P. opinię bardzo ujemną, o której dowiadujemy się z listu Kulczyckiego, pisanego d. 27 sierpnia 1878 r. z Porto d'Anzio do jednego z członków owej Konfederacyi. W liście tym czytamy:

„Zygmunt Kaczkowski, co (sic!) bawił kilka tygodni we Lwowie w przeszłym miesiącu, pisze do mnie, że K. N. P. jest całkiem nieznana, o której nikt nie słyszał, a wszyscy się dziwują, że owa nieznana i żadnego znaku życia nie dająca konfederacya, naraz się odezwała do Kongresu (w Berlinie) w imieniu narodu, co (sic!) jej nie zna i o niej nie słyszał.“

Kulczycki już także, zdaje się, był otrzeźwiał, bo w tymże liście dodaje, że powyższe zarzuty Kaczkowskiego „nie są całkiem bezpodstawne“. [2])

[1]) Z listu Kulczyckiego, udzielonego mi uprzejmie przez p. Franciszka Rawitę-Gawrońskiego, który jest w posiadaniu także innych listów Kulczyckiego i dokumentów, odnoszących się do K. N. P. Ms.

[2]) Ze zbiorów Fr. Rawity-Gawrońskiego. Ms.

W pesymistycznem usposobieniu, wyniósłszy z Galicyi same tylko ujemne wrażenia, powrócił tedy Kaczkowski w sierpniu do Wiednia, a we wrześniu przeniósł się na stałe mieszkanie do Paryża, oddając się już w zupełności swoim finansowym operacyom, które teraz zmierzały, jak się zdaje, głównie do powetowania strat, poniesionych w czasie krachu giełdowego.

Do przedsiębiorstw finansowych rwał się Kaczkowski od młodu. Jeszcze w r. 1858, jak to we właściwem miejscu zaznaczyliśmy, otrzymawszy mominacyę na członka Towarzystwa agronomicznego, wygotowywał plan założenia we Lwowie Banku obywatelskiego i wydawania dziennika polityczno-ekonomicznego. Jako „banita“, tak w Wiedniu, jak w Paryżu był w ciągłym ruchu w sferach giełdowych i finansowych. Po wojnie prusko-francuskiej miał wypracować plan rychłej spłaty 5-cio miliardowej kontrybucyi wojennej, za co otrzymał krzyż Legii honorowej.[1]) Po krachu giełdowym, w którym znaczną część fortuny utracił, tem usilniej zajmował się spekulacyami tak finansowemi, jak i przemysłowemi. Między innemi, do spółki z Augustem Zangiem, wydawcą starej „Presse“, założył w Paryżu „Boulangerie de Vienne“, która jako spółka akcyjna do ostatnich czasów istniała. — Był też czynnym w Paryżu i za granicą jako t. zw. „Assureur“, t. j. za pomocą kapitału francuskiego zakładał spółki asekuracyjne. Tak powstała spółka asekuracyjna *Franco-Hongroise, Azienda, Foncière* i wiele innych[2]). Z tem w związku zdaje się być wzmianka w liście Kaczkowskiego do Seweryna Smarzewskiego, pisanym z Baden d. 5 lipca 1882 r.[3]). W liście tym czytamy:

„Od kilkunastu dni jestem znowu w Wiedniu, gdzie mam zajęcie przy likwidacyi sfuzyonowanych asekuracyi, która potrwa zapewne do końca bieżącego miesiąca; osiadłem zaś na ten czas w Baden i próbuję tutejszych wód mineralnych przeciw memu reumatyzmowi.“

W r. 1885 spotkał się Kaczkowski w Paryżu z Namiestnikiem Zaleskim, który mówił mu wiele o biedzie, panującej w Galicyi. Wspominając o tem w liście do Seweryna Smarzewskiego z d. 21 lutego 1886 r. rzuca Kaczkowski projekt poprawy amortyzacyi Listów zastawnych Towarzystwa kredytowego ziemskiego.

[1]) Z listu Eugeniusza Korytki, pisanego do Adama Krechowieckiego z Paryża d. 18 kwietnia 1914 r. Ms.

[2]) Z listu Adolfa Wład. Inlendera z d. 17 lutego 1917. Ms.

[3]) Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

„Przed kilku laty — pisze, — kiedy ja sam się zająłem kwestyą amortyzacyi, do czego mnie spowodowały nieudolne systemy amortyzacyi, przyjęte tak przez tutejszy Crédit foncier, jak i przez Rząd przy Rencie amortyzacyjnej, kazałem zrobić Rymkiewiczowi, jednemu z najznakomitszych kalkulatorów tutejszych, kilka tablic amortyzacyjnych według systemów nowych, których formułki dałem mu gotowe. Jeden z tych wynalezionych przezemnie systemów dałby się zastosować dla Towarzystwa kredytowego z ogromną korzyścią. Polega on na tem, iż wydawszy Listy zastawne 3-procentowe, można tym samym wydatkiem, jakie dzisiejsza amortyzacya kosztuje, nietylko amortyzować je o jeden procent co roku wyżej nad pari, t. j. w pierwszym roku po 100, w drugim po 102, w ostatnim po 175, ale jeszcze robić oszczędności tak wielkie, że w lat kilkadziesiąt Towarzystwo miałoby rezerwy, składające się z wielu milionów. System ten możnaby zawsze zaaplikować z korzyścią, ale naturalnie, że takim środkiem nie można zaradzić grożącej kryzys.“

Zygmunt Sarnecki, który przyjechawszy do Paryża w r. 1884 na dłuższy pobyt, zbliżył się do Kaczkowskiego, a i w późniejszych latach, jako redaktor i wydawca wytwornego tygodnika p. t. „Świat“, był z nim w ciągłych stosunkach, — pisze o nim w liście z dnia 21 marca 1914 r.[1]):

„Był on przedewszystkiem finansistą, używającym polityki, a niekiedy nawet i literatury, do celów spekulacyjnych, giełdowych. ...Znali go mniej więcej bliżej — tylko bankierzy, z którymi pozostawał w ciągłych stosunkach, a wprawy w uruchomianiu wielkich interesów pieniężnych nabył, według wszelkiego prawdopodobieństwa, w czasie długiego swego pobytu w Wiedniu. Korzystał z niej następnie z powodzeniem w Paryżu. Mówiono, że jest bardzo bogaty. Liczono go na miliony. Zdawały się świadczyć o tem konferencye z francuskimi geszefciarzami pierwszej klasy, przerywającymi nam nieraz rozmowy literackie i wyprowadzającymi go ze skromnej pracowni, w której siedzieliśmy, do t. zw. salonu na pilne narady. Może był tylko ich pośrednikiem i informatorem w sprawach, łączących targ pieniężny wiedeński z targiem paryskim. Żył wygodnie, lecz nie zbytkownie. Salon jego urządzony był banalnie i niemal bez smaku... ...Znał wielu emigrantów starych i młodszych, rzadko kiedy przyjmując ich u siebie i zachowując się względem nich — o ile ja widziałem — dosyć chłodno. Wszystko,

[1]) List z Zakopanego do Adama Krechowieckiego. Ms.

co go dotyczyło osobiście, wyłącznie, moralnie, było zawsze przez niego zamilczane i jakby z rozmysłem ukrywane... Mówił tylko czasem, ale bardzo oględnie, o swem uniewinnieniu przez ludzi poważnych i zacnych. Słowem, był to człowiek bardzo niepospolity, indywidualny, nie żaden zdrajca (za jakiego go okrzyczano po 1863 roku), lecz w gruncie rzeczy niezbyt sympatyczny, a nawet poniekąd zagadkowy."

IX.

(Sława Sienkiewicza. — Krytyka Kaczkowskiego. — Rozbiór tej krytyki. — „Graf Rak". — Listy Kaczkowskiego o Sienkiewiczu. — Jak należy pisać powieść historyczną. — „Abraham Kitaj". — Listy Kaczkowskiego, wyjaśniające cel tego utworu i powody niechęci do Sienkiewicza. — Ciągła z nim rywalizacya. — Czem jest w rzeczywistości „Abraham Kitaj?" — Krytyki tej powieści. — „Olbrachtowi Rycerze". — Rozbiór tej powieści. — Listy o niej Kaczkowskiego.)

Podczas kiedy, wielbiony niegdyś w społeczeństwie polskiem autor powieści nieczujowskich, oddawał się na obczyźnie wyłącznie niemal spekulacyom finansowym, w Polsce i po za jej granicami rosła wielka, promienista sława Henryka Sienkiewicza. Echa tej sławy, bardzo rozgłośne, odbijały się w sercu autora „Murdeliona" dziwnie bolesnem echem. Ktoś w kraju, w całej Polsce zajął jego miejsce, a nietylko miejsce zajął, lecz go o wiele przewyższył w jednomyślnem uznaniu i hołdzie olśnionego blaskiem geniuszu społeczeństwa. Zniósł jeszcze cierpliwie zachwyty, obudzone nowelami i opisami podróży, — lecz gdy się ukazało: „Ogniem i mieczem", wywołując niebywałe wrażenie, nie wystarczały mu już namiętne protestacye, wygłaszane w gronie bliższych i dalszych znajomych, nie wystarczały krytyki, wypowiadane w listach prywatnych. Trzeba już było wystąpić publicznie z krytyką, która jeśliby nawet nie zdołała zabić w zarodku rodzącej się sławy, to przynajmniej mogła przyćmić ją i stłumić słowem na pozór spokojnem i poważnem, w istocie zaś druzgoczącem.

Przygotowywał się do tej krytyki widocznie z nakładem mozolnych studyów, odświeżył w pamięci nietylko dawniejsze literackie wspomnienia, lecz przestudyował całą współczesną, zwłaszcza

realistyczną i naturalistyczną, literaturę i przesłał redakcyi „Gazety Lwowskiej“ obszerną pracę, w której, już w samym tytule, stanął na stanowisku mistrza w obec początkującego ucznia, sędziego, wyrokującego bez apelacyi. Tytuł tej obszernej rozprawy brzmi:

„Zygmunt Kaczkowski o pismach Henryka Sienkiewicza.“

Gdy rękopis nadszedł do redakcyi, wywołał niemałe poruszenie. Redaktor naczelny wahał się drukować, nie chcąc jednak samowolnie rozstrzygać, przedstawił tę sprawę ówczesnemu Namiestnikowi Filipowi Zaleskiemu i Wiceprezydentowi Loeblowi, którzy podówczas bardzo gorliwie zajmowali się rozwojem „Gazety Lwowskiej“. Po długich naradach i rozważeniu *pro* i *contra* zadecydowano, aby rozprawę Kaczkowskiego drukować, z pewnem jednak zastrzeżeniem ze strony redakcyi. — Druk rozpoczął się w Nr. 166 z dnia 19 lipca 1884 r. i trwał do Nr. 185. t. j. do dnia 11 sierpnia, zajmując 15 odcinków. Przy pierwszym redakcya zamieściła zastrzeżenie tej treści, że ogłasza tę pracę z uwagi na stanowisko autora w literaturze i uznając doniosłość wymiany poważnych i wytrawnych opinii w sprawach literackich.

Opinia miała istotnie pozory poważne. Nie mniej jednak była niesprawiedliwa, w najwyższym stopniu stronnicza, pełna nieuzasadnionych insynuacyj, a pisana widocznie *pro domo sua*, i to jeszcze z trójnoga.

Już na samym wstępie zaznacza Kaczkowski, iż nie może młodemu autorowi oddać większej pochwały, jak wyznając, że on, Kaczkowski, czytał wszystkie utwory Sienkiewicza, które podówczas wyszły w 4 tomach, przeczytał je nawet z zajęciem; poczem wdaje się w polemikę z tymi, którzy w Krakowie „schwalili młodego autora na umor“. Dość długo tłumaczy, z jakich powodów przesadzone pochwały są szkodliwe i co jest właściwie „epopeja“, jak już nazwano „Ogniem i mieczem“. — Przechodząc do szczegółowej oceny, przyznaje Sienkiewiczowi talent młody, świeży, pełen niezwyczajnej energii, a czasem nawet porywający, — lecz dodaje, że talent ten objawił się w niektórych początkowych utworach „w kształtach prawie potwornych“. „Bartek zwycięzca“ sprawia na Kaczkowskim wrażenie ckliwe i wstrętne, albowiem — powiada — „rozdzierać rany społeczeństwa a nie przynosić zarazem żadnej pociechy, może w polityce być aktem konieczności, ale w dziedzinie sztuki jest barbarzyństwem“. „Szkice węglem“ wywołują — zdaniem krytyka — jeszcze daleko przykrzejsze wrażenie swoim beznadziejnie czarnym kolorytem. Dłuższy ustęp poświęca tu Kaczkowski surowej krytyce języka, użytego w tych powieściach przez Sienkiewicza. „Język to „wykoszlawiony, pełen najgrubszych błędów przeciw gramatyce i składni“. Forma jest „przedrzeźnianiem języka ludowego“, treść zaś „wykrzywieniem rzeczywistości, a zarazem śmiertelnym grzechem przeciwko kardynalnym zasadom poezyi i sztuki“.

Czytając dzisiaj te epitety: „ckliwy, potworny, barbarzyński, wstrętny“, a do tego „grzeszący przeciw gramatyce i składni“ — epitety, zastosowane do utworów Sienkiewicza, zdumienie istotnie ogarnia. Jest to tylko jaskrawy dowód, do jakiego stopnia zawiść zaślepić może! Bo nie pojął, a raczej pojąć nie chciał Kaczkowski głównej, przewodniej myśli przepięknych Sienkiewicza nowel: nie zrozumiał, bo zrozumieć nie chciał, że wszystkie one wyniknęły z głębokiego odczucia niedoli ludzkiej, uginającej się pod brzemieniem wrogiego systemu („Bartek zwycięzca“, „Szkice węglem“, „Z pamiętnika nauczyciela“), opuszczenia sierocego („Janko muzykant“ i „Jamioł“), miłości nieszczęśliwej („Hania“), beznadziejnej tęsknoty tułaczej („Latarnik“). Nie odczuł, bo odczuć nie chciał krytyk zawistny przedziwnej prostoty słowa i tego mistrzowskiego artyzmu, z jakim twórca znajduje zawsze właściwy, a pełen prostoty wyraz dla określenia cierpień ludzkiej duszy.

Kaczkowski upatruje w tych nowelach tylko „zwierzęcą naturę człowieka“ i nic „prócz materyi, widzianej nie w blaskach słońca, lecz wśród ciemnej nocy“, a rzecz znamienna, że chwaląc w „Jamiole“ obrazki wiejskiego pogrzebu i wiejskiej karczmy, zaznacza, że mogą one „stanąć obok najpiękniejszych rysunków powieści ludowych — Kraszewskiego“. Tego samego Kraszewskiego, któremu stale odmawiał wszelkiej zasługi i artyzmu, ganiąc niedbalstwo i zaniedbanie stylu, pomawiając o niedołęstwo twórczości, o popełnianie plagiatów! W ustach Kaczkowskiego to postawienie noweli Sienkiewicza „obok“ Kraszewskiego jest chyba surową naganą. — „Janko muzykant“ jest, wedle krytyka, słabym odblaskiem „nieśmiertelnych utworów Turgeniewa“, — natomiast podoba mu się opis powodzi w powiastce „Za chlebem“, chociaż i tutaj krytyk pojąć nie może, dlaczego po śmierci winnego ojca, ginie całkiem niewinna dziewczyna. On wolałby, aby była choć cokolwiek winna, aby zapomniała swej idealnej miłości dla pozostawionego w kraju kochanka i oddała się mniej idealnemu uczuciu dla namiętnego Orlika!

W ogóle we wszystkich tych nowelach Kaczkowski upatruje obok „wrodzonej skłonności do czarnego zapatrywania się na świat

i życie człowieka“, także „przemagający pociąg do naśladowania szkoły naturalistycznej — Zoli“. — Tu następuje szeroka i długa dysertacya o Zoli i jego naśladowcach, czy kontynuatorach. I nareszcie dochodzi krytyk do powieści „Ogniem i mieczem“.

Tu postąpił sobie Kaczkowski mocno dyplomatycznie. Jeśli oceniając nowele, nie wahał się użyć ostrych wyrazów potępienia, — w obec „Ogniem i mieczem“ nie szczędzi nawet pochwał — pozornych. Przyznaje wprawdzie, że tu, na „ciasnem polu“, zakreślonem powieści, „odetchnął autor piersią niezmiernie szeroką“, że „swoim postaciom i krajobrazom, nawiedzionym najjaskrawszemi farbami, jakiemi pióro się może posłużyć, nadał wyrazistość namacalną, uderzającą“ — lecz wnet dodaje: „często nawet przerażającą“ — w czem, zdaniem krytyka, spoczywa tajemnica, że ta powieść „powszechne obudziła zajęcie“ i jak najgorętsze uniesienia. „Rysunki Sienkiewicza — pisze Kaczkowski — są doskonałością w swoim sposobie. Często kilkoma pociągami pióra określa tak dobitnie całą figurę, że brakujących rysów każda wyobraźnia sobie dopełni“. Wszystkie postacie „są namacalnie widoczne. stoją doskonale na własnych nogach, oddychają swobodnie, myślą, mówią, ruszają się, żyją“... „Pod tym względem Sienkiewicz, tak w naszej literaturze, jak w obcych, przewyższył wielu, a zbliżył się do najlepszych.“

Wypisawszy te, chociaż dość miarkowane pochwały, zabrał się teraz krytyk do bardzo starannego ich pomniejszania, czy też zamazywania. Rysunek postaci jest doskonały, ale tylko rysunek. Typów i charakterów, obrazu ich wewnętrznego niema. Powieść cała pisana bez planu, to też i charaktery bez planu tworzone, zmieniają się wedle „chwilowego natchnienia“. „Aby trafnie odtworzyć typy i charaktery — uczy Kaczkowski — potrzeba źródłowej nauki i intuicyi“. Sam talent tu nie wystarcza. I tak n. p. Podbipięta, „z początku oczywiście przeznaczony, aby się stać karykaturą średniowiecznego rycerstwa, rodzajem polskiego Donkiszota w drobnych rozmiarach“, — staje się nagle bohaterem-męczennikiem. A ta sprzeczność — dodaje krytyk — „narzuca nam pytanie: czyż tylko ludzie głupi są zdolni tak wzniosłych poświęceń? Z tego punktu widzenia sprzeczność ta jest nietylko rażąca, ale obrażająca“.

Analizując poszczególne postacie powieści, postępuje Kaczkowski wedle tego samego krytycznego systemu. Każdą wypowiedzianą pochwałę skrzętnie zaraz potem zamazuje. Skrzetuski posiada zrazu sympatyę krytyka, lecz okazuje się w końcu, że chociaż jest „postacią zajmującą i nie niewłaściwą na bohatera powieści“, to wszakże „jest to rycerz nie czułostkowy, tylko chorujący na miłość, nie sielankowy, tylko płaksiwy“, — autor w przedstawieniu tej postaci „grzeszy tu i ówdzie przeciw psychologii“, a bohatera swego, który „mógł być podniesionym daleko wyżej duchowo“, wyobraża „zanadto przeważnie ze strony fizycznej“.

Zagłoba — przyznaje Kaczkowski — „jest najudatniejszą w całej powieści figurą“ — ale cóż, gdy w nim jest „sprzeczności bez liku“. Nie Falstaff to, lecz raczej uszlachetniony nieco Papkin XVII. wieku“, Wołodyjowski jest „kreacyą niedostateczną“. Helena, której postać zewnętrzna odmalowana bardzo ponętnie, jest w gruncie rzeczy „gąską“, których w Polsce daleko mniej bywało, niż gdzieindziej. „Bohun jest doskonałą kreacyą... — powiada Kaczkowski — zostanie on w naszej literaturze na zawsze.“ Lecz w ślad za tem pisze: „Sienkiewicz nie umiał logicznie i naturalnie przedstawić go w akcyi... w naszej pamięci zostanie tylko junak, ale nie historyczny hetman kozacki“. „Chmielnickiego charakter, temperament i całą postać przedstawił nam autor pod względem psychologicznym prawdziwie, a zarazem zgodnie z historycznem podaniem“ — lecz wnet dorzuca — w swem „politycznem znaczeniu jest uchwycony przynajmniej o cały ton za nisko“. Wiśniowiecki jest postacią już całkowicie „skrzywioną“. „Sienkiewicz bardzo niewdzięczne wziął przed się zadanie, usiłując umyć Jaremę i zrobić z niego taki typ oligarchy, dla którego czytelnik mógłby w sobie obudzić sympatyę i poszanowanie.“

A całość wreszcie? Całości brak perspektywy — jest natłok „jednej i tej samej natury obrazów“. Najsilniejszem nerwem talentu Sienkiewicza jest „wyrazistość rysunku i świetność koloru w obrazowaniu“, — ale w obrazach jego znajdujemy „nietylko jaskrawość, która nam się już nie podoba, ale przeraźliwość kolorów, którą stanowczo potępić należy“. Przyznaje Kaczkowski wprawdzie, że w powieści tej są obrazy, „mistrzowską ręką kreślone“, opis oblężenia Zbaraża nazywa „świetnym“, ale wnet dodaje, że w tych obrazach „bardzo sporo jest niedokładności“, albowiem „autor, niesiony często całkiem bezwiednie potęgą swojej imaginacyi, pędzi jak gdyby na skrzydłach wichru, ale co chwila utyka. Potykania się te — nie waha się powiedzieć Kaczkowski, — potrącanie się ustawiczne o historyę, o geografię, o gramatykę (!), o uczucie dobrego smaku (!), a nareszcie o prawdopodobieństwo, sprawiają nieprzyjemne wrażenie na ukształconego czytelnika . — Z owych „niedokładności“, które Kaczkowskiego tak mocno rażą,

wymienia on wszakże zaledwie parę i to zaiste bez większego znaczenia, zaznacza n. p., że Krzeczowski nie przeszedł do Chmielnickiego z rozwiniętymi sztandarami, lecz wzięty przez niego do niewoli, dopiero wówczas z nim się połączył, — że Czarniecki nie był wzięty w niewolę pod Żółtemi Wodami, tylko poszedł na zakładnika i bezprawnie zatrzymany został i t. p. Drobne to są „niedokładności“, nie zmieniające istoty rzeczy, a które zapewne artystycznymi względami były wymagane. Inaczej bowiem przedstawia się przejście do nieprzyjaciela „z rozwiniętymi sztandarami“, a inaczej cicha zdrada, dopełniona już w niewoli; inaczej wzięcie jeńcem takiego wodza jak Czarniecki na polu bitwy, a inaczej wiarołomne uwięzienie zakładnika. — Ale tego krytyk nie bierze wcale pod uwagę i w dalszym ciągu odmawia Siekiewiczowi nietylko „rozwagi, miary, zastanowienia“, ale nawet tego instynktu, który pozwala odróżnić to, co jest prawdopodobnem, od tego, co jest niemożebnem. „Otóż, — powiada Kaczkowski — tego instynktu, który nie jest czem innem, jak tylko głównym pierwiastkiem zdrowego rozsądku, w nim (w Sienkiewiczu!) nie widzimy, a z tego należałoby wnosić, że jego talent ma pewną niedostateczność wrodzoną. Nie jest to jeszcze wielkiem nieszczęściem — pociesza Kaczkowski Sienkiewicza, — bo tę niedostateczność można wypełnić pracą i wrodzony dar zdrowego rozsądku da się zastąpić zastanowieniem.“

I to pisze autor demonicznego, zgoła nieprawdopodobnego „Murdeliona!“ — Własnym oczom wierzyć się nie chce.

W dalszym ciągu zarzuca krytyk powieściom Sienkiewicza brak — dramatyczności. Wszystko traktuje „powierzchownie“ i „zewnętrznie“ tylko. Tak postępuje z ludźmi, tak też z historyą; duchowych sprężyn działających niema wcale; zamiast wypadków działają u niego przypadki i „cała akcya powieści, prócz historycznych wydarzeń, jest tylko szeregiem przypadków“.

A język Sienkiewicza? Kaczkowski przyznaje w jednem miejscu, że jest płynny i gładki, giętki i bogaty w wyrazy, — ale o kilkadziesiąt wierszy niżej już w nim dostrzega wady i „to bardzo rażące“, a gorszy się okrutnie „lokucyami“ Zagłoby. Zdaniem krytyka, obudzają one „wstręt i obrzydzenie“, a gdyby te „plugawe koncepty“ uznano za dowcipne, to „musielibyśmy sobie powiedzieć, że dobry smak już wcale u nas zaginął, że akademia nowego języka usadowiła się między straganami, a nasza piękna literatura stała się prostacką i gburowatą“. — „Każdy utwor literacki powinien być tak napisany, aby mógł być głośno czytanym w najwykwintniejszym salonie, — a czyż powieść „Ogniem i mieczem“ mogłaby być czytaną w jakimkolwiek salonie, a choćby tylko pomiędzy mężczyznami, którzy strzegą uczucia przyzwoitości i swoje uszy szanują?“

W rezultacie cóż zostało z tej tak głośnej, tak rozsławionej powieści „Ogniem i mieczem“? Może przecież jest w niej jaka myśl dziejowa? a przynajmniej myśl samego autora. „Szukamy jej wszędzie — powiada Kaczkowski, — lecz nie możemy znaleźć. Myśli dziejowej tam niema, a jeśli jest coś do niej podobnego, to jest tylko jej karykatura.“

Aby się dłużej nad tem nie rozwodzić, pomijamy już, w jak stronniczy sposób, z okiem widocznie zwróconem złośliwie do Krakowa, gdzie schwalono powieści Sienkiewicza „na umor“, — uzasadnia autor bolesne zarzuty, czynione powieści „Ogniem i mieczem“, „braku miłości, którą winniśmy matce, braku uszanowania, które należy się ojcu, braku współczucia, które należy się nieszczęśliwym, chociażby obcym, a cóż dopiero swoim, wreszcie braku zdania, sądu, odwagi i t. d. W obec tego wszystkiego powieść ta nie może być, zdaniem krytyka, uważana za skończone dzieło sztuki — jest zapylonem i krzywem zwierciadłem historyi“.

W obec takiego wyroku zdumienie ogarnia, czytając o kilka wierszy poniżej pochwalne zakończenie: Powieść „Ogniem i mieczem“, to dar, rzucony do narodowego skarbca, dar, który wydał „dźwięk jasny i brzmiący“, „dźwięk złota“, — a Kaczkowski, jeżeli „za swoje noce nieprzespane nad książkami i papierami i rozmaite inne mniej dobrowolne dolegliwości“ marzy o jakiej nagrodzie, to o tej tylko, aby się doczekał nowego rozkwitu pięknej literatury naszej, a w niej „jak najwięcej tak świetnych talentów, jak Sienkiewicza i jak najwięcej tak zajmujących utworów, jak powieść „Ogniem i mieczem“.

Doczekał się. Po tej powieści nastąpił i „Potop“ i „Pan Wołodyjowski“, cała promienna Trylogia, — a po niej „Krzyżacy“ i „Quo vadis“ i tyle innych arcydzieł, rozsławiających imię Polski i jej geniusza po całym świecie. Ale nie doczekał się Sienkiewicz uznania ze strony swego surowego krytyka, nie doczekał się cofnięcia, a przynajmniej złagodzenia wyroku na „Ogniem i mieczem“. Kaczkowski, jak to z licznych jego korespondencyj wynika, nie przestał sarkać na „wykrzywianie zwierciadła historyi“, na „język i styl“ Sienkiewicza. Dowiedziawszy się, że Wojciech Dzieduszycki wygłosił we Lwowie dwa odczyty o „Ogniem i mieczem“, pisze do Adama Krechowieckiego w liście z d. 21 października 1884 r.:

...„Chcąc koniecznie powiedzieć coś nowego, zaplątał się (Dzieduszycki) w zdania i rozumowania do tego stopnia oryginalne, że ich podobno nikt nie podzieli, kto choć jakokolwiek jest obeznany z zasadami estetyki i krytyki... Od stworzenia świata, aż po dzień 9 października b. r., jeszcze nikt o tem nie słyszał, że cztery tomy, napisane prozą, częstokroć nawet bardzo kulawą, a tu i ówdzie bardzo plugawą, które sam autor nazwał powieścią, są niczem innem, jak tylko poematem... Nad nowym rodzajem poematów, pisanych niedbałą prozą, już i głowy sobie łamać nie można.“ [1])

O innych powieściach Sienkiewicza sąd Kaczkowskiego nie był wcale łaskawszy. Oto n. p., co pisze o powieści „Bez dogmatu“ do prof. Liskego z Paryża, dnia 4 lutego 1891 r.: „P. Bogusławski widzi coś w powieści Sienkiewicza „Bez dogmatu“, czego przecie nikt inny nie znajdzie, choćby kto miał cierpliwość całe to niemoralne dzieło przeczytać, które jest tylko plagiatem (sic!) i rozwałkowaniem Goethego „Des jungen Werthers Leiden“, naturalnie bez głębokości i bez genialnej zwięzłości Goethego.“ [2])

Nie sama jednak tylko zawiść literacka była powodem tych zjadliwych krytyk Kaczkowskiego. Na dnie duszy autora „Teki Nieczui“ tlała zawsze żywa nienawiść do „Stańczyków“, którym przypisywał popieranie Sienkiewicza. To wszystko, co wychodziło z tego obozu, a zwłaszcza z ust lub z pod pióra hr. Stanisława Tarnowskiego, było zaś wyrazem powszechnego uwielbienia dla twórcy Trylogii, miało szczególną własność rozbudzania tej nienawiści. Zresztą przyznaje to sam Kaczkowski w liście do Adama Krechowieckiego. z Paryża, z d. 9 listopada 1885 r. W liście tym pisze: „Za Sienkiewiczem stoi cała falanga hałaśliwego i właśnie takiego stronnictwa, które dawniej nie lubiło mnie bez powodu, a teraz ma do tego powody.“ [3])

Nie wątpiąc zresztą nigdy w potęgę swego talentu i sądząc, że on jest zawsze w stanie zadać cios śmiertelny rozgłośnej sławie Sienkiewicza, postanowił Kaczkowski sam wystąpić w szranki na polu powieści historycznej, aby pokazać, jak taka powieść powinna być pisana, by nie była „zapylonem i wykrzywionem zwierciadłem historyi“.

Tu jednak jeszcze zaznaczyć należy, że już na lat kilka przed wydaniem „Teki Nieczui“ i przed tą krytyką dzieł Sienkiewicza,

[1]) Ms.
[2]) Zbiór Bibl. Ossolińskich, Nr. 4985. Ms.
[3]) Ms.

Kaczkowski przerwał długie milczenie i wydrukował w warszawskiej „Gazecie Polskiej“ powieść jednotomową p. t. „Graf Rak“, która następnie wyszła we Lwowie, nakładem F. H. Richtera. Nie wywarła ona żadnego wrażenia, a raczej wrażenie ujemne. Jest to powieść współczesna, z czasów przygotowującej się wojny włosko-austryackiej, o fabule niezmiernie niejasnej i zawikłanej, osnutej na tle dziejów niemal zupełnie wynarodowionej rodziny kroackopolskiej, Rakowskich. Pełno tu sytuacyj naciągniętych i nieprawdopodobnych, a przeciążonych astronomiczno-filozoficznemi rozważaniami głównego bohatera, owego Grafa Raka, człowieka bez żadnych zasad i uczuć i w nic niewierzącego, prócz w cudotwórczą potęgę materyi. Zkąd Chmielowski w swojej „Historyi Literatury Polskiej“ [1]) wysnuł wniosek, że „Graf Rak“ stara się udowodnić, „iż wyniki nauki nietylko nie przeczą nieśmiertelności duszy, lecz ją owszem stwierdzają“, pozostaje zagadką. W rzeczywistości bowiem „Graf Rak“ tej nieśmiertelności nieustannie zaprzecza aż do nagłej swej śmierci. Trudno również zrozumieć pochwały, jakich Chmielowski nie szczędzi tej powieści w swojej książce o „Naszych Powieściopisarzach“ [2]). Wedle krytyka myśl Kaczkowskiego w tej powieści „rozpatruje się w widnokręgach szerokich“, „talent jego skupił się i ześrodkował“... Graf Rak ma być „figurą znakomitą, pod pewnym względem — nawet skończoną“. Wszystkiego tego w tej powieści dopatrzeć się niepodobna. Owe „widnokręgi szerokie“, to chyba ów świat egzotyczny, w który nas autor wprowadza, świat obcych dyplomatów, generałów, ekscelencyi, bankierów. Wprowadza w ten świat, ale nas z nim nie zapoznaje. Przesuwa się on przed oczyma naszemi przez jasno oświetlone salony, w których rozmawia się po francusku — całemi kartkami, dość zresztą banalnie. Ich wnętrze duchowe pozostaje dla nas nieznanem i — mało interesującem. Talent Kaczkowskiego nietylko tutaj nie skupił się i nie ześrodkował, ale przeciwnie, dziwnie okazał się zimnym i nieproduktywnym. Postać główna „Grafa Raka“ nietylko nie wydaje się nam znakomitą i skończoną, lecz w całości chybioną, a w szczegółach nieznośnie nudną, narzucającą się czytelnikowi swoją astronomiczną wiedzą.

Co skłoniło Kaczkowskiego do napisania tej powieści? Na pewno orzec trudno, przypuścić wszakże można, że obudzone zajęcie dla badań astronomicznych ówczesnemi pracami Kamila Flam-

[1]) Tom VI., str. 115.
[2]) str. 407—416.

mariona, wczytywanie się w jego właśnie w roku 1878 w Paryżu wydany „*Catalogue des étoiles doubles et multiples en mouvement relatif certain*“, studyowanie następnie dzieł astronomicznych Herschela i filozoficznych Kanta, a mianowicie rozmaitych dociekań tego ostatniego, jak n. p. o Uranusie, odkrytym później dopiero przez Herschela, i o asteroidach pomiędzy Marsem i Jowiszem. To pewna, że w wywodach astronomicznych Grafa Raka jest wiele ustępów, niewątpliwie zaczerpniętych z dzieł Flammariona i Herschela, z jego rozpraw o kometach, oraz systemie słonecznym. To wszystko jednak czyni wrażenie niesmacznej pozy na erudycyę w astronomii, której nikt przecie uczyć się nie zechce z powieści, zresztą nudnie i rozwlekle pisanej.

Surowo skrytykowano tę powieść w „Słowie“ warszawskiem, przy sposobności oceny innych, późniejszych dzieł Kaczkowskiego, na co tenże w liście do Adama Krechowieckiego, z d. 25 lutego 1886 r., mocno się oburza: „Obskurus ten — pisze — ze „Słowa“ nie wie, że „Graf Rák“ był trzy razy (?) drukowany w Polsce, jest przetłumaczony na język niemiecki, a nawet ktoś zrobił zeń excerpt po francusku i czytał go tutaj (w Paryżu) w klubie astronomicznym, o czem mnie sam Flammarion listem zawiadomił.“ [1])

Bądź co bądź „Graf Rak“ utonął w niepamięci.

I znowu lat wiele zbiegło Kaczkowskiemu na innych, nie literackich zajęciach. Dopiero sława Sienkiewicza wcisnęła mu pióro do ręki.

I urodził się „Abraham Kitaj“, a po nim „Olbrachtowi Rycerze“.

W r. 1885, w Nr. 291 z d. 21 grudnia, rozpoczęła „Gazeta Lwowska“ w fejletonie druk „Abrahama Kitaja“, który następnie pojawił się w 2 tomach w wydaniu warszawskiem Gebethnera i Wolffa, w roku następnym. O tej powieści pisze sam autor w liście do naczelnego redaktora „Gazety Lwowskiej“, d. 24 października 1885 r.: „Powieść ta obejmuje obraz Rzeczpospolitej polskiej z lat 1683—1686. Jako materyał do niej posłużyły niektóre tradycye, które z tej epoki przechowały się do ostatnich czasów w Ziemi Sanockiej, tudzież familijne papiery, które po Krajewskich i Kitajgrodzkich dostały się do rąk Autora. Z wypadków historycznych przedstawione są w niej: Odsiecz Wiedeńska, obydwie bitwy pod Parkanami i nieszczęśliwa wyprawa Sobieskiego na Budziaki, zaś głównemi figurami są Król ze starszyzną wojskową, rodziny Fredrów, Borowskich, Dzierżków, Kitajgrodzkich i inne...“

[1]) Ms.

Zastrzega się wprawdzie Kaczkowski, że „nie było wcale jego zamiarem iść w zawody z głośnemi powieściami ostatnich czasów, które przedstawiając osoby i wypadki w ogniach bengalskich, obliczone są na zrobienie efektu, a dla których i krytyka jeszcze nie znalazła nazwiska, nazywając je to poematem, to epopeją“, — w dalszym jednak ciągu tego listu nie tai, że pragnął w „Abrahamie Kitaju“ okazać, jak się powinno pisać powieść historyczną. „Moja powieść — powiada — przedstawia w sposób realistyczny swój wiek, jakim był w samej istocie, i ludzi z krwi i ciała z ich wszystkiemi wadami, — a oprócz tego i wykład jest bardzo zwięzły, prawie kronikarski, albo pamiętnikowy, bez żadnych refleksyi, z krótkiemi opisami i bez naturalistycznej dysekcyi.“ [1])

W późniejszym liście pisze o tejże powieści:

„Ktokolwiek się zna na żywiołach, z których się tworzy obrazy, ten zaraz spostrzeże, że z tych wypadków, które w tę powieść objąłem, można było nakrzesać niezmiernie wiele scen straszliwych i olśniewających, a wszystkie zanurzyć w morzu krwi i oświecić ogniem bengalskim. — Dlaczegoby n. p. Prokop nie mógł być synem Hołubowskiego? dlaczegoby bracia Kitajgrodzcy nie mieli po szekspirowsku zetrzeć się kilka razy z sobą? dlaczegoby Kitaj nie mógł porwać Krzysi i schować jej u jakiej czarownicy na Węgrzech? Dlaczegoby Fredrowa nie mogła się kochać w Kitaju? dlaczegoby Mruczycha nie mogła być oddaną pod sąd i wziętą na tortury? Dlaczegoby Pietraszek nie mógł się w jakiś krwawy sposób poświęcić dla Rybki, albo dla wyratowania Mruczychy? i t. d., i t. d., z czegoby się wywiązało scen bardzo dramatycznych na sześć tomów, albo i więcej.“

Jeżeli nie skorzystał z tych sposobności Kaczkowski, chociaż mu „materyału nie brakło“, to jedynie dlatego, aby „dla efektu“ nie poświęcać prawdy, albowiem — dodaje — „nie w tem leży zasługa sztuki, aby dużo materyału zgromadzić, tylko w tem, aby zeń trafny wybór uczynić i przedstawić go w takiej mierze i takim porządku, jakich wymagają prawda psychologiczna i historyczna.“ [2])

[1]) Z listu do Adama Krechowieckiego. Ms.
[2]) List z Paryża, z d. 8 grudnia 1885 r. Ms.

Zatem bez „efektów i ogni bengalskich“, jakimi oświetla swoje obrazy Sienkiewicz, — „Abraham Kitaj“ miał być wzorem tego, czem być powinna powieść historyczna. Do tego samego przedmiotu wraca jeszcze w listach późniejszych kilkakrotnie. W jednym z nich [1]) pisze:

„Nie chciałbym, aby mnie porównywano z Sienkiewiczem, bo byłoby to zapewne dla mnie niedobrze, a może i dla niego. Obydwa piszemy historyczne powieści, ale każdy z nas pisze co innego i całkiem inaczej. Sienkiewiczowi idzie o to, aby uchwycił zewnętrzną postać pewnej epoki, co mu się przewybornie udaje, ale zresztą celem jego jest tylko zestawienie jak najwięcej zajmujących obrazów i o przedstawienie ich w jak najjaskrawszych kolorach, bez żadnego względu na ducha tej epoki, na prawdę historyczną, na stosunek tych obrazów do siebie i na rozmiary całości. Tak n. p. widzę z prospektu na jego powieść p. t. „Potop“, że chociaż już podobno dwa tomy wydrukowano, on jeszcze sam nie wie, ile tomów będzie zawierać całość.“

Kaczkowski postępuje zupełnie inaczej, a zapominając, co mu krytyka nie bez słuszności zarzucała, mianowicie: wadliwą najczęściej budowę powieści, rozwlekłość i wtrącanie zupełnie zbytecznych epizodów, — twierdzi:

„Mnie taki sposób pisania jest całkiem obcy. Ja nigdy nie zaczynam pisać, dopóki cała powieść nie jest wybudowana we wszystkich swych epizodach, toż nigdy w mojej powieści niemasz ani jednego epizodu, któryby nie był konieczną częścią składową całości i którąby można wyrzucić, nie zostawiwszy luki niezrozumiałej dla czytelnika. I mnie naturalnie wśród pisania wpada na myśl mnóstwo nowych epizodów, pokusa często jest wielka, aby je wkleić w tok opowiadania, ale ja nigdy takiej pokusie nie ulegam i zawsze poświęcam zbyteczne epizody z góry zakreślonemu gmachowi całości. Nie układam też nigdy moich obrazów na efekt, tylko w tym jedynym zamiarze, aby przedstawiły prawdę historyczną i psychologiczną, jestem bowiem zdania, że jeżeli mi się udało ducha epoki trafnie odgadnąć, pod jego natchnieniem zajmującą bajkę wymyślić i architektonicznie okrągłą całość zbudować, to wszelkie sztuczne oświetlenia mogą tylko zaszkodzić artystycznej wartości dzieła. Nareszcie w historycznej powieści nie chodzi mi tylko o odtworzenie zewnętrznej postaci danej epoki,

[1]) z Paryża, z d. 6 listopada 1885 r. Ms.

ale głównie o przedstawienie jej ducha i jej psychologicznych motywów, które w owym czasie powodowały ludzi do działania. Toż moję historyczne, a nawet i współczesne powieści nigdy nie podobają się wyłącznie temu albo owemu stronnictwu, nigdy nie będą przez jakąś polityczną frakcyę nad wszelką zasługę chwalone, bo niemasz w nich nigdy odnoszącej się do czasów dzisiejszych stronniczej tendencyi, niemasz wykrzywiania historyi dla przypodobania się jakiemuś stronnictwu, niemasz nawet przemilczania prawd historycznych ze względu na te lub owe tegoczesne stronnictwa. Jak Pan zatem widzisz, — czego nie wypowiedziałem w moim artykule o Sienkiewiczu, bo nie mogłem mu siebie przeciwstawić, — piszemy obydwa jedną i tę samą rzecz, ale całkiem inaczej.“

List ten istotnie jest ważnem uzupełnieniem krytyki Kaczkowskiego, wyjaśnia jej genezę i powody, dla których napisaną została. Kaczkowski zarzuca tu wprost Sienkiewiczowi „wysługiwanie się“ znienawidzonym przez autora „Teki Nieczui“ Stańczykom, przemilczanie pewnych niemiłych temu stronnictwu faktów, „wykrzywianie historyi“ *ad usum Delphini*, przeciwstawiając mu swoją rzekomą bezstronność, a zapominając, że nie było może pisarza, któryby tak widocznie, jak on, ulegał prądom chwili i przepajał swe powieści, zwłaszcza współczesne, uderzającą w oczy tendencyą, że wspomnimy tu tylko „Dziwożonę“, postacie Kamila i Drabika, „Żydowskich“ i Wichra, a nawet „Rozbitka“ z dysertacyami o szlachcie i ukłonem w stronę Feliksa Sobańskiego, głównego akcyonaryusza warszawskiej „Kroniki“, której redakcyę miał podówczas objąć Kaczkowski. Tendencya niewątpliwie była inna, niż ta, którą Kaczkowski w dziełach Sienkiewicza upatrywał, inne bowiem było tło i zakres inny tych utworów, ale zawsze istniała, a chwiejnością swoją zniechęcała nieraz rozmaite stronnictwa, zkąd poszło, że Kaczkowski nie znalazł oparcia w żadnem, gdy tego oparcia tak bardzo potrzebował.

Na podłożu tej animozyi do Stańczyków wybujała niechęć zawistna ku Sienkiewiczowi, którego talent olbrzymi w duchu uznać jednak musiał Kaczkowski. Pocieszał się wszakże przewidywaniem, że talent ten nie wyda spodziewanego plonu. Oto co pisze dalej w tymże liście do Adama Krechowieckiego:

„Co do Sienkiewicza, to pisząc do Pana prywatnie, powiadam otwarcie i szczerze, że jest to talent ogromny i *parfaitement de taille*, aby nas wszystkich powieściopisarzy sobą przywalić. Gdyby mu się to udało, to byłoby to wypadkiem bardzo szczęśliwym dla

naszej literatury, bo mogłaby się od niego, jak niegdyś od Mickiewicza, zacząć nowa epoka dla naszego piśmiennictwa. Ale niestety! nie można się tego spodziewać, bo mu do tego wiele brakuje. Ma tylko talent, ale nic więcej. Brakuje mu przedewszystkiem literackiego i artystycznego (sic!) ukształcenia. Jak widać z tego, co pisze, nietylko nie zna arcydzieł literatur zagranicznych, ale nawet nie ma o tem pojęcia, jaka ich wartość. Przeczytał głośniejsze polskie i zagraniczne powieści i na tem koniec. Ścisłe nauki nigdy mu się nawet nie przyśniły. Tak samo nie zna polskiej historyi z nauki i odgaduje ją tylko instynktem (!). Niema też w nim patryotycznej miłości dla dziejów polskich (!), tylko artystyczny zapał do historycznych obrazów. Stąd idzie niesumienne (!) posługiwanie się historyą do tworzenia artystycznych efektów, zupełnie tak samo, jak to robią malarze dekoracyi dla teatrów. Co gorsza, nie ma żadnych zasad ani moralnych, ani politycznych, instynktowy zwolennik szkoły naturalistycznej, stoi na czele klerykalno-arystokratycznego dziennika. Lecz co najgorsza, to to, że, jak mi piszą z Warszawy, jest przepełniony tem przekonaniem, że jego sława literacka jest zrobiona i nie potrzebuje się troszczyć o to, co o nim krytyka pisze. Wszystko poprzednie dałoby się jeszcze naprawić, bo człowiek wszystkiego się może nauczyć, ale kto powie, że się niczego więcej uczyć nie potrzebuje, z tego z pewnością nic więcej nie będzie nad to, co jest. A to, co jest, nie nada nowego kierunku naszej literaturze."

Ustęp ten pisany cały tą samą metodą, co i znana nam krytyka. Najpierw pochwała, a w ślad zatem staranne jej zamazywanie, i to w ten sposób, aby nic z niej nie zostało, a raczej, aby miejsce pochwały zajęło stanowcze potępienie.

Czy jednak „Abraham Kitaj" mógł wartością swoją stanąć w szranki z utworami Sienkiewicza z jakimikolwiek widokami zwycięstwa? Już sam autor przewidywał, że powieść jego „może znaleźć czytelników, ale nie sprawi żadnego wrażenia" [1]; przyznawał też, że „jest w tem wielka odwaga, iż występuje z historyczną powieścią w takiej chwili, gdzie publiczność nasza znajduje się pod świeżem wrażeniem olśniewających obrazów Sienkiewicza, odwaga tem większa, że za nim stoi cała falanga hałaśliwego stronniatwa" [2]. Chcąc jednak na przekór owym „olśniewającym obra-

[1]) List do Adama Krechowieckiego z Paryża, z d. 24 października 1885 r. Ms.

[2]) List do tegoż z Paryża, z d. 9 listopada 1885 r. Ms.

zom", postawić, jak sądził, bezwzględną „prawdę historyczną i psychologiczną", pozbawił tę prawdę wszelkich istotnych żywiołów artyzmu, pisał suchym, kronikarskim niemal stylem, zachował wprawdzie miarę w układzie i grupowaniu obrazów, ale tę miarę posunął tak daleko, że tryumfatora z pod Wiednia, Sobieskiego, przedstawił w niezwykłem pomniejszeniu, kładąc główną wagę nie na jego geniusz militarny, lecz na wady i niedostatki człowieka, na brak politycznego zmysłu i monarszej godności. Przyznaje wprawdzie, że był to „żołnierz, nie mający sobie równego w swoim czasie", — lecz równocześnie podnosi, że był „nieudolnym mężem stanu, zręcznym czasami w kabałach, lecz nie posiadającym ani umiejętności badania przyczyn, ani daru przewidywania odleglejszych wypadków, ani stałości w raz powziętych zapatrywaniach... Pod jego berłem Polska zalśniła kilkoma świetnymi wojennymi czynami, ale w przeciągu lat dwudziestu pod wszystkiemi innemi względami daleko niżej upadła, niżeli przed nim w biegu lat kilkudziesiąt. Władza królewska, której on nigdy wyżej podnieść nie umiał nad urząd równego wszystkim szlachcica... straciła za niego ostatki majestatycznego uroku i wszelką monarchiczną powagę".[1])

Nawet Odsiecz Wiedeńska straciła w przedstawieniu Kaczkowskiego swą bohaterską barwę. Zeszła do znaczenia niemal epizodu, w którym główną rolę napadu na namiot Wezyra odegrała chorągiew Zwierżchowskiego i awanturnicze wysunięcie się naprzód zapalczywego Kitaja, — przyczyną główną wiktoryi stał się paniczny popłoch wśród Turków...

Nieszczególnie też wygląda w tem przedstawieniu rycerstwo polskie, owi „szlachcice-żołnierze, ci towarzysze, którymi się po największej części okrywają nasze chorągwie". Biją się wprawdzie walecznie, ich to impetom zawdzięcza się wszystkie zwycięstwa, ale to jedyny pożytek. Są to wichrzyciele, zasilający wszelakie związki wojskowe i konfederacye, procesowicze i — zbóje, „głupi a burzliwi, ciemni a srodze ambitni, bawiący się obżarstwem i opilstwem; domy ich bywają karczmami dla pijaków i łuszczybochenków... Taki wyrok na „szlachciców-żołnierzy" wydaje mądry statysta a człowiek zacny, chociaż nieco dziwak, imćp. Borowski [2]), którego córka, Krzysia, poślubiła prawego rycerza, Rafała Kitajgrodzkiego, lecz skrycie rozmiłowała się w jego bracie przyrodnim, bohaterze powieści, owym awanturniczym Abrahamie Kitaju. Jest

[1]) „Abraham Kitaj", t. II., str. 371.

[2]) Tamże, str. 107, 108.

to jakiś rodzaj Raubrittera, który ze swą bandą zbrojną pali wsie i miasteczka i rabuje, nie chcąc widzieć różnicy pomiędzy takim hersztem bandy zbójeckiej, a rotmistrzem królewskim, który na czele żołnierzy wojnę toczy z nieprzyjacielem. Na tym jednak awanturniku skupia się, jako na bohaterze powieści, cała uwaga czytelnika i cały artystyczny wysiłek autora. Autor widocznie pragnął obudzić w czytelniku dla Kitaja współczucie, że pomimo swego istotnego męstwa i dzielności, nie mógł znaleźć w Polsce zadowolenia swej ambicyi, nie zdołał też posiąść ukochanej i rozmiłowanej w nim Krzysi, która pozostała wierną jego bratu, Rafałowi, i nie dała się Abrahamowi porwać, jakkolwiek ku niemu wyrywała się jej dusza. Czy takie współczucie zdołał autor w czyjemkolwiek sercu obudzić — wątpić się godzi, a raczej należy się dziwić fenomenalnemu wprost uczuciu zacnej Krzysi, która mając szlachetnego męża, zwraca się całem sercem ku ogłoszonemu za infamisa i banitę Kitajowi i po jego niezaszczytnej śmierci w pojedynku z kasztelanem Fredro, porzuca zrozpaczonego męża i synka i chroni się przed dręczącem ją „widmem“ Abrahama w ciszę klasztorną...

Już samo wysunięcie na plan pierwszy, w tak świetnej dla rycerstwa polskiego epoce, takiego awanturnika-zbója, jak Abraham Kitaj, jest dziwnym pomysłem, obliczonym chyba na to, aby przyćmić bohaterstwo tego rycerstwa, a wykazać wybujałość nieokiełznanego temperamentu polskiego, wcielonego w takich Łaszczach i Kitajgrodzkich, których ostatnim potomkiem miał być ów „Mąż szalony“, bohater jednej z najlepszych powieści Kaczkowskiego z czasów młodości.

Czy „zwierciadło historyi“ w „Abrahamie Kitaju“ jest proste czy „krzywe“, o tem rozstrzygać nie naszą jest rzeczą, — to jedno podnieść możemy, że jak z „Grafa Raka“ nikt się nie będzie uczyć i nie nauczy astronomii, tak z tej powieści z czasów Jana III. nikt także nie poweźmie należytego wyobrażenia ani o tym wielkim wodzu, ani o jego epoce. Wyniesie zaś niewątpliwie wrażenie ujemne, niemal przygnębiające... Od dzieła sztuki czegoś innego wymagać można i potrzeba. Wymagać można pokrzepienia na duchu, budzenia wiary w siłę niepożytą narodu, miłości rzeczy ojczystych, nadziei w lepszą przyszłość, której zarody tkwić musiały w tej przeszłości. Nic z tego nie daje czytelnikowi „Abraham Kitaj“. Inaczej przecież sądził o narodzie swoim Kaczkowski, gdy kreślił w r. 1862 w celi więziennej entuzyastyczną niemal pochwałę niepożytej jego siły w najcięższych nawet chwilach przed i porozbiorowych. A właśnie w takim historyozoficznym poglądzie byłoby stosowniejsze może miejsce na krytykę wad i ułomności społecznych, — niż w powieści, przeznaczonej dla warstw szerszych, szukających w niej nie rozważań krytycznych, lecz obrazów, chociażby oświetlonych „ogniem bengalskim efektów“. Tych efektów, na przeków Sienkiewiczowi i owej „hałaśliwej falandze“, rzekomo za nim stojącej, wystrzegał się pilnie Kaczkowski i stworzył rzecz zimną, suchą, nie wolną od zgoła zbytecznych dygresyi i rozwlekłości. Podniesione na szczyt najwyższy przez Sienkiewicza bohaterstwo rycerstwa polskiego, zniknęło w tej powieści bez śladu; zajęło jego miejsce jakieś awanturnictwo zbójeckie, a to rzekomo w imię „prawdy historycznej i psychologicznej“!

Krytyka przyjęła „Abrahama Kitaja“ w ogóle zimno, nie wchodząc głębiej w treść rzeczy; niektóre jednak pisma zwróciły uwagę na powyższą tendencyę, ubliżającą rycerskości narodu, co Kaczkowski, w liście do hr. Edmunda Krasickiego, nazywa „przewrotnością krytycznego sumienia“ i żali się, że „Jezuici w „Przeglądzie Powszechnym“ nazwali go za „Abrahama Kitaja“ nieprzyjacielem szlachty“, które to zdanie „potwierdził Tarnowski w swoim nadwornym „Przeglądzie Polskim“. — chociaż on, Kaczkowski, „jak najsumienniej przedstawił Sobieskiego i jego czasy“ i chociaż „demokracya przez lat dwadzieścia kamienowała go za to, że był pisarzem szlacheckim“.[1])

Zaznaczyliśmy już powyżej powody, dla których Kaczkowski w żadnem istotnie stronnictwie nie miał i nie mógł znaleźć poparcia· — Obóz demokratyczny nie mógł mu darować Kamila z „Dziwożony“ i „Żydowskich“, nie mógł mu darować, co w swych notatkach rękopiśmiennych zarzuca mu K. Estreicher: „pięcia się do panów“, — między nim a stronnictwami zachowawczemi stanął krwawy pamflet polityczny „Teka Nieczui“. Nie lubiono go powszechnie, ztąd jednak nie wynika, aby krytyka „Abrahama Kitaja“ była stronnicza, raczej stronniczym i niesprawiedliwym był Kaczkowski w przedstawieniu bohaterskiej epoki Jana III.

Inne krytyki Kaczkowski lekceważył. Ukazała się mianowicie recenzya Chmielowskiego w „Ateneum“ i Korotyńskiego w „Gazecie Warszawskiej“. Z obu tych krytyk — pisze Kaczkowski — „widzę, że u nas nawet krytycy i estetycy są jeszcze pod wpływem obrazów zalanych krwią i oświeconych czerwonym płomieniem, a dla opowiadań spokojnych, przedstawiających przeszłość z na-

[1]) List z Wildbad (Würtemberg), z d. 17 sierpnia 1887 r. Ms.

ukową ścisłością, zmysłu nie mają. Że smak publiczności popadł w taką aberracyę, temu się dziwić nie można... ale że krytycy, których obowiązkiem jest stać na straży dobrego smaku i wyższe cele wskazywać sztuce i literaturze, nie idą za tymi wyższymi prądami, które dzisiaj panują w Europie zachodniej, tylko chwilowemu smakowi publiki schlebiają, to jest dowodem, że u nas jeszcze wiele lat, a może i nowych pokoleń potrzeba, nim umysł publiczny podniesie się nad ten niski poziom, do którego go przygniotło rozbicie, spowodowane ostatniem powstaniem".[1])

W r. 1887 zaczęła ukazywać się w odcinku „Gazety Lwowskiej" nowa powieść Kaczkowskiego p. t. „Olbrachtowi Rycerze", która następnie (1889) wyszła w książkowem wydaniu we Lwowie w 3 tomach, nakładem Gubrynowicza i Schmidta. — Widzieliśmy już poprzednio, że o takiej powieści z czasów Olbrachta marzył Kaczkowski oddawna, jeszcze w epoce młodzieńczej, i zbierał do niej materyały. W jego rękopiśmiennej puściźnie znajdujemy też rozliczne notatki, odnoszące się do panowania Olbrachta. To też ta powieść, zwłaszcza w pierwszych dwóch tomach, ma piętno młodzieńczej jeszcze niemal werwy. Nie braknie tu nawet ani „ogni bengalskich", ani „efektów" w kreśleniu szczególniej scen obyczajowych, a z tych wiele nie nadaje się do „głośnego czytania w wykwintnym salonie", jak to zarzucał Kaczkowski Sienkiewiczowi. Odstąpił więc tu nieco od głoszonych z taką emfazą zasad, a raczej może nie odstąpił, lecz owe sceny obyczajowe i charakterystyka niektórych osób napisane były dawniej, przed laty, zanim jeszcze te surowe zasady zastosowane być mogły do Sienkiewicza i znienawidzonej „falangi", stojącej rzekomo za nim.

„Fabuła tej powieści — jak sam autor w liście do Adama Krechowieckiego przyznaje[2]) — dawno już wymyślona." Materyały jednak zbierał do ostatnich czasów i studyował epokę, wczytując się w kroniki i dzieła niemieckie i francuskie. „Praca to — pisze — nie zabawna, bo książki te pisane starym owoczesnym językiem i współczesną ortografią, a owoczesna łacina także nikogo nie rozweseli. Ale przebrnę ten las do końca".[3]) — Przejrzał też w tym celu wszystkie polskie powieści, bliskie tych czasów, ale znalazł w nich tylko — jak powiada — „bezstrojną mieszaninę, a muzyki żadnej, odpowiedniej duchowi owego czasu; przeglądam teraz powieści zagranicznych pisarzy z epok pobliskich i są tam bardzo piękne rzeczy... Muszę przyznać, że i polscy pisarze, którzy sięgali mniej więcej w te czasy, miewali tu i ówdzie szczęśliwe natchnienia, być może, że i materyały spożyli, ale widocznie ich nie strawili i nie mieli cierpliwości przeżuwać ich tak długo i tak uporczywie, aż pókiby się z nich nie utworzył materyał ich własny, a z tego materyału utwor ich własny od początku do końca".

„Moja powieść" — pisze znów w liście z Paryża z dnia 11 października 1886[1]) — obejmuje całą Rzeczpospolitę ze wszystkimi ówczesnymi Stanami i społecznemi warstwami, jaką była w ostatnich latach XV. w. Jest powieść Miłkowskiego z tych samych czasów p. t. „Za króla Olbrachta", ale Miłkowski, mimo niezaprzeczonego talentu, nie przestudyował tej epoki w źródłach i pomieszał w niej figury z rozmaitych wieków, tak samo zresztą, jak to robi Sienkiewicz w swych powieściach. Ja starałem się postępować pod tym względem z najskrupulatniejszą dokładnością i wyobrażam sobie (może zresztą niesłusznie), że z lepszem prawem, niżeli to zrobił Scheffel w swojej przedmowie do Eckharda, mogę powiedzieć, że żadna z moich figur, o ile jest przedstawiona jako typ swego wieku, nie da się o dwadzieścia lat przesunąć ani w tył, ani naprzód. Sądzić o tem będzie umiejętna krytyka, jeżeli ją mieć będziemy do tego czasu, bo ta, jaką mamy w czasie bieżącym, razem z Chmielowskim, nie jest w stanie osądzić pod tym względem dokładnie historycznej powieści: ci Panowie sami nie znają historyi ze źródeł, jakże mogą rozpoznać, czy ten lub ów typ jest z tego wieku?"

„Gazeta Lwowska" rozpoczęła druk „Olbrachtowych Rycerzy" d. 1 sierpnia 1887 r. i dając wielkie fejletony, niemal bez przerwy, ukończyła tę powieść z ostatnim grudnia tegoż roku. Obudziła ona znacznie większe niż „Abraham Kitaj" zajęcie, na co też bezwzględnie zasługiwała nietylko barwnością obrazów, lecz i tem, że dawała, o ile to być może, wierne przedstawienie obyczajów i życia w tej odległej epoce. Kaczkowski istotnie nie szczędził studyów i objął rzeczywiście w swej powieści wszystkie stany Rzeczypospolitej. Pięknym, szlachetnym przedstawicielem rycerstwa polskiego jest rotmistrz królewski Gniewosz, nieco awanturniczymi postaciami są Olizar Kierdejowicz, a zwłaszcza na poły Polak, a na poły Francuz, Kergolaj; na tle epoki maluje się wyraziście dzielny,

[1]) List do Adama Krechowieckiego z Paryża, z d. 28 listopada 1886 r. Ms.
[2]) List z Gastein, z d. 31 maja 1886 r. Ms.
[3]) List z Karlsbadu, z d. 15 maja 1886 r. Ms.

[1]) do Adama Krechowieckiego. Ms.

lecz bardzo nieszczęśliwy rotmistrz Lenard Suchywilk Grzymalita, Wilczkiem zwany. Stan mieszczański godnie reprezentuje zacny stary Ormianin Epaminondas Arzebok Chiaao, zwany Kijasem, a przy nim humorystycznie zabarwiony włodarz jego, Kundrat. Postać króla, Jana Olbrachta, rysuje się dość blado, mniej więcej jednak zgodnie z tradycyą, jaka po nim została. Wspaniałomyślny, hojny, dobrego serca, mający wielkie plany, z którego jednak żadnego przeprowadzić nie zdołał, stał się, ulegając radom Kallimacha, niepopularnym w narodzie szlacheckim, a swawolnem, rozpustnem życiem dawał niejednokrotnie powód do zgorszenia. Nieszczęśliwa wyprawa wołoska znajduje w powieści dość blade, chociaż historycznie wierne odbicie, jakkolwiek i tu także niezbyt plastycznie występuje bohaterstwo jazdy królewskiej, która dzielnością swą ocaliła znaczną część chorągwi ze zdradzieckiego pogromu.

Brat królewski, kardynał Fryderyk Jagiellończyk nie znalazł łaski u Kaczkowskiego. Przyznaje mu wprawdzie gorliwość a raczej skrupulatność w załatwianiu spraw kościelnych, lecz opiera się, zdaje się, głównie na relacyi Miechowity, pisanej po za granicami kraju, której bezpodstawność, na podstawie źródłowych badań, wykazali ks. Korytkowski i Ign. Polkowski. W powieści Kaczkowskiego w scenie głównej, pomiędzy Fryderykiem a Wilczkiem, kardynał przedstawia się czytelnikowi jako pijanica i rozpustnik, a przecież był to książę wielkiego rozumu i zasług, który odegrał pierwszorzędną i zaszczytną rolę w Polsce tak na polu kościelnem, jak i politycznem. W czynach swych okazywał się zawsze wielkim miłośnikiem Ojczyzny, którą za Olbrachta, w czasie jego wypraw wojennych, rządził przezornie i rozumnie, a za Aleksandra, zajętego sprawami litewskiemi, miał władzę królewską z prawami monarszemi (tytułem Majestatu). Niechętny wyprawie wołoskiej, gdy Olbracht zdecydował się na nią, nie szczędził jednak ofiar dla poparcia brata w tem ryzykownem przedsięwzięciu. On to później, zapewniwszy po śmierci Olbrachta wybór drugiego brata, w. ks. Litewskiego Aleksandra, przeprowadził — i to jest jego największa zasługa — odnowienie Unii, „aby był jeden ród, jeden naród, jedno braterstwo“, on to wreszcie usilnie zawsze starał się o to, aby wzmocnić i utrzymać związek pomiędzy społeczeństwem a władzą monarszą. Jako dostojnik kościelny dbał ściśle o odbywanie nabożeństw, zwoływał niemal co roku synody prowincyonalne i dyecezyalne, założył szpital w Gnieźnie, uposażał hojnie kościoły gnieźnieńskie i krakowskie. W każdym więc razie zasługiwał na inne

przedstawienie w powieściowym obrazie, gdzie widzimy go z kielichem w ręku, ledwie trzymającym się na nogach, pośród orgii pijackiej.

Lepiej znacznie przedstawia duchowieństwo ówczesne eremita, mnich-rycerz, z rodu Kmitów, O. Chryzostom. — Prowadzący życie kontemplacyjne, używający sławy „cudotwórcy“, szukający zawsze natchnienia, czy też objawienia w modlitwie, wymową swą ognistą, poruszający tłumy, ginie wreszcie śmiercią bohaterską, upominając niesfornych, pod Suczawą. Jako opiekun nieszczęśliwej Jagienki Kmitównej okazuje się wszakże niemiłosiernie nieugiętym i zmusza ją, wbrew jej woli i sercu, oddanemu Wilczkowi, do poślubienia dzielnego wprawdzie, lecz niekochanego Gniewosza, czem staje się powodem jej życiowej katastrofy i śmierci, a unieszczęśliwia na zawsze i wykoleja Wilczka.

Najbardziej jednak charakterystyczną postacią w powieści jest rzekomy ksiądz Wara, zwany Białym. Nie jest on, zdaje się, księdzem, ale księdza udaje — z powodzeniem. Kłamca zawołany, odbywa niby pielgrzymki do Ziemi Świętej, a czas spędza na pijatyce w gronie szlachty i nieszlachty; żyje z oszukaństwa i pospolitej kradzieży. On to, gdy Gniewosz, wzięty do niewoli pod Suczawą, uważany jest za zmarłego, daje za pieniądze, w adwencie, ślub Wilczkowi z Jagienką, która zbyt naiwnie wierzy w legalność tego ślubu, a gdy po roku spostrzega wracającego z niewoli Gniewosza, rzuca się w oszołomieniu, wraz ze swem dzieckiem, w niezgłębioną przepaść pod zamkiem Wilczka w Tustaniu.

Bądź co bądź postać owego Wary jest pełna życia i sama sobą ożywia powieść całą. Zachodzi tu jednak pewne nieporozumienie. W „Przeglądzie Polskim“ z r. 1889 pojawiła się krytyka, czyli, jak powiada Kaczkowski [1]), „jakieś pensum, napisane przez jakiegoś studenta *par ordre du Mufti* [2]), w którem oprócz braku plastyczności obrazów zarzucono, że „figura Wary jest ukradziona z jakiejś niemieckiej powieści“. Krytyk ten — bardzo niegrzecznie przez Kaczkowskiego tu nazwany — „a zarazem i Mistrz jego (to jest Stanisław hr. Tarnowski) nie wiedzą, że Xandz Byali, recte de Wara, jest historyczną (?) figurą, o którego istnieniu jest aż nadto śladów rękopiśmiennych w archiwach, a nawet w Aktach grodzkich i ziemskich Sanockich, wydawanych przez Liskego. Ja

[1]) List do Adama Krechowieckiego z Paryża, z d. 10 kwietnia 1889 r. Ms.

[2]) Oczywiście Stan. Tarnowskiego.

miałem materyały do życia Wary. Kergolaja i Kmity z archiwów mego dawnego przyjaciela p. Edmunda Krasickiego, rezydującego na zamku Liskim, który chociaż 80-letni własnoręcznie mi je z oryginałów przepisał. *Aber grosse Geister genirt das nicht,* p. Tarnowski obwinia mnie lekkiem sercem o plagiat."

Mamy przed sobą list Kaczkowskiego do Edmunda hr. Krasickiego, pisany z Wildbad d. 17 sierpnia 1887 r., w którym, zawiadamiając go, że druk „Olbrachtowych Rycerzy" rozpoczął się już w Gazecie Lwowskiej", dziękuje mu za przysłane w swoim czasie „wyciągi z aktów Kmitowskich". O Kergolaju i owym księdzu Białym niema tam wzmianki. — Natomiast w aktach sanockich grodzkich i ziemskich wspomniani są kilkakrotnie Chrzistko (Krystyan) de Wara i Mikołaj Xandzbyali de Wara, pomiędzy rokiem 1441 do 1447. Nazwisko to, a raczej przezwisko Xandzbyali, pisane jest rozmaicie: Kxansbyali i Kxandzbyali, zawsze w jednym, niepodzielnym wyrazie. I tak n. p. w aktach ziemskich sanockich z r. 1445 czytamy: „Nobilis Nicolaus alias Kxandzbyaly". W tym roku ów Kxandzbyaly był żonaty i tej żonie swojej, „Generose Katherina" zapisał „racione dotis et dotalicii quadraginta marcas comunic pecunie super medietate omnium suorum bonorum hereditariorum" [1]). To już samo dowodzi, że ów Kaczkowskiego ksiądz Biały księdzem wcale nie był i w Sanockiem nie mógł odgrywać nawet roli księdza, powszechnie bowiem było wiadomem, że miał żonę, a z nią syna Mikołaja. — W r. 1447, t. j. jeszcze nietylko przed elekcyą, lecz nawet przed urodzeniem Olbrachta, ów Kxandbyaly już nie żył, wówczas bowiem w aktach sanockich występuje: „Generosa Katherina relicta Kxandzbyali cum Nicolao filio suo" [2]). A w powieści Kaczkowskiego ów ksiądz Biały żyje, działa, śluby daje i okłamuje wszystkich jeszcze po wyprawie wołoskiej (1497), t. j. w lat pięćdziesiąt po śmierci Kxandzbyalego.

Z tej niedokładności w datach nie czynimy bynajmniej autorowi „Olbrachtowych Rycerzy" zarzutu, zwłaszcza, że trudno nazwać owego Kxandzbyalyego — jak to czyni Kaczkowski — „historyczną" postacią, w historyi bowiem nie zapisał on swego, zresztą nieustalonego jeszcze, nazwiska, występuje tylko w aktach sanockich przy załatwianiu spraw familijnych i majątkowych. Brzmienie jego nie nazwiska, lecz raczej przezwiska, które bezpodstawnie dzieli Kaczkowski na dwa wyrazy, poddało autorowi prawdopodobnie myśl zrobienia z niego księdza, wcale nie „białego", bo złodzieja i oszusta, a choćby nawet przytem korzystał z niemieckich czy innych źródeł, o to także mniejsza; dość, że stworzył postać charakterystyczną i zajmującą, a mniej więcej przystosowaną do epoki.

[1]) Akta grodzkie i ziemskie, t. XI., str. 252.
[2]) Tamże, str. 294.

Że Kaczkowski korzystał przy tworzeniu tej powieści ze źródeł obcych, to nie ulega wątpieniu. Wszystko to, co się dało przystosować do Polski Olbrachtowej z dzieł: Büschinga, Klübera, z pamiętnika Hansa von Schweinichen i innych, to spożytkował w swej powieści. Korzystał też niewątpliwie, zwłaszcza co do ubiorów, broni, igrzysk rycerskich, turniejów, festynów, z dziełka Antoniego de La Salle p. t. „L'Hystoyre et plaisante cronicque du Petit Jehan de Saintré". — które jest opowieścią rycerską, mającą służyć ku instrukcyi młodych rycerzy, a wydaną w wieku XV.

Korzystał też niemało z ustnych podań. Zamek Kmitowski w Sobniu — jak sam przyznaje w liście do hr. Edmunda Krasickiego z Wildbad, z d. 17 sierpnia 1887 r.[1]), — opisał z fantazyi, według kronikarskich wskazówek o takich zamkach w Polsce. „Charakter Stanisława Kmity — dodaje — skoncypowałem z niektórych wzmianek o nim, jakie znalazłem w Aktach grodzkich i ziemskich". Mówiąc nawiasem, wzmianek tych jest bardzo niewiele i nie dają wyobrażenia o charakterze człowieka. Z legend i opowiadań starych ludzi o zamku Sobieńskim wziął autor główną niemal osnowę powieści, a mianowicie szczegóły o wydaniu przymusowem Jagienki Kmitównej, rozmiłowanej w Wilczku, za Gniewosza. „Opowiadał mi także — pisze Kaczkowski — podobne bajki jenerałowicz Rzuchowski i Wolski. Zastosowałem to do ducha czasu, jak go wyrozumiałem z kronik współczesnych." W szczegółach „o zamku Tustań — twierdzi autor — i mieście Tustaniu (jedyne miasto polskie, które zniknęło bez śladu) jest bardzo wiele prawdy; legenda zaś o rycerzu, mieszkającym na zamku Tustańskim, i o zniszczeniu zamku, w rozmaitych wersyach do dziś dnia istnieje między ludem tamtejszym. Mnie ją opowiadała w r. 1850 pani Pietruska w Łubieńcach, matka Teofila i Badeniowej. Pisał zaś o niej Mikołaj Przedrzymirski z Maćkowic w broszurze z tegoż samego roku, jednak dziś bardzo rzadkiej." [2])

[1]) Udzielony mi łaskawie przez hr. Ignacego Krasickiego. Ms.
[2]) „Truskawiec z okolicami" opisał Mikołaj z Maćkowic. Poznań, 1850. Str. 32.

To zniszczenie obronnego i silnie zbudowanego „ze skały i kamienia“ zamku przez burzę z piorunami, bardzo nieprawdopodobne, przedstawione bez należytej plastyki przy końcu powieści, nie wywiera też należytego wrażenia i wydaje się tem nieprawdopodobniejsze. W tym elementarnym pogromie ginie Wilczek, na poły już oszalały po tragicznej śmierci Jagienki, a z którym niewiadomo, co było dalej robić, i ów Kxandzbyały, także już zgoła niepotrzebny, o który raz przecie nie skłamał, ginąc pod walącymi się murami zamku. Z pozostałych przy życiu — a jest ich bardzo niewielu — bohaterów powieści, główny niejako bohater, Gniewosz, poślubia w końcu ukochaną oddawna Formozę Murysonównę, nieszczęśliwą małżonkę syna kupca ormiańskiego Kijasa, Tigranesa, który okrutną śmiercią zginął na murach Suczawy. Włostek, syn kmiecy, poślubia Ofkę, córkę dzikiego Biłowusa, a nieszczęsną ofiarę namiętności Wilczka, wreszcie Kundrat, włodarz Kijasa, żeni się z piękną a zalotną Pachną, która, jak przed ślubem, tak i po ślubie, zdradza go z rozmaitymi, nawet z królem Olbrachtem, a ostatecznie z „cavaliere di gran Grido“, Kergolajem, który jako „valeureux et courtois chevalier, mais grand trompeur des dames“, poszedł zapewne dalej rozbijać się po świecie, jeżeli go Kundrat w przystępie zazdrości o żonę przed tem nie uśmiercił.

Tytuł powieści jest wybrany właściwie, istotnie bowiem niema tu, ściśle biorąc, jednego bohatera, — bohaterem jest rycerstwo polskie, owi „Olbrachtowi Rycerze“, przedstawieni bynajmniej nie w heroicznych blaskach, wywierający nawet chwilami ujemne wrażenie, zwłaszcza w porównaniu z mieszczaństwem, zacnem jak Daszkiewicz, oświeconem a nawet uczonem jak Kijas, studyujący Platona i zagłębiający się w zagadnienia filozoficzne.

W ciągu druku „Olbrachtowych Rycerzy“ w „Gazecie Lwowskiej“ pisał Kaczkowski o swym własnym utworze, co następuje: „Powieść ta sprawia na mnie wrażenie, jakoby jej wykład był zanadto szeroki, „breit geschlagen“, jak mówią Niemcy. Miałem wszakże do tego dwa powody: jeden ten, że krytycy „Kitaja“ zarzucili mi prawie jednogłośnie, że jego wykład jest zanadto ścisły, — a drugi ten, że chciałem dać szczegółowy obraz tej epoki, naszej wielkiej publiczności, prawie całkiem nieznanej.“ [1])

W każdym jednak razie i cokolwiek możnaby zarzucić temu utworowi, jest to powieść daleko lepiej, niż inne Kaczkowskiego,

[1]) List do Adama Krechowieckiego z Paryża, z d. 26 października 1887 r. Ms.

zbudowana, a dająca istotnie żywy obraz współczesnego życia, obyczajów i kultury. — Plan główny, a może nawet główniejsze ustępy tej powieści, skreślone były niewątpliwie w latach dawnych, bo, jak to, na podstawie własnego listu Kaczkowskiego, wykazaliśmy, jeszcze w r. 1853, — ale samo opracowanie całości niemało wymagało trudu. „Pisanie takich rzeczy — wyznaje autor w cytowanym już liście do hr. Edmunda Krasickiego — po 61 roku życia już skończonym, nie jest zabawką, jak niegdyś za młodu. Ale chciałem napisać coś z tych czasów, aby to było zgodne z historyą, którą dziś przez lenistwo lekceważą powieściopisarze, a krytyka jeszcze im do takiego świętokradztwa ochoty dodaje. Dziś u nas świat przewrotny.“

Nie obeszło się więc i przy tej okazyi bez docinku w stronę Sienkiewicza i owej „falangi“, stojącej rzekomo za nim.

X.

(Ostatnie powieści: „Wasi Ojcowie“. — Rozbiór tego utworu. — Oburzenie Kaczkowskiego na artykuł H. Lisickiego o gen. Chłapowskim. — „Zaklika“. — Rozbiór tej powieści. — Rozprawa „O romantyzmie“. — Sprzeczne zdania Kaczkowskiego o Piotrze Chmielowskim i Stanisławie hr. Tarnowskim. — Zmiana opinii o H. Lisickim. — O Orzeszkowej. — List Kaczkowskiego o niej do Z. Sarneckiego. — List Orzeszkowej o stosunkach literackich. — Kaczkowski o Leonie hr. Pinińskim, Zygmuncie Sarneckim, prof. Tretiaku. — Listy Kaczkowskiego o Chmielowskim, Stanisławie hr. Tarnowskim. — Wspomnienia o Henryku Rzewuskim. — „Święta Klara“. — Rozbiór tej powieści.)

Pozostają nam jeszcze do omówienia trzy ostatnie powieści Kaczkowskiego: „Wasi Ojcowie“, drukowani w „Dzienniku Polskim“ w r. 1892, a wydani w książkowej edycyi w Warszawie; „Zaklika“, drukowany w krakowskim „Kuryerze Polskim“, wydany następnie w trzech tomach w r. 1893 nakładem księgarni L. Zwolińskiego i Sp. w Krakowie, i wreszcie „Święta Klara“, która ukazała się w „Nowej Reformie“ w r. 1895.

„Wasi Ojcowie“, to miała być powieść, zakrojona na szersze rozmiary. „Jeszcze w r. 1883 — pisze Kaczkowski do pani Jadwigi Liskowej [1]) — ułożyłem był powieść historyczną na wielkie rozmiary, mającą się napisać na podstawie żywych tradycyi, a obejmującą Trylogię, trzy epoki: 1) lata 1830—1831, 2) 1832—1846, a 3) 1846—1848. Ale napisałem wówczas tylko część I., zaś napisanie dalszych części, chociaż materyały mam skompletowane

[1]) z Paryża, z d. 12 grudnia 1891 r. Ms. — Zbiory Biblioteki Ossolińskich, Nr. 4985.

i uporządkowane, odłożyłem na później, a to dlatego, że według zdania wielu przyjaciół, żyjących w kraju, przypominanie spisków, toczonych przeciwko Austryi i dwóch rewolucyi również przeciwko Austryi, nie byłoby teraz na czasie, a nawet sprawiłoby w kraju nieprzyjemne wrażenie. Jednak pierwsza część może być drukowana bez szkody. Posłałem ją wczoraj „Dziennikowi Polskiemu“.“

„Dziennik Polski“, drukując tę powieść, nie doznał zapewne szkody, ale to rzecz niewątpliwa, że literatura polska nie poniosłaby także uszczerbku, gdyby „Wasi Ojcowie“ nie byli ukazali się w druku. Wprawdzie zastrzega się Kaczkowski, że to nie jest historya, lecz powieść na tle historycznem, lecz bez przesady powiedzieć można, że historya zaszkodziła tu powieści, a powieść historyi. Trudno wyobrazić sobie rzecz zimniej pisaną o wypadkach tak tragicznych i tak dla uczuć narodowych bolesnych. Autor widocznie usiłował stanąć na stanowisku bezstronnem i nie powodować się sentymentem, ale w tym kierunku poszedł zbyt daleko, wysuwając na plan pierwszy krytykę działań tak Rządu, jak i wodzów.

„Rząd — pisze — lubo z najcnotliwszych patryotów złożony, nie umiał dyktatoryalnej władzy ująć w swe ręce i zostawił naczelnemu wodzowi zupełną wolność działania — a Skrzynecki, ze swemi wadami, nie był w stanie kierować stutysięczną armią, jak powolnem narzędziem! Przedewszystkiem innem nie górował on nad swoimi podwładnymi ani znajomością sztuki wojennej, ani rozumem, ani silną wolą i stanowczością. Stąd już w organizacyi dowództwa wyniknęły chybienia fatalne: jenerałowie, pełni zdolności i poświęcenia dla sprawy powstania, jak: Henryk Kamiński, Kicki, Skarżyński, a nawet Dembiński, nie zostali stosownie użyci, natomiast zaś inni, jak: Giełgud, Jankowski, Bukowski, Umiński, bardzo słabych zdolności, a w części nawet wątpliwego patryotyzmu, pozostawieni na stanowiskach wysokiego znaczenia. Chrzanowskiego już nie było natenczas przy sztabie — a Prądzyński, człowiek genialny, ale którego geniusz ulegał lunacyom, popadł był właśnie natenczas w pewne zaćmienie umysłu i osłabienie energii.“ [1])

Takie krytyczne uwagi, takie bezwzględne sądy o dowódcach, nie poparte zresztą dokumentami, na które w powieści nie byłoby miejsca, osłabiają mocno w umyśle czytelnika wrażenie ogólne listopadowego powstania, nie mającego nawet barwy heroicznego

[1]) str. 367.

wysiłku, lecz upadającego pod brzemieniem niedołęstwa wodzów i „niedorzecznego rozłożenia armii“. Krytyka taka, w ustach historyka, rozporządzającego materyałem źródłowym, byłaby nietylko właściwą, lecz i uzasadnioną; pod piórem powieściopisarza razi i boli, tem dotkliwiej, że i na polach bitew czy to pod Stoczkiem, czy na polach Grochowskich, czy pod Ostrołęką, w obrazach kreślonych zimno, bez należytej plastyki, bez zapału, nic nie podnosi ducha. Wszystko przysłania mgła pesymizmu, tej beznadziejności, jaką autor natchnął Skrzyneckiego, który „nie robił sobie iluzyi, by armią rewolucyjną można było pobić mocarstwo rossyjskie“, który nazwał „*une affaire honteuse*“ bitwę pod Ostrołęką, jakkolwiek Rossyanie musieli cofnąć się za Narew, a Polacy zostali panami placu boju, nie straciwszy ani jeńca, ani żadnego sztandaru. Giną w krwawych bitwach ludzie, żołnierz walczy mężnie, z prawdziwą pogardą śmierci, ale czytelnik czuje na każdym kroku, że te ofiary daremne, a co gorsza, że sprawa nie upada pod naciskiem przemocy, lecz skutkiem niedołęstwa. Przykra, bardzo przykra powieść, której nikła fabuła nie zajmuje zresztą czytelnika i nie odwraca jego uwagi od ścigających go na każdym kroku uwag krytycznych.

Pisząc „Waszych Ojców“, zapomniał widocznie autor, jak gwałtownie oburzał się na Henryka Lisickiego za jego artykuł o gen. Chłapowskim, zamieszczony w r. 1885 w „Przewodniku naukowym i literackim, a będący wybornie napisaną analizą pracy ks. Kalinki p. t. „Jenerał Dezydery Chłapowski“. W artykule tym Kaczkowski, zawsze wierny swej animozyi do Stańczyków, do których oczywiście Lisickiego zaliczał, dopatrywał się „obrazy uczuć narodowych“ i w liście pełnym inwektyw wystąpił z zarzutem przeciw redakcyi „Przewodnika“, że takie „plugawe expektoracye“ przepuszcza. Redaktor stanowczo odparł nieuzasadnione zarzuty, na co Kaczkowski odpisał z Paryża d. 28 stycznia 1886 [1]) w znacznie już łagodniejszym tonie, modyfikując poprzednie ostre wyrażenia i charakteryzujący Listopadowe Powstanie zupełnie inaczej, niż się ono przedstawia w powieściowym obrazie.

„U ludzi oświeconych — pisze, — a przywiązanych do kraju, sąd o Listopadowem Powstaniu oddawna jest wyrobiony. Konstytucya 1815 r. nie mogła się w żaden sposób utrzymać. Raz dlatego, że Polacy, rozpaleni wtenczas więcej niż kiedykolwiek ideą odzyskania niepodległości dla całej Polski, a nawet z początku

[1]) List do Adama Krechowieckiego.

pchani w tym kierunku przez cesarza Alexandra I., nie mogli przestać na Kongresowem Królestwie, a z drugiej zaś strony dlatego, że absolutnie rządzona Moskwa nie mogła żadną miarą znieść konstytucyjnego organizmu w obrębie swojego Państwa. Te dwa prądy, więcej niżeli diametralnie sobie przeciwne, bo prześcigające się w przeciwieństwach, musiały się zetrzeć z sobą — i starły się w Listopadowem Powstaniu. Temu starciu nikt nie był winien, bo było ono dziejową koniecznością. W tych kilku słowach zawiera się cała historyozofia Powstania, — i nad tem niemasz i nie powinno być u nas żadnych dyskusyi. Kto w tem Powstaniu szuka wysokiego rozumu Stanu ze strony Polaków, ten grzeszy przeciwko prawdzie dziejowej, lecz kto w niem widzi błąd polityczny, nie mówię już zbrodnię, bo i to daje się słyszeć, ten nietylko obwinia naród o grzech, którego on nie popełnił, ale nadto jeszcze dostarcza Moskalom broni przeciwko nam, co w każdym razie jest karygodnym występkiem. Rozumny i z miłością dla sprawy narodowej przedsięwzięty rozbiór błędów szczegółowych, popełnionych przez Rząd Narodowy i przez Wodzów naczelnych, jest dopuszczalny i może być nauczającym; ale przedstawienie Listopadowego Powstania, jako głupotę do tego stopnia niezrozumiałą, że w niem tylko samą „Honoratkę“ można zrozumieć, taka bezmyślna a żółciowa expektoracya nie powinna nigdzie znaleźć przytułku.“

Gdzie i w czem mógł upatrzyć Kaczkowski „żółciową“ krytykę Powstania w artykule Lisickiego, to pozostanie zagadką. Był to właśnie „rozważny rozbiór“ niektórych błędów, zupełnie dopuszczalny w pracy poważnej, w naukowem piśmie umieszczonej. Przedstawienie zaś tych błędów w powieści „Wasi Ojcowie“, traktującej przedmiot bardzo zimno i bez miłości, było rzeczą co najmniej niewłaściwą. Ta wycieczka zjadliwa przeciw Lisickiemu tem bardziej zadziwia, że poglądy, wyrażone w jego artykule, zupełnie niemal zgadzają się z zapatrywaniami, wypowiedzianemi w powieści, z ogólną charakterystyką wodzów, a zwłaszcza Skrzyneckiego.

Z postaci, występujących w tym utworze, główną rolę odgrywa Tomasz Wisłocki, pułkownik wojsk francuskich i baron cesarstwa francuskiego, ożeniony z wdową po generale rossyjskim, księżną Abumelech, z domu Sosnowską. Dobry żołnierz, umiejący bić się walecznie w szeregach, wybiera się jednak do powstania z widoczną niechęcią. „Miałem ja różne myśli — powiada, — jakieby tu siły można zgromadzić w naszem sąsiedztwie. Materyału nie braknie, młodzieży huk w każdym dworze, zebrałby się wcale

porządny oddziałek, gdyby to poszło pod dobrą komendę. Ale tu każdy chce mieć swój rozum.“ Większy zapał okazuje już przyjaciel Wisłockiego, Michał Borch, a jeszcze większy pasierb i siostrzeniec pani Wisłockiej, młody książę Milek Abumelech, tylko, że ten ostatni wyładowywa swój zapał w przemowach demagogicznych, w których dowodzi, że największym czynem patryotycznym byłoby powieszenie — Chłopickiego. Wszyscy oni biją się walecznie, odnoszą rany w ciężkich zapasach z wrogiem, ale tych zapasów nie ożywia istotny ogień patryotycznego zapału. To też i wszystkie te postacie wychodzą blado, bezbarwnie, — działają jak gdyby pod przymusem. — Najlepiej jeszcze wychodzą postacie o charakterze zdecydowanie ujemnym lub awanturniczym, jak hr. Łoś, blagier i tchórz, jak jego żona występna, lecz sympatyczna zalotnica, jak hr. Gedroyć, awanturniczy partyzant, który zebrawszy garstkę stu sobie podobnych, napada na konwoje rossyjskie i łupi je bez miłosierdzia. Dwadzieścia siedm furgonów i powózek zabrał, a w nich jedzenia, picia, wina szampańskiego, konfitur, broni, amunicyi, koni, bez liku. „Moi żołnierze — powiada z dumą — służą bez żołdu, a lepiej się mają, niżeli u Skrzyneckiego pułkownicy i generałowie. Gdybyśmy mieli takich sto oddziałów, to po upływie dwóch miesięcy armia nasza opierałaby się o Dźwinę.“ [1]) Jest to może najdosadniejsza, bo przykładem ilustrowana krytyka całej kampanii 1830 roku.

Właściwej fabuły powieść ta nie ma. Bardzo być może, iż autor zamyślał ją rozwinąć w następnych częściach zamierzonej trylogii, która wszakże napisaną nie została.

Powieść „Zaklika“, w 3 tomach napisana, rozpoczął pisać Kaczkowski w r. 1890. Przykry epizod ze wznowieniem sprawy z r. 1863 w „Wydawnictwie materyałów“ przerwał tę pracę. Pisze o tem Kaczkowski w liście do prof. Ksawerego Liskego z dnia 24 stycznia 1891 r.:

„W lecie przeszłego roku zacząłem pisać powieść współczesną p. t. „Zaklika“, w której zamierzyłem przedstawić na tle, zaczerpniętem z czasów z przed r. 1863, mniej więcej wszystkie polityczno-społeczne prądy, jakie po Polsce teraz buszują, a mianowicie ten fakt, mnie przedewszystkiem uderzający, jak patryotyzm naturalny, ciepły, niewzruszony w swym gruncie, ale w swoich objawach zewnętrznych rozsądnie umiarkowany, ściśnięty pomiędzy te prądy, nieświadome siebie, bo namiętne i rozkiełzane, — słabnie.

[1]) str. 359, 360.

pozostaje bez wpływu i zwolna zamiera, — i w tej robocie ci ludzie wytrącili mi pióro z ręki.“

Z końcem roku 1891 powieść była wszakże skończona. Dnia 12 grudnia pisze Kaczkewski do pani Jadwigi Liskowej [1]):

„Powieść współczesną p. t. „Zaklika“ — nie z lat 1831 i 1863, jak to ogłosił „Kuryer Polski“, który nawet nie zadał sobie pracy rękopismu przeczytać, tylko z lat 1864—1880, — musiałem po długich ceregielach dać „Kuryerowi“, a to z tego powodu, że ta powieść nie podziela zasad i tendencyi ani partyi krakowskiej, ani demokracyi agitującej, owszem, obydwie traktuje ujemnie, a ze wszystkich galicyjskich dzienników tylko jeden „Kuryer Polski“ stoi pomiędzy temi stronnictwami, prócz tego zaś ma abonentów... Wiem o tem, że „Kuryer“ nie jest bardzo dobrym introduktorem dla powieści, ale spodziewam się, że ta powieść stanie na własnych nogach i nikt o to pytać nie będzie, kto ją ogłasza, tylko o to, kto ją pisał.“

Autor zamierzał przedstawić w niej główne prądy współczesne, z których każdy szuka wyjścia z matni, a tymczasem wszystkie się tłumią pomiędzy sobą. Zwraca się ona — „bez polemicznej werwy“ — jak to sam Kaczkowski w liście do pani Liskowej [2]) zaznacza — przeciwko konserwatystom, a jeszcze dobitniej „przeciw naturalistycznym, socyalistycznym i demokratycznym obłędom“. Zwracając się tak przeciwko wszystkim, wszędzie wykazując nietylko błędy i ułomności, lecz nierzadko występki i zbrodnie, daje ta powieść obraz dziwnie apatycznego i niesympatycznego społeczeństwa, w którem niema ani jednej niemal jaśniejszej postaci, chyba jednego księdza Prandoty, który jednak niewielkie ma pole działania, a widzi bardzo niedaleko, i prócz pieczeniarza Fujary, który zjednywa sobie czytelnika rzeczywiście głębszem przywiązaniem swem do Zakliki. Ten zaś Zaklika — bohater tytułowy powieści — jest niejednolity w swem postępowaniu; chwilami wywiera wrażenie człowieka o głębszem umyśle i zacnym charakterze, lecz wnet zmienia się w złośliwego i popędliwego, psując dodatnie wrażenie. Przebywa on niezwykłe koleje. Spadłszy z konia, wpada w letarg, wszyscy go mają za umarłego, opłakują zgon nagły, poczem wkładają do trumny i chowają w kaplicy grobowej. Aliści żandarmi rossyjscy, wdarłszy się do owej kaplicy, w poszukiwaniu jakichś papierów czy książek zakazanych, znajdują go ży-

[1]) Zbiór Bibl. Ossolińskich, Nr. 4985. Ms.
[2]) List z Paryża, z d. 21 maja 1891 r.

wym i wywożą cichaczem w dal. Nikt zresztą o zmarłego się nie troszczy; życie bez Zakliki układa się tak, jak tego pragnie jego wcale nieszczególny synalek Ignacy, z pokrzywdzeniem córki Geni i najwierniejszych sług ojcowskich. O ile testament, pozostawiony przez Zaklikę, wywołał niezadowolenie spadkobierców i pewne wśród nich niesnaski, o tyle śmierć jego była poniekąd wszystkim na rękę: Genia mogła już bez przeszkody poślubić młodego Frydrusza Firleja, którego Zaklika nie lubił i któremu niedowierzał, a Ignaś nie znajdował już żadnej trudności w ożenieniu się z rozpustną, niegodziwą Florą Balcerówną. To też gdy Zaklika po pewnym czasie powraca — następuje istotna konsternacya. Zaklika przekonać się mógł na sobie dobitnie, że niedobrze jest zmartwychwstawać i że życia, które się po czyjejś śmierci wyrównało, niepodobna zawrócić na dawne tory. Jakim sposobem stać się mogło, aby człowiek, pochowany w letargu, obudzony w trumnie przez żandarmów rossyjskich, przeżył nietylko przerażenie pierwszej chwili, lecz podróż i więzienie choćby krótkotrwałe? — rozstrzygać nie będziemy; to już sprawa lekarzy. Dość, że Zaklika powrócił postarzały nieco, ale zdrów. Tylko wieczorami napadała go senność i martwota. Zastał sprawy majątkowe i rodzinne w największym rozstroju, a popędliwością swoją przyczynił się jeszcze do większego zagmatwania stosunków familijnych i wywołał zamach na swoje życie. Oto rozpustna Flora, rozmiłowana z całą potęgą zmysłowości w Ignasiu Zaklice, bardzo zresztą aż do niedołęstwa niezdecydowanym młodzieńcu, postanawia otruć starego Zaklikę, który energicznie sprzeciwia się małżeństwu syna z tą wyuzdaną panną. W tym celu nabywa jakiś morderczy eter i przez zacnego swego braciszka podsuwa go Zaklice, jako lekarstwo na prześladującą go co wieczora chorobliwą senność. Ofiarą pada nie Zaklika, lecz nieszczęśliwy Fujara, który, wciągnąwszy w nozdrza znaczną dozę zatrutego eteru, pada trupem u stóp swego ukochanego Zakliki. Ten zaś, oddychając zatrutem powietrzem, zapada w ciężką chorobę, z której wychodzi zniedołężniały jeszcze bardziej, lecz skłonny do rozważań filozoficznych, wcale nie oryginalnych, a wygłaszanych z patosem, któremi zanudza księdza Prandotę i czytelnika w sążnistym epilogu.

Sferę arystokratyczno-konserwatywną reprezentuje w powieści hr. Firlej, lekkomyślny a pyszny, żyjący nad stan, dla spraw ojczystych zupełnie oziębły i z rezygnacyą wyrzekający się wszelkich marzeń o przyszłości ojczyzny. „Jeżeli — powiada — wolno

nam jeszcze o czem marzyć bezkarnie, to chyba o stopniowem poprawieniu naszego losu w etnograficznych granicach.“ [1])

„Naturalistyczne, socyalistyczne i demokratyczne obłędy“, o których mówi autor w cytowanym liście do pani Liskowej, reprezentowane są w powieści głównie przez rodzinę Balcerów, ową rozpustną Florę, jej godnego braciszka, bez czci i wiary, gotowego zawsze do zbrodni i młodego Tarłę, szlachcica-radykała, spiskującego we Lwowie z rozmaitymi ciemnymi żywiołami. Stary Balcer w niedowiarstwie swem posuwa się aż do zaprzeczenia istnieniu Boga i nieśmiertelności duszy; za życia, czując zbliżającą się śmierć, sprasza sąsiadów na własną swoją stypę; tu wygłasza bezbożną mowę, na którą jednak „rozumny“ Zaklika czuje się w obowiązku odpowiadać, sławiąc nawet męstwo Balcera wobec śmierci, jego „wyniosłość myśli i charakteru“.

Ostatecznie wszystkie cienie padają na stronę owych Balcerów; Firlejowie — konserwatyści, w obec nich wychodzą obronną ręką, chociaż nie wzbudzają sympatyi, zarówno jak jej nie wzbudza i sam Zaklika rezoner-gaduła, często niesforny i popędliwy, a w końcu beznadziejny pesymista, który widzi, że „ten świat dzisiejszy tak spodlał, iż człowiek uczciwy musi się prosić o pozwolenie, aby mógł być uczciwym... musi koniecznie należeć do jakiejś koteryi, albo do jakiegoś stronnictwa... bo jeżeli stoi na własnych nogach, mówi jak myśli, działa jak mówi, a do tego jeszcze widzi jasno wszystkie obłędy innych i wypowiada otwarcie, co o nich rozumie, natenczas wszyscy mu wrogiem.“

Tak rezonuje Zaklika, wypowiadając tem niewątpliwie uczucia samego autora.

Losy innych nieciekawych bohaterów powieści, rozstrzygają się w epilogu, w sposób także nie ciekawy. Syn Zakliki, niedołężny Ignaś, gospodaruje na Żmudzi, w majątku ojcowskim, a zapomniawszy o Florze, i pogodzony zupełnie z panującym stanem rzeczy, ubiega się o rękę jakiejś generałównej, oczywiście rossyjskiej, „woląc — jak sam powiada — z Moskalami panować, niż być u nich w niewoli“. Zbrodnicza Flora, nosząc w swem łonie owoc miłości Ignasia, poślubiła rossyjskiego pułkownika, przeszła na prawosławie i zamieszkała z mężem w Petersburgu, gdzie też pociągnęła i godnego braciszka. Niczem się nie odznaczająca Genia Zakliczanka wyszła oczywiście za Frydrusza Firleja, którego niewiadomo za co tak bardzo miłuje, i pędzi z nim żywot szczęśliwy.

---

[1]) Tom I., str. 194.

Całość wywiera wrażenie niemiłe, krytyka społeczeństwa po ostatniem powstaniu wydaje się zbyt surową i niesprawiedliwą; streszcza się ona w tych słowach Zakliki w epilogu: „Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie! ale nie dałeś zdrowego rozsądku i publicznego sumienia.“ W obec ujemnych, bardzo czarnych, albo nijakich, bladych charakterów, razi brak zdecydowanych, jasnych postaci, — w całej kompozycyi znać znużenie czy omdlenie twórczości. Odbiło się w tem usposobienie autora, który tak się wywnętrzał, właśnie w czasie pisania tej powieści, przed panią Jadwigą Liskową:

„Im dłużej żyję, tem więcej we mnie słabnieje chęć, a z nią razem i możność pisania. Cały świat się zmienił koło mnie; inni ludzie, inne pojęcia, inne ideały, — a raczej brak ideałów. Pomiędzy mną, a czytającym ogółem niemasz już prawie nic wspólnego. Ślepym bym był, gdybym tego nie widział. Ja jestem jak duch, co się nocą zjawia na cmentarzyskach i odzywa się głosem, nie mogącym wywołać oddźwięku, bo jest martwym dla dzisiejszych pokoleń. Dla kogo pisać, jeżeli nikt nas nie czyta? Moich „Olbrachtowych Rycerzy“ odbito tylko w siedmiuset egzemplarzach, — a i tych nie sprzedano.“

Donosząc następnie, że pisze powieść p. t. „Zaklika“ dodaje: „Robota ta mnie więcej zajmuje, niżeli którakolwiek z moich robót dawniejszych, — już mi tylko kilkadziesiąt kartek brakuje do końca: a przecież nieraz odrzucam pióro, pytam się siebie, na co to piszę? czasem przez cały tydzień nie biorę pióra napowrót do ręki i nawet nie wiem, czyli ją skończę.“ [1])

W takiem usposobieniu pisana, nic dziwnego, że powieść wyszła słabo, zimno też przyjęta przez czytający ogół. Krytyka zarzuciła jej, i słusznie, rozwlekłość, rozwałkowanie przedmiotu, przeciążenie treści rozprawami filozoficznemi, wreszcie rażące błędy językowe.

Tego ostatniego zarzutu, jakkolwiek jest uzasadniony, nie należy zapewne kłaść na karb wyłączny autora, który w liście do pani Jadwigi Liskowej użala się mocno na niedbalstwo redaktora „Kuryera Polskiego“, który tę powieść drukował i zajmował się wydawnictwem książkowem.

„Co ten Orłowski [1]) — pisze Kaczkowski z żalem — z tym rękopismem porobił, to także jest rzecz, której w innym kraju nie

[1]) z Paryża, z d. 21 maja 1891. Ms. Ze zbiorów Bibl. Ossolińskich.
[2]) Redaktor „Kuryera Polskiego“.

znaleźć. Naprzód, przed rozpoczęciem druku, nie czytawszy powieści, ogłosił prospekt od początku do końca klamliwy, a jeszcze do tego z taką paskudną fanfaronadą, jakobym ja tę powieść w pocie czoła napisał, a on za nią zapłacił miliony. Potem wydrukował ją, krając rękopism podług miary feuilletonu, a bez żadnego względu na związek ustępów, a z takiemi drukarskiemi błędami, że ja sam się pierwotnego sensu domacać nie mogłem.“ [1])

W tej przerwie pomiędzy pierwszym a następnymi tomami „Zakliki“, napisał Kaczkowski rozprawę „O romantyzmie“. Rozprawa ta — jak pisze autor do prof. Liskego w cytowanym powyżej liście — pisana jest „*à l'adresse* naszych historyków literatury, którzy teraz tak wiele piszą o tej epoce, a zwłaszcza o romantycznej poezyi, którą wszakże często sadzą zbyt powierzchownie, a nieraz z rażącą nieznajomością tych czasów, a zatem i tych wpływów, jakie ta literatura wywierała na nasze życie społeczne i polityczne“.

Bezpośrednim powodem napisania tej rozprawy była praca profesora Tretiaka, ogłoszona w krakowskim „Świecie“ p. t. „O głównych kierunkach poezyi polskiej XIX. wieku“. Praca ta nie podobała się Kaczkowskiemu. „Tretiak — pisze do prof. Liskego [2]) — bierze niektóre rzeczy za lekko, a o innych sądzi bardzo powierzchownie, co zresztą uważałem już w jego krytykach; jest w nim jakaś mieszanina tonów rewolucyjnych i wpływów szkoły krakowskiej, a niemasz samodzielności i niezawisłości, dla profesora tak niezbędnej: dlatego uważałem za rzecz potrzebną porobić nad tem niektóre uwagi, które wszakże w swojej całości nie odnoszą się do niego samego.“

Jakkolwiek Kaczkowski nie wymienił ani nazwiska autora, którego pracę poddaje krytyce, ani nawet pisma, w którem ona zamieszczona została, to jednak nadało całości ton polemiczny, wypaczający charakter literackiej, samodzielnej rozprawy, a to tem dotkliwiej, że piszący nie mógł się powstrzymać od wycieczek w stronę znienawidzonego stronnictwa „Stańczyków“, historyków i krytyków krakowskich.

Przesyłając tę swoją pracę prof. Liskemu, spodziewał się może autor, że znajdzie ona pomieszczenie w „Kwartalniku histo-

[1]) List z Paryża, z d. 4 grudnia 1892 r. Ms. Ze zbiorów Bibl. Ossolińskich.
[2]) List z Paryża, z d. 28 stycznia 1891 r. Ze zbiorów Bibl. Ossolińskich. Nr 4985. Ms.

rycznym, chociaż przypuszczał z góry, że „nie zda się do tego pisma, bo jest za długa, a przytem może zanadto z francuska, to jest za lekko pisana“. Ta „lekkość“ nie jest, zdaniem naszem, jej główną wadą. Przedewszystkiem grzeszy ona owym polemicznym tonem, nadzwyczajną rozwlekłością, nieustannem odbieganiem od przedmiotu, rozpraszaniem się w szczegółach. Jest to istotnie, jak w drugim tytuliku zaznaczono, „literacka gawęda“, w której się mówi wprawdzie o romantyzmie, ale przy tej sposobności o tylu innych rzeczach, że się w nich nieraz główny wątek gubi.

Prof. Liske, sam ścisły badacz i przestrzegający systematyczności w naukowych pracach, musiał poczynić liczne uwagi i zastrzeżenia co do tego artykułu, bo oto czytamy w liście Kaczkowskiego z dnia 4 lutego 1891 r.[1]): „Z moim artykułem „O romantyzmie“ niech Pan sobie nie przysparza kłopotów. Ja nigdy nie byłem literatem z profesyi i nie mam literackich próżności. Jeżelim co kiedy napisał, to zawsze tylko to, co się samo ze mnie wyparło, — a jak'em to komu oddał, tom się nigdy nie troszczył o to, co się z tem stało. Artykuł ten napisałem dlatego, że mnie to nudzi, że my się nie możemy zdobyć na prawdziwą krytykę literacką, jaką mają Niemcy i Francuzi.“

Po śmierci profesora Liskego pisał d. 22 marca 1891 r.[2]) do pozostałej wdowy, w tymże samym przedmiocie: „Mój artykuł „O romantyzmie“ zmienię jak najchętniej, według skazówek, które ś. p. Mąż Pani zostawił, a to nietylko dlatego, że znajdę w tem zadowolenie dla siebie, jeżeli potrafię uszanować jego wolę, ale także i z tego powodu, że my, mieszkający za granicami kraju, mimo tak ożywionych pisemnych i ustnych stosunków, jakie ja utrzymuję z krajem, przecież niejednokrotnie nie całkiem trafnie sprawy krajowe sądzimy.“

Szkoda, że o tej niewątpliwej prawdzie zapomniał Kaczkowski, pisząc „Tekę Nieczui“!

„Ja zresztą — dodaje w tymże liście, — do czego chętnie się Pani przyznaję, nawet u teoretycznych Niemców uchodzę za doktrynera, tak mnie przed dwudziestu kilku laty osądził hr. Belcredi i tak mnie jeszcze niedawno określił dzisiejszy Minister hr. Kalnoky, — mam zatem, nie będąc wcale zarozumiałym, jeszcze o jeden powód więcej do uwzględnienia opinii wytrawnych ludzi, patrzących na sprawy krajowe z bliższej niżeli ja odległości.“

[1]) l. c.
[2]) l. c.

W ogóle w tej sprawie Kaczkowski okazywał niezmierną i niezwykłą sobie pojednawczość. Zgadzał się na zmiany i opuszczenia, zgadzał się na zwłokę w ogłoszeniu artykułu. Szło, zdaje się, głównie o ostrą polemikę z krytykami krakowskimi i o ustęp, niezmiernie chwalący Piotra Chmielowskiego. Zdaje się, że profesor Liske uważał tak ową krytykę, jak i pochwały za przesadzone, na co Kaczkowski w liście z Paryża, z dnia 11 lutego 1891 r.[1]) odpowiada:

„Co do Chmielowskiego, to nie potrzebuję Pana zapewniać, że on mi swoją nauką wcale nie imponuje, — nawet i w filozofii ma bałamutne pojęcia... prócz tego grzeszy często zupełnym brakiem smaku estetycznego. Ale Chmielowski w ostatnich czasach bardzo znacznie się podniósł po nad swoje prace dawniejsze i bardzo korzystnie odbija od Tarnowskiego swojem usiłowaniem dojścia do bezstronności, — a to, mojem zdaniem, zasługuje na uznanie, choćby tylko dlatego, aby go zachęcić do dalszego postępowania na tej drodze. Chciałem go trochę podnieść w interesie ogólnym, ale być może, że się tam zakradło trochę subjektywizmu, bo Chmielowski jest jednym z dzisiejszych krytyków, który mnie traktuje bezstronnie: wielu rzeczy po prostu nie rozumie, dla innych całkiem brakuje mu zmysłu, ale widać przynajmniej usiłowania, podczas kiedy inni (z wyjątkiem kilku bezwarunkowych przyjaciół) narażają się nawet na zarzut nieuctwa, aby mnie tylko ile możności obniżyć...“

I potem jeszcze, po śmierci dr. Liskego pisze do jego wdowy[2]): „Co do zmian, albo opuszczeń, to ja na wszystko się godzę, coby zadość czyniło uwagom ś. p. męża Pani: pochwałę Chmielowskiego, jeżeli przesadzona, można złagodzić, a następujący po niej ustęp o krytyce, jeżeli jest zanadto surowy, można w tych częściach surowych opuścić i tylko punktami oznaczyć, że tam coś było. Między nami mówiąc, nie wiem, dlaczegobym miał mieć jakieś względy dla krytyków krakowskich, którzy dla mnie żadnych zgoła względów nie mają, a nawet gdzie tylko mogą, starają się mnie do zera obniżyć.“

Zaznaczywszy, że takie stronnicze krytyki przynoszą szkodę nie tylko jemu, lecz całej literaturze, i że czynienie ustępstw mogłoby być tylko usprawiedliwione w interesie ogólnym i w obec ludzi pewnych przekonań, zaznacza w dalszym ciągu Kaczkowski,

[1]) l. c.
[2]) List z Paryża, z dnia 8 kwietnia 1891 r. Ms., l. c.

że to właśnie nie z takimi ludźmi sprawa, „lecz z sektą, która ma sekciarski katechizm i od tego katechizmu dla żadnych względów na krok nie odstępuje“. — Dodaje jednak w końcu, „że nie ma w sobie uporu i chętnie uwzględnia rady ludzi dobrej woli“.

Bądź co bądź owa „gawęda literacka“ o romantyzmie znalazła pomieszczenie w „Gazecie Narodowej“ w 18 wielkich fejletonach [1]). Czy tekst pierwotny uległ jakimkolwiek zmianom, trudno dziś sprawdzić. To pewna, że ustęp o Chmielowskim brzmi niezmiernie pochwalnie.

„Chmielowski — czytamy tam, — najznamienitszy z naszych nowszych krytyków, najznamienitszy nietylko dlatego, że jest najpracowitszy, lecz przedewszystkiem z tego powodu, że ma gruntowne ukształcenie filozoficzne, którego innym brakuje (czytaliśmy przed chwilą w liście do prof. Liskego, że w filozofii ma „bałamutne pojęcia“!), wystąpił pierwszy z krytyką syntetyczną... On „coraz wyżej się wznosi, a sąd jego staje się tem więcej bezstronnym i pewnym“. „Nie chodzi mu ani o miłość własną, ani o interes jakiejś szkółki albo stronnictwa, tylko o prawdę i dobro ogólne. To jest krytyka syntetyczna w najwyższem i najpiękniejniejszem tego słowa znaczeniu, bo ma na celu nie syntezę w duchu jakiejś politycznej, albo socyalnej teoryi, tylko zsumowanie i używotnienie skarbów całego społeczeństwa“.

W obec tej pochwały, czemże są inni krytycy? Oni „nadużywają swojego urzędu do celów ubocznych, leżących po za obrębem pojęć o tem, co jest prawdziwe, co wzniosłe i piękne“, ich „sąd nie zależy od rzeczywistej wartości krytykowanego dzieła, tylko od sympatyi lub antypatyi, jakie krytyk bądź z politycznych, bądź z koteryjnych powodów ma do autora“.

Pisząc tę pochwałę Chmielowskiego i podnosząc jego bezstronność, zapomniał Kaczkowski, co kilka lat przedtem, pod wrażeniem książki „Nasi powieściopisarze“, pisał do Adama Krechowieckiego [2]). Czytamy tam mianowicie:

„Chmielowski zajmuje się tam mną więcej niż innymi i w gruncie rzeczy przychylnie, ale to mi wcale nie przeszkadza powiedzieć, że takiego bigosu pojęć, wyobrażeń i wrażeń podobnośmy w naszej krytyce jeszcze nie mieli. Niejasne a często wcale niezdrowe, przytem zaś wcale nie trzymające się ze sobą pojęcia, są to już dosyć

[1]) „Gazeta Narodowa“ z r. 1891, począwszy od Nr. 130 z dnia 30 maja do Nr. 150 z dnia 23 czerwca.

[2]) List z Paryża, z dnia 27 grudnia 1886 r. Ms

grube występki, na które też są i kary w literackim kodexie; *mais c'est un cas pendable* pisać o rzeczach, których wcale się nie zna, a do tych należą: psychologia, estetyka, emigracya i galicyjskie stosunki. Czasem trzeba sobie oczy przecierać, ażeby uwierzyć, że to istotnie tak stoi wydrukowane. A do tego jeszcze jaka tam zmienność punktów widzenia i jaka chwiejność opinii! Wstrętnie przedmiotowy, bo aż do zaparcia się siebie samego, gdy pisze o Rzewuskim, wysilający się do najwyższego stopnia, ażeby być bezstronnym względem mnie, staje się ślepym panegirystą, gdy pisze o Jeżu, — i kogo sobie wybrał za przedmiot do tego panegiryku? Oto takiego pisarza, który bezwątpienia jest gorącym patriotą, a może i serdecznym człowiekiem, ale który historyi polskiej nie umie, nie zna wcale dzisiejszej Polski, a nadto wszystko nawet nie umie pisać po polsku. Zadziwiającym zaś przykładem, do jakiego stopnia mu brak wszelkiego estetycznego ukształcenia jest zacytowanie dwóch scen z powieści Jeża na dowód jego jenijalności: jedna, w których szlachta, zamiast grać w karty, pluje w sufit o pieniądze, — druga, w której też przedstawia szlachtę litewską w r. 1831 jako komicznych tchórzów! Nie do uwierzenia, ale tak stoi wydrukowane. Pomimo takich wybryków wysila się w innych miejscach na bezstronność, wysileniem tem wszakże dowodzi, że powołania krytyki wcale nie zna. Albowiem bezstronnym nikt nigdy nie był, — a jeśli się to komu udało, to stał się niczem, bo wyrzekł się własnych przekonań. To też i Chmielowski bezstronnym nie jest, a to, że nim być usiłuje, pożyteczność jego krytyki niezmiernie obniża.

„Chmielowski, wzięty jako naczelny dziś reprezentant postępowej krytyki literackiej, o co widocznie się kusi, wyrządził tą xiążką Tarnowskiemu, jako głównemu reprezentantowi krytyki zachowawczej, nieocenioną przysługę, położył się bowiem tak nizko przy ziemi, że Tarnowski, chociaż także niewielki wzrostem, przy nim wydaje się grenadyerem, Ja mam Tarnowskiego przeciwko sobie, a Chmielowskiego za sobą, ale to także mi nie przeszkadza powiedzieć, że Tarnowski bez porównania swoją missyę krytyczno-literacką lepiej wypełnia, niżeli Chmielowski. Chmielowski ma ukształcenie filozoficzne i pisze poprawnie po polsku, w kwestye badane przez siebie zapuszcza się głębiej, rozumuje logiczniej i tam, gdzie jakieś przekonanie nareszcie z siebie wydusił, wyraża się ściślej; ale literaturę polską zna bardzo niedostatecznie, jej ducha nie zrozumiał, nie zgłębił, ani nawet nie przeczuł, nie ma

żadnych literackich tradycyi i często tak o nich pisze, jak gdyby z jakiejś wyspy do Polski przyjechał, pod względem dobrego smaku, nie otrzymawszy tego daru od natury, stoi na bardzo niskim stopniu ukształcenia, dla niektórych piękności, które cały naród odczuwa, zupełnie brakuje mu zmysłu, praktyki życia wcale nie zna, dla klasyków ma pewne sympatye dlatego, że byli reformatorami, zapominając wcale o tem, że ich całe światło reformatorskie nie miało w sobie duszy polskiej, tylko było żywcem przeniesione z zagranicy, o literaturze romantycznej wcale nie wie, że się urodziła w boleści, a wreszcie całości narodu polskiego nie ma ani w sobie, ani przed sobą, tylko jakieś nieokreślone społeczeństwo od którego nie wie, czego ma żądać i czego się ma po niem spodziewać: oto Chmielowski. Tarnowski nie ma szkolnego ukształcenia filozoficznego, zaczem idzie, że jego wywody nie są ani głębokie, ani ścisłe, ma styl kapryśny, skaczący, niegramatykalny, nierozwijający się logicznie, a przeto uważnego czytelnika niełatwo przekonywujący, ale za to ma szerokie ukształcenie xiążkowe i najpiękniejsze literackie tradycye, ma wychowanie światowe i smak wrodzony i wykształcony, — a chociaż stoi na ciasnem, wyłącznem i w gruncie rzeczy nie-polskiem stanowisku klerykalnem i jest niby zasadniczym stronnikiem Polski etnograficznej bez granic geograficznych, przecież trzebaby być niesprawiedliwym, ażeby tego nie widzieć i nie czuć ze wszystkiego, co mówi i pisze, że ma nie jakieś resztki społeczeństwa polskiego, ale całość polskiego narodu w sercu i w głowie, a jego przyszłość przed sobą. To jest bardzo wielka różnica.

„Na Tarnowskiego zasady nie zgadzam się, a niektóre z nich uważam po prostu za zgubne, na niektóre zapatrywania się Chmielowskiego, dopełniwszy je tem, czego im brakuje i rozszerzywszy w ogóle ich granice, mógłbym się zgodzić, ale to jest kwestya indywidualna: na polu krytyki literackiej, w jej odniesieniu do potrzeb ogólnych, Tarnowski pełniejsze zajmuje miejsce, bo ma przekonania stałe i niewzruszone, broni ich stanowczo i z cywilną odwagą, a przeto stanowi siłę czynną, która powinna była wywołać siłę odporną i stworzyć walkę naturalną, pożyteczną już jako ruch i płodną w pewne wyniki, a dla dalszego rozwoju narodowej intelligencyi niezbędną: Chmielowski zaś, chociaż o to się kusi, tą równoważną siłą przynajmniej dotychczas jeszcze nie jest, bo nie ma stałych i wyrobionych przekonań, stoi na gruncie, tak teoretycznie, jak i w widokach praktycznych, nie określonym dokładnie, a nawet do walki o te przekonania, jakie ma, nie ma ani siły, ani odwagi.“

Również ujemnym jest sąd Kaczkowskiego o Chmielowskiego dziele p. t. „Zarys literatury z ostatnich lat dwudziestu“. „Nie mogłem wyjść z zadziwienia — pisze w jednym z listów[1]), — jak krytyk, podobno dziś pierwsze zajmujący miejsce w Warszawie, wprawdzie często jednostronny, nierzadko płytki, a zawsze nie mający dostatecznego uczucia dla prawdziwych piękności, wszelako mimo to wszystko nie tuzinkowy, nie wahał się puścić w obieg tak powierzchownie sklejonej encyklopedyi i nadto jeszcze wydawać w niej sądy o rzeczach, których oczywiście nie zna i nie rozumie. Xiążka ta zresztą bardzo ckliwe na mnie sprawiła wrażenie już samym poziomem inteligencyi i myśli, na którym dziś stoi pierwszy krytyk warszawski. Przypomnijmy sobie, że już przed laty pięćdziesięciu mieliśmy Mochnackiego i Michała Grabowskiego, a dzisiaj mamy tylko Chmielowskiego i Tarnowskiego, jednego zamkniętego w ciasnej chałupce pozytywizmu, a drugiego utopionego w papizmie i oligarchizmie, — a spostrzeżemy z przerażeniem, o wiele pokoleń cofnęliśmy się wstecz od lat pięćdziesięciu. Ale tu powiem coś, czemuby z pewnością przyklasnął Tarnowski, a może nawet i Chmielowski, że do tego opłakanego stanu doprowadziły nas rewolucye. Jestem bowiem zdania, z którem podobno stoję całkiem odosobniony, ale któremu kiedyś przyzna prawdę historya, — a tem zdaniem jest, że jak skoro nie mieliśmy temperamentu Holendrów, aby od czasu rozbiorów pracować z mrówczym spokojem i wytrwałością nad wzbogaceniem naszych narodowych, moralnych i materyalnych zasobów, to spiski były rzeczą nietylko nieuniknioną, ale niezbędną, bo bez nich naród nasz nie byłby przeżył całego wieku niewoli, ale doprowadzenie spisków do rewolucyi było za każdym razem częściowem zabójstwem. Nic innego, jak tylko te ustawiczne upusty krwi doprowadziły nas do stanu tej bezsilności moralnej, w jakiej się dziś znajdujemy. Jest to może zapatrywanie się zbyt materyalne, lecz zdaje mi się także prawdziwe, że pomnożenie krwi polskiej, które w czasach spokojnych musi koniecznie uastąpić, podniesie swojego czasu i naszą siłę duchową znów na ten poziom, na który się podnieść musimy, jeżeli chcemy, ażeby się z nami liczono i ażeby się nam uścieliły drogi do lepszej przyszłości.“

---

[1]) do Adama Krechowieckiego z Gastein, z d. 31 maja 1886. Ms.

Zbytecznem byłoby wykazywać, że te jaskrawe sprzeczności w sądach Kaczkowskiego wynikały głównie z jego uprzedzeń do tak zwanej szkoły krakowskiej. Podnosił Chmielowskiego tam, gdzie sądził, że pognębi Tarnowskiego, a w listach prywatnych pierwszego oceniał surowo, drugiemu przyznawał pod wielu względami wyższość. W ten sposób stało się, że owa „bezstronność", tak podnoszona w Chmielowskim jako wysoka zaleta, okazywała się w innem miejscu powodem „nicości", obniżeniem wartości krytyki. Raz Chmielowski posiada gruntowne ukształcenie filozoficzne, to znów ma w filozofii bałamutne pojęcia i t. p.

Ta chwiejność opinii, zwłaszcza w obec tonu polemicznego, jaki bądź co bądź ma rozprawa „O romantyzmie", osłabia wielce wrażenie i wagę tej zresztą interesującej pracy. O istocie romantyzmu nie przynosi ona nic prawie nowego, ale pisana z werwą, oparta na znajomości literatury, zwłaszcza zagranicznej, zwraca pod niejednym względem uwagę, pomimo braku należytego skupienia, trafnością niektórych zdań i poglądów. — Nie jest też ani ścisłą, ani zbyt oryginalną definicya romantyzmu, jako „prądu ducha, mającego na celu wyswobodzenie naturalnego ludzkiego uczucia z narzuconych mu form i formułek, przyprowadzenie go do samowiedzy i oddanie mu najwyższej władzy w poezyi, literaturze i sztuce". Na podstawie nowszych badań niejedno też możnaby tej rozprawie zarzucić; zważywszy jednak na czas, w którym była pisana niepodobna jej odmówić literackiej wartości. Tak zresztą w tej pracy, jak i we wszystkiem co wychodziło z pod pióra Kaczkowskiego, jest on przedewszystkiem tendencyjnym polemistą naginającym swoje wywody do powziętych *a priori* zapatrywań czy uprzedzeń. I jeżeli w przytoczonym powyżej liście tak surowo potępił usiłowania dążące do „bezstronności", to niewątpliwie pisał szczerze w poczuciu, że sam do takich usiłowań nie jest zdolny, a co najwięcej może tylko czasami „dyplomatycznie" zdania swe modyfikować, z tą „mentalną restrykcyą", że powróci do nich w całej pełni, gdy owe dyplomatyczne powody umiarkowania istnieć przestaną. Dowodów na to dostarczają sążniste listy Kaczkowskiego, do rozmaitych osób w rozmaitych czasach pisane, że tu przypomnimy tylko jego zgryźliwe zdanie o Lisickim, wypowiedziane przed redaktorem „Gazety Lwowskiej", a tak bardzo zmodyfikowane w liście do pani Liskowej, o której wiedział, że jest w zażyłości z jego żoną, panią Anną z Mycielskich Lisicką. — To nie przeszkadzało mu powracać potem do pierwotnych, ostrych sądów.

W liście do pani Liskowej [1]) czytamy o Lisickim:

„Jeżeli Pani p. Lisickiego zobaczy, proszę mu powiedzieć, że jestem przejęty szczerem uczuciem wdzięczności dla niego za te kilka słów, któremi w „Kwartalniku" krótko, ale dobitnie scharakteryzował moralność naszych organizatorów ostatniego Powstania. Ktoby miał odwagę cywilną i napisał o tej moralności całą xiążkę, ten oddałby naszemu społeczeństwu znaczną przysługę, zwłaszcza dziś, kiedy te same żywioły znowu w tym samym duchu zaczynają się ruszać..." I dalej: „Wszystkie xiążki p. Lisickiego i wszystkie jego artykuły, po różnych pismach porozrzucane, czytałem i mam u siebie, niektóre nawet z adnotacyami na marginesach, jak n. p. xiążka o Helclu... Z p. Lisickim zgadzam się prawie w zupełności na jego zapatrywania na nasze stronnictwa rewolucyjne. Od najmłodszych lat moich byłem zawsze zdania, że Polskę można tylko wypracować, a grać o nią nie wolno. Myśmy o nią wciąż grali, a jak ojcowie przegrali, to synowie się odgrywali: czy może takie postępowanie pochwalić jakikolwiek zdrowy rozsądek? Na to więc zgoda — i mniej więcej na wszystko, co z tego punktu widzenia wynika, i to do tego stopnia, że i mnie także taki bohater nie wzrusza, co nie umiał dla Ojczyzny zrobić nic więcej, jak tylko dać się dla niej powiesić. — Ale nie zgadzam się na jego zapatrywania się na nasze stronnictwa konserwatywne. Myśmy takich stronnictw mieli dosyć po wszystkie czasy, ale żadne z nich nie miało nigdy dosyć odwagi cywilnej, ażeby wytrwać wśród burzy i wytrwać do końca. Każde z nich było okrutnie odważne w czasie spokojnym, ale jak tylko opozycya głowę podniosła, zaczęły się przerzedzać jego szeregi, a jak ruch przeszedł w masy, złożyło broń bez wystrzału."

Tu następuje długi wywód, mający określić szczegółowo, w czem się Kaczkowski z Lisickim nie zgadza, a zarazem dlaczego był i jest w niezgodzie z programem krakowskiego stronnictwa. Wywód ten, nie przynoszący zresztą nic nowego ponadto, cośmy już mieli sposobność przy innej sposobności zaznaczyć, kończy się takiem oświadczeniem:

„To jednak nie przeszkadza mi przyznać p. Lisickiemu, że ma przekonania, które są jego osobistą własnością, że jego przekonania są głębiej wyrozumowane i silniej poparte, niżeli wielu innych pisarzy konserwatywnych i że je wypowiada nie z interesu,

---

[1]) List do p. Jadwigi Liskowej z dnia 21 maja 1891 r. Zbiór Bibl. Ossolińskich. Ms.

jak wielu innych, tylko z poczucia obowiązku każdego takiego człowieka, który coś wie i ma coś do powiedzenia, — a to nawet u przeciwników zasługuje na szczere uznanie.“

Jakże ten sąd jest dalekim od gromów potępienia, rzucanych na Lisickiego za artykuł o Chłapowskim i od opinii, wypowiadanych o nim w rozmaitych innych listach i zapiskach, opinii, nie nadających się nawet do powtórzenia!

Bezwzględnym natomiast był Kaczkowski admiratorem Elizy Orzeszkowej i jej dzieł, może nie tyle z powodu ich wartości artystycznej, ile z powodu ich tendencyi. Znamiennym pod tym względem jest list jego, pisany z Paryża, d. 22 kwietnia 1896 r., do Zygmunta Sarneckiego. List ten, odzwierciedlający w ogóle zapatrywania Kaczkowskiego, już w ostatnich latach życia, przytaczamy niemal w całości.

Oto co w nim czytamy:

„Nie czytując dzienników polskich codziennie, bo często czasu mi na to nie starczy, a czasem i zdrowie nie dopisuje, dopiero wczoraj dowiedziałem się, że Pani Orzeszkowa jest w Krakowie i że liczni Jej wielbiciele wydali tamże dla niej biesiadę. Gdybym był się o tem dowiedział zawczasu, byłbym Jej zatelegrafował, wyznając Jej całe moje uwielbienie i najszczerszą sympatyę, jako autorce, która dziś w naszem powieściopisarstwie niezaprzeczenie najpierwsze zajmuje miejsce, — a to nietylko potęgą swojego talentu, ale zarazem duchem przodującym na drogach tych, na których otwierają się dla nas jeszcze jakieś nadzieje. Ponieważ to się nie stało, proszę Pana, jako gospodarza wyżwspomnianej biesiady, abyś był łaskaw zanieść Jej to zapewnienie o mojem dla Niej uwielbieniu, — proszę zaś o to tembardziej, ileże biesiada, dla Niej wydana, o ile się mogę tego domyśleć z dzienników, nie zgromadziła starszyzny krakowskiej inteligencyi w takim komplecie, jaki się Jej wzniosłemu i szlachetnemu talentowi należał. Ja się wprawdzie do starszyzny nie liczę, ale za to do starych, może Jej zatem obojętnem nie będzie, jeżeli się dowie, że i między starymi są ludzie, którzy ją z zajęciem czytają, cieszą się szczerze jej powodzeniem i życzą jej i naszej Ojczyźnie, ażeby jeszcze przez drugie ćwierć wieku swoim jenijuszem oświecała te kierunki myśli i ducha, w których nam się lepsza przyszłość uśmiecha. — Powiedziałem powyżej, że należę do starych, ale przecież nie do takich, którzy zamykają oczy na fakta i już niczego się nie mogą nauczyć. Były czasy, w których ci z moich krytyków, co nie bardzo uważnie moje xiążki czytali, obwiniali mnie o pewne złudzenia, a mianowicie o wiarę w to, że tylko ci, co Polskę zgubili, potrafią ją odbudować. Takiej wiary nigdy nie miałem; wiedziano o tem od najdawniejszych czasów właśnie najlepiej w Krakowie, gdziem wówczas przez kilka lat zimę przepędzał i gdzie mi Siemieński co chwila jakąś literacką zarzucał herezyę: ale może byłem winien innego złudzenia. Zdawało mi się bowiem istotnie, że ta demokracya szlachecka, która miała przeszło trzy wieki politycznego żywota za sobą, powinna mieć w sobie także polityczną żywotność, że przeto z niej, w obec arystokracyi, który narodowego sumienia już w sobie nie miała, i w obec ludu, która jeszcze narodowej świadomości w sobie nie obudził, powinien się wyrobić ów stan trzeci, którego nam do wytworzenia naturalnego społecznego ustroju właśnie brakowało, i że od tego trzeciego stanu będziemy mogli oczekiwać zbawienia. Wiarę tę wówczas wielu ludzi ze mną dzieliło, jedni świadomie, drudzy instynktowo — i bardzo być może, że moje ówczesne historyczne powieści powodzenie swoje zawdzięczały właśnie tej idei, pod której przewodem usiłowałem ciągle obudzać narodową świadomość w średnich i niskich warstwach szlacheckich. Nie dziwiłbym się, gdyby jeszcze dziś byli ludzie, którzy dla tej idei mają pewne sympatye: ale ja już z końcem r. 1860, właśnie podczas mego pobytu w Warszawie, przejrzałem jasno, że było to czyste złudzenie i że szlachta — jak mi to zresztą jeszcze w roku 1854 przepowiedział Zygmunt Krasiński — nigdy ze siebie trzeciego stanu nie wytworzy, bo o ile czuje się szlachtą, będzie się także czuła arystokracyą, a o ile się nią czuć nie będzie, przejdzie w szeregi czysto demokratyczne. Odtąd wszystkie objawy widzenie to potwierdzają, a najwidoczniej w Galicyi, gdzie się wytworzyły tak zwane *les classes dirigeantes*, które swoją siłą liczebną zawdzięczają właśnie tym szlacheckim ogonom, i gdzie szlachcic, nie będący ogonem arystokracyi, wcale nie myśli o swojem szlachectwie. W tym widoku myśli zamknęły się nam zatem wszelkie nadzieje — a to tembardziej, ileże arystokracya, która temu korowodowi hetmani, zatraca w sobie coraz bardziej narodowe poczucie. Ażeby zregestrować wszystkie objawy, które stwierdzają tę prawdę, trzebaby chyba napisać drugi tom „Teki Nieczui“, w którym wszelako trudnoby co nowego powiedzieć, bo złe pozostaje zawsze to samo, a tylko się staje coraz jaskrawszem... A kiedy wielcy panowie nie dają ani grosza Ojczyźnie, dlaczegoby miał dla niej jakiekolwiek ponosić ofiary ów szlachcic, który nie ma ani setnej części ich bogactw, a i tak już się wyexpensował na kołpak soboli i żupan złotolity, ażeby miał w czem godnie wystąpić *dans le cortège des*

classes dirigeantes. Gdybyż przynajmniej ekonomicznie kraj podnieśli, toby można na ich niedostatki i wady przymrużyć oczu, tak jak się dobremu ekonomowi przebacza, że na jarmarkach pana udaje, a w domu ciuła mająteczek dla siebie: ale kraj popadł w nędzę pod ich panowaniem, a ich banki i przedsiębiorstwa przemysłowe albo się znajdują w krytycznym stanie bankructwa, albo, bawiąc się lichwą, ledwie że wegetują. Na tym horyzoncie naszego nieba słońce dla nas nie zejdzie. Natomiast pocieszającem jest czytać od kilku miesięcy codziennie w dziennikach całe kolumny nazwisk ubogich ludzi, którzy składają po kilka groszy dla głodem dotkniętej ludności, — a tylko chyba ślepy może nie dojrzeć, choćby tylko z tych dwóch faktów uderzających, gdzie u nas jest serce, gdzie miłość i ludzkość, gdzie rozumienie dla potrzeb społeczeństwa, gdzie wiara w lepszą przyszłość narodu. Te warstwy społeczne ożywiać, oświecać, podnosić, jest niezawodnie zdrowszem, żywotniejszem i więcej obiecującem zadaniem narodowego pisarza, niżeli galwanizować tamtą część społeczeństwa, która już tylko jak próchno świeci światłem bez ciepła, bo jak próchno nie ma w sobie krwi ciepłej w obiegu. Pani Orzeszkowa jest na tej drodze i idzie nią stale, konsekwentnie, nieustraszenie, bez chwiania się, bez omdlewania, bez powątpiewania, od lat przeszło dwudziestu. Dlatego, chociaż niektóre szczegóły toku jej myśli mogą, mojem zdaniem, ulegać dyskussyi, chociaż jej pojęcia nie zawsze dosyć wyraźne przyjmują kontury, chociaż w ogóle jej ideały, mianowicie w chwilach wielkiego ucisku serca i zachmurzonego umysłu, które na nas starszych, wiedzących dobrze, że my już ziszczenia żadnych ideałów nie dożyjemy, tak często spadają, rysują mi się jako sny jeszcze bardzo dalekiej przyszłości, uważam ją jako przodującą tej nowoczesnej literaturze, która jest bezwątpienia bardzo bogatą w znamienite utwory, ale na której są skazy bezmyślnej negacyi i niewczesnego zwątpienia. Inną, również pierwszorzędną, jej zaletą jest to, że jest bezwzględną i bezwarunkową wielbicielką światła. Czytam, co piszą przeciwko temu jej uwielbieniu, ale mnie to nie przekonywa, są to bowiem rozumowania, które datują się jeszcze z czasów de Maistra i cuchną duchem średniowiecznym, a tak mało licują z czasem obecnym, jak karabin magazynowy z muszkietem z XVI. wieku. Zbyteczne rozszerzenie światła ma swoje niedogodności, któż o tem nie wie? ale ogień także wznieca pożary, a mimo to jest niezbędnym żywiołem dla życia ludzkiego. Światło nie produkuje się wedle jakichś zasad albo systemów, *spiritus flat ubi vult;* czasem wybucha wulkanem, a czasem nurtuje

pod ziemią, rozszerzając się powykrzywianymi szlakami: ale błyskawice nie tracą dlatego na swojej jasności, że ich promienie strzelają zygzakiem. Zasada bezwzględnego rozszerzania światła jest uprawnioną nawet w najoświeceńszych narodach, tem więcej zwolenników powinna mieć u nas, którzyśmy upadli brakiem oświaty i tylko oświatą się podnieść możemy, i którzy dziś jeszcze jesteśmy pogrążeni w takiej ciemnocie, że rządzą nami stronnictwa, opierające się na przesądach i obskurantyzmie. Kto woła ciągle: uczcie się i nie ustawajcie ani na chwilę w nabywaniu nauki, ten już tem samem pierwszorzędne zajmuje miejsce pomiędzy duchowymi przewodnikami narodu."

Nie poprzestając na pośrednictwie Z. Sarneckiego, napisał też Kaczkowski osobno do Orzeszkowej list z wyrazami uznania, na który autorka „Pana Graby" odpisała z Poniemunia d. 28 lipca 1890 r.[1]) z serdecznem podziękowaniem „mężowi, dla którego oddawna żywi cześć stałą i gorącą". List jego — dodaje — jest „świadectwem, że praca jej nie jest całkiem marną, skoro zdobyła sobie tak drogocenną sympatyę". W dalszym ciągu charakteryzuje Orzeszkowa stosunki literackie Warszawy i z tego względu list ten zasługuje na powtórzenie.

„Marzyłam napróżno — pisze — o sympatyi i wzajemnej pomocy, któraby łączyła pracowników pióra. W Warszawie szczupłe kółka pisarzy jednostajnością dążeń i prac lub wspólną gonitwą za najweselszem użyciem życia ściśle związane.

Liczne grono redaktorów, reporterów, sług literackich do robienia wszystkiego od artykułów polit. do noweletek, od filozoficznych bredni do poetycznych potworków — i rauty, knajpki, koleżeńskie wieczorki, flirt i dowcipki. — Listów nie pisują — każdy dla siebie — *self-help*. Zupełna nieobecność entuzyazmu, apatya, u jednych zawiść, u innych pycha. Oto co nas dzieli. Jeden zagrodowy szlachcic powiedział: „jesteśmy jako beczka rozsypanego grochu, którego każde ziarno osobno się toczy, staje i gnije."

Jest zupełnie samotna. Przyjaciół ma, lecz to ludzie innych zajęć. Z tak zw. piśmiennictwa pięknego nikt nie zbliżył się do niej. Kilku wybitniejszych pisarzy zna, ale mało.

„Sienkiewicza w towarzystwach spotykałam, lecz nie lubi mnie serdecznie i dał mi tego niejednokrotny, drukowany dowód. Z Prusem próbowałam i chciałam zaprzyjaźnić się, bez żadnej z jego strony wzajemności, najlepiej mi poszło z Bałuckim, który

[1]) Zbiory rapperswilskie. Ms.

jest b. miłym i dobrym człowiekiem, Konopnicką b. lubię jako kobietę i admiruję jako poetkę, zupełnie szczerze i serdecznie całujemy się przy każdem spotkaniu, a potem przez całe lata nic wcale o sobie nie wiemy. Świętochowskiego znam dość z bliska i z wielu stron niezmiernie wysoko cenię, ale jest po trochu Bogiem, a po trochu zbyt zrozpaczonym i udręczonym człowiekiem, aby mógł być serdecznym i przyjacielskim kolegą. Z całego naszego piszącego świata najlepszymi i oddawna byli i są dla mnie Jan Karłowicz i Piotr Chmielowski. Oni to jedni czasem mnie odwiedzają, czasem do mnie pisują, u nich jednych, zwłaszcza u pierwszego zasięgam niekiedy rady w czemś, z pisaniem związek mającem — dla nich za to wszystko mam wdzięczność gorącą. Zresztą nikt i nic — gdyby nie stosy listów od wydawców i redaktorów, o powieści i nowelle błagających, mniemaćbym mogła, że jestem w literaturze intruzem nieproszonym, albo i wyklętym."

Ilekroć jednak Kaczkowski zdołał zapomnieć choć na chwilę o swojej tendencyi i zakorzenionych animozyach do „szkoły krakowskiej", co się jednak rzadko wydarza, tam umie on wypowiadać sąd sprawiedliwy. Tak n. p. w jednym z listów [1]) pisze:

„Czytam w „Gazecie Lwowskiej" sprawozdanie z Wystawy malarstwa [2]) p. Leona Pinińskiego. Będzie to zapewne syn mego szkolnego kolegi i przyjaciela, Leonarda Pinińskiego, dawniej z Rokietnicy, później z Grzymałowa, urodzony z Nikorowiczównej, córki Antyma. Z temi obydwiema rodzinami wiązały mnie niegdyś bardzo przyjazne stosunki. Stąd czytam jego sprawozdanie z tem większem zajęciem. Ale ma ono także wartość wewnętrzną, bo widać pisarza, który malarstwo studyował, ma poczucie piękna i usiłuje o każdym przedmiocie mieć własne zdanie. Jest tam myśl, jest życie."

Po tej sympatycznej i zupełnie słusznej ocenie następuje jednak wnet wycieczka zgryźliwa w stronę Krakowa. Zaczyna mówić o „bazgraninach b. komisarza Rządu narodowego a teraz dr. Maryana Sokołowskiego, którego skórzane frazesy, pozszywane bez ładu z sobą, wyglądają jak stary but połatany. A cóż dopiero — dodaje — powiedzieć o jego, czy podobno W. Dzieduszyckiego, wynalazku rusińskiego malarstwa? To mi przypomina archeologiczne odkrycia J. Łepkowskiego z r. 1852—1853 rzeźby z gipsu

[1]) List do Adama Krechowieckiego z Paryża, z d. 26 października 1887 r. Ms.

[2]) Wystawa powszechna 1887 r.

kardynała Fryderyka w Mogilskim kościele, fresków na drzewie w jakimś duewnianym kościółku w Sandeckiem i wałów Trajana w Muszynie, gdzie się znajdują resztki okopów konfederackiego obozu. Warszawskie dzienniki trąbiły wtenczas okrutnie chwałę wielkiego archeologa, aż ktoś bezimienny, a mnie dobrze znany, napisał o tem jeden krótki feuilletonik w „Czasie" [1]) p. t. „Wielki nieznajomy" — i odtąd te trąby od razu ucichły."

Oddając pochwałę wiedzy Leona hr. Pinińskiego w dziedzinie malarstwa, nie zgadza się jednak Kaczkowski z jego twierdzeniem, jakoby powieść historyczna się przeżyła. „Wyczytał to — powiada — w jakiejś pozytywistyczno-demokratycznej krytyce i bez zastanowienia powtórzył. Żadna forma poezyi się nie przeżyła i nigdy nie przeżyje. Co Voltaire o tem powiedział, którego pałac i kościół z napisem: *Voltaire erexit Deo,* przeszłego miesiąca po raz czwarty odwiedzałem w Ferney: *Tous les genres sont bons* i t. d. pozostanie prawdą na wieki. Nie jest winą formy, tylko pisarzy, jeżeli nie umieją dopełnić wszystkich jej warunków. U jednych fantazya zabija historyę, jak to się stało w „Ogniem i mieczem", u drugich historya zabija fantazyę, jak się może stało w „Kitaju", ale nie idzie wcale za tem, ażeby ktoś znający dokładnie historyę i mający bogatą fantazyę, nie umiał kiedyś stworzyć z nich całości harmonijnej. Życzyłbym krytykom, ażeby tak, jak Piniński obrazy, badali i rozbierali historyczne powieści, które przecież także są obrazami, a wtedy i powieściopisarze czegośby się od nich nauczyli. Ale u nas jeszcze do tego daleko: Sainte-Beuve i dopieroco zmarły Cuviller-Fleury są to światła, których nawet brzask do nas nie doszedł. Z tego punktu widzenia Piniński jest zajmujący."

W tymże samym liście znajdujemy słowa pełnego uznania dla Zygmunta Sarneckiego, który podówczas zamieścił w „Kraju" obszerne sprawozdanie z tejże wystawy Sztuki. „Jest tam także — pisze Kaczkowski — znajomość rzeczy, ale jest jeszcze coś więcej, bo bardzo trafny rzut oka na Matejkę ze stanowiska historyi malarstwa. Umiejętna i sprawiedliwa redukcya Matejki, który nietylko jest anachronizmem, ale nawet jeszcze jako anachronizm fatalnie kuleje, byłaby dobrodziejstwem dla młodszego pokolenia malarzy. Nie wiedziałem o tem, ale dziś jestem przekonany, że potrafiłby to zrobić Sarnecki."

[1]) Prawdopodobnie sam Kaczkowski, który podówczas pisywał do „Czasu".

Podjął się był tego zadania, jak wiadomo, Witkiewicz, który jednak swoje ataki przeciw Matejce cofnął z rzadką sumiennością w późniejszem swem dziele o wielkim malarzu.

Mieliśmy już powyżej sposobność zanotować opinię Kaczkowskiego o prof. Tretiaku, wiemy, że jego to właśnie artykuł dał mu powód do napisania rozprawy „O romantyzmie“, wiemy, że dostrzegał w nim nawet jakieś „tony rewolucyjne“, pomieszane z „wpływami szkoły krakowskiej“. Sąd ten jednak o prof. Tretiaku nie zawsze był równie surowy. Oto bowiem, co o nim czytamy w jednym z listów[1]):

„Bardzo mnie zajął artykuł dr. Tretiaka o poezyi po-Mickiewiczowskiej. Jest tam sąd zdrowy i uczciwy, równie mocno, jak korzystnie odbijający od owych krytyk i płytkich i wypaczonych, które wychodzą z pod piór krakowskiej „bandy fałszerzy“. Zdania takie, jak p. Tretiaka, wypowiadałem i ja przed laty trzydziestu w moich powieściach współczesnych, ale wtenczas krytyka demokratyczna, która miała jeszcze władzę dyktatorską, potępiała moje opinie i sądy, a ludzie umiarkowani nie mieli głosu. Dziś czas po temu, aby uderzyć w ten ton środkowy i jedynie rozsądny, który nie upada na twarz przed Słowackim, wołając: że on jest Bogiem! ale zarazem nie dopuszcza, ażeby z Krasińskiego, człowieka chorego, a przytem wielkiego komedyanta (znałem go osobiście i z bliska) robiono proroka. Byłoby rzeczą bardzo pożądaną, ażeby p. Tretiak to, co w tym artykule powiedział, a do czego ma oczywiście odpowiednie materyały, rozwiódł w jednym, lub kilku tomach: wykłady takie są w tej właśnie chwili, gdzie bardzo pracowita machina wysila się na to, aby dorastającej młodzieży wpajać fałszywe sądy o naszej literaturze, byłyby nietylko niezbędne, ale są nawet obowiązkiem patryotycznym. Xiążka taka będzie dziś nietylko utworem literackim lub naukowym, ale czynem politycznym.“

Owa krytyka „bandy fałszerzy“, rozpowszechniająca opaczne sądy o literaturze, nieustannie leżała Kaczkowskiemu na sercu. Wracał do tego przedmiotu przy każdej sposobności. I tak n. p. w chwili wyjścia „Olbrachtowych rycerzy“, był bardzo ciekawy wiedzieć, co o tej powieści powie krytyka i publiczność, lecz wnet dodaje[2]): „Co powie Tarnowski, tegom nie ciekawy, zresztą wiem

[1]) do Adama Krechowieckiego, z d. 9 grudnia 1885 r. Ms.

[2]) List do Adama Krechowieckiego z Paryża, z d. 26 października 1887 r Ms.

z góry. Ja dla niego jestem naśladownikiem Rzewuskiego, któremu naśladownictwo się nie udało. Tego zdania, choć niezupełnie, byli przed trzydziestu laty demokratyczni krytycy, którzy pod wpływem teoryi ludowych rzucali do jednego kosza wszystko, co było szlacheckie. Ale jakim sposobem jeszcze dziś można być tego zdania, kiedy już nawet Chmielowski odkrył ogromną dystancyę w zasadach i pojęciach pomiędzy mną i Rzewuskim, tego nie pojmuję. Zresztą, jakie może być podobieństwo pomiędzy formą, wykładem i całym sposobem traktowania przedmiotu n. p. w „Murdelionie“ i w „Soplicy“ i „Listopadzie“, to pozostanie dla mnie także zagadką.“

Jak zwykle w swych listach, tak i w niniejszym zwraca się Kaczkowski do dawnych czasów i kreśli zajmującą opowieść o Rzewuskim, przyczem oczywiście nie zapomina o swej animozyi de Stanisława Tarnowskiego.

„Rzewuski sam — pisze, — kiedym się z nim po raz pierwszy spotkał w r. 1853 w Woli Justowskiej (hr. Kuczkowscy dali wtedy obiad, ażeby nas sprowadzić z sobą), powiedział mi w obec dwudziestu kilku osób: „Winszuję Panu, żeś powieść historyczną posunął naprzód od tego punktu, na którym ja stanąłem: u mnie są tylko czasy i obyczaje, u Pana są charaktery.“

„A Siemieński, który nigdy się nie mógł powstrzymać od uwag złośliwych, dodał półgłosem:

„— I dyalogi.“

„To też Tarnowski — twierdzi dalej autor „Teki Nieczui“ — myli się zupełnie, kiedy w swoich odczytach o Rzewuskim powiada, że w „Listopadzie“ są charaktery. W powieści tej są czasy i obyczaje odmalowane po mistrzowsku, są epizody prawie genialne, jest architektonika, która ma tylko wady bardzo nieznaczne, a której wcale niema w innych jego powieściach: ale bracia Strawińscy są to dwie polityczne idee i dwie obyczajowe tradycye w ciała ludzkie ubrane, ale nie charaktery. Tarnowski tak samo tylko powierzchownie zbadał Rzewuskiego charakter. bo pominął główny powód, dla którego Rzewuski się zmoskwicił i oplugawił w życiu i w xiążkach, a którym była strata majątku. Ja Rzewuskiego znałem bardzo z bliska. Strawiłem z nim kilka tygodni w r. 1853 w Krakowie i znowu drugich kilka tygodni w r. 1856 w Karlsbadzie, i miewałem z nim takie dosadne dysputy, żeśmy się w nich obydwa czasem rozpinali przed sobą do naga. W Rzewuskim było coś, o czem Tarnowski nie wie, to krwawy żal i obrzydzenie przed samym sobą za to, że się zmoskwicił, — a jeszcze do tego bez

materyalnego skutku dla siebie; tego uczucia trudno się było w nim dogrzebać, bo przez fałszywą ambicyę i upór zasłaniał je cynizmem, ale w wyjątkowych razach widać było tę ranę, — a wtedy było coś dantejskiego w jego duchowej postaci."

W dalszym ciągu tego listu zapędza się Kaczkowski w swym ferworze polemicznym tak daleko, że dopatruje się w „Tece Stanczyka" i „Mieszaninach Jarosza Bejły" — identyczności zasad!

To, cośmy przytoczyli z listów Kaczkowskiego, wystarczy chyba aż nadto do ocenienia jego sądów krytycznych, wypowiadanych zawsze pod wpływem zawziętej niechęci do tak zw. „szkoły krakowskiej", Stańczyków, a w szczególności do hr. Stanisława Tarnowskiego. W tych listach przejawia się dopiero w pełni charakter człowieka, z całym jego uporem zawziętością, ale zarazem z niepospolitemi zaletami bujnego umysłu, niezwykłem ukształceniem i wymową, lecz i obfitością słów, nierzadko nawet przekraczającą należytą miarę. „Rozpuściłem moje pióro, jak bicz dziadowski", pisze on sam w jednym z listów do pani Jadwigi Liskowej.

Pozostaje nam jeszcze do omówienia ostatnia Kaczkowskiego powieść, p. t. „Święta Klara". Nie wyszła ona nigdy w wydaniu książkowem, drukowana zaś była, jakto już zaznaczyliśmy, w „Nowej Reformie" w r. 1895.

Powieść to, czy Pamiętnik? Ani jedno, ani drugie a raczej jedno i drugie po części. Wzajemnie sobie szkodzą. Pamiętnik, wpleciony w fabułę powieściową, traci na wartości, a wątek powieści nieraz się gubi we własnych wspomnieniach autora, który, jak dawniej Niecnuja, jest naratorem. Wspomnienia te, odnoszące się zwłaszcza do r. 1846, nie byłyby bez wartości; krótkie, zbyt krótkie sylwetki wybitnych osobistości krakowskich, jak: margrabia Wielopolski, kasztelan Wężyk, Jan Mieroszowski, ks. biskup Łętowski, rektor Pijarów ks. Jakubowski, Paweł Popiel, Michał Wiszniewski, A. Z. Helcel, generał Chłopicki i t. d. zwracają uwagę i są interesujące nawet ze względu na opis zewnętrznej ich postaci. Mamy tu zresztą w pierwszych rozdziałach powtórzenie tych samych szczegółów o ruchu z r. 1846, które przedstawiliśmy już bądź na podstawie podań samego Kaczkowskiego, bądź na podstawie aktów wytoczonego mu później procesu karnego. W zobrazowaniu powieściowem przedstawia się to nieco inaczej, w rozmiarach znacznie powiększonych, czy też zabarwionych powieściowo. Powstanie sanockie, a zwłaszcza wyprawa obu Kaczkowskich, ojca i syna, wyglądająca dość mizernie w świetle zeznań samego Zygmunta i aktów sądowych, przedstawia się tu o wiele poważniej. Ojciec wystawia cały oddział ze stu zbrojnych; syn wyrusza z podwodowymi końmi, pakunkami i służbą; ogółem pod bronią staje kilkaset ludzi, aby opanować Sanok. Staczają oni pod Baligrodem formalną bitwę z tłumem rozjuszonych chłopów. Kończy się to wszystko gromadną dezercyą, ucieczką jednych za granicę węgierską, aresztowaniem pozostałych. Wszystko to, opowiedziane przez naocznego świadka i bezpośredniego uczestnika tych wypadków, zarówno jak i szczegóły stosunków szkolnych w Samborze, miałoby niewątpliwą wartość pod piórem historyka, nie powieściopisarza, którego zawsze posądzać się musi o fantazyjne zabarwienie.

Z drugiej strony nie zyskuje bynajmniej na tem połączeniu z historyą fabuła powieściowa, rwąca się nieustannie a obejmująca olbrzymi szmat czasu, od r. 1845 aż do wielkiej wystawy paryskiej w r. 1889 i potem jeszcze. To też mamy tu ciągłe przerwy: mija lat dziesięć, a potem znowu dwanaście, a potem jeszcze dziesięć i tak dalej. Główną bohaterkę powieści, Klarę, zwaną dla jej dobroczynności „świętą", poznajemy w roku 1845 „wschodzącą jak jutrznia na tle salonów krakowskich", tracimy zaś ją z oczu osiwiałą, zgrzybiałą niemal staruszką. Poznajemy ją młodą, pełną energii, rozumu i zacności, a swą urodą i wdziękiem pociągającą za sobą szereg wielbicieli, w rzędzie których zdaje się zrazu stawać i sam autor, posiadłszy zaufanie babci Klary, pani Stolnikowej, i przychylność samej panny. Ale los chciał inaczej. W zawierusze 1846 r. ginie tragiczną śmiercią owa Stolnikowa wśród ruin swego wiejskiego pałacu, a Klara istnym cudem uchodzi z życiem, po przebyciu straszliwych męczarni głodu i lęku, zamknięta w kościele. Wydobywa ją ztamtąd zemdlałą jeden z jej gorących wielbicieli, przebrany za chłopa, Kubuś, młodzieniec majętny i sympatyczny, niegdyś autora kolega szkolny, który też poślubia ocaloną przez siebie Klarę. Autor pozostaje ich obojga wiernym przyjacielem, co pozwala mu opowiadać dalej koleje ich życia, zaiste, tragiczne.

Kubuś miał temperament ognisty, rycerski. Chciał być wszędzie tam, gdzie walczą. Od wzięcia udziału w rewolucyi węgierskiej zdołała powstrzymać go Klara; nie mogła i nie chciała powstrzymywać od udziału w wypadkach 1863 r. Wzięty do niewoli, Kubuś przez lat dziesięć jęczy w kopalniach sybirskich. Pozostawszy sama, Klara oddaje się cała wychowaniu swoich trzech synów. A tu zarazem następuje przełom w jej charakterze i usposobieniu. Dziejami tragicznemi własnej rodziny, a także bolesnemi

własnemi doświadczeniami nauczona, pragnie Klara oddalić od tych synów te wszystkie wpływy, które jej ojca i dziada, a teraz męża przyprawiły o bezskuteczne męczeństwo. Synów więc swoich wychowywała tak, aby ich usposobić do karyery realnej, jeśli nie w kraju, gdzie — jak twierdziła — niema pola dla wyższych zdolności, to po za jego granicami. Najstarszy z nich, Kasper, nie poszedł za wskazówkami matki, pozostał i ożenił się w kraju, pracując na roli i w przemyśle. Ta jego „krnąbrność“, zarówno jak i ożenienie się z córką „niepewnego szlachcica“, a przytem i rodzaj pracy „rolnika-fabrykanta“, jak się Klara z pogardą wyraża, oddaliły jej serce od tego syna, który wszakże — on jeden — stał się najzacniejszym obywatelem. Najmłodszy, Baltazar, wychowany wśród krakowskich „klerykalnych“ wpływów, został księdzem, ale nie kapłanem polskim, lecz kosmopolitycznym, zbierającym składki na afrykańskich murzynów i wreszcie opuszczającym kraj jako misyonarz. — Ginie tam śmiercią męczeńską, bez pożytku dla Ojczyzny własnej. Średni z braci, Melchior, służący w wojsku austryackiem, zupełnie się wynarodowił, a uzyskawszy wysokie dyplomatyczne stanowisko i poślubiwszy jakąś hrabiankę czy księżniczkę niemiecką, zapomina wreszcie, że jest Polakiem. Będąc w Paryżu, w jednym z wielkich klubów dopuścił się nawet zniewagi narodu polskiego, w którego obronie stanął pewien emigrant Polak, nazwiskiem Prozor, także już prawie zcudzoziemczony, lecz mający w swej głębi poczucie patryotyczne. Ztąd wyniknął pojedynek, w którym Melchior odnosi ciężką ranę. Wychodzi z niej wprawdzie z życiem, lecz z oszpeconą na zawsze twarzą. To dla Klary staje się stanowczym ciosem. Przekonywa się naraz, że całe jej poświęcenie dla wychowania tych synów było nietylko daremne, ale „występne“. Chcąc ich zabezpieczyć od tych „ideałów“, które były powodem klęski jej przodków i męża, wystudziła ich serca, pozbawiła uczuć narodowych i popchnęła na drogę zgubnego kosmopolityzmu. Mąż jej, ów dawny Kubuś, nie mógł jej wspierać radą i nadać kierunku temu wychowaniu, był bowiem na Syberyi, a gdy ztamtąd po latach powrócił i osiadł napowrót w swoim, cudem jakimś nieskonfiskowanym majątku, przeciwdziałać nadanemu synom kierunkowi było już zapóźno. Zresztą było to i z tego powodu niemożliwem, że między kochającymi się dotychczas małżonkami zapanowała dysharmonia uczuć i przekonań. Gdy Klara, pod wpływem doznanych ciosów, stała się „realistką“, Kubuś, z marzyciela-poety, jakim był za młodu, przetworzył się w filozofa-socyologa, pozostając jednak zawsze wiernym swym patryotycznym

ideałom. Słuchany jest wprawdzie przez synów z należytem poszanowaniem, lecz żadnego na nich nie wywiera wpływu. Z jednym tylko Kasprem, tym „rolnikiem-fabrykantem“, łączy go nić serdeczniejsza. Kubuś zresztą, po swoim powrocie z Syberyi, jest żyjącym trupem, mogącym już tylko, podobnie jak niegdyś Zaklika, rezonować długo i szeroko na temat problemów religijno-patryotycznych i społecznych. — Wkrótce też umiera, pochowany w ziemi swych ojców, którą jednak wdowa, zadłużywszy się na wychowanie synów, zmuszona jest wkrótce sprzedać — żydom.

Brzemię zatem odpowiedzialności za wychowanie synów spada wyłącznie na Klarę, którą, po nieszczęśliwym pojedynku Melchiora, poczynają dręczyć wyrzuty sumienia, nie bardzo w gruncie rzeczy uzasadnione, bo złej intencyi w tem, co czyniła, nigdy nie było, nie mniej jednak dotkliwe.

Stają się one wreszcie tak okrutne, że Klara opuszcza rannego Melchiora, pod opieką żony, i wyjeżdża za granicę. Ma zamiar jechać do Londynu, ale w drodze zmienia swój projekt i zatrzymuje się w Avignonie, gdzie w przystępie rozpaczy chce szukać śmierci w nurtach Rodanu, lecz w końcu, za protekcyą tamtejszego arcybiskupa, wstępuje na resztę życia do klasztoru Klarysek. — Przed śmiercią mogła mieć jednak tę pociechę, że ów nielubiony syn, „rolnik-fabrykant“ Kasper, majątek ojczysty, wraz z grobem Kubusia, zdołał wykupić z rąk żydowskich.

Tendencya tej powieści jest niewątpliwie zacna, mająca na celu wykazanie, że wychowanie synów powinno być przedewszystkiem oparte na gruncie narodowym, że podwaliną tego wychowania ma być wszczepienie rozumnych uczuć patryotycznych: Inaczej kończy się to albo bezużytecznem dla kraju męczeństwem jak Baltazara, albo zupełnie jawnem odszczepieństwem jak Melchiora. Z tych „trzech króli“, będących dumą matki, ocalał tylko najmniej lubiony Kasper, bo trzymał się ziemi i kraju ojczystego.

Dla udowodnienia jednak tej niezaprzeczenie słusznej tezy, autor wybrał sposób niezbyt usprawiedliwiony, a dla społeczeństwa naszego niewątpliwie krzywdzący. Wszak nawet takie postacie, jak Baltazara, wyrzekające się pracy na gruncie ojczystym, a dążące po koronę męczeńską wśród murzynów afrykańskich, należą u nas chyba do bardzo rzadkich, a w porównaniu z takimi kapłanami, którzy poświęcają pracę całego życia, a nawet życie samo dla powierzonych swej pieczy owieczek w kraju własnym, stanowią iście wyjątkowe wypadki. Ci nawet kapłani, którzy czyniąc zadość powołaniu swemu, szli w dalekie kraje, jako misyo-

narze, wracali do Ojczyzny z przepełnioną duszą umiłowaniem dla niej i nigdy nie zapominali o niej.

Cóż dopiero mówić o Melchiorze, któremu służba w obcem wojsku tak wyziębiła dla Ojczyzny serce, że nie wahał się publicznie ciskać obelgami na naród własny? To już typ zgoła w naszem społeczeństwie nieprawdopodobny, a to tembardziej, że tak ów Melchior, jak i Baltazar mieli najszczytniejsze w swych najbliższych przodkach tradycye, które trzymają się duszy tak silnie, że ich kilkoletnie wpływy obce wyrugować z niej nie są zdolne.

Czuł to snadź dobrze sam autor, skoro wprowadził do swej powieści dwa inne typy: Heliodora, który, jakkolwiek długie lata spędził pod obcym sztandarem, stał się jednak w końcu pożytecznym obywatelem kraju, — i owego emigranta Prozora, który, chociaż pozornie wynarodowiony, zadał Melchiorowi ciężki cios w pojedynku, stając w obronie czci narodowej. Ale obie te postacie stoją na bardzo dalekim planie i nie mogą zrównoważyć wrażenia, jakie wywierają pierwszoplanowe typy, ilustrujące całą tendencyę powieści.

Myślą i ręką autora kierowała tu niewątpliwie znana animozya do „klerykalizmu“, czy „ultramontanizmu“ z jednej, a do „stronnictwa krakowskiego“ i „stańczykowskiej szkoły historycznej“ z drugiej strony. Nie szczędzi też Kaczkowski i w tej ostatniej swej powieści surowej krytyki atmosferze Krakowa, który wnet po powstaniu stał się „ogniskiem zaślepionej reakcyi“, gdzie uważano za „wartogłowów“ tych wszystkich, co jeszcze myśleli o Polsce, gdzie utworzono wreszcie szkołę historyczną, uczącą dorastającą młodzież, że „Stanisław August, jurgieltnik obcego mocarstwa, był jednym z najrozumniejszych i najlepszych Polaków, a Hugo Kołłątaj i Ignacy Potocki to warchoły, co Polskę zgubili“. — We wpływach tej atmosfery szuka autor powodu zboczeń Melchiora i Baltazara.

Lwów także nie uszedł potępienia. W literaturze pusto było i głucho; miejsca dawniejszych mistrzów i przewodników nie zajął jeszcze nikt. W administracyi kraju pod rządami Namiestnika Alfreda Potockiego i Marszałka Ludwika Wodzickiego „panowała niesłychana nieudolność i nieświadomość właściwych celów“. Nie odpowiadali też swemu zadaniu ówcześni: prezes Koła Polskiego i minister dla Galicyi. „Pod rządami takich czterech władców interesami kraju — pisze Kaczkowski, — z których jedni nie umieli, a drudzy nie chcieli nic stworzyć, a na których działały przeważne podówczas wpływy stronnictwa, którego główną polityczną zasadą były nieruchomość i wyłączne wzmacnianie idei konserwatywnych, cały kraj kisł w sobie, jak woda stojąca“.

Te cytaty wystarczą chyba na udowodnienie, że Kaczkowski i w ostatniej tej powieści nie umiał pohamować swych niechęci i uprzedzeń. Ta zbyt jaskrawo występująca animozya wypaczała najlepsze nawet intencye autora, zniewalając go do naciągania przedstawianych wypadków i typów do powziętej z góry tendencyi, z wielką ujmą dla artystycznej strony powieści i powagi krytyk literackich.

XI.

(Ogólna charakterystyka. — Ostatnie ciosy: Śmierć tragiczna bratanka. Śmierć siostrzenicy i siostry. — Broszura niemiecka o ks. Bismarku. — Przeczucie końca. — Rozporządzenia testamentowe. — Puścizna. — Poślubienie Maryi Cayez. — Smutek ostatnich chwil życia. — Deklaracya na łożu śmierci. — Zgon. — Pogrzeb. — Domówienie.)

W pobieżnym przeglądzie, o ile on się dał zmieścić w ramach niniejszego studyum, przeszliśmy wszystkie utwory Zygmunta Kaczkowskiego, aż do ostatniej niemal chwili jego życia, obfitego w wypadki, a oddanego pracy, istotnie niezmordowanej. Tragiczne zajścia w r. 1863 wytrąciły na czas dłuższy pióro z ręki niepospolitego pisarza, ale go nie złamały. Upłynęły wprawdzie lata, w których Kaczkowski, zajęty bądź sprawami politycznemi i dyplomatycznemi, bądź budową swego bytu materyalnego, obracał się niemal wyłącznie w sferach politycznych i finansowych, w których znalazł nietylko uznanie, zdobył nietylko odznaczenia — był bowiem kawalerem francuskiej Legii honorowej i papieskiego orderu Chrystusa, — lecz i znaczną fortunę. Do prac jednak literackich powracał, rzec można, z nałogu, z których jednak istotną wartość mają tylko „Olbrachtowi rycerze“ — powieść, obmyślona i w znacznej części ułożona w latach młodych, w pełnym jeszcze rozkwicie talentu.

Zdobył fortunę, lecz nie uzyskał spokoju, ani zadowolenia. Jego ambitny, niespokojny, żądny znaczenia duch, nie mógł znieść na sobie piętna, wyciśniętego „brzydkim“ — jak się warszawski Rząd narodowy wyraził — wyrokiem lwowskim z r. 1863. Gryzła go nieustannie myśl, że owa haniebna sprawa, jakkolwiek wyrok lwowski skasowano i chociaż powrót do kraju był mu dozwolony,

nie została przecież stanowczo i ostatecznie rozstrzygnięta przez sąd inny, który miał się zebrać w Paryżu, lecz nigdy się nie zebrał. Szukał gorączkowo rehabilitacyi w kraju, widział ją w uzyskaniu poselskiego mandatu, lecz tu doznał fatalnego zawodu. Zapłynęło mu więc serce goryczą i nieprzejednanym żalem do tych, których o to niepowodzenie swe obwiniał. Oddalony od kraju, o stosunkach jego wyrabiał sobie nieraz najfałszywsze pojęcie na podstawie jednostronnych doniesień. Wypowiadał sądy stanowcze, a nacechowane stronniczością i nieraz nienawiścią przepojone. Powściągliwy, zimny, zamknięty w sobie w życiu i w obcowaniu osobistem z ludźmi, wybuchał tą nienawiścią w sążnistych swych listach, w których „jego — jak sam przyznawał — rozmachane pióro“ potrzebowało nieraz kilku kartek, aby się wypowiedzieć. Te listy, z których wiele ustępów w niniejszej pracy dosłownie przytoczyliśmy, do rozmaitych osób pisane, utworzyłyby niewątpliwie kilka sporych tomów. Myśmy z nich brali to tylko, co bezpośrednio do naszego odnosiło się przedmiotu, pomijając to, co się tyczyło poglądów Kaczkowskiego na politykę europejską i jej wpływu na sprawę polską. Piszący historyę polityczną tych czasów, znajdzie tam materyał niewątpliwie ciekawy, znajdzie zapatrywania nie zawsze może zupełnie trafne; lecz nie bez znaczenia, jako pochodzące z ust człowieka, który mógł dużo widzieć i wiedzieć, a szerokim swym umysłem obejmował dalsze horyzonty. — Myśmy natomiast wzięli z tych listów przeważnie to, co mogło rzucić światło na genezę wielu jego utworów, co było motywem, nie zawsze jawnym, jego postępowania. Pod tym względem na szczególną uwagę zasługują listy jego do pani Jadwigi Liskowej, osobiście wprawdzie sobie nieznanej, lecz przed którą on — jak sam wyznawał[1]) — „swoją starą sukmanę na piersiach rozdzierał i spowiadał się z głębi swego sumienia“.

Listy te i wiele, wiele innych, pisane pięknem, równem, czytelnem pismem, bez żadnych niemal poprawek, będące niewątpliwie najznakomitszem jego dziełem literackiem, tak pod względem formy, jak i bogatej treści, chociaż mocno niejednolitem, — listy te są najlepszem zwierciadłem pisarza i człowieka, ze wszystkiemi jego przywarami i zaletami. Dlatego też korzystaliśmy z nich obficie, w przekonaniu, że lepiej, niż jakiekolwiek słowa, scharakteryzują tę wybitną postać, zarysowującą się na tle epoki znamiennymi ry-

[1]) List z Paryża, z dnia 12 grudnia 1890 r. Zbiór Bibl. Ossolińskich. Ms.

sami. Przejawia się w nich w całej pełni człowiek niezmiernie ambitny, żądny znaczenia i czynu, a zarazem ciągle przepojony goryczą, że mu nie dano swych zdolności, które czuł w sobie, spożytkować w kraju.

Z żelazną energią i pewnością siebie rzucił się więc w wir spraw, przedewszystkiem finansowych za granicą, w czem niemałą pomocą były mu jego stosunki w świecie dyplomatycznym i dziennikarskim, które potrafił sobie wyrobić.

„Czuję przyszłość przed sobą — idę w nią z ufnością i wiarą", pisał do Seweryna Smarzewskiego, pod pierwszem wrażeniem drugoczącego wyroku, skazującego go na banicyę. Czuł przyszłość, chociaż był „zgięty brzemieniem boleści" i chociaż „ani dnia jednego nie widział przed sobą". I to przeczucie go nie zawiodło. Siłą woli, żelazną pracą, niezwykłą rzutkością i pomysłowością wydobył się na powierzchnię, a były nawet chwile — jak owa za rządów hr. Belcrediego, — w których mógł był zająć pierwszorzędne stanowisko. Czy w skutek zawistnego losu, czy może przywar własnego temperamentu, nie zdolnego pomiarkować się w swych aspiracyach, nie osiągnął go i musiał ograniczyć swoją działalność w sferze spekulacyj finansowych i rozmaitych przedsiębiorstw, których administracyę niezmordowanie prowadził. — W liście z Paryża, z d. 18 grudnia 1887 r., pisał do Adama Krechowieckiego [1]): „Od teraz mniej więcej do 15 stycznia będę zajęty zamknięciem rocznych rachunków rozmaitych przedsiębiorstw, których administracya na mnie polega."

W liście do Zygmunta Sarneckiego z d. 21 listopada 1889 r. donosi: „Jestem od kilku tygodni moimi materyalnymi interesami bardzo zatrudniony."

Wreszcie w r. 1894, donosząc pani Jadwidze Liskowej, że zaniechał myśli pisania swoich pamiętników, dodaje, w przeczuciu zbliżającej się śmierci: „Pozostaje mi zatem tylko moje interesa uporządkować, które skutkiem mojej dawniejszej przedsiębiorczości bardzo są rozproszone, co wszakże, jeżeli jeszcze do końca roku pożyję, prawdopodobnie się uda." [2])

Szwankujący coraz bardziej stan zdrowia, odzywający się ciągle reumatyzm, chronicznie powtarzający się na wiosnę i w jesieni, niedomagania płucne, które Kaczkowski nazywa „zamuleniem płuc", wszystko to wpływa na pesymistyczny nastrój ducha, wytrącający

[1]) Ms.
[2]) List z Paryża, z d. 13 kwietnia 1894. Zbiór Bibl. Ossol. Ms.

pióro z ręki. Już w r. 1889 na zaproszenie Z. Sarneckiego do współpracownictwa w „Świecie", odpowiada Kaczkowski długim, jak zwykle, listem [1]), w którym pisze:

„Tylko świeżość uczucia, tylko wiara w potęgę własnego umysłu, chociaż często naiwna, ale zawsze dziewicza a przeto pełna uroku, ma siłę przyciągającą i ożywiającą. My starzy pisarze tej siły przyciągającej nie mamy, bo jej mieć nie możemy, tak jak owoc nie może mieć zapachu kwiatu. Cokolwiek który ze starych pisarzy napisze, chociażby jego dzieło łączyło w sobie głębokość myśli z najwyższą sumiennością wypracowania, zawsze będzie ono miało na sobie charakter reminiscencyi, charakter czegoś, co już było, co już jest znane, a przeto nie mogące mieć pociągu nowości. Żaden z największych geniuszów nie potrafił tego losu uniknąć: widzieliśmy ten fenomen na drugiej części Fausta Goethego i na wszystkich późniejszych dziełach Wiktora Hugo. A kiedy takiemu losowi ulegają najwięksi, o ileż więcej muszą mu ulegać wszyscy mniejsi. Mickiewicz złożył uderzający dowód rozumu, że po „Tadeuszu" pióro odłożył — a Pol byłby dzisiaj całkiem inną postacią w naszej poezyi, gdyby był na Mohorcie swój zawód pisarski zakończył, przez co by był jeszcze to zyskał, że Spasowicz nie byłby mógł mieć o nim swoich niedorzecznych prelekcyi, bo Spasowicz albo wcale nie wiedział, czem był Pol do roku 1848, albo, jeżeli wiedział, to nie mógłby mówić o tem publicznie.

„Ja Panu radzę nie przywiązywać żadnej wartości do współpracownictwa starych pisarzy. Niech oni sobie książki piszą, jeżeli jeszcze co mają w swojej tece albo w pamięci, ale dzienniki nie powinny się opierać na ich współpracownictwie, bo oni im abonentów nie przysporzą, jakto widzimy na ich xiążkach, które się z wielką trudnością sprzedają. Dzienniki, tygodniki, a nawet i miesięczniki, sa to awangardy cywilizacyi a przeto i literatury, ich zadaniem jest nowe poruszać idee, a zatem głównie młodemi się posługiwać siłami. Jest to ich obowiązkiem a zarazem i interesem, bo tylko nowe rzeczy obudzają ciekawość. Jeżeli Buloz postawił swoją „Revue des deux mondes" w rzędzie najwięcej czytanych Pism periodycznych, to cel ten osiągnął tylko swoim talentem wyszukiwania młodych autorów — a Villemessant także tylko tym środkiem doprowadził „Figaro" do takiej popularności. U nas postępował tym torem Antoni Lesznowski, toż za jego czasów „Gazeta Warszawska" miała najwięcej czytelników pod zaborem rossyj-

[1]) List z d. 21 listopada 1889. Ms.

skim. Rzuć się Pan na tę drogę, a przekonasz się wkrótce, że to i Pismu Pańskiemu posłuży i zrobi Panu pewne stanowisko w tworzącej się nowej literaturze."

W listach do pani Jadwigi Liskowej i innych nie brak takich wzmianek melancholijnych. To skarży się, że jest „jak duch, zjawiający się nocą na cmentarzyskach", to się użala, że *„le vent ne souffle pas de son côté"*, że nie znajduje już ani czytelników, ani wydawców. Dla kogo pisać, gdy tego nikt nie czyta? pytał z żalem. Nie mógł się jednak oprzeć pokusie układania rozmaitych materyałów i robienia notatek do różnych rzeczy, które chciałby jeszcze napisać. „Wszystko to — dodawał zaraz — są złudzenia, bo ja już nic nie napiszę, — a jeślibym co napisał, to by się to na nic nie przydało." [1]).

Na dolegliwości fizyczne szukał ulgi to w Gastein, to w Wildbad, to w Spa i często ją znajdował; na utrapienia moralne nie było rady. A ścigały go one niemal do ostatnich lat życia. W strasznej katastrofie wiedeńskiej, w pożarze Ringteatru, dawniejszej Opery komicznej, d. 8 grudnia 1881 r., zginął w liczbie sześciuset kilkudziesięciu ofiar, Kaczkowski, uczeń, jak zanotowała „Gazeta Lwowska" w Nr. 282, z dnia 12 grudnia. Kaczkowski ten, dorastający już młodzieniec, był to, jedni mówili syn, a podług innych bratanek Zygnunta, syn jego rodzonego brata Waleryana, oficera wojsk austryackich, który zginął w Meksyku, w czasie nieszczęśliwej wyprawy Arcyksięcia Maksymiliana. W tym też czasie listy Kaczkowskiego do Smarzewskiego Seweryna mają żałobne obwódki. Te żałobne obwódki ukazują się znowu na jego listach w r. 1886 i 1892. To są daty śmierci jego siostrzenicy, Kazimiery Mikoszewskiej, i jego siostry rodzonej, Emilii Mikoszewskiej. Jakkolwiek niezbyt skory do zwierzeń, przyznawał Kaczkowski w liście do pani Jadwigi Liskowej [2]), że „ma familijne zgryzoty, które są prawie tragicznej natury, a które go męczą w sposób niewysłowiony".

Te familijne zgryzoty, to był zapewne nieszczęśliwy los starszej siostry jego Emilii, zamężnej Mikoszewskiej. Kaczkowski spotykał się wprawdzie bardzo rzadko z tą swoją siostrą, a od czasu jej zamążpójścia w r. 1860 widział się z nią tylko raz jeden w r. 1878, kiedy bawił parę tygodni we Lwowie, gdzie pp. Mikoszewscy stale mieszkali. Niewątpliwie jednak interesował się losem tej jedynej już swojej siostry — losem jak najnieszczęśliwszym. Mąż

[1]) do pani Jadwigi Liskowej z Paryża, z d. 4 marca 1893. Ms.
[2]) z d. 24 lipca 1891. Ms.

jej, radca sądowy we Lwowie, złożony obłożną chorobą, przez lat pięć pozbawiony przytomności umysłu, zmarł, nie będąc w stanie zabezpieczyć utrzymania rodzinie, która znalazła się w ostatecznym niedostatku. Synek zgasł w ósmym roku życia. Córka Kazimiera w ośmnastym czy dwudziestym roku życia zapadła na groźną anemię, a gdy nie było odpowiednich środków do radykalnej kuracyi, zmarła z wycieńczenia w r. 1886, — wreszcie w kilka lat później zakończyła życie i jej matka, o czem doniósł Kaczkowski pani Jadwidze Liskowej w pełnym serdecznego bolu liście, z d. 10 września 1892 r.

Zygmunt Kaczkowski — wątpić się nie godzi — śpieszył tej swojej zubożałej rodzinie z materyalną pomocą. Snadź jednak nie była ona dostateczną i zapewne być nie mogła, albowiem podówczas fortuna Kaczkomskiego, mocno stratami giełdowemi nadszarpnięta, była przytem w ciągłym obrocie, zaangażowana w rozmaitych przedsiębiorstwach. W tem tkwił może ów tragizm „familijnych zgryzot" na który użalał się Kaczkowski.

Z wiarygodnych relacyj wiemy, że pomagał on chętnie rodakom na emigracyi, chociaż unikał pilnie takich, których posądzał o chęć „naciągania". „Polaków, którzy nie byli podejrzani o chęć taką — pisze nam świadek naoczny p. Adolf Wład. Inlender — przyjmował bardzo uprzejmie i szczerze, przez swoje stosunki im pomagał." Wiemy zkądinąd, że zdarzało się, że spotkawszy na ulicy znajomego rodaka i wypytawszy o jego stosunki, a domyślając się niedostatku, zapraszał go na obiady. W sprawach jednak emigracyjnych, sam nie będąc właściwie emigrantem, nie brał udziału. W liście do Adama Krechowieckiego [2]) pisze:

„Od kilku miesięcy wychodzą tutaj dwa pisma, jedno nowe: „Głos Polski", a drugie przekształcone z dawnego Gillerowskiego Kuryera: „Wolne Polskie Słowo". Jeden z panów polskich, mój bardzo dawny znajomy, którego przed trzema tygodniami tutaj widziałem, powiadał mi, że w Galicyi obiega wieść, jakoby „Głos Polski" był założony i dyrygowany przezemnie. Jeżeli ta wieść się oprze także o Pana, chciej Pan jej stanowczo zaprzeczyć. Ja, nie będąc emigrantem, nie biorę udziału w żadnych zgoła robotach emigracyjnych, ani nawet na żadnych naradach emigracyjnych nie bywam, chociaż z wielu stron jak najusilniej się o to starano. Moja styczność z emigracyą ogranicza się na tem, że

[1]) List z d. marca 1917 r.
[2]) z Paryża, z d. 26 października 1887 r. Ms.

chyba do każdej składki dam parę groszy, do której mnie zaproszą. „Głos“ został założony podczas mojej nieobecności w Paryżu i jest organem Czytelni polskiej, do której ja nie należę. Jego redaktorem jest prof. Gasztowtt. Jest to zresztą pismo przyzwoite, bardzo umiarkowane i Austryi przychylne i nie wątpię, że takiem zostanie, przynajmniej dopóki Gasztowtt będzie jego redaktorem. „Wolne Słowo“, to znów co innego. Jest to jakiś bigos socyalistyczno-rewolucyjny, którego inspiratorem, czy nawet redaktorem, jest T. T. Jeż... którego odwiedziłem w Genewie, a który potem wierutne głupstwa o mnie popisał w „Przeglądzie Tygodniowym“.

W odsobnieniu swem myślał jednak Kaczkowski ciągle o podjęciu rozmaitych prac literackich. O tych zamiarach wspomina nieraz w listach do pani Jadwigi Liskowej. Zaczynał pisać monografię Wincentego Pola, to znów pamiętniki własne. Skończyło się na znanem już dziełku, wydanem po śmierci Autora, p. t. „Mój Pamiętnik“. Miał także na myśli pisać „Historyę Emigracyi“, i tu skończyło się jedynie na jednym tomie powieści p. t. „Wasi Ojcowie“.

Ostatnim utworem Kaczkowskiego, wydanym bezimiennie w r. 1893, po niemiecku, była broszura polityczna o działalności ks. Bismarcka. Wyjątki z tej broszury, w przekładzie polskim, podał „Przegląd“ lwowski w r. 1894. Jako rzecz polityczna nie wchodzi ona w zakres niniejszego studyum; podajemy wszakże o niej to, co w tym przedmiocie pisał sam Kaczkowski do pani Jadwigi Liskowej. I tak w liście z Paryża, z dnia 4 marca 1893 r.[1]), czytamy:

„Pod koniec przeszłego roku, kiedy Bismarck w swoich konwersacyach z dziennikarzami nas tak zmaltretował, że nas całej Europie jako parszywe owce przedstawił, które wybić należy, widząc, że żaden Polak mu na to nie odpowiedział, napisałem broszurę po niemiecku, w której w imieniu Polaków dałem mu gruntowną odprawę. Pisząc tę rzecz nietylko dla Polaków, ale dla Europy, stanąłem na stanowisku wyższem nad politykę codzienną i rozebrałem jego czyny, jego charakter i jego moralne zasady z tego punktu widzenia, na którym swego czasu stanie historya. Miałem wzgląd na to, ażebym pociągnął na swoją stronę jak najwięcej ludzi myślących we wszystkich krajach, a o Polakach powiedziałem tylko to, czego nikt sprawiedliwy nie może zaprzeczyć...“

[1]) Zbiór Biblioteki Ossolińskich. Ms.

W jednym z następnych listów[1]) użala się Kaczkowski, że o tej broszurze żadne z pism polskich nie uczyniło wzmianki.

„O mojej broszurze przeciw Bismarckowi — pisze — niemieckie Dzienniki i Przeglądy dotychczas już przeszło dwadzieścia artykułów napisały, ale z polskich pism peryodycznych, o ile wiem, jeszcze żadne ani jednem słowem o niej nie wspomniało. O dziurach w prowincyonalnych mostach piszą sążniste rozprawy, ale jeżeli ktoś się w sprawie, obchodzącej całą Polskę, do Europy odezwie, to nie mają nawet trzech wierszy, ażeby ogłosić, że rzecz napisana w obronie polskiego narodu wyszła z druku. Pewien dziennikarz polsko-rossyjski, który mnie tymi dniami odwiedził, zapytany o to przezemnie, powiedział mi, że to się stało z dwóch powodów: raz dlatego, że pisma konserwatywne, skazawszy mnie na śmierć, nie chcą się przyczynić do dania mi nowego rozgłosu, — a powtóre dlatego, że broszurę tę w tłumaczeniu ogłosił „Przegląd“ lwowski, zaczem dzienniki liberalne uważały za swój obowiązek pokryć ją milczeniem. Gdyby tak było, gdyby nad interesami całego polskiego narodu panowały interesa osób i stronnictw, to przyszłoby już porzucić wszystkie nadzieje, bo z takiej matni sprawa polska nie potrafiłaby się już nigdy wydobyć. Ja w to nie wierzę, a to tem mniej, ileże broszura ta wyszła bezimiennie, a przeto jej autora nie można o to posądzić, aby szukał dla siebie rozgłosu. Ale teraz broszura ta się może nareszcie przez te zaściankowe niechęci przebije, albowiem berliński Przegląd: „Das zwanzigste Jahrhundert“ przyniósł w swoim zeszycie kwietniowym pierwszą jej krytykę, w której wypowiedział dwa zdania niezmiernej wagi: naprzód przyznaje mi słuszność — a mówi to Prusak, — że żelazem na cudzej skórze zjednoczone i pruskiej hegemonii poddane Niemcy, nie ziściły ideału niemieckiego narodu i w tej postaci nie mają zapewnionej przyszłości, — a potem powiada, że też Niemcy, nie mogąc jednocześnie stać na stopie wojennej z Polską i Rossyą, muszą pomiędzy niemi wybierać, a nie mogąc w żaden sposób pobratać się z Rossyą, muszą koniecznie jakoś porozumieć się z Polakami.“

I jeszcze w liście, z d. 16 maja 1894 r., pisze do pani Jadwigi Liskowej[2]):

„Z moją broszurą niemiecką niech Pani nie zadaje sobie wiele zachodu. Zdarza mi się tu czasem widzieć rozmaitych ludzi, przy-

[1]) z d. 23 kwietnia 1894 r., l. c.
[2]) Zbiór Biblioteki Ossolińskich. Ms.

jeżdżających z Galicyi; wszyscy mi mówią, że Galicya zajęła teraz stanowisko europejskie. Ja czytam dzienniki francuskie, angielskie i włoskie i nie widzę wcale, ażeby się który z nich zajmował tym krajem. O tem, co się dzieje w tym kraju, nigdy ani wspomnienia niemasz w tych dziennikach, jeżeli też czasem, a i to bardzo rzadko, który z nich, mówiąc o posiedzeniach wiedeńskiego Reichsratu, musi z konieczności wspomnieć o jakim mowcy albo ministrze Polaku, to zawsze nazywa go Galicyaninem, a nigdy Polakiem. Tak samo i Stanisława Rzewuskiego, o którym z powodu jego dramatów często piszą zachodnio-europejskie dzienniki, wszystkie nazywają go Slave, nigdy Polonais. Tylko dzienniki niemieckie jeszcze się nami zajmują i nazywają nas zawsze Polakami, zaczem tylko przez nich mamy jeszcze otwartą drogę do Europy. Dlatego też ja moją broszurę napisałem nie po francusku, tylko po niemiecku. Dzienniki niemieckie ją wielokrotnie podniosły i jeszcze ciągle podnoszą, i zawsze jako rzecz polską; jeżeli Galicyi, zadowolonej tem „stanowiskiem europejskiem“, jakie w swem rozumieniu zajęła, to jest obojętnem, to nie warto się tem dalej zajmować.“

Na powieści Święta Klara“, o której mówiliśmy powyżej, i na napisaniu tej niemieckiej broszury, wydanej bezimiennie, kończy się działalność pisarska Zygmunta Kaczkowskiego. Dwa dalsze, ostatnie lata jego życia były już tylko powolną agonią.

Do ostatnich jednak czasów myślał jeszcze o napisaniu swych pamiętników. „Jeżeli kiedy moje pamiętniki napiszę — czytamy w liście jego do pani Jadwigi Liskowej [1]), — a mianowicie jeżeli je posunę po za rok 1864, to tam opowiem wiele rzeczy, którem widział i słyszał w sferach dyplomatycznych europejskich. Ale to jeszcze daleka droga. Te pamiętniki zacząłem już pisać przeszłego roku i napisałem około stu kartek, alem je przerwał, bom spostrzegł, żem je zanadto zacieśnił. Czyli i kiedy się znów do nich zabiorę, to będzie zależeć od stanu mego zdrowia, zwłaszcza, że to jest praca, wymagająca nietylko natężenia pamięci, ale także grzebania w notatkach i korespondencyach, których przez tyle lat całe stosy mi się nazbierały. Jeżeli zaś wrócę do tej roboty, to moim celem będzie przedewszystkiem opisanie lat od 1833—1864, kiedy mieszkałem w kraju i na ówczesne wypadki z bliska patrzałem. Pamiętnik taki, zwłaszcza z lat 1833—1849, napisany przez naocznego a bezstronnego świadka tych czasów, byłby pożytecznym, a mojem zdaniem nawet potrzebnym, bo społeczeństwa mają krótką

[1]) z d. 16 maja 1894. Zbiór Biblioteki Ossolińskich. Ms.

pamięć, zazwyczaj wnuk już nie wie, co się działo za jego dziada, a u nas przyczynia się jeszcze do wykrzywienia przeszłości zaślepiona walka stronnictw, które się biją nietylko pomiędzy sobą, ale także na plecach ojców i dziadów swych przeciwników. Bezstronnie osądzić tę przeszłość może tylko ktoś taki, kto ją sam widział, a dziś nie należy do żadnego stronnictwa. Owóż te czasy, które były przepełnione niezliczonymi spiskami, a skończyły się dwoma rewolucyami w r. 1846 i 1848, dla kogoś takiego, jak ja, który znał wszystkich znamienitszych ludzi ówczesnych i sam był wszędzie, gdzie było gorąco, to już jest gmach wielki, na którego pomieszczenie co najmniej kilku tomów potrzeba, — ale też to tylko może dla polskiego czytelnika być zajmującem; to zaś, com później widział i słyszał w moich wędrówkach po całej Europie zachodniej, choćby się tam znajdowały rzeczy bardzo ciekawe, jest dla polskiego ogółu prawie całkiem obojętne, bo przez ten czas w tej części świata o polskiej sprawie wcale mowy nie było. Jednak, jak powiedziałem, napiszę i to, — jeżeli siły wystarczą.“

Nie wystarczyły! Do dawnych cierpień płucnych i reumatyzmowych przyłączyły się zastarzałe niedomagania pęcherzowe, które położyły kres temu życiu, obfitemu w wypadki, bole i rozczarowania.

Od r. 1894 przeczuwał Kaczkowski bliski swój koniec i dlatego usiłował uporządkować swoje interesy materyalne, rozproszone w rozmaitych przedsiębiorstwach. Jaki majątek zostawił po sobie? tego dziś zbadać niepodobna. Wedle podania ś. p. Eugeniusza Korytki, najbliższego w ostatnich czasach przyjaciela Zygmunta, [1]) wszystko, co on posiadał, aż do mieszkania i mebli, zapisał swej, od lat 32 towarzyszce życia, Francuzce, Maryi Cayez, z którą na trzy miesiące przed śmiercią wziął ślub, a która wychowała mu od dzieciństwa, od 6 roku życia, owego syna czy bratanka, który jako student zginął w pożarze Ringteatru w Wiedniu. Tejże żonie zapisał całe swe mienie. Były to papiery wartościowe, jednak bez żadnej wartości, jak n. p. akcye kopalni węgla w Siedmiogrodzie, czy na Węgrzech, coś na 1,700.000 koron. Kopalnie te nie były nigdy eksploatowane, to też wdowa, pani de Pomian, za radą prawników zrzekła się tego spadku, który mógł ją drogo kosztować, gdyż akcye nie były całkowicie spłacone. Nadomiar rodzina Kacz-

[1]) List Eugeniusza Korytki do Adama Krechowieckiego z Paryża, z d. 18 kwietnia 1914. Ms.

kowskiego groziła wdowie procesem, lecz w obec zrzeczenia się spadku sprawa ta upadła.

Była to rodzina dalsza, bo krewnych z ojca Kaczkowski już nie miał, po śmierci sióstr obu, brata Waleryana i owego domniemanego synowca. Wystąpić więc chcieli do sporu niektórzy członkowie rodziny Niklewiczów, do której należeli urodzeni z Ludwiki z Niklewiczów Zbrożkowej, Piotr Zbrożek, sekretarz magistratu z Rohatyna, siostra jego Helena Sochaniewiczowa z Bursztyna, Walerya z Niklewiczów Zbiegieniowa z Gródka, Aniela z Niklewiczów Ablewiczowa z Radymna, wreszcie ciotka Zygmunta, Józefa z Niklewiczów Kwiecińska, mieszkająca w Tarnawce niżnej w powiecie Turczańskim. [1])

O tej rodzinie swojej, zubożałej zapewne i nazwiskami rodowemi nie błyszczącej, nie wspominał nigdy Zygmunt Kaczkowski i prawdopodobnie nie miał z nią żadnych stosunków. Jednakże jakto wynika z listu Ludwiki Zbrożkowej, pisanego do ś. p. Eugeniusza Korytki z d. 24 września 1896 [2]), biblioteka jego, zapewne bogata, pozostała w przechowaniu u tej p. Zbrożkowej w Rohatynie, a częścią u jej córki Heleny Sochaniewiczowej w Bursztynie. „Wyraźnej woli co do tej Biblioteki — wedle twierdzenia ś. p. E. Korytki — Kaczkowski nie zostawił.“ Przypuszczał jednak Korytko, że „żonie swej, zostawił on nie testamentem, lecz za życia taką fortunę, że może żyć skromnie, ale przyzwoicie.“ Wdowa wszakże, zaprzeczyła temu i w rozmowie z Korytką oświadczyła, że mąż nic nie zostawił, i że ona sama w ciągu wspólnego z nim pożycia, zaoszczędziła sobie tyle, że może żyć spokojnie. [3])

Prawa swe autorskie przekazał Kaczkowski testamentem Towarzystwu historycznemu we Lwowie.

Smutne, przerażająco smutne musiały być ostatnie lata życia Zygmunta Kaczkowskiego. Udziału w sprawach publicznych nie miał już żadnego, co dla nawykłego do ruchu i działania, musiało być samo przez się wielką przykrością. Dopóki jeszcze wychodził dwutygodnik „Głos Polski“, wydawany przez Wacława Gasztowtta, a w skład redakcyi którego wchodzili emigranci z r. 1863: Ludwik Dygat, Józef Gałęzowski, Eugeniusz Rubach, całe to grono schodziło się w mieszkaniu Kaczkowskiego. Na tych zebraniach mógł on jeszcze dać folgę swej werwie i rozprawiać żywo a gorąco o sprawach politycznych, a przedewszystkiem o Polsce. [1]) Lecz „Głos Polski“ upadł z braku funduszów, a odtąd zabrakło Kaczkowskiemu i tego żywiołu. W organie tym pisywał on krótkie notatki najczęściej z Galicyi, a zamieścił tam także dłuższy artykuł o ks. Waleryanie Kalince, w którym to artykule, polemizując z oceną pism Kalinki, zamieszczoną w „Przeglądzie Polskim“, popuścił jeszcze raz wodze swej niechęci do autora „Czteroletniego Sejmu“ i „szkoły krakowskiej“.

Z każdym odtąd upływającym rokiem ogarniała go większa pustka. „Inny teraz świat — skarżył się — może on mnie nie rozumie, a może i ja jego nie rozumiem!“ Gryzło go to, że o nim i jego pracach dzienniki milczą; czasem pocieszał się tem, — smutna pociecha! — że po jego śmierci dużo o nim pisać będą, bo on zawsze w swoich dziełach poruszał sprawy żywotne dla społeczeństwa.

I to niewątpliwie jest prawdą. We wszystkiem, co pisał, a zwłaszcza w swych powieściach współczesnych, Kaczkowski miał pewien cel społeczny na oku, jakąś mniej lub więcej wyraźną tendencyę, która też nieraz przynosiła uszczerbek artystycznej ich stronie, lecz nadawała im zarazem trwalszy charakter. Werwa polemiczna, której nigdy pohamować nie umiał, zawziętość stronnicza i upor w raz powziętych uprzedzeniach zrażały do niego zarówno stronnictwa całe jak i ludzi. Gasł samotny na obczyźnie, bez krewnych i niemal bez przyjaciół. A im bliżej było końca, tem dotkliwiej dawała mu się odczuwać krzywda, wyrządzona jego patryotycznym uczuciom w r. 1863. Myśl o tej krzywdzie gryzła go nieustannie.

„W ostatnich dwóch miesiącach swego życia — pisze Eugeniusz Korytko [2]) — przysyłał prawie codziennie po mnie i mówił ze mną prawie wyłącznie o swej „sprawie“ z r. 1863. Ta sprawa bolała go nie wymownie; oddał mi swoją obronę, napisaną własnoręcznie [3]), zaklinał, żebym bronił jego czci i honoru, mówiąc, że spokojnie umrze, jeśli mu dam przyrzeczenie, że bronić go będę w razie, gdyby ta sprawa była jeszcze przeciw niemu podniesiona. To był ostatni ból, ostatnia męczarnia człowieka niewinnego.“

---

[1]) Ze zbiorów rapperswilskich. Ms.
[2]) Ze zbiorów rapperswilskich. Ms.
[3]) Z przytoczonego powyżej listu E. Korytki.

[1]) Z listów Korytki w mojem posiadaniu.
[2]) List do Adama Krechowieckiego z Paryża, z d. 18 kwietnia 1914 r.
[3]) Ś. p. E. Korytko złożył ją w Muzeum rapperswilskiem. Przytoczyliśmy ją dosłownie w miejscu właściwem.

Wreszcie dnia 18 sierpnia 1896 Eugeniusz Korytko otrzymał od Kaczkowskiego kartkę następującej treści:

„Proszę Pana kochanego zajść do mnie dziś, albo którego z następnych dni, najlepiej między 3 a 6½ po południu; muszę Panu zrobić pewną komunikacyę, jednak nic nieprzyjemnego dla Pana. Szczery przyjaciel *Z. Kaczkowski.*“

W parę dni później, dnia 22 sierpnia, nowy liścik, pisany ołówkiem na kartce małej, zwykłego papieru:

„Mimo wszystko dwie najważniejsze rzeczy przecież się zapomniało; dlatego proszę Pana, abyś był łaskaw wpaść do mnie między 3 a 6½ celem wysłuchania deklaracyi oficyalnej testamentowej. Cała konferencya będzie trwać 10 minut, a dla mnie będzie to ulga ogromna.“

O treści tej deklaracyi dowiadujemy się z pisma Kaczkowskiego do Eugeniusza Korytki. Pismo było zapieczętowane w kopercie i zaadresowane ręką Kaczkowskiego, ołówkiem, pismem bardzo już drżącem:

À Mr. Korytko. 45. rue de Trévise.

À lui remettre en cas de ma mort.

Na podłużnej kartce zwykłego papieru czytamy, także własnoręcznie przez Kaczkowskiego skreślone, te słowa:

„Na kilka dni przed śmiercią p. Zygmunta Kaczkowskiego było u niego kilku Polaków i była mowa o tem, z jaką łatwością rzuca się podejrzenia na rodaków, często już wtedy, kiedy jeszcze ich grób trawą nie porósł. Z tego powodu rzekł Kaczkowski: „Korzystam ze szczęśliwego wypadku obecności Panów u mnie, aby im zrobić solenną deklaracyę z prośbą podania jej dalej, a w danym razie nawet do wydrukowania w dziennikach: że ja nie mam ani jednej łzy bratniej, ani jednego grosza nieuczciwie zarobionego, a wreszcie ani jednej kropli krwi ludzkiej na mojem sumieniu.

„Do tego dodaję z równym naciskiem, iż schodzę z tego świata, nie zostawiając ani grosza długu, żadnego niedotrzymanego zobowiązania, żadnego danego przyrzeczenia, któregobym nie dopełnił.“

„Może lepiej — dorzucił Kaczkowski — tę część opuścić, bo każda deklaracya, im krótsza, tem jest silniejsza.“

Istotnie ostatni ustęp od słów: „Do tego dodaję“ przekreślony jest ołówkiem.

U dołu jeszcze słowa:

„Na wypadek potrzeby stwierdzam tę deklaracyę własnoręcznym podpisem. *Zygmunt Kaczkowski.*“ [1])

Z tego się okazuje dowodnie, że Kaczkowski obawiał się, aby owa „sprawa“ jego z r. 1863 nie była jeszcze raz wznowiona po jego śmierci. Powyższą więc deklaracyą, złożoną w ręce przyjaciela, pragnął bronić swojej czci z za grobu. — To była jego troska, jego myśl ostatnia. A ztąd wnosić można, jak bardzo on cierpieć musiał, zmuszony żyć tak długo, wśród obcych, z żywą zawsze w sercu tęsknotą za krajem, z ciężarem owego „brzydkiego“ wyroku lwowskiego na duszy.

Zgasł spokojnie, bez cierpień konania, z rana o godzinie 6-tej, dnia 7 września 1896 r., o czem żona jego natychmiast doniosła egzekutorowi testamentu i wiernemu przyjacielowi zmarłego, Eugeniuszowi Korytce.

Zwłoki złożono na cmentarzu w Montmorency. Na pogrzeb przybyło niewiele osób. Jako delegat Akademii Umiejętności przybył dr. Józef Korzeniowski, a prócz niego byli obecni: Władysław Mickiewicz, Wincenty Kosiakiewicz, oraz grono literatów. Nad grobem w ciepłych słowach przemówił dr. Józef Korzeniowski. [2])

Na kartkach żałobnych widniał napis: *Sigismond de Pomian Kaczkowski. Historien, publiciste et romancier polonais.*

Wdowa wzniosła na mogile piękny nagrobek, na którym jest napis w języku polskim i francuskim, ułożony przez p. Wacława Gasztowtta:

Zygmunt Kaczkowski. Urodzony w r. 1826 w Bereźnicy [3]), *umarł w Paryżu 7 września 1896.*

Całe życie walczył piórem za Ojczyznę.

Sigismond Kaczkowski. Né en 1826 à Berežnica (Pologne) mort à Paris le 7 septembre 1896.

A combattu toute sa vie par la plume pour la cause de sa Patrie.

„Całe życie walczył piórem za Ojczyznę!“ I to jest niewątpliwie prawdą. Miłość Ojczyzny kierowała zawsze jego piórem; pragnął Jej dobra, szukał go czasem w niewłaściwych kierunkach, dając się unosić swemu temperamentowi, ambicyi, nie-

---

[1]) Ze zbiorów rapperswilskich. Ms.
[2]) „Wędrowiec“, 1869.
[3]) Jak nam wiadomo, daty te są mylne.

chęciom stronniczym, goryczy, ale na dnie wszystkich jego działań i pism gorzała zawsze pełnym płomieniem ta miłość, spotęgowana później jeszcze nieukojoną tęsknotą. Wśród wiru spraw dyplomatycznych, publicystycznych i finansowych, nie zapomniał Kaczkowski nigdy, że jest Polakiem. Takim objawia się on nam w swoich listach, z których przytoczyliśmy najważniejsze wyjątki. W nich, że powtórzymy jego słowa, „rozdziera on istotnie swoją sukmanę na piersiach“. Ukazuje nam swój umysł bystry, lotny, niepospolity wiedzą i talentem, ogarniający szerokie horyzonty, i swoje serce, przesiąknięte wprawdzie goryczą, tryskające czasem płomieniami gniewu i zawiści, odczuwające do ostatniej chwili doznaną krzywdę, kurczące się nieraz w nadmiernym bolu, ale miłości Ojczyzny zawsze pełne i tęskniące do niej, aż do ostatniego tętna.

W listach tych staje przed nami cały, niepospolity człowiek, ze wszystkiemi wadami swemi i zaletami, z długoletniem cierpieniem swem i smutkiem tułaczym. Ukazanie go w tem świetle było jednym z celów tej pracy, pisanej *sine ira et studio*.

Lwów, 1914—1917.

UNIWERSYTET WARSZAWSKI BIBLIOTEKA Filia w B-stoku

86581

TREŚĆ.

str.

ROZDZIAŁ I.: Rodzina Kaczkowskich, herbu Pomian. — Rodzice i dziadkowie. — Pierwsze wpływy. — Atmosfera otoczenia. — Pierwsze studya. — Kaczkowski o spiskach ówczesnych. — Uniwersytet . . . . . 1—29

ROZDZIAŁ II.: Na własnym gruncie. — Galerya szlachty sanockiej. — Pierwsze utwory literackie: „Uwagi nad moralnemi chorobami“; powiastka: „Tuz“. — Wiersz: „Czem nie marzyć?“ — Stosunki z Kornelem Ujejskim. — Rok 1846. — Bracia Wiesiołowscy. — Rozmowa z Wincentem Polem. — Powstanie w Sanockiem. — Jerzy Bułharyn. — Uwięzienie Ignacego i Zygmunta Kaczkowskich. — Dwuletnie więzienie. — Wyrok śmierci. — Amnestya. — Sąd późniejszy Kaczkowskiego o r. 1846. — Zamiar pisania powieści na tle spisków. — Wyjątek z listu Jana Zachariasiewicza . . . . . 30—52

ROZDZIAŁ III.: Rok 1848. — Atmosfera tych czasów. — Sprawa Pola i Dzierżkowskiego. — Wyjście Kaczkowskiego z więzienia. — Usunięcie się Kaczkowskiego od działań na polu politycznem. — Ówczesne jego utwory wierszem. — Przekład wiersza Saphira na cześć poległych Wiedeńczyków. — Wiersze: „Jeszcze Polska nie zginęła“, „Fantazya“, „Do wieszczów polskich“, „Polska i Ty“. — Utwór prozą: „Obrazek z powstania 1846 r.“. — Wspomnienia pośmiertne: Kajetana Dydyńskiego i Pauliny Boguszowej. —

str.

Wiersz: „Rendez-vous“. — Poemat: „Ninive. — Wiersze: „Herburt“, „Dwie gwiazdy“, „Zapomnieni“. — Zapał dla siermiężnego ludu. — Zniesienie pańszczyzny. — List Ferdynanda Cieleckiego. — Wiersz: „Sielanka“. — Cztery sceny z dramatu: „Dwa pokolenia“. — Utwory prozą: „Rozbiory krytyczne“; powiastka: „Braciszek“. — Początek popowieści: „Dziedzic Strwiążyka“. — Liberalizm Kaczkowskiego. — Jego poglądy na poezye Krasińskiego i Słowackiego. — Artykuły w „Tygodniku Lwowskim“. — Surowy sąd o społeczeństwie. — Sprawa Zakładu narodowego im. Ossolińskich. — Kaczkowski i Szajnocha. — Rok 1850. — Gosslar 53—89

ROZDZIAŁ IV.: Korespondencye Kaczkowskiego ze Lwowa do krakowskiego „Czasu“. — Powiastka; „Kato“. — Jego opinia o r. 1846 i o tych, którzy wywołali powstanie. — Zdanie o kobiecie. — „Bitwa o chorążankę“. — „Kasztelanice Lubaczewscy“. — Powieści Nieczujowskie. — Charakterystyka Nieczui przez samego Kaczkowskiego w przeciwstawieniu do Soplicy Rzewuskiego. — Dalsze powieści Nieczujowskie: „Junakowie“, „Swaty na Rusi“, „Mąż szalony“, „Murdelio“. — Scysya z prasą warszawską. — List Lesznowskiego. — Typy niewieście. — Siła fatalna uczucia miłości. — „Gniazdo Nieczujów“, „Starosta Hołobucki“, „Grób Nieczui“. — Ogólna charakterystyka tych powieści i samego Nieczui. — Poczytność tych utworów. — List Ksawerego Preka. — Listy wydawców: Antoniego Lesznowskiego z Warszawy i Karola Wilda ze Lwowa . . . . . 90—132

ROZDZIAŁ V.: Wyjazd Kaczkowskiego ze Lwowa do Krakowa. — Franciszek Wężyk i Kajetan Koźmian o Kaczkowskim. — Zdania ich o jego powieściach. — Przybycie Deotymy do Krakowa. — Kaczkowskiego „List do Redaktora „Gazety Warszawskiej“ o improwizacyach Deotymy i ostra polemika z tego powodu. — Niepopularność Kaczkowskiego w Krakowie. — Gra w karty. — Awantura z Mikołajem

str.

Bołoz-Antoniewiczem. — Wyjazd Kaczkowskiego do Brukseli i Paryża. — Staranie się Kaczkowskiego o rękę panny Pauliny Ratajskiej. — Zerwanie tych matrymonialnych zamiarów. — Niedoszły pojedynek z Antoniewiczem. — Odwiedziny Zygmunta Krasińskiego w Heidelbergu, wedle rękopiśmiennej notatki Kaczkowskiego. — Zdania Kaczkowskiego o Krasińskim i jego poezyach, zawarte w listach do pani Jadwigi Liskowej. — Powieści: „Bracia ślubni“, „Bajronista“, „Dziwożona“, „Wnuczęta“. — Z listów do Seweryna Smarzewskiego. — Różne projekty. — Zamierzony dramat z czasów Bolesławowskich. — Zdania o emigracyi paryskiej i o „Wiadomościach Polskich“. — Projekt wyjazdu do Warszawy i objęcia redakcyi pisma politycznego. — Listy Antoniego Ostrowskiego. — „Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych“. — Powieści: „Sodalis Marianus“. — Zdania o kobietach. — „Rozbitek“ . . . . . 133—215

ROZDZIAŁ VI.: Powieść: „Żydowscy“. — Polemika nią wywołana. — List Kaczkowskiego do Augusta Bielowskiego w tej sprawie. — List Kaczkowskiego do Edmunda hr. Krasickiego o J. Dzierżkowskim i demokracyi. — Zabiegi w sprawie założenia pisma, mogącego podjąć walkę z koteryą J. Dobrzańskiego i K. Ujejskiego. — Konferencye przedstawicieli stronnictwa zachowawczego. — Zdania: Seweryna Smarzewskiego, A. Z. Helcla, Ludwika Skrzyńskiego, Kazimierza hr. Wodzickiego. — Założenie „Głosu“. — Program pisma. — Kaczkowski w Paryżu. — Rokowania z Hotelem Lambert i redakcyą „Wiadomości Polskich“. — Pobyt w Warszawie. — Przyjęcie u państwa Łuszczewskich; improwizacya Deotymy; uczta w „Resursie nowej“. — Zabiegi i starania ks. Adama Sapiehy. — 72 akcyonaryuszy „Głosu“. — Polemika, obudzona ukazaniem się tego pisma. — Agitacya wyborcza. — Kaczkowski chce wystąpić jako kandydat na posła. — List jego do Edmunda hr. Krasickiego. — Niezadowolenie z Kaczkowskiego i niepopularność wśród ziemian. — Listy ks. Adama

str.

Sapiehy. — Siły redakcyjne „Głosu“. — Proces karny wytoczony Kaczkowskiemu. — Skazanie na dwa lata więzienia. — Projekty literackie Kaczkowskiego. — Listy do dr. Karola Kaczkowskiego. — Opis Lwowa i jego towarzystwa. — Listy do Wincentego Rogalińskiego. — Wyjątki z rozprawy o żywotności narodu polskiego. — Zapowiedź powieści: „Związek braterski“. — Wyjątki z niedrukowanej i nieskończonej powieści: „Wójtowicz Pilzneński“. — List Kaczkowskiego do Edmunda hr. Krasickiego. — Upadek stanowczy „Głosu“. — Deficyt. — Pismo Kaczkowskiego do akcyonaryuszy tego dziennika. — Ułaskawienie — Zwrócenie praw szlachectwa i obywatelskich. — Korespondencya z J. I. Kraszewskim. — „Album Lwowskie“ i artykuł Z. Kaczkowskiego o literaturze polskiej . . . . . 216—288

ROZDZIAŁ VII.: Działalność Kaczkowskiego po wyjściu z więzienia w r. 1863. — Komitet „Sapieżyński“ Galicyi wschodniej. — Komitet miejski. — Pierwsze oskarżenia przeciw Kaczkowskiemu. — Jego wizyty u dyrektora Policyi Hammera. — Śledzenie Policyi Narodowej. — Zeznanie „Kruka“. — Projekt założeuia Biura prasowego i wydawnictwa organu Rządu Narodowego. — Wyjazd Kaczkowskiego do Krakowa i Wiednia. — Denuncyacye. — Pisma hr. Mensdorffa-Pouilly i radcy Namiestnictwa Summera. — Niedokładne tłumaczenie tych dokumentów w „Wydownictwie Materyałów do Historyi Powstania“. — Cyfry, mające oznaczać nazwisko Kaczkowskiego. — Zeznania Twardzickiego czy też Twardowskiego. — Potworne pogłoski i plotki we Lwowie. — Raport urzędowy dr. Lutostańskiego, dyrektora Policyi narodowej. — Powrót Kaczkowskiego do Lwowa. — Cofnięcie poręki za bezpieczeństwo osobiste Kaczkowskiego. — Skład sądu. — Opinia dr. Maurycego Kabata. — Postępowanie zaoczne. — Równość głosów. — Przeważa głos przewodniczącego. — Wyrok „banicyi“. — Rząd Narodowy kasuje ten wyrok jako nielegalny i „brzydki“. — Podejrzana autentyczność „klucza“, za pomocą którego odczytać miano Kaczkowskiego nazwisko. — List Kaczkowskiego, pisany na wyjezdnem ze Lwowa i z kraju. — Przybycie do Wiednia. — Rozczarowanie. — Opinie Grocholskiego i Skorupki. — Rekurs Kaczkowskiego do Rządu Narodowego w Warszawie. — Wyjazd do Paryża. — Zachowanie się Hotelu Lambert. — Opinia generała Zamoyskiego. — Pierwsze kroki w dziennikarstwie francuskiem. — Tęsknota do kraju. — Rząd narodowy w Warszawie nakazuje złożenie nowego sądu w Paryżu. — Trudności, brak dokumentów. — Zabiegi Kaczkowskiego o zwołanie tego sądu. — Władysław Majewski. — Książę Adam Sapieha. — Kurzyna. — Pisma emigracyjne w tej sprawie. — Polemika. — Pozwolenie powrotu do kraju i pasport. — Zniechęcenie, a przytem plany na przyszłość. — Wydanie broszury: „Rewolucyjne sądy i wyroki. — Gotowość do kompromisu z Dobrzańskim. — Przyjazd do Lwowa. — Zabiegi o mandat poselski. — Niepowodzenie. — Wyjazd ponowny za granicę. — List Żaboklickiego (Majewskiego). — Wznowienie sprawy z r. 1863 przez „Wydawnictwo Materyałów do Historyi Powstania“. — Głos prof. dr. Ksawerego Liskego: „W imię prawdy“. — Odpowiedź Kaczkowskiego. — Jego sytuacya finansowa. — List adwokata Ludomira Lewandowskiego, odnoszący się do procesu z r. 1863 i udziału w nim Kornela Ujejskiego . . . . . 289—371

ROZDZIAŁ VIII.: Zygmunt Kaczkowski w sferach publicystycznych, politycznych i dyplomatycznych. — Stosunki z Ministrem Stanu hr. Belcredim. — Nominacya hr. Agenora Gołuchowskiego powtórnie Namiestnikiem Galicyi. — Pertraktacye w tej sprawie i warunki. — Kwestya Marszałkowska. — Pamiętniki ks. Leona Sapiehy. — Misye dyplomatyczne Kaczkowskiego. — Wydawnictwo „Morgenpost“. — Chwile zniechęcenia. — Plany publicystyczne. — Zamiar wydawania dziennika polskiego w Wiedniu. — Znaczenie Kaczkowskiego na polu dziennikarskiem. —

str.

str.

Listy jego w tej sprawie do Smarzewskiego pełne goryczy. — Krytyka literatury współczesnej. — Ciepła wzmianka o zmarłym Szajnosze. — Przedsiębiorstwa przemysłowe. — Naprężone stosunki z ks. Adamem Sapiehą. — Pozycya materyalna Kaczkowskiego. — „Banque des Provinces“. — Zamiar kupienia dóbr ziemskich w Galicyi. — Ponowne zabiegi o mandat poselski i ponowne niepowodzenie. — Rozgoryczenie z tego powodu. — Nienawiść do „Stańczyków“. — Zjadliwe zdanie o Galicyi. — Usposobienie sfer demokratycznych dla Kaczkowskiego. — Jego złudzenia w tym względzie. — „Teka Nieczui“. — Pamflet ten nie wywołuje wrażenia. — Przybycie do Lwowa. — Sprawa „Konfederacyi Narodu Polskiego“. — Powrót do Paryża. — Finansowe i przemysłowe spekulacye. — Widzenie się z Namiestnikiem Zaleskim w Paryżu. — Projekt amortyzacyi Listów zastawnych Towarzystwa kredytowego ziemskiego. — Zygmunt Sarnecki o Kaczkowskim . . . . . 372—414

ROZDZIAŁ IX.: Sława Sienkiewicza. — Krytyka Kaczkowskiego. — Rozbiór tej krytyki. — „Graf Rak“. — Listy Kaczkowskiego o Sienkiewiczu. — Jak należy pisać powieść historyczną. — „Abraham Kitaj“. — Listy Kaczkowskiego, wyjaśniające cel tego utworu i powody niechęci do Sienkiewicza. — Ciągła z nim rywalizacya. — Czem jest w rzeczywistości „Abraham Kitaj“? — Krytyki tej powieści. — „Olbrachtowi rycerze“. — Rozbiór tej powieści. — Listy o niej Kaczkowskiego . . . . . 415—439

ROZDZIAŁ X.: Ostatnie powieści: „Wasi ojcowie“. — Rozbiór tego utworu. — Oburzenie Kaczkowskiego na artykuł H. Lisickiego o gen. Chłapowskim. — „Zaklika“. — Rozbiór tej powieści. — Rozprawa „O romantyzmie“. — Sprzeczne zdania Kaczkowskiego o Piotrze Chmielowskim i Stanisławie hr. Tarnowskim. — Zmiana opinii o H. Lisickim. — O Orzeszkowej. — List Kaczkowskiego o niej do

str.

Zygmunta Sarneckiego. — List Orzeszkowej o stosunkach literackich. — Kaczkowski o Leonie hr. Pinińskim, Zygmuncie Sarneckim. prof. Tretiaku. — Listy Kaczkowskiego o Chmielowskim, Stanisławie hr. Tarnowskim. — Wspomnienie o Henryku Rzewuskim. — „Święta Klara“. — Rozbiór tej powieści 440—471

ROZDZIAŁ X.: Ogólna charakterystyka. — Ostatnie ciosy: Śmierć tragiczna bratanka; śmierć siostrzenicy i siostry. — Broszura niemiecka o ks. Bismarcku. — Przeczucie końca. — Rozporządzenia testamentowe. — Puścizna. — Poślubienie Maryi Cayez. — Smutek ostatnich chwil życia. — Deklaracya na łożu śmierci. — Zgon. — Pogrzeb. — Domówienie . . . . . 472—486

Sprostowanie dostrzeżonych omyłek drukarskich.

						mylnie:	*ma być:*
str.	54	wiersz	16	od	góry:	tyko	tylko
„	58	„	2	„	dołu:	rodzinuy	rodzinny
„	97	„	1	„	góry:	opiekę	opieką
„	103	„	4	„	góry:	niepodobne zgoła do	niepodobne do
„	117	„	7	„	dołu:	„Dziennlk“	„Dziennik“
„	122	„	10	„	dołu:	hołubuckie	hołobuckie
„	123	„	12	„	dołu:	partya dlu	partya dla
„	125	„	6	„	góry:	zawszo	zawsze
„	129	„	19	„	dołu:	niewatpliwie	niewątpliwie
„	129	„	2	„	dołu:	burdamj	burdami
„	149	„	19	„	góry:	literatnrę	literaturę
„	157	„	19	„	dołu:	dotychczaszowy	dotychczasowy
„	177	„	12	„	góry:	idą	idzie
„	178	„	21	„	dołu:	opodał	opodal
„	211	„	10	„	góry:	z niewątpliwie	a niewątpliwie
„	261	„	ostatni	z	dołu:	dziękuje	dziękował
„	262	„	1	od	góry:	pisze	pisał
„	262	„	12	„	góry:	dodaje	dodawał
„	269	„	6	„	góry:	prtiotycznem	patriotycznem
„	277	„	17	„	góry:	zrobą	zrobią
„	282	„	1	„	góry:	sledzi	siedzi
„	284	„	14	„	góry:	jdkolwiek	jakkolwiek
„	296	„	3	„	góry:	Kraków	Krakau
„	310		w przypisku:			[3]) l. c.	[3]) Zb. Rapperswilski. Ms.
„	371	w przypisku wiersz 3 od dołu:				„Przewodnika“	„Przewodnika nauk. i liter.“
„	384	wiersz	13	od	dołu:	piewszą	pierwszą
„	388	„	16	„	góry:	miesiecy	miesięcy
„	394	„	7	„	góry:	nie liczę	nie licząc
„	401	„	18	„	dołu:	znac	znać
„	407	„	20	„	góry:	ani ducha nie pojął	ani ducha autor nie pojął

						mylnie:	*ma być:*
str.	419	wiersz	15	od	dołu:	Najsilniejsem	Najsilniejszym
„	431	„	13	„	dołu:	nie mógł mu darować	nie mógł darować
„	436	„	19	„	dołu:	comunic	comunie
„	444	„	14	„	góry:	hr. Gedroyć	ks. Gedroyć
„	444	„	13	„	dołu:	w 3 tomach napisana	w trzech tomach
„	445	„	7	„	dołu:	głębszem	głębszym
„	453	„	17	„	góry:	w których	w której
„	456	„	13	„	dołu:	liścic	liście
„	459	„	9	„	góry:	który	która
„	459	„	10	„	góry:	która	który
„	467	„	19	„	dołu:	babci	babki